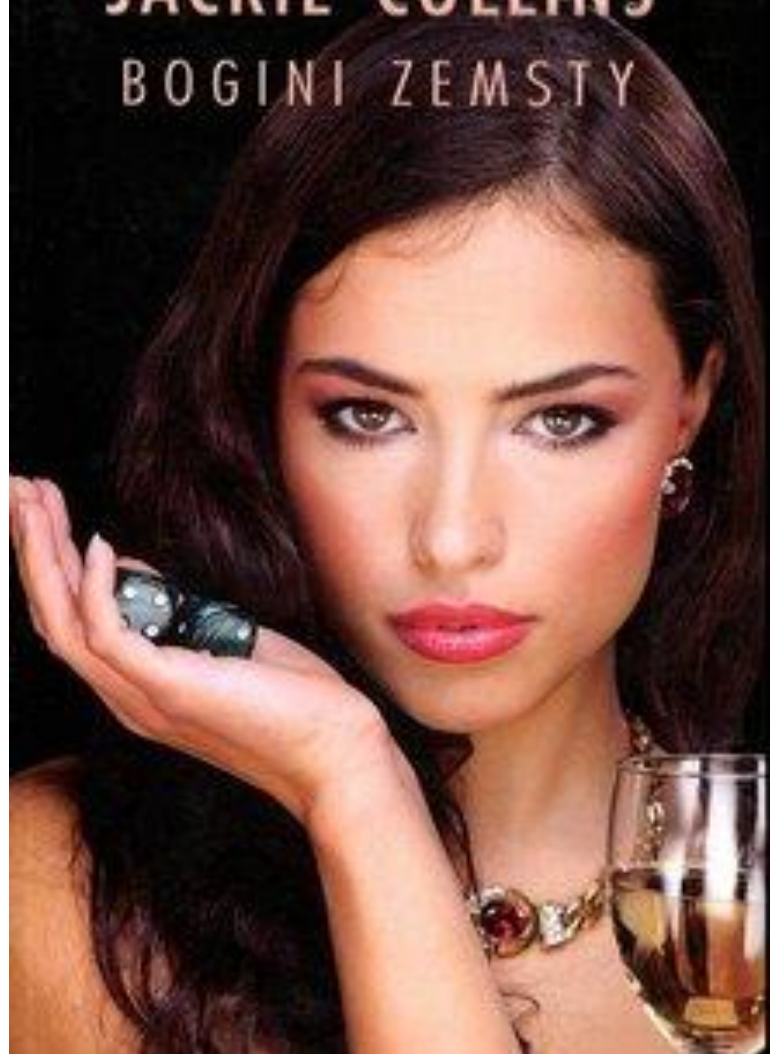


JACKIE COLLINS
BOGINI ZEMSTY



JACKIE COLLINS

BOGINI ZEMSTY

Z angielskiego przełożyła
MARZENNA RACZKOWSKA



Tę książkę napisałam dla wszystkich moich entuzjastów
i wiernych czytelników na całym świecie.
Fanów mojego Twittera, profilu na Facebooku
i mojej strony internetowej.
Jesteście czadowi!
Nie przestawajcie czytać...

Rozdział pierwszy

Wieczór dopiero się zaczynał, więc ogródek restauracji był wypełniony tylko w połowie. Goście starali się zachowywać jakby nigdy nic: w końcu to LA i gwiazdy można spotkać na każdym kroku. Jednak większość nie mogła się powstrzymać od ukradkowych spojrzeń na Venus, światowej sławy gwiazdę filmową o platynowych włosach, która wolno dziobała sałatkę z pokrojonych warzyw.

Razem z nią przy stoliku siedziała Lucky Santangelo, ciemnowłosa piękność, od lat będąca obiektem skandali i sensacyjnych nagłówków. Lucky – superbogata bizneswoman, ongiś właścicielka i szefowa Panther Studios, obecnie była właścicielką luksusowego hotelu, kasyna i kompleksu apartamentów w Las Vegas o nazwie The Keys*.

* *the keys* – klucze (ang.)

Te dwie kobiety tworzyły wyśmienitą parę. W Hollywood, gdzie liczył się tylko wygląd, Venus i Lucky królowały. Venus z powodu wyzywającej urody blondynki, nieprawdopodobnie niebieskich oczu i jędrnego, dobrze umięśnionego ciała. Lucky zaś była niebezpiecznie uwodzicielską kobietą o oczach ciemniejszych niż noc, ciemnooliwkowej skórze, pełnych, zmysłowych ustach, zmierzwionych, czarnych jak smoła włosach i gibkim ciele.

– Zaczynam odnosić wrażenie, że jesteś uzależniona od seksu – lekko powiedziała Lucky, uśmiechając się do przyjaciółki.

– Słucham? – odparowała Venus i podniosła idealny łuk pięknie umalowanej brwi. – W zeszłym tygodniu powiedziałaś, że lecę na młodszych facetów, a teraz jestem seksoholiczką. Mówisz serio, Lucky?

Lucky z uśmiechem odgarnęła grzywę niesfornych loków.

– A może się mylę? – wycedziła z przekąsem. – To nie ty w zeszłym tygodniu spałaś ze swoim dwudziestodwuletnim partnerem filmowym, a dwa dni później to nie ty zrobiłaś dobrze sześćdziesięcioletniemu reżyserowi?

– Proszę cię – powiedziała Venus, z lekceważeniem machając dłonią. – Rozwodzę się, więc czego się spodziewasz? Mam wstąpić do klasztoru?

– To mogłoby być lekką przesadą. – Lucky uśmiechnęła się na myśl o chaosie, który Venus wniosłaby do klasztoru. – Tak czy inaczej, jestem pewna, że wiesz, co robisz.

– Jasne – odpowiedziała Venus z mocą. – Od plotek o Billym w internecie i prasie aż huczy. Wszędzie go pokazują z tą młodocianą lafiryndą, z którą się podobno zadaje. Zupełnie jak przedtem Cooper. – Przerwała na długą, pełną zamyślenia chwilę. – Jeszcze jeden gad wyhodowany na własnej piersi. Ale mam do nich rękę!

– Co to, to prawda – zgodziła się Lucky, w duchu myśląc, że Cooper Turner, czyli mąż Venus przed Billym Meliną, był jednak facetem z całkiem innej bajki: znacznie od niej starszym gwiazdorem znanym z historii w stylu Warrena Beatty'ego, i każdy wiedział, że w końcu ją zdradzi. Billy – to co innego. Trzydzieści lat młodszy od Venus, a mimo to sprawiał wrażenie zachwyconego ich związkiem. W końcu dlaczego nie? Venus była prawdziwą gwiazdą i miała równie wielu fanów na całym świecie, co Madonna.

– Nie mogę uwierzyć, że Billy okazał się taką porażką – powiedziała Venus, która koniecznie chciała poniżyć swojego prawie eks, choćby słownie.

– Jaka tam porażka – nie mogła się powstrzymać Lucky. – Jego najnowszy film zarobił ponad sto milionów. Nie najgorzej.

– No tak, jeszcze mi dołóż – zachnęła się Venus. – Może kariera

Billy'ego przypomina fajerwerki, ale zapewniam cię, że jako mężczyzna okazał się do bani. – Zmrużyła oczy. – A z tobą co dzisiaj nie tak? Powinnaś się ze mną zgadzać, a nie raczyć mnie informacjami o jego sukcesach.

– Tylko mi nie mów, że cię nie ostrzegałam przed małżeństwem ze znacznie młodszym facetem – odparła Lucky.

– Billy nie jest tak znowu dużo młodszy ode mnie – upierała się Venus. – W każdym razie Demi i Ashton jakoś dają radę. A poza tym myślałam, że go lubisz.

– Lubiłam – ostrożnie zaczęła Lucky. – To znaczy nadal go lubię. Tylko jeśli wychodzi się za młodszego mężczyznę, można być prawie pewną, że będzie zdradzał.

– Wielkie dzięki! – odezwała się Venus nachmurzona. – Kiedy zrobiłaś się taka cyniczna?

– Nie jestem cyniczna, tylko życiowa.

– Czyżby... – prychnęła Venus.

– Wiesz, że mówię, jak jest – powiedziała Lucky, podniosła kieliszek i wypła łyk wina.

– No tak, wszyscy wiedzą, że nie ma dla ciebie tematów zakazanych.

– Zgadza się. Po prostu wierzę w prawdę.

– I pewnie dobrze ci to służy.

Lucky spojrzała na oślniewająco piękną przyjaciółkę i zaczęła się zastanawiać, dlaczego jakimkolwiek mężczyzną, który dostąpił szczęścia bycia z Venus, chciałby od niej odejść. Venus miała wszystko – urodę, inteligencję i talent.

– A właściwie dlaczego rozwodzisz się z Billym? – zapytała.

– Bo on mnie...

– Zdradził! – obie razem dokończyły zdanie i wybuchnęły śmiechem.

– No cóż – powiedziała Venus po namyśle – póki nasz związek trwał, było fajnie. Osiemnaście wspólnie spędzonych miesięcy, w tym sześć jako małżeństwo. Teraz znów jestem prawie wolna i uwierz mi, nie jest to takie złe. Lubię być sama. Życie z Billym przypominało

zamknięcie w męskim internacie. Bardzo miło jest nie musieć zbierać z podłogi brudnych skarpetek i bielizny, znosić porozstawianych wszędzie przekąsek, które jadał o północy, a w dodatku wreszcie mam wyłączność na pilota.

– To na pewno zawsze miałaś.

– A właśnie że nie. Wiesz, jaka jestem. Kiedy nie pracowałam, odgrywałam żonusię idealną do szpiku kości. No i widzisz, co mi z tego przyszło.

– Jesteś wolna i możesz się pieprzyć ze swoim partnerem filmowym i jeszcze na dokładkę z reżyserem – skomentowała Lucky. – Nieźle.

Venus uśmiechnęła się szelmowsko.

– Wiem. Szkoda tylko, że właśnie skończyliśmy zdjęcia.

– Na weekend powinnaś polecieć do Las Vegas – zaproponowała jej Lucky. – Oderwiesz się od myśli o Billym.

– A co takiego dzieje się w Vegas, oprócz tego, że masz tam fantastyczny hotel?

– Jest spotkanie zarządu moich inwestorów, a ponieważ byłaś jednym z pierwszych, byłoby super, gdybyś się pokazała; wszyscy oniemieliby z zachwytu. I, coś jeszcze lepszego, postanowiłam urządzić osiemnastkę dla Max, chociaż ta smarkata doprowadza mnie do szału. Nadal upiera się, że przeniesie się do Nowego Jorku.

– Nie do wiary, że Max ma prawie osiemnaście lat. Małeńka Maria już dorosła.

– Mnie to mówisz? – westchnęła Lucky. – Czas leci za szybko.

– Zdajesz sobie sprawę, że jak skończy osiemnaście lat, nie będziesz jej już mogła niczego zakazać?

– Niestety, bardzo dobrze – powiedziała Lucky i pokiwała głową. – A o ile znam Max, w pełni z tego skorzysta.

– Hej, ty się młodo hajtnęłaś – pogodnie stwierdziła Venus. – Może ona będzie równie cwana.

– Chciałaś powiedzieć, że młodo mnie hajtnął kochany tatuś Gino – odparła Lucky i pokręciła głową, jakby ciągle jeszcze nie potrafiła uwierzyć, że Gino zmusił ją do małżeństwa, którego nie

chciała.

– Wyobrażasz sobie, że Gino chciał w ten sposób chronić mnie przed moimi własnymi wybrykami? Co w sumie okazało się niezłym dowcipem!

– To dlaczego mu się nie postawiłaś?

– Miałam szesnaście lat. – Lucky przypomniała sobie przytłaczającą bezsilność i strach, które nią owładnęły w dniu ślubu. – Chyba nie miałam dość sił, żeby się sprzeciwić.

– E tam, Lucky, wcale ci to nie zaszkodziło – powiedziała Venus. – Popatrz tylko, jak dużo osiągnęłaś. Zbudowałaś hotele, prowadziłaś studio filmowe, urodziłaś troje dzieci, a na dodatek wyszłaś za księcia z bajki. Przyznaj się – jesteś szczęściarą.

– Nie – odrzekła Lucky po chwili zadumy. – Jestem kobietą, która na każdym kroku podejmowała ryzyko. Musiałam walczyć o niezależność. – Na dłuższą chwilę zamilkła. – Uwierz mi, nie było łatwo.

– Tak – powiedziała Venus. – Właśnie dlatego tak dobrze się rozumiemy. Obie wiemy, że w tym mieście droga silnych kobiet sukcesu bywa ciężka i samotna.

– Zgoda – powiedziała Lucky. – Musisz umieć ludziom skopać tyłek, jak facet, a w nagrodę usłyszeć, że jesteś dziwką. I przełknąć to.

– Święta prawda.

– Ale wiesz co? – dodała Lucky. – Przynajmniej wiem, kim jestem i na nic innego bym się nie zgodziła.

– Ja też!

– To wypijmy za silne, niepokonane kobiety – powiedziała Lucky i podniosła kieliszek.

– Dobrze, siostró – mruknęła Venus.

Stuknęły się kieliszkami i uśmiechnęły do siebie.

– Miałam cię zapytać – zaczęła Lucky. – Kto dostanie apartament w The Keys? Ty czy Billy?

– Oczywiście, że ja – stanowczo odpowiedziała Venus. – Już powiedziałam prawnikowi, że choćby Billy się wściekł, tego mieszkania nie dostanie.

– Dobrze, że tak mówisz. W naszym świecie trzeba bronić swego.

– Tak, do diabła. Apartament jest w twoim hotelu, a ty jesteś moją przyjaciółką, więc Billy może się pieprzyć.

– Tak trzymaj! – poradziła jej Lucky i na znak poparcia kiwnęła głową.

Po kawie i dalszej rozmowie – głównie o tym, jaki to z Billy'ego palant – Lucky dała znak, że prosi o rachunek.

Do stolika nieśmiało podszedł młody kelner, który cały wieczór im się przyglądał, i podał jej rachunek. Lucky z rozmachem położyła na stole czarną kartę American Express.

– To pewnie znaczy, że tym razem twoja kolej – powiedziała Venus i z dużej torby na ramię marki Chanel wyjęła złotą puderniczkę, a potem badawczo przyjrzała się swemu nieskazitelnemu obliczu. Wiedziała, że przy wyjściu będzie na nią czekać banda paparazzich, których nic tak bardzo by nie ucieszyło, jak przyłapanie celebrytki, która wygląda jak straszdyło. Nie miała zamiaru zrobić im tej przyjemności.

Kelner, który nadal krążył w pobliżu, odchrząknął. Chociaż się denerwował, wyczuł okazję i miał zamiar z niej skorzystać – nawet jeśli oznaczało to utratę pracy, gdyby kierownik zobaczył, że niepokoi gościa.

– Przepraszam, pani... mmm... Venus – odważył się wydukać z lekkim zająknięciem. – Napisałem scenariusz, który bardzo do pani pasuje. Miałem, hmmm, nadzieję, że może znajdzie pani czas, żeby go przeczytać.

Venus obrzuciła go swoim słynnym spojrzeniem, które było zimne jak martini z lodem, i kompletnie zmiażdżyła go gromem z niebieskich oczu.

No nie, pomyślała Lucky. Ale jazda. Teraz odezwie się w niej diwa.

Venus jej nie zawiodła.

– Czy wyglądam na agentkę? – burknęła. – Naprawdę?

Kelner zbladł, szybko wziął kartę kredytową Lucky oraz rachunek

i odszedł jak zmyty.

– Biedny chłopak – ze współczuciem powiedziała Lucky. – Chciał tylko spróbować.

– Niech próbuje gdzie indziej – stwierdziła Venus wyniośle. – Nie znoszę, jak ktoś mnie zaczepia, kiedy staram się odprężyć.

– O Boże, potrafisz się zachować jak jakaś cholerna królowa – skarciła ją Lucky. – Nie chciałabym zależeć ci za skórę.

– Niech i tak będzie – powiedziała Venus z ironicznym uśmiechem. – Idziemy?



Siedemnastoletnia Max Santangelo Golden potrafiła wkręcić się do każdego klubu. Podrobiony dowód? Nie ma sprawy. Sute napiwki dla bramkarzy? Żaden problem. Przyjaźń z organizatorem? Podobnie.

– W dostawaniu się, gdziekolwiek zechcę, jestem najlepsza – chwaliła się często.

Dwoje jej najlepszych przyjaciół: Cookie, czekoladowoskóra córka ikony muzyki soul Geralda M., oraz Harry, syn szefa sieci telewizyjnej i gej, przyznawali jej rację. Ace, który od czasu do czasu uchodził za jej chłopaka, aż tak bardzo się tym nie zachwycał. Kluby LA w ogóle go nie powalały. Nie lubił picia, dragów ani przyłapywania celebrytów na tym, że się zapomnieli.

Ale siedemnastoletnia Max uwielbiała każdą minutę spędzoną w klubie. Nie żeby dużo piła albo ćpała, ale kręciło ją przyglądanie się ludziom i tańczenie na stołach. Szczególnie podniecała ją muzyka – zwłaszcza rap i nieznanne brytyjskie grupy z wokalistami o wymęczonych twarzach. O tak, była zawzięta i zdecydowana na wszystko. Ace był napalony i sexy, ale czasem wydawał się jej zbyt grzeczny i często tęskniła za ostrzejszym związkiem. Poza tym Ace nie mieszkał w LA, więc nie zawsze był pod ręką, kiedy go potrzebowała.

– To gdzie idziemy dziś wieczór? – zapytała Cookie, siadając po turecku na swoim bałaganiarskim łóżku i obskubując zielony lakier z paznokci.

– W House of Blues urządzą imprezę jakiejś grupie rockowej – odezwał się Harry. – Jeśli macie ochotę, moglibyśmy się wprosić.

Harry był najbledszym chłopakiem na świecie, mizernym i chudym. Miał mocno nażelowane, ułożone w kolce włosy, ufarbowane na zabójczą czerń. Dopiero niedawno ujawnił, że jest gejem, chociaż Max i Cookie wiedziały i akceptowały to od zawsze. Ale czekał go jeszcze coming out przed apodyktycznym ojcem, który prawdopodobnie go wydziedziczy.

– Nienawidzę House of Blues – stwierdziła Max, a jej błyszczące zielone oczy wyrażały dezaprobatę. – Zawsze tam pełno nadętych snobów, a poza tym w żaden sposób nie uda nam się wejść do części dla VIP-ów, czyli Foundation Room.

– Dlaczego nie? – zapytała Cookie, pochyliła się i sięgnęła po puszkę 7UP, która niebezpiecznie balansowała na brzegu stołu.

– Właśnie, dlaczego nie? – powtórzył Harry. – Myślałem, że potrafisz wejść wszędzie.

– Wszędzie, gdzie chcę – dosadnie podkreśliła Max i odrzuciła do tyłu burzę falujących czarnych włosów. – Po co mi ich pokraczny Foundation Room? Zawsze tam pełno starych rockmanów, którzy garściami pochłaniają viagrę. To absolutnie nefajne.

Cookie wybuchła szalonym chichotem.

– Założę się, że mój tata bierze viagrę – powiedziała, pociągając z puszki 7UP. – Jestem pewna, że rąbie te tabletki bez opamiętania.

– Wszyscy starzy goście to robią – powiedział Harry z ironicznym uśmieszkiem. – Bez nich im nie staje.

– Obrzydlistwo! – pisnęła Cookie. – Nie chcę sobie nawet wyobrażać ojca z postawionym!

Max doszła do wniosku, że Cookie i Harry czasem zaczynają działać jej na nerwy. Chociaż razem dorastali, chodzili do tej samej szkoły, mieli wspólne ciekawe, a czasem przerażające przeżycia, chyba jakoś z nich wyrosła. Jak tylko skończy osiemnaście lat, ma zamiar wyrwać się na wolność do Nowego Jorku. Nie żeby rodzice nie byli fantastyczni, ale i jedno, i drugie bardzo wysoko jej ustawiło poprzeczkę. Lucky, która osiągnęła absolutnie wszystko, czego kie-

dykolwiek chciała. I Lennie – wszechstronnie utalentowany pisarz i reżyser, kierujący realizacją wszystkich swoich niezależnych filmów. Max była zmęczona ciągłym postrzeganiem jej tylko jako ich córki. Miała dość presji, którą na niej wywierano, by zrobiła w życiu coś spektakularnego.

Wzorem był dla niej starszy brat Bobby, który uciekł z domu i poszedł swoją drogą. Był dla niej absolutną inspiracją i uwielbiała go. Niestety był teraz w stałym związku z Denver Jones, zastępczynią prokuratora okręgowego, i choć Max w głębi serca (z pewną niechęcią) ją podziwiała, tęskniła za czasami, kiedy podczas pobytów Bobby'ego w LA miała go wyłącznie dla siebie.

– Rozumiem – w końcu odpowiedziała Max. – To może pojedziemy na kolację do Chateau? Tam zawsze coś się dzieje.

– Bylebyśmy nie wpadli na mojego staruszka – powiedziała Cookie, marszcząc nos. – Znalazł sobie kolejną durną laskę i mam wrażenie, że kiedy ona przyjeżdża, mieszka właśnie w Chateau.

– Co to za jedna? – spytała Max.

– Angielka w każdym calu. Ma wszystko: snobistyczny akcent i wielkopańskie brytyjskie fochy w nosie – odparła Cookie, krzywiąc się z obrzydzeniem. – Wydaje się jej, że jest drugim wcieleniem Keiry Knightley. Tere-fere.

– Twój staruszek dwoi się i troi – zauważył Harry, podciągając kołnierz długiego płaszcza w stylu gothic.

– Mnie to mówisz. – Cookie westchnęła ze zmęczenia. – Miałam więcej przyszywanych macoch niż ty brudnych myśli z Chace'em Crawfordem w roli głównej.

– Okay, okay – przerwała im Max. Lubiła podejmować szybkie decyzje, a nie gadać w kółko o tym samym i ciągle zmieniać decyzje, co będą robić. – Może wypróbujemy nowy klub, który otworzyli kilka tygodni temu. River. Jestem pewna, że tam wejdziemy.

– No to jedźmy – stwierdziła Cookie, bawiąc się brązowymi jak czekolada dredami, które okalały jej prześlizgną buzią.

– Myślicie, że może tam być Chace Crawford? – spytał z nadzieją Harry.

Max usadziła go spojrzeniem.

– Uspokój się – powiedziała. – Przecież musisz to wiedzieć. Chace Crawford woli dziewczyny.

– Tak mówią – mruknął Harry. – Ale ja tam wiem lepiej.



– Lucky zaprosiła nas na przyszły weekend do Vegas – powiedział Bobby Santangelo Stanisloupoulos, wyciągając całe swoje sto osiemdziesiąt trzy centymetry na modnej, wyświechtanej sofie Denver Jones. – Robi przyjęcie z okazji osiemnastki mojej siostry Max. Jedno z jej wielkich świąt rodzinnych.

Denver z pewnym niepokojem popatrzyła na chłopaka, z którym była od kilku miesięcy. A niech go: półdługie czarne włosy, ciemne jak noc oczy, grecki nos, silna szczeka – zawsze ją to brało. Gdyby tylko nie był tak cholernie przystojny. Gdyby nie podkochiwała się w nim od szkoły średniej. Gdyby nie był świetnym kochankiem, który zawsze wiedział, co robić.

– Twoja mama mnie onieśmiela – odezwała się w końcu, głaszcząc po brzuchu swoją suczkę, Amy Winehouse, która leżała na grzbiecie i pomrukiwała z rozkoszy. Amy była kundlem. Znalazł ją były chłopak Denver, Josh, kiedy wafęsała się po plaży Venice. Nazwali ją Amy Winehouse, ponieważ warczała gardłowo. A w dodatku, zdaniem Denver, Amy Winehouse była odjazdowa. Należała do jej ulubionych piosenek.

Bobby roześmiał się. Śmiech miał fantastyczny. Oczywiście.

– No wiesz... Jestem pewien, że zdaniem Lucky jesteś najlepszą rzeczą, która mi się przytrafiła.

– Rzeczą? – zapytała chłodno.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Problem w tym, że w przyszłym tygodniu przechodzę do Wydziału Antynarkotkowego, więc będę musiała przekopać tonę akt z danymi.

– Weźmiesz ze sobą laptopa i będziesz mogła pracować, ile

zechcesz. Wyjeżdżamy tylko na czterdzieści osiem godzin, kochanie. Zamawiam samolot.

Strasznie ją wkurzało, kiedy Bobby mówił rzeczy w stylu: „Zamawiam samolot”. To takie elitarne, całkowicie sprzeczne z tym, kim była. Bywają dziewczyny, które kręci taki luksus, ale prywatne samoloty, wystawne przyjęcia i przebywanie ze sławną rodziną Bobby'ego – to nie dla niej. Na dokładkę niezbyt lubiła Vegas i – choć tego Bobby'emu nie powiedziała – nie znosiła chodzić do jego superwczesanego klubu, Mood. Najbardziej nienawidziła patrzeć, jak kobiety mizdrzyły się do niego i beczelnie z nim flirtowały, jakby ona w ogóle nie istniała.

Prawda była taka, że kochała Bobby'ego. Ale nie lubiła pompy i zadęcia, które go otaczały.

Bobby znów się przeciągnął i zapytał:

- No to jak?
- Jeszcze się zastanowię.
- Dobrze – powiedział i wyciągnął ramię, żeby przyciągnąć ją do siebie na kanapę.

Poddała mu się. Był wczesny wieczór, nie mieli żadnych planów, więc niby dlaczego nie odprężyć się na chwilę?

Widywali się z przerwami od trzech miesięcy. Spotykali się w czasie pobytów Bobby'ego w LA – czasami niestety musiał jechać do któregoś ze swoich dwóch klubów Mood, jeden miał w Las Vegas, drugi w Nowym Jorku. Kiedy byli razem, było im cudownie. Kiedy go nie było, tęskniła, zastanawiała się, co robi, i oboje usiłowali prowadzić seksowne rozmowy przez telefon, co doprowadzało ich do histerycznego śmiechu.

Żadne z nich nie wypowiedziało magicznego słowa „kocham”. Chociaż mówili o tym, że nie chcą być z nikim innym.

Oboje starali się być ostrożni i zbyt mocno się nie angażować. W głębi serca jednak nie mogli się tego doczekać. Na razie podchodzili do tego związku spokojnie i na luzie.

Bobby zaczął głaskać ją po włosach. Denver lubiła swoje włosy – były długie i gęste, kasztanowe z naturalnymi złotymi pasemkami.

Wiedziała, że włosy należą do największych walorów jej urody, podobnie jak szeroko rozstawione piwne oczy i pełne usta. Gdyby mieszkała w każdym innym mieście, jej urodę można by ocenić na dziesiątkę. W LA czuła, że osiąga zaledwie siódemkę.

Nie miała racji.

Bobby przesunął dłonie na jej piersi, szybkim ruchem odpiął biustonosz i zaczął bawić się jej sutkami. O tak, co niespotykane w LA, piersi miała jak najbardziej prawdziwe.

Westchnęła niecierpliwie i przylgnęła do niego. Nieważne, że kochali się już rano. Pożądanie to pożądanie i oboje znowu byli w nastroju na seks.

Czasem nie mogła się powstrzymać od rozważań, jak długo to jeszcze potrwa. Poprzedni chłopak, z którym chodziła na serio, Josh, przez pierwsze sześć miesięcy ich trzyletniego związku był niezłym kochankiem, po czym całkowicie oklapł.

– O czym myślisz? – szepnął jej Bobby do ucha, jednocześnie pieszcząc ją językiem.

– Co za babskie pytanie – mruknęła, szamocząc się z suwakiem w jego jeansach.

– Przeżywasz mnie babą? – spytał ją z żartobliwą powagą.

– Coś kobiecego na pewno w sobie masz – droczyła się.

– Jak na przykład? – zaczepnie zażądał konkretów.

– Ojej – odpowiedziała wymijająco, zachwycona, że nie ma na sobie bielizny. – Masz miękkie usta...

– Żebym mógł cię lepiej całować... – Jednym szybkim ruchem odkręcił ją tak, że leżała pod nim. – Miękkie usta, twarde wacek. Czy to takie kobiece?

– Bobby! – krzyknęła.

Na tym skończyły się żarty i do głosu doszła namiętność. Umiał tak się z nią kochać, że pozbyła się jakichkolwiek wcześniejszych zahamowań. To delikatnie ją pieścił, to już po chwili twardo i zdecydowanie przechodził do działania. Ten zestaw doprowadzał ją do szaleństwa. Chciała jeszcze i jeszcze, i jeszcze...

Kiedy skończyli, byli wyczerpani, wtuleni w siebie, śpiący i

szczęśliwi.

Denver często marzyła, aby te cenne chwile trwały wiecznie. Tylko oni we dwoje. Żadnego świata na zewnątrz, bo jedynie przeskadza.

Ale zewnętrzny świat nie dawał o sobie zapomnieć i oboje tkwili w nim mocno. Jutro Bobby pojedzie samochodem do Vegas, a potem poleci na kilka spotkań do Nowego Jorku. A ona musi zająć się pracą. Jest zastępcą prokuratora i właśnie przenosi się do Wydziału Antynarkotykowego, co stawia przed nią nowe, fascynujące wyzwania. Znowu będą musieli się rozdzielić.

Ale dobrze, że tak kocha tę pracę. Jest niezmiernie wyczerpująca, ale rezultaty dają niewiarygodną satysfakcję. Bardzo się cieszy, że zmieniła specjalizację. Poprzednio pracowała w niezwykle prestiżowej firmie prawniczej jako obrońca, a teraz dostała pracę zastępcy prokuratora i będzie oskarżycielem. Ta zmiana ją wręcz zachwyca. Jedną z jej najbardziej nagłośnionych spraw była obrona gwiazdora filmowego, który zlecił morderstwo żony i chciał się z tego wymigać. Właśnie to skłoniło ją do zmiany pracy. Po co bronić ludzi, którzy prawdopodobnie są winni, jeśli może robić coś sensownego i wsadzać złoczyńców za kratki? To naprawdę przyjemność ścigać męty, które rozprawdzają dradzy i uzależniają małolaty. Prawdziwa satysfakcja z pracy!

– Hej – powiedział Bobby – chcesz wyskoczyć do kina i na pizzę?

Tak, właśnie na to miała ochotę. Zwyczajnie trochę побыć ze swoim facetem.

Gdyby tylko tak mogło już zostać na zawsze.

Miała jednak silne podejrzenia, że to się nie uda.

Rozdział drugi

Księżę Armand Mohamed Jordan rzadko używał swego pełnego tytułu, właściwie tylko wtedy, kiedy jechał z wizytą do swojego rodzinnego kraju, który nazywał się Akramszar. Było to małe, lecz lukratywne państewko na Bliskim Wschodzie, gdzie pomiędzy Syrią a Libanem.

Jako naturalizowany Amerykanin i odnoszący wybitne sukcesy biznesmen uważał, że roztropniej jest zachować posiadanie tytułu w sekrecie, gdyż obnoszenie się z nim nie należy do korzystnych strategii biznesowych.

Większość osób, z którymi miał do czynienia, znała go jako Armanda Jordana, człowieka, który czasem bywa bezwzględny i ma ogromne wpływy, a ponadto oczekuje, że wszystko będzie szło po jego myśli – i zwykle tak właśnie było. Żaden z partnerów biznesowych Armanda nie zdawał sobie sprawy, że jego ojcem jest król emir Amin Mohamed Jordan, człowiek mający obecnie sześć żon i szesnaścioro dzieci, rządzący roponośnym państewkiem żelazną ręką.

Do przyjaźni Armand odnosił się podejrzliwie. Jedynym człowiekiem, któremu ufał, był Fouad Khan, jego prawa ręka. Wiele lat temu sprowadził go z Akramszaru. Fouad znał jego wszystkie tajemnice i zachowywał je dla siebie. Był powiernikiem i zausznikiem Armanda, zawsze gotowym na rozkazy.

Na szczęście, a może na nieszczęście dla Armanda, urodził się on

jako dziewiąty syn króla, więc właściwie prawie się nie liczył. Tak więc, kiedy jego matka, Amerykanka Peggy, niegdyś tancerka w Las Vegas, błagała króla, by pozwolił jej wrócić z ośmioletnim synem do Ameryki, władca nie zgłosił sprzeciwów. Król Emir był znużony długonogą rudą Amerykanką i jej koszmarnym akcentem. Z miłą chęcią ją puścił. I choć Peggy podobała się przygoda, jaką było mieszkanie w haremie, gdzie obsypywano ją drogimi podarunkami – uznała, że już wystarczy. Wiedziała, że czas wrócić do cywilizacji. Miała dwadzieścia sześć lat, przed sobą całe życie i zamierzała z tego korzystać. Król żądał jedynie, aby zawsze we wrześniu chłopiec wracał do Akramszarzu na obchody jego urodzin, które w tym kraju były najważniejszym dniem w roku.

Peggy przystała na to. Sowita odprawa w gotówce, jaką otrzymała, całkowicie zrekompensowała wszelkie królewskie żądania.

Przeniosła się więc do Nowego Jorku z Armandem, który bardzo szybko przystosował się do amerykańskiego stylu życia. Wkrótce pokochał wszystko, co amerykańskie: niekończące się programy telewizyjne, brutalne filmy akcji, głośną, dynamiczną muzykę i dziewczyny. Tak, zwłaszcza dziewczyny, które były łatwiejsze niż te w Akramszarze.

Co roku we wrześniu matka posłusznie wsadzała go do samolotu, który leciał do Akramszarzu, i przez kilka tygodni Armand grał rolę młodego księcia. Spędzał czas w towarzystwie swoich przyrodnych sióstr i braci, których teraz już prawie nie znał. Zresztą i tak nie umieli się ze sobą dogadać.

Fascynowała go konfrontacja tych dwóch stylów życia. Czuł, że jest kimś szczególnym, innym od pozostałych uczniów prywatnej szkoły na Manhattanie, do której chodził. On był księciem, a oni nikim. Czuł się od wszystkich lepszy.

Kiedy miał trzynaście lat, podczas jednej z dorocznych wizyt w Akramszarze, ojciec wziął go na stronę i poinformował, że czas, aby został mężczyzną. Jeden ze sług królewskich natychmiast zaprowadził go do pokoju, gdzie na łóżku wylegiwały się dwie prostytutki w oczekiwaniu na księcia.

To, czego wtedy doświadczył ze starszymi od siebie kobietami, zostawiło w nim niezatarty ślad. Choć w szkole normalnie prze-komarzył się z dziewczętami, to doznanie było czymś całkiem innym. prostytutki – Rosjanka i Holenderka – miały ponad dwadzieścia lat. Były mocno umalowane, ubrane w seksowną bieliznę i buty na wy-sokich obcasach. Pokazały mu różnorodne gry seksualne. Niektóre były dla niego przyjemne, inne obrzydliwe. Kiedy uznały, że prze-szedł pełną inicjację, powiedziały mu, że za seks trzeba płacić. Nie żeby prosiły go o pieniądze – ludzie króla już o to zadbali – po prostu uznały, że to jest rzecz, o której musi wiedzieć.

– Kobietom trzeba płacić za seks – powiedziały, wymieniając rozbawione spojrzenia.

Tych mądrych słów nigdy nie zapomniał.

Kiedy kilka godzin później pojawił się w pałacu, starsi bracia śmiali się z niego i szydzili. W końcu z jednym z nich wdał się w bójkę, w wyniku czego skończył ze złamanym nosem. Nienawidził swojego rodzeństwa; wszyscy byli o niego zazdrośni, ponieważ był inny.

Matka Armanda – rudowłosa piękność – ponownie wyszła za mąż miesiąc po jego osiemnastych urodzinach. Tym razem Peggy wybrała mądrze – jej mężem został Sidney Dunn, starszy od niej o dwadzie-ścia pięć lat bankowiec, odnoszący sukcesy jako doradca inwesty-cyjny.

Armand szanował Sidneya; doszedł do wniosku, że może się od staruszka sporo nauczyć, i faktycznie tak było. Zamiast do college'u poszedł do szkoły biznesu, a Sidney zawsze był gotów służyć mu dobrą radą.

Kiedy Armand skończył dwadzieścia jeden lat, król wezwał go do Akramsza na specjalną wizytę. Pojechał niechętnie – raz w roku chyba wystarczy? Okazało się jednak, że była to pamiętna wizyta, ponieważ wtedy właśnie najbliższy doradca króla przekazał mu informację, że czasem może on prosić syna o dokonanie rozmaitych transakcji w Ameryce.

Armand bardzo chciał, żeby ojciec był zadowolony, więc się

zgodził. W związku z tym w prezencie na dwudzieste pierwsze urodziny dostał od króla czek na milion dolarów. Natychmiast zrobił z tych pieniędzy dobry użytek. Za radą Sidneya zainwestował w działkę z ruderami w nowojorskiej dzielnicy Queens. Rok później postawił tam kilka apartamentowców, na których w ostatecznym rozrachunku zarobił trzy razy tyle, co zainwestował.

Potem nic już nie stanowiło dla niego bariery. Założył firmę Jordan Developments i zaczął skupować nieruchomości, odnawiać je i sprzedawać z dużym zyskiem. Oprócz tego zajmował się interesami ojca, który od czasu do czasu musiał wprowadzić do legalnego obrotu spore sumy pieniędzy. Utworzył kilka filii Jordan Developments, w tym przedsiębiorstwo importowo-eksportowe, które do handlu zagranicznego nawiązywało tylko nazwą. Mając trzydzieści lat, skupował hotele i apartamentowce wzdłuż całego Wschodniego Wybrzeża.

Podczas kolejnej dorocznej wizyty w Akramszarze ojciec traktował go uprzejmie i promieniał dumą.

– Jesteś synem, z którego mogę być dumny – chwalił go król. – Masz spryt, inteligencję i można na tobie polegać. To ty powinieneś kiedyś odziedziczyć królestwo.

Takie słowa były trudne do przelknięcia dla jego przyrodnych braci, którzy zaczęli się Armandowi przyglądać podejrzliwie i z jeszcze większą nienawiścią.

Ale jedno niepokoiło króla.

– Dlaczego się nie ożeniłeś? – zapytał. – Tradycja wymaga, aby człowiek w twoim wieku miał wiele żon i dzieci.

Armand wzruszył ramionami. Nie potrzebował rozrywki w postaci seksu. Pożądanie w pełni zaspokajał przy pomocy całej plejady luksusowych prostytutek, które dogadzały wszelkim jego kaprysom, kiedy tylko po nie zadzwonił. Kobiety to ludzie pośledniego sortu – ojciec nauczył go tego dawno temu.

– Baby są tylko po to, by gasić nasze żądze i rodzić dzieci – poinformował go król. – Nigdy im nie ufaj. I nigdy nie oddawaj im serca.

Ojciec miał rację. Kobiety wszystko zrobią dla pieniędzy – absolutnie wszystko. A w dodatku są głupie.

Kiedy rok później Armand jak zwykle przyjechał na urodziny ojca, ten natychmiast zabrał go do jednego ze swoich prywatnych pałaców. Gdy tylko się tam znaleźli, król oznajmił, że prezentem urodzinowym Armanda dla niego będzie ślub z córką bliskiego przyjaciela rodziny, z którym król robił interesy.

– Nie będziesz miał żadnych obowiązków – zapewnił go król. – Żona zostanie tutaj i jeśli Bóg pozwoli, urodzi ci potomków. To moje życzenie, synu. I mój prezent.

Dziewczyna miała piętnaście lat i była piękna. Nazywała się Soraya.

Tego samego dnia odbyła się wystawna ceremonia zaślubin.

W nocy Armand pozbawił niewinną Sorayę dziewictwa. Drżała i była przerażona, co wcale go nie wzruszyło, bo nie miał zamiaru postępować wbrew woli ojca. Jej zdenerwowanie nie stanowiło dla niego problemu. Miała być na jego rozkazy i na tym koniec. Twardo robił swoje i nie zwracał uwagi na jej krzyki przerażenia. Była tylko naczyniem, które miał wypełnić – do niczego więcej jej nie potrzebował.

W tydzień po ceremonii zaślubin poleciał z powrotem do Ameryki.



Kiedy rok później wrócił do Akramsza, ze zdziwieniem stwierdził, że ma syna. Jedenaście lat później miał jeszcze troje dzieci, same dziewczynki, co niezbyt mu się podobało, ale król był szczęśliwy.

W myślach Armand traktował Sorayę i jej stadko jako swoją rodzinę z innej rzeczywistości. Mieszkali w miejscu zwanym Akram-szar, gdzie kobiety były uległe i postulszne i robiły, co im się każe. Tam rządzą mężczyźni.

W Nowym Jorku mieszkał w luksusowym penthousie wysoko-

ściowca przy Park Avenue. Afrodyzjakiem były tam pieniądze, a kobiety zabawkami, za które płacił. Jego dwa światy spotykały się we wrześniu, kiedy król obchodził urodziny. I tak było dobrze.

Armand miał czterdzieści dwa lata i zaczynał się niecierpliwic. Podbił Wschodnie Wybrzeże i chciał więcej. W swych najnowszych planach miał zdobycie mocnej pozycji w Las Vegas, mieście, w którym bywał od czasu do czasu. Uwielbiał hazard, a tamtejsze prostytutki były lubieżne i gotowe spełnić każde żądanie – nawet najbardziej niemoralne. Ponadto uważał, że łączy go z tym miastem historia rodziny. Matka tańczyła w Caesars Palace, gdzie wpadła w oko królowi, który zabrał ją do Akramszaru. Więzy rodzinne w końcu coś znaczą.

Jego ludzie przygotowali analizę finansową większości dużych hoteli. Imperium Steve'a Wynna było intrygujące i lukratywne, a grupy hoteli Palms, Four Seasons i Harrah miały potencjał. Jednak po namyśle postanowił, że musi mieć The Keys.

Tak, The Keys jest idealny. Okazały kompleks o niezwykle wysokim standardzie zbudowany niecałe dwa lata temu. Nie w krzykliwym tonie Las Vegas, ale niewiarygodnie luksusowy i z wielką klasą. Fantastyczne kasyno. Światowej klasy restauracje i sklepy. Wytworne ogrody i teren stylizowany na park. Dwa ośrodki odnowy biologicznej. Sztuczne jezioro. Przepięknie zielone pole golfowe. I do tego sam hotel.

The Keys jest w sam raz dla Armanda.

Chciał go mieć, więc będzie miał.

Nie miał pojęcia, że The Keys należy do Lucky Santangelo.

A Lucky nigdy z niego nie zrezygnuje.

Rozdział trzeci

Zanim Lucky wjechała swoim wyróżniającym się czerwonym ferrari w Pico Boulevard i ruszyła autostradą wzdłuż Pacyfiku do Malibu, zapomniała o Venus i jej kłopotach z mężczyznami. Bardziej przejmowała się swoją córką Max i zapowiadany przez nią wyjazdem. Lucky była wystarczająco mądra, by rozumieć, że nie zatrzyma swojej inteligentnej, a przy tym pięknej zielonookiej córki. Max usamodzielni się niezależnie od tego, czy im się to z Lenniem podoba, czy też nie. Prawdą było, że jej się to wcale nie podobało, ale nie mogła nic poradzić.

Wszyscy jej przypominali, że mając szesnaście lat, też była szalona. Rzuciła rygorystyczną szkołę z internatem w Szwajcarii i wyruszyła na południe Francji. Tam znalazł ją jej ojciec, Gino, i czym prędzej wydał za mąż za irytującego, nudnego Cravena Richmonda, syna senatora Petera Richmonda. Craven był słabeuszem i nieudacznikiem. Nie kochała go i co gorsza, ani trochę nie szanowała. Ale nie dała się złamać. Odczekała, ile trzeba, a kiedy Gino musiał opuścić kraj za unikanie płacenia podatków, zerwała wszystkie więzi z rodziną Richmondów i błyskawicznie przejęła lukratywne hotele Gina. Wzięła rozwód i już nigdy więcej nie myślała o byłym mężu.

Teraz Max, jej jedyna córka, chciała wyfrunąć z gniazda, ale czy miała dość życiowego sprytu, by opędzić się od rekinów, które będą krążyć wokół tak smakowitego kąska? A jeśli Max rzeczywiście

przeprowadzi się do Nowego Jorku, jakim cudem Lucky ją ochroni?

– Nie możesz wciąż nad nią czuwać – twierdził Lennie, przez którego zawsze przemawiał rozsądek. – Musisz pozwolić jej odejść. Jest gotowa popełniać własne błędy i się na nich uczyć.

Nawet Gino się z tym zgadzał.

– Puść ją, dziecko – powiedział. – Da sobie radę, tak jak ty.

Więc niech tak już będzie.

Choć wybiła północ, Max jeszcze nie było w domu.

Lucky postanowiła się nie przejmować, chwyciła za telefon i zadzwoniła do Lenniego, który kręcił film w plenerze, w Utah. Chwilę porozmawiali. Uspokoił ją co do Max, kazał jej się nie zamartwiać i powiedział, że zobaczą się w Vegas na przyjęciu urodzinowym.

Lucky postanowiła, że choć raz go posłucha.

Urządzi w Vegas wspaniałe przyjęcie. A potem wyśle Max w świat, by z jej błogosławieństwem podążyła swoją drogą. A sama będzie miała nadzieję, że córce wszystko się uda.



– Frankie! – wrzasnęła Max i dzikim susem wyskoczyła w stronę faceta, który wyłonił się z corvetty grand sport ze składanym dachem. – To naprawdę ty?

Frankie Romano zatrzymał się w pół kroku i powoli zsunął z oczu okulary Ray-Ban z lustrzanymi szklami. Nie potrzebował ich, bo na dworze było ciemno, i nosił je wyłącznie dla szpanu.

– Jezu! – krzyknął, obrzuciwszy ją wzrokiem od stóp do głów. – Mała Max?

– Już nie taka mała – odparowała beczelnie, przypominając sobie ostatnie spotkanie z porywczym przyjacielem brata, Frankiem Romano. Był szczuplejszy niż wtedy, ale miał odlotowe ciuchy – wszystko ze skóry, okulary retro zasłaniały mu oczy, a ciemne włosy ciasno związał w kitkę z tyłu głowy. Typowy styl LA.

Gestem wskazał wejście do nowego klubu, przed którym kłębił się tłumek uwodzicielsko ubranych dziewczyn i buzujących nadzieją na

seks hałaśliwych chłopaków. Usiłowali przepchnąć się obok trzech zwałistych bramkarzy.

– Dasz radę załatwić wejście dla mnie i moich kumpli? – zapytała, uśmiechając się zalotnie.

Chwyliła za ręce Cookie i Harry'ego i cała trójka pewnym krokiem ruszyła za Frankiem.

Bramkarz zasalutował mu z szacunkiem.

– Wow! – krzyknęła Max, która była pod wrażeniem. – Zachowują się, jakbyś był właścicielem tej budy.

– Bo jestem – pochwalił się Frankie, choć nie mówił całej prawdy. – Jest moja, całkowicie moja.

Max ze zdziwienia szeroko otworzyła oczy. Ostatnią wiadomością, jaką miała o Frankiem, było to, że zostawiła go długoletnia dziewczyna, Annabelle Maestro, i że szuka pracy. Teraz twierdził, że jest właścicielem nowego, topowego klubu w LA. Zastanawiała się, czy Bobby o tym wie, bo o ile dobrze pamiętała, ich przyjaźń się skończyła, ponieważ Frankie za dużo ćpał. Szkoda. Zawsze na swój sposób lubiła Frankiego, mimo że się do niej dobierał, kiedy miała szesnaście lat i była u Bobby'ego w Nowym Jorku.

– Czy Bobby wie, że masz klub? – zapytała, kiedy Frankie prowadził ich do stolika za przepierzeniem.

– A co? Bobby ma wyłączność na kluby? – odparował Frankie, a pod okularami zadrgała mu lewa powieka. – Byłem didżejem, zanim on w ogóle zaczął kręcić przy klubach. Pozwoliłbym mu zainwestować w River, ale straciliśmy kontakt. Jego strata.

– Pewnie tak – wymijająco powiedziała Max, rozglądając się po klubie, który wyglądał jak marna kopia Mood.

– Powiem tylko, że od czasu, kiedy twój brat skumał się z tą pieprzoną prawniczką, sprawia wrażenie opętanego – burknął Frankie. – Już się nie dogadujemy.

– Denver nie jest prawniczką, tylko zastępcą prokuratora okręgowego – poprawiła go Max.

– Jeszcze gorzej – prychnął Frankie. – Całkiem stracił przy niej jaja. To przez nią między nami się posypało.

– A myślałam, że to przez...
– Co? – spytał Frankie, obrzucając ją ostrym spojrzeniem.
– Nic – mruknęła i przygryzła dolną wargę. Bobby powiedział jej, że nie może już tolerować uzależnienia Frankiego od koki, zwłaszcza że Denver jest zastępcą prokuratora.

– No, no... mała Max dorosła. – Frankie zbliżył się do niej i przycisnął jej nogę udem. – Długo cię nie widziałem. Jak leci?

– Super – powiedziała Max i odsunęła się, bo ostatnią rzecz, jaka była jej potrzebna, to żeby Frankie się na nią napalił.

– Wyglądasz ekstra – ciągnął. – Superekstra.

– Dziękuję. – Poczowała się nieswojo. Był naćpany? Pewnie tak.

– Wow! – krzyknęła Cookie. – Ale fajna buda.

Frankie skupił się na niej.

– Podoba ci się? – spytał. – Sam ją zaprojektowałem.

Następne kłamstwo.

– Obojgu nam się podoba – odparła Cookie, szturchając Harry'ego i zastanawiając się, ile Frankie może mieć lat i czy jest dla niej za stary. – Postawisz nam drinka?

– Już go masz. – Frankie strzelił palcami, aby zwrócić na siebie uwagę półnagiej kelnerki o długich jak szpony paznokciach i przyklejonym uśmiechu. – Ale mam nadzieję, że macie przy sobie wszyscy podrobione dowody?

– Jasne. – Cookie oblizwała wydatne usta i zamrugała umalowanymi na liliowo rzęsami.

– To mi się podoba – powiedział Frankie i pomyślał, że może i jest młoda, ale na pewno gotowa.

Ech, do diabła. Dzisiejszej nocy ma ochotę na małolatę.



Zamiast na pizzy i w kinie wylądowali na sushi w Matsuhisa, ulubionej restauracji Denver.

– Uwielbiam tę knajpę – westchnęła, biorąc sobie kalifornijską bułkę.

- A myślisz, że dlaczego ją zarezerwowałem?
- Bo chciałeś zrobić mi niespodziankę?
- Bystra jesteś. – Bobby obdarzył ją olśniewającym uśmiechem.
- Ale ubrałam się na pizzę i do kina – z żalem powiedziała

Denver.

- I wyglądasz wspaniale – zapewnił ją.
- Dzięki, Bobby. – Denver pociągnęła łyk ciepłego sake.
- Za co?
- Za to, że przy tobie zawsze się dobrze czuję.
- To proste.
- Naprawdę?
- Przecież wiesz.
- Zawsze umiesz powiedzieć coś miłego.
- W takim razie w przyszły weekend pojedziesz ze mną do

Vegas na przyjęcie Max? Prawda?

- No... postaram się – powiedziała z wahaniem.
- Co to znaczy, że się postarasz?
- No wiesz, praca...
- Już ci mówiłem: pojedziemy w piątek, wrócimy w niedzielę.

Niczego nie stracisz.

– Musisz to zrozumieć, Bobby. Przeniesienie do Wydziału Antynarkotykowego to dla mnie duże wyzwanie. Chcę być dobrze przygotowana.

– Przecież ci tłumaczyłem, weźmiesz ze sobą laptopa. Będziemy mieć mnóstwo wolnego czasu.

– A mogę się jeszcze zastanowić? – spytała wymijająco.

– Zastanowić! – rzucił ze złością. – Mówiłem ci kiedyś, że jesteś uparciucha?

– Tylko dlatego, że nie zawsze się na wszystko zgadzam...

– Co to, to prawda – przyznał, mocno wbijając w nią wzrok. –

Czy to dlatego tak cię lubię?

– Hmm – zamyśliła się. – Pewnie przyzwyczyliś się, że kobiety zawsze się z tobą zgadzają?

Bobby się roześmiał.

- Co za kobiety masz na myśli?
- Pamiętasz szkołę średnią? Obaj z M.J.-em mieliście niezłe żniwo. Dziewczyny lgnęły do was jak muchy.
- No wiesz, Denver – powiedział z zagadkowym wyrazem twarzy. – Ni z tego, ni z owego wspominasz szkołę. Dlaczego?
- Bo przyglądanie się, jak mistrz piłki nożnej wbija gole, zawsze stanowiło dla wszystkich główną atrakcję.
- W takim razie bardzo się cieszę, że mam to już za sobą i teraz mam ciebie.
- Naprawdę? – drażniła się z nim. – Masz mnie?
- Chyba tak, prawda? – Uśmiechnął się szeroko. – Jak długo ze sobą jesteśmy?
- Nie wiem – odpowiedziała, choć miała to dokładnie wyliczone. – Może ze trzy miesiące.
- Bobby pokręcił głową.
- Może! Powinnaś wiedzieć co do minutki.
- Tak?
- No tak.

Uśmiechnęła się do siebie, delektując się chwilą.

Lubiła być z Bobbym między innymi dlatego, że wciąż mieli o czym rozmawiać. Często raczył ją opowieściami o rodzinie swojego nieżyjącego ojca, która, poza jego siostrzenicą Brigitte, mieszkała w Grecji. Brigitte żyła w Nowym Jorku i kiedyś była top modelką. Razem z Bobbym odziedziczyli większość fortuny rodziny Stanisloupoulos. Chociaż Bobby krępował się rozmawiać o pieniądzach, powiedział Denver, że postanowił nie ruszać spadku. Wolał sam na siebie zarabiać i korzystać z sukcesów swoich klubów.

Podziwiała go za to, że sam chce do czegoś dojść. Tylko od czasu do czasu pozwalał sobie na ekstrawagancje – na przykład na korzystanie z prywatnego samolotu Stanisloupoulosów.

Czasami ona opowiadała mu o swojej rodzinie. Jeszcze nie zdążył jej poznać. Nie śpieszyła się z przedstawieniem go rodzicom: mamie, która była aktywistką polityczną, i ojcu – niezależnemu prawnikowi. Nie wspominając już nawet o braciach, wszyscy bardzo lubili jej

byłego chłopaka, Josha. Nie chciała im przedstawiać Bobby'ego, póki nie była pewna, że będzie z nim dłużej niż kilka miesięcy.

Bobby śmiał się z tego.

– Nie jestem dość dobry, żebyś mogła mnie przedstawić rodzinie, co?

– Kiedyś cię przedstawię – zapewniała.

Tak, kiedyś na pewno go do nich zabierze. Ale jeszcze nie teraz. Jest jeszcze za wcześnie.

– Bobby! – zawołała przepiękna, wyglądająca jak modelka dziewczyna, która zatrzymała się przy ich stoliku. – O mój Boże! Ostatnio widziałam cię w Nowym Jorku na przyjęciu u Graydona. Jak leci? I co robisz w LA?

– No... cześć – wykrztusił Bobby. Nie miał pojęcia, kto to jest i nie bardzo go to obchodziło. – Znacie się? – zapytał, gestem wskazując Denver.

Dziewczyna przelotnie zerknęła na Denver, a potem dalej ją ignorowała.

– Musimy się spotkać – wymruczała, nachylając się nad Bobbym. – Tęsknię za tobą. Zadzwoń do mnie. Mieszkam w hotelu Mondrian.

Odeszła, chwiejąc się na piętnastocentymetrowych obcasach. Wyglądała na zadowoloną z siebie.

– Ładna – stwierdziła Denver.

– Przysięgam, że nie wiem, kto to jest – upierał się Bobby.

– Nie ma sprawy. – Denver nie miała zamiaru robić sceny o nic. – Też mam swoich byłych.

– Nie jest żadną byłą – powiedział stanowczo. – Nawet nie wiem, kim jest.

– To nieważne, Bobby.

– No właśnie – zgodził się. – Liczy się tylko to, że siedzę tu z tobą.

Jedną rzecz trzeba przyznać Bobby'emu Santangelo Stanislopoulosowi – zawsze wiedział, co powiedzieć, żeby było dobrze.



Max chciała już iść, Harry również, ale Cookie się opierała.

– Chcę zostać – powiedziała z uporem. – Frankie się mną zaopiekuje.

– Nie możesz zostać – spierała się z nią Max. – Przyjechalśmy samochodem Harry'ego.

– Ktoś mnie podwiezie – powiedziała Cookie.

– Na przykład kto? – warknęła Max.

Cookie wzruszyła ramionami.

– Na pewno Frankie odwiezie mnie do domu.

– Do cholery! – wrzasnęła Max. – Przecież Frankie chce się tylko do ciebie dobrać.

– No i co z tego? – odpowiedziała Cookie z nieco już zawianym uśmiechem. – Czy to coś złego?

Kłótnia trwała jeszcze kilka mojito później. Oni spierali się za swoim przepierzeniem, a tymczasem Frankie grał rolę miłego gospodarza: dwoił się i troił, żeby przywitać gości i z nimi pogawędzić. Ale Max się to nie podobało. Chciała wyjść. Harry tak samo.

– Nie możemy zostawić cię tu samej – powiedziała Max, spoglądając na Harry'ego z nadzieją na wsparcie.

– Już ci mówiłam, że Frankie się mną zaopiekuje. – Cookie przechyliła się do tyłu i mocno oparła na siedzeniu.

– Frankie to ćpun i w dodatku podstarzały – zadrwił Harry. – Trzymaj się od niego z daleka.

– Wcale nie jest stary i strasznie mnie kręci. – Cookie nie dawała za wygraną. – Wy dwoje spadajcie stąd, ja zostaję.

Max postanowiła już się z nią nie kłócić. Wiedziała, jaki jest Frankie, ale skoro Cookie uparła się, że go chce, żadna siła nie może jej powstrzymać. Cookie od dawna nie była dziewicą. Od dzieciństwa kręciła się po Hollywood.

– Choćby nie wiem co, pamiętaj, żeby się z nim nie pieprzyć – ostrzegła ją Max. – Ten facet nie jest dla ciebie. Wierz mi, świetnie go znam.

– Dzięki za dobrą radę – z sarkazmem odpowiedziała Cookie. –
Zadzwońię do was potem.

– Dobrze. – Max zerknęła na zegarek. Była już druga w nocy. – I
nie zrób czegoś, czego później będziesz żałować.

– Cześć! – Cookie zachichotała. – Spływajcie. Już was tu nie ma.
Max chwyciła Harry'ego za rękę.

– Możesz prowadzić? – zapytała.

Skinął głową.

– To chodźmy.

Czasem trzeba zrezygnować z kłótni, której nie da się wygrać. Jej
tata, Lennie, nauczył ją tego, kiedy miała pięć lat.

Rodzice przekazali jej bardzo dużo i z czasem doceniała ich mą-
drość. Teraz jednak nie mogła się doczekać samodzielności.

A to miało nastąpić wkrótce. Już bardzo, bardzo niedługo.

Rozdział czwarty

Billy Melina był zachwycony wolnością. Małżeństwo z supergwiazdą rajcowało go z piętnaście minut, a po kilku miesiącach przyglądania się, jak każdy pada jego żonie do stóp, dreszcz emocji całkowicie minął. Sam był znanym aktorem, ale kiedy szedł gdzieś z Venus, nikogo to nie obchodziło. Jego gwiazdorskie ego domagało się poklasku. Przy Venus go nie dostawało.

Kiedy z nią zerwał, natychmiast, z zawrotną wręcz szybkością odzyskał popularność. Znow pojawiły się tłumy dziewcząt. Fani na każdym kroku. Powrócił szacunek agentów, managerów i prawników, którzy zrozumieli, że ma potencjał. No a przecież dopiero skończył trzydziestkę, więc ma przed sobą całe życie. Tymczasem jego ostatni film już bije kasowe rekordy.

Billy miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, jasne od słońca włosy, a umięśnione, jędrne ciało pokrywała piękna, jak przystało na surfera, opalenizna. Jego największą dumą był brzuch. Ćwiczył dwie godziny dziennie, aby mieć absolutnie idealne mięśnie.

Lubił oglądać swoje zdjęcia w kolorowych pismach z podpisami w rodzaju: NAJWSPANIALSZE CIAŁO NA PLAŻY. Matthew McConaughey może się pieprzyć. I niech się schowa słynny ze swej klaty gwiazdor telewizyjny Mike Sorrentino. To Billy Melina jest Królem Brzucha. A teraz, kiedy zbliża się jego rozwód z królową diw, on – razem ze swą wkrótce eks – jest na okładkach wszystkich kolo-

rowych pism.

Z tych okładek czerpał satysfakcję. To one uzasadniały jego istnienie. Z nich płynęły do niego pozytywne vibracje.

Podobnie jak z ciągnięcia druta. Nic nie poprawiało mu nastroju bardziej, niż kiedy któraś dobrze mu zrobiła loda. Ostatnio, kiedy był wolny, miał wielką frajdę z podrywania przypadkowych dziewczyn i zabierania ich do wynajętego przez siebie domu z basenem. Tam robiły mu dobrze. Sytuacje, kiedy nieznanym usta obejmowały jego pana, w tle migotała błękitna woda w basenie, a słońce prażyło mu ciało, doprowadzały go do odlotu.

Venus miała wrażenie, że skumał się ze swoją ostatnią filmową partnerką Willow Price – blondynką o obfitym biuście i pełnych, miękkich ustach, której kariera właśnie rozkwitała. Ale nie była to prawda. Odpowiadało mu bywać z Willow na przyjęciach i galach z okazji rozdawania różnych nagród, ale nie byli ze sobą związani uczuciowo. Willow wołała seks z kobietami, a poza tym nie była w jego typie, jednak obojgu pasowało, by widywano ich razem.

Billy miał ochotę na seks, więc wskoczył na swojego harleya i wyruszył na łowy.

Wkrótce znalazł dokładnie to, czego szukał. Dziewczyna, która wpadła mu w oko, szła Melrose Avenue. Miała na sobie jeansową spódniczkę, która ledwo zakrywała jej pupę, skąpy T-shirt z napisem „Lubię szybko i miło” i sandały na koturnach.

– Hej – przywitał ją, podjeżdżając na motocyklu. – Chyba widziałem cię wczoraj w SoHo House?

Zatrzymała się, poznała go i nie mogła uwierzyć w swoje szczęście; a dwadzieścia minut później klęczała przed nim przy jego basenie i obsługiwała go, jak umiała najlepiej.

Kiedy skończyła, zawołał jej taksówkę i odesłał tam, skąd ją zabrał.

Billy nigdy nie miał kłopotu ze znalezieniem dziewczyny.



Śniadanie w Malibu było dla Lucky najprzyjemniejszą porą dnia. Uwielbiała siedzieć na tarasie ze szklanką świeżego soku z pomarańczy i miseczką, w której miała pokrojone papaje, figi i mango, i podziwiać widok na ocean. Lubiła wcześniej wstawać, więc zawsze była na nogach przed resztą rodziny. Korzystała wtedy z samotności. Wczesne ranki przeznaczała na planowanie. Wtedy podejmowała decyzje, co będzie robić w następnej kolejności. Teraz była usatysfakcjonowana wszystkim, co dotyczyło The Keys. Nawet Gino był pod wrażeniem jej osiągnięć. Zbudowała cudo, najwspanialszy kompleks rozrywkowy w Vegas, w którym było wszystko: od dużego kasyna po niepowtarzalny hotel i luksusowe mieszkania własnościowe.

– Zbuduj jeszcze tor wyścigów konnych i będzie gotowe – zarzekał Gino.

Uśmiechnęła się. Niegłupi pomysł. Ale wizje Gina zawsze wybiegały daleko naprzód.

Postanowiła, że teraz skupi się na przekonaniu Lenniego, aby zrobił sobie zasłużony urlop. Był strasznym pracoholikiem – ledwie kończył jeden film, już zaczynał następny. Ich małżeństwo było fantastyczne, ale nieźle byłoby trochę więcej ze sobą pobyc. Bywały dni i noce, kiedy bardzo za nim tęskniła.

Zadzwoiła komórka. To jej prawnik z Nowego Jorku, Jeffrey Lonsdale.

– Cześć, Jeffrey, o co chodzi? – zapytała, zastanawiając się, dlaczego dzwoni do niej tak wcześnie.

– Rozgłaszałaś, że chcesz sprzedać The Keys? – spytał Jeffrey.

– Co takiego? – Skrzywiła się. – Co ty opowiadasz?

– Wydzwania do mnie przedstawiciel Jordan Developments. Twierdzi, że jesteś gotowa do sprzedaży, a Jordan Developments do zakupu.

– Czysta bzdura – powiedziała Lucky. – A to Jordan Developments to co takiego, do diabła?

– Duża firma handlująca nieruchomościami. Badam sprawę. Chciałem się tylko upewnić.

- Jeffrey – cierpliwie tłumaczyła Lucky – przecież wiesz, że gdybym chciała sprzedawać, ty wiedziałbyś o tym pierwszy.
- Oczywiście. Ale Fouad Khan, przedstawiciel Jordan Developments, wydawał się bardzo pewny siebie i nieustępliwy.
- No cóż, powiedz mu, żeby swą nieustępliwość wykorzystał gdzie indziej. The Keys nie jest na sprzedaż. Ani teraz, ani nigdy.
- Zrozumiałem jasno i dobitnie.
- Bardzo się cieszę.
- Muszę przyznać, że od razu pomyślałem, że to kawał. Wszyscy wiedzą, że w zbudowanie kompleksu włożyłaś serce i duszę, więc byłem pewien, że w żadnym razie nie wystawiasz go na sprzedaż.
- Bardzo słusznie.
- Cieszę się, że wyjaśniliśmy tę sprawę.
- No tak.
- W takim razie miłego dnia.
- Nawzajem, Jeffrey.
- Niestety w Nowym Jorku pada.
- Przykro mi to mówić, ale tutaj mamy piękne słońce – powiedziała, spoglądając na bezmiar błękitnego oceanu.
- Ojej, Lucky, zawsze umiesz mi dopiec.
- Jesteś prawnikiem. Powinieneś być przyzwyczajony, że ludzie chcą ci dopiec.
- A ty musisz mi to wypominać.
- W każdym razie w piątek przylatujesz na spotkanie zarządu, więc będziesz miał słońca w bród.
- W sali konferencyjnej? – sucho spytał Jeffrey.
- Zostań na weekend – zaproponowała Lucky. – Urządzam przyjęcie urodzinowe Max. Będzie super.
- Może.
- Żadne może, Jeffrey. Powiedz tak. I weź żonę.
- Rozwódzimy się.
- Weź dziewczynę.
- Nie mam dziewczyny.
- Okay, okay. Nie mówmy już o twoim życiu uczuciowym. Ale

jeśli zdecydujesz się zostać, daj znać mojemu asystentowi. Odpowiednio o ciebie zadba.

Skończyła rozmowę i pomyślała, że to zdumiewający początek dnia.

The Keys to jej największe osiągnięcie. Nigdy go nie sprzeda. Nigdy.



Bobby wcześniej wstał i wyszedł z mieszkania, zanim Denver się obudziła. W Las Vegas miał ważne zebranie z rosyjskimi inwestorami, którzy, według jego partnera, M.J.-a, gotowi byli sfinalizować umowę i przelać pieniądze na filie Mood w Miami i LA. Postanowił osobiście pokazać im najlepszy z klubów, Mood w Las Vegas. Rosjanie nie byli łatwi w interesach, ale mieli pieniądze na to, żeby mógł urządzić kluby tak, jak chce. Kiedy skończy z Rosjanami, ma jeszcze kilka spotkań w Nowym Jorku, a potem wsiądzie do samolotu i zdąży wziąć Denver na romantyczny weekend w Las Vegas.

Coraz bardziej angażował się w ten związek. Im więcej czasu z nią spędzał, tym bardziej mu się podobała. Była taka cholernie zwyczajna i o wiele mądrzejsza od wszystkich dziewczyn, z którymi się do tej pory spotykał. Na dodatek miała piękne ciało i duszę. Żar, którego ciągle było mu mało.

Chciałby sprawić, aby więcej pobyła z Lucky, by lepiej się poznały. Bardzo mu zależało, żeby mama zaakceptowała dziewczynę, o której myślał coraz bardziej poważnie. Chciał, żeby Lucky sama zobaczyła, jaka Denver jest fantastyczna. Weekendowe przyjęcie urodzinowe będzie do tego idealną okazją.

W najbliższych planach miał zakup domu w LA, gdzie mogliby razem zamieszkać. Mieszkanie Denver było dla niego stanowczo za małe. Potrzebował więcej przestrzeni. Kilka razy już o tym mówił, ale ona twierdziła, że za wcześnie myśleć o wspólnym zamieszkanu.

- Ależ kochanie, przecież mieszkam z tobą, kiedy jestem w LA.
- Nie. Jesteś tu tylko gościem – poprawiła go. – To nie to samo,

co mieszkanie razem.

A niech to, potrafiła być trudna. Większość dziewcząt wariowałyby ze szczęścia, gdyby zaproponował, że kupi im dom. Ale Denver częściowo właśnie dlatego była tak czarująca, że nie przypominała innych dziewczyn. I za to też ją kochał.

Docisnął gaz w swoim srebrnym lamborghini murciéłago LP640, na cały głos nastawił muzykę Jay-Z i ruszył do Las Vegas.



– Nie rozumiem twojego problemu – powiedziała najlepsza przyjaciółka Denver, Carolyn, bujając spacerówką, która stała przy niej w ogródku jej małego domu w West Hollywood, przy spokojnej uliczce tuż za supermarketem Pavilions. – Bobby to fantastyczny facet i widać jak na dłoni, że za tobą szaleje.

– Tak uważasz? – niepewnie zapytała Denver, popijając kawę z kubka.

– Nie uważam, tylko wiem – odparła Carolyn i odgarnęła do tyłu lok blond włosów o odcieniu miodu. – Jest super. Był dla mnie bardzo miły.

– A dlaczego miałby nie być? – Denver odstawiła kubek z kawą na rozchybotany stolik ogrodowy i dodała. – Nie zapominajmy, że znalazłaś się w przerażającej sytuacji. Porwana, przetrzymywana jako zakładniczka i do tego w ciąży...

– Wtedy jak jakaś kawaleria ty i Bobby ruszyliście mi na pomoc i uratowaliście mój głupi tyłek – zażartowała Carolyn, choć wówczas sytuacja wyglądała groźnie.

– Bez Bobby'ego nie dałabym rady – stwierdziła Denver. – Bardzo pomógł.

– Bez was obojga... – Carolyn zamilkła, starając się już nie myśleć o swoich ciężkich przeżyciach. Pracowała w Waszyngtonie jako asystentka senatora Gregory'ego Stonemana, kiedy wywiązał się między nimi gorący romans. Senator był oczywiście żonaty i jak większość żonatych mężczyzn obiecał, że odejdzie od żony, ale

naturalnie nie miał zamiaru tego robić. Kiedy więc Carolyn oznajmiła mu, że jest w ciąży, spanikował i zorganizował jej porwanie w nadziei, że poroni. Dzięki Bogu, na czas znaleźli ją Denver i Bobby.

Po kilku dniach odpoczynku w szpitalu Carolyn uciekła z Waszyngtonu i przyjechała do LA. Urodziła chłopca, któremu dała na imię Andy, i przysięgła, że już nigdy nie odezwie się do senatora Stonemana. Nie żeby specjalnie się za nią uganiał; ani razu od jej wyjazdu się nią nie zainteresował. Jej było wszystko jedno. Andy należał tylko do niej i nigdy nie pozwoli, żeby Gregory zbliżył się do jej syna.

– Moim problemem jest mama Bobby'ego – zaryzykowała Denver, gdyż bardzo chciała dać upust swoim uczuciom. – Jest taka... no, jak by tu ją opisać?

– Spróbuj – szybko wtrąciła Carolyn.

– Po pierwsze jest nieskazitelnie piękna – zaczęła Denver, starając się namalować dokładny portret niewiarygodnej Lucky Santangelo. – To znaczy: wysoka, ma oliwkową cerę, niesamowite ciemne oczy i ciemne włosy. Absolutna piękność w starym włoskim stylu.

– Co w tym złego? – zauważyła Carolyn. – Trochę dobrych genów przekazała Bobby'emu.

– Ma także nadzwyczajne osiągnięcia – ciągnęła Denver, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdoła dorównać cudowi natury, jakim jest Lucky Santangelo. – Buduje własne hotele, kiedyś zarządzała dużym studiem filmowym. Urodziła troje dzieci, a jeśli by tego było za mało, odlatowo gotuje, wszystko robi sama i już od dawna jest w szczęśliwym związku małżeńskim z Lenniem Goldenem.

– Tym gwiazdorem filmowym?

– Kiedyś był aktorem. Teraz pisze scenariusze i reżyseruje niezwykle udane, niezależne filmy.

– No to Bobby musi ostro się zwijać, żeby im dorównać.

– Lennie nie jest jego ojcem – wyjaśniła Denver, biorąc do ręki kubek z kawą. – Myślałam, że już ci mówiłam. Jego ojciec zmarł. Był miliarderem, magnatem transportu morskiego. To dlatego Bobby ma

na zawołanie ich firmowe samoloty. To także mnie onieśmiela.

– Przestań, Denver – przerwała jej Carolyn. – Nic nie powinno cię onieśmielać.

– No cóż – skrzywiła się Denver. – Mama Bobby'ego jest ideałem, a ja nie.

– O mój Boże! – krzyknęła Carolyn i w geście rozpaczy podniosła ręce. – Gdybyś tylko siebie słyszała.

– Co? – mruknęła Denver zasmucona, że Carolyn jej nie rozumie.

– Jesteś nieprawdopodobna, Denver. Masz wspaniały zawód i robisz coś naprawdę ważnego. Jesteś młoda, piękna, a na dokładkę masz fantastycznego chłopaka. – Carolyn zamilkła na chwilę, a potem dodała: – Co prawda jako kucharka jesteś zerem. Ale mam dziwnie silne przekonanie, że Bobby nie jest z tobą dla twoich umiejętności kulinarnych.

Denver nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Nie jestem piękna i już nie taka młoda, ale co prawda, to prawda, jestem inteligentna – przyznała.

– No tak – powiedziała Carolyn. – Dwadzieścia siedem lat to rzeczywiście podeszły wiek. A co do urody... Może nie jesteś tak idealna jak modelka z kolorowego pisma, ale za to ciepła i naturalna i tym ciekawsza, że nie masz świadomości, jak pięknie wyglądasz.

– Dzięki, ale powinnaś zobaczyć bywalczyne klubu Bobby'ego. Nie wspominając już o dziewczynach, które do niego podchodzą, kiedy gdzieś pójdziemy.

– Przeszkadza ci to? Przecież jest z tobą, tak?

– Chyba tak...

– Chyba! – powtórzyła Carolyn i przewróciła oczami. – Facet za tobą szaleje, każdy to widzi. A te przygodne dziewczyny, niech no zgadnę, noszą rozmiar zero, bo nigdy nic nie jedzą. Wielkie, sztuczne cycki. Wydęte sztuczne usta. Wysokie kości policzkowe, też sztuczne. I...

– Przestań – powiedziała Denver i wybuchnęła śmiechem. – Pracują w branży rozrywkowej, muszą wyglądać jak najładniej.

– Bzdura! – krzyknęła Carolyn. – I nie obrażaj się, ale zmieniam temat. Teraz będziemy mówić o mnie.

– Dobrze – odparła Denver. – Co takiego się dzieje?

– Postanowiłam zostać lesbijką – oznajmiła Carolyn.

Denver zakrztusiła się kawą.

– Co? – prychnęła. – Nie można po prostu postanowić być lesbijką. Albo się nią jest, albo nie.

– Ciągnie mnie do dziewczyn – rzeczowo odparła Carolyn. – Do tego na jodze poznałam piękną kobietę. Zaprosiła mnie na randkę. I wiesz co? Idę.

– Ale po co?

– Bo mam na zawsze dosyć facetów. Najpierw byłam z Mattem, który mnie zdradzał. Potem z Gregorym, który okazał się kłamcą i szują. Mam facetów po dziurki w nosie. Nie chcę mieć z nimi już nic wspólnego. Chyba nietrudno to zrozumieć, co?

– No... – zaczęła Denver, ale zanim zdołała jeszcze coś powiedzieć, zaczął płakać Andy. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że jeśli natychmiast nie wyjdzie, spóźni się do pracy. – Więc twoim zdaniem powinnam jechać do Vegas? – zapytała, wyjmując kluczyki do samochodu i spieszenie kierując się w stronę drzwi.

– Jasne, że tak – potwierdziła Carolyn i schyliła się, żeby wziąć syna na rękę.

– Okay, w takim razie pojedę – odparła Denver, podejmując ostateczną decyzję. – Miłej randki z... jak jej na imię?

– Vanessa – powiedziała Carolyn z uśmiechem. – Obiecuję, że się postaram.



Szukanie komórki przez sen nie było dla Max niczym nowym. W końcu znalazła swój blackberry i odebrała:

– Słucham? – mruknęła.

– Zgadnij, gdzie jestem? – usłyszała szept.

– Cookie?

– Tak, to ja. – Cookie zachichotała. – Ta sama co zawsze.

Max otworzyła jedno oko.

– Gdzie jesteś? – zapytała, choć miała przerażające przeczucie, że zna odpowiedź.

– Zgadnij!

– Nie chce mi się zgadywać – powiedziała Max zirytowana i skopała z siebie kołdrę. – No to gdzie, do cholery?

– W łóżku Frankiego. Było cudownie – westchnęła Cookie. – Fantastyczny przypadkowy seks.

– Cholera! – krzyknęła Max i usiadła. – Mam nadzieję, że się z nim nie pieprzyłaś?

– Oczywiście, że się pieprzyłam! – W głosie Cookie słychać było triumf.

– O Boże! – powiedziała Max z wyrzutem. – Nie powinnaś tego robić z kimś takim jak Frankie.

– Dlaczego?

– To całkowicie niepoważny, totalny ćpun.

– Ale było fantastycznie – zachwyciała się Cookie. – Chcesz posłuchać seksownych szczegółów?

– Nie, dziękuję – ostro ucięła Max. – Wolę nie.

– Ale z ciebie sztywniaczka – jęknęła Cookie. – Będę musiała opowiedzieć Harry'emu. On uwielbia szczegóły.

– Droga wolna.

O, rety! Frankie Romano, kiedyś najlepszy przyjaciel Bobby'ego, zanim nie zaczął ćpać na umór, i Cookie. To niedobra wiadomość. I to wszystko jej wina. Nie powinna była pozwolić Cookie zostać w klubie. Frankie to wyrzutek społeczeństwa. Kiedyś ze swoją była dziewczyną, Annabelle Maestro, uprawiał stręczycielstwo. Wykorzysta Cookie, a potem jej się pozbędzie, przysparzając jej ogromnych cierpień. A ona, Max, przez parę tygodni będzie musiała wysłuchiwać jęków Cookie.

Co za skucha! I to ona poznała Cookie z Frankiem, tylko po to, żeby wejść do jego durnego klubu. Ale była głupia.

Chwyliła duży T-shirt i wyskoczyła z łóżka. Zastanawiała się, jak

to wszystko naprawić.

Niestety, nic nie przychodziło jej do głowy.



Kiedy Bobby wjechał do sektora prywatnych parkingów w The Keys, myślał wyłącznie o interesach. M.J., jego jedyny wspólnik, a ponadto najbliższy przyjaciel, podszedł wolnym krokiem, aby go przywitać. Wymienili prawdziwie męski uścisk.

M.J. był czarnoskórym przystojniakiem, choć mógłby być wyższy. Pod wpływem kaprysu pobrali się z Cassie, młodą piosenkarką z wielkimi ambicjami, w Vegas, niecały rok temu. Teraz Cassie była w ciąży, a M.J., który przyjechał do Vegasz Nowego Jorku, aby dopilnować otwarcia i promocji Mood, był tym zachwycony. W przeciwieństwie do Cassie. Miała niecałe dziewiętnaście lat i marzyła o karierze, a nie o dziecku. Zamożni rodzice M.J.-a – ojciec, słynny neurochirurg, i matka, była śpiewaczka operowa – przycupnęli i śledzili rozwój wypadków.

Cassie nie była dziewczyną, którą sobie wymarzyli na żonę dla ich jedyne go syna. Nie podobała im się także jego praca polegająca na otwieraniu nocnych klubów, choćby miały nie wiem jakie powodzenie.

M.J. się tym w ogóle nie przejmował. Szalał za swoją młodą żoną, ale teraz, kiedy w drodze było dziecko, pojawiły się trudności. Nie mógł się doczekać, żeby powiedzieć o tym Bobby'emu.

– Świetna fura! – krzyknął M.J., przyglądając się lamborghini Bobby'ego.

Bobby skinął głową.

– Tyle czasu spędzam na Zachodnim Wybrzeżu, że postanowiłem sobie kupić auto. Wyciąga trzysta czterdzieści kilometrów na godzinę, chłopie. Odlot. Uwielbiam nim jeździć. Niestety Denver nie.

– To dopiero. – M.J., obchodząc samochód, dokładnie mu się przyglądał. – Ciekawe dlaczego?

– Uważa, że jest zbyt wczesany i za szybki.

- No cóż, brachu, skromny nie jest.
- Obydwab się roześmiali i z entuzjazmem przybili piątkę.
- A co słyhać u twojej skromnej dziewczyny? – zapytał M.J., kiedy wchodzili do ogromnego oszklonego holu. – Nadal wsadza niegrzecznych chłopców do pudła?
- Denver jest cudowna – powiedział Bobby. – Niezwykła.
- Wygląda na to, że wsiąkłeś. Jeszcze nigdy nie widziałem cię w takim stanie.
- Co mam powiedzieć? – Bobby wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. – Ta kobieta mnie uszczęśliwia.
- I tylko to się liczy, chłopie.
- Prawda!
- A skoro mowa o szczęściu. Też mam nową wiadomość.
- No?
- Cassie jest w ciąży.
- O rety, M.J. Jesteś na to gotowy?
- Jak najbardziej.
- Powiedziałeś już rodzicom?
- Jeszcze nie miałem okazji, ale powiem.
- Lepiej to zrób.
- Przecież wiem.
- Będą się cieszyli.
- Tak myślisz?
- Na pewno. No to teraz do naszych inwestorów. A potem to oblejemy.

Rozdział piąty

Kiedy Armand Jordan czegoś chciał, nic nie mogło go powstrzymać. Nieważne, czy była to kobieta, nieosiągalny obraz, nadzwyczajne przysmaki, unikatowy samochód czy budynek. Nikt mu nigdy nie odmawiał, a jeśli ktoś chciał to zrobić, Armand po prostu podwyższał cenę.

Lubił też luksusowe prostytutki. Tego typu dziwki знаły sztuczki obce innym kobietom. Szczegółiki. Świństewka, o których mężczyzna zwykle może tylko pomarzyć.

Od czasu do czasu spotykał kobietę, której nie można było kupić. Wcale go to nie peszyło, ponieważ był przekonany, że wszystko ma swoją cenę. Czasami nie chodziło o pieniądze.

Intrygowało go odkrywanie, czego ludzie mogą chcieć. Był to rodzaj gry, którą prowadził dla przyjemności, a kiedy Armand grał, to zawsze tak, żeby wygrać.

Jego ostatnią zdobyczą była Nona Constantine, żona Martina Constantine'a, jednego z jego rywali w handlu nieruchomościami. Niektórzy uważali tego człowieka za niemal tak potężnego jak on.

Jak bardzo się mylili!

Nona była dokładnie takim wyzwaniem, jakiego pożądał. Kobieta zamężna, z małym dzieckiem, niegdyś królowa piękności Słowacji. Miała wysokie kości policzkowe i skośne oczy. Jej mąż świata poza nią nie widział, ale Armand swoim przenikliwym instynktem zgadł,

że po porodzie Martin nie dawał jej takiej przyjemności, za jaką tęskniła.

Armand pracował nad nią bardzo powoli, a ponieważ obracali się w tych samych kręgach nowojorskiej socjety: bywali na otwarciach galerii, imprezach charytatywnych i kameralnych, proszonych kolacjach, łatwo było mu się do niej zbliżyć. Zwłaszcza że zawsze miał przy boku jakąś dziewczynę. Tylko on wiedział, że każda z nich była suto opłacona, dzięki czemu nigdy nie sprawiały mu kłopotu i nie miały wobec niego żadnych roszczeń. Przestrzegał niezłomnej zasady, aby nigdy nie umawiać się z tą samą dziewczyną dwa razy.

Nowojorskie panie domu uważały Armanda za niezły kąsek. Staraly się go z kimś umówić, ale on zawsze się wymigiwał. Był atrakcyjny i nieco tajemniczy. Miał schludne czarne wąsy, gęste brwi, które okalały zamyślane oczy, i nieskazitelne wyczucie elegancji. Wszystko, co miał, było w najlepszym gatunku. Skarpetki i bieliznę zakładał tylko raz, a potem je wyrzucał. Koszule czasem zakładał dwa razy, ale na tym koniec. A jego szyte na miarę garnitury nigdy nie wisiały w szafie dłużej niż miesiąc.

Kobiety nie ustawały w staraniach o niego, gdyż Armand nie tylko był okropnie bogaty, ale chodziły plotki, że w małym kraju na Bliskim Wschodzie, z którego przybył, nosił jakiś tytuł.

On sam nigdy o tym nie wspominał.

Zwabienie Nony do apartamentu, który mieścił się na szczycie wieżowca, pod pretekstem pokazania jej cennego, niedawno kupionego obrazu Picassa, zajęło mu kilka miesięcy. Nie przeszkadzało mu, że zabiegi trwały tak długo, wręcz delektował się oczekiwaniem na zdobycz.

Przyjechała o jedenastej rano, czyli w całkiem niewinnej porze dnia. Miała na sobie bladuróżowy kostium od Chanel, pod spodem koronkową bluzkę, a na nogach beżowe buty Louboutina na obcasach, które głośno stukwały na wyfroterowanej marmurowej podłodze, kiedy oprowadzał ją po mieszkaniu. W końcu wylądowali w urzędzonej po męsku sypialni, gdzie stały skórzane sofy w kolorze głębokiego burgunda, a narzuty z czarnego kaszmiru przykrywały

ogromne łóżko.

– Brakuje tu zdjęć rodziny – stwierdziła Nona, rozglądając się po surowej sypialni. Roześmiała się kokieteryjnie. – Jesteś strasznie tajemniczy, Armandzie. Dlaczego za każdym razem pojawiaasz się z inną dziewczyną? Nie szukasz kobiety, z którą chciałbyś dzielić życie?

– A po co, jeśli mogę mieć kogoś takiego jak ty? – powiedział, patrząc jej w oczy, by uwierzyła, że mówi prawdę.

I oto był o krok od nagrody za całą swoją ciężką pracę. Za wszystkie komplementy, uprzejmości i pochlebstwa, pochlebstwa i pochlebstwa.

Była jego. Cała jego – mógł ją wykorzystać, sponiewierać i upokorzyć.

Bo właśnie z tego czerpał przyjemność, to go podniecało. Najpierw pocałował ją. Gwałtownie przywarł ustami do jej warg i nie pozwalając na protesty, mocno wcisnął jej język do ust. Potem, bez ostrzeżenia, jego dłoń zanurkowała pod jej spódnicę, a grube palce prześlizgnęły się pod majtkami i zagłębiły w miękkim wzgórku. Była wilgotna, chętna i oczekiwała wrażeń.

Nie potrzebowała gry wstępnej. Była napalona, już kiedy przekraczała próg jego mieszkania. Nona Constantine pragnęła tego. A on da jej to, czego chciała. Ostro i mocno.

Kiedy palcami przeczesywał twarde jak druty włosy na wzgórku łonowym, podniecił się ich obfitością. Tak mocno okręcił sobie pasemka wokół palców, że krzyknęła z bólu. To go podekscytowało. Gdyby chciał kobiety ogolonej jak dziecko, sprowadziłby dziecko.

– Och, Armandzie – wysapała zarumieniona – nie powinniśmy...

Trochę za późno na sprzeciwy. Za późno.

Pchnął ją na łóżko i pomyślał o Martinie Constantinie i ukrytej kamerze, która nagrywała każdą chwilę. Myśli te sprawiły, że stał się brutalny jak nigdy dotąd.

Sięgnął do szuflady przy nocnym stoliku, wyjął torebkę z cieniutkiego papieru z kokainą i posypał jej naprężone sutki białym proszkiem. Kiedy wciągał go z jej piersi, wiła się pod nim z bólu.

Potem, kiedy błagała go, żeby ją zerznął, zrobił to twardo i z całej siły wcisnął w nią penisa. Następnie przewrócił ją na brzuch i wziął od tyłu – ignorując sprzeciwy i nagłe okrzyki bólu.

Miała świadomość, że sprawy nie toczą się tak, jak by chciała, więc szamotała się, by uciec przed jego bezlitosnym atakiem, ale on jej na to nie pozwalał i brutalnie ją ujeżdżał. Karał ją za to, że jest niewierną suką.

Czuł się silny i niepokonany. Był mężczyzną i oto znowu samica udowodniła, że wszystkie kobiety to kurwy.

Być może oprócz jego żony. Ale komu na niej zależało? Na pewno nie jemu.



Potem, kiedy bezlitośnie zerznął Nonę Constantine na każdy możliwy sposób, poinformował ją, że jest obrzydliwą prostytutką, siłą wyciągnął ją ze swojego pokoju i wyrzucił na schody.

Po twarzy widać było, że jest zszokowana. Wypchnął ją przez drzwi wejściowe i rzucił za nią ubrania od projektantów mody.

– Co takiego zrobiłam? – szlochała. Kiedy zatrzaskiwał za nią drzwi, twarz miała koloru szkarłatu.

Nie chciało mu się na to odpowiadać.

Czerpał satysfakcję ze świadomości, że nie będzie mogła się nikomu poskarżyć, nic nie może zrobić. Pieprzył ją na wiele sposobów.

Kiedy Armand pozbył się swojej zdobyczy, wciągnął jeszcze trochę kokainy i zawołał Fouada, który pracował na dole, w innym apartamencie.

– Chodź na górę – rozkazał Armand. – Natychmiast.

Fouad zjawił się błyskawicznie.

– Jak tam sprawa The Keys? – zapytał Armand od razu po jego wejściu.

– Pod twoimi drzwiami płacze na pół naga kobieta – zauważył Fouad, który bez trudu spostrzegł, że księżę ma na sobie tylko szlafrok, a pod nosem zostało mu nieco charakterystycznego białego

proszku.

Armand zażywał wciąż więcej koki, co martwiło Fouada, gdyż widział, że szef działa zupełnie irracjonalnie i robi się coraz bardziej humorzasty.

– Mam nadzieję, że ją zignorowałaś – powiedział Armand, zdecydowanym krokiem podążając ku ekskluzywnej łazience.

– Kto to jest? – spytał Fouad.

– Żona Martina Constantine'a – pochwalił się Armand. – Mówiłem ci, że mogę mieć każdą kobietę, jaką zechcę. Wszystkie są dziwkami.

Fouad wzruszył ramionami i poszedł za nim do łazienki. Dobrze znał gusty Armanda dotyczące kobiet. Prywatnie uważał, że są nie-normalne, ale nie odważyłby się czegokolwiek na ten temat powiedzieć. Uważał jednak, że Armand jest chory umysłowo, co w połączeniu z nadmiarem narkotyków stawało się właściwie niebezpieczne.

– To rozhisteryzowana suka. Zasłużyła na wszystko, co ją spotkało – powiedział Armand i zrzucił z siebie szlafrok. – Załatwiłem ją tak, że popamięta.

– Nie martwisz się, że powie mężowi?

– Nie bądź śmieszny, Fouad. Przyszła tu z własnej, nieprzymuszonej woli. Sama tego chciała. Błagała o to. A teraz wyjmij DVD z kamery, zrób dwie kopie i włóż je do mojego sejfu.

– Dobrze, Armandzie – przytaknął Fouad. Zrobi trzy kopie, a jedną zatrzyma dla siebie. Przezorny zawsze ubezpieczony. Zwłaszcza kiedy ma się do czynienia z kimś takim jak Armand.

– A The Keys? – zapytał ponownie Armand, bez cienia wstydu wchodząc nago do kabiny prysznicowej z czystego marmuru. – Co słyhać w tej sprawie?

– Wykonałem kilka telefonów – powiedział Fouad. Nie chciał mu mówić, że rozmawiał z prawnikiem właścicielki, który powiedział, że The Keys absolutnie nie jest na sprzedaż.

– Dlaczego to tak długo trwa? – warknął Armand obmywany wodą z czterech wielkich pryszniców.

– Powiedziałeś mi dopiero dwa dni temu, że chcesz to kupić – zauważył Fouad. – Czasem roztropnie jest uzbroić się w cierpliwość.

– Nie jestem człowiekiem roztroptym, Fouad. Ty powinieneś o tym wiedzieć najlepiej.

Fouad zauważył duży członek księcia i spróbował odwrócić wzrok, chociaż widział go już wiele razy. Książę, podobnie jak jego królewski ojciec, nie był wstydlivy.

– Rozumiem, Armandzie – powiedział spokojnie. – Wszystko mam pod kontrolą.

– To dobrze. – Armand skończył kąpiel i wytarł się energicznie ręcznikiem. – Jestem gotowy zapłacić każdą cenę.

– Oczywiście – przytaknął mu Fouad, bo łatwiej było się z nim zgodzić, niż się spierać.

– A jak tam twoja żona? – zapytał Armand, nagle zmieniając temat.

Fouad wahał się tylko przez chwilę; nie chciał rozmawiać o żonie. Dobrze wiedział, że Armand nie pochwalał jego małżeństwa z Amerykanką. Ale Fouad uwielbiał swoją żonę i dwójkę małych dzieci i nic, co Armand mógłby powiedzieć, nie było w stanie tego zmienić.

– Alison czuje się dobrze – odpowiedział ostrożnie.

– Jeszcze cię nie zdradziła? – spytał Armand z ironicznym uśmiechem.

Fouad twardo milczał.

– Wszystkie Amerykanki kiedyś w końcu zdradzają mężów – stwierdził Armand. – Popatrz na dziwkę, którą właśnie wyrzuciłem za drzwi. Jest klasycznym przykładem bogatej sukki, którą swędzi cipka.

Fouad postanowił zignorować wulgarne uwagi Armanda. Czasem nie mógł go zrozumieć. Przecież jego matka też była Amerykanką. Ale relacje Armanda z matką zawsze były trudne.

– Idź, załatwiał telefony – powiedział Armand i zniechęcony odprawił swego najważniejszego, lojalnego pomocnika. – Przed zachodem słońca chcę usłyszeć, że The Keys jest mój.

Rozdział szósty

Co tam dzisiaj słyhać? Coś wartego uwagi? – zapytała Denver zaprzyjaźnionego młodego detektywa, Leona. To on ją namówił, żeby przeszła do Wydziału Antynarkotykowego. Bardzo cieszyła się z tej decyzji i ogromnie ją przeżywała.

Leon był dość wyluzowanym Afroamerykaninem. Znakomicie radził sobie w pracy i pomógł Denver się zaaklimatyzować, kiedy tu przyszła. Byli kumplami i miała nadzieję, że to się nie zmieni, choć męczyło ją przecucie, że Leon ma ochotę umówić się z nią na randkę.

Proszę cię, tylko nie to, słyszała w głowie cichy głosik. Jestem zajęta. A w ogóle byłoby to bardzo krępujące.

Nie żeby Leon nie był atrakcyjny. Jak najbardziej był. Miał w sobie coś z luzu Willa Smitha i kobiety wciąż rzucały mu zachęcające spojrzenia. Denver często z nim się przekomarzała. Sprawiał wrażenie nieśmiałego, ale wiedziała, że w głębi duszy prawdziwy z niego ogier.

– Jest sprawa zakładnika – wyjaśnił Leon. – Meksykański dealer narkotyków chwycił swoje dziecko i zabarykadował się w domu z całym arsenałem broni. Zaraz tam jadę. Musieli zarządzić ewakuację okolicznych domów i zamknąć ulicę.

– I co jeszcze? – zapytała Denver, natychmiast zauważając, że mówi, jakby była kompletnie zblazowana. Nic zresztą dziwnego.

Ciągle coś się działo. Jak nie strzelanina, to inicjacja do gangu, morderstwo albo szaleńcza gonitwa samochodowa. Cały czas coś nowego. Nie do wiary, jaka była odizolowana od życia w swojej wypasionej firmie prawniczej w Beverly Hills, gdzie najciekawszą sprawą bywała obrona jakiejś hollywoodzkiej gwiazdeczki, która usiłowała się wymigać od więzienia za jazdę samochodem pod wpływem narkotyków, albo nudny lunch z klientem w restauracji Spago.

– Jeszcze ci mało, co? – spytał Leon z szerokim uśmiechem. – A dlaczego się spóźniłaś?

– No, więc...

– Przyjechał twój chłopak? – pytał dalej, opierając łokieć na jej biurku.

– Tak... – przyznała nieco zakłopotana. – Ale nie ma to nic wspólnego z...

– Seks o poranku – powiedział Leon, uśmiechając się jeszcze szerzej. – Właśnie to miałem na myśli.

– Przepraszam? – Udała, że nie ma pojęcia, o czym on mówi.

– Roztaczasz charakterystyczną aurę – dokuczał jej Leon. – Wprost promieniejesz.

A niech to! Wiedziała, że tak jest, ale nic nie mogła na to poradzić. Zawsze widać było po jej twarzy, że wcześniej uprawiała seks. Strasznie ją to irytowało.

– Muszę pracować – burknęła i włączyła komputer. – Więc jeśli...

– Już mnie nie ma – powiedział Leon i uniośł ręce w geście poddania. – Spadam. No to cześć. Adios.

– Uważaj na siebie.

– Jak zawsze.

Kiedy tylko Leon wyszedł, myślami powędrowała do Bobby'ego. To komiczne, ale zawsze, kiedy się rozdzielali, potrafiła myśleć tylko o nim. Jak jakaś małolata. Prawie jakby znowu chodzili do szkoły, a trudno przecież zapomnieć szkolne lata. Bobby Santangelo Stanisloupoulos, najbardziej lubiany chłopak w szkole. Gwiazdor futbolu,

najlepszy sportowiec i najlepszy uczeń w klasie. Wszystkie dziewczyny go pragnęły, ona też. Ale nigdy nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, nie wiedział nawet, że istnieje. A teraz, dziesięć lat później, jest jego dziewczyną. Czy to nie dziwne?

Przestań myśleć o Bobbym i bierz się do roboty.

No już dobrze, dobrze. Okay.



– Jak na siebie wstałaś bardzo wcześnie – powiedziała Lucky, przyglądając się córce, która właśnie wychodziła na taras. Dziewczyna zdumiewała długimi opalonymi nogami, młodym ciałem, nadal zaspanymi, zielonymi oczami i chmurą zwichrzonych włosów.

– *Hard day's night?* – zapytała Lucky, myśląc o tym, że stworzyli z Lenniem piękne dziecko. Ale Max nie była już dzieckiem, tylko gotową do wyfrunięcia z gniazda młodą kobietą.

– Co takiego? – wymamrotała Max.

– To piosenka Beatlesów.

– Oj, mamo, co za przedpotopowe cytaty – zachnęła się Max i ciężko usiadła na krześle.

– W takim razie dzień dobry – sucho odrzekła Lucy.

Max ziewnęła i sięgnęła po dzbanek z sokiem pomarańczowym.

– Co tam nabroiłaś wczorajszej nocy? – spytała Lucky.

– No nie, chyba mnie nie będziesz przepytывała, co? – Max rzuciła jej zde gustowane spojrzenie.

– A dlaczego? Masz coś do ukrycia? – odparła Lucky niezłe rozbawiona.

– Mówisz, jakby coś się dało przed tobą ukryć.

– No to super – powiedziała Lucky i pomyślała, że Max bardzo przypomina ją samą w tym wieku. Ruchliwa, pyskata, spragniona przygód, zdecydowana robić wszystko tak, jak chce, ale jeszcze nie do końca pewna siebie.

– Przepraszam. – Max wreszcie się ugięła. – Wieczór był kiepski.

– Nie szkodzi – odparła Lucky, stawiając na wyrozumiałość. – Á propos, wczoraj rozmawiałam z twoim bratem. Przesyła ci uściski.

– Bobby? – zapytała Max z ożywieniem.

– Nie. Gino junior. Wycieczka bardzo mu się podoba. Leonardowi też. Są właśnie w Szwajcarii i szaleją na nartach. Wygląda na to, że świetnie się bawią.

– A gdzie jest Bobby? – chciała wiedzieć Max, zastanawiając się, czy powiedzieć mu o Frankiem. Pewnie będzie wściekły, że zabrała Cookie i Harry'ego do River. Ale skąd miała wiedzieć, że to klub Frankiego? Przecież nie umie czytać w ludzkich myślach.

– Nie jestem pewna – zawahała się Lucky. – Ale wiem, że będzie na twoim urodzinowym przyjęciu w Vegas.

– Mamo... – odważyła się wykrztusić Max. – Myślałam o tym i nie jestem pewna, czy chcę tego przyjęcia.

– Nawet nie próbuj się wycofać – stanowczo powiedziała Lucky. – Kończysz osiemnaście lat. To ważne wydarzenie. Będą wszyscy: Gino, Lennie, Bobby...

– Czy Bobby przyjedzie z dziewczyną?

– Którą?

– Dobrze wiesz którą. Denver. Świata poza sobą nie widzą.

– Naprawdę? – rzuciła wymijająco Lucky.

– Ej! – roześmiała się Max. – Przecież wiesz.

– Właśnie że nie.

– No to jesteś jedyna. A twoim zdaniem po co Bobby wciąż jeździ do LA, skoro kluby ma w Vegas i w Nowym Jorku?

– Skąd wiesz, że ciągle jeździ do LA?

– No bo wiem.

Lucky przez chwilę milczała. Nie wiedziała, że Bobby z kimś się związał na poważnie. Zawsze uważała go za typ mężczyzny, który stale zmienia partnerki, tak jak kiedyś jego dziadek. Był dopiero po dwudziestce. Za młody, żeby brać na siebie obowiązki. Z Denver widziała się raz, ale nie zwróciła na nią zbytniej uwagi, ponieważ uznała, że podobnie jak wiele dziewcząt przed nią, nie na długo zagrzeje miejsce przy Bobbym. Najwyraźniej się myliła. Zatem jeśli

Bobby zabierze ją na przyjęcie Max, powinna się postarać ją poznać.

Najbardziej ją zdziwiło, że według Max Bobby często bywa w LA, a do niej w ogóle nie dzwoni.

Co to za dziewczyna? I jaki wpływ ma na Bobby'ego?

Najwyższy czas się tego dowiedzieć.



– A więc będziesz miał dziecko – powiedział Bobby, kiedy razem z M.J.-em szli w stronę szklanej windy w stylu art déco, którą wjeżdżało się na górę do Mood. – To dopiero coś. Tata M.J. Nie spodziewałem się, że coś takiego kiedykolwiek nastąpi!

– Tak – mruknął ponuro M.J. – Dziwne, co?

– Dziwne było to, że z dnia na dzień ożeniłeś się w Vegas – stwierdził Bobby. – Rodzina to naturalna konsekwencja. Ale co tam, najważniejsze, że się cieszysz.

– Bardzo – powiedział M.J. bez zastanowienia.

– Jesteś pewny? – zapytał Bobby, obrzucił M.J.-a szybkim spojrzeniem i stwierdził, że przyjaciel nie wygląda na zachwyconego.

– Jasne – M.J. lekko się zawahał, a potem dodał: – Jest tylko jeden drobiazg.

– Co takiego?

– Cassie nie chce teraz dziecka – szepnął. – Ciągle grozi, że dokona aborcji.

Bobby zmarszczył brwi.

– Wpuszczasz mnie w maliny?

– Niestety nie. I co ja mam z tym, do cholery, zrobić?

– Kurde, chłopie – powiedział Bobby i potrząsnął głową. – Skąd ja mam wiedzieć?

– Ciężka sprawa – przyznał M.J. – Jak nie wiem co.

– Masz jakiś pomysł?

M.J. bezradnie wzruszył ramionami.

– Gram twardego. Mówię jej, że jeżeli to zrobi, to już po nas.

– Poważnie?

- Na sto procent.
- No cóż – rzucił Bobby, którego na chwilę zatkało i nie wiedział, co powiedzieć. – Trzymam za ciebie kciuki. Chyba będziesz tego potrzebował.

Winda stanęła i weszli do recepcji Mood.

Bobby rozejrzał się po swoim klubie. Zawsze odczuwał satysfakcję, widząc, co osiągnęli z M.J.-em. Klub był elegancki i seksowny. Znajdowały się w nim przestronne przedziały z wyściełanymi skórą ławeczkami w kolorze przytłumionego złota, które sprowadzili z Włoch, brazylijskimi stołami z drewna, szklane przepierzenia z przydymionych lusterek i wymyślne oświetlenie podkreślone migotaniem światełek. A pośrodku był basen otoczony prywatnymi szałasami, w których można było zjeść kolację. Tam znajdowały się najlepsze miejsca w klubie. Do tego oczywiście najnowocześniejszy z możliwych system nagłośnienia – najlepszy, jaki w ogóle można było kupić. Całość miała klasę i styl. Można się tu było naprawdę dobrze bawić.

Od chwili otwarcia Mood był ulubionym klubem najwybitniejszych gości z Hollywood, zamożnych tubylców z Las Vegas i osobistości show-biznesu, które przychodziły tu odpocząć po skończonych występach. Turystom trudno się tu było dostać. Dewizą gości Mood była prywatność.

Tak, Mood był absolutnie na topie.

– Pamiętasz Sukie z naszej szkoły? – odważnie ciągnął M.J., kierując się w stronę baru. – Dziewczynę, której zrobiłem dziecko?

– Okazało się, że to był fałszywy alarm, prawda? – powiedział idący za nim Bobby.

– Hmm, właściwie nie – M.J. się zawahał. – Nie mówiłem ci, bo wyjeżdżałeś do rodziny ojca, do Grecji. Poza tym Sukie kazała mi przysiąc, że nikomu nie pisnę.

– No wiesz, trzeba było mi powiedzieć. – Bobby spoważniał. – Wiesz, że na pewno bym ci pomógł.

– Tak, wiem – stwierdził M.J., wszedł za bar i otworzył jedną z lodówek. – Ale musieliśmy działać szybko, bo Sukie była już prawie

w czwartym miesiącu.

– I co zrobiliście? – spytał Bobby i przycupnął na stolku barowym.

– Woźny w szkole powiedział nam o „położnej w śródmieściu” – kontynuował M.J. i wyjął kilka puszek dietetycznej coli. – Powiedział, że załatwi sprawę za pięćset dolców. I wszystko będzie z głowy. – Pchnął puszkę po blacie w stronę Bobby'ego.

– I? – spytał Bobby, otwierając puszkę.

– Pojechaliśmy do rudery w zakazanej okolicy, a tam jakaś stara Chinka zaprowadziła Sukie do czegoś, co nazwała swoją salą operacyjną, i zażądała kasy.

– Jejku! Skąd w ogóle tyle mieliście?

– Rano ukradłem staremu z komody. Nie miałem jak inaczej zdobyć forsy.

– I co potem?

– Po pierwsze oboje prawie robiliśmy w gacie ze strachu.

– Jasna sprawa.

– W każdym razie podałem jej gotówkę i czekałem. Po jakimś czasie starucha weszła do pokoju, gdzie byłem. Tym razem miała ze sobą wielkie wiadro, a w środku było martwe dziecko. I pokazała mi je, jakby to była jakaś cholerna nagroda albo coś. „Widzisz”, powiedziała, jakby była z tego dumna. „Już po wszystkim”.

– Ja pierdołę!

– Dobrze powiedziane. Przysięgam, że nigdy nie zapomnę tego widoku, Bobby. Flaki się we mnie wyróciły. – M.J. pokręcił głową, jakby nie mógł znieść tego wspomnienia. Po długiej chwili znowu się odezwał. – Zwiewałem stamtąd jak oparzony. Wsadziłem Sukie do samochodu, ale po drodze dostała strasznych bólów. Spanikowałem i zadzwoniłem do ojca. Zabrał ją do szpitala. Chyba uratował jej życie. – Znow długa chwila milczenia. – Nigdy nie zapomnę tego dziecka – ze smutkiem dodał M.J. – To był chłopiec, mój chłopiec. Jego widok został mi w oczach na zawsze.

– Nie mogę uwierzyć, że nigdy dotąd mi o tym nie opowiedziałeś.

– To zbyt bolesna sprawa, Bobby. Za bardzo się wstydzilem tego, co zrobiłem.

– Rozumiem. Ale musisz o tym opowiedzieć Cassie. Wytłumaczyć jej, co czujesz.

– Nie ma mowy. Ona by tego nie zrozumiała. – M.J. energicznie pokręcił głową. – A ty nikomu o tym nie opowiadaj.

– Ejże, stary – przerwał mu Bobby. – Byłeś szczeniakiem. Miałeś szesnaście lat. Nie wiedziałeś, co robisz. Nie masz powodu czuć się winny.

– Pewnie tak – z żalem przytaknął M.J. – Ale do tej pory dostaję mdłości, kiedy pomyślę o tym, co zrobiliśmy. To nie było w porządku, po prostu nie było w porządku.

– Rozumiem. – W głowie Bobby'ego słychać było współczucie.

– Muszę z tym żyć – skwitował M.J. i stanowczo dodał: – Ale nie pozwolę, żeby to się kiedykolwiek powtórzyło.

– Więc powinieneś opowiedzieć o tym żonie – nalegał Bobby. – Kiedy usłyszysz tę historię, zrobi, co trzeba.

– Nie znasz Cassie.

– Zmusz ją, żeby cię wysłuchała. Moim zdaniem nie masz wyboru.

Rozdział siódmy

Lunch był dla Armanda codziennym rytuałem. Zawsze wybierał inną restaurację i inną osobę, z którą jadł posiłek. I zawsze płacił rachunek. Armand nie chciał mieć wobec nikogo zobowiązań. To on rządził i nikt nie mógł mieć co do tego wątpliwości.

Dziś cieszył się z lunchu bardziej niż kiedykolwiek, ponieważ jego gościem był Martin Constantine. Co za satysfakcja siedzieć naprzeciwko niego i przypominać sobie, jak się zabawiał z jego piękną, niewierną żoną – nierządnicą.

Występowali przeciwko sobie z Martinem przy najróżniejszych transakcjach i przeważnie Armandowi udawało się wygrywać. Ale ostatni interes poszedł po myśli Martina, co Armanda doprowadziło do furii. Dlatego zapragnął uwieść jego żonę. Satysfakcjonująca kara dla rywala w interesach. Świadomość, że miał jego żonę we wszystkich pozycjach seksualnych, jakie tylko mu przyszły do głowy.

Martin Constantine był nowojorczykiem po sześćdziesiątce, o obrzmiałej, rumianej twarzy, słabo zarysowanej brodzie i czerwonych obwódkach wokół oczu. Ponadto był miliarderem, choć Armand podejrzewał, że tylko na papierze.

Mężczyźni podali sobie dłonie i usiedli przy stoliku w rogu sali. Martin przyszedł na ten lunch tylko dlatego, że nurtowało go, czego to Armand może od niego chcieć. Na pewno czegoś chciał, ponieważ absolutnie nie byli przyjaciółmi. Można by ich raczej nazwać

uprzejmie nastawionymi do siebie wrogami. Nie żeby Martin uważał Armanda za uprzejmego – tak naprawdę w ogóle go nie znosił. Czuł odrazę do zachowania Armanda, pokazywania się z coraz to inną kobietą u boku, dawania wszystkim do zrozumienia, że na rynku powinny liczyć się tylko jego nieruchomości, bo wszystkie inne to mierzwa. A Martin był przekonany, że jego firma, Constantine Developments, mogłaby niezauważenie i bez większego wysiłku finansowego kupić i sprzedać Jordan Developments.

Lunch przeszedł bez zakłóceń. Trochę plotek. Trochę rozmów o interesach. Pogardliwa pogawędka o karierze telewizyjnej Donalda Trumpa i komentarze, że żaden z nich nie upadłby aż tak nisko. Reality show są dobre dla wieśniaków, nie dla poważnych ludzi.

Armand miał nieodparte wrażenie, że Martin dałby sobie odciąć palec za popularność Donalda Trumpa i bardzo go podziwiał, ale nigdy się do tego nie przyzna.

Przy kawie Armand zastanawiał się, czy nie powiedzieć mu, co robił rano. Miał na to wielką ochotę, ale zdawał sobie sprawę, że rozważniej jest poczekać, aż będzie czegoś od Martina potrzebował.

– Jak się czuje pana piękna żona? – zapytał, kiedy podnieśli się, by wyjść. Rano ją bzykałem. Wcisnąłem jej fiuta do tyłka, aż krzyczała, jakby ktoś ją mordował. Zgwałciłem ją na każdy możliwy sposób. Była zachwycona. Robiłem jej rzeczy, na które ty nigdy byś się nie odważył.

– Nona jest fantastyczną kobietą – pochwalił się Martin. – Mam wielkie szczęście, że ją znalazłem. Jest światłem mojego życia. – Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej. – Powinien się pan ożenić. Zdziwiłby się pan, jak cudownie jest być z jedną kobietą.

– Tak – powiedział Armand z kamienną twarzą. Dowiedział się, że zanim Martin „znalazł” Nonę, pracowała jako prostytutka w Amsterdamie. Miał swoich szpiegów. – Jestem pewien, że małżeństwo to czcigodna instytucja.

Na pożegnanie podali sobie dłonie. Armand wszedł do mercedesa i uśmiechnął się do siebie. Martin Constantine to stary dureń. Rozwiódł się z żoną, z którą był trzydzieści lat, i ożenił z prostytutką.

Miał satysfakcję, że mu o tym nie powiedział.

I nie powie. Do czasu, aż będzie mógł to wykorzystać.



Później tego samego dnia Armand wezwał Fouada do swojego gabinetu.

– Jak się ma sprawa The Keys? – zapytał ostro, po czym oparł się na skórzanym biurowym krześle i zaczął niecierpliwie bębnić palcami o blat biurka.

Fouad milczał przez chwilę. Wiedział, że Armand zaraz dostanie ataku furii i będzie wrzeszczał. Miał takie wiadomości, że było to nieuniknione.

– Niestety... – zaczął Fouad.

Armand zmiażdżył go wzrokiem.

– Niestety? – spytał, a oczy zrobiły mu się wąskie jak szparki. – Powiedziałeś: nieestety?

– Tak – potwierdził Fouad, a na czole pojawiły mu się kropelki potu. – Niestety dowiedziałem się, że The Keys nie jest na sprzedaż.

Nastąpiła chwila śmiertelnej ciszy, po czym Armand zaczął wrzeszczeć.

– Co to znaczy, że nie jest na sprzedaż?! – krzyczał i walił pięścią w biurko. – Wszystko jest na sprzedaż. Każdy człowiek, budynek, wszystko na świecie.

Fouad milczał. Nie miał nic do dodania.

– Kto ci powiedział, że nie jest na sprzedaż? – ciągnął Armand. – Co za osioł wygaduje takie głupoty?

– Prawnik właściciela, który zarządza The Keys, Jeffrey Lonsdale.

– Jakiego właściciela? The Keys nie ma właściciela, należy chyba do jakiejś firmy. A firma zawsze gotowa jest na sprzedaż. Mnie. Zapłacę, ile będzie trzeba, Fouadzie. Słyszysz? Ile tylko będzie trzeba.

Typowe zachowanie Armanda, pomyślał Fouad. Pokaż mu coś,

czego nie może mieć, a poruszy niebo i ziemię, żeby to zdobyć. Fouad przypomniał sobie przypadek prostytutki o dziecięcej twarzy, z której usług Armand czasem korzystał. Pewnej nocy jej zapragnął, ale okazało się, że odeszła z pracy i poślubiła gwiazdę rocka. Armand był wściekły. Chciał ją mieć i już. Ułożył skomplikowany plan, który polegał na tym, że rockmana umówił z opłaconą prostytutką i tak zaaranżował sprawę, żeby dziewczyna przyłapała ich i zobaczyła, że mąż ją zdradza. Potem zabrał ją samolotem do Nowego Jorku na pojednawcze bzykanko. Kosztowało go to mnóstwo pieniędzy, ale było warto.

– The Keys należy do prywatnej firmy. A jej właścicielką jest kobieta, Lucky Santangelo – powiedział Fouad. – Rozmawiałem z jej prawnikiem, który poinformował mnie, że nie sprzedaje tego kompleksu za żadną cenę.

– Kobieta – pogardliwie stwierdził Armand. – Nędzna kobieta. – Z obrzydzeniem pokręcił głową. – Widzę, że muszę się tą sprawą zająć osobiście. Jutro lecę do Akramsza na urodziny ojca, a kiedy wrócę, pojedę do Vegas lub gdziekolwiek ta Santangelo będzie, i zobaczysz, że ją przekonam, żeby mi sprzedała The Keys. Umów nas na spotkanie. I dowiedz się o niej, czego trzeba. Czasami dziwi mnie twoja fajtlapowatość. Wychodzi na to, że jeśli niektórych rzeczy sam nie zrobię, po prostu leżą odłogiem. Może to małżeństwo z Amerykanką stępiło twój zmysł do interesów. Żona odebrała ci rozum, zresztą i tak był kiepski.

Armand znów dyskredytował jego małżeństwo. Fouad był za to na niego wściekły. Wiedział, że pewnego dnia, być może już niedługo, od niego odejdzie. Ale zanim to zrobi, musi w ciszy znosić obelgi, jakimi szef obrzuca jego żonę i małżeństwo.

– Dobrze, Armandzie – powiedział jak zawsze spokojnie i uprzejmie. – Załatwię wszystko, co jest związane z naszym lotem do Las Vegas.

– Zamów dla mnie apartament prezydencki w The Keys – rozkazał Armand. – Wkrótce i tak wszystko tam będzie moje.

Rozdział ósmy

Kiedy Frankie Romano zwłókł się ze swojego ogromnego łóżka zaścienionego małą oryginalną pościelą z czarnej satyny i spojrział w lustro nad umywalką w łazience, było już południe. Uznał, że przystojny z niego skurczybyk. Nie w sensie klasycznym, ale ma arogancki, pewny siebie styl, no i umie się dobrze zaprezentować. A na pewno wie, jak zdobywać kobiety. O, tak! Frankie Romano jest samcem pierwsza klasa i nikt nie może temu zaprzeczyć.

Wczorajszego wieczoru dał megapopis z Cookie, seksowną córką Gerarda M., nastolatką z prawdziwymi cyckami i prawdziwym entuzjazmem, nie jakąś zmęczoną hollywoodzką dwudziestoparolatką, która zaliczyła więcej napalonych kutasów niż ciepłych obiadów. O nie – Cookie to całkiem coś innego – prawdziwa perła.

Frankie przeszedł do salonu, gdzie królowały chrom i skórzane meble, a duże, sięgające do podłogi okna wychodziły na Sunset Strip. Na lustrzanym stoliku do kawy usypał kilka ścieżek koki i zrolował dwudziestodolarowy banknot.

A może żyje w jakimś śnie, czy coś w tym stylu? Po rozpadzie wieloletniego związku z Annabelle Maestro, z którą nawet mieszkali razem, uważał, że na jakiś czas ma wszystkiego dosyć. Ale kiedy zobaczył, że Annabelle bryluje w telewizji, wkurzył się i odnowił przyjaźń z byłym idolem nastolatków, Rickiem Greco, który wykorzystał znajomości z zakończonej już kariery i zajął się promowaniem

klubów.

- Musimy razem otworzyć klub – powiedział Frankie Rickowi.
- Podbijemy miasto. Twoim zdaniem kto wylansował nowojorski klub Bobby'ego Santangelo? Ja, do cholery. Nikt inny, tylko ja.

Co wcale nie było prawdą, ale co mu tam? Frankie umiał po mistrzowsku zmyślać. Tak naprawdę był u Bobby'ego tylko didżejem. Miał jeszcze lukratywną fuchę jako dealer wypasionych narkotyków, no i bardzo udany interes sutenerski, który prowadził z Annabelle. Niestety wszystko to w końcu mu się z hukiem zawałiło. Na szczęście był Frankiem Romano i nic nie było w stanie pozbawić go pewności siebie.

Rick Greco uznał wejście w spółkę z Frankiem za niezły interes. Frankie był wygadany i miał bujną osobowość, a w klubie potrzeba faceta, który zawsze będzie na miejscu, wszystkich zna i z każdym zagada, żeby ludzie czuli się ważni.

Frankie nie wszystkich znał, ale szybko się uczył. W każdym razie na pewno znał się na klubach. Rick zebrał więc grupę inwestorów i tak narodził się klub River. Był nowy, ale Frankie miał pewność, że zrobi z niego klub tej klasy, co Mood w Nowym Jorku i w Vegas. Niech Bobby i M.J. się pieprzą. Obaj opuścili go akurat wtedy, kiedy ich potrzebował. Bobby mościł sobie gniazdko z zastępczynią prokuratora, a M.J. ze swoją seksowną żoneczką. Do cholery z nimi.

Niestety Rick nie zrobił go pełnym współnikiem. Nie miał na to dobrego wytłumaczenia. Mówił, że nie może tak postąpić, ponieważ Frankie nie zainwestował w klub pieniędzy. Musiał się zatem zadowolić procentem od dochodów. Wkrótce jednak znalazł sposób, żeby sobie na boku dorobić.

Bardzo się ucieszył, kiedy zobaczył Max Santangelo. Zawsze podobała mu się przebojowa siostra Bobby'ego. Ale kiedy wyczuł, że nic u niej nie załatwi, skupił się na jej ślicznej przyjaciółce – co nie było wcale najgorszym rozwiązaniem, bo ojciec Cookie był słynną ikoną muzyki soul. Nazywał się Gerald M.

Frankie szybko zrozumiał, że jeśli zacznie chodzić z Cookie, tabloidy natychmiast to wyłapią i on także trafi na łamy szmatławców.

Taki był plan.

A Frankie lubił mieć plan.



– Powiem ci, co robię w najbliższych dniach. – Lucky zwróciła się do Max. – Jutro lecę do Vegas i zostanę tam aż do twojego przyjęcia urodzinowego. W piątek mam naradę inwestorów i różne inne sprawy.

– Nieźle się zabawisz.

– Nie masz co się tak ze mnie nabijać. Kiedyś sama zrozumiesz, jaka to przyjemność prowadzić własny interes.

– To nie dla mnie – powiedziała Max i pokręciła głową.

– W takim razie co chcesz w życiu robić? – zapytała Lucky nieco wzburzona, że Max nie wykazuje się zbyt dużą przedsiębiorczością.

– Nie wiem – stwierdziła Max. – Pożyjemy, zobaczymy.

Jasne, pomyślała Lucky. Na pewno zobaczysz. Życie nie zawsze jest takie proste, jak się wydaje.

– W każdym razie w komputerze masz trzy bilety elektroniczne do Vegas na czwartkowy lot o piątej dla ciebie, Cookie i Harry'ego. – Zamilkła na chwilę. – Jesteś pewna, że chcesz być w domu całkiem sama?

Czy chcę być sama? – pomyślała Max. Będzie super, do jasnej cholery. Sama sobie urządzę imprezę. Bez rodziców. Bez służących. Przedemną wielkie zielone światło. Nie mogę się doczekać.

– Mamo – prychnęła lekceważąco. – Przecież to tylko jedna noc. Tyle chyba sama wytrzymam.

– A będzie Ace? – zapytała Lucky.

Dlaczego ona zawsze się tak czepia tego Ace'a? Czy uważa, że Ace ma na nią jakiś zbawienny wpływ?

– Nie wiem – mruknęła. – Może.

– Powinnaś go zaprosić na swoje urodziny w Vegas.

– Jasne – powiedziała Max, czytając jednocześnie SMS-a od Harry'ego. – Zaproszę.

– Jeśli chcesz trochę odpocząć, przyjeźdź do Vegas przed czwartkiem – zaproponowała Lucky. – Dobry pomysł?

– Nie rób sobie kłopotu. – Max pomyślała, że za nic w świecie nie ma na to ochoty. – Chcę pobyć sama. Będę się mogła zastanowić nad swoją przyszłością.

– Aha – odparła Lucky. – Nad przyszłością...

– No tak, mam, nad przyszłością. Możemy o tym teraz nie mówić?

– Nadal chcesz się przeprowadzić do Nowego Jorku?

– Może tak, może nie – odpowiedziała Max wymijająco. – Już ci mówiłam, że muszę się nad tym zastanowić.

– Na sto procent nie chcesz iść na studia?

– Ty nie studiowałaś – powiedziała Max poirytowana, że Lucky ciągle o tym mówi. – To dlaczego ja miałabym to robić?

– Były inne czasy – zwróciła uwagę Lucky.

– No tak. Ciemne średniowiecze – stwierdziła Max i przewróciła oczami.

Lucky pokręciła głową. Nie ma co się denerwować. Nic się tym nie osiągnie.

– Dziwnym trafem – powiedziała z kamienną powagą – w tych ciemnych czasach mieliśmy telefony i zamiast wysyłać SMS-y, rozmawialiśmy. Wyobrażasz to sobie?

– Ale czad – wycodziła Max.

Smarkuła, pomyślała Lucky. Rozpieszczona smarkuła z Beverly Hills. Ale to moja smarkuła i kiedyś wydorosłeje, tak jak to było ze mną.

– Lecę – rzuciła Lucky, podnosząc się z krzesła. Odgrywanie zamartwiającej się matki nie zawsze jej odpowiadało. Kochała swoje dzieci, ale kiedy osiągną pewien wiek, najlepiej pozwolić im odfrunąć. – Będziesz w domu na obiedzie?

– Chyba nie – odpowiedziała Max. – Umówiłam się z Cookie i z Harrym.

– Okay. W takim razie zobaczymy się rano przed moim wyjazdem. Aha... Gdyby Bobby się do ciebie odezwał, powiedz mu, żeby

do mnie zadzwonił.

– Dobrze.

Max zaczekała, aż Lucky zniknie jej z oczu, a potem zadzwoniła do Harry'ego.

– Jutro robię u mnie w domu imprezę – oznajmiła. – Roześlij wici i zwiń od ojca jak najwięcej trunków. Jasne?

Harry od razu załapał, o co chodzi.



Raz na kilka miesięcy Lucky jadła lunch ze swoim starym przyjacielem – nieprzewidywalnym, legendarnym reżyserem, Alexem Woodsem. Łączyła ich przeszłość, wieloletnia przyjaźń i jedna noc nieokielznanej namiętności wiele lat temu, kiedy Lennie zaginął, a Lucky myślała, że nie żyje. Alex cały czas się w niej kochał, a ona o tym wiedziała, ale nie chciała tracić przyjaciela. Był lojalny, zwiariowany, miał niewiarygodny talent, a kiedy chciał, potrafił być stanowczy i szczery. W tamtych czasach była właścicielką Panther Studios i razem wyprodukowali film, a kiedy wzięła się do budowy The Keys, Alex został jednym z jej głównych inwestorów.

Gdyby nie było Lenniego, związałyby się z Alexem i oboje zdawali sobie z tego sprawę, choć nigdy o tym nie rozmawiali. Tymczasem Alex umawiał się z Azjatkami. Przychodziły i odchodziły. Czasem któraś była z nim dłużej niż kilka tygodni. Nie zależało mu na nich. Jego pasją, podobnie jak Lenniego, było kręcenie filmów. Kobiety i romanse były na drugim miejscu. Oczywiście poza Lucky, która w jego oczach z każdym rokiem robiła się coraz piękniejsza.

Przyglądał się jej, kiedy wchodziła do restauracji Mr Chow. Miała na sobie białe spodnie, zwykły żakiet i mnóstwo złotej biżuterii w cygańskim stylu. Poruszała się zwinnie jak pantera, jej ciemne oczy lśniły, a charakterystyczne czarne loki były jak zawsze niesforne. Alex wstał od stolika.

– Co za dżentelmen – zadrwiła, kiedy ruszył w jej stronę i pocałował ją w oba policzki. Chłonał egzotyczny zapach perfum, któ-

rych zawsze używała. – Jak się masz, Alex? – zapytała i usiadła. – Ciężko pracujesz?

– A jak myślisz? – odparł z wymuszonym uśmiechem. – Opracowujemy film wojenny, który właśnie nakręciłem w Maroku, i montażysta doprowadza mnie do szału. Wielokrotnie przekroczyliśmy budżet i w studiu się wściekają. Niech ich szlag.

– A ty jesteś z niego zadowolony? – spytała, wpatrując się w jego twarz. Nie wyglądał najlepiej. Trochę za dużo pił i zdecydowanie za dużo palił, co bardzo mu szkodziło. Był jednak wciąż bardzo atrakcyjnym mężczyzną i ogromnie go kochała – jako przyjaciela.

– Czy kiedykolwiek jestem z czegoś zadowolony? – powiedział i uniósł szklanekę Jacka Danielsa. – Przecież mnie znasz, Lucky. Chyba lepiej niż ktokolwiek.

– Nie za wcześnie na takie mocne trunki? – Lucky wskazała na drinka.

– Jezu! – zawołał Alex. – A od kiedy to jesteś przedstawicielką AA? Gderanie na temat picia zostaw moim dziewczynom, uwielbiają na ten temat zrzędzić.

– Miłe babki.

– Miła babka to ostatnia rzecz, jakiej teraz szukam.

– W takim razie – energicznie wtrąciła Lucky – daj sobie spokój z aktorkami i poszukaj dziewczyny, czyli kobiety, z którą możesz stworzyć solidny związek. Najwyższy czas, żebyś przestał uganiać się za dziewczynami.

– Uwierz mi, kochana, to one uganiają się za mną – stwierdził oschle.

– Nie mów do mnie: kochana.

– Dlaczego?

– Zachowaj to dla dziewczyn na jedną noc.

– Byłaś jedną z nich.

– Alex! – przerwała, obrzucając go morderczym spojrzeniem.

Wypuszczał się na teren zakazany i ani trochę jej się to nie podobało.

– No dobra, rozumiem – powiedział i łyknął Jacka.

Lucky zamówiła butelkę wody Evian i pochyliła się nad stolikiem.

- Opowiedz mi o swoim filmie.
- Nie chcę cię zanudzać.
- Ale dlaczego miałbyś mnie zanudzać, Alex?
- Bo dobrze wiesz, co powiem.
- To znaczy?
- Uraczę cię historyjkami o tym, jakimi dupkami są moi aktorzy.
- To po co ich zatrudniasz?
- Nie mam wyboru. Niestety są mi potrzebni.
- Co za uciążliwość!
- Tak. Wolałbym roboty. – Uśmiechnął się cynicznie.
- Coś takiego!

Alex się uśmiechnął. Nieważne, w jakim był nastroju, Lucky zawsze udawało się poprawić mu humor.

- Słyszałeś, że Venus rozwodzi się z Billym? – zapytała.
- Myślisz, że mnie to dziwi? Praca z Billym była jak wspinaczka w Himalajach bez pomocy szerpów. Głupi kutas, pierdoła, jakich mało.

Lucky roześmiała się.

- Ale bije rekordy kasowe. Ludzie go uwielbiają.
- Dobrze wiemy, że ludzie są pozbawieni gustu.
- Właśnie to mi się w tobie podoba, Alex.
- Wiedziałem, że musi istnieć coś takiego – powiedział, krzywiąc się w uśmiechu.
- Niczego nie owijasz w bawełnę.
- No właśnie, Lucky. Nie lubię pleść dyrdymałów.
- Jesteś wyjątkowy.
- Trafiał swój na swego – mruknął i skinął na kelnera, żeby mu przyniósł następnego drinka. – A jak tam Lennie?
- Dobrze.
- Szkoda. – Westchnął z rezygnacją. – Miałem nadzieję, że spadł w jakąś przepaść.
- Przestań! – powiedziała ostro.
- Przecież wiesz, że to tylko gadanie – odparował. – Coś takiego nigdy się nie zdarzy.

Popatrzyli sobie w oczy, długo i poważnie, aż Lucky pierwsza odwróciła wzrok.

- Okay – zgodziła się. – W takim razie zapraszam cię do Vegas.
 - Cholernie nienawidzę Vegas – porywczo sprzeciwił się Alex.
- Zwłaszcza po tym, co zrobiła Ling.

Lucky przypomniała sobie Ling, dziewczynę, która mieszkała z Alexem, a do niej wysyłała listy z pogrózkami i knuła, jak ją zastrze-
lić. Cała ta historia wydawała się nieprawdopodobna, ale kiedy Alex przyłapał Ling na tym, że na uroczystości otwarcia The Keys ma w torebce jego pistolet, całkiem mu odbiło i z hukiem ją wyrzucił.

– Chcę cię zaprosić z dwóch powodów – zaczęła mówić Lucky tak przekonującym tonem, jak tylko potrafiła.

- Strzelaj – powiedział Alex. – Spróbuj mnie namówić.
- Powód pierwszy. W przyszły weekend są urodziny Max i urządzam dla niej przyjęcie. Wiesz, że bardzo by chciała, żebyś był. Przecież znasz ją od urodzenia.

Alex jęknął.

- Szantaż – stwierdził bez ogródek. – Szantaż emocjonalny.
- Ależ skąd – ucięła Lucky.
- A drugi powód?
- Spotkanie wszystkich inwestorów The Keys.
- Jezu. Wyślę mojego managera. To on zajmuje się tego typu szajsem.

– Jestem pewna, że Max bardzo by się ucieszyła, widząc go, ale ja spodziewam się ciebie.

– A Lennie będzie? – spytał Alex, rzucając jej wymowne spoj-
rzenie.

- Oczywiście.
- Co to dla mnie za zachęta?
- Przestań, Alex. Zrobisz to dla mnie. Okay?
- Cokolwiek szefowa każe.
- Pieprz się, Alex.
- Z tobą zawsze, Lucky.
- Więc przyjedziesz?

Uśmiechnął się lubieżnie.

– Pod warunkiem...

Lucky zignorowała podtekst.

– Wynajmę dla ciebie apartament. Tylko mnie nie zawieź.

– Jezu Chryste! Ale jesteś apodyktyczna – żalił się. – Ale chyba przyjadę. Dla ciebie zrobię wszystko.

– Dzięki, Alex.



Kiedy tylko Max upewniła się, że Lucky wyszła z domu, zaczęła wysyłać SMS-y do znajomych, żeby ich zaprosić na swoją imprezę w Malibu. Co tam Vegas, urządzi sobie własne balety. Dom ma tylko dla siebie, więc będzie niezła balanga.

Zaprosić czy nie zaprosić Ace'a – oto jest pytanie. Nie wiedziała, co zrobić. Ace potrafił być świetny albo, jak podkreślali Cookie i Harry, strasznie dyktatorski. Poza tym przecież się w nim nie kochała.

Max tylko raz wydawało się, że jest zakochana. W szkole średniej. Chłopak nazywał się Donny Leventon i złamał jej serce. Była zdruzgotana i rozczarowana.

Nikomui nigdy nie powiedziała o swoim zranionym sercu. Naśmiewała się z tego, że przyłapała go z dziewczyną i to jeszcze gdzie – w Houston.

Miała wtedy szesnaście lat, a Donny siedemnaście. Nigdy ze sobą nie spali, choć robili mnóstwo innych rzeczy. Podobały jej się eksperymenty z seksem, ale pójście na całość zarezerwowała do czasu, kiedy znajdzie Tego Jedyneho.

Odkrycie, że Donny spotyka się z inną dziewczyną, było dla niej szokiem. W desperacji zaczęła szukać w internecie kogoś, z kim mogłaby stracić dziewictwo – nieważne, czy byłby Tym Jedynym, czy też nie. Umówiła się z dwudziestodwulatkiem, który zamieścił w sieci bardzo seksowne zdjęcie. Spotkali się w barze Big Bear, ale przystojniak ze zdjęcia okazał się brzydalem i zбочeńcem, który porwał ją i zamknął w opuszczonej chatce w lesie.

Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Dzięki Bogu, w samą porę zjawił się Ace i ją uratował.

Nie była w nim zakochana. Troszeczkę go lubiła, co było w porządku, bo nie mieszkał w LA. Nie spali ze sobą, ale tak jak z Donnym, robiła z nim wiele innych rzeczy.

Tak, nadal była dziewicą, co zaczynało być wstydliwe, zwłaszcza że Cookie spała z całą armią facetów i ciągle się nimi chwaliła.

Ale ona to nie Cookie i nie chciała być nią.

Czekała – ale na co?

Sama nie wiedziała, ale kiedy to się wydarzy, na pewno będzie super.

Rozdział dziewiąty

Skoro Bobby wyjechał do Vegas, Denver postanowiła spędzić wieczór w domu sama. Przy nim czuła się szczęśliwa, ale czasami lubiła być sama.

Jestem całkiem zdezorientowana, pomyślała. Kocham go, ale nie chcę go kochać. Boję się zranienia. Nie chcę wystawiać się na ciosy.

ALE GO KOCHAM!

Chciała zadzwonić do Carolyn, ale potem przypomniała sobie, że przyjaciółka poszła na lesbijską randkę. To dopiero rozwiązanie! Carolyn nigdy nie zdradzała zainteresowania tą samą płcią, ale w końcu każdy ma swoje sekrety... i jeśli naprawdę chce być lesbijką, niech i tak będzie.

Włączyła telewizję i obejrzała wiadomości. Pełno w nich było o obłąkaniu zabarykadowanego w domu Meksykanina i jego dziecka. Denver miała nadzieję, że Leonowi nic nie jest. Bardzo go polubiła, a przecież wiadomo, jak niebezpieczne jest spotkanie z wariatem, który ma broń. Do tej pory pracowała z Leonem nad kilkoma sprawami – obie miały związek z narkotykami i obie wygrali. Stanowili dobrą drużynę. On łapał złoczyńców, a ona ich oskarżała. Teraz Leon był na tropie handlarzy narkotyków. Miał nadzieję, że doprowadzi go to do grubych ryb. Jeśli mu się uda, będzie miała do zrobienia coś naprawdę ważnego.

Otworzyła drzwi zamrażarki i przejrzała jej zawartość. Lody,

mrożona pizza, pół paczki wafli i trochę sosu do spaghetti w plastikowym opakowaniu z podejrzaną warstwą lodu na górze.

A niech to! Nic, co miałyby ochotę zjeść na kolację. Może lepiej przejdzie się do baru z burgerami przy Santa Monica.

Amy Winehouse popatrzyła na nią, jakby chciała powiedzieć: „Idziemy na spacer? Potrzebuję trochę ruchu”.

– Tak – powiedziała Denver na głos, odwzajemniając jej smutne spojrzenie. – Idziemy na spacer.

Amy pomachała ogonem. Świetnie rozumiała angielski.

Denver szybko wskoczyła w jeansy, koszulę w szkocką kratę i tenisówki, chwyciła smycz Amy i wyruszyły.

Suczka była w świetnej formie. Szybko ciągnęła ją ulicą. Kiedy dotarły do baru, Denver była zdyszana. Zatrzymała się na chwilę i stwierdziła, że powinna pochodzić na gimnastykę.

Ach! Gdyby tylko miała więcej czasu. Przeważnie siedziała w pracy, a resztę czasu zajmował jej Bobby. Nie żeby narzekała. Noce i weekendy z Bobbym były cudowne. Ale weekend w Vegas z jego rodziną to już trochę za dużo.

– Denver?

Ktoś wymówił jej imię i odwróciła się w stronę głosu.

– Sam?

Oboje uśmiechnęli się, a potem wybuchnęli śmiechem.

– A co ty tutaj robisz? – zapytała i przypomniała sobie, kiedy ostatnio widziała się z Samem, kolegą z Nowego Jorku, który pisał scenariusze. Był szczupły, miał krzywe zęby i rozbrajający uśmiech. Stał pod jej drzwiami w LA, kiedy wrócili z Bobbym z Waszyngtonu, gdzie ratowali Carolyn. Po prostu czekał tam ze spakowanym plecakiem i pełną nadziei miną. Zdumiała się, bo przecież nie był jej chłopakiem. Razem spędzili jedną upojną noc w jego nowojorskim mieszkaniu i wspólnie zjedli potem pyszne śniadanie. Na tym koniec.

Kiedy Bobby wyszedł, zaprosiła Sama na drinka, powiedziała mu, że właściwie kogoś ma, i od tamtej pory nie rozmawiali ze sobą.

– Kręcą film według mojego scenariusza – powiedział Sam, a jego dziwny uśmiech rozpromienił mu całą twarz. – Pamiętasz, mó-

wielem ci, że sprzedałem scenariusz.

– To znaczy, że naprawdę jest w produkcji? – zapytała szczerze zdziwiona, bo jednak nie sądziła, że Sam może stworzyć dobry scenariusz.

– Nie do wiary, co? – odparł skromnie. – I dali mi stanowisko konsultanta kreatywnego. Co oznacza, że kręcę się na planie, wygłaszam niewiarygodnie bystre uwagi, ale nikt mnie nie słucha, nie wyłączając aktorów.

– Jesteś pisarzem – podsumowała zwięźle. – Czemu mieliby cię słuchać?

– Masz rację – przyznał i nachylił się, żeby pogłaskać Amy. – Cześć, stary.

– Nie stary, tylko stara – zauważyła Denver, a Amy rozplynęła się z zachwytem, że zwraca się na nią uwagę.

– Typowe dla mnie – skrzywił się Sam. – Zawsze mieszają mi się płcie.

Denver uśmiechnęła się. Miło wspominała Sama. Był bardzo interesującym i zabawnym facetem.

– A co teraz robisz? – zapytał. – Mogę ci postawić burgera?

– Nie – odparła Denver. – To ja tobie postawię burgera. Weź, proszę, pod uwagę, że LA to moje miasto, a ty jesteś tu tylko gościem.

Sam podniósł rękę w poddańczym geście.

– Mama nauczyła mnie, że kiedy piękna kobieta chce mi cokolwiek kupić, trzeba z tego skorzystać.

– Twoja mama jest mądrą kobietą – powiedziała Denver, której spodobało się, że nazwał ją piękną.

– Tak – zgodził się Sam i poprowadził ją do plastikowego stolika na zewnętrznym patio. – Wiele mnie nauczyła.

Pojawiła się kelnerka na wrotkach, która, sądząc po figurze, była bezrobotną aktorką, i podała im menu.

Denver na chwilę schowała się za swoim i przestudiowała listę najróżniejszych hamburgerów. Meksykański, portorykański, południowo-zachodni, niemiecki (niemiecki?!). Ciekawe, czy Bobby miałby coś przeciwko temu, że je kolację ze starym przyjacielem.

Hmmm... ze starym przyjacielem, z którym spała, ale tylko raz. I nie planowała powtórki.

Był tylko przyjacielem. Koniec, kropka.



Skoro rozwodził się z królową diw, Billy postanowił się cieszyć z odzyskanej wolności. Najwyższy czas. Czuł się, jakby uciekł ze złotej klatki i nareszcie mógł robić, co chce.

A czego chciał?

Jeździć harleyem.

Plawić się w rozkoszy, kiedy dziewczyny robiły mu loda przy basenie.

Spać do późna, jeśli nie pracował.

Flirtować, z kim chciał, i nie martwić się, że Venus śledzi każdy jego ruch.

Już nigdy nie nosić smokingu.

Pierdzieć w łóżku.

Pić mleko prosto z kartonu.

Grać w gry komputerowe całą noc.

Oglądać wrestling o północy.

I pornografię, kiedy tylko będzie miał na to ochotę.

Tak, wolność to cudowna sprawa. Bardzo mu się podobała.

Prawnik poinformował go ostatnio, że Venus chce mu dopiec do żywego. Wydaje się jej, że Bobby sypia ze swoją partnerką z filmu, ale była to kompletna bzdura.

Ich małżeństwo rozpadło się, ponieważ Venus całkowicie przestała mu ufać. Sprawdziała jego e-maile, wchodziła na Twittera, grzebała po kieszeniach i przeglądała SMS-y.

A on naprawdę był jej wierny. Ona jednak w to nie wierzyła.

Zatem rozwód.

Co za ulga.

Wolność oznaczała, że znów panuje nad swoim życiem.



Max, Cookie i Harry ostro esemesowali do znajomych.

– Ale będzie odlotowa impreza! – zachwyliła się Cookie. – Niech nam przywoz burgery z In-N-Out, ja załatwi dowz. Zaplac kart kredytow ojca. Nawet tego nie zauważy.

– Zamwmy też pizz – zaproponowa Harry. – Każdy lubi pizz. Mj ojciec ma konto u Cecconich. Weźmy j stamtd.

– Tylko żadnych mtw i cieniasw – zarzdzi Max. – Sami zaufani ludzie, których znamy osobicie. I nikt nie może wchodzi do domu. Mog by tylko na tarasie przy basenie i na plaży.

– No dobra – powiedzia Cookie i machnła w powietrzu upiercionkowan doni. – Powiem Frankiemu, że może przyprowadzi samych klawych ludzi.

Max skrzywiła si.

– Zapraszasz Frankiego? – zapytała, niezadowolona z tej wiadomoci. – Po co?

– A dlaczego nie? – odparła Cookie, ktra natychmiast si zjeżyła. – Jest cool. Bdzie pasowa. Poza tym – dodała zwizle – może bdzie moim chopakiem.

– No weż, przesta – wymamrota Harry i prychnł ze wstrtem.

– A gdybym chciała zaprosi Bobby'ego? – spierała si z ni Max. – Przecież wiesz, że si pokłcili.

– Bobby'ego? Tu? Na twoj imprez? – Cookie pocignła si za dredy. – Nie ma mowy. Bobby wszystko by nam popsł. Nie pozwoliby nam pi alkoholu i narobiby syfu. Bobby to twj nadopiekuczy starszy brat; zapomnij o tym, żeby go zaprasza.

– Cookie ma racj – powiedział Harry i poprawił sobie kolce z wosw, żeby by jeszcze bardziej sterczce i dluższe. – Bobby zawsze sprawdza, co pijesz, i zawsze ci pilnuje. To chore.

– Bo mu na mnie zależy. – Max stanła w obronie brata.

– Ale nie jest ci to potrzebne, kiedy chcemy si zabawi – zauważyła Cookie. – Co by to by za frajda?

– Tak – przyznała Max. – Pewnie masz racj.

– Zapraszasz Ace'a? – spytał Harry.

Max chwil si zastanawiała. Czy powinna zaprosi Ace'a?

Móglby robić to samo co Bobby i nie dałby jej się zabawić. A ona naprawdę chciała pobalować, może nawet trochę zaszaleć. Czemu nie? Najwyższy czas.

– Nie wiem – odparła wymijająco. – Może.

– A może nie – powiedziała Cookie, uśmiechając się ze zrozumieniem. – Ja bym nie podejmowała decyzji. Kto wie, co może przynieść jutro? Idźmy na całość. ZASZALEJMY.



Rosyjskimi inwestorami M.J.-a i Bobby'ego były trzy osoby: dwóch krzepkich, otyłych mężczyzn i bardzo wysoka, apodyktyczna i krytykancka wręcz kobieta po pięćdziesiątce z zębami żółtymi jak u wampira i grubymi nogami. Chodziła ubrana w garnitur męskiego kroju, w obrzydliwym, czerwonoróżowawym kolorze fuksji. Ze swoimi towarzyszami rozmawiała we własnym języku i praktycznie ignorowała Bobby'ego i M.J.-a, którzy oprowadzali ich po klubie.

Prostackie zachowanie kobiety coraz bardziej irytowało Bobby'ego. Odrzucało go od niej. Ale inwestorzy mieli grubą kasę, więc usiłował nad sobą panować.

M.J. starał się go uspokoić.

– Zgodzili się wyłożyć sto procent funduszów na kluby w LA i Miami – powiedział przyciszonym głosem. – Ta wizyta to czysta kurtuazja. Kontrakty są przygotowane i czekają tylko na ich podpisy.

Niech ich szlag, pomyślał Bobby. Nie potrzebuję ich forsy. Oba kluby mógłbym sfinansować z własnych pieniędzy.

Gdyby chciał.

Ale nie chciał.

Dawno temu postanowił, że odniesie sukces, nie korzystając ze spadku. Nie wiadomo dlaczego, wbił sobie do głowy, że musi poradzić sobie sam. Było to dla niego bardzo ważne.

Kiedy Rosjanie wreszcie skończyli obchód, M.J. zaprosił ich za przepierzenie, aby podpisać kontrakty, które wcześniej zatwierdzili prawnicy obu stron.

– My podpisać, podpisać – powtarzała Wampirzyca, której szkarłatna szminka pozbijała się w grudki. – Potem. My przyjść później, zobaczyć pelny klub.

– Oczywiście – zgodził się M.J., czarująco wyluzowany, i odprowadził ich do szklanej windy.

– „Oczywiście”, cholera – z niezadowoleniem mruknął Bobby, kiedy poszli. – Wieczorem miałem lecieć do Nowego Jorku. Mam spotkania.

– Nie przejmuj się – powiedział M.J. – Poradzę sobie z nimi.

– Nie – odparł Bobby. – Masz za dużo na głowie. Polecę rano, a teraz będę z tobą. To zbyt ważna sprawa, żeby coś skopsać.

– Uważasz, że bym to skopsał?

– Nie, stary, ale musimy tu być obaj. I przypilnować, żeby wieczorem podpisali umowy.

– Masz rację – przyznał M.J. – Powiem, żeby biuro zmieniło twoją rezerwację na lot.

Bobby skinął głową. W żadnym wypadku nie chciał utknąć w Vegas bez Denver. Ale istniały rzeczy, które po prostu musiał zrobić, a to była jedna z nich.



W przerwach między esemesowaniem i dzwonieniem Cookie czekała na telefon od Frankiego. Nie odzywał się, więc była wkurzona.

– Ja do niego zadzwonię – stwierdziła.

– Nie rób tego – ostrzegła ją Max.

– Dlaczego?

– Bo wyjdiesz na desperatkę.

– E tam. Dzwonię.

Cała trójka, Cookie, Max i Harry, siedziała w pokoju, na ostatnim piętrze rezydencji należącej do ojca Harry'ego w Bel Air. Miejsce roztaczało złą aurę, zwłaszcza od czasu, kiedy matka Harry'ego, świeżo nawrócona chrześcijanka, uciekła ze swoim pastorem i za-

mieszkała w Arizonie.

Pokój był ciemny i przerażający. Ciężkie fioletowe zasłony nie wpuszczały słońca, a ściany pomalowano na czarno. To był pomysł Harry'ego i jego wykonanie, a efekt tak mu się spodobał, że na czarno pomalował także łazienkę.

– Badziewna ta twoja chata – marudziła Max, rozglądając się po ponurym wnętrzu. – Strasznie depresyjna. Co my tu właściwie robimy?

– Przyszliśmy po trunki – przypomniał jej Harry. – Ojciec wróci dopiero o północy. Sam nie dam rady wynieść kilkunastu butelek tequili i tylu skrzynek importowanego piwa.

– Skąd ta tequila? – zapytała Max.

– Jakiś aktor ją przysłał, bo chciał, żeby stary dał mu rolę w czymś tam. Co rusz dostaje łapówki. Nawet nie zauważy, że jej nie ma.

– Super – powiedziała Max.

– Przekupstwo – odpowiedział Harry. – A cwany aktor i tak nie dostał tej roli.

– Jeśli Cookie będzie w stanie oderwać się od telefonu, zaraz wszystko załadujemy – zaproponowała Max, która chciała już iść.

– Do czyjego samochodu? – zapytał Harry.

– Do mojego – postanowiła Max. – Dzięki temu wszystko będzie od razu na miejscu, a kiedy tylko Lucky wyjedzie, zabierzemy się za rozładunek.

– O której to może być? – spytał.

– Mam nadzieję, że wcześniej rano. Im szybciej zmyje się z LA, tym szybciej będziemy mogli zająć się imprezą.

– Pewna jesteś, że twój stary nie zrobi ci niespodzianki i nie zjawi się w domu? – odezwała się Cookie.

– Kto? Lennie? – prychnęła Max. – Nie ma mowy. Zwolnię tylko służących i jesteśmy wolni! Nie mogę się już, kurczę, doczekać!

Rozdział dziesiąty

Armand nie miał własnego samolotu. Za dużo z tym zachodu. Wolał samolot wynająć i lecieć, gdzie miał ochotę. W drodze na doroczną wizytę w Akramszarze lubił zatrzymać się na dobę w Londynie. Cały ten czas spędzał w hotelu Dorchester i sprowadzał tam cały zestaw prostytutek. Burdelmama, którą wybrał, była utytułowaną kobietą mieszkającą w rezydencji w Belgravii. Zatrudniała ciągle nowe dziewczyny, a on domagał się, aby przysyłała mu tylko najlepsze – dobrze urodzone Angielki o szczupłych ciałach, znakomitym pochodzeniu i arystokratycznym akcencie.

Uwielbiał je upokarzać. Faszerował je narkotykami, a potem przyglądał się, jak się prostytuują i robią wszystko, co im każe. Miła odmiana po dziwkach amerykańskich, które czasem po prostu udawały.

Tak jak podejrzewał Fouad, Armand faktycznie był coraz bardziej uzależniony od kokainy. Najpierw z przyjemnością przyglądał się, jak pod wpływem narkotyków kobiety pozbywają się wszystkich zahamowań. Po pewnym czasie stwierdził jednak, że sam odczuwa znacznie większą przyjemność z seksu, kiedy jest pod wpływem kokainy. Czemu miałby sobie tego odmawiać? Przecież jest niepokonany. Może robić, co zechce.

Najbardziej lubił wciągać kokę z ciał kobiet. Wykorzystywał je, bawił się nimi i poniżał na wszelkie możliwe sposoby.

Kiedy w pełni zaspokoił apetyt na seks, był nareszcie gotów, by spędzić czterdzieści osiem godzin w Akramszarze. Jak najdalej trzymał się jednak od Sorai i czwórki swoich potomków, których prawie nie znał. Coroczną wędrowkę odbywał wyłącznie ze względu na ojca i ich wspólne interesy.

Kiedy król emir Amin Mohamed Jordan odejdzie z tego świata, zostanie po nim ogromna fortuna do podziału pomiędzy synów. Kobiety nie odziedziczą nic. Armand musi być pewien, że otrzyma, co mu się należy. Nie żeby tego potrzebował, ale musi dopilnować, żeby dostać co jego. Na dokładkę odziedziczy wszystkie firmy, które założył z ojcem.

Miał pełną świadomość, że jest ulubionym spośród jedenastu synów. To on wyjechał i odniósł wielki sukces w Ameryce. Tylko on był cokolwiek wart. Ojciec zaufał mu na tyle, by na wszelki wypadek przelewać pieniądze na jego amerykańskie konta.

Powrót do Akramszaru zawsze był dla niego wstrząsem. Porzucenie zachodniego świata i pobyt w mieście, gdzie niepodzielnie panują mężczyźni, był przeżyciem dość prymitywnym, ale sprawiał mu dziwną satysfakcję. Uległe kobiety zachowywały się tak, jak powinny wszystkie. Amerykankom nie ma sensu nawet o tym mówić.

Na lotnisko wyjechał po niego czarny mercedes i zabrał go do pałacu. Tak, miał swój własny pałac, wypożyczony od króla. Czasem zastanawiał się, co powiedziałyby żyłaste panie domu z nowojorskiej socjety, gdyby wiedziały, że jest księciem i mieszka w pałacu. Poderżnęłyby sobie swoje chude gardła, żeby się tylko do niego dorwać.

Wszędzie było pełno służby, ale Soraya nie wyszła, aby go powitać. Nie zależało mu na tym. Dzieci siedziały w swoich pokojach – następny plus.

Zdjął ubrania i z przyjemnością przebrał się w wygodną szatę, jaką nosili tu wszyscy mężczyźni. Większość tutejszych kobiet zakrywała twarze. I bardzo słusznie. Matka mówiła mu, że kobiety z haremu pod burkami noszą drogie ubrania kupione w Rzymie i Mediolanie, gdzie król emir czasem zabierał niektóre z nich na długi weekend. Król najbardziej lubił koronkową bieliznę, a podczas wyjazdów zachęcał

żony, aby wydawały, wydawały, wydawały...

Peggy nie trzeba było tego powtarzać. W ciągu lat spędzonych w Akramszarze zgromadziła imponującą kolekcję biżuterii i kilka skrzyń ubrań od projektantów mody.

Armand starał się za dużo nie myśleć o matce. Rok wcześniej zmarł Sidney Dunn i Peggy od tego czasu zrobiła się bardzo wymagająca, co go okropnie irytowało. Wydzwaniała do niego o najróżniejszych porach, twierdząc, że za rzadko się widują, i pytała, dlaczego się nie ożenił i nie dał jej wnuków. Nie kontaktowała się z nikim w Akramszarze, więc nie wiedziała, że on ma tam żonę i dzieci.

Armand aż za dobrze zdawał sobie sprawę, jaki by mu urządziła koszmar, gdyby się dowiedziała, że założył rodzinę, nie informując jej o tym. Nie miał najmniejszego zamiaru jej tego mówić. Uparłaby się, żeby uczestniczyć w życiu rodzinnym, a kiedy Peggy czegoś chciała, nic nie było w stanie jej powstrzymać.

Jedyną osobą, która wiedziała, że ma rodzinę, był Fouad. Armand mu ufał. Fouad nigdy go nie zdradzi, lojalność ma we krwi.

Przebrawszy się w szatę, przeszedł do części pałacu, gdzie wpuszczano tylko mężczyzn. Służący natychmiast przyniósł mu mocną, czarną herbatę i talerz słodkich ciastek. Inny zapytał, czy potrzebuje masażu.

Tak, masaż był tym, czego teraz najbardziej pragnął.

Powoli wypił herbatę, a potem wszedł do bocznego pokoju, w którym rozbrzmiewała cicha muzyka. Dwie młode kobiety pomogły mu się rozebrać, a kiedy był już całkiem nagi, zaprowadziły go do stołu do masażu. Nie były to prostytutki, tylko służące, które traktowały go z szacunkiem należnym księciu. Klatkę piersiową i brzuch skropiły mu gorącym olejem, a potem ich kojące dłonie schodziły powoli niżej, w rejon pachwin. Miały na sobie białe szaty, jednak po chwili kazał im je zdjąć. Były młode. Ale nie zbyt młode, aby nie obsłużyć go ustami. Poczul się pobudzony i leżał spokojnie, aż doprowadziły go do orgazmu.

Nie miał ochoty ich upokarzać.

Kiedy skończyły, chciał już tylko samotności i czasu, aby pomy-

śleć o nagrodzie, która go czeka, kiedy wróci do Ameryki.

The Keys.

Jego hotel.

Miejsce, gdzie postanowił już zawsze być szczęśliwy.

Rozdział jedenasty

Towarzystwo Sama bardzo jej odpowiadało. Denver była zafascynowana jego specyficznym poczuciem humoru. Poza tym był wyluzowany, swojski i nie za przystojny, choć w nieuchwytny sposób atrakcyjny – trochę w stylu Owena Wilsona. Nie pochodził z jakiejś superwplywowej rodziny, a przynajmniej takie miała wrażenie. To jego następna zaleta. Jej bracia uwielbialiby Sama – był chłopakiem w ich typie. W przeciwieństwie do Bobby'ego, który był z całkiem innej bajki.

Także z innej niż ja, pomyślała z goryczą. Z zupełnie innej.

A może nie?

Ostatnio stwierdziła, że usiłuje wybić sobie Bobby'ego z głowy. Całkiem jakby na niego nie zasługiwała, co oczywiście nie miało sensu.

A może miało?

W szkole nigdy nawet jej nie zauważył, więc dlaczego jest z nią teraz? Przecież pozostała tą samą osobą. No... prawie. Nie ma aparatu na zębach i pryszczycy, przetłuszczających się włosów i zaokrąglonych kształtów.

Sam odprowadził ją do mieszkania, ale nie zaprosił go do środka.

– Nadal spotykasz się z facetem, z którym byłaś, kiedy widzieliśmy się ostatnio? – zapytał od niechcienia.

– Tak jakby.

Tak jakby! Bobby wpadłby w szal, gdyby usłyszał, jak nonszalancko wyraziła się o ich związku. Dlaczego nie powiedziała: „Tak, jesteśmy razem. Bardzo blisko. Kocham go i on mnie kocha. Więc sorry, Sam. To dlatego nie zaproszę cię do środka”.

– No dobrze – dał za wygraną Sam. – Może któregoś dnia będziesz miała ochotę przyjść na plan i zobaczyć, jak mnie wszyscy olewają.

Roześmiała się.

– Postawię ci pyszny lunch z firmowego cateringu – dodał. – Co ty na to?

– Propozycja nie do odrzucenia. Tylko pamiętaj, że jestem kobietą pracującą.

– Kręcimy cały przyszły weekend – powiedział, zdecydowany się nie poddać. – Może wpadniesz w sobotę lub w niedzielę?

– Hmm... Chyba będę musiała jechać do Vegas – odparła wymijająco. – Ale... zadzwonię do ciebie.

Świetnie, Denver! Zaprzyjaźniasz się ze swoim eks. Bobby nie darowałby ci tego. Co się z tobą dzieje?

Nic. Albo wszystko.

Nagle jak szalona zatęskniła za Bobbym.



Frankie w końcu oddzwonił po kolejnym, chyba siódmym telefonie Cookie. Max i Harry z ulgą wymienili spojrzenia. Cookie doprowadzała ich do szału niekończącą się tyradą na temat Frankiego – o tym, jaki to z niego ogier i jak to ona prawie na pewno się w nim zakocha, i DLACZEGO ON, DO CHOLERY, NIE ODDZWANIA?

– Chce, żebym przyszła do klubu – oznajmiła, obrzucając Max i Harry'ego triumfalnym spojrzeniem. – Zabierzecie się?

– Nie, dzięki – odpowiedzieli jednomyślnym chórem.

– Dlaczego nie? – zapytała Cookie, która już zastanawiała się, co na siebie włożyć.

– Bo muszę przygotować wszystko na imprezę – powiedziała

Max.

Była podniecona przyjęciem. Po raz pierwszy dom w Malibu będzie tylko dla niej. A było to fantastyczne miejsce, idealne na odłotową balangę. Jeśli tylko uda jej się zatrzymać wszystkich na zewnątrz domu, nic złego chyba się nie stanie? Zaplanowała, że zamknie na klucz wszystkie sypialnie, pokój do wyświetlania filmów i prywatne biura Lucky i Lenniego. Na ogromnym patio, bezkresnym basenie i piaszczystej plaży na pewno starczy miejsca dla wszystkich. Obliczyła, że zaprosili około trzydziestu osób, a każda z nich pewnie przyprowadzi jeszcze jedną lub dwie – powinno więc przyjść siedemdziesiąt, osiemdziesiąt osób. Czyli tyle, ile potrzeba.

Harry zajmował się organizowaniem znajomego didżeja, a Cookie na dziesiątą wieczorem umówiła dowóz hamburgerów z In-N-Out.

Max wciąż jeszcze nie postanowiła, czy zaprosić Ace'a. Zdecyduje w ostatniej chwili.

Kiedy Cookie odjechała, Max stwierdziła, że niegłupio będzie wcześniej położyć się spać, więc szybko załadowali do bagażnika jej samochodu tyle skrzynek z piwem i tyle tequili, ile tylko udało im się pomieścić, uściskała Harry'ego i ruszyła w stronę domu.

Jutro będzie miała mnóstwo roboty.



Bobby nie był zadowolony. Musiał odłożyć lot do Nowego Jorku, a teraz siedział w klubie ze striptizem w towarzystwie M.J.-a i trójki rosyjskich inwestorów, z których jeden podobno był kobietą. Sądząc po tym, jak wpychała striptizerkom studolarówki za prawie nieistniejące stringi, była chyba zwariowaną lesbijką.

Niech to szlag! Chciał stąd wiać. Ale nie mógł zostawić M.J.-a. To nie byli łatwi goście. Najpierw zażądali obiadu i występów. Potem dziesięć minut spędzili w Mood – dzięki Bogu, że tylko dziesięć. W końcu M.J. nakłonił ich do podpisania papierów, po czym uparli się, że trzeba to uczcić wizytą w słynnym w Vegas klubie ze striptizem, by przyklepać kontrakt.

Bobby nie znosił takich klubów. Nie solidaryzował się z facetami, którym podobały się znudzone i zwykle nieźle zdesperowane kobiety rozbierające się dla przyjemności widzów. Szkoda mu było tych dziewczyn, a jeszcze bardziej przeważnie pijanych facetów, którzy siedzieli tam z rozdziawionymi gębami i nadzieją, że dotkną jakiegoś zabląkanego cycka.

Striptizerki natychmiast przyłgnęły do Bobby'ego i M.J.-a – czyli dwóch przystojnych i z wyglądu trzeźwych facetów.

– Chcesz się spotkać na boku, kochany? – szepnęła mu do ucha ruda dziewczyna z powiększonym biustem, a frędzel z jej sutka otarł mu się o policzek.

– Eeee... Nie dzisiaj – wykrztusił.

– Nie pożałujesz, słodziaku – wymruczała, oblizując usta. – Znam sztuczki, których nie zobaczysz w *Tańcu z gwiazdami*.

– Nie wątpię – powiedział i wskazał na miss Rosji, która porzuciła żakiet i srogą minę i pożerała wzrokiem drobną blondyneczkę.

– Ją weź na bok. Ja zapłacę.

– Psujesz mi zabawę – szepnęła ruda, ale podeszła do Rosjanki, wzięła ją za rękę i poprowadziła do jednego z bocznych pokoików na szampana.

Bobby nachylił się w stronę M.J.-a.

– Podpisali papiery. Myślisz, że możemy się stąd zmywać?

Nim M.J. zdążył odpowiedzieć, zadzwoniła komórka Bobby'ego. Z trudem ją usłyszał, bo przez głośniki Lady Gaga krzyczała coś o paparazich.

Dzwoniła Denver. Usiłował się do niej przedtem dodzwonić, żeby ją poinformować o opóźnieniu wylotu do Nowego Jorku, ale nie odebrała telefonu.

– Hej – powiedział.

– Hej! Co to za hałas?

– Długo by mówić – odparł i gestem przegonił zdesperowaną blondynkę z boleśnie przekłutymi sulkami, w których miała kolczyki. Wszystko po to, żeby jej i tak już powiększone piersi wyglądały na jeszcze większe.

- Co? Nic nie słyszę.
- Zadzwoń później.
- Nie. Idę spać. Zadzwoń jutro.
- Dobrze. – Rozłączył się. Nie ma nic gorszego niż przykrość na zakończenie dnia.

Rozdział dwunasty

Armia kierowników dwoiła się i troiła, aby The Keys funkcjonowało jak najsprawniej. Nie było to łatwe, ponieważ pracowały tam tysiące ludzi. Od szefa bezpieczeństwa po specjalistę do spraw kontaktów z gośćmi wszyscy starali się, jak mogli, gdyż Lucky pilnowała, aby każdy, niezależnie od stanowiska, miał motywację do pracy.

Kiedy budowała hotel, stworzyła konsorcjum inwestorów, z których każdy miał równy udział w założonej przez nią firmie. Liczyła na to, że wkrótce zaczną odzyskiwać pieniądze. The Keys funkcjonowało dobrze, ale trzeba było w nie zainwestować krocie, a w dodatku przyszedł kryzys gospodarczy. Na szczęście ich kasyno było jednym z najbardziej dochodowych w Las Vegas – dzięki temu, że prowadzili je najlepsi spece w branży. Hotel zwykle udawało się zapełnić w dziewięćdziesięciu procentach, a apartamenty sprzedawały się za rekordowe ceny.

Lucky była zadowolona z takiego obrotu spraw. The Keys to jej dziecko – poczęte z miłości i z pragnienia, aby zbudować coś na kształt idealnej oazy i to w Las Vegas, mieście, gdzie stawiała swoje pierwsze kroki, kiedy przejęła budowę hotelu Gina po tym, jak musiał opuścić kraj za niepłacenie podatków.

Wiązały się z tym i dobre, i złe wspomnienia. Ludzie, z którymi Gino miał układy finansowe, odmówili współpracy z kobietą, więc

jednego z nich musiała odwiedzić w środku nocy, przystawić mu nóż do jaj i zażądać zapłaty, grożąc, że wróci i mu je odetnie!

No i niespodzianka – zapłacił! To wspomnienie należało do zabawnych.

Ciemną stroną była pamięć o Marcu, jej narzeczonym, którego zastrzelono obok basenu. I jej bracie, Dariu, którego zamordowano i wyrzucono z jadącego samochodu.

Lucky nie rozpamiętywała przeszłości. Odpowiednio się mściła i szła do przodu. Był to jedyny sposób na przetrwanie.

The Keys było hołdem, który złożyła Marcowi, Dariowi i swojej pięknej matce Marii, która również padła ofiarą brutalnego przestępstwa.

Lucky często zastanawiała się, czy Max cokolwiek wie o historii rodziny. Nigdy nie zadawała pytań, jakby jej to nie interesowało. Kiedyś Lucky usiadzie z nią i wszystko jej opowie. Max musi wiedzieć, jakie bitwy stoczyła rodzina Santangelo i jak wyszła z nich z triumfem. I musi znać słynne motto: Nie zadzieraj z rodziną Santangelo!

Jak na razie Lennie nie zgodził się, by ujawniła Max rodzinną sagę.

– Niech najpierw dorośnie. Mamy mnóstwo czasu!

Lennie Golden. Jej mąż. Najlepszy mężczyzna na ziemi. Kiedy go poznała, był komikiem w jej hotelu. Złożyła mu niedwuznaczną propozycję. Odrzucił ją. A kiedy następny raz się spotkali, ona była żoną greckiego miliardera transportowego Dimitriego Stanislopoulosa, a on, jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności, mężem rozpieszczonej córki Dimitriego, Olympii. Wariactwo.

W końcu jednak wszystko się ułożyło. Z ręką na sercu mogła powiedzieć, że Lennie to miłość jej życia. Pasowali do siebie pod każdym względem. Prawdziwie pokrewne dusze. Przed wyjazdem do Vegas zajrzała do śpiącej Max. Wyglądała na niewiniątko. Długorzęse powieki zasłaniały błyszczące, zielone oczy, a ciemne, kręcone włosy rozłożyły się na poduszce jak wachlarz.

Przez chwilę przyglądała się córce. Przypomniła sobie dzień jej

narodzin i minę Lenniego, kiedy po raz pierwszy trzymał ją na rękach. Dali jej na imię Maria po mamie Lucky. Jako nastolatka Max je zmieniała, bo uznała, że Max bardziej do niej pasuje. Mała Maria została więc małą Max. Nowe imię pasowało do jej stylu: zawsze była asertywnym dzieckiem i lubiła bawić się z chłopakami. Max Santangelo Golden.

Lucky westchnęła. Wkrótce Max się usamodzielní. Dzieci za szybko dorastają, a czas pędzi jak błyskawica.

– Cześć, kochanie – szepnęła i schyliła się, by pocałować Max w czoło. – Do zobaczenia wkrótce.



Kiedy Lucky wyszła z pokoju, Max – która tylko udawała, że śpi – wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna, by się upewnić, że matka wyjeżdża. Nie przyznała się, że nie śpi, ponieważ chciała uniknąć rozmowy o tym, co zamierza zrobić, kiedy wszyscy wyjadą. Za duże ryzyko, zważywszy na to, że nie jest najlepszą kłamczucha świata, za to Lucky ma w oczach i uszach znakomity detektor blefu.

Wkrótce zobaczyła, że Lucky wychodzi z domu i wsiada do samochodu, który miał ją odwieźć na lotnisko.

Natychmiast sięgnęła po komórkę, żeby zadzwonić do Harry'ego i Cookie i dać im znać, że chata wolna.

– Ruszcie tyłki. Mamy mnóstwo roboty – powiedziała z entuzjazmem.

Jej następne zadanie polegało na pozbyciu się dwóch gosposi, z którymi mógłby być problem. Pracowały u nich od niedawna. Były siostrami i pochodziły z Gwatemali. Na szczęście dwadzieścia cztery godziny wolności bardzo im odpowiadały. Lucky nie zatrudniała dużo służby. Była pod tym względem całkiem normalna, prace domowe wolała wykonywać sama. Nigdy też nie lubiła za bardzo rozpieszczać dzieci.

Cookie przyjechała pierwsza. Na jej ślicznej twarzy malował się błogi uśmiech.

– Nigdy więcej chłopców – oznajmiła i z lekceważeniem machnęła ręką. – Od teraz sami mężczyźni.

– Na miłość boską – odparła Max i przewróciła oczami. – To tylko Frankie. Weź się w garść. Straszny z niego ciniąs.

– Ani trochę – spierała się Cookie. – Nie znasz go.

– Tere-fere. Znam go dłużej niż ty – odcięła się Max.

– Ale nie tak jak ja – stwierdziła Cookie z tajemniczym uśmiechem.

– Nie mów, że znów z nim spałaś – powiedziała Max z cieniem nadziei, że to nieprawda.

– Chciałabyś to wiedzieć – zachichotała Cookie.

– Ani trochę – warknęła Max i szybko podeszła do okna, żeby się upewnić, czy obie młode gosposie wsiadły do taksówki, którą dla nich zamówiła, i odjechały do rodzin. Powiedziała im, żeby wróciły następnego dnia w południe, dała każdej pięćdziesiąt dolarów plus pieniądze na taksówkę, aby mieć pewność, że zrozumiały. Starsza z siostr martwiła się, że Lucky się dowie, ale Max zapewniła ją w swojej najlepszej szkolnej hiszpańszczyźnie, że Lucky niczego się nie domyśli.

Kiedy gosposie sobie poszły, cała trójka raz-dwa zeszła na dół, żeby wypakować alkohol z samochodu Max i zaciągnąć go do baru koło basenu.

– Kto będzie robił drinki? – zapytała Cookie, zapełniając stojącą na zewnątrz lodówkę butelkami z piwem. – Frankie powiedział, że możemy wynająć kogoś z jego barmanów. Co wy na to?

– Więc jednak go zaprosiłaś? – W głosie Max słychać było wyrzut.

– Przecież ci mówiłam.

– Ale nie wyraziłam zgody – sprzeciwiła się Max. – Chyba zapominasz, że to moje przyjęcie.

– Wyluzuj – parsknęła Cookie. – Zazdrościsz mi, bo ja się bzykam, a ty nie.

– Bzdura – powiedziała Max, choć trochę ją wkurzało, że seks jest dla Cookie tak mało skomplikowany. – À propos, śmierdzisz

trawą.

– Chcesz się poczęstować? – zaproponowała Cookie i zaczęła grzebać w torebce.

– Ja chcę! – zawołał Harry i podszedł do niej z poządlwym błyskiem w oku.

Max zmiażdżyła go wzrokiem.

– Nie, dziękuję – zwróciła się do Cookie. – Za barmana też. Każdy może sam sobie nalewać. Skoczę do sklepu i kupię z tonę plastikowych kubków, które potem wyrzucimy.

Cookie ziewnęła, udając nudę.

– Niech tam – burknęła. – To twoja impreza.

– No dobra, dziewczyny – przerwał Harry, który stwierdził, że czas wtrącić swoje trzy grosze. – Bierzemy się do roboty.



Sytuacja z zakładnikiem szczęśliwie się rozwiązała, więc następnego ranka Leon był przy biurku Denver. Od kilku tygodni śledził dealera, który sprzedawał dragi w miejscowej szkole średniej, i był bliski aresztowania go. Ale oboje wiedzieli, że nie zależy mu na przyskrzynieniu drobnego handlarza, tylko jego dostawcy. Zamiast zatem instruować go o jego prawach zgodnie z prawem Mirandy, będzie chciał go zmusić do mówienia, a potem puścić.

Denver wiedziała o planie i w pełni go popierała. Ich naczelnym celem było postawienie przed sądem dostawcy, a kiedy już odniosą triumf, wsadzą go do więzienia, gdzie jest jego miejsce. Nie mogła się doczekać rozprawy.

– Co robiłaś wczoraj wieczorem? – spytał Leon, kręcąc się przy jej biurku.

– Nic specjalnego – odpowiedziała Denver. – A ty?

– Poszedłem na randkę z Kubanką, która uparła się na seks w windzie mojego domu.

– Słucham? – Denver uniosła brew.

Leon roześmiał się.

– Jedna z tych, które podnieca zagrożenie. No wiesz, zobaczymy, czy ktoś nas przyłapie.

– Pięknie.

– Musiałem jej odmówić i wtedy mnie pieprzyła.

– W sensie seksualnym?

– Dobrze by było. – Parsknął śmiechem. – Ta małpa wyzwała mnie od tchórzy i kazała mi się zmywać.

– Bo nie chciałeś się z nią pieprzyć w windzie?

– Myślisz, że mam ochotę, żeby mnie aresztowano za obnażanie się w miejscu publicznym? Już widzę, jak wchodzę do sali sądowej, a ty mnie oskarżasz.

– Jeśli kiedykolwiek do tego dojdzie, będę dla ciebie łagodna – obiecała z uśmiechem.

– Bzdura!

Oboje się roześmiali.

– Tak na serio, Denver, to lubię z tobą pracować – stwierdził Leon. – Całkiem jakbyś należała do paczki naszych chłopaków.

– Naprawdę? – zapytała, uznając to za komplement.

– Tak, wszystkie chłopaki to mówią i uwierz mi, to wyraz niesamowitego uznania.

– No wiesz... Nie wiem, co mam powiedzieć.

– Nie musisz nic mówić.

– No to dobrze.

Leon okrążył jej biurko.

– Wiesz co, w przyszły weekend mój partner Phil urządza i żonę grilla. Nic specjalnego, ale będzie sporo naszych chłopców i pomyślałem, że może miałabyś ochotę wpaść. Poznałabyś wszystkich.

– Miło, że mnie zapraszasz, Leon, ale jadę na weekend do Vegas z moim hmm... chłopakiem. – Głupio się czuła, wymawiając to słowo, ale Bobby nim właśnie był – jej chłopakiem. Tak czy inaczej, chciała, żeby Leon wiedział, że jest zajęta, chociaż przypuszczała, że zdaje sobie z tego sprawę.

– Vegas, tak? – Leon z trudem ukrywał rozczarowanie. – Tylko nie daj się ponieść chwili i nie przypieczętuj związku w którejś z

tamtejszych niby-kaplic z urzędnikiem przebranym za Elvisa.

- Obiecuję, że tego nie zrobię.
- No to pewnie muszę cię puścić.
- Mam twoje pozwolenie? – spytała rozbawiona.
- Tak, Denver. Postaw wszystko na szczęśliwą siódemkę i nie

wracaj bez solidnej wygranej.

- Rozkaz!

Zadzwoiła jej komórka. Bobby. Leon domyślił się, że powinien wyjść.

- Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? – zapytała, gdy została sama.

– Nie słyszałam ani słowa.

– Długa i nudna historia – odparł Bobby. Stwierdził, że nie musi jej mówić o klubie ze striptizem. – Wszystko przez tych rosyjskich inwestorów, o których wspominałem. Strasznie przeciągali sprawę i musiałem zostać w Vegas.

- Biedactwo.

– Raniutko wsiadłem do samolotu i właśnie wylądowałem w Nowym Jorku. – Chwila ciszy. – W sumie u mnie nic ciekawego. A u ciebie?

- Czuję się osamotniona.

- Miło coś takiego usłyszeć.

- Tęsknię za tobą.

- Jeszcze milej.

- Kiedy wrócisz?

– W czwartek wieczorem. A w piątek polecimy do Vegas. Proszę, zgódź się.

Jaką ma alternatywę? Może odwiedzić Sama na planie filmowym. Iść na grilla z gliniarzami w towarzystwie Leona. Ale jednak to wszystko chyba odpada.

- Dobrze, Bobby – powiedziała cicho.

- Fajna z ciebie dziewczyna. Zadzwonię później. Miłego dnia.



Frankie sprawdził kilka internetowych stron plotkarskich i znalazł parę swoich zdjęć z Cookie, na których się przytulali w River. Wyglądała odłotowo, trochę jak młoda Janet Jackson.

Szybko rzucił okiem na tekst:

„Osiemnastoletnia Cookie, córka ikony muzyki soul, Geralda M., aż tak blisko swego nowego chłopaka, Frankiego Romano, w jego klubie River”.

Idealnie! Dokładnie to, co zaplanował. Wpuścił do klubu paparazziego, który zrobił im zdjęcia, a potem je sprzedał. Rick Greco oczywiście będzie wściekły, że River nazwano klubem Frankiego, ale hej – przecież to on wszystko firmuje, to on przyciąga tłumy. Tak! Wszyscy kochają Frankiego Romano. Wiedział, jak zaspokoić ich dekadencje zachcianki. Nic w tym złego.

Rick nie miał pojęcia o sekrecie Frankiego, który zapewniał napływ stałych klientów. Był to dochodowy handel narkotykami, który prowadził na boku. Koka, pigułki, ecstazy, krystaliczna metamfetamina, trawka. Frankie był w stanie zrealizować każde zamówienie. Jego słynni bogaci klienci bardzo sobie chwalili wygodę, jaką dawał im dostęp do niemal pełnego arsenału dragów. Miał wszelkie potrzebne do tego kontakty i zaczynał na dobre zarabiać.

Szkoda, że Rick nie dopuścił go do pełnej spółki. Może Frankie by się z nim podzielił.

Rozdział trzynasty

Armand pobył nieco z ojcem, który odpoczywał przed planowanymi na następny dzień bajecznie wymyślnymi obchodami swoich urodzin, a potem wrócił do swojego pałacu i rodziny, z którą jeszcze się nie spotkał.

Tym razem Soraya czekała, by go przywitać. Byli małżeństwem od jedenastu lat i musiał przyznać, że z piętnastolatki, którą poślubił, wyrosła na piękną kobietę. Była wysoka i szczupła, miała długie, proste, czarne włosy i duże, smutne oczy. Ciało okryła tradycyjną burką.

Stwierdził, że trochę go intryguje, jak ta kobieta, której prawie nie zna, wyglądałaby w zachodnich ubraniach i czy je nosi, kiedy nie ma go w pobliżu. Ale tak naprawdę niewiele go to obchodziło mimo tego, że urodziła czwórkę dzieci – jego dzieci.

Soraya rzadko się odzywała w jego obecności i odpowiadała tylko wtedy, gdy zadał jej pytanie.

- Gdzie jest Tariq? – zapytał o swego jedyne go syna.
- Przyprawdę go, jeżeli chcesz – odparła Soraya.

Zauważył, że nigdy nie patrzy mu w oczy. Unikała wszelkiego kontaktu, w tym fizycznego. Już kilka wizyt temu przestał z nią sypiać. Nie chciał następnej córki, miał natomiast wrażenie, że za każdym razem, kiedy dotknął żony, zachodziła w ciążę. Nie żeby ze spania z nią miał jakąkolwiek przyjemność. Podczas tych nielicznych

przypadków, kiedy uprawiał z nią seks, leżała pod nim jak kamienna rzeźba. Nie poruszała się i nie reagowała.

Niech i tak będzie. Wiele kobiet gotowych było zrobić wszystko, czego zażąda – i nic ich nie dziwiło. Wczoraj w Londynie dwóm dziewczętom kazał chodzić po swoim apartamencie na czworakach w psich obrozach. Podały mu kolację, a potem dla jego rozrywki nawzajem sprawiły sobie rozkosz. On odpoczywał i wciągał kokainę, aż się znudził i je odprawił.

Soraya wyszła z pokoju i wróciła z Tarikiem, wysokim, szczupłym jedenastolatkiem. Chłopiec miał na sobie koszulkę amerykańskich Lakersów, jeansy i tenisówki.

Armand zdenerwował się.

Dlaczego Tariq tak się ubrał? – spytał ostro. – To brak szacunku dla mnie. Niech się natychmiast przebierze.

– Oczywiście – mruknęła Soraya i gestem pokazała synowi, by wyszedł.

– Kiedy tutaj przyjeżdżam – powiedział Armand rozkazującym, ostrym głosem – spodziewam się posłuszeństwa i szacunku. Rozumiesz?

Soraya zwiesiła głowę. Nadal nie chciała na niego patrzeć.

Armandowi było wszystko jedno. Kiedy król umrze, on odziedziczy, co mu się należy. Być może na zawsze opuści Akramszar i nigdy nie wróci. To nie był ani jego kraj, ani jego dom. Jego domem była Ameryka. A Soraya i jej stadko to nie jego rodzina.



Król emir Amin Mohamed Jordan pielęgnował tradycję – którą sam ustanowił. Co roku wszystko odbywało się tak samo – najpierw wymyślna parada przygotowana przez całe zastępy jego wnuków, z których był niezmiernie dumny, a potem przemówienie do wielbiących swego hojnego króla mieszkańców Akramszaru. Następnie cała seria prywatnych uroczystości. Po pierwsze, wielka uczta, podczas której jedzono pieczone jagnięta, kozy i inne zwierzęta. Mężczyźni

gromadzili się po jednej stronie ogromnego namiotu wzniesionego z okazji uroczystości, kobiety i dzieci po drugiej. Kilkanaście pulchnych tancerek brzucha kilka godzin potrzasało swymi wdziękami, aż w końcu odsyłano kobiety i dzieci i rozpoczął się pochód przepięknych kobiet z Europy Wschodniej o mocno umalowanych twarzach, ubranych w obcisłe, wydekoltowane suknie koktajlowe i buty na bardzo wysokich obcasach włożonych na bose stopy.

Kobiety ustawiły się gęściego, a król wybrał te, które miały usiąść z nim i jego synami. Potem król dobierał sobie jedną albo nawet i trzy, a następnie przychodziła kolej na jego synów, którzy mogli wybrać dla siebie którąś z pozostałych.

Armand nie był najstarszy, więc musiał czekać. Doprowadzało go to do furii. Uważał, że ze względu na interesy, które prowadził z ojcem, powinien być następny. Ale decydowała tradycja. Kiedy w tym roku nadeszła jego kolej, wybrał zmysłową jasną blondynkę z Ukrainy. Przypominała mu Nonę Constantine. Z przyjemnością powtórzył gwałt na Nonie. Kurtyzanie się to nie spodobało, ale dostawała niezłą sumkę, żeby nie narzekać, więc Armand mógł się nią zabawić i upokorzyć ją w każdy możliwy sposób. Kiedy w końcu ją odprowadził, zobaczył w jej oczach nienawiść. Nie przejął się tym. Była tylko opłacaną dziwką, więc co go to obchodzi?

Rok w rok uroczystości na cześć króla były takie same. Następnego poranka Armand był w samolocie, który zabierał go stamtąd z powrotem do cywilizacji, do świata, który był mu bliższy.

Żegnaj, Akramaszarze.

Żegnaj, Sorayo.

Żegnaj, rodzinie, której nigdy nie chciał.

Rozdział czternasty

Jadąc bulwarem Pico z pracy do domu, Denver zadzwoniła do Carolyn. Była ciekawa, jak jej poszła randka z kobietą. To dopiero wyskok – ot tak, bez konkretnego powodu zmienić orientację.

- Bobby jest w LA?
- Nie. W Nowym Jorku – odpowiedziała Denver, zatrzymując się na czerwonym świetle. – A co?
- Bo pomyślałam sobie, że może chciałoby ci się podjechać do Chin Chin po chińską sałatkę z kurczakiem i wpaść do mnie.
- Niezły plan – powiedziała Denver z radością. Nie miała ochoty następnego wieczoru spędzać w samotności, a choć niezbyt interesowały ją dzieci, Andy był rozkoszny i śliczny.

Dzwonił do niej Sam i zostawił wiadomość na sekretarce. Nie oddzwoniła, nie chciała go zachęcać. Przecież powiedziała mu, że w zasadzie jest zajęta. Może nie potraktował jej słów tak poważnie, jak powinien.

Zatrzymała się przy Chin Chin, a potem ruszyła prosto do domu Carolyn.

Przyjaciółka siedziała w ogródku za domem z Andym na kolacjach. Wyglądali jak z obrazka i to prosto z pisma „Współczesna Matka”.

Denver zastanawiała się, czy Carolyn w najbliższej przyszłości zacznie pracować. Ojciec Andy'ego, czyli przewrotny senator Sto-

neman, z całą pewnością nie przysyła jej alimentów. Kto wie, czy w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, że ma syna? Rodzice Carolyn się rozstali, więc zapewne nie dadzą rady bez końca wspierać córki finansowo. Ponadto Denver uważała, że praca byłaby dla Carolyn terapią i pomogłaby jej zapomnieć o waszyngtońskiej traumie.

– Hej – powiedziała wesoło. – Jedzenie zostawiłam w kuchni. Nigdy nie zamykasz drzwi wejściowych? Weszłam bez najmniejszych trudności.

– Nie ma tu nic do wzięcia oprócz mnie i Andy'ego – zauważyła Carolyn, która wcale się tym nie przejęła. – A nas z całą pewnością nikt nie chce.

– A telewizor, komputer, aparat fotograficzny? – wyliczyła Denver. – To wartościowe rzeczy.

– Nie ma tu co kraść.

– Każdy powinien się zabezpieczać – skarciła ją Denver. – Przestępcy są wszędzie.

– Mówisz jak zastępca prokuratora.

– No i jak? – zapytała Denver i usiadła na pustym krześle ogrodowym koło Carolyn. – Umieram z ciekawości. Jak ci poszedł skok w bok?

– Było ciekawie – odparła Carolyn.

Tymczasem odezwał się dzwonek przy drzwiach. Wstała i podała Denver dziecko.

– Niektórzy ludzie dzwonią przed wejściem – stwierdziła.

– Niektórzy nie znają cię od trzynastego roku życia – ostro odcięła się Denver. – Spodziewasz się kogoś?

– Zobaczysz – powiedziała Carolyn i zniknęła w środku domu.

– Sałatkę przywiozłam tylko dla dwóch osób! – wrzasnęła za nią Denver. – Jestem głodna jak wilk. I nie mam ochoty z nikim się dzielić.

Andy głośno beknął, a z kącika ust pociekła mu ślina. Denver niezgrabnie próbowała ją wytrzeć grzbietem dłoni. Nie знаła się na dzieciach, a instynkt macierzyński jeszcze się w niej nie obudził.

Nagle pojawiła się kobieta zjawiskowej urody. Przepiękna, natu-

ralna blondynka z kręconymi włosami, o dobrotliwych oczach i krągłej figurze.

Carolyn stała tuż za nią.

– To jest Vanessa – powiedziała żwawo.

Denver była zdziwiona i zszokowana. Nie wiadomo dlaczego, wyobraziła sobie, że Vanessa jest potężna, męska, ma krótko ścięte włosy, nie maluje się i ubiera w skórzany męski zakiet. Ta piękna, kobieca istota była tego dokładnym przeciwieństwem.

– Ooo, cześć! – przywitała się Denver, zawstydzona swoim stereotypowym myśleniem o lesbijkach.

– Cześć. – Vanessa mocno uścisnęła jej dłoń i obdarowała ją przyjaznym uśmiechem. – Carolyn wiele o tobie mówi. Bardzo się cieszę, że cię w końcu poznałam.

W końcu? Jedna randka, a Vanessa zachowuje się, jakby były parą. Co się tutaj dzieje, do diabła?

– Vanessa pracuje w wytwórni telewizyjnej. – Carolyn błogo uśmiechnęła się do nowej przyjaciółki. – Kręcą filmy dokumentalne i tego typu rzeczy.

– Naprawdę? – spytała Denver i nagle poczuła, że to z nią coś jest nie tak.

– Tak – odparła Vanessa i nachyliła się, by ukraść Andy'ego z ramion Denver. – Mam nadzieję, że uda mi się przekonać Carolyn, żeby u nas pracowała. Ze swoim doświadczeniem z Waszyngtonu byłaby dla nas skarbem. Namów ją, co? Proszę.

– Spróbuję – rzuciła Denver, uśmiechając się bez przekonania.

Carolyn zachichotała. Taki chichot wcale nie był w jej stylu!

– Sama się zastanowię. Nikt nie musi mnie na nic namawiać.

– To myśl szybciej – popędzała ją Vanessa. Wymieniły między sobą poufale spojrzenia.

O mój Boże! – pomyślała Denver. Zachowują się, jakby już były parą. Kto by się spodziewał?



Apartament Lucky w The Keys był mieszkaniem jej marzeń. Co nie znaczy, że nie uwielbiała domu w Malibu i czasu spędzanego z dziećmi, ale schronienie, które dawało jej Vegas, było czymś szczególnym. Zawsze kiedy tam była, odczuwała wewnętrzny spokój. Czasem potrzebowała побыć sama, a kiedy siedziała w luksusowym apartamencie na ostatnim piętrze przy Las Vegas Strip i przyglądała się migotliwym światłom miasta – odczuwała głęboką satysfakcję. Mogła też wrócić do swoich wspomnień z Vegas.

Czasami ją przytłaczały – i te dobre, i złe.

Podniosła słuchawkę telefonu i zadzwoniła do Danny'ego, swojego asystenta. Podczas jej nieobecności Danny był jej oczami i uszami w sprawie wszystkiego, co dotyczyło Vegas. Pracował tu dopiero rok, ale był chyba najlepszym asystentem, jakiego kiedykolwiek miała. Młody, po dwudziestce. Był gejem i miał stałego partnera, Buffa, kolegę ze szkoły średniej. Nad wszystkim panował. Ufała mu bezgranicznie.

– Gino już przyjechał? – zapytała.

– Tak – odparł Danny. – Jak zwykle przebojowy. Nie mogę uwierzyć, że ma tyle lat.

Lucky uśmiechnęła się na myśl o swym dziewięćdziesięciokilkuletnim ojcu, który nigdy nie zwalniał tempa.

– Tak. Jest nadzwyczajny, prawda? – powiedziała. Gino miał w The Keys własny apartament. Najbardziej lubił siedzieć na leżaku przed swoim prywatnym szaląsem na plaży i przyglądać się pięknym dziewczynom przechodzącym koło niego. W pełni zasłużył na przezwisko Gino Ogier. Całe życie na nie pracował. Jego aktualna, piąta już żona, Paige, była od niego kilkadziesiąt lat młodsza. Sprawiał wrażenie, że ma więcej energii niż ktokolwiek inny.

– Wszystko przygotowane na sobotnie spotkanie inwestorów? – spytała Lucky.

– Oczywiście. Wszystko gra.

– Chyba udało mi się namówić do przyjazdu Alexa Woodsa. Załatw dla niego odpowiedni apartament. I niech samochody wyjadą na lotnisko po wszystkich.

- Jasne, Lucky.
- No to dobrze – powiedziała, odrzucając do tyłu długie, kruczoczarne włosy. – Pójdę zobaczyć się z Ginem. Pogadamy potem.



Impreza w Malibu rozkręcała się wolno. Znajomi zbierali się niespiesznie. Siadali przy basenie, pili piwo i colę z puszek, śmiali się, rozmawiali i zwyczajnie wrzucali na luz.

Max rozejrzała się dokoła i zaczynała żałować, że nie zaprosiła Ace'a. Może tej nocy skonsumowaliby swój związek i przenieśli go na inny poziom. Skoro ma prawie osiemnaście lat, może czas pójść na całość?

Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że dopiero minęła ósma, więc gdyby do niego zadzwoniła, za kilka godzin by był. Ale złościłby się, że tak późno powiedziała mu o imprezie, więc lepiej sprawę zostawić.

Cookie była zajęta klejeniem się do didżeja, którego przyprowadził Harry. Był Latynosem i niezłym przystojniakiem – jakby zjawił się prosto z reklamy Calvina Kleina. Jeśli nie przyjdzie Frankie, Cookie zadowolony był tym facetem. Znał swój fach – Puszczał wszystko: Ushera, Drake'a, Miley, stary soul z lat osiemdziesiątych i klasykę Beatlesów.

To będzie idealny wieczór, pomyślała Max. Na pełnym luzie uczęzę osiemnastkę. A kiedy już skończę te osiemnaście lat, przeprowadzę się do Nowego Jorku, z dala od rodziców. Będę jak Bobby i sama ułożę sobie życie.

Co będę robić?

Jeszcze nie wiem.

Skoczyła do domu, żeby sprawdzić, czy zamknęła na klucz najważniejsze pokoje. Bardzo jej zależało, żeby nikt nie wchodził do środka. Lucky strasznie by się wkurzyła.

Harry poszedł za nią. Nażelowane kolce sterczały mu jeszcze wyżej niż zwykle.

- Powiedz Cookie, żeby odczepiła się od Paca – powiedział

podenerwowany. – Straszna z niej chciwuska. Leci na każdego, byle miał kutasa.

– A ten Paco to kto?

Blade policzki Harry'ego się zaróżowiły.

– Didżej.

– A dlaczego ci zależy, żeby się od niego odczepiła?

– Bo mam przeczucie, że ja mu będę bardziej pasował niż ona – wykrztusił Harry.

– O, cholera – zakląła Max ze zrozumieniem.

– Więc zrób coś z nią – prosił Harry.

– Spróbuję – obiecała Max. – Ale znasz Cookie...

Każdy znał Cookie. Jest zawsze tam, gdzie ktoś robi imprezę i gdzie znajdzie się jakiś przystojniak. Straciła dziewictwo z jednym ze znajomych swojego słynnego ojca, kiedy miała czternaście lat, i już było po niej.

Max trochę wkurzało, że w sprawie seksu została tak daleko w tyle, ale nie chciała się oddawać byle komu. Jej pierwszy raz miał być nadzwyczajny. Uparła się, że tego dopilnuje.



Wróciwszy do Nowego Jorku, Bobby wpadł do domu, sprawdził maile, wziął prysznic, przebrał się i wyruszył do Mood.

Zanim dotarł, zrobiło się po dziesiątej i klub jak zwykle był pełny. W środę mieli zawsze jakiś happening, a ponadto gościnne występy didżejów. Wszystkim się podobało, że dzieje się coś innego niż zwykle. Kierownik klubu, Paulo, układny Włoch, zapewnił go, że idzie świetnie.

Bobby zrobił obchód, zatrzymał się przy stolikach, postawił ludziom drinki, powiedział kobietom kilka komplementów. Nie miał fioła na punkcie odgrywania miłego gospodarza, ale robił to, bo wiedział, że tego typu zachowanie pomaga w interesach.

Martin Constantine – potentat nieruchomości – uparł się, żeby przyłączył się do niego i jego żony na kieliszek szampana. Kiedyś

Bobby zastanawiał się, czy nie zaprosić Martina do zainwestowania w przyszłe kluby. Postanowił tego jednak nie robić, ponieważ Martin nie dałby pieniędzy tak po prostu. Był człowiekiem, który chciałby mieć udział w zarządzaniu.

Nona nie flirtowała jak zwykle. Bobby poczuł ulgę. Nie udało mu się jeszcze wymyślić, jak zachowywać się wobec nadpobudliwych seksualnie żon bogaczy. Aż go dziwiło, jak wiele takich kobiet na niego leciało. Napalone żony stanowiły zagrożenie dla interesów, więc wołał ich unikać.

Wypił szybkiego drinka z Martinem i Noną, a potem usiadł przy stoliku Charliego Dollara i Coopera Turnera – dwóch lojalnych old-boyów z Hollywood, którzy nadal przyciągali tłumek pięknych dziewcząt. W podwiedłych gwiazdorch było coś, co sprawiało, że nie traktowano ich jak obleśnych starców. Prezentowali syndrom Jacka Nicholsona lub Ala Pacino.

Po pewnym czasie podszedł do niego Paulo i dyskretnie szepnął do ucha, że skandalizująca supergwiazda Zeena zaprasza go do swojego stolika.

Ojej, Zeena! Kilka razy przypadkowo się spotkali, ostatnio w Vegas. Niespodziewanie pojawiła się w jego kabinie prysznicowej i zrobiła mu lodę, a potem ogłosiła to na swoim koncercie i to podczas jego pierwszej randki z Denver. Niełatwo było taką wpadkę wytłumaczyć, co sprawiło, że związek z Denver miał burzliwy początek. Na szczęście wszystko dobrze się ułożyło, a teraz ostatnia rzecz, jakiej chciał, to żeby Zeena znowu wszystko spieprzyła.

Kazał Paulowi przypilnować, by nikt nie robił w klubie zdjęć, i uważać na komórki, a potem z niechęcią podszedł do stolika Zeeny. Jak zwykle siedziała w otoczeniu pochlebców, a także w towarzystwie swego najnowszego chłopaka, którym był wychudzony aktor z Anglii – odtwórca roli oszalałego na punkcie krwi wampira.

Zeena jak zwykle wyglądała oszalamiająco. Była pół Brazylijką, pół Indianką. Jej egzotyczna uroda potrafiła człowieka zahipnotyzować.

– Bobbee – wymruczała swoim niskim, ochryplym głosem. –

Zeena już zbyt długo się z tobą nie widziała. Gdzież to się podziewał mój Bobbee?

Spojrzał w jej kocie oczy i stwierdził, że choć kiedyś był w niej zadurzony, od dawna nic z tego nie zostało.

– Tu i ówdzie – powiedział swobodnie i podał rękę jej blademu chłopakowi.

– Może Zeena powinna cię odwiedzić – zaproponowała. – Chcesz?

Na to wampir odezwał się stanowczo:

– Nie. On by nie chciał i ja też nie.

Nareszcie! Zeena jest z kimś, kto nie boi się jej postawić.

Bobby roześmiał się, dzięki czemu rozluźniła się nagle mocno napięta atmosfera.

– Zeena jak zawsze żartuje – powiedział gładko i poklepał jej chłopaka po ramieniu. – Przyślę do waszego stoika jeszcze więcej szampana. Dobrej zabawy.

Zanim zdołała znów powiedzieć coś niestosownego, był już w drodze do następnego przedziału, gdzie Adrien Brody i jego przyjaciel Dieter Abt usadowili się w towarzystwie pięknych modeli i modelek.

Szybka ucieczka. Takie są najlepsze.



– Wiesz co – czule odezwała się Lucky – gdybym nie wiedziała, ile masz lat, nie dałabym ci ani jednego dnia ponad siedemdziesiątkę. Jesteś nadzwyczajny!

Gino ryknął śmiechem. O dziwo, nadal miał wszystkie zęby, a choć włosy mu posiwiały, to jednak trzymały się głowy. Wcale też nie przygarbił się z wiekiem.

– Jestem po dziewięćdziesiątce, dziecko. Wszystkich przeżyłem. I nie żałuję ani minuty swojego życia. Może tylko czasu, kiedy się do siebie nie odzywaliśmy.

– Ale to minęło, prawda? – westchnęła, wspominając ich słynne

klótnie.

– Jasne. Zresztą wiedziałem, że tak będzie – odpowiedział Gino z uśmiechem. – Łatwo się z tobą dogadać.

– Pewnie – stwierdziła Lucky z sarkazmem.

Siedzieli w ulubionej restauracji Lucky w The Keys – usytuowanej w ustronnym zakątku małej włoskiej knajpce trafnie nazwanej Gino's. Podawano tu ulubione dania Gina. Klopsy z czosnkiem i gęstym sosem pomidorowym. Makaron penne. Smakowite kotlety cielęce z ziemniakami pieczonymi po tokańsku i niezliczonym bogactwem warzyw. Plus cały zestaw różnych rodzajów pizzy z imionami najróżniejszych członków rodziny Santangelo w nazwach.

Paige postanowiła nie dołączać się do nich, twierdząc, że jest zmęczona, ale Lucky wiedziała, że Paige robi to dla niej. Pamięta bowiem, jak bardzo Lucky i Gino lubią być ze sobą sami, tylko We dwójkę.

– Jak tam mała Max? – zapytał Gino. – Nadal planuje Ucieczkę?

– Tak – ze smutkiem potwierdziła Lucky. – Nie da się jej powstrzymać.

– Podobna do ciebie, co? – powiedział Gino i pokiwał głową, wspominając przeszłość.

– Mam nadzieję, że nie. Byłam nieokiełznana.

– Nadal jesteś, dziecko, nadal jesteś.

– Dzięki, Gino, ale nie byłabym tego aż tak pewna.

– Ale ja tak. Po Santangelich odziedziczyłaś jaja. Dzięki temu zawsze wygrasz. Musisz nauczyć tego Max.

– Jest bystra, Gino.

– Ale nie tak jak ty w jej wieku.

– Ma czas, wszystkiego się jeszcze nauczy – przerwała mu Lucky.

– Czas leci szybko, dziecko, aż cię to zdziwi.

– Dla ciebie nie.

– Słuchaj – zaczął, przyciszając szorstki głos. – Jeśli chcesz wiedzieć, o czym myślę, to ci powiem. Wydaje mi się, że mam dopiero trzydzieści lat. – Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. – Co ty

na to?

– Super – odparowała Lucky. – A ja mam szesnaście i właśnie wychodzę za głupiego syna senatora, bo tata pomyślał, że mnie to usadzi. Życzę szczęścia.

– Znowu to samo – jęknął Gino. – Zawsze rozgrzebujesz przeszłość.

– Tylko się z tobą drażnię, Gino – odpowiedziała lekko. – Uwielbiam patrzeć, jak się irytujesz.

Znowu się uśmiechnęła i zrozumiała, że nie ma nic piękniejszego niż przebywanie z ojcem, zwłaszcza że nie wiadomo, ile czasu mu jeszcze zostało.



Willow Price otoczona była orszakiem młodych atrakcyjnych kobiet o włosach we wszystkich odcieniach blondu. Wszystkie stwierdziły, że chciałyby pochodzić po klubach. Billy nie miał nic lepszego do roboty, więc skoro już postawił im wszystkim kolację w drogiej restauracji, postanowił dołączyć do nich na przyczepkę. Własny wizerunek i tak już wymknął mu się spod kontroli i w pewnym sensie nawet mu to odpowiadało. Kiedy wychodził z restauracji z wielbioną przez tabloidy Willow Price i jej blond otoczką, miał gwarancję wrzenia w mediach. Skoro Venus wszędzie pokazywała się ze swym młodym gwiazdorem, a na dokładkę z siewającym reżyserem jej nowego filmu, wypadło, żeby on robił to samo.

Ponadto prawnik Venus poinformował prawnika Billy'ego, że jego klientka ma zamiar zatrzymać sobie ich wspólny apartament w The Keys. Wkurzyło go to, bo przecież zapłacił za niego połowę ceny. Kazał prawnikowi tego nie przepuścić. Do diabła z Venus. Do diabła z supergwiazdą, której się wydaje, że może mieć, co tylko zechce.

Dobrze się zastanów, kochana, myślał Billy. Może i jestem trzyznaście lat młodszy od mojej prawie eks, ale nie jestem popychadłem.

Ze względu na paparazzich Willow uczepliła się jego ramienia. Fotografowie zbiegli się jak wataha wściekłych psów. Wykrzykiwali

ich imiona, a pozostałe, nieznane blondynki kręciły się wokół nich z chichotem, wypinały cycki i szokowały długimi nogami, które widać było pod mikroskładnikami. Były zachwycone, że znalazły się wśród tego zamętu.

– Jeśli będziesz bardzo, bardzo grzeczny – szepnęła mu do ucha Willow, jednocześnie robiąc niewinną minę do zdjęć – pozwolę ci popatrzeć, jak wylizuję cipkę.

Nie zastanawiał się, o co jej chodzi. Co za przyjemność się przyglądać. Nie interesowało go coś, w czym sam nie brał udziału.

– E tam – wymamrotał. – Chodźmy do samochodu i jedźmy do River.

– Dobrze – mruknęła Willow. – To jest pomysł.

Ostatnia poza do zdjęć i już byli w drodze.

Rozdział piętnasty

Na początku impreza była spokojna. Nie było się do czego przyczepić i rodzice na pewno nie zauważyliby, że cokolwiek tu się działo. Jednak trzy godziny później panował całkowity chaos. Max nie potrafiła zrozumieć, jak do tego doszło. Spodziewali się siedemdziesięciu, może osiemdziesięciu osób, a tymczasem w zatrważającym tempie wciąż napływali nowi ludzie. Samochody pełne nastolatków, których nie znała, nie chciała znać i z którymi nic nie mogła zrobić. I nie tylko nastolatków. Pojawiło się mnóstwo starych rozpustników, zapewne agentów albo producentów, w szpanerskich porschach i bentleyach, nie wspominając o grupkach przypadkowych dziewcząt w skąpych strojach bez pleców, a nawet prawie i bez przodów.

Kilka osób przyniosło ze sobą alkohol. Chłopak w stroju Batmana wtaszczył beczkę piwa. Dwie dziewczyny przyszły z maszyną do robienia margarity. Niektórzy palili trawę, inni wciągali kokę. Cała chmara nagich kobiet i mężczyzn figlowała w basenie, a inni ostro pieścili się na patio. Czysty obłęd. Cookie i Harry nie byli ani trochę pomocni. Harry przyczepił się do didżeja Paca i nie dawał się od niego odciągnąć, Cookie natomiast wciągała kokę, piła i bawiła się na całego. Oboje byli naćpani. Całkiem odlecieli.

Max rzadko piła i nie brała dragów. Najwyraźniej była jedyna.

Ludzie zaczęli wchodzić do domu. Na dobre zadomowili się w

salonie, a grupka pijanych dziewczyn próbowała włamać się do sypialni Lucky i Lenniego.

Max spanikowała i zaczęła się zastanawiać, czy anonimowo nie zadzwonić na policję ze skargą na hałas. Stwierdziła jednak, że lepiej nie, bo napisaliby raport o zakłóceniu porządku i Lucky z Lenniem dowiedzieliby się o wszystkim. Niezbyt inteligentny pomysł.

Ale co zrobić, żeby zatrzymać inwazję?

Lucky by się totalnie wpieniła, gdyby się dowiedziała, co tu się dzieje. Max wiedziała, że na parę tygodni, a może i miesięcy dostałaby szlaban. Nie mogłaby normalnie żyć.

Ale chwileczkę, pomyślała. Przecież kończę osiemnaście lat. Nie mogą mnie uziemić.

A może jednak? Mogliby zabrać jej kieszonkowe i nie zapłacić za bilet do Nowego Jorku, a także nie dać kasy na sześć miesięcy czynszu, co miało być prezentem urodzinowym od mamy.

Wzięła się w garść i stawiała czoło dziewczynom, które chciały włamać się do sypialni Lucky.

Kazały jej się odpieprzyć.

Wrzasnęła, że to jej dom i one niech się odchrzanią, a jeśli nie, zadzwoni po gliniarzy i oskarży je o naruszanie cudzej własności.

Odwzajemniły się kilkoma wulgarnymi gestami i obelgami, a potem chwiejnym krokiem odeszły.

Max załowała, że nie zaprosiła Ace'a – wiedziałby, co robić. Jeśli o nią chodzi, to impreza urodzinowa przekształciła się w koszmar nie do opanowania. Czowała się całkiem bezsilna.

Lucky wiedziałyby, co zrobić. Zawsze ze wszystkim sobie radziła.

Cholera. Dlaczego w takich sytuacjach nie jest podobna do matki?



Natarczywy dzwonek do drzwi nagle poderwał Bobby'ego ze snu. Po omacku znalazł zegarek i stwierdził, że jest czwarta rano. Cholera! Kto może dobijać się do jego mieszkania o czwartej rano? I co, do diabła, robi portier, że pozwolił, aby ktoś tu przyszedł bez zapowie-

dzi?

Mrucząc do siebie, wygramolił się z łóżka i ruszył w stronę drzwi w samych majtkach od Calvina.

Nagle zatrzymał się. Znieruchomiał. Tylko jedna osoba miałaby odwagę przyjść z wizytą o tej porze. Zeena.

Oczywiście!

Dzwonek dalej alarmował, a on stał cichutko w korytarzu i zastanawiał się, co robić.

Przyszło mu do głowy, że odpowiedź jest tylko jedna – nie robić absolutnie nic i mieć nadzieję, że nachalna gwiazda odejdzie w swoją dal. Nie pierwszy raz pojawiała się w jego mieszkaniu o nieludzkiej porze. Była cholernie uparta i kiedy czegoś chciała, spodziewała się, że to dostanie. A dziś w nocy najwyraźniej chciała jego.

Łączyły ich wspólne dzieje. Dawno, dawno temu nieco się w niej zadurzył. Przyszła do jego nowojorskiego mieszkania i rzucili się na siebie jak para dzikusów. Ale jeden raz mu wystarczył. Zadurzenie minęło. Niestety ona nadal się za nim uganiała, czego szczytowym przejawem była krępująca scena pod prysznicem tego samego wieczoru, kiedy po raz pierwszy umówił się z Denver. To dopiero wspomnienie. Wdarła się do jego pokoju hotelowego w Vegas, rozebrała do naga i bez zaproszenia zakradła do kabiny prysznicowej.

Od tamtej pory nie miał z nią żadnego kontaktu, a wieczorem w klubie cieszył się, że Zeena ma nowego faceta.

Ale najwyraźniej nie był on w stanie zaspokoić jej apetytu, bo była pod jego drzwiami.

I co ma z tym zrobić?

Po prostu nic.



– Kto chce iść na imprezę w Malibu? – rzucił Frankie w stronę Billy'ego, Willow Price i ich fanek.

– Czyja to impreza? – spytał Billy.

– Co za różnica – odparowała zawsze gotowa do zabawy Wil-

low. – Kiedy tam dotrzemy, na pewno będzie nasza.

Jakiś czas posiedzieli w klubie. Frankie poczęstował ich najlepszą trawą i upewnił się, że wszystkie drinki dostają na koszt firmy. Narwane przyjaciółki Willow tańczyły na stołach do muzyki Kąty Perry, a Willow przyglądała się ich baraszkowaniu i z tajemniczym uśmiechem wyobrażała sobie, co będzie z nimi robić później.

Billy odpoczywał. Wypił jeden lub dwa kieliszki wódki. Sprawiał wrażenie znudzonego. I rzeczywiście był znudzony. Dziewczyna, którą poderwał przy Melrose, go nie zaspokoila. Chwilowo – tak. Ale miał ochotę na coś więcej niż szybkie obciążanko nad basenem. Ostatnio rozmyślał nad tym, jak pokrzepiające byłoby znaleźć kogoś, z kim mógłby porozmawiać.

Willow na pewno się do tego nie nadawała, a tym bardziej banda jej fanek. Ale jak na razie utknął właśnie z nimi.

Tymczasem Frankie kipiał energią. Celebryci w klubie to plus dla interesu, a on rozkwitał w towarzystwie kogoś sławnego. Jakby to uzasadniało istotę jego istnienia.

Kilka razy dzwoniła do niego Cookie z pytaniem, kiedy dotrze na imprezę w Malibu. Przy ostatnim telefonie zapewnił ją, że już jest w drodze. Cookie była jego przepustką do lepszego życia, więc nie miał zamiaru jej zawieść. Na pewno będzie pod wrażeniem, kiedy przyjedzie z dwiema największymi gwiazdami w okolicy – czyli z Willow i Billym.

Po chwili udało mu się skrzyknąć tych dwoje i dziewczyny.

– Na dole czeka na nas kilka limuzyn, czas się zbierać – powiedział. – Przekąski w autach – dodał z porozumiewawczym mrugnięciem. Zastanawiał się, czy ma jakiegokolwiek szanse u Willow – bo krążyły pogłoski, że jest zatwardziałą lesbą.

Ale co tam, on jest przecież Frankiem Romano, więc kto wie, co może się zdarzyć.



Max poczuła, że traci grunt pod nogami, więc chwyciła butelkę

piwa i uciekła na plażę. Nie miała innego pomysłu. Może jeśli zostawi za sobą ten chaos, wszyscy zabiorą się do domu.

Pobożne życzenia.

A w ogóle, to kto miał taki głupi pomysł, żeby urządzić imprezę?

Ja! Ja! Ja!

Cookie i Harry są do niczego. Wyobrażała sobie, że będą lojalnie przy niej trwali, ale okazało się, że impreza pozbawiła ich ludzkich uczuć i myśleli tylko o sobie. Harry'ego nie obwinięła za nadto. Nareszcie znalazł geja, do którego mógł się przyczepić, i nie miał zamiaru rezygnować z takiej okazji.

Dlaczego ja nie mogę się bawić? – pomyślała. Naćpać się i upić jak wszyscy?

Bo nie ma nikogo, z kim mogłabym to zrobić. Poza tym należę do rodziny Santangelo – nie potrafię przestać czuć.

Osunęła się na piasek, zamknęła oczy i pozwoliła ukołysać się hipnotycznym odgłosom fal, które miarowo uderzały o brzeg.



Denver spędziła kilka godzin z Carolyn i Vanessą. Cały czas była skrępowana. W drodze do domu miała mieszane uczucia. Co Carolyn sobie myśli? Jak to możliwe, że nagle postanowiła być homoseksualistką?

Przyjaźniły się od dwunastego roku życia. Wszystkim się dzieliły – swoimi przemyśleniami, marzeniami i kłopotami w relacjach damsko-męskich. A teraz Carolyn postanowiła iść odmienną drogą, Denver zaś nie mogła się oprzeć uczuciu, że w pewien sposób została porzucona. Nie żeby nie lubiła Vanessy, która okazała się ciepła i życzliwa. W sumie była bardzo miła. Więc o co właściwie chodzi?

Jestem zazdrosna? – pomyślała. Czuję, że Carolyn mnie opuszcza?

A może przeczuwała, że kończy się ich przyjaźń, bo jeśli Carolyn i Vanessa będą parą, dla niej może już nie być miejsca? Smutne, ale prawdziwe.

Bardzo potrzebowała, żeby w domu czekał na nią Bobby.

Ale Bobby był w Nowym Jorku, więc musi się bez niego obejść. Oto jedna z trudności ze związkami na odległość. Rozłąka jest paskudna.



Kiedy tylko znaleźli się na przyjęciu, Billy stwierdził, że nie ma ochoty na towarzystwo nieznajomych ćpunów, którzy schlebiali mu tylko dlatego, że zagrał w hicie kasowym. Gdyby nie był gwiazdorem, mieliby go w głębokim poważaniu. Byłby jeszcze jednym przystojniakiem, który szuka okazji. Znał to z własnego doświadczenia z czasów, kiedy przyjechał do Hollywood bez pieniędzy i w zasadzie bez perspektyw. Niezliczone przesłuchania prowadziły donikąd. Spał na podłodze u znajomych, zarabiał na życie jako kelner, aż nastąpił przełom, o który się modlił. Nie był wprawdzie nadmiernie religijny, ale nigdy nie zaszkodzi trochę się pomodlić. Jego wielką szansą był film Alexa Woodsa *Uwiedzenie*, gdzie grał z niewiarygodnie sławną Venus.

I tak to się zaczęło. Jego zwariowana kariera. Droga do gwiazdorstwa, ślub z Venus i wszystkie głupoty, które się z tym wiązały.

Impreza i wszyscy ci goście działali mu na nerwy, więc po piętnastu minutach nic nieznaczących rozmów ruszył w stronę schodów, które prowadziły na plażę, a całe zbiorowisko zostawił za sobą.

Kiedy spacerował po piasku, zauważył zwiniętą w kłębek przy skale dziewczynę. Podszedł do niej.

– Hej! – Ostrożnie szturchnął ją stopą. Mam nadzieję, nie jest chora ani martwa, ani nie dzieje się z nią nic okropnego, pomyślał. – Nic ci nie jest?

Max usiadła przestraszona. Wow! Wypiła piwo, zamknęła oczy i odpłynęła. A tymczasem ktoś ją tu nakrył.

– Hmm. Nic mi nie jest. Przepraszam – odparła sztywno, nieco zawstydzona.

Podał jej rękę.

Przyjęła ją i wstała.

– Co tu robisz sama? – zapytał.

– Pewnie to samo, co ty – powiedziała, odgarniając z twarzy burzę włosów. – Uciekłam od tych idiotów.

Billy roześmiał się i jeszcze raz przyjrzał seksownej dziewczynie z kruczoczarnymi lokami i prześliczną twarzą. Ubrana była w podarte, rockandrollowe jeansy, krótką bluzkę zawiązaną pod biustem, a na smukłej szyi miała mnóstwo srebrnych łańcuszków i krzyżyków. Zmrużył oczy.

– Znam cię – powiedział i pomyślał, że gdzieś już ją chyba widział.

– A ja ciebie – odparła z oczami wlepionymi w prawdziwie męskiego gwiazdora o zmierzwionych włosach i przenikliwych, błękitnych oczach oraz pięknie wyeksponowanych mięśniach, które falowały pod obcisłym czarnym T-shirtem i czarnymi spodniami. Oczywiście, że go znała. Jak każdy.

– Widziałas mój film, co? – powiedział Billy i pomyślał, że sława przydaje się, kiedy trzeba zagaic z kimś nowym. A dziewczyna była odlotowa – i nie miała w sobie nic z pospolitej cizi. Ciziwaty zastęp nagich fanek zostawił razem z Willow w basenie. Żadna ani trochę go nie obchodziła.

– Tak się składa, że nie – skłamała Max i pomyślała, że na żywo Billy wygląda o wiele lepiej. Jego ostatni film widziała dwa razy, ale tego mu nie powie.

– No to skąd się znamy? – spytał Billy i nagle zdał sobie sprawę, że wypalił za dużo trawy i wypił znacznie za dużo wódki, co było jednym z powodów, dla których się wybrał na spacer wzdłuż plaży. Chciał ochłonać.

– Hmm... byłeś mężem najlepszej przyjaciółki mojej mamy – wykrztusiła Max.

– Co to za przyjaciółka?

– Venus.

Billy przez chwilę miał zszokowaną minę.

– Więc ty jesteś...

– Tak. Max. Córka Lucky.
– Chyba mnie wkręcasz! – krzyknął.
– Dlaczego miałabym to robić? – zapytała niewinnie.
– O rany! – zawołał, a w tym czasie przez głowę przelatywały mu najróżniejsze myśli. – Wydawało mi się, że poznałem ten dom. Chyba kilka razy tu byłem. – Chwilę milczał, a potem zapytał: – Gdzie są Lucky i Lennie?

– Lucky w Vegas. Lennie kręci film – odparła Max. Trochę ją przytknęło, bo oto stał przed nią Billy Melina. Obok Johnny'ego Deppa i Roba Pattinsona jeden z jej ulubionych aktorów. Od paru miesięcy, czyli od czasu, kiedy zobaczyła jego ostatni film, potajemnie się w nim podkochiwała.

– Tylko mi nie mów, że to twoja impreza? – spytał z lekkim zakłopotaniem Billy. Gestem wskazał dom w oddali. Dochodził stamtąd ryk muzyki i błyskało światło. Na dokładkę ktoś puszczał fajerwerki, które co kilka minut rozświetlały niebo. Panował nieopisany hałas.

– Niestety tak – przyznała. – Totalna katastrofa, co?

– Muszę coś zrozumieć – powiedział nieco zdumiony Billy. – Więc chociaż to jest twoje przyjęcie, jesteś tu sama na plaży, bo...?

– Już ci przecież mówiłam: to kompletny koszmar – stwierdziła, bezsilnie wzruszając ramionami. – Odważyłam się uciec. Dziwisz mi się?

– Hmm – powiedział i obrzucił ją długim, pytającym spojrzeniem. – A mama i tata wiedzą, że masz gości?

– A jak myślisz? – odparła, patrząc prosto w jego wyraziste, błękitne oczy.

– Niech no zgadnę... nie wiedzą.

– A ty na pewno im o tym nie powiesz, co?

– Ej – rzucił i wzruszył lekko ramionami. – Przecież nie rozmawiamy ze sobą od czasu, kiedy Venus nic tylko obrzuca mnie błotem.

– No tak – zgryźliwie powiedziała Max. – Ciocia Venus.

– Ej, cholera! – jęknął ze śmiechem Billy. – Nie mów tak, bo

czuję się wtedy stary.

- Przecież jesteś stary, nie? – powiedziała odważnie.
- Mam trzydziestkę, dziecinko. A ty?
- Osiemnaście. – Nie było to takim znowu wielkim kłamstwem,

bo do urodzin zostały jej tylko trzy dni.

Wymienili długie spojrzenia, aż dreszcz przeszedł jej wzdłuż kręgosłupa.

Czy to się dzieje naprawdę?

Tak. Z całą pewnością.

- Hej – mruknął i odwrócił wzrok. – Chcesz się przejść?

Skinęła głową. Przecież to Billy Melina. Nie może mu odmówić.

Zaczęli iść wzdłuż brzegu i po chwili Billy się rozgadał. Im dłużej mówił, tym bardziej go lubiła. Opowiadał jej o filmie, który właśnie kręci, oraz mnóstwo ciekawych i śmiesznych historyjek o aktorach i filmowcach. Potem ona opowiedziała mu o tym, że chce się przeprowadzić do Nowego Jorku i zacząć nowe życie z dala od rodziców. Było super, bo on naprawdę jej słuchał. Powiedział, że to świetny pomysł i stanowczo powinna tak zrobić.

Tak. Poza ekranem był o wiele fajniejszy niż w filmach. Kilka razy widziała go z daleka z Venus. Jak przez mgłę pamiętała, że żartował i śmiał się z Lucky i Lenniem na otwarciu The Keys. Nigdy przedtem nie zwracał na nią uwagi, ale teraz było inaczej. Byli tylko we dwójkę i porządnie między nimi iskrzyło.

Zastanawiała się, czy on też to czuje.

Nagle ogarnęło ją przemożne pragnienie, żeby go dotknąć, poczuć jego skórę przy swojej, doświadczyć wszystkiego, co może jej dać.

O Boże! Czy to wreszcie to? Czy nareszcie spotkała swojego wybranka? A jest nim Billy Melina.

Facet, który wkrótce będzie byłym mężem najbliższej przyjaciółki mamy.

Odlotowy gwiazdor.

Czy może być lepsza okazja, żeby stracić dziewictwo?



Czasem Frankie wdawał się w bójki. Przecież miał wrogów. Manager klubów, z którym kiedyś się poprzytykał, zaczepiał pławiącą się w basenie Willow i jej nagie nimfy. Obrzucał je wyzwiskami i w ogóle zachowywał się okropnie.

Frankie siedział na leżaku koło rozchichotanej i mocno naćpanej Cookie.

– Zrób coś! – syknęła mu do ucha.

No więc zrobił, ale oberwał tak, że na chwilę stracił przytomność.

– Cholera! – krzyknął potem, obmacując sobie szczękę. Zastanawiał się, od kiedy jest obrońcą lesbijek. – Ten dupek mógł mi powybijać zęby.

– Ale nie powybijał – usłyszał beztróskie słowa Cookie.

A to dlatego, że wzięli go za bary dwaj krzepcy geje, którzy uwielbiali Willow Price i zrobiliby dla niej wszystko.

– Gdzie byli, kiedy ich potrzebowałem? – żalił się Frankie.

– Już nieważne – zagruchała do niego Cookie. Kazała mu wstać i zaprowadziła go do domu. – Zrobię ci loda i na pewno od razu się poczujesz duuużo lepiej.

Okolo czwartej rano zabawa zaczęła dogasać. Jeszcze tylko kilku niedobitków pałętało się po salonie. Harry pomagał didżejowi pakować sprzęt.

Cookie nie miała pojęcia, gdzie podziała się Max, ale jej to nie obchodziło. To był czas dla niej i Frankiego, nie tylko dzięki kokainie.

Czuła się jak w siódmym niebie.



– Może powinniśmy wrócić do domu? – zaproponował Billy.

– Jasne – powiedziała Max, w pełni świadoma, że dzieje się między nimi coś wielkiego, przyciąga ich do siebie niepokromiona wręcz siła.

– Albo... – Zbliżył się do niej i położył jej dłonie na ramionach. – Moglibyśmy tu zostać.

Tak! On też to czuje! O cholera!

Pochyliła się odrobinę w jego stronę.

- Może właśnie tak powinniśmy zrobić – wykrztusiła.
- Pewnie masz rację – odparł.

Potem, zanim zdołała jeszcze coś powiedzieć, jego usta przylgnęły do jej warg, nagłące i silne.

Odwzajemniła pocałunek. Przez jej ciało przebiegały dreszcze podniecenia – tak silne, że nie mogła się doczekać, kiedy zedrze z siebie ubranie albo on to zrobi.

Po kilku chwilach zaczął rozwiązywać jej bluzkę, a potem ściągnął ją i opuszkami palców zaczął pieścić jej piersi. Najpierw ścisnął je ze sobą, a potem schylił głowę, żeby wolniutko posać każdy sutek.

– Billy – mruzczała, masując go dłonią między nogami, tak jak lubił Ace, tylko to nie był Ace, z którym dalej się nie posunęła. To Billy Melina, gwiazdor filmowy, znajomy jej rodziców, wkrótce eksmąż Venus.

Zresztą nieważne. Już nic się nie liczyło, chciała tylko, żeby był blisko niej.

W pośpiechu zdarł z siebie T-shirt i rzucił go na piasek, a potem jakimś sposobem sprawił, że leżała na koszulce, a on na niej. W ciągu kilku minut oboje byli nadzy i całkiem w siebie zatopieni.

Billy niejasno zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego robić z córką Lucky. Gdyby Venus się o tym dowiedziała, dostałaby szału. Ale rety, nie czuł się tak od czasu, kiedy po raz pierwszy w życiu kochał się ze swoją dziewczyną ze szkoły średniej. Max miała w sobie coś niezwykłego. Była całkiem inna niż pierwsza lepsza przygodnie poderwana dziewczyna.

Tak – z jednej strony wiedział, że będzie miał z tego same kłopoty. Z drugiej nic go to obchodziło.

Max miała podobne odczucia. Poddała się wrażeniom, które całkowicie ją zawładnęły. To było to. To był mężczyzna, dla którego zachowała dziewictwo. Nic nie mogło powstrzymać tego, co nieuniknione, więc do diabła z konsekwencjami.

Zaczął się z nią kochać, spokojnie i powoli, ale zdecydowanie.

Zamknęła oczy i poddała się rytmowi jego ruchów.

Pięknie pachnie, myślała. Aromat mydła zmieszany z wonią męskiego ciała.

Max pachnie jak słodki grzech, pomyślał. Odłot nie z tej planety.

Mogłabym umrzeć za jego ciało

Max ma ciało, o którym marzę

Gładka skóra

Napięte mięśnie

Naprężone sutki

Jej – jak pełne róże

Jego – czarne jak noc

Chyba się zakochałam

Zatraciłem się w pożądaniu

Pierwszy raz

Zmysłowy dotyk

Czysty pot

Lawina pożądania

Skok do nieba

Idę na całość

Czuję jego siłę

Czuję jej przyzwolenie

Robimy to razem

Delikatnie

Miękko

I twardo

Z zapartym tchem

Wow!

Niezwykłe

Zakazany owoc

Ledwie dojrzały

Uderza do głowy

Odurza

Doprowadza do ekstazy

I w końcu
Razem

Rozdział szesnasty

Kiedy Armand wrócił do Nowego Jorku, przedstawiciel lotniska przeprowadził go przez kontrolę celną, a potem zabrał do zaparkowanej przy prywatnym wyjściu limuzyny, w której czekał na niego Fouad. Przeważnie towarzyszył Armandowi w podróżach do Akramsza, ale tym razem szef chciał lecieć sam.

Fouad nie zdążył nawet otworzyć ust, a Armand już pytał go o The Keys.

To takie dla niego typowe, pomyślał Fouad. Nie traci czasu na pogawędki, od razu bierze się do interesów.

– Jutro mamy umówione spotkanie w Vegas – powiedział Fouad, odchrząknąwszy. – Nielatwo było to załatwić. Jak już mówiłem wcześniej, prawnik tej Santangelo twierdzi, że nie interesuje jej sprzedaż, więc poinformowałem go, że być może będziemy zainteresowani finansowaniem jej nowych inwestycji. Dałem mu do zrozumienia, że dysponujemy praktycznie nieograniczonym kapitałem.

– Mój Boże! – drwiąco prychnął Armand.

– Tylko tak byłem w stanie umówić spotkanie – wyjaśnił Fouad.

– Co za idiota – mruknął Armand.

– Tymczasem kazałem przygotować zestaw informacji na temat Lucky Santangelo – powiedział Fouad i podał Armandowi grubą kartonową kopertę. – Stwierdziłem, że mogą być interesujące. Dla mnie były.

– Interesujące? – Fouad się skrzywił. – Pokaż mi interesującą kobietę, a ja pokażę ci wybryk natury.

– Nie jest kimś przeciętnym – spokojnie stwierdził Fouad. – Na twoim miejscu przeczytałbym to.

– Niestety masz pecha, bo mną nie jesteś – odparł Armand z nutką pogardy, po czym rzucił kopertę na podłogę limuzyny.

Fouada takie zachowanie w ogóle nie dziwiło. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Armand zrobił się jeszcze bardziej arogancki i konfliktowy. Fouad zdawał sobie sprawę, że przyczyną jest pogłębiające się uzależnienie od kokainy i to go martwiło. Kiedyś Armand brał kokę dla rozrywki, ale ostatnio potrzebował jej bez przerwy.

Fouad był zdecydowanie przeciwny jakimkolwiek narkotykom, ale kiedy usiłował zwrócić Armandowi uwagę, że przestaje panować nad swoim uzależnieniem, ten zaczął wrzeszczeć i dostał typowego dla siebie ataku szału.

Kiedyś lubił pracować z Armandem, ale od czasu, kiedy się ożenił i ułożył sobie życie, ten przestał go traktować jak równego sobie i coraz bardziej podchodził do niego jak do pracownika.

Fouadowi bardzo się to nie podobało, ponieważ Armand co chwilę go obrażał.

– Matka chce z tobą rozmawiać – powiedział Fouad z nieprzeniknioną miną. Wiedział, że matka Armanda, Peggy, jest jedyną kobietą na świecie, nad którą Armand nie potrafi panować.

– Powiedziałeś jej, że wyjechałem? – spytał Armand głosem, który mógłby zabić.

– Przecież wie – cicho odparł Armand. – Znakomicie pamięta, kiedy co roku jeździsz do naszego kraju.

– No więc?

– Prosiła, żebyś natychmiast po przyjeździe do niej zadzwonił.

Armand spojrział na niego wilkiem. Ale wziął komórkę i zadzwonił.



Od czasu śmierci Sidneya Peggy Dunn coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że bez bogatego męża u boku jest tylko jeszcze jedną samotną wdową na Manhattanie. Na początku przyjaciele się starali i pilnowali, aby nadal umieszczano ją na listach gości zapraszanych na kolacje, uroczystości i przyjęcia. Ale mijał miesiąc za miesiącem i zaczęła zauważać, że zaproszenia przychodziły coraz rzadziej, aż w końcu cudem było, jeśli ktoś ją zaprosił raz w miesiącu. Raz w miesiącu! Dla kobiety, która przyzwyczała się bywać gdzieś pięć dni w tygodniu, było to szokiem. Miała sześćdziesiąt lat, o dziesięć mniej niż Raquel Welch, i tak jak Raquel nadal była atrakcyjną kobietą. Nie tak piękną jak osiemnastoletnia dziewczyna, którą król emir Amin Mohamed Jordan porwał z chóru rewii w Las Vegas i zabrał do Akramszarzu, by została jego piątą żoną, ale i tak piękną. Włosy – dzięki jednemu z najlepszych fryzjerów w Nowym Jorku – nadal miała płomiennie rude. Skórę bez skazy, gładką i zadbaną dzięki cotygodniowym wizytom u kosmetyczki i masażom dwa razy w tygodniu. Ciało całkiem znośne, chociaż nie mogła się pozbyć pięciu kilogramów ponad swoją idealną wagę.

Kiedy umarł Sidney, spodziewała się, że jeszcze kogoś pozna. Niestety tak się nie stało, a nie lubiła być sama.

Była zła na swojego jedynaka Armanda, który został słynnym biznesmenem, w dodatku wyłącznie dzięki pieniądзом otrzymanym od króla na dwudzieste pierwsze urodziny, a następnie dzięki radom Sidneya, jak mądrze je zainwestować.

Armand był miliarderem dzięki dwóm mężczyznom jej życia. To jej zawdzięczał swoje powodzenie. I jak się odplacał? Nie zauważyła ani krztyny wdzięczności. Póki żył Sidney, co kilka tygodni jadali kolację we troje, ale od jego niefortunnej śmierci prawie syna nie widywała, a kiedy do niego dzwoniła, zawsze miał jakieś wymówki związane z pracą. Co więcej, Armand nie ożenił się, więc nie miał dzieci. W wieku czterdziestu dwóch lat nadal był kawalerem.

Peggy uważała, że to nie w porządku, że nie obdarował jej wnucami. Przez jakiś czas martwili się z Sidneyem, że jest homoseksualistą, ale spotykali go na różnych uroczystościach i zawsze miał przy

sobie ładną dziewczynę, więc przestali się o to niepokoić.

– Po prostu późno zaczyna – zapewniał ją Sidney. – Na razie nie chce się z nikim wiązać. To zrozumiałe.

Sidney zawsze potrafił wszystko mądrze wyjaśnić. Bardzo za nim tęskniła.

Nadszedł jednak czas, aby coś z Armandem zrobić i miała zamiar się za niego wziąć. Jeśli nie potrafi sobie znaleźć żony, ona mu kogoś wybierze. To jej macierzyński obowiązek.

Kiedy do niej zadzwonił, była gotowa.

– Jak twoja podróż, Armandzie? – zapytała.

– Jak zwykle – odpowiedział.

– A król?

– Tak samo.

– Ma jakieś nowe żony?

– Nie zwracam na takie rzeczy uwagi.

Oczywiście, że nie zwraca, pomyślała Peggy, nieco poirytowana, że syn ze swoich dorocznych wizyt nigdy nie przywozi pikantnych plotek.

– W każdym razie – stwierdziła – chcę się z tobą zobaczyć.

– Kiedy wrócę – obiecał Armand, zastanawiając się, o co jej, do diabła, chodzi.

– Właśnie wróciłeś. – Peggy podkreśliła to, co oczywiste.

– Wiem – odparł niecierpliwie. – Ale dziś wieczorem lecę do Vegas na ważne spotkanie.

– O której?

– Czy to ważne?

– Tak, Armandzie – powiedziała spokojnie. – Bo ja lecę z tobą.

Rozdział siedemnasty

Kiedy Bobby obudził się w czwartek wczesnym rankiem, czuł się z siebie zadowolony. O czwartej nie otworzył drzwi, a na pewno dzwoniła Zeena. Obawiał się jedynie, że może z nią być ochroniarz, który umiałby wyłamać zamek. Na szczęście nie doszło do tego. Po piętnastu minutach dzwonienie ustało i mógł wrócić do łóżka. Nadszedł ranek i teraz już nic mu nie groziło.

A niech tam! Co za wariactwo! Bać się supergwiazdy o chorym ego, która desperacko chce mu się dostać do majątek! Niewiarygodne!

Ogolił się, wykąpał, a potem zadzwonił do Denver, która była już w pracy.

– Mam nadzieję, że uda mi się złapać samolot o trzeciej – powiedział. – Co oznacza, że jeśli nic się nie spóźni, będziemy razem koło szóstej.

– Hmm... Miałbyś ochotę na kolację u moich rodziców? – odważyła się zaproponować. Uznała, że nadszedł już odpowiedni czas. – W mojej rodzinie jest tradycja wspólnych kolacji we czwartki, a skoro jeszcze nikogo nie poznałeś, stwierdziłam...

– To znaczy, że naprawdę chcesz przedstawić mnie rodzinie? – droczył się z nią. – Naćpałaś się, czy co?

Roześmiała się niepewnie.

– Czyli zgadzasz się?

– No jasne!

– Więc uznaj się za zaproszonego.

– Super! Fantastycznie!

Stwierdził, że idzie ku lepszemu. Nareszcie pozna rodzinę Denver. Nie mógł się już doczekać.



– Dzień dobry – powiedział wysportowany i opalony Billy. Zmierzwił blond włosy opadały mu na czoło.

Max przeturlała się po piasku i wolno otworzyła oczy. Oto on – Billy Melina. Stoi nad nią ze szklanką soku pomarańczowego. Więc to nie był szalony sen? Jest tu i ja też tu jestem.

– Skąd... skąd to masz? – zapytała.

– Od ciebie z domu – odpowiedział spokojnie. – Przykro mi, ale muszę ci to powiedzieć. Masz tam niezły meksyk. Będziemy musieli zamówić ekipę do sprzątnięcia.

„My”! Powiedział „my”. Ale czad!

Słońce dopiero wschodziło i było chłodno. Choć trochę dygotała z zimna, próbowała przypomnieć sobie szczegóły poprzedniej nocy. To, co robili z Billym, pamiętała niejasno, jak przez mgłę. Co do jednego ma pewność – było cudownie i nawet przez chwilę niczego nie żałuje.

– Nadal tu jesteś – mruknęła i wyciągnęła ramiona nad głowę.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział wesoło. – A co myślałaś, że ucieknę i cię zostawię?

Spojrzała w jego superbłękitne oczy i uśmiechnęła się szeroko.

– Nie zrobiłbyś czegoś takiego, co? – powiedziała radośnie.

Odwzajemnił uśmiech.

– Nie – stwierdził szczerze. – Nie zrobiłbym.

– Tak myślałam.

– Ale dobrze mnie znasz – zażartował, po czym osunął się na piasek i objął ją ramieniem.

Przytuliła się do niego.

– Wiesz, że wczoraj to był mój pierwszy raz – wymamrotała

cichutko.

– Tak – powiedział i kiwnął głową. – Zorientowałem się.

– I nie byłeś rozczarowany? – zapytała. Umierała z ciekawości, co odpowie.

– Żartujesz? – Rzucił jej pytające spojrzenie. – Dotrwałeś do osiemnastki. To prawie rekord.

– Hmm... tak naprawdę to osiemnaście skończę dopiero w sobotę – wyznała. Postanowiła, że lepiej być z nim szczerą. – Trochę ściemniłam.

– Ojej! – jęknął.

– Co?

– To znaczy, że to, co zrobiliśmy, jest sprzeczne z prawem.

– W pewnym sensie – wtrąciła szybko.

– W pewnym sensie to nie odpowiedź – mruknął i wyobraził sobie nagłówki gazet, gdyby ktoś się dowiedział. – Wiesz, że mogliby mnie za to wpakować do kicia?

– Ale kto się dowie?

– Ty, ja i nikt więcej, dobrze? – Billy głośno przełknął ślinę.

– Dobrze – zgodziła się.

– To znaczy, że nie możesz nikomu powiedzieć. Naprawdę nikomu. Rozumiesz?

– A komu miałabym mówić? – zapytała, odzyskując nieco pewności siebie.

– Po pierwsze Lucky.

– Chyba zwariowałeś! – krzyknęła. – Lucky jest ostatnią osobą, której bym coś takiego powiedziała.

– A kto pierwszą?

– Nie wiem – odparła wymijająco. – Pewnie czasopisma „The National Inquirer”, „Star”, „TMZ”.

Położył się na niej i ze śmiechem poturlali się razem po piasku. Rozlali sok pomarańczowy, ale żadne z nich się nie przejęło.

– Jesteś zabawna.

– Staram się – odpowiedziała, nagle tracąc dech w piersiach.

– I straszna z ciebie kłamczucha – dodał już miłym głosem.

- Przepraszam – odparła z uczuciem, że jest w siódmym niebie.
- Ale cię lubię – dodał szybko.
- A ja ciebie – odpowiedziała równie pośpiesznie.
- Jejku, przecież to wariactwo, co? – szepnęła i dotknęła jej twarzy.

- Jeszcze jakie – odparła, z zachwytem wpatrując się w błękit jego oczu i czując na sobie ciężar jędrnego ciała.

Tak naprawdę słowo wariactwo łagodnie określało sytuację. Sama impreza to drobiazg, ale gdyby Lucky i Lennie dowiedzieli się o jej namiętnej nocy z Billym, chyba dostaliby szału! Utrata dziewictwa pewnie by nimi nie wstrząsnęła. Ale z kim? Z Billym Meliną! Absolutnie NIE!

A w ogóle, czym tu się przejmować? Właśnie przeżyła najfantastyczniejszą, najcudowniejszą noc swojego życia. A teraz chciała pobyć sama, żeby jeszcze raz przemyśleć każdy magiczny, fantastyczny moment.

- Pewnie powinniśmy ruszyć tyłki i iść do domu – odezwał się Billy.

- Pewnie tak – powiedziała zmartwiona zniszczeniami, jakie za chwilę zobaczy.

- Ostrzegam cię... nie będziesz zadowolona. – Billy skoczył na równe nogi i pomógł jej się podnieść.

- Ktoś tam jeszcze został?

- Kilku maruderów.

Miała nadzieję, że znajdą się wśród nich Cookie i Harry, ale bardzo w to wątpiła. Raczej oboje się zwinęli i zostawili ją na pastwę losu; to było bardziej w ich stylu.

- Jest bałagan?

- I to jaki.

- Co mam zrobić? – jęknęła. – Jak się z tym uporać?

- Nie martw się.

- No tak – powiedziała, szukając rozwiązania. – Przynajmniej w południe przychodzą gospodynie.

- Pojedyncze sprzątaczkę nie dadzą sobie rady. – Billy pokręcił

głową.

– Tak myślisz? – zapytała nerwowo.

– Ee tam – mruknął i pociągnął ją w stronę schodów, które prowadziły do domu. – Już zadzwoniłem do mojego managera. Zamówił ekipę sprzątającą.

– Nie możesz tego robić – powiedziała naburmuszona. – Nikt nie może się dowiedzieć o imprezie.

– Spoko. Mój manager to równy facet. Nikt się nie dowie, czyj to dom.

– Jesteś pewien? – zapytała, przekonana, że tak czy inaczej ktoś ją nakryje. O Boże! Lepiej nie myśleć, jak Lucky i Lennie będą się wściekali.

– Jasne.

Billy jest niezwykły, pomyślała i podniosła na niego wzrok. Nie zawiedzie mnie. Zdecydowanie potrafi wziąć sprawy w swoje ręce, nie to, co Ace, który nic tylko się zastanawia, co zrobić ze swoim życiem.

Ale Ace od osiemnastu miesięcy bywał w końcu jej chłopakiem. Lubiała go, ale nigdy na tyle, by pozwolić mu zostać Tym Jedynym. Tak naprawdę to nawet jeśli już nigdy więcej nie zobaczy się z Bilym, cieszy się, że to był on. Świetna karma.

Kiedy doszli do końca schodów i mogli dokładnie przyjrzeć się niegdyś nieskazitelnemu terenowi wokół basenu, aż zatkało ją z przerażenia.

– O mój Boże! – krzyknęła, próbując opanować nagłą panikę. – Zrobili mi z domu śmietnik!

Okolice basenu zmieniły się w pobojowisko. Wszędzie leżały poprzewracane leżaki, przepelnione popielniczki, pety rozdeptane na marmurze wokół basenu, puste pudełka po fajerwerkach, a niektóre parasole przeciwsłoneczne miały wypalone dziury od papierosów.

Nie wspominając już o zgniecionych puszkach po piwie, potłuczonych butelkach, nadjedzonych burgerach, kartonach frytek, keczupie i śmieciach, śmieciach, śmieciach.

Basen przypominał wysypisko. Co nie wylądowało wokół niego,

plywało w środku. Masa pływających odpadów.

– Lucky mnie zabije – jęknęła Max. – Zwyczajnie mnie zamorduje!

– Spoko – powiedział Billy, który poczuł się szefem i bardzo mu to odpowiadało. – Wszystko załatwimy.

Venus nigdy nie pozwoliła mu być szefem. Wszystko robili na grani przez nią ludzie. W nowej sytuacji poczuł się mężczyzną, kimś przydatnym.

– Kiedy? – zapytała Max, cały czas rozmyślając nad karami, jakie mogą ją spotkać. – Jak to zrobią?

– Już są w drodze – zapewnił ją Billy.

– Kto jest w drodze?

– Przecież ci mówiłem. Dzwoniłem do managera. Za chwilę będzie tutaj ekipa sprzątająca.

– Tak sądzisz? – zapytała, zmuszając się do zachowania spokoju, bo nie chciała wychodzić na histeryczkę. Strasznie by się przez to zblądziła. W końcu był przyzwyczajony do Venus, która nie tylko była światową supergwiazdą, ale, mimo swojej starości, kwintesencją opanowania. No może nie była aż tak bardzo stara, ale na pewno starsza od niego.

– Sprawa jest załatwiona – powiedział beztrosko. – Więc się uspokój.

– Skoro tak mówisz...

– Tak – powiedział, wziął ją za rękę i zaprowadził do baru na świeżym powietrzu, gdzie przycupnęli na wysokich stołkach.

– Ja, hmm, muszę... potem lecieć do Vegas – wykrztusiła Max. – W sobotę Lucky urządza dla mnie przyjęcie urodzinowe.

– Nie ściemniasz? – spytał. Wziął dużego łyka z do połowy pełnej butelki wody Evian.

– Wcale tego nie chcę – dodała szybko. – Ani trochę.

– Masz już dosyć przyjęć, co? – rzucił. Jednocześnie pomyślał, że z ciemnymi lokami, oliwkową cerą i promiennymi, zielonymi oczami wygląda powalająco. Całkiem inaczej niż Venus, która była ideałem uwodzicielskiej blondyny o jędrnych mięśniach.

Ale jest taka młoda – za młoda!

Nie, do diabła, przecież on Billy Melina, może być, z kim zechce.

– Zdecydowanie – powiedziała i pokiwała głową. Po chwili dodała: – Chyba że... – przerwała i spojrzała na niego wyczekująco.

Natychmiast zrozumiał, o co jej chodzi, i szybko powiedział:

– Chciałbym przyjść, żeby ci zrobić przyjemność, ale to niemożliwe. – I od razu pomyślał: Nie ma mowy, maleńka. Chyba żartujesz. Lucky zjadłaby mi jaja na śniadanie.

– Nie?

– Nie.

– Rozumiem – westchnęła.

A potem pomyślała: Za nic nie odpuszczę sobie Billy'ego Meliny. Nie ma nawet mowy.



Raz do roku Lucky organizowała spotkanie wszystkich początkowych inwestorów The Keys. Jego założeniem było świętowanie sukcesów kompleksu, który świetnie funkcjonował mimo kryzysu gospodarczego. Vegas bardzo ucierpiało w tych trudnych czasach, na szczęście The Keys ani trochę. Wręcz odwrotnie, interesy szły coraz lepiej.

Na dzień przed zebraniem urządziła spotkanie głównych kierowników, z których każdy już we wczesnej fazie budowy otrzymał udziały w firmie. Włączenie ich do procesu tworzenia kompleksu było najlepszym bodźcem do pracy. Wszyscy cenili sobie hojność Lucky. Od Gina nauczyła się, że najważniejsze, aby pracownicy czuli się jak w rodzinie. Szczerze mówiąc, takie podejście dawało jej ogromną radość. Nic nie mogło zastąpić dobrych kontaktów osobistych. Dzięki nim pracownicy zawsze byli gotowi jej pomóc.

Spotkali się na lunchu na jednym z ukwieconych tarasów. Lucky dopilnowała, aby z każdym porozmawiać osobiście. Nie tylko pamiętała imiona wszystkich, wiedziała także, jak nazywają się ich współmałżonkowie, dzieci, a jeśli ktoś miał w domu zwierzęta, wie-

działa, jak się wabią. Dzięki temu pracownicy niezmiernie ją lubili i byli ogromnie zaangażowani w pracę. Starali się, aby The Keys funkcjonowało najlepiej, jak to możliwe.

Lucky przechodziła od grupy do grupy. Dzieleno się historyjkami o trudnych gościach, celebrytach, którzy nie byli warci szumu, jaki wokół siebie robili, oszustach, gwiazdach o nadętym ego, złodziejach biżuterii, łowcach kart, drobnych przestępcach, ludziach, którzy podszywali się pod kogoś innego, i pięknych kobietach udających damy, choć naprawdę były drogimi kurtyzanami. Wszystkie hotele i kasyna w Vegas cierpiały na plagę oszustów, ale Lucky uważała, że ma najlepszą ochronę. Lubiła słuchać tych historii. Zawsze były ciekawe, czasem dziwne, często nieprawdopodobne.

Jerrod, szef ochrony, należał do najlepszych w branży. Kiedyś służył jako kapitan w izraelskim wojsku. Nikt i nic nie było w stanie ująć jego uwagi.

Jerrod był dla Lucky opoką. Ufała mu bezgranicznie, podobnie jak Danny'emu.



O mój Boże! Co ja najlepszego zrobiłam? – pomyślała Denver, lekko panikując.

Zaprosiłaś Bobby'ego, żeby poznał twoją rodzinę, powiedział jej wewnętrzny głos z niewzruszonym spokojem.

Po co? – zapytała siebie, nadal w panice.

Bo wiesz, że już na to czas.

Problem w tym, czy go polubią? I czy on polubi ich?

Nie ma innego wyjścia – poczekaś i zobaczysz.

Na szczęście musiała iść do sądu, oskarżać słynną aktorkę o kradzież w sklepie, więc nie miała za dużo czasu na myślenie o Bobbym i swojej nieco ekscentrycznej rodzinie. Ale i tak się denerwowała. Bardzo jej zależało, żeby go polubili.

Polubią.

A jeśli nie?

Przestań się dręczyć.

W drodze do sądu dostała SMS-a od Carolyn z pytaniem, co sądzi o Vanessie.

Hmm... Ciekawe pytanie, ale akurat teraz nie miała czasu wyrażać swojej opinii. Musiała wygrać bardzo ważną sprawę, martwiła się o rodzinę, a wkrótce czekała ją podróż do Vegas. Szybciutko napisała: „Wygląda na miłą”. I nie dodała „chyba”. Musi nastawić się do niej pozytywnie. Życie Carolyn należy do niej samej.

Kiedy weszła na salę sądową, myślała już tylko o pracy.



Skoro kapryśni inwestorzy z Rosji wreszcie podpisali papiery i zgodzili się zainwestować w jego kluby w LA i Miami, Bobby chciał jak najszybciej spotkać się z architektami i projektantami, których postanowił zatrudnić. Ze względu na ostrą konkurencję w LA tamtejszy Mood musiał być nadzwyczajny. W tym mieście co rusz otwierano i zamykano kluby, więc musiał się wyróżniać i być miejscem pożądanym przez wszystkich.

Bobby wymarzył sobie, że klub zbuduje na dachu. Będą tam panoramiczne widoki miasta i osiemnastometrowy basen z podwodnymi głośnikami. Dwunastometrowy zrobiony z kamienia bar otoczy tuzin prywatnych szalasów, odlotową restaurację poprowadzi światowej klasy szef kuchni, będzie dużo miejsca do tańca – a wszystko w klimacie tropików. Prosto, stylowo – idealne miejsce wypoczynku.

Zebrania trwały dłużej niż zwykle i tak zagłębił się w szczegóły, że kiedy spojrzął na zegarek, stwierdził, że w żaden sposób nie zdąży na samolot.

A niech to! Denver nie będzie zadowolona, ale nic już nie mógł zrobić.

Szkoda. A tak się cieszył, że pozna jej rodzinę.

Rozdział osiemnasty

Ekipa sprzątająca zabrała się do dzieła jak przystało na prawdziwych zawodowców.

Billy triumfalnie spojrział na Max i powiedział:

– Widzisz. Załatwią sprawę. Nie martw się.

Musiała przyznać mu rację – byli szybcy i dokładni. Kiedy wróciły gosposie, dom wyglądał już o wiele lepiej. Ale gdy zorientowały się, co się tam działo, obrzuciły Max złymi spojrzeniami i zaczęły burczeć pod nosem, ponieważ wiedziały, że jeśli coś zginęło czy coś się zepsuło, wina i tak spadnie na nie.

Na szczęście Billy znał troszkę hiszpański, więc przystąpił do działania. Oczarował gospodynie prawie do stanu hipnozy, a potem wymógł przyrzeczenie, że nie pisną ani słowa rodzicom Max. Kiedy już był pewny, że rozumiały, o co chodzi, dla pełnego bezpieczeństwa dał im jeszcze po pięćset dolarów.

Max była pod wrażeniem. Chronił ją, czego nie można było powiedzieć o Cookie i Harrym – którzy najwyraźniej się zwinęli, nawet przez chwilę się nie zastanawiając, jak Max zdoła doprowadzić dom do porządku. Co za egoiści! Była o krok od odwołania ich zaproszeń do Vegas. Jak śmieli tak ją zostawić?

Ale... może chcieli ją odszukać, a nie mogli, bo zaszyła się z Bilym na plaży?

Jeśli tak, to chyba powinni byli się o nią martwić?

Zaginęła, a oni mieli to głęboko...

E tam...

Tuż po drugiej Billy spojrzął na zegarek i mruknął:

– Cholera!

– Co się stało? – zapytała Max, która rozkoszowała się jego towarzystwem. Zrobiła mu kanapkę z tuńczykiem, siedzieli w kuchni i przyglądali się, jak ekipa kończy sprzątanie. Było świetnie. Naprawdę przecudownie.

– Nie poszedłem na ważny wywiad z „Rolling Stone” – powiedział. – Szefowa PR-u będzie wściekła.

– Czy to znaczy, że musisz już się zmywać? – spytała, usiłując ukryć rozczarowanie.

– Tak. Chyba mogę się spóźnić. Co mi zrobią. Przecież mnie nie zabiją? Mam tylko kłopot, bo nie mam czym tam dojechać.

– Zawiozę cię – zaproponowała z szybkością błyskawicy.

– Nie – odparł i wzruszył ramionami. – Zadzwońę po taksówkę.

– A dlaczego? – zapytała, ponieważ chciała zostać z nim jak najdłużej. Kto wie, może nigdy więcej już go nie zobaczy? – Boisz się jechać ze mną?

– Jasne, że nie, dziecinko. Ale jeśli nie prowadzę, jestem najgorszym pasażerem, jakiego możesz sobie wyobrazić. Uwierz mi. To nie byłoby dla ciebie miłe.

Powoli zaczynała wpadać w rozpacz.

– To może ty poprowadzisz? – zaproponowała. – Wtedy ja będę pasażerką.

Za bardzo mu się narzucasz, Max. Uspokój się! Przestań zachowywać się jak natrętna fanka.

– Nie da rady – powiedział. – Muszę jechać prosto na wywiad. Odbywa się w Sunset Towers i nie mogę tam podjechać z tobą w samochodzie.

– Dobra – powiedziała, gdyż przyszedł jej do głowy plan, który pozwoliłby jej jeszcze się z nim zobaczyć. – Weź ferrari Lucky, a ja je potem od ciebie odbiorę.

– No wiesz? – Billy spojrzął na nią ze zdziwieniem. – Lucky na

pewno by nie chciała, żebym jeździł jej samochodem.

– Nie miałyby nic przeciwko temu – skłamała Max. Dobrze wiedziała, jak bardzo Lucky przywiązana jest do swojego cennego ferrari. Do tego stopnia, że na parkingach nie dawała go zaparkować obsłudze. – Ja cały czas nim jeżdżę – dodała. – Uwierz mi, Lucky prawie go nie używa.

Wielka ściema, ale to był nagły przypadek.

– Jesteś pewna? – spytał Billy, nadal się wahając.

– Całkowicie pewna – z przekonaniem powiedziała Max.

– Więc niech będzie – zgodził się, bo od czasu, kiedy Venus kupiła mu pierwsze ferrari, uwielbiał szybkie samochody. I akurat właśnie niedawno je sprzedał. – Ale jak je odbierzesz, skoro wieczorem lecisz do Vegas?

A niech to! Zapomniała o Vegas i swoim przyjęciu.

– Hmm... Właściwie to wyjeżdżam dopiero jutro.

Następne kłamstwo. Ale jeśli dzięki temu zobaczy się z Billym, warto kłamać.



Oskarżenie słynnej aktorki nie było trudne. Jej obrońcy (a była ich trójka) byli dobrze opłaceni, lecz całkowicie niekompetentni. Denver wysłuchała, jak beznadziejnie motają się, by wytłumaczyć zachowanie klientki, a potem przedstawiła swoich świadków – całą grupę zmęczonych zachowaniem aktorki sprzedawców i kierowników sklepów, którzy od lat zmagali się z jej nałogiem.

Ławnicy nie dali się uwieść sławie. Zbyt wielu słynnych ludzi bezkarnie popełniało najróżniejsze przestępstwa – czasem nawet morderstwo potrafiło im ująć na sucho.

Bezpośredni przełożony Denver kazał jej wytoczyć wszystkie argumenty. Tak zrobiła. Sprawę przypieczętowała jej mowa końcowa. Członkowie ławy przysięgłych naradzali się przez dwadzieścia minut i orzekli, że aktorka jest winna.

Szef powiedział Denver, że dała gwiazdorski popis, a potem za-

pytał, czy nie poszłaby z nim na drinka, żeby oblać sprawę.

Propozycja całkiem nie na miejscu, pomyślała. Dlaczego atrakcyjna, samotna kobieta zawsze prowokuje mężczyzn do takiego zachowania?

Był gruby, miał pięćdziesiąt lat i żonę. Na dokładkę był jej szefem, więc dlaczego miałyby się narażać na plotki?

Mruknęła coś o następnym razie. Ale następnego razu oczywiście być nie mogło, bo przechodziła do innego działu.

– Przepraszam, ale mam zobowiązania rodzinne – dodała i ruszyła w stronę swego samochodu.

Tak. Zobowiązania rodzinne. Dzisiaj mamie, tacie i całej reszcie klanu Jonesów przedstawia swojego chłopaka.

Niecierpliwie czekała na tę chwilę.



Danny przekazał Lucky, że Max nie przyleci w czwartek wieczorem, ale dopiero następnego dnia.

Lucky była rozczarowana. Zaplanowała wspólną kolację z Ginem i Paige. Wiedziała, że Gino bardzo się nastawił na spotkanie z wnuczką. Uwielbiał pożartować z Max.

Rodzina – ludzie, którzy potrafią w ostatniej chwili zmienić plany, nie biorąc pod uwagę tego, że wszystko trzeba wtedy przesuwac. Może chociaż Bobby jest już w drodze.

Dla pewności zadzwoniła do niego.

- Właśnie wsiadam do samolotu – poinformował ją.
- Do Vegas? – zapytała, mając nadzieje, że zdąży na kolację.
- Nie. Jestem w Nowym Jorku i lecę do LA. W Vegas będę jutro.
- Tak jak Max. Może polecicie razem?
- Hmm... Lecę samolotem Stanislopoulosów – powiedział

Bobby nieco zmieszany.

– Naprawdę? – zapytała Lucky, bo wiedziała, że Bobby korzysta z niego tylko w ważnych sprawach. – A z jakiej okazji?

– Z żadnej – odpowiedział wymijająco. – Stwierdziłem, że po-

winiem czasem go używać, żeby krewni przypomnieli sobie, że jeszcze żyję.

Krewnymi, o których Bobby mówił, były dwie siostry jego zmarłego ojca i ich rodziny. Zasiadali w radzie nadzorczej firmy transportowej Stanisloupoulos i mieszkali w Grecji. Bobby nie był zanadto zżyty z grecką stroną rodziny. Jego domem zawsze była Ameryka. Niemniej, wspólnie ze swoją siostrzenicą Brigitte, był głównym spadkobiercą ogromnej fortuny firmy Stanisloupoulos.

– Okay – powiedziała Lucky. – W takim razie możesz zabrać Max i jej kumpli.

– Jasne – zgodził się Bobby, choć niezbyt chętnie, bo bardzo nie chciał mieć na pokładzie Max i jej dzięki ferajny. Planował romantyczną podróż sam na sam z Denver. Ale Lucky nigdy się przecież nie odmawia.

– Powiem Max, żeby do ciebie zadzwoniła. A jeśli uda wam się dotrzeć na czas, moglibyśmy razem zjeść lunch.

– Nie jestem pewien, czy to wypali – Bobby usiłował naprędce wymyślić jakiś wykręt. Zanim zaczną się rodzinne imprezy, chciał trochę pobyć sam z Denver.

– Dobra – zgodziła się Lucky. – Zaplanuję lunch i będę miała nadzieję, że zdążycie. Bezpiecznego lotu.

Skoro już załatwiła tę sprawę, zabrała się do omawiania z Dannym rozkładu swoich piątkowych zajęć. Wcześniej rano śniadanie z Venus, która przylatywała w czwartek późnym wieczorem, potem zebranie z Jeffreyem Lonsdale'em i ludźmi, którzy poprzednio chcieli kupić The Keys, a teraz pragnęli porozmawiać o przyszłych inwestycjach. Potem zebranie zarządu, być może późny lunch z Bobbym i Max – jeśli uda im się na czas przylecieć, no i w końcu kolacja sam na sam z Lennie.

Ach, Lennie... nie widzieli się od sześciu tygodni. Stanowczo za długo, ale nadrabianie straconego czasu zawsze było najprzyjemniejsze.

Piątkowy wieczór zarezerwowała wyłącznie dla niego. Nic nie może im przeszkadzać. Żadnej rodziny. Tylko ich dwoje.

Nie mogła się doczekać.



Billy bardzo się zapalił do jazdy ferrari Lucky, zwłaszcza że był to jeden z najnowszych modeli Ferrari, California – elegancki, wypasiony, po prostu odlot. Ostatnio o nim czytał i nie mógł się doczekać jazdy samochodem, który potrafi wyciągnąć trzysta dziesięć kilometrów na godzinę. Zastanawiał się nawet, czy sobie takiego nie kupić, więc będzie miał znakomitą okazję, żeby go wypróbować.

– Super! – powiedział, rozsiadając się za kierownicą.

Max kręciła się przy samochodzie i nerwowo przygryzała dolną wargę.

– Hmm... To kiedy mam po niego wpaść? – zapytała.

Billy był całkowicie pochłonięty ferrari.

– Bądź u mnie koło siódmej – odparł i z rozkoszą pogładził kierownicę. – Może coś przegryziemy.

Czy to zaproszenie na kolację? Ekstra, cool!

Podał jej swój adres, z roztargnieniem przesłał całusa i ruszył jak strzała.

Proszę cię, Boże, pomyślała Max, przyglądając się, jak samochód mamy znika w dali. Daj, by ferrari Lucky przetrwało tę podróż. Bo jak nie, to już nie żyję.



– Gdzie ten cały Bobby, o którym tyle słyszeliśmy? – Ojciec Denver, Derek, zadał to pytanie typowym dla siebie donośnym, można nawet powiedzieć gromkim głosem. Był niezależnym prawnikiem, który przyzwyczał się, że onieśmiela ludzi.

– Już ci mówiłam, tato – cierpliwie tłumaczyła Denver. – Spóźnia mu się samolot z Nowego Jorku. Przyjedzie później.

– Na pewno? – zapytał Derek tonem, który wyrażał głębokie powątpiewanie.

– Tak – z przekonaniem odpowiedziała Denver. – Przyjedzie.

– Jesteś pewna?
– Na miłość boską, tato, przecież to drobiazg.
– Ktoś zaczyna się denerwować – śpiewnie wyrecytował jej ulubiony brat, Scott. – A właściwie co w tym kolesiu takiego nadzwyczajnego?

– Nigdy nie mówiłam, że jest nadzwyczajny – odparowała Denver i zmroziła go wzrokiem.

– Zachowujesz się, jakby był – powiedział Scott, czym jeszcze bardziej ją zdenerwował.

– Panujcie nad słowami – twardo wtrąciła się Autumn, matka Denver, imponującej postury, wysoka kobieta, która siwe włosy wiązała w koński ogon, w ogóle się nie malowała i nadal lubiła hipisowskie ubrania, które nosiła jako nastolatka. – Jeśli nie umiecie normalnie ze sobą rozmawiać, lepiej siedźcie cicho.

Jej słowa podziały jak sygnał na pięcioletnią córkę Scotta, Hannę, która wpadła do pokoju z okrzykiem:

– Gównno, gównno, gównno!

Scott wziął dziewczynkę w ramiona i potrząsnął nią, żeby zamilkła.

– Obrzydlistwo! – wrzasnęła Autumn, a w tym czasie siedmioletnia kuzynka Hanny przybiegła z naładowanym pistoletem na wodę. Natychmiast zaczęła przyskać na Hannę, a ta znowu rozwrzeszczała się wniebogłosy.

Rozpętało się pandemonium.

Ot, zwyczajne czwartkowe spotkanie u Jonesów, pomyślała Denver. Dorośli są stuknięci, dzieciaki też.

I nagle zdenerwowanie, że Bobby nie dotarł, trochę jej przeszło.



– Do cholery! – krzyknęła Max do Cookie przez telefon. – Ale z ciebie cwaniara!

– O co chodzi? – zapytała Cookie głosem niewiniątka.

Zawsze tak mówiła, kiedy wiedziała, że jest w tarapatkach.

– No wiesz? – obruszyła się Max. Wysłała cztery kompletne olane SMS-y i w końcu, po wielu próbach, dodzwoniła się na komórkę do Cookie. – Zostawiłaś mnie samą na kupie śmieci. Przecież wiedziałas, że zdemolowali mi dom, nie dało się tego nie zauważyć.

– Naprawdę? – Cookie nadal rznąła niewiniątko. – Nie wiedziałam. Zajęta byłam Frankiem.

– Oczywiście – jadowicie syknęła Max – w mojej sypialni. Pięknie dziękuję, całą umywalkę zapaćkaliście koką. Na dokładkę spaliście na moim łóżku. Obrzydlistwo!

– Skąd wiesz, że to ja?

– Choćby stąd, że tylko ty i Harry wiedzieliście, gdzie schowałam klucze.

– Wybacz! – powiedziała Cookie, przechodząc na pseudodramatyczny ton. – Co poradzę, że chciałam, żeby mój chłopak mnie bzyknął?

– Frankie Romano nie jest twoim chłopakiem! – szyderczo odparowała Max.

– Ależ jest! Sprawdź, co pisze „RadarOnline” i „Perez”. Nasze zdjęcie jest wszędzie.

– Chyba ci odbiło.

– Nie zmyślałabym przecież.

– Twój tata dostanie szału.

– Mojego tatę gównem to obchodzi – rzeczowo stwierdziła Cookie. – Jest za bardzo zajęty swoją sławą.

– W każdym razie dziś Vegas odwołane – powiedziała Max, a jednocześnie postanowiła, że lepiej nie opowiadać Cookie o sobie i o Billym. Cookie jest papłą, nie można jej ufać. – Polecimy jutro rano. Zmieniłam rezerwację.

– Hmm... z tym Vegas – odważyła się zacząć Cookie z lekkim wahaniem. – Chodzi o to...

– Co? – ostro zareagowała Max. – Tylko nie rób mnie w balona. Bo cię chyba zabiję!

– Czy mogę zaprosić Frankiego?

– A dlaczego?

– No bo... przecież ci przed chwilą powiedziałam. Jest moim chłopakiem.

– A czy ja ci dopiero co nie mówiłam, że Frankie i Bobby ze sobą nie rozmawiają?

– To akurat mieliby okazję wyluzować – powiedziała Cookie. – Frankie mi mówił, że strasznie tęskni do Bobby'ego. Właściwie nawet się porządnie nie pokłócili, po prostu rozeszły im się drogi. W końcu kiedyś byli najlepszymi przyjaciółmi.

– Nie jestem tego taka pewna – odparła Max z powątpiewaniem. – Myślałam, że to M.J. jest jego najlepszym przyjacielem.

– M.J. i Frankie... Stanowili zgraną paczkę. A poza tym, to twoje urodziny. – Cookie coraz bardziej naciskała. – Co oznacza, że od ciebie zależy, czy Frankie będzie zaproszony, czy nie.

– Tak myślisz?

– Tak, Max. Przecież nigdy cię o nic nie proszę.

– Nieprawda. Cały czas mnie o coś prosisz – odparowała Max.

– Musisz to dla mnie zrobić – błagała Cookie. – Będę u ciebie miała wielki dług wdzięczności.

Max zmięła. Dlaczego nie? Przecież właściwie nic przeciwko Frankiemu nie miała. W dodatku to Frankie przyprowadził na imprezę Billy'ego...

– Dobra – wykrztusiła w końcu, ale dodała ostro: – Tylko żadnych dragów. Zachowajcie je na swoje uroczę sam na sam.

– Jesteś mega! – pisnęła Cookie. – Frankie strasznie się ucieszy, a ja przyrzekam, że wszystkie nielegalne substancje zostawimy za drzwiami. Piątka?

– Piątka – zgodziła się Max.

Miała tylko nadzieję, że Bobby za bardzo się nie wścieknie.

Rozdział dziewiętnasty

Armand oczywiście winił Fouada za to, że matka uparła się towarzyszyć mu w podróży do Vegas. Ktoś musiał być odpowiedzialny za jej niedorzeczną prośbę. A właściwie nie prośbę, tylko rozkaz. Powiedziała „jadę z tobą” tonem dowódcy, który każe żołnierzom nie oszczędzać wroga.

Do cholery! Czego od niego chce?

Armand był wściekły, mimo to się zgodził, bo nigdy nie potrafił niczego Peggy odmówić. W jej obecności czuł się bardziej chłopcem niż mężczyzną. Niestety nic na to nie umiał poradzić.

Zawsze tak było.

Nie miał przyjemnych wspomnień z dzieciństwa. Kilka tygodni po swoich jedenastych urodzinach został przyłapany przez Peggy na torturowaniu kota. Nie zważając na obecność kilku swoich znajomych, zmusiła go do ściągnięcia spodni i wymierzyła mu dwanaście uderzeń w pupę grubym skórzanym pasem. Nie mógł normalnie usiąść przez tydzień.

Długo nie potrafił się otrząsnąć z głębokiego upokorzenia, pomieszanego ze strasznym bólem i strachem przed matką. Jeśli potem coś zbroił, zawsze pilnował, żeby się o tym nie dowiedziała.

Armand kazał Fouadowi powiedzieć kierowcy, żeby w drodze na lotnisko najpierw zabrał Peggy. Podeszła do limuzyny, seksownie poruszając biodrami, a za nią niesiono pięć walizek Louisa Vuittona.

Jak zwykle jej kreacja przyciągała uwagę – żółty kostium od Valentina i dopasowane do niego buty od Louboutina. Jej płomiennorude włosy pięknie kontrastowały z bladą cerą.

Armand usiłował nie wdychać oszałamiających perfum Peggy. Ich dobrze znany zapach go obezwładniał. Przypominał mu czasy, kiedy przeprowadzili się z Akramszaaru do Nowego Jorku. Codziennie rano kazała mu wskakiwać do swojego łóżka na pieszczoty. W trakcie uścisków czuł przyciśnięte do siebie miękkie piersi. Ten wszechobecny zapach perfum. Miał osiem lat, a ten zapach czuł potem cały dzień. Wspomnienia z dzieciństwa wcale nie były przyjemne.

– Peggy – powiedział sztywno. Mówił do niej po imieniu, ponieważ od czasu, kiedy stał się nastolatkiem, nie pozwoliła mówić do siebie „mamo”. Twierdziła, że czuje się przez to staro.

Zatem zwracał się do niej „Peggy”.

– Pani Dunn – powiedział Fouad, który zawsze był uprzejmy i na miejscu. – Miło, że pani jest. Bardzo dawno się nie widzieliśmy.

Armand spojrzał na niego z niesmakiem. Jak śmie ją zachęcać, sprawiać, by poczuła, że jest mile przyjmowana?

– Też się cieszę, Fouad. A jak tam twoja wspaniała rodzina? – spytała zawsze grzeczna i uprzejma Peggy.

– Świetnie. Dziękuję za zainteresowanie – odpowiedział Fouad.

– Szkoda, że Armand nie może sobie znaleźć jakiejś miłej dziewczyny i się ustatkować – westchnęła Peggy. – Dajesz przepiękny przykład, Fouad. Podziwiam cię.

– Dziękuję, pani Dunn.

– Skąd ta nagła chęć, żeby jechać do Vegas? – obcesowo zapytał Armand.

– A co w tym dziwnego? – odparła Peggy, zadowolona ze swojej decyzji. – Przecież kiedyś tam mieszkałam – dodała. Nie mogła się doczekać, kiedy doleci do miasta, z którego zabrano ją jako osiemnastolatkę.

Choć minęły czterdzieści dwa lata, Peggy nie zapomniała życia, jakie wtedy prowadziła. Była tancerką jednej z najbardziej popularnych w mieście rewii, więc stale znajdowała się w centrum uwagi.

Wybijiała się wśród koleżanek z powodu rudych włosów i delikatnej, białej cery. Mężczyźni nie mogli się na nią napatrzeć. A potem do miasta przyjechał król emir Amin Mohamed Jordan i zażądał jej dla siebie. Obsypał ją podarunkami i biżuterią. Dała się oszołomić królewskim blaskiem. Był tajemniczy i podniecający jak książę z bajki. Bez większego zastanowienia przyjęła oświadczy króla i pojechała z nim do jego kraju. Zostawiła swojego chłopaka, który był szefem w kasynie. Zawsze podejrzewała, że Joe Piscarelli jest powiązany z mafią. Kiedy mu powiedziała, że wyjeżdża, wpadł w dziki szal, nazwał ją kurwą, która leci na złoto, i ostrzegł, żeby nigdy więcej nie pokazywała się w Vegas.

Posłuchała aż do tej chwili.

Gdzie po czterdziestu dwóch latach może być Joe Piscarelli?

Pewnie nie żyje, pomyślała Peggy z dreszczem zadowolenia. Leży pochowany gdzieś na pustyni. Dobrze mu tak za to, że ją wyzywał.

W tamtych czasach Vegas było świetnym miejscem dla dziewczyny z ambicjami. W każdym razie jej marzenia jak najbardziej się spełniły. Wyszła za króla, następnie za bogacza, a jej syn jest miliarderm. Nieźle jak na dziewczynę, która zaczynała od zera.



Lądowaniu w Vegas towarzyszyły duże turbulencje. Armand nigdy się takimi rzeczami nie przejmował, ale Fouad bał się turbulencji od czasu, kiedy został ojcem dwójki dzieci. Zaciskał dłonie, aż mu zbieleły kłykcie. Potem zajął się transportem bagaży do limuzyny, która czekała na płycie koło samolotu.

Armand wściekał się, że Peggy wzięła ze sobą tyle walizek. Siedział z tyłu limuzyny i zlorzeczył.

– Przyjechaliśmy tylko na jeden, dwa dni. Po co tyle tego przywiozłaś?

– Nigdy nic nie wiadomo – odpowiedziała i niejasno machnęła ręką. – Może tu na trochę zostanę.

Armand bardzo się tym zaniepokoił, bo kiedy kupi The Keys,

Peggy będzie ostatnią osobą, którą chciałby tam widzieć. Jej miejsce jest w Nowym Jorku i ma tam siedzieć.

– Co za spotkania masz w Vegas, Armandzie? – zapytała, kiedy limuzyna odjechała z lotniska.

Nie twój pieprzony interes, powiedziałby, gdyby Peggy była zwyczajną kobietą.

Ale nie była.

Była jego matką.

Jedyną kobietą, której kiedykolwiek się bał.



Armand miał zarezerwowany apartament prezydencki w The Keys. Cztery sypialnie, dwa salony, sauna, prysznic parowy, pięć łazienek, bar z pełnym wyposażeniem, stół bilardowy, pokój do gier, a na dachu prywatny basen i jacuzzi. Był bardziej luksusowy niż jego apartament w Nowym Jorku, więc postanowił, że kiedy kupi The Keys, urządzi tu swoje mieszkanie, a tymczasem wybuduje sobie imponującą rezydencję na terenach należących do kompleksu.

Nie miał żadnych wątpliwości, że The Keys będzie należeć do niego. Najmniejszych.

Przed wylotem kazał Fouadowi wynająć dla Peggy apartament w innym hotelu.

– Niech mieszka gdzie indziej – poinstruował go przed wylotem.

– Wynajmij jej coś w innym hotelu. Powiedz, że w The Keys nie ma miejsca.

– Jesteś pewien? – spytał Fouad.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział Armand, wściekły, że Fouad kwestionuje jego decyzje.

Fouadowi udało się zarezerwować dla Peggy apartament z jedną sypialnią w hotelu Cavendish, niedaleko The Keys. Zdziwiła się, kiedy limuzyna zatrzymała się, żeby ją wysadzić.

– W The Keys nie ma pokoi – ostro stwierdził Armand i rzucił wściekle spojrzenie na Fouada, które mówiło: „Dlaczego jej nie

powiedziałeś?”. Jezu Chryste! Czy wszystko muszę robić sam?

– Przyjechałam głównie po to, żeby z tobą pobyć, Armandzie – skarżyła się bardzo rozczarowana Peggy. – Musimy parę rzeczy przedyskutować.

– Przykro mi, ale w The Keys odbywa się duży zjazd – wyjaśnił Fouad, żeby nieco załagodzić sytuację. – Nie ma już apartamentów. A Armand oczywiście nie chciał, żeby mieszkała pani w pokoju. Chce dla pani tylko tego, co najlepsze.

Peggy nawet nie podejrzewała, że Armand będzie zajmował apartament z czterema sypialniami. Gdyby wiedziała, uparłaby się, żeby mieszkać u niego.

– Znakomicie – powiedziała, wydymając usta. – O której zabierzecie mnie na kolację?

Armand nie planował kolacji z Peggy. Był w Vegas, miejscu, gdzie mieszkały najdroższe i najbardziej pomysłowe prostytutki w Ameryce. Dziewczyny, których nie dziwiła żadna z próśb, nawet najwymyślniejsza. Dopóki płynęły pieniądze, wszystko było możliwe i miał zamiar z tego w pełni skorzystać. W Vegas Armand miał nieograniczoną wiarygodność finansową, ponieważ na wszelki wypadek zawsze podróżował z walizką pełną pieniędzy.

Nastawił się na rozkosze, a Peggy spodziewa się, że pójdzie z nią na kolację? A niech to. Nie tak zaplanował sobie ten wyjazd.

– Myślałem, że będziesz zmęczona po podróży – oznajmił krótko. – Może podadzą ci kolację do pokoju?

Peggy obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

– Zmęczona, Armandzie? Ja? A ile twoim zdaniem mam lat? Osiemdziesiąt?

– Nie o to mi...

– Przyjedź po mnie o ósmej – rozkazała, przerywając mu w pół zdania. – I wybierz jakieś eleganckie miejsce. Mam zamiar się wystroić.

Kiedy tylko Peggy wysiadła z limuzyny, Armand wydał następne instrukcje. Podał Fouadowi wizytówkę z nazwiskiem Yvonne Le Crane, numerem telefonu i adresem mailowym.

– Na piątą zamów do mojego apartamentu dwie kobiety. Azjatkę i czarną, obie poniżej dwudziestu pięciu lat – rozkazał. – Zatrzymam je dwie godziny. Potem o północy trzy następne. Białe blondynki, najlepiej z Teksasu.

Fouad prawie zaniemówił. Od kiedy dostał nominację na sutenera? Nie był asystentem, tylko dyrektorem w Jordan Developments, człowiekiem, któremu należało się choć trochę szacunku. A teraz Armand kazał mu zamawiać prostytutki? Co za niedorzeczna sytuacja.

– Sądzę, że lepiej będzie, jeśli sam zadzwonisz – powiedział Fouad, przetykając oburzenie. – Mogą paść pytania, na które nie będę umiał odpowiedzieć. A nie chciałbym, żebyś się rozczarował.

Armand zastanowił się nad słowami Fouada i co dziwne – zgodził się. Tak, był wymagający w stosunku do kobiet, którym płacił. Sam zadzwoni do Yvonne Le Crane. Wtedy będzie miał pewność, że otrzyma idealnie to, czego chce. Żadnych pomyłek.

Jest w końcu księciem wśród mężczyzn i spodziewa się tylko tego, co najlepsze.

Rozdział dwudziesty

Max dowiedziała się z SMS-a, że jutro w południe Bobby czeka na nią i jej przyjaciół w prywatnym sektorze lotniska LAX. Zabierze ich do Vegas na pokładzie odrzutowca Stanislopoulosów.

Cieszyła się, że poleci samolotem Bobby'ego, a jeszcze bardziej, że pobędzie ze starszym bratem, którego uwielbiała.

Szczęście jej sprzyjało, ponieważ Cookie oznajmiła, że pojedą z Frankiem do Vegas samochodem, bo chce go mieć ze sobą. Idealnie się składało, ponieważ w ten sposób Max uniknie niezręcznej sytuacji. Głupio byłoby pojawić się w samolocie Bobby'ego z Frankiem.

Harry był zachwycony zaproszeniem do prywatnego odrzutowca. Ponadto Max zgodziła się zabrać też Paca, który miał prowadzić jakąś ważną imprezę w Vegas. Pomyślała tylko: no tak, każdy będzie w Vegas z kimś, tylko ja nie.

Ale nie ma co się martwić na zapas. W tej chwili była zajęta wymyślaniem idealnego stroju na wizytę u Billy'ego. W garderobie miała tony ciuchów, ale według niej nic się nie nadawało. Przejrzała wszystko i w końcu zdecydowała się na obcisłe czarne jeansy, prostą bluzkę na ramiączkach i kaszmirową bluzę z kapturem. Prosto, ale ładnie. Lubi taki styl – zwłaszcza że jako dodatki wybrała cienkie bransolety z ćwiekami, duże kolczyki, długi skórzany naszyjnik obwieszony krzyżami i zębami rekina i opuszczony na biodra pasek.

Wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze, żeby zobaczyć, czy coś

się w niej zmieniło.

Czy ktoś pozna, że nareszcie to zrobiła?

Nie da rady.

– Ale ja to wiem – szepnęła do siebie. – I czuję się wspaniale.

Nastrój prysł wraz z SMS-em od Ace'a, Napisał, że przyjeżdża samochodem do LA, żeby razem z nią świętować jej urodziny. Hollender! Nie powiedziała mu o Vegas. I na pewno nie powie o Billym. Co robić?

Szybko odpisała, mając nadzieję, że jeszcze nie jest w drodze. „Mama każe mi jechać do Vegas”, wystukała. Specjalnie wyrażała się niejasno. „Zadzwoń, kiedy wrócę”.

To powinno go powstrzymać. A kiedy wróci, powie mu, że między nimi wszystko skończone.

Sorki, Ace. Szkoda. Fajnie było, ale się skończyło.

Tymczasem ciągle myślała o Billym. Nie mogła się powstrzymać od ciągłego wspomniania wspólnie spędzonej nocy, długich rozmów, świadomości jego ciała przy swoim. To wszystko było jak jakiś obłądny sen. Pragnęła, żeby się nigdy nie skończył.

Billy Melina. Kto by pomyślał?



– Billy Melina. Kto by pomyślał? – powiedziała reporterka, kiedy Billy wślizgnął się do kabiny i usiadł przy niej. Dziewczyna miała pod trzydziestkę i była w agresywny sposób ładna. Miała duże cycki i krótką spódniczkę. Dostała zlecenie z „Rolling Stone” i niezbyt się przejęła, że spóźnił się trzy godziny na umówiony wywiad.

Za to jego szefowa PR-u, Bambi, przejęła się okrutnie. Podobnie jak PR-owiec ze studia filmowego. A także wynajęty na ten dzień charakteryzator, który miał dopilnować, aby Billy jak najlepiej wyglądał.

Wszyscy nerwowo kręcili się przy stoliku, aż Billy niecierpliwie machnął ręką i powiedział, żeby sobie poszli i wrócili za godzinę.

Reporterka nazywała się Melba i jeszcze raz powtórzyła to co

przedtem.

– Przepraszam, że się spóźniłem – odparł Billy, rozsiadł się na krześle i zamówił dietetyczną colę. – Zatrzymali mnie na plaży.

– Pieprzyłeś się? – zapytała Melba, oblizła usta i obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem, jakby wszystko już o nim wiedziała albo spodziewała się, że wszystkiego dowie się za chwilę.

– Słucham? – wycedził Billy i zmrużył niebieskie oczy. Czuł, że dziewczyna chce go zmusić do konfrontacji, i już mu się to nie podobalo. Z reporterkami bywa ciężko. Jak to z babami.

– Lubię zacząć wywiad od czegoś mocnego – powiedziała Melba z grymasem na twarzy.

– Naprawdę?

– Tak. Lubię jak najszybciej zbliżyć się do osoby, z którą prowadzę wywiad. Im bliżej, tym lepiej.

Czy składa mu niedwuznaczną propozycję? Pewnie tak. Teraz, kiedy jest gwiazdorem, wszystkie dziewczyny to robią. Chłopaki też, bo oczywiście rozpuszczono mnóstwo plotek, że lubi chłopców. I że robi to ze wszystkimi młodymi gwiazdoram. On jednak nie jest gejem. Nigdy tego nie próbował i nie ma na to ochoty. Co nie znaczy, że uważa, że z gejami jest coś nie w porządku.

Normalnie mógłby się zastanowić, czy nie wziąć tej dziewczyny do domu na łodzika przy basenie. Ale po przeżyciu z Max nie miał na coś takiego ochoty. W Max było coś świeżego i miłego. Pomyślał, że chciałby ją lepiej poznać. Skoro jednak ona jest córką Lucky i Leniego, a on z hukiem rozwodzi się z Venus, romans z Max raczej nie ma szans.

Musi się z nią jakoś delikatnie rozstać. Jest młoda, wrażliwa i chyba bardzo go polubiła. Nie chciał jej zranić, więc postanowił, że kiedy przyjedzie do niego odebrać ferrari, wykręci się zajęciami w związku z promocją i odeśle ją do domu.

– Billy Melino – zaczęła Melba i znów oblizła usta. – Myślisz o czymś.

– A ty? – odparował. Wywiady w cztery oczy nie były jego mocną stroną, a teraz miał złe przeczucia.

- Twój rozwód – powiedziała Melba, oczekując pikantnej odpowiedzi. – Jak bardzo brzydko będziecie walczyć?
- Ja nie – odpowiedział nonszalancko. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby się rozstać.
- Żadnych drastycznych szczegółów? – naciskała Melba. – Wyuzdanych sprośności, o których nikt inny nie wie?
- Przykro mi, że sprawiam ci zawód, ale nie.
- Szkoda. Wydawało mi się, że małżeństwo z apodyktyczną, starszą kobietą może prowadzić do najróżniejszych kłopotów.
- Jesteś pierwszą dziennikarką, której o tym powiedziałem – stwierdził Billy, żałując, że odesłał PR-owców. – Nie mamy żadnych problemów. A tak w ogóle... Czy nie mieliśmy rozmawiać o moim filmie?



Czasem Denver miała wrażenie, że potrafiłaby z uśmiechem na twarzy wymordować całą swoją rodzinę. Jak wieczór długi, maglowali ją pytaniami o Bobby'ego.

Kiedy przyjedzie?

Dlaczego tak się spóźnia?

Co to za facet?

Co właściwie robi?

Bardzo go lubisz, widać, że naprawdę bardzo.

Dostała od Bobby'ego całą serię SMS-ów o odwołanych i opóźnionych lotach, ale kiedy zbierała się już do domu, była bardzo zadowolona. Czy nie mógł się bardziej postarać, żeby zdążyć na pierwsze spotkanie z jej rodziną? Wkurzało ją, że tego nie zrobił.

Amy Winehouse przywitała ją tak, jakby nie widziała jej od roku. Ze szczęścia szczełała jak szalona, a potem wylizała jej całą twarz mokrymi psimi pocałunkami. Co za ulga, że ktoś do niej tęsknił.

Wzięła Amy na spacer po okolicy, a po powrocie stwierdziła, że ma następną wiadomość od Sama. Łatwo się nie poddawał.

I był normalny.

W dodatku pociągający.

Może zdecydować się na niego, zamiast szaleć za olśniewająco bogatym, zabójczo przystojnym Bobbym Santangelo Stanislopoulossem?

Ciekawe pytanie.

I prosta odpowiedź.

Kocham Bobby'ego. Koniec, kropka.



Bobby wałęsał się po lotnisku Kennedy'ego z przemożnym uczuciem, że utknął w labiryncie barów, restauracji z fast foodami, budek z pączkami i czasopismami oraz setki innych bezużytecznych sklepów. Jego lot odwołano w ostatniej chwili, a ten, którym miał lecieć, ciągle się opóźniał.

Uświadomił sobie, jakim jest idiotą, że nie zamówił samolotu Stanislopoulosów na lot z Nowego Jorku. Głupek z niego. Co sobie właściwie wyobrażał?

Najpierw chciał się dostać na nieco wcześniejszy lot – ale nie było już miejsc. Potem wrócił do poczekalni z najnowszym kryminałem Harlana Cobena. Usiłował czytać i się uspokoić. Ale wkrótce stwierdził, że nie może się skupić – za dużo myśli krążyło mu po głowie. Nowe kluby, które chciał zbudować, były wielkim wyzwaniem. Podniecającym, ale i trudnym. Klub Mood podbił Nowy Jork i Vegas, więc czas na LA i Miami. A potem – kto wie?

Miał ogromną ambicję stworzyć imperium klubów. To będzie jego imperium. I może, jak kiedyś Gino i Lucky, w następnej kolejności zajmie się hotelami. Myślał o małych ekskluzywnych hotelach, zorientowanych na ściśle określonych klientów, ludzi szukających miejsc intymnych, z atmosferą.

– Bobby?

Podniósł wzrok i zobaczył Annabelle Maestro, była dziewczynę Frankiego, która po śmierci matki, gwiazdy filmowej, i aresztowaniu ojca, aktora filmów akcji, została prezenterką telewizyjną. Annabelle

była prawdziwym dzieckiem Hollywoodu. Napisała książkę o tym, jak dorastała w LA jako dziecko słynnych rodziców, i o swoich doświadczeniach w prowadzeniu agencji wysyłającej prostytutki na telefon w Nowym Jorku. Jak większość osób, które zostały gwiazdami reality show, zrobiła karierę tylko na tym, że tu i ówdzie bywała i występowała w wywiadach telewizyjnych. Poza tym nic nie robiła.

– Annabelle Maestro! – krzyknął Bobby i odłożył książkę. – Jak się masz w tym obcym mieście?

Annabelle natychmiast przy nim usiadła, choć wcale jej nie zapraszał.

– Tak dobrze, że to zakrawa na absurd. – Zalała go potokiem słów. Wyglądała ładnie. Była upudrowana i zrobiona trochę na plastikową lalę. Miała długie, rudoblond włosy, wysokie kości policzkowe i podejrzenie pulchne usta.

Bobby znał ją jeszcze sprzed jej związku z Frankiem. Podobnie jak M.J., Denver i Carolyn chodziła z nim do szkoły w Beverly Hills.

– Mam kompletnie zwariowany plan zajęć – ciągnęła Annabelle. – Od sukcesu mojej książki...

– Jakiej książki? – Bobby nie oparł się pokusie, by zadać to pytanie, choć po chwili przypomniał sobie, że Denver coś mu o tym mówiła.

– *Moje życie – książeczka z Hollywood opowiada o wszystkim* – przypomniała mu Annabelle. – Wyszła już w miękkiej oprawie. Jestem w Nowym Jorku, żeby ją promować. W tym tygodniu byłam w programie: „Dowiedz się, co w trawie piszczy. Na żywo”. Prowadził przeuroczy Andy Cohen. Widziałeś to?

Chyba żartuje?

– Niestety – powiedział i otworzył paczkę orzeszków, które pasażerowie dostali od linii lotniczych. – Przyjechałem tylko na krótko.

– Przyjechałeś? – zapytała, po czym nastroszyła i odgarnęła do tyłu długie włosy. – Myślałam, że tu mieszkasz.

– No... tak, ale teraz większość czasu spędzam na Zachodnim Wybrzeżu.

– Hmm... – Przeszyła go wzrokiem. – Tylko mi nie mów, że nadal jesteś z Denver... A to niespodzianka.

– A niby dlaczego? – zachnął się Bobby. Czuł, że Annabelle szykuje jakiś wredny przytyk.

– No wiesz – powiedziała Annabelle, pogardliwie wzruszając ramionami – Denver nie jest dziewczyną, którą widzę u twojego boku.

– Tak? – zdziwił się Bobby, który nie miał zamiaru pozwolić jej pleść dyrdymałów. – A kogo byś widziała?

Roześmiała się ukradkiem.

– Kogoś takiego jak ja.

Jezu Chryste, czy ona naprawdę uważa, że poleciałby na kogoś w jej stylu? Sama sztuczność – od przedłużonych włosów po wyraźnie uwypuklone kości policzkowe. Nie ma mowy, do cholery!

– Chodzi o to – ciągnęła Annabelle, niewzruszona brakiem reakcji z jego strony – że oboje jesteśmy z podobnych środowisk. – Mamy dobre pochodzenie, a Denver trzeba by chyba nazwać kimś w rodzaju kundla.

– Jezu, ale z ciebie jędzal! – krzyknął Bobby. – Słyszysz chociaż, co wygadujesz?

Annabelle wzruszyła ramionami.

– Prawda czasem może być trudna do przełknięcia. – Chwila przerwy, a potem dodała: – Gdzie twój samolot? Chyba zapowiadają ten, którym powinniśmy lecieć.

Bobby nagle wstał.

– Idź się pieprzyć – powiedział głośno i wyraźnie. I odszedł.



Znowu obiad z Ginem. Całkiem nieźle. Tym razem była z nim Paige, jego trzecia żona. Przyłączył się też do nich Jeffrey Lonsdale, a także właścicielki hotelu Cavendish – para lesbijek Renee i Susie, które Lucky bardzo lubiła. Renee była duża, twarda i odważna, a Susie kiedyś była typową żoną z Hollywood. Obie miały dużo do powiedzenia, a Gino wręcz uwielbiał ich towarzystwo.

Lucky zarezerwowała stolik przy oknie w najlepszej francuskiej restauracji w Vegas, François. Znajdowała się na ostatnim piętrze The Keys, skąd widok migocących świateł Vegas zapierał dech w piersiach.

Lucky siedziała naprzeciwko Gina. Nie mogła się oprzeć rozważaniom, co by bez niego zrobiła. Różnie między nimi bywało, ale kochała go każdą komórką i dbała o niego usilnie, podobnie jak on o nią. W przeszłości musieli walczyć z wieloma wrogami Gina, ale w końcu z nimi wygrali, choć nie było to łatwe.

Przypomniała sobie rodzinne motto: „Nie zadzieraj z rodziną Santangelo”, i się uśmiechnęła. Zdanie to było jej życiowym przewodnikiem.

Przed kolacją zadzwoniła do domu, do Max, żeby sprawdzić, co u niej słychać. Nikt nie odebrał. Podobnie z komórką. Lucky się nie martwiła. Wiedziała, że Max potrafi o siebie zadbać. Przed rokiem nie dała się porwać zboczeńcowi i zwycięsko wyszła z dużych oparów.

W głębi serca Lucky wiedziała, że Max ma wszystkie cechy Santangelów i da sobie radę w każdej sytuacji.



Max pojechała do Billy'ego taksówką. Jak większość taksówkarzy w LA, kierowca prawie nie znał angielskiego, a jechał tak, jakby go gonili gliniarze i byli kilka centymetrów za nim. Samochód śmierdział czosnkiem, a kierowca mrucał pod nosem coś w jakimś obcym języku. Kilka razy tak mocno zahamował, że o mało nie spadła na podłogę. Pięknie!

Kiedy dotarli na miejsce, trzęsła się z nerwów. Na jej stan złożyła się wariacka jazda i perspektywa ponownego spotkania z Billym. Nikomu nie powiedziała, co zdarzyło się minionej nocy, nawet Harry'emu, który czasem potrafił być dyskretny. Harry wpadł do niej przed wyjazdem i przeprosił, że zostawił ją na kupie śmieci, wśród totalnego chaosu, a potem zapalił jointa i z godzinę nawijał o tym, jaki świetny jest Paco. W końcu kazała mu iść, bo musi się wyszykować

na ekstrarandkę. Zaintrygowała Harry'ego, który koniecznie chciał wiedzieć, z kim się umówiła. Udało jej się utrzymać język za zębami, choć prawie umierała z chęci zwierzenia się.

Kiedy dotarła pod dom Billy'ego, z przerażeniem stwierdziła, że przed bramą kłębi się tłum paparazzich. Szybko poleciała kierowcy, żeby się nie zatrzymywał. Stanęli za rogiem, wyjęła komórkę i zadzwoniła.

– Za domem jest alejka – powiedział Billy. – Pojedź tam, a ja każę ci otworzyć tylną bramę.

Serce łomotało jej szybko. Ma randkę z Billym Meliną. I naprawdę się z nim bzykała. A raczej on ją bzyknął. Nieważne. Zrobiła to i tylko to się liczy.

Ojej, to prawie nierealne!



Przy kawie i deserze Lucky zaczęła wypytywać Jeffreya o ich jutrzejsze poranne spotkanie.

– Dlaczego twoim zdaniem powinnam się spotkać z ludźmi z Jordan Developments?

– Bo mają mnóstwo pieniędzy na inwestycje w przyszłe projekty, a moim zdaniem takie pieniądze rozsądnie jest mieć pod ręką – tłumaczył Jeffrey. – Kto wie, co zechcesz w przyszłości robić, Lucky? W obecnej sytuacji gospodarczej inwestorzy z gotówką są na wagę złota. – Jeffrey pracował z Lucky już od kilku lat i zawsze starał się wyprzedzać jej zamiary. Wiedział, że przy swoim temperamencie będzie się chciała rozwijać, więc starał się, aby wszystko było na tę decyzję przygotowane. – Sprawdziłem tę firmę – ciągnął. – Są w porządku. Legalna działalność. Właściciel jest miliarderem. Dobrze takiego znać. Fouad Khan to jego prawa ręka.

– Czy to nie ta sama firma, która, jak mówiłeś, chciała kupić The Keys? – spytała Lucky, sącząc limoncello.

– Tak, chcieli. Ale wiedzą, że nie ma takiej opcji. Nie zaszkodzi zobaczyć, co mają do zaoferowania.

– I koniecznie chcesz, żebym przyszła? – zapytała Lucy.
– To tylko spotkanie. Cóż mamy do stracenia?
– Dobrze – powiedziała i szybkim haustem przełknęła resztę limoncello. – A teraz sprawy osobiste. Co to za historia z tym rozwodem?

Jeffrey zaczął się niepewnie wiercić. Takiego pytania się nie spodziewał.

– Opowiedz mi wszystko – ciągnęła Lucky. – Niczego nie ukrywaj.

Jeffrey niechętnie zaczął jej tłumaczyć szczegóły rozvodu. Lucky miała talent do rozmów z ludźmi. Umiała wszystko z nich wyciągnąć. Byłby z niej niezły oficer śledczy.

– Dość tego – Gino przerwał im w końcu ochryplym śmiechem.
– Oduść biedakowi. Aż się spocił.

– Jasne – powiedziała, uśmiechając się, Lucky. – Dam Jeffreyowi spokój. Ale musisz przyznać, że nadawałabym się na psychoanalitka. Aha, Jeffrey, po jutrzejszym zebraniu zarządu będę chciała się dowiedzieć dużo więcej o twoich kłopotach małżeńskich, więc się przygotuj.

– Tak. I lepiej wymyśl coś pikantnego – rzucił Gino z przebiegłym uśmiechem. – Znasz moją Lucky. Od razu chce wszystkiego, co najważniejsze.

– Tak. A zgadnij, od kogo się tego nauczyłam? – odparła Lucky, mrugając okiem.

– Myślę, że trzeba w związku z tym wznieść toast – powiedziała Paige, żona Gina, i podniosła swój kieliszek z szampanem. – Za Santangelów. Oby nigdy nie przestali się ze sobą przekomarzać!

Wszyscy wybuchli śmiechem i stuknęli się kieliszkami.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Hej – rzucił na powitanie Billy. Stał przy tylnej bramie boso, w powyciąganych jeansach i splewiałej drelichowej koszuli roboczej.

– Hej – odpowiedziała Max. Pomyślała, że jest przystojny aż do bólu.

– Jak tam? – spytał Billy, zmierzając w stronę salonu.

– Taksówkarz był z piekła rodem – jęknęła, podążając za nim. – Na autostradzie jechał jak maniak. Myślałam, że prędzej umrę, niż tu dojadę.

– Straszne.

– Okropne. – Szybko obrzuciła wzrokiem salon, który umeblowano bardzo oszczędnie. Dominował beton i nowoczesne meble. Specyficzny styl.

– Wynajmuję ten dom – wyjaśnił. – Tak naprawdę wolę co innego.

– Ładny basen – stwierdziła, wyglądając przez szklane drzwi na zewnątrz.

Przez krótką chwilę czuł pokusę, żeby wziąć ją nad basen, poprosić, by mu zrobiła loda, tak jak lubił, i odesłać ją do domu.

Ale nie. Max nie jest tego typu dziewczyną.

– Kiedy skończy się sprawa rozwodowa, będę chyba szukał czegoś do kupienia – powiedział. – Może na plaży. W sumie Kocham Malibu.

– Kiedy to będzie? – zapytała, a pomyślała, jak fajnie byłoby mieć Billy'ego po sąsiedzku.

Wzruszył od niechcienia ramionami.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że wkrótce.

– Hmm... Jak poszedł ci wywiad? – zapytała. Zastanawiała się, czy powinna usiąść, czy też zaraz gdzieś pójść.

– Reporterka była opryskliwa i arogancka. Chciała rozmawiać wyłącznie o Venus i o rozwodzie. Po dziesięciu minutach przerwałem wywiad.

– A co na to twoja babka od PR? Na pewno była wkurzona.

– Mam to gdzieś – powiedział i przeszedł do otwartej kuchni. – Chcesz coś do picia?

– Tak. Poproszę. – Chciała go sprawdzić. – Podwójną wódkę z lodem i skórką z cytryny.

– Tere-fere.

– Zapytałeś.

– Cole, 7UP? Sprite'a?

– Dlaczego sądzisz, że nie piję?

– A pijesz?

– Nie za dużo.

Spojrzał na nią badawczo.

– Jak to jest być dzieckiem Lucky?

– Nie mów tak o mnie.

– Dajesz radę, co?

– Jestem jak mój brat, Bobby – wyjaśniła. – Oczywiście kocham Lucky. I tatę też. Ale muszę odnaleźć siebie i dlatego przenoszę się do Nowego Jorku. – Zawahała się przez sekundę, a potem dodała: – W każdym razie mam taki zamiar. – Bo od kiedy poznała Billy'ego, nie była już taka pewna, że chce się przenieść na wschód.

– Rozumiem – powiedział Billy i pokiwał głową. – To samo przeżywałem jako mąż Venus. Można się było załamać. Nigdy nie byłem sobą. Nieważne, jak wielką zdobyłem sławę, ona zawsze była sławniejsza. Ciężko jest musieć stale komuś dorównywać.

– Dobrze to wiem.

– Hmm. Pewnie tak. W dodatku dopadło cię z obu stron. I mama, i Lennie.

– Święta prawda – zgodziła się Max, zachwycona, że chyba ją rozumie. Bycie córką dwojga sławnych ludzi to nie zarty.

Billy otworzył lodówkę, wyjął puszkę 7UP i podał Max.

– Zgadywałem.

– Dobry wybór – stwierdziła, otworzyła puszkę i opróżniła ją kilkoma łykami.

Billy doszedł do wniosku, że już czas powiedzieć jej, że jest zajęty, ale jakoś nie miał ochoty tego robić. Cieszył się z jej obecności. Bycie z nią sprawiało mu przyjemność.

– No to... może pójdziemy gdzieś, co? – zapytała i natychmiast pożałowała swoich słów. Nie daj Boże, Billy odniesie wrażenie, że jest nachalna.

– To nie jest dobry pomysł – odpowiedział. – No wiesz, wszędzie ci paparazzi i tak dalej. Przez ten rozwód śledzą każdy mój krok.

– No tak. Rozumiem doskonale.

– Ale – dodał, bo zauważył, że jest zawiedziona. – Możemy zamówić jakieś jedzenie z dostawą. Na co miałabyś ochotę?

Na to, żebyś mnie pocałował i powiedział, że wczorajsza noc była dla ciebie ważna. Że nie jestem jeszcze jedną dziewczyną, którą odhaczysz wśród swoich gwiazdorskich trofeów. Że chcesz mnie widywać. Często, bardzo często.

– Na pizzę – powiedziała.

Billy uśmiechnął się. Zauważyła jego cudowne dołeczki i porażająco białe zęby.

– Tania randka – zauważył. – Myślałem, że poprosisz o kawior.

– Kawioru nie lubię – prychnęła i zmarszczyła nos. – Jest wstrętny, smakuje rybą.

– Racja! – zgodził się Billy ze szczerym entuzjazmem. – Venus zawsze chciała, żebym go polubił. „Smaku kawioru trzeba się nauczyć”, mawiała. Miała pecha, bo mnie się nie udało.

Max rozchichotała się, ale zaraz tego pożałowała. Wolałaby, żeby co rusz nie wspominał Venus. Myślała o tym, czy znów się będą

kochać, i chciała, żeby do tego dążył.

Ale on nic nie robił. Wziął telefon i zamówił dwie duże margarity z Mulberry Street.

– Hmm. Jak ci się jechało ferrari? – wykrztusiła.

– Odjazdowa bryka – zachwycił się. Pomyślał, że lepiej jej nie mówić, że przy zalewie San Vicente zatrzymały go gliny. Nie wiadomo skąd zmateriałizowało się z tuzin paparazzich, którzy uwiecznili to zdarzenie tysiącem fleszy. – O mało nie dostałem mandatu za przekroczenie szybkości, ale gliniarz mnie poznał i pozwolił odjechać.

Max poczuła ulgę, że nie dostał mandatu, który automatycznie zostałyby odesłany do właścicielki samochodu. A może nie. Czy mandat za przekroczenie szybkości to coś podobnego jak za złe parkowanie? Nie wiedziała i było jej wszystko jedno. Najważniejsze, że ferrari Lucky nadal było w jednym kawałku.

– Pewnie to niezły odjazd być rozpoznawalnym – powiedziała i zastanawiała się, czy sama będzie kiedyś znana. Nie żeby tego chciała. Miała w planie odnieść sukces w interesach, jak Bobby. Ale nie zastanawiała się jeszcze w jakiej branży.

– Na początku tak. – Billy ziewnął od niechcenia. – Potem ma się tego dosyć, bardzo dosyć. Sława wiąże się z mnóstwem minusów.

– I pieniędzy – palnęła. Miała nadzieję, że ziewnięcie nie oznacza, że powinna się zbierać.

Po co gadam takie głupoty. Wszystko mi jedno, czy ma dużo pieniędzy, czy nie.

– Muszę zapłacić agentowi, managerowi, dziewczynie od PR, księgowemu, szefowi od biznesu i poborcy podatkowemu. Nie zarabiam aż tak dużo, jak się ludziom wydaje – powiedział Billy. – Przynajmniej nie muszę płacić Venus alimentów. I niczego od niej nie chcę. Walczymy tylko o kilka nieruchomości.

Max znów pomyślała, że wołałaby, żeby nie wspominał Venus. Za każdym razem, kiedy to robił, brutalnie ściągał ją na ziemię, do rzeczywistości.

– Chcesz porozmawiać o wczorajszej nocy? – zapytał ku jej

zaskoczeniu.

Nie! Nie chciała rozmawiać o wczorajszej nocy. To zbyt krępujące. Czy naprawdę uważał, że ot tak sobie pogadają o tym, jak straciła dziewictwo? Nie, dziękuję!

Szkoda, że się przyznała, że to jej pierwszy raz. Przecież miała jakieś doświadczenie z facetami. Z kilkoma nieźle poszalała. Seks oralny to dla niej nie pierwszozna, chociaż Billy ją o to nie prosił. Z Ace'em wiele razy byli na krawędzi i zatrzymywali się dosłownie o krok od spełnienia.

Ale w końcu nic straszego się nie stało. Jest zadowolona, że poczekala. I zachwycona, że to Billy okazał się jej pierwszym.

Gdyby kiedykolwiek zwierzyła się Cookie, przyjaciółka na pewno by powiedziała: „Na co czekasz, dziewczyno? Nie tylko chłopcy mają prawo się zabawić!”.

– Hmm... wczorajsza noc była cudowna – bąknęła. – Kiedy przywiozą pizzę?

Z rozbawieniem wysoko podniósł brew.

– Umierasz z głodu czy się śpieszysz?

– I to, i to – odparła natychmiast.

– A nie mówiłaś, że masz czas iść na kolację? – powiedział, mrużąc błękitne oczy.

– Ale nigdzie nie idziemy, no tak? – powiedziała nieco zaczepnie.

– Jesteś zawiedziona?

– A niby dlaczego?

Wzruszył ramionami, nieco zakłopotany, że Max jakby psuł się humor. Coś nie tak powiedział? Coś zrobił?

Kobiety. Nieprzewidywalne istoty, zawsze się zmieniają. Takie same w wieku lat siedemnastu i czterdziestu.

– Zadzwoń, żeby ich pogonić – zaproponował.

– Nie musisz tego robić.

– No, ale jeśli się śpieszysz...

– Nie śpieszę się – powiedziała i poczuła się jak idiotka.

Dlaczego tak go męczy? Wcale tego nie chciała.

– To chodźmy posiedzieć nad basenem. Puścimy jakąś muzykę i się zrelaksujemy – zaproponował.

Właśnie kiedy pomyślała, że będzie cudownie, odezwał się dzwonek u drzwi.



Było po północy. Bobby w końcu dotarł do LA. Ukradkiem dostał się do mieszkania Denver. Poruszał się bardzo cichutko, ale kiedy był przy drzwiach, usłyszała go Amy Winehouse. Przybiegła w podskokach, merdając ogonem.

Szybciutko ją uspokoił, a potem się rozebrał i poszedł do sypialni.

Tak jak się spodziewał, Denver spała, jak zwykle *au naturel*, przykryta tylko prześcieradłem.

Wślizgnął się do łóżka i położył przy niej, a potem przysunął do jej gładkiego ciała. Ojej, skórę ma jak satyna.

Jak Annabelle Maestro miała odwagę ją nazwać kundlem! Jest zazdrosną wiedźmą! Bo Denver nie tylko jest piękna. Jest ponadto inteligentna, myśląca, przejmuje się pracą, a co najważniejsze, pod każdym względem jest autentyczna, szczerą. Ma mnóstwo wspaniałych cech, a wszystkie razem tworzą wręcz wybuchową mieszankę. Annabelle Maestro nawet się do niej nie umywa.

– Jestem w domu – szepnął Denver do ucha, ponieważ poczuł, że jak zwykle zaczęła się budzić.

– Mmm – mruknęła i powoli odwróciła się w jego stronę. – Najwyższy czas. Dlaczego tak późno?

– Nie chciałem cię budzić, śpioszku.

– Nic nie szkodzi – powiedziała cicho. Wszystkie plany wkurzenia się na niego gdzieś wyparowały. Sięgnęła pod prześcieradło i zaczęła pieścić jego twardą wypukłość.

– Naprawdę nie chciałem cię budzić – powtórzył.

– Jasne – odparła przeciągle i pieściła go dalej. – Tak wspaniały, silny filar naszego społeczeństwa na pewno nie chciał mnie obudzić.

– Oszczędzałem cię – zażartował. Uwielbiał dotyk jej rąk.

– Bardzo miło z twojej strony – wymamrotała ogarnięta falą pożądania. Do domu wrócił jej mężczyzna. Tylko to się liczyło.

– Tęskniłem za tobą – powiedział i przysunął się jeszcze bliżej. – Bardzo za tobą tęskniłem.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że tak.

– A ja za tobą – wymruczała, rozkoszując się uczuciem twardej, silnej wypukłości, która napierała na jej udo.

Przestali rozmawiać, a on dłońmi zaczął dotykać jej ciała. Wszędzie tam, gdzie najbardziej lubiła. Całował piersi, pieścił sutki, skopał prześcieradło i zszedł językiem w dół ciała, wylizując po drodze każdy jego centymetr.

Potem znalazł się między nogami. Wolno rozdzielił uda i zagłębił się językiem w wilgoć, tak że Denver zasłoniła ramionami twarz i jęczała z rozkoszy.

– Cudownie – westchnęła z radością. – Jeszcze, proszę. Jeszcze. Nacierpiałam się z powodu abstynencji.

– Czy to rozkaz? – zapytał, śmiejąc się ze zrozumieniem.

Następne westchnienie.

– Jeszcze jaki!

Już nie miała wątpliwości, czy ma być z Bobbym. Poddawała się chwili, delektując się jego dotykiem.



U drzwi domu Billy'ego stał jego najlepszy przyjaciel Kev, wielki miłośnik trawki. Przyleciał prosto z Nowego Jorku, czego dowodem były stojące na nim bagaże. Kev był niski, miał nastroszone brązowe włosy i zarozumiałą minę.

– Holender! – krzyknął Billy. Ucieszył się, bo Kev był jego przyjacielem z dawnych czasów. Tych sprzed sławy, pochlebstw i głośnego małżeństwa. Kiedy przyjechał do Hollywood, spał na podłodze w kawalerce Keva, a potem, kiedy już odniósł sukces, Kev był jego głównym posłańcem. Byli nierozłączni dopóki obaj się nie

ożenili. Małżeństwo Billy'ego przetrwało znacznie dłużej niż Keva.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że przyjeżdżasz? – zapytał i uściskał Keva po męsku.

– Nie chciałem, żebyś się za bardzo tym przejmował – zażartował Kev i wszedł do salonu. Kiedy zobaczył Max, zatrzymał się jak wryty.

– O, cholera! – krzyknął. – W czymś przeszkadzam?

– Nie, stary – powiedział Billy. – Przywitaj się z Max.

– Cześć, śliczna dziewczyno o chłopięcym imieniu – powiedział Kev.

Max przewróciła oczami.

– Wysiłłeś się na oryginalność – rzuciła.

Billy roześmiał się.

– To jest mój kumpel, Kev. Widzę, że świetnie się dogadacie.

Max szybko oceniła Keva. Zauważyła dwie torby z grubego materiału przy drzwiach wejściowych. Wygląda na to, że chce się tu zatrzymać. Przypominało to *Entourage*, jej ulubiony program telewizyjny.

– Właśnie zamówiliśmy pizzę – oznajmił Billy. – Max umiera z głodu i się śpieszy.

Max poczuła, że oblewa ją rumieniem. Czy Billy ją wyrzuca, ponieważ przyjechał jego kumpel? Ale wrednie!

– Pizza i piwo to strzał w dziesiątkę. – Kev opadł na sofę, jakby był we własnym domu. Sądząc po bagażach, miał zamiar się tu na dobre wprowadzić.

– No więc, Max – zaczął Kev, kiedy Billy podał mu puszkę piwa. – Skąd to chłopięce imię?

Co za durne pytanie, ale i tak odpowie, bo jeśli to kumpel Billy'ego, lepiej, żeby ją polubił.

– Tak naprawdę nazywam się Maria – odparła swobodnie. – Więc zgadnijcie, dlaczego je zmieniłam?

Kev popatrzył na Billy'ego, jakby chciał powiedzieć: „Co, do diabła? Dla mnie Maria jest okay”.

– Za bardzo jak w musicalu *Dźwięki muzyki* – wyjaśniła. Wy-

dawało się jej, że rozumieją. Ale z ich pustego wyrazu twarzy wynikało, że żaden nie interesuje się historią kina. Lucky i Lennie organizowali wieczory z filmem, od kiedy była małym dzieckiem. Widziała na DVD całą popularną klasykę: od *Grease* po *Gorączkę sobotniej nocy* i *Flashdance*.

- Na ile przyjechałeś? – spytał Billy, skupiając uwagę na Kevie.
- Póki mnie nie wyrzucisz – zażartował Kev z zawadiackim mrugnięciem.

Max poczuła słabość w brzuchu. Nie jest dobrze. Ani trochę.

Rozdział dwudziesty drugi

Las Vegas. Miasto świateł i grzechu. Magiczne miasto tajemnic, gdzie wszystko może się zdarzyć i zazwyczaj się dzieje.

Na przykład prostytutki są tu nadzwyczaj usługowe i zawsze gotowe do pracy. Więc kiedy Armand zadzwonił do Yvonne Le Crane, z którą już nieraz załatwiał interesy, natychmiast wysłała mu swoje dwie najlepsze dziewczyny. Tia była drobniutką Azjatką, a Fantasy nieco pokaźniejszej postury czarną piękną, której mówiono, że wygląda jak młoda Naomi Campbell.

Do apartamentu hotelowego Armanda przybyły wyposażone w bogaty wybór zabawek seksualnych: kajdanki, baty, gumowe bikini, skręty, kremy, viagrę i cialis, a także zestaw kondomów. Gotowe były zrobić wszystko, żeby zadowolić klienta. Cokolwiek mogło być potrzebne, wcisnęły do dużych toreb od Gucciego. Te drogie torby dostały w prezencie od malajskiego księcia, który był niezmiernie zadowolony z ich usług. Do tego stopnia, że oprócz normalnej stawki dostały torby wypchane studolarówkami.

Nie wiedziały, że właśnie mają obsłużyć innego księcia. Niestety nie tak hojnego.

Fantasy pracowała już niemal dwa lata, a Tia była początkująca. Obie przyjechały do Vegas z nadzieją, że załapią się jako tancerki do jednej z wielkich rewii. Niestety żadnej się to nie udało. Wnet pojawiła się Yvonne Le Crane, burdelmama w średnim wieku, która

zawsze szukała nowych dziewcząt, i obie stwierdziły, że zarabianie kupy pieniędzy za coś, co zazwyczaj robiły za darmo, jest lepszym pomysłem niż podrygiwanie w rewii sześć wieczorów w tygodniu.

Jak do tej pory na nikogo nie narzekały. Ale nie miały jeszcze do czynienia z Armandem.

– Rozbierać się – rozkazał, ledwie przekroczyły próg apartamentu.

– Gdzie sypialnia, kotku? – zapytała Fantasy z seksowną nutką w głosie, którą rezerwowała specjalnie dla klientów. Najwyraźniej facet chciał się od razu zabrać do roboty. Nie miała z tym problemu. Im szybciej się zaspokoili, tym szybciej będą mogli sobie iść.

– Nie odzywaj się i nie mów do mnie kotku – powiedział Armand ostrym, nieznoszącym sprzeciwu, rozkazującym tonem. – Ściągajcie ubrania, ale zostawcie buty i wejdźcie na stół do bilardu.

Fantasy i Tia wymieniły spojrzenia. Najwyraźniej nie będzie to seksowna scenka, którą odegrały już tyle razy. Mają do czynienia ze zbrodźcem, czyli najgorszym klientem z możliwych.

– Jasne, kot... – zaczęła Fantasy. Potem dostrzegła jego zimne, twarde spojrzenie i szybko przerwała.

Drobniotka Tia już pozbywała się ubrania. Miała na sobie tylko prostą sukienkę z jedwabiu i czerwone stringi. To wszystko. Tak jak kazał Armand, zostawiła na nogach sandały na wysokich obcasach. Armand obrzucił wzrokiem jej nagie ciało. Jak na jego gust za chuda, a sterczące piersi w oczywisty sposób były sztuczne i nieproporcjonalnie duże w stosunku do drobnej postury. Zanotował w pamięci, żeby następnym razem zamawiać tylko kobiety z prawdziwymi piersiami.

Jednak Fantasy była zdziwą w jego typie. Takie dziwki lubi upokarzać. Będzie się opierała, kiedy każe jej to czy owo robić. Nieźle go zabawi.

Kiedy Fantasy ściągała ubrania – krótką spódniczkę i mocno wydekoltowaną bluzkę, tylko tyle, bez żadnej bielizny – nie mógł się oprzeć podziwianiu jej ciała. Błyszcząca hebanowa skóra, długie nogi, koleczyk w pępku i w jednym sutku. Normalnie przyglądał się

dziwkom i wydawał im instrukcje. Nie lubił dotykać prostytutek, był na to zbyt wybredny. Ale dla tej może zrobić wyjątek.

– Na stół bilardowy – rozkazał.

Dziewczyny zrobiły, co kazał.

– Teraz chodźcie na czworakach i udawajcie psy.

– Słucham? – zapytała Fantasy.

– Nie dosłyszysz czy co? – warknął Armand. – Liźcie się po pupach i udawajcie, że wam się to podoba.

– Cholerny zbok – szepnęła pod nosem Fantasy. Ale zrobiła, co kazał, bo jak każdy profesjonalista wiedziała, że na końcu dostanie pieniądze, więc czy to takie ważne, jak je zdobędzie?



Dwie godziny później Armand pojechał po matkę. Tymczasem Fantasy odbierała swój samochód i poskarżyła się znajomemu, który pracował w The Keys jako parkingowy, że w apartamencie prezydenckim mieszka zbrojeniec, który żądał od niej i Tii różnych sprośnych usług, a na dokładkę seksu analnego, po czym odmówił dodatkowej zapłaty.

– Skąpiradło – mruzczała Fantasy, wsiadając do samochodu. – Za kogo się, do cholery, uważa?

Wkrótce po hotelu rozeszły się plotki o zbroczonym dusigroszu z apartamentu prezydenckiego. W błyskawicznym tempie doszły do uszu Jerroda.

Prostytutki nie były w The Keys mile widziane, ale ponieważ w Las Vegas drogie kurtyzany były na porządku dziennym, więc musiano je tolerować. Jerrod utrzymywał jednak pewien poziom i jeśli kobiety tej profesji przyszły do pracy w hotelu, gdzie on był szefem ochrony, powinny za swoją pracę dostać wynagrodzenie.

Postanowił przeprowadzić dyskretne śledztwo.



Armand zabrał Peggy i Fouada do François. Wiedział, że restau-

racja matce się spodoba. Była wytworna i droga. Chodziło teraz o to, żeby rozweselić, a najlepiej upić Peggy, bo jego kochana mama lubiła wino. Dać jej, ile trzeba, zawieźć do hotelu i niech odsypia.

Ileż to razy widział, kiedy był dzieckiem, jak spała po alkoholu? Nie potrafiłby zliczyć. Jego matka, pijaczka. Dzięki Bogu, że nadał się Sidney Dunn, który się z nią ożenił i go od niej uwolnił.

Teraz Sidney odszedł, ale ona chyba się nie spodziewa, że znów przylgnie do syna?

Przed kolacją zabawił się z dziwkami, zwłaszcza z czarną. Kobiety wszystko zrobią za pieniądze, udowodnił to wiele razy i udokumentował na filmach. Dwie dziwki zabawiają się ze sobą. Następnym świetnym przykładem ich rozpusty do bogatej kolekcji.

Przechowywane filmy posegregował na kategorie:

Mężatki

Dziwki

Kobiety niezamężne

Sławne kobiety

Tak, kilka sławnych kobiet także węszyło wokół niego. Chętnie dorwałyby miliardera. Wyobrażały sobie, że dzięki temu ich żalotne podobizny pojawią się w tandetnych pismach rozrywkowych.

Blondynka, która uwielbia saczki na genitalia.

Anorektyczna brunetka, która przysięgała, że nie jest anorektyczką.

Dziewczyna, która opisała swoje życie hollywoodzkiej księżniczki.

Głupia blondyna z dużymi cycami.

Naćpana piosenkarka uzależniona od kraku.

Każda spędziła z nim tylko jedną noc – z jego wyboru, nie z ich. Z żadną nie miał ochoty na powtórkę.

Restauracja była pełna. Rezerwację załatwił mu szef kasyna.

Po kolacji pójdzie pograć, a potem go zabawią trzy blondynki z Teksasu, które zamówił na północ. Jeśli chodzi o seks, Armand był głównie oglądaczem, znawcą ostrych sprośności.

– Nie podoba mi się ten stolik – pisnęła z pretensją w głosie

Peggy. – Dlaczego nie siedzimy przy oknie? Wolalabym mieć widok na miasto.

Armand kazał Fouadowi zająć się tą sprawą. Restauracja była pełna, ale pięćset dolarów napiwku dla kierownika na pewno sprawi, że znajdzie się odpowiedni stolik.

Po kilku minutach grupa gości wstała od dobrze usytuowanego stolika przy oknie.

Kierownik kazał im się pewnie wynosić, pomyślał Armand, zadowolony, że za pieniądze może mieć, co zechce.

– Widzisz – prychnął do matki z triumfalnym błyskiem w oku. – Wyraziłaś życzenie i już załatwione.

Ale Peggy nie słuchała go; skupiła się na grupie, która kierowała się ku wyjściu.

– Ten starszy pan... – powiedziała mocno poruszona. – Chyba go znam. Dowiedz się, jak się nazywa.

Armand nie mógł się powstrzymać od komentarza.

– Na miłość boską – sarknął, wydymając usta. – To nie ma sensu.

Peggy zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

– Za dużo fatygi?

Armand skrzywił się i zwrócił do Fouada.

– Zrób, o co prosisz.

W tej właśnie chwili Fouad postanowił, że czas ruszyć w świat i wyzwolić się z toksycznej atmosfery wokół Armanda. Miał pieniądze – dużo pieniędzy. Miał kopie najbardziej wyuzdanych filmów Armanda. I zdecydowanie nie chciał już być traktowany jak jakiś lokaj, który zawsze ma skakać, jak jego pan mu zagra.

To nie Akramszar, tylko Ameryka i kiedy tylko wrócą do Nowego Jorku, on odchodzi.

– Oczywiście, Armandzie – powiedział, wstając od stołu. – Zraz to załatwię.



Trzy blondynki bardzo Armandowi pasowały. Gibkie, śliczne, miały prawdziwe piersi i kępkę białych włosów łonowych – dokładnie tego potrzebował po nudnej, oglupiającej kolacji z matką. Peggy zawsze go denerwowała. Bezustannie wymyślała coś nieprzewidzianego. Ostatnio robiła mu wykłady o tym, że powinien się ożenić i mieć dzieci. Nie miała nawet pojęcia...

W nagłym, rzadkim u niego przyływie wielkoduszości zaprosił Fouada, żeby się przyłączył do jego sesji z Teksankami. Był wściekły, kiedy Fouad odmówił. Głupi ten Fouad, że dochowuje wierności swej nudnej amerykańskiej żonie. Idiota.

Blondynki robiły wszystko, o co prosił. Pieprzyły się i ssały, nie protestowały, kiedy kazał im wsadzać sobie do tyłków starego typu butelki po coli. Lizały się nawzajem i robiły wszystko, co chciał.

Zaspokoił się dwiema dziewczynami, które przyszły wcześniej, więc teraz tylko patrzył, wciągał górę kokainy i wydawał instrukcje.

Kiedy do tego dojrzał, każda z nich po kolei zrobiła mu loda. Po-tem je odprawił. Nawet nie zauważył, że jedna z nich była transwestytą. Gdyby coś takiego odkrył, dostałby prawdziwie królewskiego ataku szału.

Kiedy kobiety sobie poszły, smacznie przespał resztę nocy, zadowolony, że już następnego dnia całe The Keys będzie należeć do niego.

Rozdział dwudziesty trzeci

W piątek rano Denver obudziła się wcześniej. Kiedy odwróciła głowę, zobaczyła, że koło niej leży rozłożony na brzuchu Bobby. Szczupłe plecy miał odkryte, więc delikatnie przeciągnęła mu palcami po kręgosłupie. Nie poruszył się. Na kilka sekund wróciła myślami do czasów, kiedy jako nastolatka platonicznie się w nim podkochiwała. Teraz był u niej w domu, w jej łóżku. Cały należał do niej.

Ich nocny seks był cudowny. Intensywnie zmysłowy, emocjonalny. Łączyły ich niewiarygodnie silne więzi – i nie chodziło tylko o seks. Kochali się i lubili, a to wszystko zaprawione było zdrową dawką szacunku. Miała tylko nadzieję, że on czuje to samo co ona.

Wyskoczyła z łóżka, chwyciła luźny T-shirt, poszła do kuchni i nastawiła kawę. Sama wolała zieloną herbatę, ale Bobby wręcz uwielbiał kawę. Bez mocnej czarnej kawy nie był w stanie zmierzyć się z nowym dniem.

Dziś lecieli do Vegas, podobno na pokładzie samolotu Stanislou-poulosów.

Denver z westchnieniem napełniła kawą dzbanek. Czasem dziwiła się, że Bobby nigdy nie opowiadał o swoim zmarłym ojcu ani o fortunie, którą odziedziczył. Wiedziała, że nie chce ruszać rodzinnych pieniędzy, że bardzo zależy mu na tym, aby samodzielnie odnieść sukces. Postawił przed sobą konkretne cele i bardzo chce je osiągnąć.

Więc dlaczego korzysta z samolotu? Według niej kłóci się to z

resztą planu.

Kiedyś go zapyta, ale nie dzisiaj.

Wkrótce Bobby wszedł do kuchni w białym szlafroku frotte, który kupiła mu, kiedy zaczął zostawać u niej na noc. Z czarnymi kręconymi włosami i intensywnie oliwkową skórą wyglądał bardzo seksownie i męsko. Był taki przystojny, że dostała gęsiej skórki.

– Dzień dobry, ślicznotko – powiedział i objął ją w pasie.

– Dzień dobry, przystojniaku – odpowiedziała. – Właśnie miałam ci podać kawę do łóżka.

– Pal sześć kawę, do łóżka wołę ciebie – stwierdził, a potem wziął ją za rękę i pociągnął w stronę sypialni.

– Nigdy nie masz dosyć. – Zaśmiała się i pozwoliła poprowadzić.

– Bo jesteś zniewalająca – odparł, przewrócił ją na łóżko i ponownie zaczął się z nią kochać.

Miał obezwładniająco cudowny dotyk. Zdecydowany, ale delikatny. Ciepły i wszechobjemujący. Kochał ją z pełną mocą i tym razem krótko.

Nie da się ukryć. Też jest nienasycona.

Po seksie poszli razem pod prysznic, co oznaczało jeszcze więcej seksu. Tymczasem Amy Winehouse stała pod szklanymi drzwiami i usiłowała siłą wdrzeć się do środka i wleźć pod wodę. W końcu jej się udało.

Wreszcie z chichotem wyłonili się spod prysznica, razem z na wskroś przemoczoną Amy, która otrzepała na nich futro i pogoniła dookoła pokoju jak oszalała.

– Czas się ubierać, bo w południe startujemy – powiedział Bobby i sięgnął po spodnie. – Aha, zapomniałem ci powiedzieć, że leci z nami moja młodsza siostra.

– Naprawdę? – zapytała niezbyt zachwycona taką perspektywą Denver. Jednocześnie szybko się ubierała.

– Nie dało się od tego wymigać – odparł Bobby, zapinając koszulę. – Ale przecież lubisz Max, prawda?

– Właściwie prawie jej nie znam – stwierdziła Denver.

Otworzyła garderobę i wrzuciła kilka rzeczy do torby podróźnej.

– Poznać Max to ją pokochać – powiedział Bobby. – Jest szalona.

– Hmm... – Zamyśliła się Denver. Zastanawiała się, czy przyjęcie będzie eleganckie i powinna wziąć swoją jedyną suknię wieczorową Diany von Furstenberg. Ale co też przychodzi jej do głowy? Oczywiście, że powinna. W końcu jedzie do Vegas, na imprezę klanu Santangelo/Golden. Hurra!

– Co to za hmm? – spytał Bobby. Wilgotne włosy zakręcały mu się na kołnierzyku koszuli.

– Cóż – wymijająco stwierdziła Denver. – Z Max widziałam się dopiero kilka razy i nie była wtedy zbyt rozmowna.

– Max bywa nieśmiała. Nie zapominaj, że jest jeszcze prawie dzieckiem.

– Naprawdę? – Denver nie chciała mu wypominać, jak ostentacyjnie Max ją ignorowała, a osiemnaście lat trudno nazwać wiekiem dziecięcym. Może zresztą Max trochę odpuści, kiedy zobaczy, że jest z Bobbym od dłuższego czasu.

Z czego słowem kluczowym jest „może”.



– Dlaczego ferrari twojej mamy jest wszędzie w internecie, a za kierownicą siedzi Billy Melina? – zapytała przez telefon Cookie.

– Co?! – krzyknęła Max, którą nagle przeszył dreszcz przerażenia. – Co ty gadasz?

– Sama zobacz – powiedziała Cookie, nie zdając sobie sprawy, jaką wywołała panikę. – Myślisz, że to Lucky mu je pożyczyła? I właściwie jak to się stało przy tym całym rozwodzie? Przecież Venus jest jej najlepszą przyjaciółką?

– Nie mam pojęcia – wydukała Max, która już pędziła do laptopa i sprawdzała wiadomości na stronach z plotkami. I faktycznie od razu znalazła film z Billym, który na stacji benzynowej w Pacific Palisades wychodził ze zrobionego na zamówienie, charakterystycznego

czerwonego ferrari należącego do Lucky.

Zatrzymał się po benzynę. Z jakiego powodu?

Jakby tego nie było dosyć, znalazła mnóstwo zdjęć, na których widać było, jak zatrzymuje go gliniarz z drogówki!

– Dla mnie to dziwne – ciągnęła Cookie. – Może spytam Lucky, co jest grane.

– Nie – powiedziała całkiem już spanikowana Max. – Nie rób tego.

– Dlaczego nie?

– Bo może nie chce, żeby Venus się dowiedziała.

– Ojej – pisnęła Cookie. – Myślisz, że Lucky kręci z Billym? Najbardziej trzeba uważać na najbliższą przyjaciółkę. Ale byłby numer.

– Jesteś chamska.

– Co w tym chamskiego? Billy Melina to facet marzenie. Sama chętnie bym go zaliczyła.

Jasna sprawa, pomyślała Max, zażenowana, że Cookie w ten sposób myśli o Billym.

– A tak w ogóle – ciągnęła Cookie – wiesz, że Frankie przeprowadził Billy'ego na twoją imprezę? Naszym zdaniem wyszedł potem z Willow Price. Frankie mówi, że ona jest totalną lesbą, ale moim zdaniem na pewno kręci z Billym. Wiem, bo poznałam ich oboje.

– Ekstra – odpowiedziała Max z roztargnieniem i pomyślała, że gdyby Cookie знаła prawdę, dopiero by szalała.

– Tak – od niechcienia dodała bardzo z siebie dumna Cookie – Też byś ich poznała, gdybyś była. A właściwie gdzie się podziwiałaś całą noc?

– Teraz mnie pytasz? A gdzie byłaś, kiedy trzeba było sprzątać?

– No dobra, dobra – niecierpliwie odburknęła Cookie. – Dałam plamę. Ale nie ma co się wpieniać.

– Wpieniać? – z oburzeniem powtórzyła Max. – A niech cię!

– Zaraz ruszamy do Vegas – powiedziała Cookie, która wcale się nie przejęła tym, że Max się wkurza. – A wy, kiedy przyłeciecie?

– Po południu – warknęła Max i mocno przełknęła ślinę, żeby się uspokoić, bo gdyby Lucky zobaczyła zdjęcia Billy'ego, ona miałaby przerżbane. – Aha, Cookie – dodała szybko. – Nie mów Lucky o tych zdjęciach, dobrze?

– A dlaczego?

– Bo to nie byłoby cool.

Kiedy Max pozbyła się Cookie, zaczęła rozmyślać nad jakimś genialnym wykretem na wypadek, gdyby Lucky jednak natknęła się na zdjęcia. Sama ich nie znajdzie, bo ani trochę nie interesuje się plotkami w internecie.

Ale jeśli ktoś jej pokaże? Jeśli zobaczy je Venus?

Z tego wszystkiego można się porzygać!

Nie dość że w najgorszym momencie wparował najlepszy kumpel Billy'ego i zrujnował jej znakomicie zapowiadający się wieczór? Kev, te jego durne odzywki i głupia mina. Z automatu go znenawidziła, więc przełknęła tylko kawałek pizzy i zaraz się zwinęła. Co gorsza, Billy nawet nie spróbował jej zatrzymać. A kiedy odprowadzał ją do samochodu, Kev też z nimi poszedł. Cymbał bez wycucia.

Billy zdawkowo cmoknął ją w policzek, ostrzegł, żeby jechała ostrożnie, i koniec. Żadnego „kiedy się zobaczymy?”. Ani nawet – „zadzwoń do ciebie”.

Była wściekła, urażona i czuła się jak kompletna idiotka. Najwyraźniej Billy wykorzystał ją do szybkiego bzykanka. I myśli sobie, że skoro jest cholernym gwiazdorem, wszystko mu wolno.

Niech się pieprzy. I to ostro, do cholery.

No a teraz Lucky łatwo może się dowiedzieć, że Billy jechał jej samochodem. I jak jej to wytłumaczyć?

Tak czy inaczej, jej wymarzony wieczór zmienił się w totalny koszmar.

Nienawidzi Billy'ego Meliny.



Danny uwielbiał opowiadać Lucky plotki z hotelu, także nie-

przypoite. Informacje docierały do niego bez wysiłku z jego strony, niezależnie, czy tego chciał, czy nie. Był jak magnes dla wszystkiego, co pikantne. Najnowsze plotki kolekcjonował bardzo wcześnie rano przy kawie, którą pił z ludźmi z obsługi jeszcze przed ich pracą.

Lucky bawiły te historyjki, a Danny zawsze był świetnym źródłem wiadomości.

W piątek rano hitem była plotka o tym, że szefa kasyna przyłapano, jak się bzyka z mężatką z cateringu. Ponadto opowiadano o tym, że zaręczona z krupierem prześliczna, bardzo młoda dziewczyna z promocji na boku romansuje z często przyjeżdżającym do Vegas piosenkarzem – idolem nastolatków.

Krążyły też pogłoski, że w apartamencie prezydenckim mieszka zboczeniec, który odmówił prostytutkom dopłaty za ponadprzeciętne usługi.

– Mężczyźni! – krzyknął Danny i przewrócił przy szefowej oczami. – Po co zamawiać, jeśli nie chcesz płacić?

– Ach – westchnęła Lucky w drodze do swego imponującego apartamentu na ostatnim piętrze, gdzie na marmurowym stoliku czekała śniadaniowa uczta. – Mężczyźni bywają zagadkowi. Zupełnie jak kobiety.

– Jesteś zbyt miła – powiedział Danny z przekąsem. – Uwierz mi, większość mężczyzn to wieprzki.

– Naprawdę tak myślisz? – łagodnie zapytała Lucky.

– Oczywiście – odparł Danny. – O mężczyznach potrafiłbym ci niejedno powiedzieć. Wiesz, zanim byłem z Buffem...

– Bardzo chciałabym posłuchać opowieści o twoim życiu, Danny, ale musisz odebrać z lotniska Venus i ją tutaj przywieźć – przerwała mu Lucky.

– Kiedyś ci opowiem – obiecał Danny, nieco przygaszony tym, że Lucky nie chciała go wysłuchać. – Powinnaś to wiedzieć.

– Kiedyś tak – zapewniła go Lucky. – Ale nie dzisiaj.

– Jesteś jak maszyna. – Danny ze zrozumieniem kiwnął głową. – Wszystko i wszyscy muszą być na czas. Nie ma miejsca na błędy.

– I na szczęście dla ciebie, Danny, ty ich nie robisz – z werwą

odpowiedziała Lucky. – Więc rusz tyłek i jedź po Venus.

– Niektórzy taką odzywkę uznaliby za molestowanie seksualne – fuknął. – Poza tym wiesz, że Venus każe mi na siebie czekać. Straszna z niej diwa.

– No to cześć – powiedziała Lucky i pomyślała, że tak dobrze dogaduje się z Dannym między innymi dlatego, że chłopak jej się wcale nie boi. Ponieważ tak dużo osiągnęła, niektórzy ludzie byli tym oniśmieni. Danny nigdy. Był z natury miły, choć czasem przekorny. Przede wszystkim odznaczał się skutecznością w pracy i tryskał energią. Idealnie sprawdzał się w roli jej asystenta.

Piętnaście minut później Danny wrócił z Venus, która w białym stroju sportowym oblamowanym złotem i z wysoko upiętymi na głowie platynowymi włosami wyglądała jak zjawisko.

Danny zaprowadził ją na taras do Lucky i wyszedł. Kobiety uściśniły się serdecznie.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś – powiedziała Lucky. – Wcale nie byłam pewna, że ci się uda.

– Przecież wiesz, że kocham Vegas – stwierdziła Venus. – No i pomyślałam, że po śniadaniu możemy razem poćwiczyć. Jak widzisz, odpowiednio się ubrałam. To część mojej nowej kolekcji *Body By Venus*. Ładny strój?

– Sensacyjny, ale dziś nie mogę ćwiczyć – odparła Lucky, szczerze żałując, że nie ma na to czasu. – Mam zebranie, a potem spotkanie z potencjalnymi inwestorami, na którym obiecałaś się pokazać. Pamiętasz?

– Naprawdę? – zapytała Venus z miną niewiniątka.

– Tak – zapewniła ją Lucky.

– A niech to!

– Niczym się nie przejmuj, supergwiazdo – powiedziała Lucky ze śmiechem. – Przecież uwielbiasz, kiedy ci się wszyscy podlizują. Uzależniłaś się od ludzkiego podziwu, widać to jak na dłoni.

Venus uśmiechnęła się. Prawda. Nigdy nie miała dość światła reflektorów.

– Może Danny ze mną poćwiczy? – zapytała, sprawdzając, co

jest na stole do jedzenia. – Co, Danny?

– Niestety muszę ci sprawić zawód – stwierdziła Lucky i nałożyła sobie jajecznicę z bekonem. – Danny musi być przy mnie. Będzie robił notatki.

– Ależ z ciebie nudziara – westchnęła Venus i zdecydowała się na jogurt z czarnymi jagodami. – Mogłabyś mi chociaż raz wypożyczyć Danny'ego.

– Nie mów, że przyleciałaś sama – zainteresowała się Lucky, kiedy usiadły. – Bez świty, która zaspokoi każdą twoją zachciankę?

– Czy mi to potrzebne? – zapytała Venus, zdejmując okulary słoneczne Dolce & Gabbana.

– Na to wygląda. Nie potrafisz nigdzie poruszać się sama. Gdzie twój stylistka? A fryzjer? Zastęp ludzi od wizerunku?

– Myślałam, że to weekend dla rodziny, więc przyjechałam sama.

– Co za dojrzałe podejście.

– Chociaż tak naprawdę... mam ze sobą niespodziankę. Zaraz tutaj przyjdzie.

– Aaa! – krzyknęła Lucky. – Wiedziałam!

– Oczywiście.

– Kto to może być?

– No cóż – powiedziała Venus z przekornym uśmiechem błakającym jej się po seksownych ustach. – Do wczorajszych zdjęć mojej nowej kolekcji strojów zatrudnili pięknego chłopaka. – Zatrzymała się, oczekując na efekt. – No i – ciągnęła – nie mogłam biedakowi dać się zmarnować, co?

– Jesteś niepoprawna – ze śmiechem stwierdziła Lucky.

– A ty jaka byłaś, kiedy byłaś sama? – odparowała Venus. – O ile pamiętam, rznąłaś ich na prawo i lewo, a potem zostawiałaś szybciej niż jakikolwiek facet.

– Byłam sama – powtórzyła Lucky. – No właśnie. I proszę, nigdy nie mów o tym Max.

– Teraz ja jestem sama – stwierdziła Venus. – Co znaczy, że nie mam zamiaru tracić ani minuty.

- Jak zwykle – oschle skomentowała Lucky
- À propos – dodała Venus. – Ma dwadzieścia lat, jest Brazylijczykiem i prawie nie zna angielskiego. – Znowu przerwała, patrząc, jakie wywołała wrażenie. – Chyba się zakochałam!
- Więc nie będziesz już smęciła o Billym? – z nadzieją spytała Lucky.
- Venus znowu obrzuciła ją cudownie złośliwym uśmiechem.
- Jakim Billym?



Frankie prowadził swój kabriolet corvette grand sport jak maniak. Co rusz rozmawiał przez komórkę, esemesował, nachylał się, żeby zmienić CD, i manewrował między pasami na jezdni, jakby jechał elektrycznym samochodziem w wesołym miasteczku.

Cookie to nie przeszkadzało. Uwielbiała lekki dreszczyk emocji, a Frankie zapewniał jej to z nawiązką. Kiedy po nią podjechał, wciągnęli kilka ścieżek kokainy, żeby przygotować się do czterogodzinnej jazdy, potem pociągnęła mu druta i obiecała, że kiedy wyjadą na pustynię, zrobi to jeszcze raz.

- Kiedy będę prowadził – powiedział i na samą myśl zaczął się ślinić.
- Co za to dostanę? – zapytała.
- Zależy, jak to zrobisz.
- Ha! – krzyknęła Cookie. – A jak myślisz, kto wygrał w szkole konkurs na robienie loda, kiedy miałam czternaście lat?

Frankiego to zaintrygowało. Pogłoski o nastolatkach, które robią sobie konkursy na ciągnięcie druta, wkładał między bajki. Super, że to prawda, a w dodatku jego dziewczyna była mistrzynią. Niezłe, co?

Jego dziewczyna. Jego pierwsza stała dziewczyna po Annabelle Maestro, która pod koniec związku potraktowała go jak gówno. Nigdy jej tego nie wybaczy. W dodatku Annabelle napisała o nim w swojej głupiej książce i to bez ani jednego pochlebnego słowa. Chciał pozwać ją do sądu, ale wszyscy mu to odradzali. Szkoda czasu, forsy

na prawników i frustracji, która by się z tym wiązała. No więc w końcu się nie zdecydował.

Szkoda, że zabrakło mu przezorności, żeby sfilmować ich seks, kiedy jeszcze byli razem. Vivid Entertainment dużo by za to zapłacił. Za seks wideo z Paris Hilton i tą Kardashian z grubą dupą zabulili miliony. Nieźle by się dorobił. Colinie Farrell, oto ja, Frankie!

Ale teraz przepadło.

Nagle przyszło mu coś do głowy. A może zrobić seks wideo z Cookie? Nie ulega wątpliwości, że jest wystarczająco żadna przygód. A gdyby ją zapewnił, że będą film oglądać tylko dla własnej przyjemności...

Tak. Podobnie jak Annabelle, której tata, Ralph Maestro, jest supergwiazdorem filmów akcji, Cookie ma słynnego ojca, Geralda M., największego piosenkarza muzyki soul. Co prawda radio opanował rap i hip-hop, więc Gerlad M. nie jest na topie. Ale nadal pozostał wielkim gwiazdorem w Europie, gdzie uwielbiano zmysłowe ukojenie w stylu Lionela Richie i Barry'ego White'a.

Pierwsza sprawa do załatwienia, kiedy dotrą do Vegas. Kupić małą kamerkę i wziąć się do roboty.

Tak, to niezły plan.



– Opracujmy plan B – powiedział Bobby. Było mu przykro, że sprawił Denver zawód, i chciał to wynagrodzić. – Kiedy mogę poznać twoją rodzinę?

– Nie ma planu B – odpowiedziała Denver, kiedy usiedli w samochodzie wiozącym ich na lotnisko, do samolotu Bobby'ego. – Już miałeś swoją szansę.

– To nie moja wina – bronił się Bobby. – Nie mam władzy nad liniami lotniczymi.

– Chyba masz – kłóciła się Denver. I już dłużej nie potrafiła się powstrzymać. – Gdzie był twój samolot, kiedy go potrzebowałeś? I dlaczego korzystasz z niego dzisiaj? Czy to nie lekka ekstrawagancja?

– Pytania, pytania – drażnił się z nią Bobby, usiłując rozładować atmosferę. – Moja dziewczyna, prokurator okręgowy, uwielbia zadawać pytania.

– Zastępca prokuratora – poprawiła go Denver. – Dziewczyna jest niezwykle zawiedziona, że nie przyszedłeś.

– Ale kochanie, przecież wiesz, że chciałem – odparł bez polotu. – Miałem dobre chęci.

– Dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane – stwierdziła Denver, gdyż mimo cudu porannego seksu nadal była nieco zła, że nie zdążył na spotkanie z jej rodziną. – Tak chciałam, żebyś przyszedł. Wszyscy czekali. Wyszłam na idiotkę.

– Hej, maleńka – powiedział i szybko na nią spojrział. – Nigdy nie wyglądasz na idiotkę. Jesteś najmądrzejszą dziewczyną, jaką znam.

– Ty tak mówisz.

– Przestań mnie atakować – nalegał. – Wybieramy się na romantyczny weekend, więc nie psuj go.

Strasznie romantyczny, pomyślała Denver. W otoczeniu całej twojej rodziny, która będzie oceniała, czy nadają się na dziewczynę dla dziedzica cholera właściwie wie czego?

Westchnęła głęboko.

– Niech ci będzie – mruknęła.

Bobby nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Powiedziałaś to, jakbyś miała dwanaście lat – zauważył.

– Czasami – odparła ze smutkiem – żałuję, że nie mam.

Rozdział dwudziesty czwarty

Dzień dobry. – Dwie stewardesy, Hani i Gitta, przywitały Bobby'ego i Denver na pokładzie samolotu Stanislopoulosów wesoło i z błyskiem w oku.

Denver już kilka razy nim leciała, ale nie jako dziewczyna Bobby'ego. Ciekawe, czy Hani i Gitta wiedzą, że są teraz z Bobbym parą. Stwierdziła, że chyba tak, bo wyglądały na kobiety, które starają się wiedzieć o wszystkim.

Max, Harry i Paco już byli na pokładzie. Harry był zachwycony, że luksus prywatnego odrzutowca może dzielić ze swoim nowym przyjacielem, ale Paco był nieco przerażony. Tymczasem Max zdążyła się załamać, rozpamiętując, jak Billy ją potraktował. Jak śmiał! Nie jest dziewczyną na jedną noc ani jakąś pierwszą lepszą laską, którą może wykorzystać i porzucić. W dodatku pozbawił ją dziewictwa. Ukradł je jak nocny złodziej. Była zażenowana.

Po głowie chodziły jej pomysły drastycznych kar. Mogłaby powiedzieć Lucky i Lenniemu, że wziął ją siłą. Ha! Gdyby Lucky w to uwierzyła, odstrzeliłaby mu jaja. Wszyscy wiedzieli, że z Lucky nie ma żartów.

Albo... mogłaby powiedzieć o tym Bobby'emu, który był teraz tak zajęty swoją dziewczyną, że prawie nie zwracał na nią uwagi.

Cholera! To straszne, jak Bobby szaleje za tą całą Denver. Dlaczego dalej nie jest wolnym strzelcem? Dziewczyny zawsze za nim

ganiały. Jest miłym, superprzystojnym brunetem, więc może wybierać i przebierać. To dlaczego wybrał Denver?

Po chwili stwierdziła, że musi jej pokazać, kto naprawdę liczy się w życiu Bobby'ego.

– Braciszku! – pisnęła, rzuciła się na niego i objęła go za szyję. – Dawno cię nie widziałam. Ale się stęskniłam!

Bobby ze zdziwieniem wymotał się z jej objęć.

– Pamiętasz Denver? – powiedział z naciskiem.

– Jasne – odparła Max, celowo takim tonem, jakby jej nie pamiętała.

– Cześć, Max – odezwała się Denver, która już wyczuwała nadchodzące kłopoty. – Miło znowu cię widzieć.

– Cześć – bąknęła od niechcenia, machając w jej kierunku ręką.

Kurczę, pomyślała Denver. Muszę sobie jakoś poradzić z tą zadziorną nastolatką, której się wcale nie podoba, że jestem z jej uwielbianym bratem. Świetny początek weekendu, na który wcale nie chciałam jechać.

– Proszę siadać, wyłączyć komórki i pozapinać pasy – oznajmiła Gitta. – Przygotowujemy się do startu.

Denver zapięła pas.

Bobby wziął ją za rękę.

– Przyjemnej podróży, kochanie. Właśnie rozpoczynamy weekend, który długo będziemy pamiętać. Przygotuj się na świetną zabawę.

Samolot z rykiem ruszył wzdłuż pasa startowego i wkrótce byli w drodze do Vegas.



– Co ci jest, stary? – zapytał Kev. – Myślam bujasz gdzieś w kosmosie.

– Tak – odpowiedział z roztargnieniem Billy. – Zastanawiam się, czy nie wyskoczyć na drobny hazard do Vegas.

– Vegas! Ooo... – natychmiast zainteresował się Kev. Uwielbiał

to miasto. – Jestem jak najbardziej za. To kiedy jedziemy, stary?

– Dzisiaj – stwierdził Billy, podejmując natychmiastową decyzję.

Cały ranek rozmyślał o Max. Prawdę mówiąc, chodziła mu po głowie, od kiedy Kev wyciągnął go poprzedniej nocy do klubu i jak zwykle rzuciły się na niego tłumy dziewczyn, z których żadna nie przypadła mu do gustu. Obiecał Max kolację, a tak się złożyło, że niespodzianie pojawił się Kev i Billy pozwolił jej się wymknąć, chociaż wcale tego nie chciał.

To wszystko jego wina. Max jest taka młoda i męczy ją poczucie winy. Nie udało mu się zachować jak trzeba. Przyjazd Keva był dla niego łatwym wytłumaczeniem. Ale kiedy się nad tym zastanowił, wcale nie chciał uciekać przed Max. Tak naprawdę pragnął jeszcze z nią trochę pobyc. Owszem, jest młoda, ale bardzo szczególna, świeża i – choć może za wcześnie o tym mówić – poczuł duchowe pokrewieństwo między nimi. Intuicja mówiła mu, że powinien być właśnie z tą dziewczyną.

Pozwolił jej jednak odejść, a teraz jest pewnie na niego wkurzona, bo dziewczyny są na takie rzeczy bardzo czułe. Zwłaszcza że seks między nimi był jej pierwszym razem.

Był na siebie zły. Jak może jej to wynagrodzić?

Vegas. Jej urodziny. Pokaże, że mu na niej zależy.

Nie żeby mógł bez zapowiedzi pokazać się na jej przyjęciu. To na pewno nie byłoby na miejscu. Wyobraził sobie minę Lucky, gdyby miała choć cień podejrzenia, że bzykał jej córkę. Minę Lenniego też.

Ale... mógł przecież się w Vegas spotkać z Max po kryjomu. Lucky nic nie musi wiedzieć.

To chyba dobry pomysł. Pojedzie i weźmie ze sobą Keva.



Po śniadaniu z Venus Lucky poszła na zebranie z Jeffreyem Lonsdale'em i ludźmi z Jordan Developments. Na razie nie miała w planach żadnych nowych przedsięwzięć, więc sama nie wiedziała,

dlaczego zgodziła się na to spotkanie. Nigdy nie miała problemu ze zdobyciem pieniędzy, ale Jeffrey uważał, że Jordan może być przydatny, gdyby na przykład postanowiła wybudować coś na wzór The Keys w Atlantic City albo jakimś innym mieście w Ameryce, gdzie zalegalizowano hazard. Jeffrey nigdy nie pozwalał jej inwestować ani centa własnych pieniędzy. I choć to nie on rządził, lubiła słuchać jego mądrych rad. Był inteligentny.

Danny przyszedł, aby odprowadzić ją do biura.

– Mam ciekawą wiadomość – oznajmił zadowolony z siebie.

– Jaką? – spytała Lucky, dużymi krokami zmierzając w stronę windy. Wyglądała bardzo sztywnie. Miała na sobie skórzane spodnie, wysokie buty i prostą bluzkę z kaszmiru. Długie, wzburzone włosy opadały jej na ramiona. Uszy zdobiły duże żółte klipsy z diamentami.

– Bardzo pikantna – Danny mówił podniesionym głosem i usiłował za nią nadążyć.

– Albo mów od razu, albo nic nie gadaj – powiedziała Lucky.

– Zboczeniec w apartamencie prezydenckim, o którym wcześniej ci mówiłem, to facet, z którym właśnie masz się spotkać.

– Co?

– Armand Jordan. Z Jordan Developments.

– Żartujesz?

– Ani trochę.

– Przypomnij mi, o co chodziło.

– Podobno – zaczął Danny, rozkoszując się każdym szczegółem – pan Jordan wynajął kilka drogich prostytutek i kazał im robić niewyobrażalne rzeczy, a potem odmówił dodatkowej zapłaty... a wedle zwyczaju za niektóre usługi trzeba płacić ekstra.

– No ładnie.

– Jesteś pewna, że chcesz się z nim spotkać?

– Czemu nie? – odpowiedziała Lucky i od niechcenia wzruszyła ramionami. – Może uda mi się go zawstydzić i zmusić do zapłaty. Byłaby z tego niezła frajda.

– Zrobiłabyś to, prawda? – bardziej stwierdził, niż zapytał

Danny, któremu spodobała się perspektywa zobaczenia szefowej w akcji.

Lucky się uśmiechnęła.

– Pracujące dziewczyny zasługują na każdego najmniejszego centa, którego zarobią. Może to będzie mój dobry uczynek na dzisiaj. Co ty na to, Danny?

– Jestem za. Zdecydowanie!



Jadąc autostradą z głową Cookie na kolanach a fiutem w jej ustach, Frankie był najszcześliwszym człowiekiem na świecie.

Czy może być coś lepszego? Przez głośniki na cały regulator leci seksowny rap Cee Lo Greena, słońce świeci jak żarówka, corvetta łagodnie pruje naprzód z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, a do tego odjechane uczucie powstrzymywania się od czekającego go za chwilę absolutnie odjazdowego orgazmu.

Ech, człowieku, Frankie odlatywał i to jak.

Nagle... jakaś cholerna syrena. Zrównuje się z nimi gliniarski samochód. I jakiś pieprzony gliniarz z czerwoną gębą macha jak szalony, żeby się zatrzymał.

Posłuchał go i gliniarz podszedł do okna samochodu.

– Przepraszam, panie władzo. – Frankie usiłował okazać skruczę. – Muzyka gra za głośno?

– Prawko i karta rejestracyjna – powiedział Wkurzony Gliniarz. – I proszę wysiąść z samochodu. – Podejrzliwie zerknął na Cookie. – Pani też.

Cookie zajęta była malowaniem ust lepkiem błyszczącym i się nadąsała.

– A ja co zrobiłam? – spytała.

– Czyn lubieżny w pojeździe poruszającym się na drodze – oznajmił Wkurzony Gliniarz. – Chyba oboje was zamknę.

Frankie usilnie zastanawiał się, gdzie schował kokainę, trawkę i pigułki, które wziął ze sobą w podróż – głównie dlatego nie chciał

lecieć samolotem. Przypomnił sobie w końcu, że włożył narkotyki do torby podróźnej, razem z przyborami do golenia. O cholera, może być niedobrze. Cookie wygramoliła się z samochodu, a Wkurzony Gliniarz przeszył ją spojrzeniem.

– Ile masz lat? – zapytał. – Piłaś?



Kiedy tylko znaleźli się w powietrzu, Denver postanowiła, że będzie miła dla Bobby'ego i jego agresywnej młodszej siostry. Przesunęła się, żeby usiąść koło Max.

– Bobby mówi, że chcesz się przenieść do Nowego Jorku – zagaiła. – Pasjonujące plany.

Max chrząknęła.

– Wiesz już, co chciałabyś tam robić? – pytała cierpliwie dalej.

Znów chrząkniecie.

– W każdym razie – ciągnęła Denver – mama na pewno będzie za tobą tęsknić. Moja mama strasznie przeżywała, kiedy się wyprowadziłam, chociaż mieszkaliśmy nadal w tym samym mieście, więc możesz sobie wyobrazić, co będzie czuła twoja.

Brak reakcji.

Denver się poddała. Niech tam. Wszystko jedno, czy siostra Bobby'ego ją akceptuje, czy nie. Było oczywiste, że zdaniem Max tylko ona ma wyłączność na brata i biada każdej dziewczynie, która zbyttno się do niego zbliży.

Bobby siedział z przodu i rozmawiał z Pakiem o muzyce, a Harry im się przysłuchiwał jak urzeczony.

– Jeśli chcesz, to kiedy będziemy w Vegas, możesz kilka godzin pograć w moim klubie – zaproponował Bobby. – Zawsze szukam nowych talentów, a didżej, który przychodzi na happening, może być niezłym magnesem.

Harry z entuzjazmem pokiwał głową.

– Paco jest najlepszy – oznajmił z dumą. – Jestem pewien, że z chęcią posłuchasz, co potrafi.

– Już mam występ w Vegas – powiedział Paco, który był jednocześnie uprzejmy i nerwowy. – Ale zagranie w twoim klubie byłoby dla mnie zaszczytem.

– Coś wymyślimy – odparł Bobby i chwycił za ramię Denver, która właśnie podeszła i usiadła przy nim. – Ona lubi Adele, Winehouse, Mayer. A ja nie. Ja lubię wszystko – dodał i uściśnił jej dłoń.

– No tak, właśnie taka jestem – kwaśno stwierdziła Denver. – Lubię spokojną, łagodną muzykę.

– Nic w tym złego – poważnie odpowiedział Paco, który usiłował nie pokazywać, jak bardzo podnieca go, że jest z tymi ludźmi w prywatnym samolocie. Cała jego rodzina mieszkała w Bronxie. Gdyby im to powiedział, nigdy by mu nie uwierzyli. – Najważniejsze jest dobre łączenie gatunków. Rap, kubańska muza, rock, pościelowa – to wszystko ze sobą współgra. Sprawia, że ludzie wychodzą na parkiet.

– Widzisz? – rzuciła Denver i wymownie spojrzała na Bobby'ego. – Facet wie, o czym mówi.

– Tak, tak, widzę – odparł Bobby, nadal się uśmiechając.

Podeszła do nich Hani z koktajlami Mimosa w wysokich kieliszkach. Bobby jeden podał Denver, a drugi wziął dla siebie.

– Wypijmy za ten weekend, kochana – powiedział i stuknął się z Denver. – Będzie fantastycznie.

Denver uśmiechnęła się i zrozumiała, że jest beznadziejnie, szczęśliwie zakochana po uszy.

– Za weekend – powtórzyła cicho.

I nagle poczuła się zachwycona tym, że zgodziła się jechać z Bobbym do Vegas.



Znowu byli w drodze. Corvette Frankiego pędziła autostradą na pełnym gazie. Cookie udało się przekonać Wkurzonego Gliniarza, że jadą na swój ślub, a to, co wziął za akt lubieżny, było tylko przywidzeniem. W dodatku jej tata, Gerald M., tak – ten Gerald M. – czeka

na ich przyjazd z kilkoma grupami kamerzystów i cholera wie z iloma paparazzimi. Nie użyła słowa cholera, uważała na język.

Na początku Wkurzony Gliniarz nie uwierzył, że jest córką Geralda M., ale miała dowód – kilka zdjęć, na których byli razem w iPadzie, a w torebce jego ostatnią płytę CD. Płyty zawsze nosiła przy sobie, właśnie na takie okazje.

Żona Wkurzonego Gliniarza była fanką jej ojca, więc Wkurzony Gliniarz już tak bardzo się wkurzał i po krótkim wykładzie na temat bezpieczeństwa na drodze i pouczeniu, żeby w przyszłości byli ostrożniejsi, pozwolił im odjechać.

– Nadajesz się na jakąś pieprzoną aktorkę! – krzyknął Frankie z nieskrywanym podziwem. – Odstawiłaś odjazdowy show.

– Wiem – powiedziała Cookie z niezbyt skromnym chichotem. – Jestem bombowa, co?

– Jak cholera!

– Tata nauczył mnie, żebym na wypadek tarapatów korzystała z jego nazwiska. Jakies profity muszę przecież mieć z tego, że jestem jego córką?

– Twój tata to mądry facet.

– Niezbyt. Całkiem głupieje, kiedy widzi fajną cipkę.

– I tak chciałbym go poznać – stwierdził Frankie.

– Może kiedyś – wymijająco odpowiedziała Cookie.

– W każdym razie jestem pod wrażeniem – powiedział Frankie.

– Myślałem już, że nas naprawdę zamkną.

Cookie zachichotała.

– To już piąte CD, które dałam komuś jako łapówkę. Za każdym razem się sprawdza.

– Tak? – zdziwił się Frankie. – To ile razy przyłapano cię na robieniu łoda w czasie jazdy samochodem?

– Chciałbyś wiedzieć – tajemniczo mruknęła Cookie.

Nie. Wcale by nie chciał. Są rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć.



Max tak się pogрузzyła w uzalaniu nad sobą, że stwierdziła, iż koktajl Mimosa dobrze jej zrobi. I chociaż w zasadzie nie piła, tym razem wychyliła dwa kieliszki jeden za drugim i natychmiast poczuła lekki szum w głowie.

Ale niestety nikt nie zwrócił na to uwagi. Bobby był za bardzo przejęty swoją dziewczyną, a Harry całkiem przyssał się do Paca, który wcale nie wyglądał na geja, więc właściwie o co tu chodzi? A może coś między nimi zaszło? Nie zadała sobie trudu, żeby zapytać. Za bardzo przejmowała się dramataми własnego życia.

Była o krok od łez. Otrząśnij się, ostrzegła samą siebie. Jesteś Santangelo. Weź się w garść. No trudno, byłaś kobietą na jedną noc Billy'ego Meliny. Wielkie rzeczy!

Nie zabezpieczyli się.

Głupio.

Bardzo głupio.

A jeśli jest w ciąży?

Na samą myśl natychmiast wytrzeźwiała, jak najdalej odsunęła się od wszystkich, przypięła pasem do fotela, zamknęła oczy i spróbowała się odizolować od całego świata.



– Muszę przyznać, że umiesz postawić na mojej drodze ludzi z prawdziwą klasą – z przekąsem powiedziała Lucky do Jeffreya, kiedy spotkali się w jej biurze, które sąsiadowało z salą konferencyjną.

– O czym mówisz? – spytał Jeffrey ze zdziwioną miną.

– O facetach z Jordan Developments – stwierdziła Lucky, odrzucając włosy do tyłu.

– Ale o co chodzi? – zdziwił się Jeffrey i odchrząknął.

– Podobno uwielbiają dziwki, ale im nie płacą.

Jeffrey poprawił ciężkie, staromodne okulary w rogowej oprawie, które zawsze zakładał na oficjalne zebrania.

– Masz jakieś informacje, które i ja powinienem znać? – zapytał, czując się nieswojo, że Lucky wie coś, czego on nie wiedział.

– Tak – odparła Lucky i usiadła za ogromnym biurkiem w stylu art déco. – Skoro ja to wiem, ty też powinieneś.

Jeffrey przysunął krzesło i usiadł po drugiej stronie biurka.

– Skąd to wiemy? – zapytał.

– Wiemy – Lucky zaczęła bębnić palcami o blat biurka – stąd, że Danny ma oczy i uszy wszędzie, gdzie cokolwiek się dzieje w moim hotelu. Prawda, Danny?

Danny zajęty był ustawianiem laptopa przy bocznym stoliku, żeby zarejestrować każdy szczegół nadchodzącego spotkania.

– Co właściwie słyszałeś? – spytał Jeffrey.

Danny powtórzył historię. Uwielbiał być w centrum zainteresowania, zwłaszcza że zwykle pałętał się gdzieś w tle.

Jeffrey się nachmurzył. Takie wieści źle wróżyły zbliżającemu się spotkaniu. O ile znał Lucky, nie obchodziło jej, czy facet, z którym mieli do czynienia, sprowadził prostytutki. Ale to, że je oszukał, denerwowało ją bardzo.

Jeffrey nie miał czasu dłużej się nad tym zastanawiać, ponieważ recepcjonistka oznajmiła, że właśnie przybyli ich rozmówcy z Jordan Developments.

Na twarzy Lucky z wolna pojawił się groźny uśmiech, a w czarnych oczach zamigotały iskry.

– Zaczynamy show – wycodziła przeciągle. – Może się okazać bardzo ciekawy.

Rozdział dwudziesty piąty

Armand często zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby dorastał jako zwykły chłopiec w Ameryce. Nie był zwykłym człowiekiem, o tym wiedział. Był kimś szczególnym. Księciem. Jego dzieciństwo w Akramszarze można było różnie nazywać, ale na pewno nie było zwyczajne. Urodził się w pałacu, niańczyły go kobiety w długich, czarnych szatach i prawie się do niego nie odzywały. Dopiero kiedy skończył osiem lat, po przeprowadzce do Nowego Jorku nareszcie mógł być z matką. Do tej pory miał z nią bardzo niewielki kontakt. Peggy była jedynie olśniewającą, rudowłosą zjawą, która od czasu do czasu wślizgiwała się do dziecięcego pokoju w mocno wydekolowanych jedwabnych sukniach i wspaniałej biżuterii.

W Akramszarze król ustanowił dla kobiet niejednolite przepisy. Te, które pochodziły z biednych domów, pozbawione były wykształcenia i bez przerwy nosiły długie, zakrywające całe ciało szaty. Bogate mogły robić, co chciały. Większość dziewcząt z zamożnych rodzin kształcono w Europie i wiele z nich odmawiało powrotu, gdyż nadal na porządku dziennym były zawierane na prośbę króla aranżowane małżeństwa. Jedną z kobiet, które wróciły, była Soraya, żona Armanda.

Armand nigdy wiele nie myślał o Sorai. Była matką jego dzieci, co cieszyło króla, a dla Armanda to było wystarczające.

Coroczne powroty do Akramsza ukształtowały jego życie. Był prawdziwym księciem i któregoś dnia może ulegnie pokusie, by świat się o tym dowiedział. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak bardzo ludziom Zachodu imponowały tytuły.

Stanie się to kiedyś, ale jeszcze nie dzisiaj. Dziś kupuje hotel, *crème de la crème* Vegas, który wkrótce stanie się klejnotem w jego imperium nieruchomości.

Armand lubił sobie dogadzać. Wciągnął kilka ścieżek kokainy, potem wziął porządny prysznic, następnie dokładnie wysmarował ciało różnymi płynami i kremami. Niepomierne długo masował sobie jądra i swoją wydatną męskość. Myśli o dziwkach z przedniej nocy sprawiły, że bardzo stwardniał, więc nie miał wyboru – musiał sobie ulżyć. Kłopotliwe zajęcie, ale znacznie przyjemniejsze niż bycie z jakąkolwiek kobietą.

Kiedy skończył, jeszcze raz się wykąpał, znów nałożył kremy, chwilę wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze i wreszcie się ubrał. Najpierw włożył koszulę Turnbull & Asser, którą specjalnie dla niego uszyto w Londynie, krawat za trzysta pięćdziesiąt dolarów firmy Neiman Marcus w Beverly Hills, a w końcu szyty na miarę perłowoszarzy garnitur w drobne prążki za osiem tysięcy dolarów.

Ponownie z podziwem przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze. Musiał przyznać, że wygląda stylowo. Nic dziwnego, że kobiety się nim interesują. Czasopismo „New Yorker” ogłosiło niedawno, że jest jednym z najlepszych kawalerów do wzięcia w mieście.

Co tam w Nowym Jorku. Raczej na całym świecie!



Peggy nie spała dobrze. Przeszkadzał jej natłok myśli. W głowie aż huczało jej od wspomnień o młodej dziewczynie, którą kiedyś fetowało Vegas.

Ach... znakomicie pamiętała tamte czasy. A także Gina Santangelo. Kiedy Fouad powiedział jej, jak nazywa się starzec, owładnęły nią emocje. Podejrzewała, że to on, ale miała wątpliwości. Teraz

wiedziała na pewno.

Po tylu latach natknięcie się na Gina było wielką niespodzianką. Hurmem opadły ją wszystkie dawne wspomnienia.



LAS VEGAS 1968

Peggy Lindquest. Młoda, ambitna dziewczyna z Ohio. Z nogami aż po pachy, świetlistą cerą i rudymi jak ogień włosami. Dziewczyna, która przykuwała uwagę każdego mężczyzny.

Peggy wpadła do miasta jak petarda. Przepelniała ją chęć zrobienia kariery, a przynajmniej zdobycia bogatego mężczyzny. Miała osiemnaście lat i aż paliła się, żeby pójść w tango.

Wkrótce zdobyła pracę tancerki w efektownej rewii wystawianej w Caesars Palace. Tańczyła w zespole, a czasem pokazywała piersi ubrana w fantastyczny kostium girlaski z cekinami i piórami. Piersi miała prawdziwe, imponujące, wręcz idealne. Trzydzieści sześć C z sutkami jak pączki róży. Mężczyźni ich pożądali.

Peggy nie była dziewicą. Seks z chłopcami uprawiała od czternastego roku życia. Wiedziała, czego pragną mężczyźni, i postanowiła kazać im o to błagać.

Joego Piscarellego poznała na zabawie. Był dwanaście lat od niej starszy i zabójczo przystojny – w stylu gangstera. Dziewczyny mdały na jego widok. Ale nie Peggy. Grała nieprzystępną i doprowadziła do tego, że prosił na kolanach, by się do niego wprowadziła. W końcu zrobiła to i przez pewien czas było rozkosznie, w końcu okazało się, że Joe ma paskudny charakter i czasami wpada w dziki szal. Kiedy to się zdarzało, Peggy uciekała do którejś z koleżanek.

Przy jednej z takich okazji poznała Gina Santangelo. Był starszym mężczyzną, ale miał ogromną charyzmę i niezwykłą energię. Gina w Vegas znalazł każdy. Był swoistą legendą. I niezłym kobieciarzem.

Peggy spała z nim. Raz. Ale tę noc zapamiętała na zawsze.

Następnego dnia była z powrotem w łóżku z Joem. A dwa tygodnie później w drodze do Akramszaaru z królem.

Jednak Peggy nigdy nie zapomniała zmysłowej nocy z Ginem Santangelo. A kiedy znowu zobaczyła go po tylu latach – chociaż teraz już był starcem – nie mogła się powstrzymać od wspomnienia ich nieokielznanej namiętności.

Ceniła sobie te wspomnienia.



Zadowolony ze swojego wyglądu Armand założył jeszcze spinki do mankietów z litego złota, na jedną rękę męską bransoletkę z onyksu i diamentów, na drugą zaś zegarek za dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów inkrustowany diamentami.

Nareszcie był gotowy do spotkania, które zmieni jego życie. Miał dosyć Nowego Jorku, jego klubów, kobiet i spotkań towarzyskich. Potrzebuje zmiany.

Vegas ma tyle do zaoferowania. To miasto dla niego.

Wkrótce je posiadzie.

Rozdział dwudziesty szósty

Umieram z głodu – jęknęła Max do Bobby'ego po wyjściu z toalety w samolocie. Wiedziała, że sprawia opłakane wrażenie, ale miała silną potrzebę, żeby na kimś wylądować frustrację.

– Jak to możliwe? – zdziwił się Bobby, który jak najszybciej chciał wracać do Denver. – Masz do dyspozycji cały bufet z jedzeniem.

– Ale chcę hamburgera – upierała się Max. – Możemy pójść do Hard Rock, kiedy wylądujemy?

– Sorki, mała – powiedział Bobby. – Nie mam czasu. W Vegas jest Gino. Zadzwoń do niego, kiedy zajdziemy. Na pewno cię zabierze.

– No wiesz – odparła ze wzgardą. – Chodzić na hamburgera z dziadkiem?

– Przypominam ci, że twój dziadek jest jednym z najwspanialszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałaś – rzekł Bobby z niezadowoloną miną. – W pewnym sensie to on wynalazł Vegas, więc czasami powinnaś posłuchać, co ma do powiedzenia. Mogłabyś się czegoś nauczyć.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki niemiły? – zapytała Max ze łzami w oczach.

– Kto jest niemiły? Ja?

– Tak – warknęła ze wściekłością. – Ignorujesz mnie.

Bobby z rozdrażnieniem pokręcił głową.

– Co ci dzisiaj jest? Zachowujesz się jak rozpieszczony bachor.
– Wcale nie – zaprzeczyła najeżona. – Wszystko przez ciebie i tę... jak jej tam.

– Nazywa się Denver – ostro odparował Bobby. – Mogłabyś być dla niej miłsza.

– A to niby dlaczego? – droczyła się Max. – Masz się z nią zamiar żenić, czy co?

Kiedy tylko powiedziała te słowa, natychmiast ich pożałowała. Bobby był ostatnią osobą, z której chciałyby sobie zrobić wroga. Miała nadzieję, że zapomni, co jej się wysnęło, obejmie ją i będzie się nadal zachowywał jak starszy brat. Dlaczego tak nie robi?

Zgromił ją spojrzeniem i wrócił na swoje miejsce. Zaraz potem Gitta oznajmiła, że za piętnaście minut lądują i prosi wszystkich o zapięcie pasów.

Max opadła na fotel z zamętem w głowie. Ciekawe, co robi teraz Billy? Może znowu wykorzystuje jakąś Bogu ducha winną dziewczynę tylko dlatego, że łatwo mu to przychodzi? Przecież gwiazdor może uprawiać seks, kiedy zechce. Powinna była to wiedzieć. Jak na swoje pochodzenie okazała się straszną naiwniaczką.

Dała się nabrać, bo grał miłego faceta. Jest głupia! Głupia! Głupia! Ace, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję?



Tymczasem Ace siedział za kierownicą swojej ciężarówki i pełnym gazem pędził w stronę Vegas. Cieszył się, że zrobi Max na urodziny niespodziankę. W żaden sposób nie mogła się spodziewać, że uda mu się zwolnić z pracy na budowie w Big Bear, więc ją naprawdę zatka, kiedy go zobaczy. Zwłaszcza że ciągle namawia go do większej spontaniczności.

Ich związek na odległość chyba nieźle się sprawdzał, ale Ace miał nadzieję, że uda mu się zaoszczędzić dość pieniędzy, żeby się przenieść do LA. Zobaczą, jak im się ułoży, kiedy oboje będą mieszkali w

tym samym mieście.

Czuł się uzależniony od Max. Ale ona była taka zmienna – czasem delikatna, troskliwa dziewczyna, jak na początku ich znajomości, a za chwilę rozpasana imprezowiczka, która tańczy na stołach w klubach LA ze swymi lekko walniętymi przyjaciółmi. Harry to dziwoląg z farbowanymi na czarno włosami i bladą twarzą, ale Ace najbardziej nie znosił Cookie. Swoim szpanerskim trybem życia i oczywistym uzależnieniem od koki miała na Max zdecydowanie zły wpływ.

Problem z Max polegał na tym, że nie wiedziała jeszcze, jak chce żyć.

Ale przynajmniej nie spała z pierwszym lepszym jak Cookie. To miała pod kontrolą.

Jeśli chodzi o seks, nigdy nie wywierała na nią presji, by posunęła się dalej, niżby chciała, choć teraz, kiedy skończy osiemnaście lat...

On miał lat dwadzieścia jeden i nie miał zamiaru wечно czekać, aż pójda dalej. Miał swoje potrzeby i jeśli Max ich nie zaspokoi, może trzeba na nowo przemyśleć ich relacje.



Na lotnisku Billy wzbudzał ogólną sensację. Na każdym kroku śledzili go paparazzi, podniecone dziewczyny wysyłały SMS-y do przyjaciółek z wiadomością, że go zobaczyły, pracownicy lotniska traktowali go jak króla i wpuszczali ich z Kevem na początek każdej kolejki. Kev był oczywiście zachwycony. A niby czemu miałby nie być?

– Powinniśmy razem coś zrobić – zaproponował Kev, który się rozkoszował byciem w centrum uwagi.

– Na przykład? – zapytał Billy, a jednocześnie dawał autografy trzem otyłym kobietom z ochrony, które opuściły swoje stanowiska i wpatrywały się w niego z uwielbieniem.

– Nie wiem – odpowiedział Kev wymijająco. – Mogę być producentem twojego następnego filmu. Świetnie radzę sobie z aktorami i te sprawy. Byłbym super.

Billy dobrze wiedział, że Kev nie umie dogadywać się z ludźmi. Był oddanym przyjacielem, ale niestety nie potrafił utrzymać się w żadnej pracy, choć podejmował niezliczone próby.

– Produkcja nie jest dla ciebie, Kev – stwierdził Billy.

Tymczasem przeprowadzono ich przez prywatne wejście awaryjne pod eskortą świty nadgorliwych pracowników lotniska.

– To może napiszę scenariusz? – powiedział Kev, wlokąc się w ogonie. – Jakąś komedię o kolegach w stylu *Kaca*. A najlepsze byłoby to, że ty byłbyś gwiazdą.

– Przykro, że muszę cię zawieść – natychmiast odparował Billy.

– Ale mam już wypełniony kalendarz na następne pięć lat.

Kev uniósł brwi ze zdziwieniem.

– O mój Jezu! Chyba mnie wkręcasz?

– Niestety nie. Podpisane, przypieczętowane, musi być dostarczone.

– No to mogę być twoim managerem – próbował dalej Kev. Nie miał zamiaru rezygnować. – Byłoby ekstra. Jako manager byłbym odlotowy.

– Mam już managera – oznajmił Billy, zastanawiając się, do czego zmierza ta rozmowa.

– Potrzebuję roboty, Billy – nagle całkiem poważnie powiedział Kev. – Muszę płacić alimenty cizi, która przez pięć minut była moją żoną. I mam długi za chatę w Nowym Jorku. Pomyślałem, że jeśli przyjadę do LA, mógłbyś coś dla mnie zmontować.

– Nie martw się – uspokoił go Billy, wspominając czasy, kiedy spał u Keva na podłodze, nie mając grosza przy duszy i żadnych perspektyw. – Coś wymyślę.

– Naprawdę? – Twarz Keva rozjaśniła się uśmiechem.

– Spoko – zapewnił go Billy. – Nie ma mowy, żebym cię zostawił na lodzie.

Po tych słowach weszli do poczekalni dla VIP-ów, gdzie Billy'ego obiegło jeszcze więcej łowców autografów i ubóstwiających go kobiet.



Kiedy Billy wsiadał do samolotu, Venus szykowała się do wypróbowania brazylijskiego *macho*, którego poznała podczas zdjęć. Nazywał się Jorge i był niezłym ciachem.

Była gotowa już w chwili, kiedy krokiem supersamca wszedł do jej apartamentu. Jego szare jak dym oczy wysyłały sygnały zapraszające do seksu. W tej sferze Venus nigdy nie miewała oporów.

Jorge nie bardzo za tym wszystkim nadążał. Nie tak dawno pracował jako pomocnik kelnera w restauracji Ceccoli's, a w LA był od niespełna miesiąca. Aż tu nagle zauważyła go jakaś głośna agentka i załatwiła mu robotę przy zdjęciach z Venus. Nim się spostrzegł, Venus zaprosiła go na weekend do Vegas i znalazł się w jej apartamencie.

Kiedy dotarł do The Keys, Venus przywitała go pocałunkami w oba policzki i zaprowadziła do swego luksusowego apartamentu. Był imponujący. Białe meble przykryte eleganckimi narzutami, a w holu ogromny posąg siedzącego Buddy, witający gości. Przyćmione światło rzucało magiczny blask, ponieważ Venus kazała zasłonić wszystkie okna. Pachnące świece rozsiewały nastrojową woń.

Jeszcze się nie kochali, ale oboje wiedzieli, że to nieuniknione.

Venus nie lubiła marnować czasu. Po kilku minutach powiedziała:

– Chodź ze mną, pokażę ci sypialnię.

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do swojego łóżka, po czym bez słów zaczęli się rozbierać. Kiedy Jorge zobaczył nagą Venus, na chwilę zapało mu dech w piersiach. Była doskonała.

– Rób coś! – rozkazała.

Jorge stanął na baczność, mocno wytarł jej piersi, a potem pchnął ją na łóżko. Cały czas jakby na nią nacierał, co zdecydowanie jej odpowiadało. Jego nagie ciało unosiło się nad nią jak jastrząb, który poluje na zdobycz, a potem zagłębił się w niej i przez pełne dwadzieścia minut pompował tak mocno, że aż mózg jej stanął.

Ich stosunek był maratonem języków, wilgoci i akrobatycznych pozycji. Było jeszcze lepiej, niż się spodziewała, nawet jeśli Jorge nie

był mistrzem techniki, nadrabiał to isticie zwierzęcą siłą i oszalamiająco pięknym, nieobrzeszanym członkiem. Okazał się superogierem, a to, że nie znał angielskiego, jeszcze dodawało pikanterii jej doznaniom.

Kiedy wreszcie skończyli, Venus stwierdziła, że to nowe męskie cacko sprawia jej przeogromną wprost radość. Jorge był znacznie lepszy niż jej dwaj poprzedni kochankowie. Nie mogła się doczekać, żeby się nim pochwalić.

Pieprz się, Billy Melino. Masz oficjalnego następcę.



Podczas lądowania w Vegas nastąpiły nadzwyczajne turbulencje. Max mocno przypięła się pasem, ale przez chwilę wyobrażała sobie, że samolot się rozbija i zginą w płomieniach. No może nie wszyscy – tylko Denver, a ona i Bobby cudem ocaleją.

Nie ma co, fajny scenariusz. Billy usłyszy o wypadku i pędem do niej przyjedzie, żeby przeprosić, że tak paskudnie ją potraktował. Potem natychmiast uciekną i pobiorą się w którejs z odjechanych kaplic, w których ślubu udziela sobowtór Elvisa Presleya.

Ekstra. Drużbą będzie Bobby. A didżej Harry'ego wynajdzie jakiś głośny kawałek, by uczcić wydarzenie.

Zachichotała na samą myśl o tym.

Samolot wylądował, w podskokach przejechał po pasie i wreszcie zatrzymał się z dygotem. Na razie nikt w płomieniach nie zginie.

Bobby odpiął pas i podszedł do niej.

– Super, że się uśmiechasz – powiedział i nachylił się nad jej siedzeniem. – To będzie cudowny weekend. Nie będziemy się już spierać, co, siostrzyczko?

Gdyby tylko wiedział, dlaczego się uśmiechała. Z powodu śmierci Denver. I tego, że wrócił Billy. Przez chwilę świat funkcjonował jak trzeba.

– Przepraszam, Bobby – powiedziała potulnie. – Masz rację. To będzie superweekend. Obiecuję, że będę grzeczna. – Uśmiechnęła się

jeszcze szerzej. Tere-fere.

Rozdział dwudziesty siódmy

Lucky usiadła za biurkiem w pozycji władcy, a Danny nieco z tyłu przygotowywał się do robienia notatek na komputerze. Jeffrey usadowił się naprzeciwko Lucky.

Kiedy Armand wchodził do biura, Lucky obrzuciła go długim, chłodnym spojrzeniem. Zobaczyła nieskazitelnie ubranego, dość przystojnego aroganta z małym schludnym wąsikiem, o zimnych, twardych oczach. Jego towarzysz był znacznie mniej szpanerski i nieco zmieszany. Lucky uważała się za ekspertkę w odczytywaniu mowy ciała, więc od razu wiedziała: Armand Jordan to szef, a Fouad Khan – jego wierny lokaj.

Jeffrey podał nazwiska obu mężczyzn, a następnie powiedział:

– Pozwolę sobie przedstawić panią Lucky Santangelo.

Armand nie wyciągnął w jej stronę ręki. Z lekceważeniem skinął tylko głową i nawet nie spojrzał jej w oczy.

Za to Fouad Khan powiedział:

– Bardzo miło nam poznać kobietę, która osiągnęła tak wielki sukces w interesach.

Armand spojrzał na niego z wściekłością.

Uwagi Lucky nie umknęła energia płynąca od mężczyzn. Fouad sprawiał wrażenie zadowolonego ze spotkania, za to Armand z całą pewnością nie.

– Dziękuję – odparła i podniosła srebrny nożyk do otwierania

listów z napisem „Nigdy nie zadzieraj z rodziną Santangelo”, który Bobby dał jej na Boże Narodzenie. Przypominał ich rodzinne motto.

– Panowie – powiedziała chłodno. – Proszę usiąść.

– Weźmy się od razu do interesów – zaproponował Armand, zwracając się do Jeffreya, który siedział na skórzanym krześle z wysokim oparciem. – Nie mam czasu do stracenia. Państwo zapewne też nie.

Lucky bawiło to, w jak oczywisty sposób Armand nie radzi sobie z obecnością kobiety. Miała już do czynienia z takim typem mężczyzn. W gruncie rzeczy robili w spodnie ze strachu przed mającymi władzę kobietami. Jaja im drętwiały na myśl o kobiecie u steru. Zawsze musieli płacić, bo inaczej im nie stawał.

O tak, tego typu mężczyzn widziała już wielokrotnie. Były to wyzute z uczuć żałosne kreatury, które w najoczywistszy sposób potrzebowały pomocy.

Przyszło jej do głowy, że Jeffrey niepotrzebnie zorganizował to spotkanie, ponieważ w ogóle nie zamierzała mieć do czynienia z aroganckim dupkiem, który przed nią siedział. Po pierwsze, nie potrzebowała jego pieniędzy, a po drugie, na pewno nie musiała znosić jego seksistowskiego traktowania.

– Tak naprawdę nie mamy żadnych konkretnych spraw do omówienia – zwróciła się do Jeffreya, który natychmiast zrozumiał, że Lucky nigdy nie zgodzi się na interesy z Armandem Jordanem. To spotkanie było zbędne, więc najlepiej szybko je skończyć, bo znając Lucky, jeśli będzie miała ochotę upokorzyć Jordana, z całą pewnością wspomni o incydencie z dziwkami.

– Pan Khan prosił o spotkanie w sprawie finansowania dużych projektów, które pani Santangelo może kiedyś chcieć rozpocząć – ciągnął Jeffrey. – Uważał, że nasi szefowie powinni się spotkać, a ja się zgodziłem. Niemniej...

– Fouad chyba źle się wyraził – powiedział Armand, niegrzecznie mu przerywając. Nadal nie zwracał się bezpośrednio do Lucky. – Nie przyjechałem, aby rozmawiać o przyszłych inwestycjach. Jestem tu, aby kupić The Keys. Co więcej, jestem gotowy

zapłacić każdą cenę.

Lucky poraziła Jeffreya spojrzeniem, które mówiło: „Chyba ze mnie żartujesz, do cholery”.

Danny podniósł wzrok znad laptopa, gdyż dobrze wiedział, że będzie świadkiem awantury. Miał większą niż ktokolwiek świadomość, jak bardzo Lucky nie znosi marnować czasu, a to spotkanie z całą pewnością było jedną wielką stratą czasu.

– Jestem pewien, że musiało dojść do nieporozumienia – stwierdził Jeffrey i poprawił okulary. – Kiedy pan Khan przyszedł do mojego biura w Nowym Jorku, powiedziałem mu jasno i stanowczo, że The Keys w żadnym razie nie jest na sprzedaż. – Zwrócił się do Fouada. – Prawda?

Fouad z zakłopotaniem kręcił się na krześle. Właśnie otwierał usta, kiedy Armand uciszył go, kręcąc głową.

– Nie jestem pewny, czy pan słyszał, co powiedziałem – warknął. Słowa cedził wolno, jak ktoś, kto mówi do niedorozwiniętego dziecka. – Chcę kupić The Keys i zapłacić każdą cenę. To nie negocjacja, to oferta, której nie możecie odrzucić.

W końcu odezwała się Lucky.

– Naprawdę? – zapytała, a jej głos ociekał sarkazmem.

Armand zrobił błąd, gdyż nadal ją ignorował i znów odezwał się do Jeffreya.

– Nie mam czasu do stracenia – odezwał się gwałtownie. – Umowa musi być spisana tu i teraz.

– Panie Jordan – zaczęła Lucky, siłą woli zmuszając go, by na nią spojrział. – Widzę, że jest pan pogrążony w świecie iluzji, lecz niestety muszę pana sprowadzić na ziemię.

– Słucham? – zimno zareagował Armand. – Mówi pani do mnie?

– The Keys nie jest do kupienia. Ani przez pana, ani przez kogokolwiek innego – powiedziała Lucky tonem ostrym jak brzytwa. – Niezależnie od wysokości oferty.

Armand obrzucił ją surowym spojrzeniem. Podwinął wargę, ukazując, jak bardzo jest zdegustowany tym, że musi o interesach rozmawiać z kobietą. Uważał za oczywiste, że Lucky jest tylko ma-

rionetką, a tak naprawdę wszystkim rządzi Jeffrey.

– Słucham? – powtórzył, zły, że byle baba ma odwagę tak bezczelnie się do niego odzywać.

– Czy pan jest z Ameryki? – zapytała Lucky, która zaczynała podejrzewać, że pewnie przyjechał z jakiegoś dalekiego kraju o przestarzałych poglądach na kobiety.

– Oczywiście, że jestem Amerykaninem – odpowiedział ostro.

Za kogo ta zdzira się właściwie uważa? Jak śmie go w ten sposób przesłuchiwać? Dzieli ich niewyobrażalna przepaść, przy czym ona znajduje się o tyle poniżej niego, że to zakrawa na absurd. Gdyby byli w Akramszarze, za tak bezczelny brak szacunku kazałby ją wtrącić do lochu.

– Ale założę się, że się pan tutaj nie urodził? – ciągnęła wiedzona intuicją Lucky.

– Pan Jordan pochodzi z Bliskiego Wschodu – wyjaśnił Fouad, usiłując załagodzić sprawę. – W wieku ośmiu lat został naturalizowanym obywatelem amerykańskim.

Armand nie wierzył własnym uszom. Fouad gada, jakby on, Armand Jordan, był na przesłuchaniu u tej zuchwałej cipy. Trzeba go zamknąć i to szybko.

– Tracimy cenny czas – wycedził, z całej siły opanowując wściekłość. – Przecież na pewno zdaje sobie pani sprawę, że moja oferta jest zbyt dobra, by ją odrzucić? Teraz każę pani tylko podać cenę. – Więc zrób to, suko. I to szybko, pomyślał.

Lucky cynicznie uniosła brew.

– Każę mi pan?

Będzie chryja, przeleciało Danny'emu przez myśl. Nie mogę się doczekać!

Armand nie chciał ustąpić pola. W końcu spojrzał Lucky w oczy i powtórzył swoje słowa.

– Tak – odezwał się szorstko. – Każę pani.

– Mmm – powiedziała Lucky z zadziwiającym spokojem. – Dam panu cenną radę. – Podniosła nóż do papieru z wygrawerowanym mottem „Nie zadzieraj z rodziną Santangelo” i balansowała nim

na dłoni. Przez krótką, zatrważającą chwilę Danny myślał, że dźgnie nim Armanda. Nie zrobiła tego, tylko mówiła dalej. – Chodzi o to, panie Jordan, że jeśli nadal chce pan robić interesy w Ameryce, powinien pan się bardzo postarać zwalczyć swój oczywisty, ekstremalny strach przed kobietami. Inaczej sprawia pan wrażenie słabego impotentą, a przecież nie chce pan być tak postrzegany, prawda?

Armand spojrział na nią z wściekłością. Wyobraził sobie, że chodzi przed nim nago na czworakach, a on na nią sika. Taka cipa jak ona zasługuje właśnie na to.

– Udowadnia pani, dlaczego na kobiety powinno się patrzeć, ale ich nie słuchać – powiedział w końcu. – Jak pani śmie twierdzić, że cokolwiek o mnie wie? Nic pani o mnie nie wie.

– Wiem tylko, że jest pan dupkiem – warknęła Lucky, nagle tracąc cierpliwość do gry, która się odbywała.

– A pani – odparł Armand słowami pełnymi jadu – jest głupią, bezczelną babą, która odznacza się wybitnym brakiem pomysłu.

Jeffrey chciał coś powiedzieć, ale Lucky uciszyła go machnięciem dłoni.

– Jak już powiedziałam – kontynuowała, zwracając się bezpośrednio do Armanda, a jej ciemniejsze niż noc oczy nabrały wyrazu kocięj drapieżności – jest pan dupkiem rodem z mroków Średniowiecza. Więc z całą mocą proponuję, żebyśmy natychmiast skończyli tę absurdalną rozmowę. I powtarzam ostatni raz: The Keys nie jest na sprzedaż. Niech pan to sobie wbije w tę swoją opętaną przez dziwki głowę, a potem zmywa się z mojego hotelu. Jeszcze jedno – dodała srogo – dwie pracujące dziewczyny, które pan wczoraj dymał, czekają na forszę. Więc niech pan raz będzie mężczyzną i im zapłaci.

Danny miał ochotę klaskać. Czy istnieje szef równie przebojowy i idealny jak Lucky?

Opętany wściekłością Armand wstał gwałtownie i pomaszerował do drzwi. Tuż przed nimi stanął i odwrócił się do zebranych, choć Fouad chciał go skłonić do wyjścia.

Obrzucił Lucky dzikim wzrokiem i wypuścił swoje ostatnie słowa:

– Zapewniam cię, suko, że to jeszcze nie koniec. To dopiero

początek walki, którą w końcu przegrasz. Więc zejź z piedestału i wracaj do sypialni, gdzie jest twoje miejsce. The Keys będzie moje i nic i nikt mnie nie powstrzyma. Ostrzegam, że zrobię wszystko, żeby je mieć. A kiedy mówię wszystko, mam na myśli absolutnie wszystko. I to, moja droga, nie jest żadna groźba, tylko twardy fakt.

Lucky wstała, a z jej oczu popłynęły sygnały ostrzegające o niebezpieczeństwie. Ma już dosyć tego ubranego w drogie ciuchy cwaniaka.

– Do jasnej cholery! Spływaj z mojego hotelu, idioto. I nie wracaj. Bo jeśli kiedykolwiek to zrobisz, obiecuję, że pożałujesz.

Armand nie zdążył odpowiedzieć, bo Fouadowi udało się wypchnąć go za drzwi.

Fouad już wiedział, że ten interes Armandowi na pewno nie wyjdzie.

Rozdział dwudziesty ósmy

Kiedy Max przyjechała do The Keys, poczuła się jak w domu, ponieważ знаła to miejsce równie dobrze jak dom w Malibu. Pływała w każdym basenie, korzystała ze wszystkich urządzeń spa, jadła w każdej restauracji, robiła zakupy w każdym wytwornym sklepie i mnóstwo razy spenetrowała bujne ogrody. Miała w hotelu własne mieszkanie na specjalnym piętrze zarezerwowanym dla rodziny i przyjaciół.

Apartament Lucky był dla wszystkich niedostępny.

– To mój azyl spokoju – tłumaczyła Lucky, kiedy zaczęła bywać w Vegas. – Dzieci mogą tam przyjść tylko, jeśli je zaproszę.

Na początku, kiedy mama poinformowała wszystkich o tej regule, Max była wściekła. Ale przecież jej mamą była Lucky Santangelo, a każdy wiedział, że Lucky wszystko robi po swojemu. Teraz Max była absolutnie zachwycona, że w The Keys może korzystać, z czego chce, a w dodatku zawsze wolno jej zapraszać przyjaciół. Superukład, zwłaszcza kiedy nie było jej młodszych braci: Gina juniora i przyrodniego brata, Leonarda. Na szczęście chłopcy wyjechali na całe lato i podróżują po Europie z opiekunem. To Lennie uważał, że powinni poznać coś więcej niż Beverly Hills i Vegas. Obaj byli od niej młodszy i działali jej na nerwy, zwłaszcza kiedy wszyscy naraz przebywali w Vegas.

Bobby załatwił, by na lotnisko podstawiono jego lamborghini,

więc kiedy tylko wylądowali, wsiedli do niego z Denver. Duże auto z napędem na cztery koła i szoferem czekało, aby odwieźć na miejsce Max, Harry'ego i Paca. Pojechali prosto do hotelu.

– Jesteś pewny, że Paco to gej? – szepnęła Max do Harry'ego w drodze do The Keys. – Wcale nie wygląda.

– Ciii... – zbeształ ją Harry, a jego blada twarz zrobiła się jaśkrawoczerwona. – Nie mów o tym.

– Tylko pytam – powiedziała zirytowana Max i pomyślała, że skoro właśnie zafundowała jemu i jego nowemu przyjacielowi lot prywatnym samolotem, Harry mógłby być dla niej miłszy. – Nie musisz od razu się wściekać.

– Siedzi pół metra od nas – syknął Harry. – Więc zamknij się, do cholery!

Znakomicie! Ale będzie miała urodziny. Bobby stroi fochy, Harry zachowuje się jak kutas, ona nie ma chłopaka, a kiedy przyjedzie Cookie, będzie się wieszać na tym narkomanie.

Fantastyczna zabawa! Może lepiej od razu utopić się w którymś z basenów?



– Ale jesteś przewidujący. To mój ulubiony samochód – powiedziała Denver oschle, kiedy z namysłem sadowiła się na fotelu dla pasażera w lamborghini. – Uwielbiam go, bo jest taki skromny.

– No wiesz – powiedział Bobby, natychmiast się uśmiechając. – Chłopak musi mieć jakieś zabawki.

– A ty jesteś typowym chłopakiem – odparła. Nie mogła się powstrzymać od śmiechu, bo było to zgodne z prawdą. Czasem Bobby potrafił być poważny, ale to właśnie jego skłonność do zabawy tak ją do niego przyciągała. Prywatny samolot, odlotowy samochód – zabawki dla dużych chłopców. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale gustował w drogich rzeczach.

– À propos – zaczął Bobby, zapalając samochód – wiesz, na kogo się natknąłem na lotnisku w Nowym Jorku?

- Hmm... niech no się zastanowię. Na papieża? Na prezydenta?
- Strasznie śmieszne.
- Staram się.
- Na Annabelle Maestro.
- O mój Boże. Tylko nie Annabelle. – Denver skrzywiła się, bo przypomniała sobie, że choć nie są spokrewnione, szkolna koleżanka zawsze traktowała ją jak ubogą krewną. A kiedy zamordowano matkę Annabelle, gwiazdę filmową, a Denver brała udział w obronie jej słynnego ojca, mimo że była już wtedy szanowanym adwokatem w renomowanej firmie z Beverly Hills, Annabelle nie zmieniła do niej podejścia.

- Co tam u niej?
- Jak zwykle zachowuje się jak królowa świata, tyle że nie ma przy niej Frankiego.

Denver przypomniała sobie chłopaka Annabelle, narkomana kokainistę Frankiego Romano, kiedyś jednego z najlepszych przyjaciół Bobby'ego.

- Wiesz – powiedziała, wspominając, jak denerwujące było okazywane przez Annabelle przekonanie o własnej wyższości. – Ona chyba nigdy się nie zmieni. Co mówiła?

Bobby uznał, że lepiej nie powtarzać Denver określenia, jakim obdarzyła ją Annabelle.

- Nic takiego – stwierdził, manewrując wśród samochodów. – Gadała o jakiejś książce, którą jej wydano.

- A tak, *Moje życie – hollywoodzka księżniczka opowiada o wszystkim*. Co za kupa gówna.

- Rozumiem, że nie jesteś fanką? – zaśmiał się Bobby.
- Nie, do czorta – zaprzeczyła Denver i pokręciła głową. – Annabelle zawsze była okropna. Na pewno pamiętasz ją ze szkoły?

O tak, świetnie pamiętał Annabelle, choć wolałby zapomnieć. Razem z M.J.-em przelecieli ją (za jej zgodą) podczas pijaństwa w noc balu maturalnego. Nie ma co o tym mówić, zwłaszcza Denver, której na pewno by się to nie spodobało.

- Myślę, że Frankie z przyjemnością się od niej uwolnił – wy-

rwało się Bobby'emu w trakcie wyprzedzania cadillaca.

– Myślę, że ona od niego też – stwierdziła Denver i szybko zamknęła temat. Annabelle Maestro była ostatnią osobą, o której miała ochotę rozmawiać. A Frankie Romano – to totalny nieudacznik.

– Kiedy dojedziemy do hotelu – powiedział Bobby – rozpakuj się i załóż coś niezobowiązującego.

– Dlaczego?

Uśmiechnął się.

– Zobaczysz – odparł i cudem uniknął rozjechania pieszego, który przechodził przez jezdnię w niedozwolonym miejscu.

– Tajemniczy jesteś – mruknęła. Cudownie, że jest taki romantyczny.

– Tak – potwierdził, nadal się uśmiechając. – I właśnie tak ma być.

Fantastycznie, Bobby. Fantastycznie.



– Jesteśmy na miejscu i bardzo się z tego cieszę! – śpiewnie zaintonowała Cookie, wysuwając swoje szczupłe, ciemne nogi z samochodu Frankiego i szokując parkingowego minispódniczką, pod którą nie miała majtek.

Frankie nie zadał sobie trudu, aby zarezerwować pokój, ponieważ Cookie poinformowała go, że na miejscu dobrze się nimi zajmą. Nie wiedział, że będą zakwaterowani na piętrze, które Max nazywała piętrem Santangelów. Kiedy wysiadali z windy, znowu miał ochotę na seks, chociaż Cookie dopiero co zrobiła mu dobrze w samochodzie. Trochę seksu, trochę hazardu. Tak działało na niego Vegas.

W recepcji naprzeciwko windy siedziała starsza czarna kobieta o surowym wyglądzie wyposażona w długą listę gości.

– Cześć, Betty – powiedziała Cookie i objęła ją po przyjacielsku.

– Jesteśmy w tym pokoju, co zawsze?

Betty spojrzała na Frankiego z dezaprobatą.

– On jest okay – wesoło rzuciła Cookie. – To mój chłopak.

Betty sięgnęła po okulary i spojrzała na listę gości.

– A jak się nazywa?

Frankie zjeżył się.

– Frankie Romano – rzucił krótko. – I niech pani nie szuka pokoju. Potrzebny nam apartament. A telefony niech przełączają prosto do mnie. Romano. ROM...

– Wiem, jak się to pisze, panie Romano – zgryźliwie przerwała mu Betty. – A wszystkie apartamenty są zarezerwowane.

– To niech pani jeden odrezerwuje – warknął Frankie, obrzucając ją ostrym spojrzeniem. – Lucky chciałaby, żeby mi było wygodnie.

Frankie i Betty zmierzyli się wzrokiem. Lecz nie było w tym nic przyjaznego.

– Zobaczę, co się da zrobić – powiedziała w końcu Betty, przekładając papiery.

Frankie sięgnął do kieszeni, wyjął studolarowy banknot i położył jej na biurku.

– Zrób to, kochana.

Betty podniosła banknot i oddała go Frankiemu.

– Nie potrzeba – wycedziła.

– Proszę wziąć – nalegał Frankie i pchnął banknot w jej stronę.

– Nie, dziękuję. – Betty nie zwracała już na niego uwagi i podała Cookie kartę do drzwi jej pokoju.

Cookie wzięła ją i odciągnęła Frankiego od biurka Betty.

– Chodźmy – zaświergotała. – Nie zadzieraj z Betty, potrafi być heterą.

Frankie jeszcze raz obejrzał się na Betty.

– Apartament – powiedział krótko. – Niech pani go załatwi.

Betty nadal go ignorowała.

– Razem z Max co rusz tu przyjeżdżamy – oznajmiła Cookie i z impetem wbiegła do dużego niebieskiego pokoju z balkonem wychodzącym na główny basen. – Przeważnie mieszkam tutaj.

– Chyba słyszałaś, co mówiłem – z niezadowoleniem powtórzył Frankie. – Potrzebny jest nam apartament. Nie lubię mieszkać w

ciasnocie.

– A teraz dobra wiadomość – rzuciła Cookie. – Wszystko mamy za friko. Spa, restauracje, baseny, przedstawienia. Co tylko zechcesz. Wszystko możemy mieć za darmo. – Wyciągnęła z torebki czarno-złotą kartę kredytową, na której wygrawerowano jej nazwisko. – Oto moja przepustka – pochwaliła się. – Lucky rozdała je wybrańcom podczas otwarcia The Keys. Odlot, co?

Frankie postanowił, że też chce taką mieć. Dlaczego jej nie dostał od Bobby'ego?

Portier wniósł ich bagaże. Frankie rzucił mu studolarówkę, której odmówiła gburowata baba z recepcji. Zawsze warto rozsiewać wieści, że do miasta przyjechał facet z gestem.

Zastanawiał się, czy magiczna karta Cookie obejmuje także hazard, i uśmiechnął się na myśl o tym, że pieniądze Lucky mógłby przegrać w jej własnym kasynie.

Po chwili stwierdził, że już dawno nie widział się z seksowną mamą Bobby'ego: od czasu, kiedy przestał z nim utrzymywać kontakty. Lucky i Lennie zawsze byli wobec niego mili. Oboje byli naprawdę kimś. Niezłe z nich towarzystwo. Postanowił, że musi się z nimi częściej widywać, zaprosić ich do swojego klubu, odnowić znajomość.

Tak. To będzie ekstraweekend, a Frankie Romano miał zamiar w pełni skorzystać ze wszystkiego, co oferowało Vegas.



– Gdzie zanocujemy? – spytał Kev, kiedy wsiadali do samolotu.

Billy tak bardzo chciał znaleźć się w Vegas, że było mu wszystko jedno, gdzie się zatrzyma. Oczywiście, niemądrze byłoby zarezerwować pokój w The Keys. Zadzwoił więc do swojej szefowej reklamy, Bambi, i kazał jej zamówić miejsce w hotelu Cavendish.

– A właściwie po co jedziesz do Vegas? – zainteresowała się Bambi. – Chcecie iść na ten wielki mecz bokserski?

– Przecież wiesz, że nie lubię boksu.

– W takim razie – powiedziała Bambi – czy jest coś, o czym nie wiem?

– Nie. Chcemy sobie zafundować z Kevem dwadzieścia cztery godziny wariackiego hazardu – zapewnił ją Billy.

– Okay – zgodziła się nieco zawiedziona. – Ale proszę cię, nie zapomnij, że w poniedziałek masz zdjęcia na okładkę „Vanity Fair”.

– Za nic w świecie, Bamb.

– Teraz tak mówisz – perorowała Bambi, zmartwiona, że jej gwiazdorski klient wpakuje się w tarapaty. – A reporterka z „Rolling Stone” czekała na ciebie trzy godziny, w dodatku szybko się jej pozbyłeś. Nie była zadowolona i wcale się jej nie dziwił.

– Wszystko robiła, żeby się ze mną bzyknąć – wyjaśnił Billy. – Wiesz, jak to jest z reporterkami. Pracują głównie dla obrywek.

– Jesteś dużym chłopcem, Billy – upomniała go. – Powinieneś umieć sobie z czymś takim poradzić.

– Wiesz co, Bamb? – powiedział Billy, zręcznie zmieniając temat. – Mam pytanie.

– Tak?

– Czy rodzice dali ci na imię Bambi, bo myśleli, że będziesz gwiazdą porno albo striptizerką?

– No wiesz, Billy! Takie pytanie jest nie na miejscu.

– Tylko pytam.

– Załatwię ci willę ze wszystkimi wygodami w kompleksie Cavendish – oschle odparła Bambi. I z głośnym kliknięciem odłożyła słuchawkę.

– Jak ona wygląda? – natychmiast zainteresował się Kev, wyobrażając sobie seksowną blondynę w obcisłych spodniach i topie odsłaniającym prawie wszystko.

– Pomyśl o jej imieniu, a potem wyobraź sobie coś dokładnie na odwrót – powiedział Billy. – To kobieta smok, która jednym kłapieniem odgryzłaby ci fiuta. Więc zapomnij o niej.

– Jasne – zgodził się Kev i wzdrygnął, wyobraziwszy sobie scenę, którą tak obrazowo opisał Billy.



Ace kilka razy był w The Keys z Max, więc znał tamtejsze zwyczaje. Wiedział, gdzie jest podziemny parking zarezerwowany dla rodzin Santangelo/Golden i ich gości, więc swoją ciężarówką podjechał prosto tam. Parkingowy przywitał go jak starego przyjaciela. Wymienili uprzejmości, po czym chwycił swoją torbę z rzeczami i poszedł do prywatnej windy, która zawiozła go na piętro Santangelo/Golden. Przywitała go Betty, recepcjonistka w średnim wieku. Wyposażona była w listę gości, których się spodziewali. Na szczęście Ace ją znał, więc od razu jej powiedział, że jest niespodzianką urodzinową Max i jeśli może, niech nie zdradza jego dziewczynie, że przyjechał.

Betty przyjaźnie kiwnęła głową. Stwierdziła, że po Cookie i jej nieznośnym przyjacielu rozmowa z Ace'em to czysta radość. Był sympatyczny, schludny, wysoki, szczupły i zawsze uprzejmy.

- Może wie pani, kiedy Max tu będzie? – zapytał.
- Niedługo. Samolot Stanislououlosów wylądował dwadzieścia minut temu.
- Co?
- Samolot Bobby'ego.
- No tak – odparł Ace i nagle przypomniał sobie, z kim ma do czynienia. Brat Max mógł korzystać z prywatnego samolotu, a Max najwyraźniej z nim leciała. – Poczekam – powiedział.

Sięgnął ręką do torby, aby się upewnić, że jest tam prezent, który kupił dla Max. Wydał na wisiołek ze złotym serduszkim aż dwieście pięćdziesiąt dolarów i miał nadzieję, że się jej spodoba. Spróbowałyby tylko się nie ucieszyć! To był najdroższy prezent, jaki w życiu komukolwiek kupił.



- Ciekawa jestem – zapytała Denver, kiedy w końcu rozgościli się w apartamencie Bobby'ego w The Keys – dlaczego Vegas aż tak fascynuje twoją mamę?

Bobby podszedł do okna i chłonął niezwykły widok, który mimo że dobrze znany, zawsze go oszałamiał.

– Dziadek ze strony Lucky w latach czterdziestych zbudował tu jeden z pierwszych hoteli. – To Gino. Poznałaś go.

– Czyżby? – zdziwiła się Denver, rozpakowując torbę.

– Może i nie – przyznał Bobby i odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. – Ale poznasz go podczas tego weekendu. Barwna z niego poznać. Kolegował się z takimi ludźmi jak Meyer Lansky, Chłoptaş Jake, Lucky Luciano. Po prostu z całą śmietanką dawnych gangsterów. W tamtych czasach rządili wszystkim. A Gino był na samym szczycie. Imię Lucky jest rodzajem hołdu, który złożył pamięci Lucky'ego Luciano.

Denver stanęła jak wryta.

– Żartujesz?

– Tak. Nie do wiary, co?

– Jeszcze jak.

– W każdym razie Gino budował hotele. Po kilkudziesięciu latach musiał wyjechać, bo oskarżono go o oszustwo podatkowe. Wtedy wkroczyła Lucky i pociągnęła budowę jego najnowszego hotelu. Miała około dwudziestu lat.

– Niezły wyczyn.

– Pewnie. Ale taka jest moja mama. Ma jaja ze stali – zachichotał. – Chodzą plotki, że jakiegoś ziomala napadła w środku nocy i zagroziła, że jeśli nie zapłaci działki, do której się zobowiązał, utnie mu kutasa.

– I zapłacił?

– A jak myślisz?

Denver była oszołomiona; na pół z podziwu, a na pół z przerażenia. Zawsze podziwiała silne kobiety, ale być może Lucky Santangelo nieco przeszarżowała.

– A ty, Bobby? – zaryzykowała. – Ciężko ci było, kiedy umarł twój ojciec?

– Byłem tak mały, że niewiele pamiętam.

– A Lucky była dobrą matką? Była zawsze przy tobie?

– Co to za pytania, kochana? Czuję się jak na przesłuchaniu.
– Chciałabym się więcej o tobie dowiedzieć. Nie masz nic przeciwko temu?

– Lucky to Lucky. Jest najlepsza – powiedział Bobby i podszedł do Denver bliżej. – Tak czy inaczej, oto jestem. Nie najgorzej mi idzie, więc dosyć tych pytań i bierzmy się do dzieła. Czeka cię wielka niespodzianka.

– Co takiego?

– Gdybym ci powiedział, byłoby po niespodziance, prawda?

– W pewnym sensie.

Denver zrozumiała, że w ten sposób zmienił temat. Na dziś starczy rozmów o Lucky. Tę rozmowę Bobby chciał na razie zakończyć.



Jeffrey spodziewał się, że po wyjściu Armanda Jordana Lucky będzie mu robić wymówki. Szczerze mówiąc, wcale by się nie zdziwił. Milczała jednak, a kiedy zaczął ją przeproszać, gwałtownie go uciszyła.

– Zapomnij o tym – powiedziała chłodno. – Wszyscy popełniamy błędy.

Choć na zewnątrz wydawała się opanowana, w środku aż kipiała ze złości. Armand Jordan to typ mężczyzny, do którego czuła odrazę: zapatrzony w siebie, egoistyczny, szowinistyczny wieprz. Była wściekła, że przez Jeffreya musiała przebywać z nim w tym samym pokoju. Może prawnik nie jest aż tak bystry, jak myślała, a może to rozwód rzucił mu się na mózg.

– Danny – odezwała się czysto oficjalnym tonem. – Poinformuj recepcję, że Armand Jordan jeszcze przed południem ma opuścić mój hotel. Wszystko jedno, jak się go pozbęda, ma go tu nie być.

Danny z uwagą nadstawił uszu.

– Tak, Lucky – powiedział. – Dopilnuję, żeby tak się stało.

– I, Danny, kiedy tylko to załatwisz, przygotuj mi pełne dossier Armanda Jordana. – Zwróciła się do Jeffreya: – To powinno być

zrobione przed zebraniem.

Jeffrey był zakłopotany. Wiedział, że nie jest dobrze, bo zawiódł Lucky, a to jego najważniejsza klientka.

– Jego firma jest na szczycie rankingu – zaczął się tłumaczyć. – Armand Jordan figuruje na liście Forbesa. Nie przyprowadziłbym...

– Dla własnego dobra – przerwała mu Lucky, bo nie chciała słuchać jego usprawiedliwień – muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia. Zwłaszcza kiedy mi grozi.

– Lucky, jeszcze raz bardzo cię przepraszam...

– Czas na zebranie zarządu – przerwała mu kolejny raz, a jej piękna twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. Tylko czarne oczy zdradzały irytację. – Chodźmy. Nie chcę, żeby ktokolwiek na mnie czekał.

Danny zamknął laptopa i potruchtał za nimi, podziwiając Lucky za spokój. Armand może i jest szowinistycznym miliarderem, ale na miejscu Lucky on, Danny, uderzyłby go w twarz i to tak, żeby się to rozległo na kilka mil.

Tak, pomyślał Danny z rozmarzeniem. Byłby to policzek w starym stylu, jaki wymierzyłyby Diva Queens, kiedy była królową filmu. A także Bette Davis, Ava Gardner czy Joan Crawford.

Danny wypożyczał i zachłannie oglądał wszystkie ich filmy. Same stroje doprowadzały go do euforii.

– Danny – ostro odezwała się Lucky i odwróciła głowę w jego stronę. – Przestań za nami chodzić i załatwiał wyrzucenie tego gościa z mojego hotelu. Osobiście sprawdź, czy się wykwaterował, i nie zapomnij powiedzieć Jerrodowi, żeby poinformował wszystkich, że facet nie ma prawa tu wrócić. *Comprende?*

– Jasne – powiedział Danny, znów w pełni gotowości. – Ale na pewno jestem potrzebny na zebraniu zarządu?

– Do tego przyslij kogoś z asystentów.

– Naprawdę? – spytał Danny, zawiedziony, bo nie lubił, kiedy coś mu umykało.

– Tak, naprawdę – stanowczo odparła Lucky. – I nie zapomnij, że o piątej przyjeżdża Lennie. Przypilnuj, żeby wiedział, że jestem w

swoim mieszkaniu. A kiedy już tam przyjdzie, nikt pod żadnym pozorem nie ma prawa nam przeszkadzać. Zrozumiane?

– Tak – potwierdził Danny.

– Powiedz Bobby'emu i Max, że jutro chcemy się z nimi widzieć na śniadaniu. I zorganizuj wszystko co trzeba dla ich przyjaciół. Ja płacę.

Danny kiwnął głową. Rozumiał. Kiedykolwiek pojawiał się Lenie, Lucky tak organizowała swoje zajęcia, żeby móc побыć z mężem sam na sam. Stwierdził, że to dzięki temu mają tak szczęśliwe i udane małżeństwo.

Lucky jasno ustawiła priorytety: nie było ani rzeczy, ani osoby, która mogłaby stanąć między nią a jej mężczyzną.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Armand kipiał złością. Nigdy, przenigdy żaden mężczyzna do niego w ten sposób nie mówił, a co dopiero kobieta! Był rozjuszony. Czuł, że za chwilę z wściekłości pęknie mu głowa. Przed oczami migwały mu czarne plamy. Był chory, absolutnie chory ze złości.

Kiedy tylko wyszli z biura Lucky, odwrócił się do Fouada i bluźnął stekiem przekleństw, jakby to Fouad był odpowiedzialny za niefortunne spotkanie.

– Pieprzona dzdizra. I ty też się pieprz! – krzyczał Armand, aż żyły nabrzmiały mu na czole. – Skurwysyny!

Fouad nie był pewny, czy ten ostatni epitet dotyczył jego, czy Lucky Santangelo. Nie miało to znaczenia. Już zdecydował, że odejdzie, więc kiedy tylko uporządkuje swoje sprawy, powie *sayonara* Armandowi Jordanowi i wszystkiemu, co z nim związane. Nie mógł się doczekać powrotu do Nowego Jorku.

Mimo odrażającej złości Armanda Fouad zdołał zachować kamienną twarz. Ostrzegł go, że The Keys nie jest na sprzedaż, ale ten i tak się uparł na spotkanie. Gdyby przeczytał dane, które o Lucky Santangelo zebrał asystent Fouada, wiedziałby, że nie jest zwyczajną kobietą. Lucky Santangelo miewa śmiertelną moc rażenia. To kobieta o groźnej i potężnej przeszłości. Silna, inteligentna, osiągnąca wszystko, co tylko zechce. W dodatku piękna. Fouad był pod wrażeniem jej urody i opanowania.

– Co robimy dalej? – spytał Fouad, kiedy Armand w końcu przestał wrzeszczeć. – Mam załatwić samolot?

– Samolot? – warknęła Armand i zacisnęła pięści. – Po co? Myślisz, że uciekam? Naprawdę wyobrażasz sobie, że byłbym w stanie wyjechać stąd z niczym?

Dlaczego Armand nadal uważa, że może kupić posiadłość, która nie jest na sprzedaż? Przecież jako biznesmen powinien zdawać sobie sprawę, że nie ma sposobu, aby to się udało. Zwłaszcza po konfrontacji z Lucky Santangelo.

Sytuacja zaczynała zakrawać na absurd. Armand zachowywał się jak niesforne dziecko, które nie dostało wymarzonego roweru na Gwiazdkę. Czy ktokolwiek może szanować mężczyznę, który się tak zachowuje? Lucky Santangelo i jej prawnik pewnie się z nich śmieją. Armand zrobił pośmiewisko z siebie i z Jordan Developments.

– Ona nie sprzeda The Keys, Armandzie – cierpliwie powiedział Fouad. – Słyszałeś, co mówiła. Ani tobie, ani nikomu.

– Niech się pieprzy. Chcę mieć ten hotel, Fouadzie. I wbij sobie w końcu do swojej pustej głowy, że nie wyjedziemy z Vegas, póki tak się nie stanie.



Peggy spokojnie jadła śniadanie przy basenie hotelu Cavendish. Przedtem zadzwoniła do syna, żeby zapytać, czy nie zechciałby jej towarzyszyć, ale ani komórka, ani telefon w jego apartamencie nie odpowiadały. Nie przeszkadzało jej to, ponieważ uważała, że kiedy tak siedzi sama przy stoliku w białej letniej sukni, dużym słomianym kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych Chanel, prezentuje się tajemniczo i wytwornie. Przyglądała się przechodzącym turystom i młodym małżeństwom z dziećmi. Było jeszcze wcześniej, więc zadowolony hazardziści i grupki kawalerów na wyjeździe jeszcze się nie pojawili.

Przy sąsiednim stoliku rozparł się mężczyzna w średnim wieku, w koszuli w hawajskie wzory. Był w towarzystwie otyłej żony, ale nie

mógł oderwać wzroku od Peggy. W powietrzu unosiło się pożądanie. Potrafiła to wyczuć na miłę.

Uśmiechnęła się do siebie. Lubiła Vegas. Czowała się prawie, jakby wróciła do swojej młodości i znowu była jedną z najponętniejszych, najpopularniejszych dziewcząt w mieście, wokół której stale coś się działo. Wielu mężczyzn uległo jej niewątpliwym wdziękom.

Hołubiła wspomnienia z tych czasów jak skarb.

Widok Gina Santangelo był dla niej wstrząsem. Sam fakt, że jeszcze żyje, bardzo ją zaskoczył. Zdała sobie sprawę, że musi mieć po dziewięćdziesiątce, ponieważ niezapomnianej nocy, którą z nim dzieliła, miał już skończone pięćdziesiąt, a mimo to był tryskającym wigorem i niespożytą wręcz energią kochankiem.

Mając osiemnaście lat, uważała się za osobę doświadczoną, ale dzięki niemu odkryła zupełnie nowy wymiar seksu.



LAS VEGAS 1968

Peggy Lindquest i Joe Piscarelli stanowili w Vegas nie lada parę. Peggy ołsniewała urodą, Joe też był przystojny. Kiedy grał za kosmiczne stawki z miną potencjalnego gangstera, przypominał gwiazdora filmowego. Ich związek był bardzo niestabilny, ponieważ po obu stronach dochodziło do ciągłych wybuchów zazdrości. Mając trzydzieści lat, Joe bywał już tu i ówdzie, co znaczyło, że w jego świecie kręciło się mnóstwo byłych dziewczyn. Takich na jedną noc, na dwie i tak dalej.

Peggy twierdziła, że przed nim miała tylko jednego mężczyznę – chłopaka z liceum. Oczywiście kłamała, ale w Vegas była nowa, więc Joe nie mógł jej niczego udowodnić.

Darli ze sobą koty. A potem godzili się jak gwiazdy z pornosów.

Taki mieli układ.

Peggy bała się jedynie wybuchowego charakteru Joego. Kiedy robiło się zbyt niebezpiecznie, wynosiła się na noc do koleżanki. Joe zawsze odbierał ją stamtąd następnego ranka – i na froncie nastawiała

cisza.

Ale koleżanki Peggy ostrzegały ją, że napady wściekłości Joego mogą się tak nasilić, że zacznie stosować przemoc. Peggy nie wierzyła, że mógłby ją uderzyć.

Pewnej nocy jednak to zrobił. Pchnął ją tak mocno, że znalazła się po drugiej stronie pokoju. Zszokowana, w panice uciekła do koleżanki, Veroniki. Były lzy i temu podobne emocje.

Veronica, posągowo piękna czarna tancerka z Folies Bergères w hotelu Tropicana, właśnie szła na ekskluzywne przyjęcie w Caesars Palace.

Upierała się, żeby Peggy otarła lzy i z nią poszła. Kiedy ta nie chciała się zgodzić, Veronica szepnęła jej do ucha:

– Chodzą plotki, że może przyjść Sinatra.

Frank Sinatra. Marzyły o nim wszystkie dziewczyny w Vegas.

Peggy natychmiast zmieniła zdanie i obie zabójczo wystrojone dziewczyny ruszyły na przyjęcie.

Sinatra się nie pokazał, ale za to przyszedł Gino Santangelo, który już wtedy był w Vegas legendą.

Peggy uruchomiła swoje powaby i poszła z nim na całość. Nie miała pojęcia, co z nim przeżyje. Facet nie na darmo nosił przydomek Gino Ogier.

Po krótkiej rozmowie na przyjęciu zaprosił ją na górę, do luksusowego apartamentu. Spytał, czy ma prawdziwe piersi, po czym zaczął ją powoli rozbierać – ciuszek po duszku, aż stała przed nim tylko w pantoflach na wysokich obcasach.

Nie była nieśmiała. Co wieczór prawie naga występowała na scenie. Podziwiał jej ciało i powoli dotykał najbardziej intymnych miejsc, a kiedy stwierdził, że jest gotowa, zabrał ją do sypialni i położył na łóżku z rozpostartymi nogami. Potem powoli, zdecydowanie ją wylizal, aż doszła do tak wielkiej ekstazy, że błagała go o stosunek.

Ale on zmusił ją, by czekała, aż doprowadzi ją do orgazmu językiem.

Leżała na łóżku i skręcała się z pożądania. Rozpaczliwie pragnęła,

by ją posiadał. Joe nie przyszedł jej nawet do głowy.

Ale Gino grał na czas, co podniecało ją jeszcze bardziej. Ściągnął ją z łóżka, wziął pod prysznic i dopiero wtedy sam się rozebrał i wszedł razem z nią pod wodę, po czym zaczął ją namydlać, znowu doprowadzając ją do takiego orgazmu, że głośno krzyczała z rozkoszy.

W końcu wrócili do sypialni, gdzie kochał się z nią chyba całe godziny, a potem, o świcie, odesłał ją do domu w limuzynie z szoferem i już nigdy więcej się do niej nie odezwał.



Peggy pogrążyła się w myślach o sprawie, którą zawsze wypierała ze świadomości, a jednak od czasu do czasu o niej myślała.

W roku 1968 na przestrzeni tygodnia miała trzech kochanków. Byli to Joe Piscarelli, Gino Santangelo i król emir Amin Mohamed Jordan. Miesiąc później stwierdziła, że jest w ciąży.

Więc kto tak naprawdę był prawdziwym ojcem Armanda?

Joe Piscarelli, jej pozujący na gangstera chłopak?

Gino Santangelo, kochanek jednej nocy?

Czy jej były mąż, król emir Amin Mohamed Jordan?

Najwyższy czas się dowiedzieć.

Rozdział trzydziesty

Właśnie miało się zacząć spotkanie zarządu. Po nerwowym poranku Lucky czuła się wytrącona z równowagi, więc teraz cieszyła się, że jest w sali ze swoimi inwestorami, gdyż wszyscy byli pełni pozytywnej energii.

W rogu stał Alex Woods i pił kawę.

Podeszła do niego.

- Dzięki, że przyjechałeś – powiedziała i dotknęła jego ramienia.
- Nie byłam pewna, że to zrobisz, ale miło, że jesteś.
- Myślisz, że mógłbym nie przyjechać na urodziny małej Max?
- odparł i spojrzał na nią przeciągle.
- Super, że się postarałeś.
- Ale jesteś oficjalna – skomentował i znów spojrzał na nią długo i wymownie, jakby chciał powiedzieć: moglibyśmy się przepięknie kochać, ale ty wciąż tkwisz uczepiona swojego cholernego męża.
- Przecież wiem, jaki jesteś zajęty.
- Nigdy zbyt zajęty dla ciebie, Lucky – odpowiedział i nadal patrzył jej w oczy.
- Okay – odparła, usiłując przejść na lżejszy ton. – Nie dajmy się ponieść emocjom.
- Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i chciał jednego zapalić.
- Nie pal! – skarciła go.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Żartujesz ze mnie?

– Proszę, Alex, zrób to dla mnie. Rzuciłam papierosy, więc mnie nie kuś.

– Naprawdę?

– Tak.

Włożył papierosy z powrotem do kieszeni.

– Kiedy przyjeżdża Lennie? – zapytał.

– Przecież pytałeś mnie już o to w LA.

– Czy to przestępstwo zapytać jeszcze raz?

– Przestań, Alex – powiedziała nagle zniecierpliwiona. – Wiem, co robisz.

– Mmm?

– Dlaczego nie przywiozłeś ze sobą dziewczyny?

– O co ci chodzi?

– Dziewczyny, Alex – powtórzyła. – Pięknej, młodej istoty, która zajmie ci czas, żeby Lennie nie odniósł wrażenia, że nadal mnie pożądasz.

– Aaa, rozumiem. – Alex lekko zmrużył oczy. – Uważasz, że będzie mi potrzebna?

– Nie uważam, tylko wiem.

– No cóż – stwierdził z przekąsem. – Cieszę się, że twoje ego ma się dobrze i szczęśliwie żyje sobie w krainie fantazji.

– Przestań pieprzyć, Alex – skontrowała. – Zrób sobie przysługę i poślij po którąś ze swoich licznych kobiet.

– A po co?

– Ponieważ ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję, jest jakiegokolwiek napięcie między tobą a Lenniem, który zresztą przyjeżdża późnym popołudniem, co już ci chyba mówiłam.

– Pieprz się, Santangelo – warknął Alex.

– Chciałbyś, żeby z tobą – odparła.

– Jezu! – jęknął. – Odbiło ci.

– Raczej nam obojgu, co?

Zanim Alex zdążył odpowiedzieć, podszedł do nich Gino.

– Trochę się dziwię, że nigdy się ze sobą nie zeszlście – zauważył. – Wciąż skaczece sobie do gardeł. Mieszanka wybuchowa.

– Czy ja wyglądam na Azjatkę? – przeciągle zapytała Lucky.

– Rozumiem – stwierdził Gino z chichotem. – Alex podnosi flagę tylko dla...

– Ani mi się waż – ostrzegła go Lucky, ponieważ świetnie zdawała sobie sprawę, że Gino za chwilę powie słowo, które nie jest poprawne politycznie.

– Niech mówi, co chce – gardłowo roześmiał się Alex. – Jest stary, więc to nie ma znaczenia.

– Kto jest stary? – oburzył się Gino. – Trzeba mieć niezłe jaja, do cholery, żeby dożyć mojego wieku i nadal stać na dwóch nogach.

– Za to cię wielbię, Gino – stwierdził Alex. – Jesteś moim idolem. Kiedy dorosnę, chcę być dokładnie taki jak ty.

– Na miłość boską! – krzyknęła Lucky. – Załóżcie klub wzajemnej adoracji i będzie z wami spokój.

– To twoja córka – zauważył Alex.

– Tak – zgodził się Gino i znów z przekąsem zachichotał. – Jest synem, którego nigdy nie miałem.

– Miałeś syna. Daria – ostro przypomniała mu Lucky. – Tylko dlatego, że był gejem, nie znaczy, że trzeba go obrażać.

– Ej, dziecino, nie chciałem...

– Wiecie co? Obaj się pieprzcie – powiedziała i pokręciła głową. – Jesteście już dużymi małymi chłopcami, więc pobawcie się razem. Obaj jesteście na odpowiednim poziomie.

– Hej – zaoponował Gino. – Jak ty się odzywasz do ojca?

Lucky jeszcze raz pokręciła głową. Bywało, że Gino zachowywał się jak małe dziecko.

– Gdzie jest Paige? – zapytała. – Przecież miała się tobą zajmować.

– Jeszcze nie nadszedł dzień, kiedy trzeba się mną zajmować – prychnął Gino. – Może zmierzam w tę stronę, ale jeszcze nie umarłem. Paige jest w hotelu Cavendish i robi się na bóstwo.

– A tutejsze salony są niedobre?

- Tam ma swoją ulubioną kobitkę. Ja się na tym nie znam.
- No, rozumiem. Lepiej idźcie z Alexem na swoje miejsca i bierzmy się do roboty.

Tak zrobili, a spotkanie poszło znakomicie. Wszyscy z entuzjazmem opowiadali, jak dobrze funkcjonuje The Keys mimo stagnacji gospodarczej. Hotel miał zwykle komplet gości. Kasyno działało na najwyższych obrotach. Do kupna apartamentów, z których każdy kosztował miliony dolarów, była długa lista oczekujących.

W połowie zebrania zgodnie z obietnicą pojawiła się Venus. Oczarowała wszystkich promienistą blond urodą i olśniła magią gwiazdy. Co jak co, umiała wywierać wrażenie.

Po spotkaniu zjedli na stojąco szybki lunch, podczas którego Lucky udało się uniknąć następnej konfrontacji z Alexem. Drażnił ją. Chciałaby, żeby się ożenił albo znowu z kimś zamieszkał. Kiedy chodził luzem, był zbyt niebezpieczny. Niestety istniała między nimi silna więź. I gdyby nie Lennie...

No! Zgromiła się ostro.

Nawet o tym nie myśl.



Jorge nie chciał uprawiać hazardu, ale Venus tak, bo po wystąpieniu na zebraniu zarządu miała ochotę na nieco rozrywki. Hazard zawsze ją nakręcał, zwłaszcza kiedy wygrywała.

Gdy Jorge wszedł do kasyna w The Keys, prawie doznał szoku. Co za przepych. Tylu szastających pieniędzmi ludzi. Nie wspominając już o pięknych kelnerach i kelnerkach, gotowych spełnić każde ich życzenie.

Natychmiast zaczął się zastanawiać, czy udałoby mu się dostać tu pracę. Był bowiem na tyle bystry, by wiedzieć, że historia z Venus długo nie potrwa, a kiedy jej się znudzi – a to wcześniej czy później nastąpi – co wtedy? Ma jechać z powrotem do LA i opętanej seksem, grubej agentki, którą musiał obsłużyć tylko po to, żeby dostać pracę przy zdjęciach z Venus?

Nie, Jorge nie po to uciekał z Rio i jego faweli, gdzie praktycznie wychowywał się sam, żeby zostać zabawką napalonych Amerykanek.

Venus była cudowna, ale dla niego zbyt sławna i za stara. Co prawda pozostawała w nieskazitelnej formie, miała idealne ciało i umięśnione uda. Kiedy ją całował w intymne miejsca, prawie go nimi udusiła. Zakrzusił się jej mokością i musiał charczeć i prychać, żeby go uwolniła.

Jorge nieco się oddalił, ponieważ Venus chodziła po kasynie w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Wkrótce stwierdził, że otoczył ją tłumek, i zaczął się zastanawiać, jak to jest być sławnym.

Przysiągł sobie, że pewnego dnia... pewnego dnia, kiedyś, w przyszłości, sprawdzi to na własnej skórze.



– Pamiętasz, jak złapałeś wszy łonowe od jakiejś przypadkowej kochanki, a potem musiałeś się gęsto tłumaczyć przed Venus? – Kev roześmiał się hałaśliwie. – Stare dobre czasy, stary. Ekstraczasy.

– Może dla ciebie – odparł Billy z leciutkim uśmiechem. – Musiałem skłamać Venus, że złapałem je od deski klozetowej. Chyba mi nie uwierzyła.

Kev prychnął z wesołości.

– Ale było, stary. Tęsknię do tych czasów.

Zatrzymali się w luksusowej willi należącej do hotelu Cavendish. Kev rwał się do kasyna i namawiał Billy'ego, żeby też poszedł.

– Muszę zadzwonić w kilka miejsc – powiedział Billy i rzucił mu kilka studolarówek. – Postaw to za mnie na siódemkę. I postaraj się, żebyśmy wygrał.

– Przecież zawsze wygrywasz, no nie? – jęknął Kev. Zgarnął pieniądze i już wychodził. – Do zobaczenia w kasynie.

– Za dziesięć minut – obiecał Billy. – I nie zapomnij: na siódemkę.

Kiedy tylko Kev wyszedł, Billy minutę lub dwie chodził w tę i z powrotem po pokoju, a potem zadzwonił na komórkę Max. Nie

odebrała. Wahał się, czy zostawić wiadomość, ale postanowił tego nie robić. Lepiej porozmawiać z nią osobiście.

Choć było to dla niego niezwykle, odrobinę się obawiał, że Max powie mu coś niemiłego. Ucieszy się, że przyjechał za nią do Vegas, czy da mu kosza?

Na razie musiał uzbroić się w cierpliwość.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Myślałaś kiedyś o obcięciu dredów? – spytał Frankie. Leżeli obok siebie z Cookie na hotelowym łóżku i na spółkę spokojnie palili trawkę.

– Co? – zdziwiła się Cookie i od razu dotknęła karaibskich dredów, które uważała za swój znak rozpoznawczy. – Nikt się do tej pory na nie nie skarżył.

– Myślałem, że może wolałabyś coś bardziej romantycznego – zasugerował Frankie.

– Gadasz całkiem jak mój tata – warknęła Cookie, mocno się zaciągając. – Uwielbiam swoje dredy. Nie chcę wyglądać tak samo jak każda dziewczyna w LA.

– To ci nie grozi – stwierdził Frankie. Wziął od niej jointa i sam mocno się sztachnął. – Jesteś w stu procentach oryginalna.

– To po co pytasz? – drążyła sprawę Cookie. Pomyślała, że jak na starszego faceta, Frankie jest niezłe ogarnięty: dobry w łóżku, na bieżąco dostarcza dragi do wyboru i fajny z niego kompan. Nie jest nudny jak chłopak Max, Ace. I nie dziwaczny, jak Harry; choć Harry należał do jej najlepszych kumpli, musiała przyznać, że był ekscentrykiem.

– Bo za każdym razem, kiedy mi obciążasz, twoje dredy biją rennie po jajach – powiedział Frankie, wypuszczając cienki dymek.

– No wiesz – zachichotała Cookie. – Nie chciałabym ci uszko-

dziec twoich cennych *cojones*.

– Sama widzisz...

– Bo wtedy by ci nie stawał.

– Świntuszysz.

– A ty to wręcz uwielbiasz – odparowała Cookie. Przekreśliła się na brzuch i usiadła okrakiem na Frankiem. – A jak byś chciał, żebym wyglądała?

– Jak Janet Jackson w swoich najlepszych czasach – stwierdził Frankie, puszcżając do niej oko. – Jesteś równie ładna.

Cookie znowu zachichotała i wyrwała mu z ręki jointa.

– Szczupła Janet Jackson – powiedziała z naciskiem. – Z dużo lepszymi cyckami.

– Chwileczkę – sprzeciwił się Frankie i zepchnął ją z siebie. – Musisz przyznać, że Janet ma cycki jak dynamit, co dało się zauważyć na *Super Bowl*.

– A ja nie? – Cookie się nadaśała.

– Oczywiście, że tak, mój cyczusku.

– Mój cyczusku! – pisnęła. – Skąd to wzięłeś?

– Chyba od Mela Gibsona.

– Pieprzyć Gibsona. A tak w ogóle, on powiedział na tę policjantkę „słodki cyczusku”.

– Wychodzi na to samo.

– Wcale nie.

– Mam pomysł.

– Jaki?

– Zrób mi loda, słodki cyczusku, to się zamknę.

Cookie była zachwycona, że traktował ją jak dorosłą.



Niespodzianką Bobby'ego była przejazdka prywatną łodzią po jeziorze Mead, podczas której uprzejmy kelner podał im wytworny lunch. Denver obyła by się bez lunchu i bez kelnera, ale nic nie mówiła, bo zdawała sobie sprawę, że Bobby chciał jak najlepiej i starał

się sprawić jej przyjemność.

Nie mogła jednak się powstrzymać od zerknięcia na swoją komórkę, żeby sprawdzić, co dzieje się w LA. To, że na piątek wzięła wolne, trudno uznać za dobre dla rozwoju jej kariery, ale Bobby nalegał, a poza tym i tak przechodziła do Wydziału Antynarkotykowego, więc jakie to ma znaczenie? Wygrała swoją ostatnią sprawę, wymknęła się napalonemu szefowi, a w poniedziałek może wszystko zaczynać od nowa.

- Co robisz? – spytał Bobby i zerknął jej przez ramię.
- Sprawdzam tylko, co w pracy.
- No nie – powiedział stanowczo.
- Co nie?
- Nie rób tego, kiedy jesteśmy na pierwszych wspólnych wakacjach.
- Bobby – przypomniała mu delikatnie. – To nie wakacje, tylko weekend.
- Pierwszy, który wspólnie spędzamy – zaznaczył i pocałował ją w policzek.
- Okay – zgodziła się i wyłączyła telefon. – Zrobię, co mi mój pan i władca każe.
- Spokojnie! – roześmiał się. – Aż taki zły nie jestem.
- Ale trochę apodyktyczny.
- A myślałem, że romantyczny.
- Masz rację – westchnęła. – Pracę zostawię na później.
- Później może być więcej niespodzianek.
- Mmm... Mam się już cieszyć?
- Poczekaj, aż zobaczysz, co szykuję.



– Raz wystąpiłam na stadionie Maracana w Rio – opowiadała Venus Jorgemu, który po wypadzie do kasyna masował jej stopy. Wygrała dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w blackjacka, więc była na haju. – Tysiące ludzi i ja jedna – wspominała. – To była fantastyczna

noc. Niezapomniana.

– Aha... Maracana – mruknął Jorge. Po angielsku mówił lepiej, niż się Venus wydawało, i bardzo dużo rozumiał, ale stwierdził, że rozsądniej jest udawać, że dopiero się uczy. Bezpieczniej też nie wspominać, że mając dziesięć lat, wślizgnął się na słynny stadion Maracana z kolegami i oglądał jej występ. Nadal pamięta wzwód, jakiego doświadczył tej nocy na jej widok.

Dorastał w dwuizbowej ruderze z siedmiorgiem rodzeństwa, bez ojca, z matką, która żyła tylko dla karnawału, więc sam musiał sobie radzić. W wieku lat dziesięciu zaczął okradać turystów w Rio, a kiedy miał czternaście, napadał na nich, rabował i uprawiał z nimi seks. Przy okazji nauczył się trochę angielskiego. Kiedy odłożył dość pieniędzy, sprawił sobie paszport i kupił bilet w jedną stronę do Los Angeles. Przynajmniej był ambitny.

I co teraz? Może i ma dopiero dziewiętnaście lat (Venus myślała, że dwadzieścia), ale jest dość mądry, by wiedzieć, że bycie z platynowoblond supergwiazdą może być jego jedyną szansą, by się wybić.

Nie wiedział jeszcze, co zrobi, ale koniecznie musiał coś w ten weekend zmontować, by utrwalić ich związek.



Z silnym postanowieniem, że nie będzie się nad sobą użalać, Max weszła do windy, którą pomknęła na górę. Harry i Paco zatrzymali się przy aptece, żeby Bóg jeden wie co kupić. Harry zachowywał się, jakby był chory z miłości. Nie mogła tego wytrzymać.

Betty siedziała tam, gdzie zawsze. Max przywitała ją krótkim uściskiem.

– Jest już Cookie? – zapytała.

Betty kiwnęła głową, a w jej uważnych oczach pojawił się błysk dezaprobaty.

– O tak. Z tym swoim nowym chłopakiem.

– Tak, to Frankie – powiedziała Max, uśmiechając się ze zrozumieniem. – Cookie trafiła w dziesiątkę, co?

– Mnie wydaje się dla niej za stary – zauważyła Betty. – Pyskaty wazeliniarz.

– Przecież znamy Cookie – stwierdziła Max i wzięła sobie garść M&M-sów z biurka Betty. – Już lepszy Frankie niż przyprawdzany tu co noc inny, przypadkowy koleś.

– Nigdy nie pochwalałam zachowania tej dziewczyny – z zacisniętymi ustami burknęła Betty. – Potrzebna jej dyscyplina. Gdzie są jej rodzice?

– Wiesz przecież. Już o tym rozmawialiśmy – przypomniała Max. – À propos... przygotuj się. Harry też ma mmm... chłopaka. Za chwilę przyjdą się zarejestrować.

Betty uniosła brwi.

– Chłopaka?

– E tam, Bets – zachichotała Max. – Przecież wiesz, że Harry jest gejem.

– Naprawdę? – sucho spytała Betty.

– Nie drażnij się ze mną, proszę. Już prawie moje urodziny, oni oboje mają chłopaków, a ja jestem sama. Czarujące, prawda?

– Nie martw się, kochana – pocieszyła ją Betty, myśląc o chłopaku, który czekał, żeby jej zrobić niespodziankę. – Będziesz się świetnie bawić.

– Dzięki, Bets – odpowiedziała Max i ruszyła korytarzem do swojego apartamentu.

Włożyła kartę do drzwi i weszła do środka.

– Hej – powiedział Ace i skoczył na równe nogi, żeby ją przywitać szerokim uśmiechem. – Wszystkiego najlepszego, słodka osiemnastko.

Rozdział trzydziesty drugi

Wyrzucenie z The Keys było niewątpliwie największą obelgą, jaka kiedykolwiek spotkała Armanda Jordana – odrażającym atakiem na jego godność. Kiedy Fouad poinformował go, że są zmuszeni opuścić hotel, Armand nie chciał mu uwierzyć. Coś takiego nie mieściło mu się w głowie. Niestety była to prawda, więc kiedy przyszło czterech krzepkich ochroniarzy, by wyprowadzić go z apartamentu, w końcu zrozumiał, że Lucky mówiła serio.

Armand nie dał się wyprowadzić w ciszy. Każdemu pracownikowi, który wszedł mu w drogę, groził, że go zwolni, kiedy hotel będzie jego własnością. Fouadowi kazał zapisywać nazwiska – a sam na lewo i prawo każdemu groził utratą pracy. Emanował czarną, ponurą wściekłością.

Danny, który kręcił się w okolicy, nie mógł się nadziwić jego jadowitej złości. Jeszcze nigdy nie widział tak przerażającej furii.

Fouad zamówił limuzynę, która czekała na nich na dole. Znowu był przekonany, że od razu pojedą na lotnisko – zostawił nawet wiadomość dla Peggy, że niedługo ją zabiorą.

Armand miał jednak inne plany.

– Czy naprawdę uważasz, że uciekłbym stąd jak pies z podkulonym ogonem? – zapytał rozwścieczony. – Ile razy muszę ci to tłumaczyć? Mózg ci wysiadł, Fouadzie? Nie słuchasz, co się mówi? Zidiociałeś do reszty?

Tak, pomyślał Fouad, zidiociałem, że zgadzam się na twoje ciągłe obelgi. Zatrujesz wszystko, czego dotkniesz.

– Zamów mi najlepszy apartament, jakim dysponują w hotelu Cavendish – rozkazał Armand – i choć raz spróbuj mnie słuchać, Fouadzie. – Chwila złowieszczego milczenia. – Nie wyjedziemy z Vegas, póki nie będę miał The Keys. Nie wygra ze mną ta zdzirowata suka. Prędeż umrze, niż jej się to uda. BĘDĘ PATRYŁ, JAK UMIERA.



Wiele lat temu Peggy postanowiła, że jeśli się dowie, kto jest prawdziwym ojcem Armanda, nigdy nie powie o tym synowi. Armand uważał, że pochodzi z rodziny królewskiej, i nie chciała rozwiewać tego mitu – jeśli rzeczywiście był to mit. Gdyby okazało się, że nie jest synem króla, konsekwencje byłyby katastrofalne. Nie wiadomo, co zrobiłby król, gdyby się o tym dowiedział. Kary, jakie stosowano w Akramszarze, były bardzo surowe, zwłaszcza wobec kobiet. Jedną z nich był starodawny zwyczaj kamienowania. Nawet za drobny brak szacunku wobec mężczyzny skazywano kobiety na długie więzienie.

Nie żeby Peggy chciała tam pod jakimkolwiek pozorem wrócić. Ułożyła sobie życie w Ameryce i tu chciała zostać. Jeśli spotka odpowiedniego mężczyznę, może nawet w Vegas.

W Nowym Jorku kobieta po sześćdziesiątce miała kiepskie szanse, żeby kogoś znaleźć – nawet jeśli świetnie się prezentowała. Ramole na viagrze szukali kobiet po trzydziestce, góra po czterdziestce. Więc co jej zostaje? Vegas, gdzie kasyna roily się od bogaczy, którzy może docenią rudą piękność w kwiecie wieku.

No... może trochę drugiej młodości. I co z tego?

Po leniwym śniadaniu poszła do spa, gdzie pozwoliła, aby ją upiększono i rozpieszczano. Rozmyślała tymczasem o tym, jak się zbliżyć do Gina Santangelo, żeby zdobyć próbkę DNA.

W telewizji oglądała tyle programów ze śledztw w sprawach

kryminalnych, że wiedziała, jak łatwo jest ustalić ojcostwo. Wystarczył kawałek włosa albo pet. W internecie reklamowały się laboratoria, do których można było wysłać próbkę. Znalazła nawet jedno w Vegas, które za odpowiednią opłatą przysyłało wynik w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Peggy była podekscytowana. Zawsze się nad tym zastanawiała, a teraz ma szansę się dowiedzieć.

– Może słyszała pani, kim jest Gino Santangelo? – zapytała wysoką brunetkę, która masowała jej twarz.

Dziewczyna prawie się zakrztusiła.

– Gino Santangelo to jeden z najsłynniejszych ludzi w Vegas – powiedziała i ściszyła głos. – Jego córka zbudowała hotel. Santangelowie są w Vegas jak królowie.

– Cicho... – syknęła tleniona blondynka, która robiła Peggy pedikiur. – Tam siedzi jego żona i robi sobie paznokcie.

– Jego żona? – spytała Peggy i spojrzała na drugą stronę sali. Zobaczyła drobną, niską kobietę z masą miedzianych loków na głowie. Dobrze zakonserwowaną, ale Peggy, która w tej dziedzinie była ekspertką, oceniła ją mniej więcej na siedemdziesiątkę.

Żona Gina Santangelo. Być może to okazja, której Peggy szukała.

Tak, okazja, aby się zbliżyć do prawdy. Na pewno z niej skorzysta.



Armand zakwaterował się w luksusowej prywatnej willi w hotelu Cavendish.

Cały czas się pieklił i perorował na temat tego, jaki jest wściekły i zniesmaczony wynikiem spotkania z Lucky Santangelo. Nie potrafił zrozumieć, jak kobiecie uszło na sucho to, że odezwała się do niego w sposób tak wstrętny i nikczemny. Skóra cierpła mu na samą myśl o tym wydarzeniu. Jej słowa cały czas chodziły mu po głowie i wypełniały go jeszcze większą nienawiścią.

– W moim kraju za brak szacunku zostałyby ukamienowana! –

krzyczał, chodząc w tę i z powrotem po pokoju. – Jestem księciem. Słyszysz, Fouad? Mężczyzną z królewskiego rodu. A ona dziwką ze wsi i musi być ukarana.

Fouad przyglądał się Armandowi i widział, że szef przestał nad sobą panować. Sprawiał wrażenie człowieka, który stracił kontakt z rzeczywistością. Czy Armand naprawdę uważa, że może ot, tak przylecieć sobie do Vegas i kupić taką posiadłość jak The Keys? Czy tak bardzo jest przekonany o własnej ważności i potędze, że uznał to za możliwe?

Od czasu incydentu z żoną Martina Constantine'a, Fouad czuł, że z Armandem dzieje się coś bardzo złego. Sprawiał wrażenie człowieka, który jest bliski opętania, zagubionego w fantazjach o własnej potędze. Teraz głosi, że jest księciem, którym rzeczywiście jest, ale w Ameryce jego tytuł nie ma żadnego znaczenia.

– Wiesz – wrzasnął Armand, hipnotyzując Fouada spojrzeniem szaleńca – że to ja będę kiedyś rządził Akramszarem?! To ja będę królem!

– Myślałem, że zamierzasz zostać w Ameryce. – Fouad był zszokowany stwierdzeniem Armanda.

– Ojciec będzie chciał, żebym przejął władzę – powiedział Armand z gorączką w oczach. – Uważasz, że mógłbym go zawieść? Jeśli tak myślisz, jesteś idiotą, bezużytecznym idiotą. – Krótka chwila przerwy, po czym Armand dodał: – Ostatnio myślałem, Fouadzie, że powinienem się ciebie pozbyć. Jesteś bezużyteczny.

Fouad znowu doznał szoku. Dorastał w Akramszarze. Był synem pałacowego strażnika i wiele razy słyszał to słowo z ust króla. Słowo „bezużyteczny” było jedną z ulubionych obelg monarchy. Mówił tak do żon, pracowników, swoich dzieci; do każdego, kto zasłużył na jego złość. Pluł tym słowem jak wężowym jadem, co sprawiało, że było gorsze od jakiegokolwiek przekleństwa.

Czy Armand zmienia się w swego ojca?

Cierpi na manię wielkości?

Czy naprawdę uważa, że kiedy król emir Amin Mohamed Jordan umrze, to on może zostać władcą Akramszaru?

Niemożliwe. Pozostali synowie króla nigdy na to nie pozwolą. Może i Armand urodził się w Akramszarze i mieszkał tam całe osiem lat, ale opuścił kraj swego urodzenia i został amerykańskim magnatem finansowym. Nigdy nie przyjmą go z powrotem. Tak się składało, że Fouad dobrze znał jedyny powód, dla którego król tak hołubił Armanda. Poprzez swoje liczne holdingi i firmy był w stanie filtrować swe królewskie pieniądze, uprawomocnić je. Było to tak dobrze znane amerykańskiej mafii pranie pieniędzy.

– Zbierz wszystko, co wiesz o Lucky Santangelo – nagle rozkazał Armand. – Przynieś tę teczkę. Gdzie ona jest? Natychmiast mi ją daj.

– Chodzi o teczkę, na którą nie chciałeś spojrzeć? – zapytał Fouad, który nie mógł się powstrzymać od drobnego przytyku.

– Chcę ją mieć. Natychmiast – warknął Armand.

– Każę ją przynieść.

– Zdzira bez grama szacunku – mruczał Armand. – Słono zapłaci za to, że śmiała ze mną zadrzeć.

Fouad nie bardzo rozumiał, dlaczego Armand uważa, że to Lucky Santangelo z nim zadarła. Po prostu odmówiła mu sprzedaży The Keys. I to wszystko. Ale najwyraźniej odbezpieczyła w Armandzie coś groźnego i teraz będzie się mścił.

– Powiniennem wyjść – spokojnie powiedział Fouad. – Potrzebujesz pobyc sam.

– Nie. Potrzebuję kilku dziwek, żeby móc przemyśleć, co mam robić – wściekał się Armand, a twarz pociemniała mu ze złości. – Załatw to. Chcę, żeby natychmiast tu przyszły.

Czy doszło już do tego, że on, Fouad, ma zamawiać prostytutki, żeby Armand mógł pogrążyć się w swoich perwersyjnych rozrywkach?

Nie. Dosyć tego. Postanowił odmówić.

Podszedł do biurka, wyjął hotelowy notatnik i zapisał na nim numer.

– Proszę – powiedział i podał go Armandowi. – Sam zadzwoń.

I zanim Armand zdołał się sprzeciwić, Fouad wyszedł.

Żałosny facet bez jaj, pomyślał Armand. Nie ma sensu, żebym dłużej się zgadzał na jego nieudolność, jego amerykańską żonę i głupie dzieci.

Prawdę powiedziawszy, nawet nie poznał dzieci Fouada. Tak naprawdę żonę też widział tylko dwa razy. Blondynka z Tennessee – nudna i nijaka, a nawet nie taka znowu ładna. Doprowadziła Fouada do ruiny, zrobiła z niego barana, który nie umie porządnie funkcjonować w świecie biznesu. To dlatego nie udało się zebranie w sprawie zakupu The Keys. Żona pozbawiła Fouada jaj, sprawiła, że jest słaby i nieskuteczny. Lucky Santangelo wyczuła tę słabość i wykorzystała ją przeciwko Armandowi.

Przebiegła dziwka.

Tak, Armand był już pewny. Sam musi dopilnować kupna The Keys.

Nerwowo chodził wokół salonu willi, który nawet w przybliżeniu nie był tak luksusowy jak apartament prezydencki w The Keys.

Po chwili usypał na stole kilka ścieżek koki i wkrótce wszystkie wciągnął. Na szczęście zawsze podróżował świetnie zaopatrzony dzięki dealerowi z Nowego Jorku, który o to dbał.

Kiedy Fouad przysłał informacje o Lucky Santangelo, Armand czuł się na siłach rządzić nie tylko Akramszarem, ale także całą resztą świata. Był na wielkim hajcu, pełen złości i urazy.

Musiał dać upust frustracji, że nie dostał tego, czego chciał.

Wziął telefon i zadzwonił do Yvonne Le Crane.

Yvonne nie była zadowolona, że się odezwał. Nie podobało się jej, że oszukał dziewczyny. Jeśli nie dostały pełnej sumy, która im się należała, to i Yvonne dostawała mniejszą prowizję. Miała mniej, by wepchnąć do swojej najnowszej torebki od Prady, a ostatnio ogarnęła ją obsesja na punkcie Prady. Kiedy zadzwonił Armand i zażądał następnych dziewczyn, była dla niego niemiła, zwłaszcza że przedtem pytała o niego pewna osoba, która w Vegas wiele znaczyła.

- Nie dał pan moim dziewczynom pełnej stawki – zarzuciła mu.
- Dwie kobiety, którym nie zapłaciłem, były niedoświadczone i nieprofesjonalne – zimno oznajmił Armand. – To źle świadczy o pani

usługach.

– Moje usługi są najlepsze w Vegas – odparła Yvonne, którą bardzo to obraziło. – Dziewczyny są czyste, piękne i uczciwe.

– Twoje dziewczyny to obrzydliwe zdziry – wściekał się Armand.

– Jeśli pan tak uważa, to przestańmy robić interesy i skończmy tę rozmowę.

– Nie. Nie skończmy – warknął Armand. Jego złość narastała, więc pochylił się nad stołem i wciągnął następną ścieżkę koki. – Przyśle mi pani dwie dziewczyny. Duże piersi. Za trzydzieści tysięcy. W gotówce. Mają tu być o szóstej. Teraz jestem w Cavendishu.

Yvonne chwilę milczała. Nie ufała Armandowi Jordanowi i choć nigdy go nie widziała, było w nim coś dziwnego, coś, co się jej nie podobało. Wszystkie dziewczyny, które do niego wysłała przy jego poprzednich wizytach, narzekały, że jest ordynarnym zbrodźcą. Było to niezwykle, bo rzadko się skarżyły.

Przyszło jej jednak do głowy, że nie musi mu wysłać swoich dziewcząt. Były inne miejsca, gdzie mogła zamówić usługi. Armand Jordan jest świrem. Nie będzie w stanie stwierdzić różnicy, bo dziewczyny potrzebne mu są tylko po to, żeby je poniżyć i upokarzać. Przede wszystkim Yvonne była kobietą biznesu, a trzydzieści tysięcy dolarów w gotówce to kusząca suma.

Tak, postanowiła Yvonne, wyśle Armandowi dokładnie takie dziewczyny, na jakie zasługuje.

Rozdział trzydziesty trzeci

Po zebraniu zarządu Lucky spotkała się z Dannym, który opowiedział jej o tym, jak Armand krzyczał, wychodząc z hotelu.

– Co za seksistowski dupek! – oburzyła się. – Jest szalony. Wariat. Kto to właściwie jest?

Danny wydrukował wszystko, co był w stanie znaleźć o Jordan Developments, ale przeglądając gruby plik papierów, Lucky stwierdziła, że nie ma tam nic o życiu osobistym Armanda. Informacje z Wikipedii były szczątkowe. Nie podano, gdzie się urodził, tylko że przyjechał do Ameryki w wieku ośmiu lat. Wyliczono, gdzie chodził do szkoły i do college'u, a także wspomniano, że jego matka, bywalczyni salonów, ponownie wyszła za mąż za bankiera inwestycyjnego, który już nie żyje. Kto był jej pierwszym mężem? I oczywiście ojcem Armanda? Nic nie znalazła o tym, żeby Armand miał żonę lub dzieci czy też jakąkolwiek inną rodzinę.

Wyglądało na to, że Armand Jordan istniał wyłącznie jako prezes Jordan Developments i kilku innych podrzędnych firm.

Skoro zagroził jej, że w przyszłości stoczą jakąś absurdalną bitwę, Lucky uważała, że powinna więcej o nim wiedzieć.

Danny odwiedził różne strony z plotkami i znalazł kilka zdjęć Armanda na spotkaniach towarzyskich w Nowym Jorku – zawsze z inną kobietą u boku.

W tym czasie Lucky przeszła na swoim macu bezpośrednio do

strony WireImage, wpisała „Armand Jordan” – i otrzymała całą serię zdjęć Jordana z atrakcyjnymi młodymi kobietami.

Facet był seryjnym randkowiczem, choć nigdy nie podawano nazwisk jego partnerek. Dziwne. Na zdjęciach znalazło się kilka drugorzędnych aktorek, ale każda występowała z nim tylko raz.

Lucky przestudiowała zdjęcia niezidentyfikowanych dziewczyn i wywnioskowała, że z pewnością są to wysokiej klasy prostytutki albo profesjonalne panie do towarzystwa. Rozpoznała ich charakterystyczne cechy – wszystko w nich było ekskluzywne, drogie i bez wyrazu. I faktycznie, kiedy Danny sprawdził jedną z najbardziej elitarnych agencji towarzyskich (żeby tam się dostać, trzeba było wpłacić dziesięć tysięcy dolarów wpisowego, ale Lucky kazała mu skorzystać ze swojej karty kredytowej), znaleźli zdjęcia kilku dziewcząt, z którymi pojawił się Armand.

– Ma obsesję na punkcie prostitutek! – krzyknął Danny i stwierdził, że szukanie faktów o Armandzie wynagrodziło mu nieobecność na zebraniu zarządu. Danny uwielbiał intrygi, więc bardzo się cieszył.

– Rzeczywiście – zgodziła się Lucky. – Najwyraźniej jest jednym z ich najlepszych klientów.

– Co nie jest taką znów niespodzianką – prychnął Danny. – W końcu tutaj też zamówił sobie dziwki, więc widać taki ma zwyczaj.

– Wiemy, z jakiej korzystał agencji? – czujnie zapytała wielce zaintrygowana Lucky.

– Dowiem się – odparł Danny i postanowił, że jej nie powie o swoim dodatkowym odkryciu. Przeszukując internet, trafił na jej ferrari z Billym Meliną za kierownicą. Swoją drogą ciekawe, o co w tym chodzi.

– Dobrze – zgodziła się Lucky. – I skontaktuj mnie z burdelmamą z Nowego Jorku. Chcę wiedzieć jak najwięcej o Armandzie Jordanie.



– Przed kolacją muszę zobaczyć się z M.J.-em – powiedział Bobby, kiedy wreszcie wrócili do hotelu. – Mogę cię na godzinę zostawić?

– Bobby – zapewniła go Denver – nie musisz mnie niańczyć. Świetnie sobie radzę sama. Przynajmniej będę miała czas popracować na laptopie.

– Mówił ci ktoś kiedyś, że jesteś pracoholiczką?

– A ty nie? – odpowiedziała wesoło.

– Trafiony zatopiony – przyznał i wziął kurtkę. – Do zobaczenia potem. Pójdziemy na kolację. Tylko we dwoje. Będzie jeszcze romantyczniej niż na lunchu.

– Myślałam, że spotykamy się z twoją rodziną?

– Nie dzisiaj, kochanie. Dzisiejszy wieczór jest tylko nasz.

– Dlaczego?

– Bo ten czas zarezerwowałem dla nas.

– To mi się podoba – powiedziała, w głębi duszy zadowolona, że do jutra klan Santangelo/Golden ma z głowy.

– Więc... moja piękna – wyszeptał i schylił się, żeby ją pocałować – załóż coś seksownego.

– Tylko jeśli ty też to zrobisz – przygadała mu i z czułością dotknęła jego policzka.

– Czy wystarczą czarne stringi? – zażartował.

– Spływaj – odparła, a myśl o Bobbym w stringach wywołała uśmiech na jej twarzy.

Kiedy tylko sobie poszedł, wyjęła swoją czarną komórkę BlackBerry i przejrzała wiadomości. Między innymi był tam SMS od Sama. Najwyraźniej uznał, że wrócił do jej życia i łatwo się nie poddawał.

„Świetnie się bawię na planie. I reżyser, i aktorzy równo mnie olewają, chyba że trzeba na poczekaniu zmienić jakąś kwestię. Wtedy jestem Królem Dżungli i całują mnie w chudą dupę. Jako obserwatorce rasy ludzkiej podobałaby Ci się tutaj każda sekunda. Jak tam Vegas? Tęsknisz do moich jajek?”.

Denver się uśmiechnęła. Wzmianka o jajkach odnosiła się do smaczkowej jajecznicy, którą jej zrobił w Nowym Jorku, kiedy spē-

działa u niego noc. W niezbyt subtelny sposób przypominał jej, że zdarzyło im się wylądować razem w łóżku. I uprawiać seks.

Szybko mu odpisała.

„Vegas jest super. Z jajecznicy przerzuciłam się na jajka po wiedeńsku. Życzę szczęścia w byciu ignorowanym”.

Nacisnęła WYŚLIJ. nim zmieniła zdanie. Są przyjaciółmi, niczym więcej, a Bobby chyba nie miałby nic przeciwko żartom między przyjaciółmi. A może by miał?

Jeśli tak, to trudno. Przecież nie są małżeństwem ani nic w tym stylu.

Ojej! – pomyślała. Skąd mi przyszło do głowy małżeństwo? Przecież wcale o tym nie myślę.

Leon też do niej napisał, ale jego tekst dotyczył pracy. Była mu wdzięczna, że wprowadza ją w sprawy, którymi ma się zajmować w następnym tygodniu. Cieszyła się, że będzie pracowała z Leonem. Był zaangażowany w walkę z narkotykami na ulicy, zwłaszcza z drobnymi dealerami, którzy handlowali koło szkół. Czasem usiłowali dotrzeć nawet do dziesięciu- i jedenastolatków. Leon to porządny facet. Po tym, jak pracowała w czołowej firmie prawniczej z Beverly Hills, gdzie broniła ludzi przypuszczalnie winnych, dobrze było wiedzieć, że nareszcie robi coś, co jest naprawdę ważne.



Więc oto on. Ace. Jej chłopak. Stoi przed nią z szerokim, dumnym uśmiechem, co oznacza, że nie będzie sama w swoje urodziny. Ace zapewne urwał się z pracy i przyjechał samochodem aż do Vegas, żeby z nią być. Naprawdę tu jest. Kocha ją.

Hurrraaa!

Więc dlaczego nie jest szczęśliwa? Dlaczego nagle opadły ją wyrzuty sumienia? Dlaczego wołałaby, żeby nie przyjeżdżał?

– Wow! – zawołała Max, kiedy podszedł, żeby ją objąć. – Odłot. Co ty tu robisz?

– A twoim zdaniem co? – odpowiedział. – Przyjechałem na

twoje urodziny. Za nic bym ich nie opuścił.

– Super – wykrztusiła i wyzwoliła się z jego uścisku.

– Tak – powiedział, nadal się uśmiechając. – Czuję, że chciałabyś, żebym przyjechał.

– Jasne – potwierdziła. – Tylko nie jesteśmy sami. Na dole jest Harry z nowym przyjacielem. No i Cookie też gdzieś płacze się w okolicy. A ty nie za bardzo lubisz z nimi przebywać.

– Dobrze, że mnie ostrzegłaś. Ale przecież możemy gdzieś się wymknąć we dwoje, prawda?

– Ja nie mogę – powiedziała. – Przyjechali do mnie, więc nieładnie byłoby ich zostawiać. A przecież wiesz, że są moimi najlepszymi przyjaciółmi.

– To kim ja jestem?

– Hmm... moim chłopakiem. – Prawie udławiła się tym słowem.

– I właśnie dlatego nie mam ochoty utknąć w tłumie – powiedział zniecierpliwiony. – Nie widziałem cię całe tygodnie, nie chcę się tobą dzielić.

Głowę miała pełną niespokojnych myśli. O Billym, który potraktował ją tak bezceremonialnie. O ich jedynej nocy na piasku. O tym, jak jej dotykał, o jego błękitnych oczach, trochę zwariowanym śmiechu i umięśnionym brzuchu.

Jak powiedzieć Ace'owi, że nie jest już dziewicą? Ojej! Strasznie by się wściekał, że zrobiła to z kimś innym, choć on tak długo czekał.

Niedobra dziewczyna.

Miała ochotę się rozplakać.

– Hej – odezwał się Ace. – Nie miej takiej nieszczęśliwej miny. Jeśli towarzystwo Cookie i Harry'ego jest dla ciebie takie ważne, to już dobrze. Byle nie brali przy mnie narkotyków. Wiesz, że tego nie znoszę.

Pan Porządniś. Jej chłopak. Na pewno nie pasowałby do Frankiego.

– Wiesz co? – powiedziała. – Przecież będziemy się z nimi widzieć jutro na moim przyjęciu. No to teraz możemy chyba gdzieś wymknąć się sami.

– Fajna z ciebie dziewczyna – powiedział Ace. – Wiedziałem, że w końcu się zgodzisz.



Frankie leżał na łóżku i palił kolejnego jointa, a jednocześnie przeglądał czasopismo z Vegas. Ze zdziwieniem zobaczył, że Gerald M., ojciec Cookie, tego właśnie wieczoru ma koncert w Cavendishu.

– Cholera! – krzyknął i usiadł na łóżku. Zastanawiał się, dlaczego Cookie mu o tym nie powiedziała.

– Co? – zainteresowała się Cookie, która otworzyła pokój kartą. Właśnie wróciła z czterogodzinnej wizyty u fryzjera, gdzie rozplataną jej dredy. Długa praca, ale, miejmy nadzieję, owocna.

Frankie ledwie na nią spojrział.

– Wiesz, że twój staruszek dziś wieczorem występuje w Cavendishu? – zapytał. – Pojedynczy koncert. Wszystkie bilety sprzedane.

Pomaszerowała do łóżka i stanęła przed nim. Włosy delikatnie kręciły się wokół jej ładnej twarzy.

– Pieprzyć mego starego. Co myślisz o moim nowym uczesaniu?

– No tak, twoje włosy – powiedział wymijająco, spoglądając na nią pobieżnie. – Piękne, laleczko. Mówiłem ci, nie ma czego żalować.

– To trwało całą wieczność – poskarżyła się i opadła na koniec łóżka.

– No pewnie.

– Naprawdę ci się podoba? Szalejesz za nimi? Wyglądam porażająco?

– Oczywiście, że tak – skłamał Frankie, bo nie był pewny, czy mu się podoba, czy nie. Wyglądała teraz jak pierwsza lepsza czarna dziewczyna, nie wybijała się z tłumu jak przedtem. Ale przynajmniej miał wolne popołudnie, żeby pograć w kasynie.

Przegrał w kości, ale był pewny, że wieczorem się odegra.

W końcu jest Frankiem Romano. Zawsze mu się wszystko udaje.

– Więc co z tym koncertem? – zapytał. – Moim zdaniem po-

winniśmy iść.

- Serio?
- Tak, serio.
- Zobaczą, co się da zrobić.

Rozdział trzydziesty czwarty

Lucky miała mnóstwo bardzo dobrych kontaktów. Mogła wziąć telefon i zadzwonić prawie wszędzie, a jeśli nawet nie ona, to Gino na pewno. Po rozmowie z burdelmamą z Nowego Jorku, która dostarczała Armandowi dziewczyn, a potem z Yvonne Le Crane z Vegas zrozumiała, jak funkcjonuje Armand. Zamawia dziewczyny, aby go z nimi widywano, a jeśli chodzi o seks, najbardziej lubi je upokarzać i poniżać.

Wiedziałam, że jest dupkiem, pomyślała Lucky. Pewnie mu nie staje.

Nagle stwierdziła, że traci za dużo czasu na śledztwo w sprawie głupiego fiuta Armanda Jordana – robiło się to nudne. Historia z tym facetem to psikus wariata, nie coś, czym trzeba by się przejmować. Powiedziała Danny'emu, żeby przestał szukać, i zwięźle dodała:

– Upewnij się tylko, że już nigdy nie wejdzie do mojego hotelu. Okay?

– Rozumiem, Lucky – zgodził się Danny. – Powiem Jerrodowi, żeby wszystkim rozdał jego zdjęcie.

– Dobry plan. – Na chwilę zamilkła. – Słyszałeś, czy Max i Bobby już dotarli?

– Oboje przyjechali. I z tego, co mówi Betty, niespodzianie zjawił się chłopak Max, Ace.

– Co za miła niespodzianka dla Max – powiedziała Lucky z

zadowoleniem, bo lubiła Ace'a, który miał chyba dobry wpływ na Max.

- Czy któreś z nich potrzebuje rezerwacji na noc?
- Zaraz to z nimi ustalę.
- Dzięki, Danny. Zawsze nad wszystkim panujesz. Wiem, że dopilnujesz, żeby dobrze o nich zadbane.

Danny lubił być chwalony za pracę, bo wiedział, że jest w niej dobry.

– No cóż – ciągnęła Lucky. – Zaraz idę do sauny, więc do zobaczenia jutro rano.

– Do zobaczenia – odpowiedział Danny, wahając się, czy powinien jej powiedzieć o tym, że Billy Melina został przyłapany w jej samochodzie.

Lepiej nie, postanowił. Szefowa szykuje się na spotkanie z Leniem. Po co psuć jej wieczór?



Dla gwiazdora chodzenie po Vegas bez innej ochrony poza Kevem, który był mniej więcej tak samo pomocny jak nastolatek na haju, okazało się złym pomysłem. Fani otaczali Billy'ego na każdym kroku. Dziewczyny patrzyły na swojego bohatera z tęsknotą i uwielbieniem. Pary z Ameryki Środkowej prosiły, by zrobił sobie z nimi zdjęcie, bo wnuczka jest jego największą fanką. Geje spoglądali na niego z zachwytem. Do tego dochodzili łowcy autografów. I dra pieżne kobiety w średnim wieku, które uważały, że skoro był mężem Venus, pewnie lubi starsze panie.

Kev rozkoszował się każdą minutą spędzoną wśród fanów. Od najfajniejszych dziewczyn brał nawet numery telefonów.

– Nie wiedziałem, że jesteś aż tak popularny, stary – stwierdził i uszczęśliwiony korzystał ze swojej chwili wielkości. – Traktują cię, jakbyś był Johnnym Deppem albo Bradem Pittem.

Billy zdawał sobie sprawę, że Kev nie rozumie ceny sławy. Utrata prywatności, bycie traktowanym jak obiekt do podziwiania, nachalne

tłumy. Za dużo tego wszystkiego.

I jeszcze dotykane. Billy nienawidził, kiedy go dotykano. Przy-
padkowi, obcy ludzie zarzucali mu ramiona na szyję, jakby mieli do
tego prawo. Dziewczyny macały jego włosy. Zewsząd uściski spo-
conych dłoni. Nie znosił tych kontaktów. Naruszały jego dystans
intymny i miał tego dosyć.

Kiedy chodził gdzieś z Venus, zawsze otaczali ich ochroniarze –
teraz rozumiał, dlaczego. Jeśli chodzi o PR, Venus miała znacznie
większą wiedzę niż on.

Spróbował pograć w blackjacka w kasynie w Cavendishu, ale w
końcu się poddał i wrócił do swojego apartamentu. Pobawił się pilo-
tem, aż znalazł w telewizji kanał sportowy, usiadł na sofie i starał się
ochłonać po napaści fanów.

Kev został w kasynie i płał się w sławie Billy'ego.

Po piętnastu minutach uniwersyteckiego futbolu Billy znów
spróbował dodzwonić się na komórkę Max. Od razu odezwała się
poczta głosowa.

Okazało się, że wszystkie jego wysiłki spełzły na niczym.



– I jak? – powiedział Bobby, przysiadając się do M.J.-a w ka-
wiarni.

– Co jak? – odparował M.J. z pokerową twarzą, nie przestając
mieszać kawy.

– Wiesz, o co mi chodzi? – zapytał Bobby i skinął na kelnerkę, a
ta szybko do niego podeszła.

– Tak – przyznał M.J. – Ale nadal nie wiem, co ona o tym myśli.

– Chcesz powiedzieć, że nie rozmawiałeś z Cassie o dziecku? –
zdziwił się Bobby, patrząc, jak kelnerka nalewa mu do filiżanki
mocnej, czarnej kawy. – Przecież wiesz, że koniecznie musisz z nią o
tym pogadać.

– Hmm. W pewnym sensie zabrnęliśmy w ślepią uliczkę –
przyznał M.J. i ponuro wlepił oczy w stół.

- To niedobrze – stwierdził Bobby.
- M.J. westchnął znużony.
- Mnie to mówisz?
- Musicie działać razem – nalegał Bobby. – Najwyższy czas.
- I kto to mówi. Mądrała.
- O co ci chodzi? – spytał Bobby, marszcząc czoło.
- Od kiedy jesteś z Denver, zaniedbałeś kluby – poskarżył się M.J. – Nigdy cię tu nie ma. I w Nowym Jorku też, do cholery, nie bywasz.

Bobby nie wierzył własnym uszom.

- Coś ci się popieprzyło, M.J. Dopiero trzy dni temu podlizywałem się tu Ruskom. Krótką masz pamięć.
- Raz się pojawił, łaskawca.
- Pieprz się, stary. Co cię ugryzło?
- Nagle coś mnie ugryzło? – wkurzył się M.J. – Co noc wypruwam tu sobie żyły, a ty w tym czasie objasz się w LA ze swoją dziewczyną. Mieliśmy być partnerami.
- O Jezu – westchnął Bobby, zły, że M.J. odreagowuje na nim swoje zmartwienia. – Odbiło ci nagle, czy co?
- Nie wiem – przyznał M.J. i wzruszył ramionami w poczuciu bezsilności. – Nie chciałem cię wkurzać.
- Wiesz co? – odezwał się Bobby ze współczuciem. – Rozumiem cię. Za dużo na ciebie spadło, potrzebujesz odpocząć.
- Chciałbym wziąć Cassie na urlop, żebyśmy mogli ze sobą pobyć, i może udałoby mi się ją wtedy przekonać, żeby podjęła właściwą decyzję.
- W takim razie musisz tak zrobić.
- Chcę tego dziecka, Bobby, i wiem, że muszę jej to wytłumaczyć, zanim będzie za późno.
- Już powiedziałem: zrób to.
- Myślałem, że może wyjechałibyśmy po przyjęciu Max. Na przykład na Bahamy.
- Jestem za tym.
- A ty się tu wszystkim zajmiesz?

– Jasne – zgodził się Bobby, w myślach odwołując wszystkie swoje plany na następny tydzień. – W ramach premii możecie skorzystać z mojego samolotu.

– O cholera! – powiedział M.J. – Ty to umiesz pokazać prawdziwą klasę.

– No chyba – zgryźliwie uśmiechnął się Bobby. – Jasna sprawa.

– Dzięki, stary – z ulgą westchnął M.J. – Zaczęło mi już odbijać.

– Powtarzam, że cię świetnie rozumiem.

– To może zjemy razem kolację? – zaproponował M.J. – Tylko we czwórkę, ty, ja, Cassie i Denver.

Bobby zawahał się, ale tylko przez sekundę. M.J. przeżywał ciężkie chwile w życiu osobistym, a kiedy przyjaciel ma kłopoty, on musi przy nim być.

– Jasne – stwierdził, zastanawiając się, jak Denver zareaguje na tak nagłą zmianę planów. – O ósmej w restauracji ze stekami?

– Będziemy.



Kiedy Venus znów wybrała się do kasyna, cały czas w otoczeniu ochroniarzy, spotkała Alexa Woodsa. W przeszłości zdarzało im się razem pracować i łączyły ich serdeczne relacje, choć na planie Walczyli jak lwy.

– Alex – powiedziała Venus i rzuciła mu dobrze wystudiowane, zmysłowe spojrzenie. – To mój przyjaciel Jorge. Z Brazylii.

– Twój co? – niegrzecznie odezwał się Alex, mierząc wzrokiem młodego, bardzo męskiego Brazylijczyka. – Kim on jest? Twoim synem?

– Alex! – zgromiła go Venus z udawaną złością. – Zachowuj się!

– Chętnie bym to zrobił, ale tak się składa, że zawsze we mnie wyzwalasz coś złego.

– Naprawdę? – spytała Venus. Flirtowała z nim nieco, ponieważ Alex był genialnym reżyserem i nie miałyby nic przeciw zagranie w jego następnym filmie.

– Dobrze wiesz, że tak jest. Pamiętasz, jak kłóciliśmy się przy naszym ostatnim filmie?

– Jak mogłabym zapomnieć? – westchnęła, bawiąc się lokiem platynowych włosów. – Obsadziłeś w nim Billy'ego. Wielkie dzięki.

Alex uśmiechnął się zgryźliwie.

– Za to cię przepraszam.

– No cóż – odparła z półuśmiechem. – Skąd miałeś wiedzieć, że będę na tyle głupia, żeby za niego wychodzić?

– Jezu Chryste – powiedział Alex, przywołując liczne wspomnienia z pracy z Billym. – Strasznie się z nim pracowało, ale muszę przyznać: utalentowany z niego kutasik.

– Kutasik to dobry opis – zwięźle podsumowała Venus.

Dlaczego, pomyślał Alex, kiedy kobieta wścieknie się na faceta, pierwszą rzeczą, którą krytykuje, jest rozmiar jego fiuta?

Ze zniecierpliwieniem rozejrzał się z zatłoczonym kasynie.

– W co chcesz dzisiaj zagrać? – zapytał.

– Myślałam o ruletce – powiedziała, a jej ochroniarze blokowali dostęp coraz tłumniejszym łowcom autografów.

– Oczywiście – odparł. – Nic tak nie poprawia krążenia jak gra losowa.

– Mmm... do tego ruletka nie jest mi chyba potrzebna – odparła Venus, prawie niezauważalnie kiwając głową w stronę Jorgego.

Alex zachichotał.

– Może zjedzmy dziś we trójkę kolację – zaproponowała Venus, lekko uderzając go po ramieniu dłonią. – Skoro Lucky jest zajęta Lenniem, zabawmy się bez niej, co ty na to?

– A ten chłopak z Ipanemy – spytał Alex, robiąc gest w stronę Jorgego – umie mówić?

– Nie za wiele – odpowiedziała Venus. – Ale przecież nie musi.

– Będzie z nami?

– Obiecuję, że będzie siedział cicho.

– Okay, Venus, zróbmy tak. Nie mam lepszych propozycji.

– Dokąd pójdziemy? – zapytała zachwycona, że udało jej się go namówić.

- Do knajpy azjatyckiej.
- Venus ze zrozumieniem kiwnęła głową.
- Oczywiście.

Rozdział trzydziesty piąty

Peggy umiała być czarująca. Całe życie na tym jechała. Jej urokowi uległ król, a potem biedny staruszek Sidney Dunn, który zapewnił jej życie w stylu, jakiego pragnęła. Sidney ją ubóstwiał. Peggy zaś miała pewien sekret – stosowała mnóstwo pochlebstw i czaru, a do tego najwyższej jakości seks oralny. Ta mieszanka uszczęśliwia facetów. Sidney nigdy nie miał powodu się skarżyć ani oglądać za innymi kobietami. Już Peggy umiała tego dopilnować.

Czasami, w ciągu lat spędzonych z Sidneyem, tęskniła za dniami i nocami swej młodości. Dziki seks z Joem Piscarellim. Przyjęcia. Narkotyki dla rozluźnienia. Pamiętna noc z cieszącym się złą sławą Ginem Santangelo. Nie wspominając już o żarliwym podziwie tłumów mężczyzn, kiedy na wpół naga paradowała po scenie.

Król czasami lubił towarzystwo dwóch lub trzech kobiet jednocześnie. Wszystkie były jego żonami, więc Peggy nigdy to nie przeszkadzało. Lubiła miękki dotyk ust innej kobiety i jedwabistość jej skóry.

Armandowi nigdy o takich rzeczach nie mówiła – byłby zszokowany. Syn stanowił dla niej tajemnicę. Nie był wrażliwym, wspierającym mężczyzną, jakiego chciałaby w nim widzieć. Był zimny, a wobec kobiet okazywał niezrozumiałe dla niej lekceważenie. Przecież chyba stanowiła dla niego modelowy przykład? Zawsze była elegancka, zawsze miała dla niego czas.

Ale nie, Armand nie doceniał wszystkiego, co w ciągu lat dla niego zrobiła.

Nieco wcześniej dzwonił do niej Fouad i poinformował o zmianie planów. Powiedział, że mogą w Vegas zabawić nieco dłużej, niż im się wydawało. Chciał się także dowiedzieć, dlaczego pytała o Gina Santangelo.

– Myślałam, że to ktoś znajomy – skłamała takim tonem, jakby nie miało to dla niej znaczenia. – Ale się pomyliłam.

Tak, Peggy miała to szczęście, że potrafiła oczarować ludzi. Kiedy więc w salonie piękności zaczęła rozmowę z Paige Santangelo, bez trudu zainteresowała ją opowieściami o Nowym Jorku i jego licznych atrakcjach.

– Kiedyś mieliśmy mieszkanie w Nowym Jorku – wspominała Paige z pewnym smutkiem. – Ale mój mąż, który jest ode mnie dużo starszy, stwierdził, że powinniśmy zamieszkać w Palm Springs, no i tak się stało. Trochę tam nudno.

– Ma pani szczęście, że mąż jeszcze żyje – powiedziała Peggy, grając na współczucie. – Ja straciłam mojego biednego Sidneya rok temu. Był dwadzieścia lat starszy ode mnie. Muszę powiedzieć, że ciężko mi być samej, ale z pomocą syna i przyjaciół jakoś daję sobie radę. Nie chodzi oczywiście o sprawy finansowe, Sidney zabezpieczył mi dobrobyt do końca życia. Ale samotność nie jest łatwa dla kobiet w naszym wieku.

Wkrótce panie stwierdziły, że mają dużo wspólnego. Nie minęło wiele czasu, a Paige zapytała Peggy, czy nie poszłaby z nią i jej mężem Ginem na kolację.

– Z wielką chęcią – odparła Peggy. – Proszę tylko powiedzieć, gdzie mam być i kiedy.



Armand przeglądał dossier Lucky Santangelo, które przysłał mu Fouad. Zainteresowało go tylko to, że Lucky ma dzieci – dwóch synów i córkę.

Ach, dzieci, słaby punkt, który w razie potrzeby można przeciwko niej wykorzystać. Niestety nie były to maluchy, ale dwójka nastolatków i dorosły mężczyzna.

Ale i tak dzieci to czuły punkt. Większość ludzi zrobi wszystko, by chronić swoje potomstwo. Prymitywny instynkt.

Telefon od Peggy zakłócił mu te rozważania. Zapomniał o matce, myślami był od niej jak najdalej.

– Co? – spytał obcesowo.

Peggy nie spodobał się ton jego głosu, ale postanowiła zignorować gburowatą odzywkę.

– Fouad powiedział mi, że przeprowadziliście się do willi w moim hotelu – powiedziała. – Słyszałam, że tutejsze wille są piękne.

Armand natychmiast wpadł w furję. Co z tym Fouadem? W niczym nie umie pohamować swojego głupiego jęzora? Na dokładkę Peggy będzie go teraz nachodzić, co jeszcze bardziej go rozwścieczy.

– Tak – potwierdził beznamiętnym tonem. – Ale nie mogę cię zabrać wieczorem na obiad. Mam sprawy do załatwienia.

– Nie martw się, kochanie – powiedziała Peggy z zadziwiającą łagodnością. – Ktoś mnie już zaprosił.

– Tak? – zdziwił się. – Kto?

– Starzy przyjaciele. – Po chwili przerwy dodała: – Może wpadnę jutro na śniadanie?

– Zobaczmy – odparł Armand, któremu ulżyło, że dziś wieczorem ma Peggy z głowy; najwyraźniej umiała o sobie zadbać.

– Zadzwoń rano – zapowiedziała Peggy. – Fouad mówił mi, że możemy zostać dłużej, niż planowaliśmy. Jestem na to otwarta. Dobrze ci idą spotkania?

– Muszę już iść – rzucił nagle. – Robi się późno.

– Dobrze, Armandzie. Do jutra.

– Jeśli będę mógł – warknął i się rozłączył.

Peggy. Jego matka. Dlaczego koniecznie chciała przyjechać do Vegas? Przynosiła mu pecha i ma z nią same zmartwienia. Oboje z Fouadem działali na jego niekorzyść. Nienawidził ich. Cuchnęli złą karmą.

Gdyby nie oni, The Keys już byłoby jego.



Armand Jordan zamówił duże piersi. No dobrze. Yvonne Le Crane znajdzie je dla niego. A jeżeli już chce duże – to może ogromne, groteskowo wielkie, sztuczne cyce?

Poinformowała Armanda, że przyjmuje zlecenie, zaraz wyśle gońca po gotówkę i wkrótce dziewczyny wyruszą do hotelu.

Zamówiła je z klubu striptizu o nazwie „U Brudnego Dena”. Miała dobre układy z jego właścicielem, który kiedyś pracował jako bokser. Zadzwoiła, zamówiła dwie z jego pokrak i dała mu po tysiąc dolarów za każdą. Był bardziej niż zadowolony.

Sprawa załatwiona.

Da nauczkę Armandowi Jordanowi za to, że nazwał jej dziewczyny obrzydliwymi dziwkami, podczas gdy one stanowią *crème de la crème* talentu w Vegas.

Zarobi na tym dwadzieścia osiem tysięcy dolarów, a Armand Jordan niech się pieprzy.

Ogromną satysfakcję dawała jej świadomość, że zboczeniec dostanie dokładnie takie dziewczyny, na jakie zasługuje.

Rozdział trzydziesty szósty

Tajemnica zmysłowego, seksownego małżeństwa leży w tym, aby wiedzieć, kiedy zostawić za drzwiami dzieci, zwierzęta domowe, zobowiązania rodzinne i interesy.

Lucky umiała o to zadbać. Z Lenniem łączyła ją więź sięgająca czasów ich pierwszego spotkania. Autentyczne uczucie, któremu żadne z nich nie pozwoliło wyparować. Seks to seks i już na początku swego związku postanowili, że jeśli chcą utrzymać żar namiętności, trzeba stale nad tym pracować. Oboje wiedzieli, jak to robić. Czasami odgrywali role. Czasami nie. Ale cokolwiek robili, zawsze angażowali się w to w stu procentach.

Reguła pierwsza: Nie dopuszczaj rodzinnych kłopotów do sypialni.

Reguła druga: Pamiętaj swój pierwszy raz.

Reguła trzecia: Żadnych zahamowań.

I reguła czwarta, najważniejsza: Absolutnie nie pozwalaj, żeby ktoś wam przeszkadzał.

Czekając na przyjazd męża, Lucky poczuła dobrze sobie znane podniecenie. Nigdy nie byli razem tak długo, żeby się sobą nawzajem znudzić. Ich spotkania zawsze miały w sobie coś odświętnego – pilnowała tego. Więc nawet jeśli do Vegas przyjechali krewni i goście zaproszeni na przyjęcie Max, które miało się odbyć następnego dnia, Lucky postanowiła, że dzisiaj muszą się sobą zająć sami, bo jej dzi-

siejszy wieczór należy do Lenniego. Był jej najwyższym priorytetem. Zawsze. I to się nigdy nie zmieni.

Przygotowała się na jego przyjazd. W miękkiej czarnej, rozciętej do uda sukni z cienkiej skóry, z okalającymi owalną twarz kruczo-czarnymi włosami, w szmaragdowych kolczykach – wyglądała oszałamiająco. Kolczyki dostała od Lenniego na Boże Narodzenie i dziś były jej jedyną biżuterią.

Tego wieczoru nie była niczyją mamą. Była Lucky Santangelo w najdzikszym wydaniu.

Kiedy Lennie wszedł do mieszkania, podeszła do niego i podała mu jego ulubiony drink – czarnego rosjanina.

Uśmiechnął się. Uśmiech był jedną z rzeczy, które lubiła w nim najbardziej. Sprawiał, że robiły mu się fałdki wokół oczu. A te były zielone jak ocean i nieco bledsze niż szmaragdowe oczy Max. Kochała też jego usta i długawe włosy w przybrudzonym kolorze blond. Ale najbardziej uwielbiała jego ciepło, talent do kręcenia filmów i duszę. Dusze mieli prawdziwie pokrewne.

– Kim dzisiaj jesteś? – zapytał, odkładając bagaż.

Lucky uśmiechnęła się tajemniczo.

– Kim tylko zapagniesz.

– Dobrze wiesz, kim chcę, abyś była – powiedział, zbliżając się do niej znacząco.

– No to powiedz – szepnęła, kiedy do niej podeszedł i zaczął z niej ściągać cienkie jak spaghetti ramiączka sukni.

– Moją żoną – wymamrotał i przycisnął ją do siebie tak mocno, że z trudem oddychała. – Moim życiem, moją miłością, moim wszystkim.



– Musisz z nami iść – Cookie wręcz błagała Max przez telefon. – Frankie koniecznie chce iść na koncert ojca. Nie ma mowy, żebym poszła bez ciebie.

– Ace przyjechał – oznajmiła Max. Siedziała na brzegu sofy w

swoim apartamencie i zastanawiała się, co z nim zrobić.

– No wiesz? – zapytała Cookie ze zdziwieniem. – Myślałam, że go nie zapraszasz.

– W każdym razie jest i obiecałam, że pobędziemy we dwójkę.

– Nawet mowy nie ma – jęknęła Cookie. – Potrzebuję pomocy, a Harry idzie do jakiegoś zakazanego klubu ze swoim Meksykaninem.

– To jest Paco – cierpliwie poprawiła ją Max. – Facet nazywa się Paco.

– No, rozumiem, jesteś politycznie poprawna.

– Gdzie jest koncert twojego taty?

– W Cavendishu. Masz pojęcie? I Frankie musiał się o tym dowiedzieć. Teraz mówi mi, że zawsze chciał starszuka poznać.

– Taki jest Frankie. Uwielbia lizać gwiazdom tyłki.

– Nieprawda – spierała się Cookie.

– To dlaczego koniecznie chce się spotkać z twoim starym?

– Skąd mam wiedzieć? – odpowiedziała zirytowana Cookie. – Może lubi soul retro.

– Naprawdę? – spytała Max z niedowierzaniem.

– Tak, naprawdę. – Chwila przerwy, a potem: – Zrobisz to dla mnie czy nie?

– Niech ci będzie – zgodziła się Max z pewną ulgą, bo wieczór z Ace'em byłby trochę niezręczny, biorąc pod uwagę to, co się ostatnio wydarzyło między nią a Billym.

– Jesteś ekstra! – krzyknęła Cookie. – Poprosz Danny'ego, żeby załatwił nam bilety, i spotkajmy się przy windzie za pół godziny, dobrze? Aha – włącz komórkę. Dzwoniłam całą wieczność, zanim postanowiłam drydnąć do twojego pokoju.

Max odłożyła telefon i zanurkowała do torebki po komórkę, którą zapomniała włączyć po locie. Właśnie miała się tym zająć, kiedy z sypialni wyłonił się Ace. Wziął prysznic i założył swój normalny strój – jeansy i roboczą drelichową koszulę. Wyglądał seksownie, ale nie aż tak jak Billy.

Ciekawe, co chce robić. Najwyraźniej miał zamiar zostać w apartamencie, ale dla niej wszystko się zmieniło.

– Wiesz co – powiedziała i poczuła falę wyrzutów sumienia. – Całkiem zapomniałam. Ojciec Cookie ma występ w Cavendishu i obiecałam, że pójdę. Przepraszam, ale nie mogę sobie odpuścić.

Ace pokręcił głową, jakby nie do końca jej wierzył.

– Ale nuda – stwierdził i podrapał się po brodzie.

– Wiem. – Przybrała przeproszający ton, świetnie sobie zdając sprawę, że jest hipokrytką. – Ale co mam robić?

– Mogłaś powiedzieć, że jesteś zajęta – zasugerował.

– Nie mogę... – Skoczyła na równe nogi.

– A dlaczego?

– Bo nie mogę i już – powtórzyła z uporem. – Cookie jest moją przyjaciółką i muszę jej pomóc.

– No to nie będziemy mogli pobyć sami.

– Tak. Szkoda. – Desperacko udawała, że jej na tym zależało. – Ale nie wiedziałam, że przyjedziesz, więc porobiłam plany. No cóż...

– Ty i twoje plany – powiedział i omiół ją spojrzeniem.

– Muszę się przebrać – rzuciła. – Zaraz wychodzimy.

– Ja też mam iść?

– No tak. Chyba że chcesz tu siedzieć sam.

– Nie, dziękuję.

– Zaraz będę – powiedziała i skierowała się ku sypialni.

Cholera! Ace dobrze ją zna. Chyba widzi, że się coś zmieniło. Że jest inna? I oddała się komuś innemu?

O cholera. Miejmy nadzieję, że to nieprawda.

Ale teraz nie może się o to martwić. Odłoży to na później.



Zanim Bobby wrócił do hotelu, Denver zamknęła laptopa i zaczęła się szykować na romantyczną kolację, którą jej obiecał. Tylko oni dwoje, żadnych przeszkód. Cieszyła się, bo może odbędą Ważną Rozmowę, zastanowią się, ku czemu zmierzają. Mówił, że chce kupić dom w LA, w którym zamieszkaliby razem. Czy nadszedł czas, aby powiedzieć „tak”? Czy doszli już do tego punktu w swoim związku?

Takie myśli podniecały ją i przerażały, zwłaszcza że nie poznał jeszcze jej rodziny.

A jednak... byli sobie tak bliscy, wiedziała, że go kocha, więc na co czekać?

A może myliła pożądanie z miłością?

W sypialni szło im wyśmienicie. Ich seks był niewiarygodny. Bobby był niezwykle.

Przestań się blokować, powiedziała sobie. Kochasz go, więc czas sobie odpuścić i uwierzyć, że on też cię kocha. Zrób to.

Tak. Dzisiejszy wieczór będzie przełomowy. Koniec niepewności.

Kiedy wrócił Bobby, podbiegła, żeby go przywitać, zarzuciła mu ramiona na szyję i szepnęła do ucha:

– Wiesz co? Strasznie za tobą tęskniłam.

– Naprawdę? – odpowiedział. – Myślałem, że nie potrzebujesz niańki.

– Nie potrzebuję. Co nie znaczy, że za tobą nie tęskniłam. Nie mogę się doczekać tej kolacji. Dokąd mnie weźmiesz?

– No tak... – powiedział z wahaniem. – Jeśli chodzi o naszą romantyczną kolację we dwoje...

– Co takiego?

– Hmm... przekształciła się w kolację we czworo.

– Żartujesz?

– Przepraszam cię, kochana, ale M.J. bardzo nas potrzebuje i nie mogę mu sprawić zawodu.

– Naprawdę? – zapytała zawiedziona.

– M.J. ma kłopoty.

– Jakie?

– Nie mówiłem ci o tym wcześniej, bo myślałem, że sobie z tym poradzą z Cassie. Ale jest źle.

– Przecież dopiero się pobrali?

– Prawie rok temu, ale chodzi o to, że ona jest w ciąży i chce ją usunąć, a M.J. jest temu w stu procentach przeciwny.

Następnie Bobby opowiedział jej dokładnie o dziewczynie, która była w ciąży z M.J.-em, kiedy chodził do szkoły.

Denver wysłuchała go w ciszy, a w końcu powiedziała:

– Nie rozumiem, jak kolacja z nami może im w tej sytuacji pomóc.

– Chodzi o wsparcie – wytłumaczył Bobby. – On chce wytłumaczyć Cassie, że jeśli pozbędzie się dziecka, ich małżeństwo jest skończone.

– Nie jest czasem za ostry?

– Może, ale takie ma przekonania.

– A czy tylko jego przekonania się liczą?

– Nie, ale...

– Ile lat ma Cassie? – przerwała mu Denver.

– Nie wiem. Może jest z rok starsza od Max.

– Pewnie właśnie dlatego nie jest jeszcze gotowa na dziecko. To ją przeraża. Jest taka młoda, a dziecko to ogromna odpowiedzialność.

– Rozumiem. Ale M.J. ma prawo do takich poglądów.

– Oczywiście. Ale może chyba wysłuchać, czego ona chce? Jej potrzeby są równie ważne jak jego.

– Już ci powiedziałem, kochanie, M.J. przeżył coś, co zmieniło jego życie, i jest przeciwny aborcji.

– A ty? – zapytała, nagle zdając sobie sprawę, że nie zna Bobby'ego aż tak dobrze, jak jej się wydawało. Wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odpowiedział ostrożnie, bo zrozumiał, że to znaczące pytanie. – Nigdy o tym nie myślałem. Trudno coś powiedzieć, póki człowiek nie znajdzie się w takiej sytuacji.

– Ciekawe – powiedziała Denver i popatrzyła na niego długo i wymownie.

– Dlaczego? – zapytał, wiedząc, że wypuścili się na grząski teren.

– Zakładałam, że dajesz kobiecie prawo wyboru?

– Słucham?

– Słyszałeś.

– Wiesz co – zaczął, czując, że jeśli pociągną tę rozmowę, w powietrzu wisi kłótnia – M.J. i Cassie wyjeżdżają zaraz po urodzinach Max. Mam nadzieję, że dojdą do porozumienia.

– Tak myślisz? – odparła z nutką sarkazmu. – Wszystko im rozwiąże wycieczka, tak?

– Kto wie? – Postanowił, że najwyższy czas zmienić temat. – W każdym razie ja muszę zostać w Vegas, żeby przypilnować interesu.

– A ja nie mogę zostać. Wiesz, że muszę wracać.

– Przecież nie spodziewałem się, że zostaniesz, kochanie. Wsadzę cię do samolotu, polecisz do LA i będziemy codziennie rozmawiali przez telefon. To tylko tydzień.

Denver pokiwała głową. Ich Ważna Rozmowa musi jeszcze poczekać. Podobnie jak kolacja we dwoje.

Nagle niczego już nie była pewna.

Rozdział trzydziesty siódmy

Co zrobiłaś z włosami? – Max ze zdziwienia aż zaparło dech w piersiach, kiedy spotkali się przy windzie.

Cookie z zażenowaniem podniosła dłoni i poklepała się po swoich świeżych lokach.

- Miałam ochotę na zmianę – wymamrotała.
- Ale różnica! – krzyknęła Max i pomyślała, że przyjaciółka dziwnie wygląda bez swych charakterystycznych dredów.
- To mój pomysł – pochwalił się Frankie.
- Nie wątpię – odparsknęła Max i zgromiła go wzrokiem.
- A co? Nie podoba ci się? – nieco agresywnie zapytał Frankie.
- Wygląda... inaczej – stwierdziła Max. Przyjechała winda i wszyscy do niej weszli.

Danny zarezerwował im limuzynę, mimo że do Cavendisha spokojnie można było iść na piechotę.

Teraz to Ace zmierzył Max spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć: „Do tego wszystkiego jeszcze limuzyna. Jakaś zgrywa”. Wszyscy jednak weszli do środka i pięć minut później byli na miejscu.

Cavendish nawet w przybliżeniu nie był tak elegancki i urzekający jak The Keys. Ale jego właścicielki – Renee Falcon Esposito i Susie Rae Young bardzo się starały, aby ich hotel stanowił miłą alternatywę. Kiedy Lucky wybudowała The Keys, było między nimi dużo złości – przynajmniej ze strony Renee. Wyobrażała sobie, że The Keys będzie

dla nich konkurencją, ale okazało się, że wręcz przeciwnie.

Cavendish skorzystał na lokalizacji w pobliżu wspaniałego, nowego kompleksu hotelowego i interesy szły im świetnie. Renee i Susie uwielbiały Lucky i zrobiłyby dla niej wszystko.

Lucky często przychodziła do ich hotelu i lubiła u nich posiedzieć, zwłaszcza od czasu, kiedy adoptowały pięcioletnią sierotę z Wietnamu, która była ich oczkiem w głowie.

Kiedy Danny zadzwonił z prośbą o miejsca w pierwszym rzędzie dla Max i jej przyjaciół na koncert Geralda M., na który nie było już biletów, Renee z chęcią mu to załatwiła, choć trochę się zdziwiła, że musi to robić, skoro wśród przyjaciół Max jest córka Geralda M.

Gerald M. był bardzo popularny wśród zwykłych Amerykanów. Panie za nim szalały – był dla nich symbolem tradycji i seksu. Niektóre przyniosły w torebkach majtki, żeby w odpowiedniej chwili rzucić je na scenę z nadzieją, że przynajmniej na sekundę lub dwie w ten sposób zwrócą na siebie jego uwagę.

Max i jej grupa dotarli do hotelowej sali koncertowej prawie w ostatniej chwili. Pełen entuzjazmu asystent, fan Geralda M., zaprowadził ich na miejsca w pierwszym rzędzie.

– Po koncercie chcę iść za kulisy – powiedział Frankie do Cookie, kiedy siadali. – Wie, że tu jesteśmy, co?

– Hmm... tak – skłamała Cookie. Miała nadzieję, że kiedy koncert się skończy, pójdą za kulisy tak wolno, że tata odjedzie na lotnisko, do prywatnego samolotu, który zawsze na niego czekał. Nie bardzo chciała, żeby Gerald M. i Frankie się poznali. Nie żeby tata miał coś przeciwko temu, że ma starszego chłopaka, ale zdawała sobie sprawę, że pewnie by się zakolegowali – wypaliliby razem jointa, wciągnęli trochę koki. Ta myśl ją przerażała.

Kiedy już się usadowili, Ace wziął Max za rękę. Zgodziła się z ociąganiem, bo nadal nie wiedziała, co robić. Czy powinna mu powiedzieć, co zaszło między nią i Billym? Czy zachowywać się, jakby nic się nie zmieniło?

Nie potrafiła rozwiązać tego dylematu. W końcu jej się uda, bo przecież Billy już się zmył, a Ace jest niezłym przystojniakiem.

Lucky zawsze ją jednak uczyła, żeby była uczciwa, mówiła prawdę i brała na siebie wszelkie konsekwencje.

Co tu robić? Trudna decyzja.

– Kim jest facet, z którym spiknęła się Cookie? – szepnął Ace z dezaprobatą. – Gdzieś już go chyba widziałem.

– Kiedyś kolegował się z Bobbym – odpowiedziała Max. – Pewnie się na niego natknąłeś na otwarciu The Keys. Chodził z Annabelle Maestro.

– Z kim?

– Nieważne.

– Nie podoba mi się – powiedział Ace.

– Naprawdę?

– Robi wrażenie bogatego i zepsutego. Nie wspominając już o tym, że jest dla niej za stary.

– E tam... – zaoponowała Max. – Znasz Cookie, długo to nie potrwa.

– Po koncercie idziemy gdzieś we dwójkę, tak?

Uratował ją konferansjer, który wyszedł na scenę i kazał wszystkim wyłączyć komórki, co przypomniało Max, że swojej nie zdążyła wyłączyć od przylotu.

Potem, przy gromkim aplauzie i dzikich krzykach fanów, na scenę wkroczył Gerald M., olśniewający w liliowych spodniach ze skóry i rozpiętej aż do pasa, powiewnej koszuli, z mnóstwem pobrzękujących medalionów na odsłoniętej piersi. Bardziej w stylu Toma Jonesa niż Ushera zaczął od składanki swoich hitów – choć większość z nich pochodziła sprzed dziesięciu lub dwudziestu lat.

Na widowni przeważały kobiety, które zanosząc się od histerycznych westchnień i okrzyków radości, skoczyły na równe nogi. Zaraz zaczną fruwać majtki.

Frankie zastanawiał się, czy uda mu się sprzedać Geraldowi M. zapas farmaceutyków. Czemu nie? Musi go zaprosić do River. Zrobić z niego stałego klienta. Niech przychodzi z pięknymi dziewczynami, z którymi go zawsze fotografują. Cookie może to załatwić. Najwyższy czas, żeby się do czegoś przydała. Czasem facet potrzebuje czegoś

więcej niż entuzjastyczne obciążanie druta.

– Nie mówiłaś mi, że będziemy się aż tak bawić – szepnął Ace do ucha Max. – Koleś jedną nogą mocno utkwiał w latach osiemdziesiątych. Wie, że jest zabytkiem?

– Ciii... – zbesztła go Max. – To tata Cookie, bądź miły.

Ace uściskał jej dłoń.

– Lojalna z ciebie przyjaciółka, co?

Nagle Max przypomniała sobie, dlaczego lubi Ace'a. Zawsze do niej wracał i zawsze był miły. Nie znosił stylu facetów z Hollywoodu. Nigdy nie zostawiłby dziewczyny zaraz po tym, jak odebrał jej dziewictwo. Nie ma mowy.

Odwzajemniła jego uścisk.

– Cieszę się, że jesteś – szepnęła. – Bez ciebie nie przeżyłabym tej tortury.

– Też się cieszę, jubilatko.



– E, cholera! – krzyknął Kev i wyprostował się na krześle jak rażony piorunem. Siedział z Billym przy stoliku w azjatyckiej restauracji Fusion w hotelu Cavendish. – Nie uwierzysz, kto tu właśnie wtarabanił swój tyłek.

Billy zaczął się odwracać.

– Nie rób tego, kurde. Twoja była żona z reżyserem, na którego ciągle się wkurzałaś.

– Alex Woods? – zapytał Billy, zmuszając się, żeby się w ich stronę nie odwrócić i trochę nie pogapić.

– No właśnie.

– Tylko we dwoje?

– Ciągnie się za nimi jakiś chłoptaş.

– Super, do kurwy nędzy – ponuro stwierdził Billy. I tak był już wściekły, że nie może się dodzwonić do Max, a teraz na dokładkę do Vegas zawitała jego irytująca była żona. Po co tu przyjechała? I dlaczego jest z Alexem Woodsem, tym sadystycznym sukinsynem,

który zmuszał go do wykonywania wszystkich sztuczek kaskaderskich, kiedy kręcili film? Alex o mało go nie zabił przez swoje wariackie żądania.

– Mam pecha – bąknął. – Widzą nas?

– Nie – powiedział Kev, uważnie ich obserwując. – Sądzą ich za przepierzeniem po drugiej stronie sali.

– Więc lepiej się stąd zabierajmy, póki się da – powiedział Billy i zaczął się podnosić.

– Dopiero zamówiliśmy żarcie – zauważył Kev. – Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu. Przypominam ci, że nie jedliśmy lunchu.

– Jejku. Czy twój brzuch jest ważniejszy niż moje poczucie bezpieczeństwa?

– Chyba tak.

– No dobra. Jeśli jesteś pewny, że nas nie widzą – sarknął Billy i osunął się z powrotem na siedzenie.

– Nie mają jak – zapewnił go Kev. – Jesteśmy niewidzialni.



– Mmm... umiesz człowieka przywitać – powiedział Lennie, leniwie głaszcząc udo Lucky. Właśnie skończyli się kochać i leżeli razem na łóżku. Po dwóch godzinach namiętności czuł się spełniony i spokojny. Lennie brał udział w kręceniu filmu dokumentalnego o seksie tantrycznym, który bardzo mu się spodobał. Lucky nie miała nic przeciwko temu. Seks tantryczny nie skupia się na szczytowaniu, ale na powolnej wspinaczce i błogostanie, który czeka na samej górze.

Kilka lat temu, kiedy Lennie zaczął praktykować seks tantryczny, podejrzewała, że może dał się uwieść jakiejś dwudziestoletniej fana tycze jogi, która uczy go, co robić. Ale kiedy sama tego doświadczyła, też się w pełni zaangażowała. Jaka kobieta może się oprzeć ciągłej grze wstępnej z mężczyzną, który jest w niej ekspertem?

Często rozmyślała, jak bardzo Lennie zmienił się od czasów, kiedy poznała go jako aż nazbyt śmiałego komika. Wiek i seria traumatycznych doświadczeń sprawiły, że złagodniał i przerodził się

w niezwyklego, nadzwyczajnego mężczyznę.

Kochała go tak bardzo, że czasem ją to przerażało. Nie mogła się wyzwolić od świadomości, że trzy najukochańsze osoby w jej życiu zginęły. Jej nadzwyczaj subtelną matką, Marią. Jej brat Dario. I miłość jej życia przed Lennie, narzeczony Marco. Każde z nich zamordowano z rozkazu jednego człowieka. Był nim jej ojciec chrzestny Enzo Bonatti.

Zastrzeliła Enzia i uznano to za działanie w obronie własnej.

Obrona własna. Oczywiście. Wszyscy w to uwierzyli.

Prawda była taka, że wszystko zaaranżowała i zlikwidowała drań. Zasłużył na to.

Prawdziwa sprawiedliwość Santangelów. Nie żałowała tego. Nawet przez minutę.

- Jak tam mała Max? – zapytał Lennie. – Cieszy się z przyjęcia?
- Jest nastolatką, Lennie. One cieszą się tylko, jeśli uda im się uciec od rodziców albo spędzić zmysłową noc z Ianem Somerhalderem.
- Kto to taki?
- Aktor, gra w *Pamiętnikach wampirów* w telewizji. Seks i wampiry. Gwarantowany przepis na rozgrzanie nastolatk.
- Też pracuję w show-biznesie, ale jakby w innej branży.
- Naprawdę? – przeciągle zapytała Lucy.
- Tak.
- Nigdy bym na to nie wpadła.
- Zamknij się, bo mnie wkurzasz.
- Właśnie to w tobie kocham, Lennie – mruknęła Lucky. – Robisz dokładnie to, co chcesz. Tak jak ja.
- Dlatego tak dobrze układa nam się małżeństwo – odparł. – Żadnych więzów ani drobnych zazdrości.
- Amen – zgodziła się Lucky.
- W dodatku mamy córkę, która jest podobna do nas obojga – powiedział z uśmiechem Lennie. – Małą Max. Musimy jej pozwolić robić swoje.
- Sugerujesz, że jej na to nie pozwalałam?

– Cóż, kochanie, zdarzają ci się chwile, kiedy bywasz nieco apodyktyczna.

– Hej! – krzyknęła Lucky.

– Co?

– Zdziwiająco, że cię jeszcze Kocham po tylu latach.

– Jakich latach? – zapytał Lennie. – Mam wrażenie, że jesteśmy ze sobą dopiero od kilku miesięcy.

– Czarus z Ciebie.

– A ty to uwielbiasz.

– Czasami.

– Czasami, powiedziała – czule odezwał się Lennie i przyciągnął ją do siebie bliżej.

– No dobrze – westchnęła. – Zawsze.

– Moja Lucky!

Uśmiechnęła się i błysnęła czarnymi oczami.

– Na zawsze.



Kiedy Billy zastanawiał się, czy wyjść z restauracji, Venus cieszyła się towarzystwem Alexa i Jorgego. Dwaj niezwykle atrakcyjni mężczyźni, których dzieliły pokolenia. Jorge to młody byczek, buzujący testosteronem. Alex – nieco zmęczony światem, ale mający do opowiedzenia mnóstwo historii i chętnie dzielący się doświadczeniami życiowymi, a Venus umierała z ciekawości jakimi tym razem.

Nie wiadomo dlaczego, nagle stwierdziła, że Alex bardzo ją pociąga. Miał w sobie coś z Jacka Nicholsona i choć się starzał, było to coś rozwiążle seksownego.

Oczywiście całe Hollywood wiedziało, że lubił wyłącznie Azjatki. Już zaczął się zalecać do kelnerki, drobniutkiej Tajki o ładnych, skośnych oczach i zasłonie czarnych włosów, która sięgała jej do połowy pleców. Ale Venus знаła jego tajemnicę, że od zawsze miał obsesję na punkcie Lucky. A skoro Lucky dochowuje wierności mężowi, nic się nie stanie, jeśli ona spróbuje go poderwać.

Czuła bluesa po dwóch supermocnych kieliszkach liczi martini. Jorge był zajęty napychaniem się żeberkami i wodorostami. Młody, przystojny i głupi. Po co zawracać sobie nim głowę?

No tak, seks z jurnym nieznajomym. Zawsze daje jej kopa.

– Wiesz, Alex – mruknęła i nachyliła się w jego stronę, szepcząc uwodzicielsko. – Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego się ze sobą nie zeszliliśmy przy ostatnim filmie.

– Może byłaś zbyt zajęta pieprzeniem się z Billym? – powiedział Alex i uniósł gęstą brew.

– A ty zadurzyłeś się w naszej producentce? – odparła Venus, nie dając mu się przelicytować. – Wiesz, że to prawda.

– Jeśli chodzi ci o Lucky – wycedził Alex – zawsze byliśmy najlepszymi przyjaciółmi.

– Mmm...

– Co to znaczy? – zapytał Alex i mocno się nachmurzył. Odczekał dłuższą chwilę. – Czy Lucky coś ci kiedyś o mnie mówiła?

– Chciałbyś wiedzieć – drażniła się z nim Venus.

– Jeśli masz mi coś do powiedzenia, wyrzuć to z siebie – powiedział Alex z napięciem.

– Dlaczego miałabym coś mieć? – odparła zachwycona, że trafiła w jego czuły punkt. O tak, zdecydowanie nadal pożądał Lucky, kobiety, której nigdy nie zdobędzie. Typowe zachowanie. Pokaż wpływowemu facetowi nieosiągalną kobietę, a będzie jej chciał.

– Nie zadzieraj ze mną, Venus – wypalił wciąż jeszcze nachmurzony Alex. – Nie lubię, jak ktoś ze mną igrza.

Napięcie w jego głosie przyciągnęło uwagę Jorgego. Młody Brazylijczyk odłożył żeberko, które obgryzał, odwrócił się w stronę Venus i zapytał:

– Wszystko dobry?

– Aha, on mówi – zadrwił Alex.

– Tak, Jorge, wszystko dobrze – odpowiedziała Venus, ignorując Alexa. Swego chłopca zabawkę uspokoiła zdecydowanym klepieniem w muskularne ramię. – Alex jest reżyserem – dodała. Mówiła wolno i gestami pokazała pracę operatora filmowego. – Bardzo

ważny.

– Jezu Chryste – drwił Alex. – Chłopiec na pewno świetnie mówi po angielsku, a ty traktujesz go jak głupka.

– Nie jest chłopcem – powiedziała Venus, zła, że Alex zwraca jej uwagę.

– To kim jest?

Zanim Venus udało się odpowiedzieć, podeszła do ich stolika pulchna kobieta w kwiecistej sukience. Udało jej się obejść ochroniarzy Venus, którzy akurat siedzieli przy stoliku koło drzwi.

– Pani jest taka śliczna – zagruchała kobieta i pomachała rękami. – Po prostu musiałam pani to powiedzieć. Jestem z Kansas i widziałam panią w telewizji, ale na żywo wygląda pani dużo ładniej. – Kobieta nabrała powietrza. – No tak, i, muszę to powiedzieć, o kilka lat młodziej.

– Dziękuję – odpowiedziała Venus uprzejmie. Gdzie, do diabła, są ochroniarze, kiedy ich potrzebuje? Rzuciła okiem w stronę ich stolika. Idioci właśnie jedli i nie zauważyli, że została zaatakowana. Ochrona. Co za zdechlaki.

– Wszyscy się panią interesują – nawijała kobieta. – No bo przecież ten rozwód, a pani mąż, a raczej powinnam powiedzieć: były mąż, siedzi z drugiej strony sali. I taki jest jeszcze młody. A to – popatrzyła prosto na Jorgego – czy to pani syn?

Alex wybuchnął śmiechem.

Venus zaniemówiła z wściekłości. W tym momencie przywłókł się jeden z ochroniarzy. Ze wstydu był cały czerwony. Wziął kobietę za ramię i szybko ją wyprowadził. Alex nadal chichotał. Jorge wyglądał zwyczajnie, jakby nie wiedział, co się dzieje, ale oczywiście świetnie zdawał sobie ze wszystkiego sprawę.

– Chyba czas się stąd zabierać – stwierdziła Venus tonem zimnym jak lód.

Czy Billy naprawdę tu jest? W tej restauracji?

Do diabła z nim. Ale co właściwie robi w Vegas?

Rozdział trzydziesty ósmy

Armand był nadmiernie pobudzony zbyt dużą ilością koki i aż go nosiło. Aby skrócić sobie czas oczekiwania na zamówione prostytutki, poszedł do kasyna. Koniecznie musiał dać sobie upust w seksie – dopiero wtedy będzie w stanie zająć się tą suką Santangelo.

Otoczenie mu się nie spodobało. Cavendish to nora w porównaniu z The Keys.

I dlaczego on mieszka w tym gównianym hotelu?

Przez Fouada i matkę, Peggy, największą zdzirę wszech czasów.

Wszystko nabrało teraz dla niego sensu. Peggy może się ubierać w eleganckie ciuchy i śmierdzieć drogimi perfumami, ale kiedy król ją odkrył, pewnie była prostytutką, jak one wszystkie.

Chwilę się rozglądał, a potem poszedł do stolika z ruletką i rzucił kilka tysięcy dolarów. W zamian za to dostał cały stos żetonów o dużej wartości.

Natychmiast poszedł do niego szef o stalowych oczach i zaproponował mu zabawę przy prywatnym stoliku.

Armand kiwnął głową na zgodę. Nie ma sensu mieszać się ze spoconym tłumem. Nienawidzi tłumu.

Ruletka nie była jego ulubioną grą, ale dziś wieczór miał ochotę na odmianę. Czuł, że tak czy inaczej na pewno znajdzie sposób na Lucky Santangelo. Nie wiedział jeszcze jaki, ale na pewno tak się stanie, bo jest wszechmocny. Lucky Santangelo może myśleć, że wygrała, ale

nie wie, że Armand Jordan jest niezwyciężony.

Im więcej o niej myślał, tym bardziej jej nienawidził. Czarownica o ciemnych włosach i złych, czarniejszych niż noc oczach. Słowa, które wydobyły się z jej ust, są nie do przyjęcia. To uosobienie diabła. Amoralna, zepsuta dziwka o czarnym sercu.

Nagle olśniła go myśl jak oślepiająca błyskawica. LUCKY NIE ZASŁUGUJE, BY ŻYĆ.

Uderzyła w niego jak superszybki meteor, który stał się iluminacją dla jego umysłu i wskazał mu drogę.

Lucky Santangelo musi umrzeć. Nie ma co do tego wątpliwości.



Peggy natychmiast zrozumiała, że Gino Santangelo jej nie pamięta. Chociaż jak na dziewięćdziesięcioparolatka był bardzo żwawy, dziwiła się, że w ogóle coś pamięta. Żałowała młodszej o kilkadziesiąt lat od męża Paige. Sidney przynajmniej umarł, zanim musiała służyć mu za pielęgniarkę. Byłoby to prawdziwym koszmarem. Siostra Peggy. Zajęcie dalekie od jej powołania w życiu.

Tak naprawdę nie spodziewała się, że Gino będzie ją pamiętał. Bo niby dlaczego? Miał reputację mężczyzny, który spał z tysiącami dziewcząt. W obecnych okolicznościach lepiej, jeśli Gino nie pamięta ich pełnej gorączkowej namiętności nocy. Ona jest teraz tylko znajomą jego żony, która była taka miła, że zaprosiła ją na obiad w restauracji François. Peggy zgodziła się na to z przyjemnością.

Miała przed sobą podniecającą misję, dzięki której jej przyziemna egzystencja nabierała kolorów. Ubrała się odpowiednio na tę okazję. Suknia koktajlowa od Valentina. Czarne buty Louboutina. Gustowna biżuteria. I duża torebka od Hermesa, w której miała nadzieję schować uzyskany dowód. Kosmyk jego włosów, szklankę, z której pił koktajl, cokolwiek uda jej się zdobyć.

Gino ułatwił jej zadanie. Piętnaście minut po rozpoczęciu kolacji miał atak kichania i wydmuchał nos w serwetkę. Zazwyczaj Peggy uważała ludzi, którzy tak robią, za całkiem niewyrobionych towa-

rzysko, ale teraz była zachwycona.

Kłopot w tym, jak brudną serwetkę przemycić do torebki, zanim zabierze ją kelner?

Peggy wymyśliła rozwiązanie na miarę prawdziwego detektywa amatora. Niewiele się zastanawiając, lekko popchnęła swoją szklanekę z martini, tak że rozlało się na kolana Gina. Zrobiło się zamieszanie, a w tym czasie Peggy udało się zgarnąć serwetkę do torby. Cel osiągnięty!

Peggy poczuła głęboką satysfakcję i jeszcze większe podniecenie. Po tylu latach zastanawiania się, kto jest prawdziwym ojcem Armanda, wkrótce dowie się prawdy i rozwieje wątpliwości.

Nieco wcześniej tego wieczoru poszła do sali komputerowej w hotelu i w Google znalazła Joego Piscarellego. On także jeszcze żył i najwyraźniej dobrze mu się powodziło, ponieważ był właścicielem sieci salonów sprzedających samochody i kilku klubów dla panów. Joe nie był tak stary jak Gino – nie pochowano go też na pustyni, jak sobie wyobrażała. Zapewne opanował swe gangsterskie skłonności i prowadził legalne interesy.

Był żonaty, miał dwoje dorosłych dzieci i dwie dobrze prosperujące firmy.

Peggy nie zdecydowała się jeszcze, jak go podejździe, żeby uzyskać próbkę DNA. Na razie udało jej się tylko załatwić sprawę Gina.



Dziewczyna miała ksywkę Luscious, dwadzieścia dwa lata i jak na kogoś tak młodego była nieźle pokręcona. Z niejednego pieca chleb jadła i było to widać. Chociaż wystawały jej przednie zęby, kiedyś była najładniejszą dziewczyną w liceum. Teraz pracowała jako tancerka erotyczna, a czasami jako dziwka. Miała chłopaka kryminalistę i była notowana za różnego typu wykroczenia, od kradzieży w sklepach po prostytutkę. Dwa razy złapano ją za jazdę po pijaku. Luscious (kiedyś Sara Smitton z Oklahomy) nie martwiła się tym. Najważniejsze dla niej było utrzymanie przy sobie chłopaka, który nazywał

się Randy. W przeszłości miał się różnych zajęć, był zawodowym zapaśnikiem, oszustem, drobnym zabijaką i gwiazdą porno. Luscious miała pecha, bo Randy wyposażony był we wszędobylskiego kutasa – co jej nie przeszkadzało, dopóki swego potężnego instrumentu używał do zarabiania pieniędzy. Ale strasznie się wkurzała, kiedy podejrzewała, że nosiło go gdzie indziej.

Luscious i Randy. Para prawdziwych tubylców z Vegas. Wciąż walczyli, żeby się wymotać z długów i do czegoś dojść, ale nic im z tego nie wychodziło.

Ostatnio szło im trochę lepiej. Randy zaczął robić interesy ze swoim starszym bratem. Mikey siedział kiedyś w więzieniu, a teraz zaczął handlować narkotykami. Organizował towar, a Randy rozprowadzał, co bardzo mu pasowało. Zawieź zamówienie, zgarnij pieniądze, podziel się z Mikeyem i *voilà* – forsa w kieszeni.

Z punktu widzenia Luscious nie było jednak aż tak super. Podejrzewała, że Randy napalił się na żonę Mikeya, która funkcjonowała pod ksywką Seducta Sinn (kiedyś Norma Wilkas z Chicago). Zdaniem Luscious Seducta pochodziła z białych nizin społecznych. Miała wielkie, sztuczne cyce i niepomierne gruby tyłek. Występowały koło siebie u Brudnego Dena i często rywalizowały o wyższe napiwki. Chociaż bzykały się z braćmi, w oczach Luscious nie oznaczało to, że są przyjaciółkami. Ale kiedy sam Brudny Den zaproponował jej pięćset dolców za obsługę klienta w hotelu Cavendish i następne pięćset za to, że weźmie ze sobą koleżankę, natychmiast pomyślała o Sedukcie. Czemu nie? Fantastyczna kasa i okazja, żeby zobaczyć, co takiego ma tamta, czego ona nie ma.

Oczywiście Seducta zgodziła się na tę robotę. Zawsze narzekała, że razem z Mikeyem są o krok od przytułku dla ubogich.

Wstrętna kłamczucha, pomyślała Luscious. Była pewna, że Mikey oszukuje Randy'ego przy rozliczeniach za narkotyki. Mikey to krętaacz, a Luscious wcale mu nie wierzyła. Sedukcie też nie, ale Randy upierał się, że Mikey to rodzina, więc nigdy go nie oszuka.

Luscious wiedziała to i owo o rodzinie. O matce uzależnionej od kraku, ojczymie, który co rusz dobierał się do niej swoim zwiotcza-

łym fiutem, i wujku, który wielokrotnie ją zgwałcił, kiedy miała dwanaście lat.

Dobre sobie. Rodzina. Dziabnęliby człowieka w plecy i pogrzebali ciało, gdyby tylko mogło im to ująć na sucho.



Armand postawił dziesięć tysięcy dolarów na jedenastkę. Koło ruletki zakręciło się i wypadła jedenastka. Jeszcze raz postawił na to samo i znów jedenastka.

W niecałe dziesięć minut wygrał trzysta czterdzieści tysięcy dolarów. Czas się zbierać.

Albo zostać.

To nie miało najmniejszego znaczenia. Wygrana nic dla niego nie znaczyła. W głowie szumiało mu od natłoku myśli. Co zrobić, żeby wynająć zawodowego mordercę? Czy robi się to tak jak w filmach?

Nie. Oczywiście, że nie. Musi być ostrożny i dobrze wszystko przemyśleć.

Jest w Vegas. Tu wszystko można załatwić.

Ile coś takiego kosztuje?

Pieniądze są nieistotne. Najważniejsze to znaleźć właściwą osobę.

Gdzie jest Fouad? Nie sądził, żeby Fouad coś takiego pochwalał. Przestał być wiernym lokajem, na którym Armand mógłby polegać. Fouad to słabeusz, który nic nie umie załatwić.

Armand potrzebował więcej koki. Miał suche usta i kręciło mu się w głowie. Wziął łyka szkockiej ze szklanki, którą podała mu serwująca koktajle skąpo odziana kelnerka, rzucił krupierowi suty napiwek i wstał. Miał właśnie wyjść, kiedy podeszła do niego ładna dziewczyna o typowo amerykańskiej urodzie. Miała długie, złotorude włosy i wyjątkowo wysokie kości policzkowe.

– Armandzie – zagaiła, witając się z nim jak stara znajoma. – Dawno się nie widzieliśmy. Przyleciałeś na boks?

– Jaki boks? – wymamrotał.

– Proszę cię! – dziewczyna dźwięcznie się roześmiała. – Jestem

pewna, że masz najlepsze miejsca.

Nie miał pojęcia, kim ona jest, ale najwyraźniej go znała.

– Nie przyjechałem na boks – powiedział i wstał od stołu do ruletki.

– Wiesz co – odezwała się dziewczyna, ścisząc głos, i nachyliła się w jego stronę. – Myślałam, że dobrze się razem bawiliśmy, ale więcej do mnie nie zadzwoniłeś.

– Aha – powiedział i mimo odurzenia z powodu nadmiaru koki, starał się sobie przypomnieć, gdzie z nią spał. W Nowym Jorku? Londynie? Vegas? A może była którąś z dziewcząt z importu, które przylatywały na urodziny króla w Akramszarze. – Zapłaciłem ci?

– Zapłaciłeś? – zapytała, a na jej twarzy zobaczył skrępowanie. – Dlaczego miałbyś mi płacić?

– Przypomnij mi – odezwał się szorstko. – Jak się nazywasz?

Nie obraziła się, lecz miał wrażenie, że jej ulżyło.

– Tyle kobiet i taka krótka pamięć – zaszcebiotała. – Annabelle. Annabelle Maestro.

Wtedy sobie przypomniał. Annabelle, córka gwiazd filmowych z Hollywood. Jej matkę brutalnie zamordowano. Napisała o tym książkę, a także o tym, jak przez pewien czas prowadziła burdel w Nowym Jorku, a za odpowiednią cenę czasem sprzedawała się sama.

Oczywiście, teraz pamięta. Spotkali się na przyjęciu w Nowym Jorku i przeleciał ją w łazience między posiłkami. Nie sprzeciwiała się, kiedy przycisnął ją do zimnego marmuru przybytku. Następnego wieczoru zabrał ją na premierę jakiejś sztuki, a potem do domu. Tym razem także miał jej pełne przyzwolenie na nieco sprośny seks.

O ile pamiętał, była zdolna do wszystkiego, więc oczywiście już więcej do niej nie zadzwonił. Co za przyjemność, jeśli nie mógł jej upokorzyć? Nie zapłacił jej. Najwyraźniej wydawało jej się, że nie zna jej przeszłości.

Ta dziewczyna to nawrócona prostytutka. Takie są najlepsze. Może będzie w stanie mu pomóc znaleźć odpowiedniego człowieka.

– Poszłabyś ze mną na drinka, Annabelle? – zapytał ją z przyklejonym do ust uśmiechem.

Entuzjastycznie pokiwała głową.

Miał plan, jak wykorzystać tę dziewczynę.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Chociaż Denver bardzo lubiła M.J.-a, nie za bardzo jej pasowało towarzystwo jego młodej, nadmiernie ambitnej żony, Cassie. Dziewczyna cały czas opowiadała o sobie i swojej pączkującej karierze, która, o ile Denver zdołała się zorientować, jeszcze nawet się nie zaczęła. Cassie spróbowała nagrać płytę i kilka razy zaśpiewała w hotelach. Teraz chwaliła się, że właśnie ma podpisać umowę z agentem, który twierdzi, że w okamgnieniu potrafi zrobić z niej gwiazdę, następną Rihannę.

Ta dziewczyna nie chce utrzymać ciąży, pomyślała Denver. W głowie ma niepokromioną ambicję, na pewno nie dzieci.

– Jestem młodsza niż Katy Perry – rozmarzyła się Cassie. – O wiele ładniejsza niż Ke\$ha. I znacznie bardziej seksowna niż Taylor Swift. Co oznacza, że mam ogromne szanse, żeby dostać się na sam szczyt. Prawda, kochanie? – powiedziała, zwracając się do M.J.-a i nareszcie zauważając jego obecność.

M.J. kiwnął głową, choć nie sprawiał wrażenia uszczęśliwionego entuzjazmem młodej żony dla kariery, która dopiero ma się zacząć.

Denver świetnie go rozumiała. Na pewno zdawał sobie sprawę, że żadnym sposobem nie przekona Cassie, aby zrezygnowała z aborcji. Zerknęła na Bobby'ego. Miał niewzruszony wyraz twarzy. Jedno trzeba było o Bobbym powiedzieć – o ile to możliwe, zawsze unikał konfrontacji.

- Idę do toalety – powiedziała i wstała od stolika.
- Ja też – pisnęła Cassie i skoczyła na równe nogi.
- Porozmawiaj z nią – mruknął Bobby.

A więc po to przyjechała do Vegas. Ma namówić dziewczynę, która chce być piosenkarką, by zrezygnowała z marzeń i urodziła dziecko.

Cassie ułatwiła jej sprawę. Ledwie dotarły do toalety, rzuciła ozdobioną świecidelkami torebkę na blat umywalki, odwróciła się do Denver i powiedziała.

- Umiesz dochować tajemnicy?

No nie, pomyślała Denver. Proszę, nie rób ze mnie swojej powiernicy.

Cassie nie poddawała się.

- Umiesz? – powtórzyła.
- Nie jestem zbyt dobra w utrzymywaniu sekretów – wykrztusiła Denver, ale szybko przerwała i weszła do kabiny.

Cassie czekała, aż wyjdzie.

Stała przy blacie umywalki i palcem nakładała na usta wiśniową pomadkę.

- Masz szczęście, że jesteś z takim facetem jak Bobby – westchnęła Cassie. – W klubie wszystkie dziewczyny za nim szaleją.

- Dobrze wiedzieć – odpowiedziała Denver, myjąc ręce.

Ciekawe, kogo ma na myśli, mówiąc „wszystkie dziewczyny w klubie”? Klientki? Obsługę? Ech, do diabła.

- Moja koleżanka Lindy mówi, że Bobby dlatego tak cię lubi, bo jesteś mądra.

- Też dobrze wiedzieć – sucho odparła Denver.

- W łóżku jest pewnie odłotowy.

- Słucham?

- A jest?

- To nie powinno obchodzić nikogo oprócz mnie.

Cassie zachichotała.

- Prawdziwa z ciebie dama! Pewnie i to podoba się Bobby'emu. Ale wiesz, że znany jest ze skakania z kwiatka na kwiatek, więc nic

nie jest takie pewne.

Jezu Chryste!, pomyślała Denver. Dlaczego muszę tu stać i wysłuchiwać, jak jakaś młoda dziewczyna opowiada mi, jakim to Bobby jest ogierem i jak mi się poszczęściło, że z nim jestem. A może to jemu się poszczęściło, że ma mnie?

– Do zobaczenia na sali – powiedziała Denver i przygotowała się, żeby szybko wyjść.

– Zaczekaj – poprosiła Cassie. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Pomocy?

– W pewnym sensie. No bo widzisz, jest tak...

I opowiedziała jej o ciąży i o tym, że w żaden sposób nie może urodzić dziecka, a M.J. bardzo się przy tym upiera i co ona ma teraz zrobić?

– Wiesz, że nie jestem mediatorką rodzinną – cierpliwie odpowiedziała Denver. – Ale wydaje mi się, że masz wybór: urodzić dziecko i zachować męża albo wybrać drogę kariery.

– Wiem – zgodziła się Cassie. – Ale chciałabym, żeby M.J. to zrozumiał. Dziecko mogę mieć w każdej chwili, a karierę tylko teraz. Dlaczego on tego nie rozumie?

– Powinnaś porozmawiać ze swoją mamą – zaproponowała Denver. – Jestem pewna, że ci doradzi.

– Już to zrobiłam – stwierdziła Cassie i od niechcienia wzruszyła ramionami. – Mamie jest wszystko jedno.

– Naprawdę? Jestem pewna, że nie.

– Masz rację – powiedziała Cassie i pokręciła głową. – Wolałaby, żebym nie miała dziecka. Ma trzydzieści pięć lat i nie podoba jej się fakt, że zostanie babcia.

– No cóż – odparła Denver. – Chciałabym ci pomóc, ale niestety nie potrafię. Mogę tylko powiedzieć, żebyś posłuchała swego wewnętrznego ja i zastanowiła się, czego chcesz najbardziej.

– Już wiem – wesoło powiedziała Cassie – byłam pewna, że pomożesz mi to rozwiązać.

Denver zachmurzyła się.

Jej zdaniem niczego nie rozwiązała.



– Moim zdaniem powinniśmy iść na striptiz – oznajmił Kev, kiedy wychodzili z Asian Fusion.

– Nie ma mowy – odparł Billy i na chwilę przystanął. – Myślisz, że chcę, żeby moje zdjęcia były wszędzie w TMZ, a striptizerki opowiadały, ile której dałem napiwku?

– Ale gdzie są ci z TMZ? – zapytał Kev, udając głupka. – Nie widzę, żeby ukryli się gdzieś pod palmą i czekali na okazję.

– Uwierz mi. Są wszędzie – zapewnił go Billy. Strasznie go korciło, żeby jeszcze raz spróbować się dodzwonić do Max. To, że nie odbierała telefonu, wywołało u niego w obsesję. Na miłość boską, przyleciał do Vegas, popsuł sobie cały weekend, a ona nie odbiera komórki. Może robi to specjalnie, żeby pokazać, że daje mu kosza?

– Co z tobą? – zdziwił się Kev. – Ochronię cię przed paparazimi. Jestem ekspertem w blokowaniu gapiów.

– Tak? – krótko odparł Billy. – To gdzie byłeś, kiedy mnie atakowano w kasynie?

– To były fanki – powiedział Kev, jakby to wszystko tłumaczyło. – Cholerne fanki, które z uwielbieniem klękają przy twoim kutasie.

– Przestań, Kev.

– Mogłeś mieć którąkolwiek z tych dziewcząt. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Dzięki – uszczypliwie odparował Billy. – Ale mam nieco bardziej wybredny gust.

– Zmieniłeś się – stwierdził Kev z porozumiewawczym uśmiechem. – W dawnych czasach rznąłbyś nawet słupek, gdyby do ciebie mrugnął.

Kev zaczął działać Billy'emu na nerwy. W dawnych czasach. Akurat. Czy Kev jeszcze nie zrozumiał? Wszystko się zmieniło. A on zapomniał, jak przyjaciół czasami go drażnił.

Za długo kręcili się w okolicach Asian Fusion, bo Billy nie miał nawet czasu pomyśleć o ucieczce, kiedy z restauracji wyszła Venus.

Kroczyła w pełnej glorii gwiazdy, a za nią podążał Jorge i dwaj ochroniarze.

– Hej – udało mu się powiedzieć z zaskoczenia.

Przez chwilę wydawało mu się, że Venus go zignoruje. Ale nie zrobiła tego. Zawiesiła się na ramieniu Jorgego i odwzajemniła pozdrowienie lodowatym:

– Cześć.

To, jeśli chodzi o pozostawanie w przyjaźni, czemu poświęcono jeden z jej niedawnych wywiadów. „Jesteśmy i zawsze będziemy z Billym najlepszymi przyjaciółmi. Życzę mu wszystkiego, co najlepsze”.

Znając Venus aż nazbyt dobrze, Billy wiedział, że należało to przetłumaczyć na: „Niech się sukiny pieprzy. Mam nadzieję, że jego kariera się załamie i już nigdy nie będę musiała się z nim spotkać”.

– Pięknie wyglądasz – mruknął Billy. Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Jedno trzeba było oddać Venus: zawsze była w fenomenalnej formie; jeden mężczyzna nie jest w stanie tego udźwignąć.

Chłopak, do którego się klei, jest na tyle młody, że pewnie nie zdaje sobie sprawy, w co się pakuje. W wieku lat trzydziestu Billy czuł się jak weteran gwiazdnych wojen. Może powinien młodziaka ostrzec, pomóc mu.

– Hej, Venus – odezwał się Kev. – Dawno się nie widzieliśmy.

Venus obrzuciła Keva spojrzeniem władczyni, co było jej typową reakcją na kogoś, kto ją denerwował. Nigdy się nie dogadywali. Kiedy był asystentem Billa, upierała się, że trzeba go zwolnić. Billy jej nie posłuchał, co sprawiło, że jeszcze bardziej nie znosiła Keva.

Nagle z teatru obok restauracji zaczęły się wylewać tłumy. Koncert Geralda M. dobiegł końca i na ulicę wyległy setki rozentuzjzmowanych fanów.

Ochroniarze Venus zwarli szeregi wokół cennej gwiazdy i natychmiast zaczęli torować jej drogę ucieczki.

Billy postanowił, że on również powinien się zbierać, zanim go

dostrzegą.

Za późno. Już dopadło go stado oszalałych kobiet, wykrzykując jego imię. Wkrótce tonął w tłumie rozwrzeszczanych fanek.

Gdzie jest Kev, kiedy go potrzebuje?



– W tłumie robię się nerwowy – powiedział Ace, kiedy z trudem przebijali się do wyjścia z teatru. – Czuję się jak w jakimś koszmarze.

– Spokojnie – szepnęła Max, kiedy jakaś gruba kobieta niechcący pchnęła ją w plecy. – To się zaraz skończy, a wtedy znajdziemy In-N-Out Burgera, i znów się będziesz uśmiechał.

– Masz rację – zgodził się Ace i wziął ją za rękę.

– Przecież mieliśmy iść za kulisy – zaproponował Frankie. Zatrzymał się i wskazał boczne drzwi, przy których zbierała się wybrana grupa VIP-ów. Czekali, by wejść do garderoby Geralda M. i przekazać mu wyrazy uznania.

– No tak – wymijająco odpowiedziała Cookie. Miała nadzieję, że ich nie zauważą, ale najwyraźniej znał zwyczaje gwiazd. Asystenci wielkich gwiazd zawsze gromadzili ludzi, którzy zasługiwali na przepustkę i zabierali ich do luksusowego, prywatnego baru, gdzie cierpliwie czekali w kolejce na audyencję z gwiazdą. Co za bzdury.

Frankie zmienił kierunek i zmierzał w stronę drzwi, a Cookie ciągnęła Max za ramię i syczała: „Musisz z nami iść. Proooszęę!”.

– Holender! – jęknęła Max. – Okazuje się, że całą noc musimy robić, co ty chcesz.

– Dziesięć minut – prosiła Cookie. – Potem pójdziemy, gdzie tylko z Ace'em chcecie.

– On chce, żebyśmy pobyli sami – powiedziała Max i pomyślała, że chciałaby być gdziekolwiek, byle nie tutaj.

– To możecie robić kiedykolwiek.

– Nie do końca, zważywszy na to, że Ace mieszka daleko ode mnie.

– Powinien się przeprowadzić – parsknęła Cookie.

– Może tak zrobi. Ale dzisiaj muszę go wysłuchać. Jechał tak daleko, żeby ze mną być. Trzeba to uszanować.

– No dobrze, dobrze – niecierpliwie powiedziała Cookie. – Dziesięć minut, to wszystko, o co proszę.

– Dobrze – westchnęła Max. – Potem będziesz już zdana na siebie.



Venus nie była zachwycona tym, że natknęła się na Billy'ego. Na dokładkę był ze swoim okropnym przyjacielem Kevem, który w ich małżeństwie stałe stanowił kość niezgody. Zawsze podejrzewała, że Kev ma na Billy'ego zły wpływ, i nigdy mu nie ufała. Sądziła, że na boku umawia go z przypadkowymi dziewczynami.

Przynajmniej Billy nie jest z tą łązęgą, swoją ostatnią partnerką filmową, Willow Price, która słynęła z tego, że przed każdym fotografem w mieście świeciła gołą cipką.

Ochroniarzom udało się utorować jej drogę przez kasyno i odprowadzić do limuzyny, która czekała przy chodniku. Jorge potruchtał za nimi i usiadł obok niej.

– Dokąd jedziemy, pani Venus? – spytał kierowca.

– Z powrotem do The Keys – powiedziała do kierowcy i zdjęła dłoni Jorgego ze swojego uda. – Zatrzymaj się przy prywatnym wejściu do Mood.

Zwróciła się do Jorgego:

– Tańczysz?

Skinął głową.

– Znakomicie, bo mam ochotę się odprężyć.



– Powiedziałeś już Cassie o Bahamach? – spytał Bobby.

– Zrobię jej niespodziankę – odparł M.J. – Porwę ją na lotnisko z przyjęcia u Max. Nawet się nie zorientuje, co jest grane.

– Dziewczyny nie lubią niespodzianek – ostrzegł go Bobby. –

Lubią się przygotować i takie tam głupoty.

– Co ma przygotowywać? – zdziwił się M.J. – Kiedy dolecimy, kupię jej wszystko, co może jej być potrzebne.

– Jeśli uważasz, że tak będzie dobrze...

– Tak. Będzie zachwycona.

– Okay, niech i tak będzie – stwierdził Bobby, choć ani chwili w to nie wierzył.

– Cassie chce, żebym poznał jakiegoś superagenta, który zastanawia się, czy jej nie promować – powiedział M.J. i dał sygnał, że prosi o rachunek. – Idziemy z nim na drinka w Cavendishu, a potem wpadniemy do Mood. Może tak być?

– W klubie wszystko wezmę na siebie.

– Dziś wieczorem mamy mnóstwo rezerwacji od VIP-ów – powiedział M.J. – Wszyscy zjechali do miasta na niedzielny boks.

– A ty nie zostajesz? – zapytał Bobby. – Co z tobą?

– Faktycznie, szkoda. Dobra wiadomość jest taka, że oddam ci swoje bilety.

– Jejku! – krzyknął Bobby. – Nie ma to jak prawdziwa miłość.

– Od strony ringu, stary – chwalił się M.J. – Najlepsze miejsca na sali.

– Problem w tym, że chyba nie będę mógł z nich skorzystać – powiedział Bobby, przyglądając się, jak Denver i Cassie idą w ich stronę.

– Boks chyba cię nie interesuje? – zwrócił się Bobby do Denver.

– Dobrze zgadłeś – odpowiedziała chłodno. – Przyglądanie się, jak dwaj dorośli mężczyźni walą się po głowach, nie jest dla mnie ideałem miłego spędzania czasu.

– Taaak – mruknął. – Miałem przeczucie, że tak zareagujesz.

– A ja uwielbiam boks – pisnęła Cassie. – Idziemy w niedzielę wieczorem, prawda, kochanie?

M.J. wymienił z Bobbym szybkie spojrzenie, a potem skinął głową.

– Oczywiście, kochanie. Za nic bym tego nie przepuścił.

Denver zastanawiała się, co się dzieje w LA. Tęskniła za swoim

mieszkaniami, za psem i za pracą.

Jak dotąd Vegas jej się nie spodobało. Chciała wracać do domu.

Rozdział czterdziesty

Luscious i Seducta wyruszyły w drogę szokująco różowym pontikiem z 1998 roku, który był dumą i radością Seducty. Dostała go pół roku wcześniej w prezencie ślubnym od Mikeya, po ceremonii prowadzonej przez imitację Lady Gagi. Przedtem urządzili sobie pijacką orgię w towarzystwie kilku szkockich piłkarzy. Seducta miała ciepłe wspomnienia z tego ważnego dnia. Kazała sobie nawet wytatuować datę na tyłku.

– Dlaczego Mikey kupił ci stary samochód? – szyderczo roześmiała się Luscious, po czym usiadła w fotelu pasażera i usiłowała zapiąć poprzedziany pas na chudej talii.

– Jest lepszy niż szmelc, którym ty jeździsz – odwzajemniła się jej Seducta, mówiąc o używanej toyocie Luscious z 2008 roku. – Mój pontiac to vintage.

Luscious nie była pewna, co to znaczy, więc siedziała cicho.

– Kim jest zbok, do którego jedziemy? – zapytała Seducta, przemykając się między samochodami bez najmniejszej troski o innych kierowców na szosie. – O co mu chodzi? Dziewczyna z dziewczyną? Bo jeśli tak, to cię ostrzegam, nie wciskaj mi języka do piczki. Musisz udawać. Jasne?

– Skąd mam wiedzieć, kto to jest? – z rozdrażnieniem powiedziała Luscious. – Robota to robota. Zbok płaci jak za zboże. I ogarnij się, bo ostatnim miejscem, gdzie mam ochotę pchać język, jest twoja

tłusta cipa.

– Tłusta? – syknęła Seducta i długimi sztucznymi paznokciami stuknęła o kierownicę. – Jeśli cokolwiek jest tłuste, to twoja głupia gęba. Od czasu, kiedy dałaś sobie wstrzyknąć w usta to świństwo, wyglądają jak dwa poskręcane robale.

– Znów jesteś zazdrosna – powiedziała Luscious i nie dała się wciągnąć w pojedynek na obelgi. – Randy uwielbia moje usta.

– Mnie mówił coś innego – odparowała Seducta z uśmiechem osoby wtajemniczonej.

– A od kiedy to rozmawiasz z moim chłopakiem? – zapytała Luscious.

– Co, już nie wolno mi pogadać z własnym szwagrem? – docięła jej Seducta. – Zapominasz, że jesteśmy spokrewnieni. Randy i ja to rodzina.

Luscious zmrużyła zezowate oczy. Seducta jest głupia jak gęś, a ona nie da się złapać na jej przynętę. Usiłuje ją sprowokować i wytrącić z równowagi. Szkoda, że podzuciła jej tę dobrze płatną fuchę; gruba krowa na to nie zasługuje. Powinna była poprosić którąś z dziewczyn.

Już za późno. Teraz musi zacisnąć zęby i podejść do tego z uśmiechem.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Mam ochotę wszystkich zaskoczyć – mruknęła Lucky, uwodzicielsko wyslizgując się z łóżka. – Wiem, ogłaszałam, że pokażemy się dopiero jutro, ale jest zaledwie jedenasta, a wszyscy na pewno skończą w klubie Bobby'ego. Jak uważasz? Zrobimy sobie wejście?

– Moja żona – powiedział Lennie i odchylił się do tyłu z dobrotliwym uśmiechem na twarzy. – Zawsze gotowa do akcji.

– Mmm – wymruczała, także z uśmiechem. – Dziś wieczorem miałam tyle akcji, że wystarczy mi do twojej następnej wizyty.

– Jezu – Lennie wybuchnął śmiechem. – Gdyby ktoś cię posłuchał, pomyślałby, że jestem nagrzanym marynarzem na przepustce w porcie.

– Zgadza się. Mój seksowny mąż marynarz, czyli facet, który zawsze wie, co zrobić, żeby mi było dobrze.

– Skoro tak mówisz – powiedział i pociągnął ją z powrotem na łóżko. – Ale wydaje mi się, że moglibyśmy jeszcze poeksperymentować.

– Tak myślisz?

– Tak.

– Kiedy przyjeżdżasz następnym razem?

– Przestań z tymi przyjazdami. – Zirytował się. – Będę kręcił film w terenie, a za kilka tygodni na stałe wrócę do domu.

– Z tobą nie ma niczego stałego, Lennie.

- Przecież to ci odpowiada?
- Dobrze mnie znasz – powiedziała przeciągle.
- Tak – odparł, drapiąc się po głowie. – Jeśli ktoś w ogóle cię zna.
- Dziś rano miałam dziwne spotkanie – wyznała Lenniemu. – Można powiedzieć, że koszmarnie.
- W jakim sensie dziwne? – zapytał.
- Tak naprawdę nie jestem pewna. Zjawił się jakiś idiotyczny dupek, któremu wydawało się, że może ot, tak sobie przyjść i kupić The Keys.
- Cholera – powiedział Lennie z żywszym zainteresowaniem. – Kto to taki?
- Nazywa się Armand Jordan. Spotkanie zorganizował Jeffrey. Miał wrażenie, że firma Armanda będzie zainteresowana przyszłymi inwestycjami.
- Zgaduję, że tak nie było.
- No właśnie. Ten Armand sprawiał wrażenie faceta, który obsesyjnie zapragnął kupić The Keys, za każdą cenę. Miał w sobie coś dziwnego, jakby poświęcił się wendecie przeciw kobietom.
- Cóż, kochana – sucho stwierdził Lennie. – W twoim typie. Rozwaliłaś mu jaja o pierwszy lepszy słupek?
- Nie. – Lucky uśmiechnęła się, bo Lennie rzeczywiście dobrze ją znał. – Ale kazałam go wyrzucić z hotelu.
- Biedaczysko – Lennie uśmiechnął się. – Nie wiedział, z kim zadziera.
- Chyba nie – mruknęła.
- W każdym razie wyrzuciłaś go i sprawa skończona. Tak?
- No właśnie.
- Bardzo dobrze, a teraz ważniejsze rzeczy. Jak tam Max?
- Jak zawsze. Za wszelką cenę chce się wyrwać i usamodzielnąć.
- Całkiem jak jej mama, co?
- Ale ja umiałam o sobie zadbać – z naciskiem powiedziała Lucky.
- A ja ciągle ci powtarzam, że ona też. Musisz zaakceptować, że

Max jest wolnym duchem. Chce tylko przestrzeni.

– Przecież dostaje tyle przestrzeni, ile jej potrzeba. A w dodatku... urządzamy jej fantastyczne przyjęcie. À propos, Ace przyjechał na jej urodziny.

– Lubię Ace'a. Wygląda na fajnego chłopaka.

– Nie sądzisz, że jest za młoda, żeby przylepić się do jednego faceta? – zapytała Lucky.

– Nie, jeśli to ten właściwy.

– Jak ty i ja?

– O to chodzi, kochana – powiedział Lennie ze śmiechem.

– Na pewno nie pamiętasz naszej pierwszej randki – stwierdziła Lucky, rzucając mu wyzwanie.

– Czy to egzamin? – spytał Lennie, oparł się na łokciu i obrzucił ją zagadkowym spojrzeniem.

– Może – droczyła się. – Chcę sprawdzić, czybyś zdał.

– No wiesz. Czy kiedykolwiek mógłbym zapomnieć?

– No to proszę – dalej go podpuszczała. – Spodziewam się szczegółów.

– Nowy Jork. Chińska restauracja. Obaliliśmy butelkę wódki.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała Lucky. – Naprawdę pamiętasz.

– Naprawdę myślałaś, że zapomniałem?

– No cóż... wydawało mi się, że raczej zapamiętasz pierwszy raz, kiedy się kochaliśmy na tratwie w południowej Francji. To naprawdę było niezapomniane przeżycie.

– Masz rację. Ten scenariusz powinniśmy niedługo powtórzyć.

Na przykład zaraz po tym, jak skończę swój film.

– Jestem za.

– Ja też.

Wymienili długie, intymne spojrzenia.

– Ale wiesz co, muszę przyznać, że nasza pierwsza randka też była gorąca – powiedział Lennie. – Kiedy skończyliśmy wódkę, zaciągnęłaś mnie do jakiejś jazzowej knajpy w Greenwich Village i siedzieliśmy tam do czwartej rano.

– Potem ty zabrałeś mnie do nocnego baru, gdzie bardzo długo siedzieliśmy nad nieskończoną ilością kaw i rozmawialiśmy o wszystkim.

– A ty, kochana Lucky, byłaś zachwycona.

– Nie zaprzeczam. – Chwila przerwy. – Ale co w tym najlepsze – dodała cicho – tej nocy zakochaliśmy się w sobie.

– Naprawdę? – spytał, udając zdziwienie. – Tego sobie nie przypominam.

– Nie zadzieraj ze mną, Lennie Golden – powiedziała i groźnie zmrużyła oczy. – Wiesz, że konsekwencje będą opłakane.

– Okay, okay – przyznał jej rację z uśmiechem. – Pewnie tak, ale popatrz na nas: stare małżeństwo z dziećmi.

– Z tym starym to spokojnie, proszę pana – zaproponowała Lucky i szturchnęła go dla zabawy.

– Niemniej, pani Golden, jest pani równie piękna jak wtedy. Poza tym lubię kobiety nieco sezonowane.

– Sezonowane, co?

– No tak.

– Odwal się, Lennie Golden.

Jednym szybkim ruchem obrócił się tak, że leżał na niej i przyciskał ją do łóżka swoim ciężarem.

– Oczywiście, miłości mego życia. Żyję po to, żeby ci dogadzać.



Większość gwiazd organizowała spotkania po koncertach. Czasami Gerald M. nie zwracał sobie tym głowy, ale w Vegas nigdy nie miał pewności, który z celebrytów może się zjawić wśród publiczności, więc po koncercie wyczekiwał, kto się pojawi. Ponadto zostawał w mieście na boks, a ponieważ rozstał się ze swoją ostatnią kochanką – ambitną aktorką (jak one wszystkie) – postanowił zakosztować lokalnych dobroci.

Ostatnią osobą, jakiej się spodziewał, była jego córka, która tak zmieniła wygląd, że z trudem ją rozpoznał. Bez charakterystycznych

dredów Cookie wyglądała całkiem inaczej.

– Co się stało z twoimi włosami, kurczaczku? – zapytał, kiedy wprowadzano ją wraz z przyjaciółką do dużej, lecz zatłoczonej garderoby koło baru.

– Nie mów tak na mnie – powiedziała i przewróciła oczami. – To takie niefajne.

– Ta dziewczyna to mój mały kurczaczek – zanucił Gerald M. w stronę coraz liczniejszych gapiów. – Dzięki mnie się wylęła. A teraz popatrzcie: już wyrosła. – Ktoś z obsługi podał mu rum z colą, a on wypił dwoma wielkimi łykami. – Co tu robisz, kochana? Jak ci się podobał występ?

Strasznie mi się nie podobał, chciała powiedzieć Cookie. To okropne widzieć, jak własny ojciec wypina ubranego w skórę kutasa w stronę rozwrzeszczanej widowni złożonej z przegranych kobiet w średnim wieku, które marzą o tym, żeby ktoś je zerznął.

– Pański występ był fenomenalny – oznajmił Frankie, który wysforował się naprzód, żeby stanąć przed Cookie, i podał rękę Geraldowi M. – Jest pan doskonałym artystą. Zawsze umie pan zakłósać ich zasranym światem, przepraszam za język.

– A pan to kto? – zapytał Gerald M. i nieco się cofnął.

– Frankie Romano, przyjaciel Cookie. Miło mi pana poznać.

– Pana! – Gerald M. zaniósł się śmiechem. – Ale ile twoim zdaniem mam lat, do cholery?

A niech to, pomyślała Cookie. Jest źle. Już się dogadują.

Max trzymała się z boku. Uważała, że wypełniła obowiązek jako przyjaciółka, a teraz mogą się z Ace'em zmywać.

Ale Cookie im na to nie pozwoliła.

– Musicie z nami zostać – błagała. – Inaczej Frankie przylepi się do ojca, a ja tego nie zniosę.

– Ale Cookie... – sprzeciwiła się Max.

– Prooszę! Już nigdy nie będę nic od ciebie chciała.

Więc zostali.



Bobby i Denver siedzieli przy stoliku w rozświetlonym świecami szalasię koło basenu w Mood. Dookoła przewijało się mnóstwo ludzi. Dobiała północ, głośno grała muzyka i klub był zatłoczony. Wszędzie roilo się od pięknych dziewcząt – nawet kelnerki z koktajlami ślicznie się prezentowały w kusych mundurkach. Denver czuła, że tu nie pasuje, że nie dorasta do tego. Niespecjalnie lubiła kluby.

– Co tak spuściłaś nos na kwintę? – zapytał Bobby, który wyczuł jej nastrój.

– Jak to? – odparowała Denver, ponieważ nie mogła się powstrzymać, żeby nie wylądować na nim swojej frustracji.

– Po prostu wyglądasz na trochę... – wzruszył ramionami – no nie wiem, spiętą.

– W odróżnieniu od wyluzowanych dziewczyn, które ciągle podchodzą, żeby z tobą pogadać? – wypaliła. Zrobiło jej się przykro, że wyszła na zazdrośnicę.

– Hej, Denver, przecież wiesz, że to tylko praca – powiedział Bobby i pogłaskał ją po ramieniu. – To mój klub, więc trudno, żebym je ignorował.

– Masz trochę racji.

– Wiesz co, napij się wina, wyluzuj trochę.

– Myślałam, że dziś wieczór będziemy sami. A tymczasem musiałam wyperswadowywać Cassie aborcję, a potem iść z tobą do pracy. Niezbyt mi pasuje taki romantyczny wieczór.

– Przykro, że tak to odbierasz. Ale wiesz przecież, że świata poza tobą nie widzę?

Rzucił na nią swoje słynne spojrzenie, któremu nigdy nie umiała się oprzeć.

Problem z Bobbym polega na tym, że jest cholernie przystojny, a do tego naprawdę miły. No i jeszcze na dokładkę bogaty – więc oczywiście, że kobiety się za nim uganają. Jeśli wiąże z nim swoją przyszłość, po prostu będzie musiała się do tego przyzwycząić.

– No cóż – odezwała się nieco łagodniej – jeśli tak to ujmujesz...

– Wiesz, co chciałbym teraz ująć – szepnęła jej do ucha.

– Bobby!

- Pół godziny i wychodzimy. Obiecuję.
 - Naprawdę?
 - Jasne – powiedział, nachylił się i ją pocałował. Odwzajemniła pocałunek.
 - Wiem, że zachowuję się jak zazdrośnica i nie pojmuję, dlaczego tak się dzieje.
 - A ja tak – zapewnił ją Bobby.
 - Tak?
 - Oczywiście.
 - To może mnie oświecisz?
- Uśmiechnął się jeszcze raz. Co za uśmiech. Olśniewający.
- Bo mnie kochasz – zanucił.

Wyprostowała się, a serce waliło jej jak młotem. Czy naprawdę wypowiedział to słowo? I dlaczego mówi o niej? Czy sam nie powinien wyznać tego pierwszego?

- Słucham? – powiedziała, lekko dysząc.
- Kochasz – powtórzył Bobby, wymawiając osobno każdą głoskę. – A ponieważ nie masz zamiaru powiedzieć tego pierwsza, robię to za ciebie, bo ja też cię kocham, panno Jones, i nie będę dłużej tego ukrywał. Więc przyzwyczajaj się. Okay?



Kevovi jakoś udało się zwabić Billy'ego do klubu ze striptizem, gdzie zauważył go kierownik – wielki fan o krzaczastych brwiach i lizusowskim uśmiechu. Natychmiast zaprowadził ich do pokoju dla VIP-ów z szampanem na koszt klubu i dwiema najlepszymi dziewczynami.

Kev czuł się jak w niebie. Gdyby przyszedł sam, siedziałby przy scenie, gapiąc się na szereg kuszących cipek z całą resztą innych anonimowych gości. Trzymanie się Billy'ego było super. Cały czas obsługa pierwszej klasy.

Blondynka o dziecięcej buzi robiła, co mogła, żeby Billy połknął jej przynętę – nowe błyszczące cycki, płaski brzuch, długie nogi i

ogolone łono. Ale Billy tego nie kupował.

– Mam dziewczynę – poinformował ją.

Co dla Keva było nowiną. Przecież Billy jest w trakcie rozwodu?

– Szkoda – zagruchała Dziecięca Buzia, a potem dodała bezczelnie: – Ale to, że twój kutasek jest zajęty, nie oznacza, że nie możesz dać mu się trochę przewietrzyć!

Billy roześmiał się i przez chwilę rozważał jej propozycję, ale potem przeprosił wszystkich, wyszedł z klubu i znów spróbował zadzwonić do Max.

I tym razem nie było odpowiedzi, więc postanowił napisać SMS-a:

„Cześć, to ja, Billy. Gdzie jesteś? Nie mogę się dodzwonić. Jestem w Vegas. Chciałbym się z Tobą zobaczyć. Zadzwoń”.

Załatwione. Wysłał wiadomość, teraz jej kolej odpowiedzieć.



Wszyscy w końcu wylądowali w części restauracyjnej Mood: Gerald M. i jego świta, która składała się z chóru złożonego z dwóch piosenkarek i asystentki/łowczyni damskich talentów. Byli też Cookie i Frankie (który włożył Geraldowi M. w tyłek tak, że dla nikogo innego nie było już miejsca), Max i ociągający się Ace.

– Przecież mieliśmy się zmyć we dwoje? – niemal szeptem powiedział Ace do Max, kiedy siadali przy stoliku. Z coraz większą rezygnacją myślał o tym, że wcale nie będzie jej miał tylko dla siebie.

– Jesteśmy w Vegas, trudno coś tu planować – odpowiedziała niecierpliwie. – Poza tym nie możemy być w klubie i nie podejść do Bobby'ego. Siedzi w szałasie koło basenu. Chodźmy tam.

Zanim Ace zdążył się sprzeciwić, chwyciła go za rękę i pociągnęła przez restaurację do zewnętrznej części klubu.

Bobby zobaczył, że się zbliżają.

– Jak zrujnować komuś ważne chwile? – mruknął do Denver. – Max można zaufać, że to potrafi. Przyjdzie w najgorszym z możliwych momentów.

– Przecież tego nie wie – odparła Denver, której zaczęło nieco szumieć w głowie. – A poza tym naprawdę bardzo chciałabym ją poznać.

– Jesteś pewna? – spytał Bobby. Potem podniósł się, bo właśnie dopadła ich Max.

– Cześć, wielki bracie – powiedziała Max i jak zwykle zarzuciła mu ramiona na szyję w taki sposób, jakby nim chciała zawładnąć. – Pamiętasz Ace'a?

– Oczywiście – odparł Bobby i przyjaźnie kiwnął w jego stronę głową. – A Denver już znacie.

Max przytaknęła zdawkowo, a Ace uprzejmie powiedział:

– Bardzo mi miło.

– Mnie też – powiedziała Denver i pomyślała, że jeśli to jest chłopak Max, to całkiem nieźle sobie radzi.

– Ace przyjechał aż z Big Bear specjalnie dla mnie – powiedziała Max, krążąc wokół stolika.

– Ale miło – stwierdziła Denver. – Na pewno bardzo się ucieszyłaś.

Max jak zwykle ją zignorowała.

– Zgadnij, kto też tu przyszedł – zagadnęła Bobby'ego.

– Wiesz, że jestem słaby w zgadywankach.

– Twój były przyjaciel Frankie Romano.

– Gdzie jest? – spytał Bobby.

– Siedzimy z nim przy stoliku taty Cookie w restauracji. Powinieneś podejść. Na pewno bardzo by się ucieszył.

– Może później – stwierdził Bobby. Kiedyś on, Frankie i M.J. byli najlepszymi przyjaciółmi, ale to się skończyło. – Wiesz – zaczął surowo – nie powinnaś być w tej części klubu.

– Dlaczego? – odparowała Max.

– Bo nie masz dwudziestu jeden lat. Co oznacza, że moglibyśmy stracić licencję.

– E tam – drwiąco prychnęła Max. – Wszyscy mamy podrobione dowody.

– Znakomicie – sarkastycznie odparł Bobby. – Bardzo mnie to

uspokaja.

Po chwili kamień spadł mu z serca, bo zobaczył, że wchodzi Lucky i Lennie. Co za wycucie czasu. Max nie jest już na jego głowie. Niech Lucky z nią się szarpie.

– Na horyzoncie mama i tata – ostrzegł. – Wracaj lepiej do swojego stolika, dziewczynko, bo mama może sprawić ci lanie.

– Ale jesteś wredny – powiedziała Max, robiąc brzydką minę. – Nienawidzę cię.

– Nie wredny, tylko opiekuńczy.

– Ale co oni właściwie tu robią? – spytała Max i odwróciła głowę, żeby zobaczyć, jak zbliżają się Lucky i Lennie. – Myślałam, że chcą być sami. Co za obciach!

– Ładnie mówisz o swoich rodzicach – zganiał ją Bobby.

– I o twoich – podkreśliła Max.

– Tylko w połowie – poprawił ją.

– Niech i tak będzie.

Już po chwili podeszli do nich Lucky i Lennie. Lennie uściskał Max, Lucky przywitała się z Denver, a Bobby pomyślał: gdyby przyszli za pół godziny, bezpiecznie byśmy się wymknęli.

A w klubie życie dopiero się rozpoczynało.

Rozdział czterdziesty drugi

Annabelle Maestro była gadułą. Buzia nie zamykała jej się nawet na minutę. Armand nie miał pojęcia, o czym ani o kim ona mówi. Nie wiedział i było mu wszystko jedno. Siedzieli na świeżym powietrzu w jednym z barów i pili tequile z lodem i likierem cytrynowym limoncello, czyli ścinający z nóg koktajl autorstwa Annabelle. Armandowi podobało się uczucie pobudzenia, które dawał alkohol, a także fakt, że w okolicy nie było Fouada, który by go pilnował.

– Jeśli nie przyjechałeś na boks, co robisz w Vegas? – zapytała Annabelle i przejechała palcem wskazującym po krawędzi kieliszka, jednocześnie bacznie mu się przyglądając.

– Kupuję hotel i kasyno The Keys – oznajmił Armand. Tak, oczywiście, tak właśnie jest. Do cholery z tobą, Lucky Santangelo. Wkrótce się dowiesz, że Armand Jordan zawsze dostaje wszystko, czego chce. Nie sposób mnie powstrzymać. Jeśli powiem, że coś się wydarzy, to tak będzie, nieważne, czy uważasz, że możesz temu zapobiec, czy nie. Ale jak mnie powstrzymasz, skoro nie będziesz żyła? Niemożliwe.

– Żartujesz! – krzyknęła Annabelle i ze zdumienia szeroko otworzyła oczy. Ten facet jest nie tylko bogaty. Jest magabogaty. Miała na niego oko od ich ostatniej randki, parę miesięcy temu. Ale chociaż doświadczyli namiętnej nocy gorącego seksu, potem do niej nie zadzwonił.

Annabelle nie podobało się, że ją odrzucił, zwłaszcza że uważała się za dosyć popularną i powinien być zachwycony, mogąc się z nią umawiać.

W Nowym Jorku Armand znany był ze swojej powściągliwości i z tego, że trudno się z nim spotkać. Ale Annabelle miała świadomość, że jest grubą rybą, a zależało jej na stałym facecie. Od czasu, kiedy zerwała z żalonym narkomanem, Frankiem Romano, nie miała nikogo na stałe.

Trochę wcześniej tego wieczoru pokłóciła się ze swoim ostatnim chłopakiem, superagentem Eddiem Falconem. Widywali się dopiero od kilku tygodni, ale dziś przejrzała jego e-maile i odkryła, że Eddie zdradza ją nie z jedną, ale z trzema dziewczynami naraz. Najwyraźniej był Tigerem Woodsem wśród superagentów. Co za dupek! Miała w planie rzucić go i polecieć do Nowego Jorku, ale kiedy dla ochłonięcia przechadzała się po kasynie, trafiła na Armanda.

Kiedy nadarzała się okazja, Annabelle miała zwyczaj z niej korzystać.

– Nie sądziłam, że Lucky kiedykolwiek zechce sprzedać The Keys – powiedziała. – Kiedy to będzie?

– Niedługo – odparł Armand. Poczul, że musi wrócić do willi i wciągnąć jeszcze kilka ścieżek koki, zanim zjawią się dziwki. Powiedział dozorczy, żeby dał mu znać, kiedy przyjadą, i kazał im na siebie zaczekać u niego. Uznał, że za tysiąc dolarowy napiwek dozorca chętnie sam by je zerznął.

– Na pewno idziesz na jutrzejsze przyjęcie – zaryzykowała Annabelle.

– Jakie przyjęcie? – zapytał Armand i pomyślał, że zaprosi ją do willi i spróbuje namówić, żeby go zabawiła razem z płatnymi prostytutkami. Coś takiego może być warte obejrzenia.

– Córczka Lucky, Max, kończy osiemnaście lat. W The Keys będzie wielka impreza – poinformowała go Annabelle. – Powiedziałam mojemu chłopakowi, żeby spadał, więc mogłabym z tobą pójść. Znam rodzinę Santangelo, na pewno ucieszyliby się, że przyszedłam. Chodziłam z Bobbym do szkoły średniej.

- Kim jest Bobby?
- To syn Lucky, prowadzi klub Mood w The Keys. Mój ziomal. Może wpadniemy tam na drinka?

Ziomal. Co to znaczy? Dziewczyna posługiwała się językiem, którego on nie rozumie i na pewno nie chce rozumieć. Ale skoro zna rodzinę Santangelo, to mimo wszystko może mu się przydać.

– Co o tym myślisz? – zapytała Annabelle i przechyliła głowę na bok.

– Myślę, że najpierw powinniśmy iść do mojej willi. Spędzić ze sobą trochę czasu.

Annabelle zastanowiła się nad jego propozycją. Nie miała ochoty na seks, po którym nawet się do niej nie odezwie. O nie, tym razem tak nie będzie.

Z drugiej strony pod względem matrymonialnym Armand był jednym z najbardziej atrakcyjnych kawalerów w Nowym Jorku. Może nadszedł czas, by dać mu jeszcze jedną szansę. Cóż ma do stracenia?

– Na jednego drinka – odpowiedziała chytrze. – A potem idziemy do Mood. Dobry plan?

Armand kiwnął głową.

Dlaczego Bóg pozwolił kobietom mówić? Dlaczego nie mogą trzymać swoich głupich ust zamkniętych na kłódkę?



Kiedy tylko Peggy zdobyła to, na czym jej zależało – serwetkę, w którą Gino kichnął – jak najszybciej chciała skończyć kolację i wrócić do swojego apartamentu.

Ale Paige nawet jej nie słuchała. Podobało jej się towarzystwo Peggy i zaproponowała, żeby przenieśli się do klubu w Cavendishu na coś mocniejszego przed snem.

- Trochę już wyrosłam z klubów – oponowała Peggy.
- Jeśli ja mogę iść, to ty też – wysapał Gino. – Mam dwieście lat, kochana. A z ciebie młódka.

Przez moment Peggy kuśliło, żeby mu przypomnieć ich wspólną

noc przed wieloma laty. Lecz rozsądek zwyciężył i przemilczała.

– Widzisz, jak mam ciężko. Ma niespożytą energię. Prawie nie śpi.

– Co? Miałbym przespać życie? – przerwał jej Gino. – Kiedy odejdę, to nie cichutko w nocy, ale w trakcie jakiegoś zajebistego przyjęcia.

Paige pokręciła głową.

– Ma energię za kilku – powiedziała. – Gdybyśmy mogli pozamykać ją do butelek, zarobiliśmy majątek.

Przez ułamek sekundy Peggy przypomniała sobie, jak Gino się z nią kochał. Był nienasycony. Inni mężczyźni nie umywali się do niego, zwłaszcza król emir, który cierpiał na przedwczesny wytrysk, czym zresztą się w ogóle nie przejmował. W końcu był królem, więc któż śmiałby go krytykować.

– Myślę, że kieliszeczek mi nie zaszkodzi – zgodziła się Peggy. Z torebki wyjęła puderniczkę i sprawdziła, jak wygląda.

– Nieźle, jak na starą babę – rzucił Gino z lubieżnym chichotem.

– A myślałam, że jestem młódką – odcięła się. Przez krótką chwilę wydawało jej się, że w jego ciemnych, wszystkowiedzących, starych oczach dostrzegła błysk rozpoznania.



Carlos, główny dozorca w Cavendishu, dobrze pozbierany Latynos, osobiście odprowadził Luscious i Seductę do willi Armanda Jordana. Od kobiet czuć było tanie perfumy, stęchły pot, papierosy i alkohol. Niezbyt zachęcająca mieszanka.

Carlos zdziwił się, widząc tanie prostytutki. Przecież taki mężczyzna, jak Armand Jordan, na pewno spodziewa się czegoś lepszego niż te dwie?

Luscious paradowała po salonie w czerwonych butach na piętnastocentymetrowych dziwkarskich obcasach, z papierosem zwisającym z nazbyt wydętych ust. Miała gołe nogi, a na jej lewej łydce widniał tatuaż przedstawiający kulturystę, który mruga do kogoś

bliżej nieokreślonego.

– A gdzie jest... mmm... ten pan? – zapytała.

– Zaraz przyjdzie – odpowiedział Carlos. Stwierdził, że nierozsądnie byłoby zostawiać je same w willi. Wyglądały na takie, które pozostawione bez dozoru ukradną wszystko, co nie jest zamknięte na klucz albo przykute. – W tym pokoju nie wolno palić – dodał. – Więc proszę się powstrzymać...

– Do cholery – odpysknęła Luscious i bezczelnie wypuściła mu prosto w twarz kłęb dymu. – Jeśli dostanę raka, obiecuję, że nie zwalę tego na pana.

Seducta zaryczała ze śmiechu i rzuciła się na kanapę. Jedną nierówno pomazaną sztucznym opalaczem nogę przerzuciła przez oparcie. Olbrzymie piersi wyglądały tak, jakby za chwilę miały jej wypaść spod skąpej bluzki, a czerwono-biało-niebieskie stringi znalazły się na widoku.

– Napiłabym się czegoś, skoro i tak czekamy. – Porozumiewawczo mrugnęła do Carlosa.

Spojrzał na zegarek. Ma serwować tej dwójce drinki? Armand Jordan daje znakomite napiwki, ale on, Carlos, nie jest niczym lokajem.

– Pan Jordan niedługo przyjdzie – powiedział. – Od niego zależy, czy chce, żeby panie piły.

– Na miłość boską – jęknęła Luscious. – Daj se pan luz. Tak samo pan tu tyra jak my. Więc wypuść ten kij, któryś pan połknął, i nalej nam te cholerne drinki.

– Tak. Umieram z pragnienia – zgodziła się Seducta i usiadła. – Jeden kielonek. A jak będziesz pan grzeczny, obiecuję pokazać swoje cyculki.

– Nie chcę...

– Eee tam. Chce pan! – powiedziała Seducta, ściągnęła bluzkę i pokazała mu największe sztuczne cyce, jakie Carlos kiedykolwiek widział.

Kobiety były obrzydliwie wulgarne, ale on był w końcu facetem, o czym przypomniało mu nagle poruszenie w spodniach. Zrozumiał, że

musi natychmiast wyjść, bo zrobi coś, co by zhańbiło poślubioną sześć miesięcy temu żonę. Wszystko jedno, co ukradną. Najwyżej doda to do rachunku pana Jordana.

– Berek jest za ladą – rzucił i szybko wycofał się do drzwi. – Niech się panie częstują.

– Cześć, kochanie – zagruchała Seducta i potrząsnęła w jego stronę ogromnymi, nagimi piersiami. – Do zobaczenia!



– Co takiego zaszło między tobą a facetem, z którym przyjechałaś do Vegas? – zapytał Armand, kiedy szli z Annabelle przez kasyno w drodze do jego willi. Nie interesowało go, co miała do powiedzenia, ale w ciągu lat nauczył się udawać, że jest towarzyski. Spraw, żeby cię polubiły, a potem im dował, tylko mocno.

– To jeden z tych hollywoodzkich łajdaków, którym przewróciło się w głowie – jęknęła Annabelle. – Kłamczuch. Zrobił sobie ze mnie maszynkę do wyciągania pieniędzy. Obiecał mi własny reality show, ale kiedy tu przyjechałam, okazało się, że nie tylko kręci z jeszcze jedną celebrytką, ale jeszcze z nią śpi.

Armand mruknął coś ze współczuciem. Jakby mu zależało. Oczywiście było mu wszystko jedno. Miał to gdzieś.

– Opowiedz mi o jutrzejszym przyjęciu. Wspominałaś, że to impreza córki Lucky Santangelo?

– Tak – potwierdziła Annabelle. – Lucky ma bzika na punkcie Max. Chodzi o ego, Max jest młodszą wersją mamy. – Złapała oddech. – Skoro kupujesz The Keys, na pewno jesteś zaproszony. Nie wyobrażam sobie, że mogliby cię nie zaprosić.

– Oddzielam interesy od życia towarzyskiego – stwierdził Armand. – Ale skoro jesteś jedną z nielicznych osób, które wiedzą o moim bliskim zakupie tej cennej posiadłości, prosiłbym cię o dyskrecję. Mam nadzieję, że nikomu o tym nie powiesz.

– Naturalnie – zgodziła się Annabelle, której schlebiali, że powierzył jej tajemnicę, chociaż była rozczarowana, że nie będzie miał

zaproszenia na przyjęcie.

Spojrzała na niego z ukosa. Był przystojnym mężczyzną – nie aż tak jak jej tata, znany gwiazdor – ale w porządku, schludny i zadbany.

Powinien pozbyć się wąsów. Dobrze by mu także zrobiła zmiana uczesania, no i oczywiście ubiera się staromodnie i zbyt oficjalnie. Ale dałaby radę trochę go podrasować. Byłby niezłym trofeum, gdyby go zabrała do Nowego Jorku.

Tak. Dziś wieczorem to załatwi.

Bez najmniejszych wątpliwości.

Rozdział czterdziesty trzeci

Gerald M. był w swoim żywiole, ponieważ brylował przed widownią, która z uwielbieniem chłonęła każde jego słowo. Pławił się w świetle reflektorów, czym uspokajał swoje coraz większe lęki, że traci popularność. Rządzili Diddy, Jay-Z i Akon. A do tego co tydzień pojawiali się jacyś sensacyjni raperzy.

Manager Geralda M. wyszedł z niezbyt subtelną propozycją, by gwiazdor spróbował może coś zmienić. Na przykład nagrać CD ze starymi standardami, jak Rod Stewart, albo zaprosić jakiegoś topowego rapera do wspólnego zrobienia jednej lub dwóch piosenek. Ale Gerald był niewzruszony i takich propozycji nie chciał nawet brać pod uwagę. Jego muzyka to soul. Staromodny soul, który rozpala kobiety do czerwoności i sprawia, że kochają się z mężczyznami.

W Europie nadal był wielką gwiazdą. W Ameryce – już mniej. Chociaż dzisiaj fanki ruszyły hurmem, a jako dowód ich uwielbienia jego asystent zebrał ze sceny niezłą kolekcję majtek.

Gerald M. czuł, że świat ma u stóp.

Cookie wręcz przeciwnie. Max miała rację. Frankie Romano włązi gwiazdom do tyłka. Płaszczyl się przed jej ojcem jak przed jakimś bogiem. Ją kompletnie ignorował, więc była potwornie wkurzona.

Max, która wróciła już do stolika, musiała się ugryźć w język, żeby nie powiedzieć: „Mówiłam ci. Frankie zawsze taki był. Jest

okropny”.

– Co jest z tym gnojkiem? – jęczała Cookie. – Zachowuje się jak jakiś cholerny fan. Nie mogę na to patrzeć!

– Większość ludzi tak się zachowuje przy gwiazdach – rzeczowo stwierdziła Max. – Kiedy Lucky była właścicielką Panther Studios, włożenie jej w tyłek było na porządku dziennym.

– Ale on kompletnie mnie ignoruje – powiedziała Cookie, ciskając z oczu błyskawice.

Max usiłowała się skupić na słowach Cookie, ale z przerażeniem zobaczyła, że właśnie z pompą godną gwiazdy weszła Venus.

Ojej! Najlepsza przyjaciółka Lucky. Wkrótce była żona Billy'ego. Ojej!

Szybko odwróciła się do Cookie i powiedziała:

– Wiesz co, powinniśmy się zmyć i nauczyć twojego chłopaka, że ma się tobą zajmować. Poza tym Bobby się denerwuje, bo nie chce, żebyśmy tu byli ze względu na jego cenną licencję, więc nie możemy nawet tańczyć ani się czegoś napić, a na dokładkę rodzice strasznie się mnie czepiają. Więc może jedźmy do jakiegoś klubu, gdzie nie będą nas ciągle obserwować?

– Dobra – zgodziła się Cookie i obrzuciła Frankiego wściekłym spojrzeniem. – Chodźmy. Niech Frankie Romano wie, z kim zadziera.



Kiedy Denver usiadła przy Lucky Santangelo, poczuła, że odżywiają wszystkie jej niepewności. Bobby właśnie jej powiedział, że ją kocha, po czym natychmiast przeszkodziła im irytująca, niegrzeczna Max, a teraz podeszli do nich Lucky i Lennie Golden. Była oszołomiona, tym bardziej że Lucky odniosła się do niej bardzo miło i przyjaźnie, nie wspominając już o tym, jak pięknie wyglądała.

Lennie podobnie.

– Więc – powiedziała Lucky do Bobby'ego, jednocześnie przyjaźnie uśmiechając się do Denver. – To jest ta kobieta, którą trzymałeś w tajemnicy.

– W żadnej tajemnicy – odpowiedział Bobby, uśmiechając się z zazenowaniem. – Przecież się już znacie?

– Widziałyśmy się może raz – stwierdziła Lucky, siorbiąc martini. – Bardzo krótko.

– My na pewno się nie poznaliśmy – powiedział Lennie i wyciągnął dłoń w stronę Denver. – Bardzo mi miło. Gdzie Bobby panią chował?

Chociaż Denver już przedtem czuła się skrepowana, teraz całkiem straciła grunt pod nogami. Lennie Golden to niesamowity człowiek. Od dawna była fanką jego filmów, co jeszcze pogarszało sprawę. Co za trudna, kłopotliwa sytuacja. Nie wystarczy, że jutro wieczorem wszyscy będą razem?

O Boże! Dlaczego nie jest w związku z wyluzowanym, mało skomplikowanym Samem? Po co wybrała Bobby'ego?

A może to on ją wybrał?

Nie wiedziała. Nie była pewna. Wszystko jej się pomieszało.

– Bobby mówił, że jest pani prokuratorem okręgowym – zaczęła Lucky i pochyliła się w stronę Denver, jakby naprawdę interesowała ją odpowiedź.

– Mmm... właściwie to zastępcą prokuratora okręgowego – powiedziała Denver. – Tak nas... nazywają.

Świetnie. Gadam zupełnie jak idiotka, która przyjechała do Vegas z jedną suknią – i co teraz założę na jutrzejszy wieczór? A mama Bobby'ego jest taka piękna, że aż brak słów – szczupła i seksowna w skąpej bluzce i czarnych skórzanych spodniach. Na umięśnionej, pięknie opalonej ręce ma mnóstwo bransoletek z diamentami, a na palcu wielki pierścień zaręczynowy ze szmaragdem. Wygląda jak jakaś egzotyczna supermodelka.

– Powinna pani poznać mojego brata, Stevena – powiedziała Lucky. – Teraz mieszka w Rio, ale kiedy przyjedzie, musimy się wszyscy spotkać.

Co, do diabła? Chce mnie z nim zeswatać? Proszę, nie!

– Steven kiedyś był adwokatem, a potem zmienił specjalność i został prokuratorem okręgowym – pośpiesznie dorzucił Bobby, który

zauważył jej zmieszanie.

– Naprawdę? – mruknęła Denver.

– Tak – potwierdził Bobby. – Macie chyba ze sobą wiele wspólnego. Steven zaczął jako adwokat, a potem stwierdził, że to nie dla niego. Zupełnie tak samo jak ty.

– Była pani adwokatem? – spytał Lennie. On także wyglądał na szczerze zainteresowanego.

– Tak – wykrztusiła. – W firmie Saunders, Fields, Simmons & Johnson w Beverly Hills.

– I zrezygnowała pani, bo...?

– Pracowałam przy obronie Ralphi Maestro. Sprawa się... skomplikowała.

Boże. Naprawdę siedzi w klubie nocnym w Vegas i ucina pogawędkę z samym Lenniem Goldenem.

– Wyobrażam to sobie – powiedział Lennie, a potem sięgnął po dłoń Lucky i ją uściśnął.

Wyglądają na idealną parę, pomyślała Denver. Nadal się kochają i wcale nie usiłują tego ukryć.

Czy ona i Bobby kiedykolwiek będą aż tak blisko?

Tak! Przestań się trząść ze strachu i ciesz tym, co udało nam się razem stworzyć.

Nie zdążyła jeszcze bardziej dodać sobie odwagi, gdyż oto nadszedł test w postaci bardzo zgrabnej, dobrze wyposażonej w damskie atuty brunetki w obcisłym stroju, która podeszła do Bobby'ego od tyłu, zasłoniła mu oczy dłońmi z nieskazitelnym manikiurem i zapytała:

– Zgadnij, kto to?

Bobby postąpił nienagannie. Nie spanikował, zachował spokój, zdjął z oczu dłonie dziewczyny, podniósł na nią wzrok, powiedział:

– Cześć, Gia – i bezzwłocznie spytał: – Znasz moją dziewczynę, Denver?

Uśmiech na twarzy Gii zastygł. Denver prawie widziała myśli, które przebiegały jej przez głowę. Dziewczyna? O co chodzi? Bobby lubi przecież się zabawić. Ale chyba nic z tego.

Bobby nie pozwolił jej dokończyć. Wstał i wyprowadził ją z szafasu.

– Ryzyko zawodowe – sucho stwierdziła Lucky, która zauważyła, jak niezręcznie poczuła się Denver.

– Słucham? – powiedziała Denver, siląc się na wesołość.

– Dziewczyny, które rzucają się na szefa przystojniaka – wyjaśniła Lucky.

– Ja się tym nie przejmuję – z udawaną beztróską stwierdziła Denver. Ostatnia rzecz, jakiej pragnęła, to litość ze strony Lucky.

– Ja też nie – odpowiedziała Lucky. – Na Lenniego co rusz rzucają się jakieś dziewczyny. A przynajmniej kiedyś się rzucały.

– Chwileczkę – przerwał Lennie i pokręcił głową. – Co to znaczy kiedyś? Potrzebuję kija, żeby się od nich opędzać.

– Jasne, mój miły – mruknęła Lucky. – Byle ci ten kij nie wywdrował ze spodni. Bo inaczej...!

– Inaczej co?

– Dobrze wiesz.

Chichotali jak para urzeczonych sobą nastolatków. Denver poczuła się jak intruz, obserwując tak intymną scenę. Nigdy w życiu nie widziała, żeby dwoje ludzi tak bardzo cieszyło się sobą.

Bobby wrócił do stolika. Przystojny Bobby, taki seksowny w czarnej koszuli i czarnych spodniach. Ciemne włosy, żywe oczy, silna szczeka. Tak, jest magnesem dla dziewczyn, nie ma wątpliwości.

– Przepraszam cię, kochana – powiedział i usiadł.

– Twoja stara dziewczyna? – zapytała Denver, choć jej własne słowa od razu wydały jej się dziwne. Powinna raczej powiedzieć: młoda, seksowna dziewczyna, która wygląda, jakby dopiero co wyszła z katalogu „Victoria's Secret”.

– Spotkaliśmy się kilka razy – przyznał Bobby. – Nic poważnego. I zapewniam cię, że to było przed nami.

– Przed naszym związkiem – mruknęła Denver i zwięźle dodała:

– Wiesz, że ja też mam byłych chłopaków.

– Oczywiście – powiedział Bobby zgodnie. – Gdyby się pojawili, najchętniej dołożyłbym im w maskę.

- Naprawdę?
 - Zrobiłbym to, gdybym musiał.
- Spojrzeli na siebie porozumiewawczo.
- A ja co mam zrobić z twoimi byłymi dziewczynami?
 - Zignoruj je – stwierdził Bobby. – Jestem z tobą i właśnie tak ma być. – Objął ją ramieniem i przyciągnął blisko do siebie. – Mam nadzieję, że ty też tak myślisz.
 - Tak – szepnęła. – Wiesz, że tak.



Cookie i Max z historycznym chichotem wgramoliły się do taksówki, a obok nich usiadł nachmurzony Ace. Nie był zadowolony, że przykleiła się do nich Cookie, ale cieszył się, że uciekli od Geralda M. i tłumu jego wielbicieli. Przebywanie z takimi ludźmi daleko odbiegało od ideału tego, co lubił robić.

- Dokąd jedziemy? – spytał.
- Znam klub dla ludzi poniżej dwudziestu jeden lat. Nie podają alkoholu, ale muza jest znakomita – powiedziała Max i pomyślała, że teraz trzeba im dokładnie tego, powinni się wyszaleć w tańcu. – Nowy przyjaciel Harry'ego, Paco, ma tam dzisiaj być didżejem. Zobaczmy, jak mu idzie.

– No to na co czekamy? – zapytała Cookie, przeglądając swoje SMS-y, żeby sprawdzić, czy Frankie już za nią zatęsknił.

Ale nie.

No cóż, nic dziwnego. Nie ma czasu, przecież jest zajęty. Składa hołd Geraldowi M.

- Kto chce jointa? – zapytała i zaczęła gmerać w torebce.

Ace pokręcił głową, a Cookie znalazła, czego szukała, i zapaliła sobie.

- W taksówce? No wiesz co? – powiedział zde gustowany Ace.
- Zdenerwowała się – szepnęła Max. – Poza tym to tylko jeden joint. Nikt nas za to nie wsadzi do więzienia.
- Jesteś niesamowita – gderał Ace. – Jadę taki kawał i oto, gdzie

ląduję.

– Przepraszam – odparowała Max. – Ale przecież wiesz, że się ciebie nie spodziewałam.

– Wielkie dzięki za miłe powitanie – powiedział niewzruszony. Zły humor Ace'a zaczął się jej udzielać. Nie wystarczy, że rzucił ją Billy? Musi jeszcze znosić Ace'a i jego marudzenie.

– Nie może chłopak wyluzować i po prostu się bawić?

Rozdział czterdziesty czwarty

Czy to mała Max przed chwilą stąd wybiegła? – zapytała Venus i dołączyła do szybko rosnącego towarzystwa w szalasiu koło basenu klubu Mood.

– Nie mów mi, że już wyszła – powiedział Lennie i się skrzywił.
– Co za dzieciak, prawie jej nie widuję.

– Kochający tatuś – westchnęła Venus i usiadła przy nich. – Czy wolno mi powiedzieć, że pan, panie Golden, jak zwykle wygląda świetnie? Od czasu, kiedy cię poznałam, wcale się nie zmieniłeś.

– To samo mógłbym powiedzieć o tobie, Venus.

– Więc powiedz.

– Wyglądasz nadzwyczajnie jak na starą...

– Lennie! – ostrzegła go Lucky.

– Tylko się z nią droczę. Lennie uśmiechnął się szeroko. – Ona dobrze to wie.

– Oczywiście, że tak – odparła Venus i się uśmiechnęła. – Łączą nas z Lenniem bardzo szczególne relacje.

– Mam nadzieję, że nie nazbyt szczególne – stwierdziła Lucky.

– A jak myślisz? – spytała Venus. Potem znów zwróciła się do Lenniego i dodała: – Jak ci idzie film?

– Jeszcze dwa tygodnie ciężkiej pracy i wracam do LA – odpowiedział i podniósł drinka.

– Mniej więcej na pięć minut – zażartowała Lucky, włączając się

do rozmowy. – Wszyscy wiedzą, jaki jest Lennie. Za chwilę znów gdzieś wyjedzie. Nie potrafi długo zagrazać miejsca. Tak jest skonstruowany.

– A tobie się to podoba – skwitował Lennie.

– Mój mąż pracoholik – westchnęła Lucky. – Co nie znaczy, że za tobą nie tęsknię.

– Wiem, kochana – powiedział Lennie. – Ale gdybyśmy cały czas byli razem, rzucilibyśmy się sobie do gardeł.

– To prawda – zgodziła się Lucky.

– Mógłbyś napisać coś dla mnie – tęsknie odezwała się Venus. – Wiesz, że uwielbiam z tobą pracować, Lennie.

– Uważaj, bo się zgodzę, żebyś była z moim starym sama w plenerze, zwłaszcza przy tych szczególnych relacjach – zażartowała Lucky. – Przecież wiesz, co mówią o najlepszych przyjaciółkach?

Denver była w szoku, słuchając, jak się przekomarzają. Nie dość że siedzi ze słynnymi rodzicami Bobby'ego, to jeszcze dołączyła się do nich supergwiazda Venus! Wszystko nabierało surrealistycznego posmaku. Nie żeby nie spotkała wielu gwiazd w trakcie pracy w firmie Saunders, Fields, Simmons & Johnson, w końcu byli jednym z głównych biur adwokackich w Beverly Hills. Z ramienia firmy broń ludzi o znanych nazwiskach. Ale to zupełnie co innego. Znalazła się w sytuacji, gdzie była z nimi blisko, na bardzo osobistym stopie.

Bobby pochylił się w jej stronę i wyszeptał jej do ucha:

– Wyjdziemy, jak tylko pojawi się M.J.

– Mogę na to liczyć? – szepnęła w odpowiedzi.

– Tak. Siedź spokojnie. Mam parę rzeczy do załatwienia.

I już go nie było. Zniknął w przyprawiającej ją o zawrót głowy mieszanie głośnej muzyki, lamp stroboskopowych i stukających o siebie kieliszków.

– Cześć. – Usłyszała czyjś głos.

Odwróciła się w stronę mężczyzny, który do niej podszedł. Był idealnie przystojny, jak jakiś model, i bardzo młody.

– Nazywam się Jorge – powiedział z silnym akcentem. – Przyszędłem z Venus.

– O, cześć – odparła. Zauważyła, że czuje się podobnie skrępowany i nie na miejscu jak ona.

– A ja nazywam się Denver. Jestem z Bobbym.

– Z Bobbym? – spytał, jakby go nie znał.

– Hmm... Znasz Lucky?

– Lucky? – Pokręcił głową. Jego ujmujące, smutne oczy przypominały oczy zagubionego psiaka.

– Lucky to przyjaciółka Venus – wyjaśniła Denver. – Jest mamą Bobby'ego, a Bobby to mój chłopak.

Słowo „chłopak” natychmiast ją spięło, było rodem prosto ze szkoły średniej. Ale on jest jej chłopakiem, chociaż lepszym określeniem byłoby słowo „kochanek”.

– Aaa – mruknął niewyraźnie Jorge.

Wypadałoby, pomyślała Denver, żeby Venus przedstawiła wszystkim swego towarzysza, zamiast tak się spoufalać z Lenniem Goldenem.

Musiała przyznać, że Lennie na żywo ani trochę jej nie rozczarował. Co prawda jest starszym mężczyzną, ale ma w sobie nieuchwytny seksapil w stylu George'a Clooneya. Lucky naprawdę ma wszystko. Rewelacyjny hotel i kasyno, wspaniałą rodzinę i mądrego, utalentowanego męża. Czego więcej może chcieć kobieta?

– My tańczyć? – zaproponował Jorge zadziwiająco niskim głosem.

Czy to ją prosi? I czy ona zrobi obciach, jeśli się zgodzi?

Już wstał i był gotowy do tańca. Nie mogła tak go zostawić.

– Jasne – odpowiedziała i spojrzała na Venus, która nawet nie została jej przedstawiona. Platynowowłosa gwiazda zajęta była rozmową z Lucky i Lenniem. Czy Venus w ogóle zauważy, że nie ma jej chłopaka?

Pewnie nie.

Niewiele więcej myśląc, wstała i poszła za Jorgem na zatłoczony parkiet. Bobby nie tańczy; na samym początku związku powiedział, że tego nie lubi. Przynajmniej jedna rzecz, w której nie jest fantastyczny.

Z drugiej strony ona uwielbiała taniec, a ponieważ Jorge też, wkrótce bawili się przy piosenkach Brunona Marsa i Alicii The Keys.



Wonderball był jednym z najpopularniejszych klubów przy Las Vegas Strip, a to z powodu swojej polityki niewprowadzania alkoholu czy narkotyków. Każdy, kto zapłacił dwadzieścia pięć dolarów za wejście, mógł tańczyć, aż padał z nóg. Wonderball miał kapele na żywo i gościnnie występujących didżejów. Oczywiście miała tam swoje macki mafia i szmuglowano alkohol oraz narkotyki.

Kiedy Max, Cookie i Ace tam dotarli, klub był już wypełniony po brzegi. Ledwie weszli, przyszedł dyżurny strażak i powiesił nad drzwiami tabliczkę: NIE MA MIEJSC.

– Całkiem tu niezłe – stwierdziła Cookie, rozglądając się po ogromnej sali wypełnionej wijącymi się, spoconymi ciałami.

Muzyka grała tak głośno, że w ogóle nie dało się rozmawiać. – To mi się podoba! – wrzasnęła i ruszyła w stronę parkietu. – Szaleństwo w moim stylu.

– Spróbujemy znaleźć Harry'ego i Paca. – Max usiłowała przekrzywić hałas. – Jeśli gra Paco, będziemy się kręcić koło budki. Tam się spotkamy.

– Dobra – zgodziła się Cookie. Tańczyła, a jednocześnie sprawdzała komórkę, co przypomniało Max, że swojej nie włączyła jeszcze po samolocie.

Szybko to zrobiła i od razu zauważyła, że ma kilka wiadomości.

Pierwsza była od jej dwóch młodszych braci, którzy przesyłali jej życzenia urodzinowe ze swojej podróży po Europie. Druga od siostrzenicy Bobby'ego, Brigitte. A trzecią napisał Billy.

TAK, BILLY!

Serce w niej podskoczyło. Kiedy Billy do niej napisał? Dlaczego jej to umknęło?

Do cholery!

Z drżącymi rękami czytała wiadomość.

„Cześć, to ja, Billy. Gdzie jesteś?”

JESTEM TUTAJ. TUTAJ!

„Usiłowałem się z Tobą skontaktować”.

NAPRAWDĘ?

„Jestem w Vegas”.

OJEJ!

„Chcę się z Tobą zobaczyć. Zadzwoń”.

– Co robisz?! – wrzasnął Ace tak głośno, żeby przekrzyczeć hałas.

– Nic – powiedziała szybko i w pośpiechu wyłączyła telefon.

– Będziemy szukali Harry'ego, czy jak? – spytał Ace.

– Jasne! – krzyknęła i zaczęła się zastanawiać, jak się wyrwać.

Billy przyjechał i najważniejsze było dla niej teraz, żeby się z nim zobaczyć.



Bobby spotkał M.J.-a i Cassie przy drzwiach. Towarzyszył im mężczyzna w drogim garniturze i przyciemnionych okularach lotniczych. Miał gładko zaczesane do tyłu włosy, a zachowywał się tak, jakby byli z Bobbym starymi przyjaciółmi.

– Eddie Falcon – przedstawił się Bobby'emu i podał mu rękę. – Bywaliśmy razem u Brettana Rantera. Ty bawiłeś się z dwoma króliczkami z „Playboya”, a ja byłem solo.

Króliczki z „Playboya” nie były w stylu Bobby'ego. Nie miał pojęcia, kim był ten Eddie Falcon, i niezbyt go to obchodziło.

M.J. opowiedział mu wszystko, kiedy szli do stolika.

– Eddie to ten agent, z którym Cassie chce podpisać kontrakt – wyjaśnił. – Mówi, że ma branie.

– Znów coś zdarzyło się nie w porę? – zauważył Bobby.

– Myślę, że umowa z agentem ją uszczęśliwi – tłumaczył M.J. – Potem może pracować nad muzyką, a jednocześnie być w ciąży. Lubi pisać własne piosenki, więc może tak będzie dobrze.

Czasami Bobby nie posiadał się ze zdziwienia, że M.J. jest tak

zaślepiiony, jeśli chodzi o żonę.

Dziewczyna nie chce teraz mieć dziecka. Interesuje ją tylko kariera. Bobby miał niemal pewność, że nic, co powie albo zrobi M.J., nie zmieni jej nastawienia. Podpisanie kontraktu z ugrzecznionym, wygadany agentem jeszcze bardziej utwierdzi Cassie w przekonaniu, że na pierwszym miejscu należy postawić karierę.

Nie mój problem, pomyślał Bobby. Muszę się stąd zabierać, żeby spędzić z Denver kilka romantycznych chwil we dwoje.

Kiedy zastanawiał się, co zrobić, żeby wziąć ją na ekstatyczną wyprawę do krainy uniesienia, ktoś poklepał go po ramieniu i odezwał się dobrze znanym głosem:

– Cześć, chłopaki, to ja, Frankie. Wróciłem.

Rozdział czterdziesty piąty

Peggy nie bardzo miała ochotę na drinka z Paige i Ginem. Jak prawdziwy detektyw nastawiła się, żeby natychmiast coś zrobić ze swoją pierwszą próbką DNA. Potem przyszło jej do głowy, że potrzebuje jeszcze próbki Armanda. Powiedział, że ma ważne spotkania, więc może wślizgnie się do jego sypialni i zgarnie kilka kosmyków z jego szczotki do włosów...

Wiedziała już, gdzie znajdują się wille, więc im prędzej tam dotrze, tym lepiej. Ale Gino, mimo poważnego wieku, wcale nie chciał zwolnić. Ten człowiek to wybryk natury. A w dodatku czy jej się wydaje, że Paige, która pije już czwarty kieliszek wina, trochę zanadto się z nią spoufala?

Peggy udała, że ziewa, i powiedziała:

- Naprawdę bardzo was przepraszam, ale funkcjonuję jeszcze według czasu nowojorskiego i nie mam już siły.
- Pozwolimy ci iść pod jednym warunkiem – burknął Gino i puścił do niej oko. – Więc posłuchaj.
- O co chodzi? – uprzejmie zapytała Peggy.
- Jutro znowu zjemy razem kolację.
- Gino – przypomniała mu Paige. – Jutro jest przyjęcie Max.
- No to Peggy przyjdzie na przyjęcie – wielkodusznie zaferował Gino i znowu do niej mrugnął.

Czy to możliwe, że pamięta ich namiętą noc? To było bardzo

dawno temu, ale...

- Będzie mi bardzo miło – powiedziała Peggy i wstała.
- W takim razie rano do ciebie zadzwonię – odparła Paige, i ni z tego, ni z owego, zanim Peggy zdążyła zareagować, pocałowała ją prosto w usta.

Po tym wszystkim Peggy szybko ich opuściła.



Dozorca Carlos miał rację co do Luscious i Seducty. Korciło je wszystko, co nie było przybite gwoździami.

Seducta miała przy sobie dużą torbę ze sztucznej skóry, którą niedawno zwinęła z K-Martu. Było w niej wystarczająco dużo miejsca na jej ulubione gadżety potrzebne do całonocnej orgii płatnego seksu. Kondomy, podwójny czarny sztuczny członek i tyle lubrykantu, że można by zadowolić słonia. Ale kiedy przeszła się po willi, znalazła jeszcze miejsce, żeby dorzucić kilka kostek drogiego hotelowego mydła, parę kryształowych kieliszków z barku, różne przekąski i miniaturowe buteleczki z alkoholem z minibarku, a ponadto dwie marmurowe popielniczki i kilka rolek papieru toaletowego. Wszystko się przyda. Poza tym cóż w tym złego, że przywiezie Mickeyowi prezenty?

Luscious była bystrzejsza. Poszła do sypialni i przekopała osobiste rzeczy Armanda. Wzięła nowy, jeszcze zapakowany jedwabny krawat i dwie pary spinek do mankietów, które wyglądały na zrobione z litego złota. Koleś nawet nie zauważył. Ma tyle rzeczy. Stanowczo za dużo.

Luscious zastanawiała się, kto to może być. Było oczywiste, że dziany facet. Pewnie chciał, żeby skuteczniły pokaz, skoro zamówił dwie dziewczyny.

Kolejna noc. Następny zbok.

Luscious nie miała nic przeciwko temu. Byle Seducta umiała się zachować. Jeszcze nigdy razem nie pracowały przed facetem. A tu przecież trzeba utrzymać odpowiedni rytm, żeby klient był zadowo-

lony i wszystko dobrze się skończyło.

Luscious doskonale umie to robić. Pytanie tylko, czy Seducta też?



Kiedy budowano hotel Cavendish, na okalającym go terenie architekci zaprojektowali kilka luksusowych willi przeznaczonych wyłącznie dla najlepszych gości. Gwarantowały prywatność i dyskrecję, można do nich było dojechać wózcikiem golfowym, a jeśli goście chcieli zażyć ruchu, mogli przejść się ścieżką, która wiała się wśród bujnej roślinności.

Armand wolał spacer. Annabelle szła obok niego.

– Czy to daleko? – zapytała po kilku minutach truchciku. – Moje buty od Jimmy'ego Choosa nie są przeznaczone do chodzenia.

Armand zignorował ją; miał tyle innych rzeczy na głowie. Dozorca napisał mu SMS-a z informacją, że kobiety, które zamówił, czekają w jego willi. Być może seks rozjaśni mu w głowie.

Nie mógł się doczekać miny Annabelle, kiedy zobaczy, że nie są sami.

Ucieknie?

Czy zostanie?

Koniecznik musi zostać. Zna rodzinę Santangelo, więc może być przydatna. Ignorowanie jej nie leży chyba w jego interesie.

A co jest w jego interesie?

Głowę miał pełną dzikich myśli na temat morderstwa Lucky Santangelo. Chciał ją widzieć martwą. Zastrzeloną. A kula powinna uderzyć prosto w usta, te, które miały czelność go obrazić.

Ale jak to załatwić?

Fouad mu w tym nie pomoże. Jest rozmazanym lokajem, który myśli tylko o sobie. Armand był wściekły, że po tylu latach nie może na nim polegać.

Za odpowiednio dużą sumę da się to załatwić, ale jak znaleźć właściwą osobę? Czy internet może się tu przydać? Nie, raczej nie.

– Mówiłam, że bolą mnie nogi – powtórzyła Annabelle, która

chciała, żeby nieco bardziej zwracał na nią uwagę.

– Zdejmij buty – zaproponował i zatrzymał się na chwilę. – Gołe stopy bywają podniecające.

– O nie – dla zgrywu jęknęła Annabelle, mając nadzieję, że on się przynajmniej uśmiechnie. – Nie mów mi, że fetyszyzujesz stopy.

– Przeszkadzałoby ci to?

Annabelle chwilę się zastanowiła, a potem oparła się o niego przy zdejmowaniu szpilek. Fetyszyzuje stopy czy nie, zagięła na niego haka i tym razem nie da mu się ulotnić.

Armand skorzystał z okazji, żeby ją zmusić do pocałunku. Językiem przedarł się do jej ust, ręką sięgnął w dół, brutalnie wdarł się pod spódnicę i skierował do strefy zero.

Zdziwiła się, ale nie oponowała. Przynajmniej się nią interesuje. To jej szansa i tym razem musi dopilnować, żeby jej się udało, ponieważ niestety ma problemy finansowe. Po publikacji nieco skandalizującej książki ojciec odciął jej kasę, a pieniądze nie za bardzo spadały z nieba, co znaczyło, że potrzebowała mężczyzny w rodzaju Armanda Jordana, który by ją utrzymywał i uczynił wiarygodną.

Armand miał wszystko, czego chciała. Pieniądze. Władzę. Pozytywną społeczność. A kiedy zostanie właścicielem The Keys, ona będzie miała własny ośrodek do zabawiania przyjaciół. Czy może być coś lepszego?

– Spokojnie – szepnęła, kiedy grube palce Armanda przepychały się przez stringi i wchodziły jej do cipki, która nie była ani mokra, ani chętna. Jakoś się rozkręci. A czemu by nie?

Armand Jordan to gruba ryba wśród potencjalnych mężów.



Peggy bez trudu namówiła recepcjonistę, by za pięćdziesiąt dolarów zawiózł ją wózkiem golfowym do willi Armanda, a potem otworzył drzwi swoim kluczem. Kto by się bowiem spodziewał, że ta elegancka dama obwieszona drogą biżuterią jest kimś innym niż osobą, za którą się podaje? Powiedziała, że jest matką Armanda

Jordana i musi zabrać ważne papiery z willi syna. Nie miał powodu, aby jej nie wierzyć.

– Mam na panią zaczekać? – spytał recepcjonista.

– Bardzo bym była wdzięczna – odpowiedziała Peggy, której nie chciałoby się iść kawał drogi pieszo do głównego budynku hotelu. – Zajmie mi to dosłownie jedną, dwie minuty.

Kiedy weszła do willi, doznała szoku na widok dwóch kobiet o bardzo podejrzanym wyglądzie. Siedziały rozwalone na wysokich stolkach przy barze, piły koktajle i paliły.

Luscious i Seducta były równie zszokowane na widok Peggy.

– Czego? – zapytała Seducta i poprawiła swoje mamucie cyce, które chciały jej uciec spod za małej o kilka rozmiarów, zielonej jak limonka bluzki z odkrytymi plecami. Luscious, która był nieco bystrzejsza, szybko zapytała:

– On jest w drodze. A kim pani jest?

Peggy wyprostowała się. Usiłowała ukryć rozczarowanie, że syn zadaje się z tego typu kobietami. Z pewnością nie były to damy – przypominały raczej uliczne prostytutki w rodzaju tych, które oglądała w serialu *Prawo i porządek*.

– Jestem matką Armanda – wyniośle powiedziała Peggy i ruszyła w stronę pokoju, który wyglądał na sypialnię.

– Zboczona – mruknęła Seducta.

– Ciii – zbesztła ją ochryplym szeptem Luscious. – Stara chyba tu nie zostanie.

– W co myśmy się właściwie wpakowały? Jakiś rozochocony, stuknięty maminsynek?

Seducta wzruszyła ramionami. Sama nie wiedziała.

Po kilku chwilach Peggy wyszła z sypialni i szybko skierowała się do drzwi. Wzięła to, po co przyszła, a nie miała ochoty nadziać się na Armanda, zwłaszcza w obecności tych dwóch strasznych kobiet. Była tak zdegustowana, że nie miała nawet ochoty nic przed wyjściem powiedzieć.

Przysięgła sobie, że jutro usiądzie z Armandem i omówi jego gust co do kobiet. Może i jest dorosłym mężczyzną, ale widać jak na dłoni,

że najwyższy czas, aby ktoś mu doradził.

Jest jego matką.

Ma do tego prawo.

Rozdział czterdziesty szósty

Moglibyśmy jeszcze zaliczyć jakiś klub – zaproponował Kev.

– Niby po co? – spytał Billy.

– Co jest z tobą, do cholery, stary? – Kev zmrużył oczy. – Zachowujesz się, jakby nic ci się nie chciało.

– Może właśnie tak jest – odparł Billy. Zwyczajnie nie czuł bluesa do zabawy, a im dłużej był z Kevem, tym bardziej przyjaciół działał mu na nerwy. Z niektórych ludzi po prostu się wyrasta. Jednym z nich był Kev.

– Jesteśmy w Vegas, człowieku, Vegas, do cholery! – powiedział Kev, dając upust frustracji. – W kraju cipkami i miodem płynącym.

– No to idź się nimi nacieszyć – poradził Billy. – Ja wracam do hotelu.

– A to niby dlaczego? – zdziwił się Kev. – Powinniśmy zdemolować to miasto, rozwalić je na strzępy.

– Już powiedziałem, idź sam. Nie jestem ci potrzebny.

– No wiesz...? – Kev próbował go skusić, czując, że umyka mu sprzed nosa wieczór rozpustnej zabawy. – Na cipki działasz jak magnes. Dziewczyny robią się mokre od samego patrzenia na ciebie.

– Dzięki, Kev. – Billy był nieugięty. – Opisałeś mój talent dokładnie tak, jak tego pragnąłem.

– Przecież to komplement, do cholery!

– Tak, tak. Przynęta na cipki. – Billy z każdą minutą stawał się coraz bardziej poirytowany. – Właśnie na taki komplement miałem nadzieję.

– Nie zrozumiem tego źle – powiedział Kev, który w końcu zrozumiał, że wkurza Billy'ego i czas się wycofać.

– Więc jak powinienem to zrozumieć, Kev?

– Okay, okay, dobra, wracamy do hotelu.

– Możesz zostać i robić, co tylko chcesz. Nie potrzebuję przecież opieki.

– Moim zdaniem potrzebujesz. W hotelowym holu jest pełno kawalerskich przyjeńców. Muszę cię chronić.

Zadzwoiła komórka Billy'ego. Odwrócił się plecami do Keva, wyjął ją z kieszeni i odebrał.

– Cześć – powiedziała Max bardzo dziewczęcym, podnieconym głosem. – To ja. Co ty tu w ogóle robisz?



Chociaż Jorge był dobrym tancerzem, Denver po chwili wyczuła, że chłopak umiera z potrzeby pogadania. Bardzo dobrze wyczuwała ludzi, a ten biedak wyglądał na zrozpaczonego – jakby sytuacja, w której się znalazł, znacznie przekraczała jego możliwości i nie wiedział, co robić.

– Od jak dawna jesteś z Venus? – zapytała. Właściwie jej to nie interesowało, ale chciała z nim pogadać.

– Od dzisiaj. Dziś wieczór – powiedział Jorge i bezradnie wzruszył ramionami. – Nie wiem, co będzie jutro.

– Jeśli Venus zabrała cię do Las Vegas, to pewnie bardzo jej się podobasz – dodała mu otuchy Denver.

– Nie zwracać na mnie uwagi – ze smutkiem stwierdził Jorge. – Przy ludziach traktować mnie jak zwierzątko domowe. Jak mały piesek.

– Ojej – współczująco powiedziała Denver. – To nie w porządku.

– Nawet mnie nie przedstawiać – żalił się Jorge. – Jakbym być nieważny.

– Venus jest wielką gwiazdą. Jestem pewna, że nie robi tego specjalnie.

– My zobaczyć – z rezygnacją powiedział Jorge. – Ja jechać daleko, żeby być w Ameryce, zrobić tutaj sukces.

Potem, nie zważając na to, czy Denver chce go słuchać, Jorge opowiedział historię swego życia.

Denver zrozumiała, że znalazła się w pułapce, ale postanowiła go wysłuchać.



Frankie Romano robił niezłe widowisko ze swojego samochwalstwa.

– Co słyhać? – spytał Bobby'ego i M.J.-a. Ucieszył się ze spotkania.

– Stara bida – odpowiedział M.J. i starzy kumple wymienili uderzenie pięścią.

– Hej! – Bobby powtórzył ten sam gest. – Kopę lat.

– Hej, chłopaki, wcale się nie zmieniacie – stwierdził Frankie. Drgała mu lewa powieka. – Kurza stopa! Obaj dajecie czadu. Niezłe z was ogiery.

– Ty też dobrze wyglądasz – odwzajemnił się Bobby, chociaż wcale tak nie myślał.

– Słyszeliście? – powiedział Frankie. – Otworzyłem własną budę w LA. Nazywa się River. Oczywiście do Mood się nie umywa. Wasz klub jest spektakularny. Ma basen, światła i ten widok. Ale musicie mnie pochwalić, bo w końcu wzięłem się w garść, prowadzę własny klub i idzie mi świetnie.

Bobby słyszał o River wszystko. Chodziło się tam po narkotyki – dostępny był pełen asortyment, co tylko można sobie wymarzyć. Koka, metamfetamina, metakwalon, ecstazy, trawka, pigułki. Tak, oczywiście, że świetnie mu się wiedzie. W LA nietrudno o klientów.

Właściwie każdy jest od czegoś uzależniony – a niektóre problemy nie są nawet tajemnicą.

Bobby powiedział kiedyś M.J.-owi w żartach, że lepiej by wyszli na otwieraniu ośrodków odtruwających niż klubów. Miał wrażenie, że celebryci wydają tysiące dolarów tygodniowo, żeby sprawiać wrażenie, że są czysti. Oczywiście w ośrodkach leczących uzależnienia nielegalne kontakty z dealerami i handel narkotykami rozwijały się lepiej niż gdziekolwiek indziej. Po tygodniu i tak wszyscy ćpali.

– Ekstra, że się widzimy – powiedział Frankie. – Tęskniłem za waszymi uśmiechami.

– Cieszę się, że dobrze ci idzie – odparł Bobby bez zaangażowania. Sam fakt, że Frankie przyszedł do jego klubu, nie oznacza, że znowu będą kumplami. Te czasy minęły. W pewien sposób tęsknił za Frankiem. Ale z drugiej strony był zadowolony. Rozstali się, bo Frankie przestał panować nad uzależnieniem od koki, a sądząc po tym, jaki był chudy i wyniszczony, niewiele się zmieniło.

– Przyjechałeś na boks? – spytał M.J.

– Jeśli uda mi się dostać bilet koło ringu – odparł Frankie. – Macie jakieś możliwości?

– Szczerze mówiąc – zaczął M.J., który zawsze był miły – może uda mi się ci w tym pomóc.

– To jest kumpel. – Frankie klepnął M.J.-a po plecach. – Zawsze trzymałeś rękę na pulsie. À propos, dalej jesteś żonaty?

– Pewnie – odpowiedział M.J. – Małżeństwo to odlot, stary.

– A ty, Bobby? – Frankie łyknął wódki z kieliszka, który trzymał w ręce. – Dalej trzymasz się tyłka tej prawniczki?

– Jeśli chodzi ci o Denver – powiedział Bobby, zły, że Frankie odzywa się tak obraźliwie – to tak, oczywiście jesteśmy razem.

– Hej, to super. Ja nie mogę z żadną za długo wytrzymać. Annabelle była moim ostatnim dużym błędem. – Znowu łyknął wódki i zerknął na swój stolik, żeby się upewnić, że nic mu nie umyka. – Na razie z nikim się nie wiążę. Ostatnio chodzę z córką Geralda M., Cookie. Może widzieliście nasze zdjęcia w internecie. Cookie jest młoda, gorąca i napalona; rozumiecie, o co chodzi.

– Przyjaciółka Max? – spytał osłupiały Bobby. Co, do diabła, Frankie robi z nastolatką? Sprowadza na złą drogę, nie ma się co ludzić.

– Tak. Ale możesz mi wierzyć, ostra z niej kobitka. W drodze do Vegas...

– Muszę iść – przerwał mu Bobby, którego z dwóch powodów wręcz zaczęło nosić. Po pierwsze, przypomniało mu się, dlaczego przestał się widywać z Frankiem. A po drugie, co Denver robi na parkiecie z jakimś przystojniakiem? Właśnie ich zauważył i wcale mu się to nie spodobało.

A niech to. Czyżby chciała mu coś udowodnić?

Jeśli tak, to chwyć poniżej pasa.



Eddie Falcon nie marnował czasu. Natychmiast ruszył do stolika Bobby'ego i skupił uwagę na Venus, co ani trochę nie spodobało się Cassie, która wpadła w posepny nastrój. To miała być jej noc.

Venus ucieszyła się, że do niej podszedł. Ostatnio szukała nowego przedstawiciela, więc Eddie trafił na odpowiedni moment. Znała opinię o Eddiem, a ta była doskonała. Nowy, głodny sukcesów, najlepszy agent, jakiego można zatrudnić.

– Mogę ci załatwić, co tylko chcesz – chwalił się Eddie przed Venus. – Kogokolwiek chcesz. Reżyser, gwiazda: Clooney, DiCaprio, Depp, powiedz, z kim chcesz pracować, a ja ci to załatwię.

– Na pewno – powiedziała Venus, która nie uległa jego zapewnieniom. Za długo była w tym biznesie, żeby wierzyć we wszystko, co mówi świeżo upieczony agent. Natomiast podobał jej się jego entuzjazm. Jej obecni przedstawiciele nic dla niej nie robili w branży filmowej, a przejadły się jej już wyjazdy na tournée dookoła świata za każdym razem, kiedy wydawała CD. Niedługo będzie miała za sobą rozwód i chętnie skupiłaby się na karierze filmowej, a Eddie Falcon może jej to załatwić. Poza tym teraz w filmie królował Billy. Najwyższy czas, by to ona odzyskała tron.

– O co chodzi? – Lucky włączyła się do rozmowy. Znała Eddiego, ponieważ kiedyś pracował w biurze wysyłkowym Panther Studios. Zawsze bardzo ambitny, więc cieszyła się, że się rozwija. – Czy Eddie obiecuje ci księżyc? – zapytała, uśmiechając się z rozbrawieniem.

– I gwiazdy – również z uśmiechem odpowiedziała jej Venus. – Mam mu wierzyć?

– No cóż... – Lucky wciąż się uśmiechała. – Dzień, w którym uwierzysz hollywoodzkiemu agentowi, powinien być tym samym, kiedy spakujesz walizki i zabierzesz swoje cztery litery z miasta.

– Dzięki, Lucky – powiedział Eddie. – Miło, że w pełni mnie popierasz.

Wszyscy w trójkę głośno się roześmiali.

– Oj, show-biznes – westchnęła Lucky. – Wcale za nim nie tęsknię. Ani przez chwilę.



– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała Max, blokując Cookie przy ścianie w toalecie, gdzie mnóstwo rozgogolonych, krzykliwie umalowanych dziewczyn przepychało się przed lustrami. Mimo zakazu palenia wszędzie było pełno dymu. Obezwładniał zapach tanich perfum i zjełczalego potu.

– Nie uwierzysz. Ten dupek nawet nie napisał SMS-a, żeby zapytać, gdzie jestem – biadolili Cookie i jeszcze raz zerknęła na telefon. – Pewnie nawet nie zauważył, że mnie nie ma. Ale wiocha!

– Przecież ci mówiłam – odparła jej Max i chwyciła za ramię, żeby skupić na sobie jej uwagę. – Ale teraz to ja mam sprawę.

– Nie – klóciła się Cookie, jednocześnie nakładając róż. – To ja ciągle cierpię z powodu durnego ojca. Ludzie bez przerwy lecą na tego dupka. Masz świętą rację. Frankie włazi gwiazdom do tyłka.

– Słuchaj, muszę się stąd zmywać – powiedziała Max, która marzyła o tym, żeby Cookie choć raz się na czymś skupiła. – I to już, natychmiast.

- Dlaczego? Dokąd idziemy? – naiwnie odezwała się Cookie.
 - My nie idziemy nigdzie. O to właśnie chodzi. To ja muszę się zwinąć, żeby... z kimś się spotkać.
 - Znaczący: z kim? – spytała wreszcie zaciekawiona Cookie.
 - Z kimś, o kim Ace ma nie wiedzieć.
 - Oho! Zaczyna być ciekawie. – W brązowych oczach Cookie obudziły się iskierki.
 - Chodzi o to – ciągnęła Max – że taki numer żadną miarą mi nie wyjdzie bez twojej pomocy. Musisz powiedzieć Ace'owi, że zadzwoniła do mnie Lucky w ważnej sprawie i musiałam natychmiast do niej jechać. Okay?
 - Zgrywasz się, prawda? – spytała Cookie i wyduła usta. – Uważasz, że to zrobię, a ty mi nawet nie powiesz, o kogo chodzi?
 - O faceta – powiedziała zdesperowana Max.
 - Ale kogo? – pytała Cookie. – Jest gorętszy od Ace'a?
 - Proszę, zrób to dla mnie, Cookie! – wrzasnęła Max, bo już dłużej nie mogła wytrzymać. – Cały wieczór robię, co chcesz, więc zbij się do kupy i zrób tę jedną rzecz dla mnie. Powiedz Ace'owi, że spotkamy się potem w hotelu, i tak to zrób, żeby nie wyglądało na ściemę.
- Kiedy skończyła, zwinęła się i tak szybko wybiegła z toalety, że Cookie ze zdziwienia aż opadła szczęka.

Rozdział czterdziesty siódmy

Kiedy doszli do willi Armanda, Annabelle była prawie pewna, że tego wieczoru uda jej się na dobre wejść do jego życia. Tym razem nie pozwoli mu się wymknąć – był zbyt cennym kandydatem.

W drodze do willi pozwoliła mu się pieprzyć palcami, ale teraz to ona oszołomi go swymi licznymi umiejętnościami w łóżku. Kiedy jeszcze mieszkała z Frankiem Romano, często jej powtarzał, że nikt nie umie zrobić loda jak ona – była w tym najlepsza. Teraz miała szansę pochwalić się swą techniką (której, gdy miała piętnaście lat, nauczył ją przyjaciel homoseksualista) Armandowi. Mężczyźni niczego tak nie lubią, jak kiedy kobieta ciągnie im druta. Annabelle wiedziała, że uznawali to za szczyt hołdu dla ich wyższości – piękna kobieta klęczy przed nimi i robi im dobrze, a oni mocno ściskają jej głowę dłońmi. Nie ma niczego lepszego.

Przypomniała sobie też, że kiedy z Frankiem prowadzili w Nowym Jorku agencję towarzyską na telefon, dziewczyny wciąż opowiadały niesamowite historie o tym, co wyprawiali klienci. Tematem numer jeden było robienie loda. Miały wrażenie, że po ślubie żony nagle przestawały to robić. Ich strata, bo zawsze jest pełno kobiet pracujących, które nadrabiają to umiejętnie i z chęcią.

Takie myśli chodziły Annabelle po głowie, kiedy wchodzili do willi, ale raptownie przerwał je widok rozpartych przy barze na półnagich kobiet.

– Dobry wieczór paniom – powiedział Armand, wcale niezdziewiony obecnością gości.

Paniom! Chyba żartuje? Te dwie wyglądają jak prosto z Czterdziestej Drugiej Ulicy i to w kiepską noc.

– Cześć – odparła Luscious, witając się z klientem w sposób, który uważała za odpowiedni. – Miło pana poznać.

Seducta, która wypila trochę za dużo darmowej wódki, dyskretnie beknęła.

Armand obrzucił Annabelle szelmowskim spojrzeniem. Mina, jaką w tej chwili miała, była tym, czego potrzebował, by rozpalic w sobie pożądanie. Wszedł za bar i otworzył butelkę szampana. Musi to uczcić, bo oto nadszedł wieczór, który będzie godny pamięci. Właśnie odbędzie się jego prywatna uczta na cześć tego, co stanie się z Lucky Santangelo.

Nareszcie.

Wszystko już przesądzone.

Musi jeszcze tylko wydać odpowiednie zlecenie.



W apartamencie Peggy zadzwonił telefon. Od razu pomyślała, że to goniec po próbki do badań DNA z laboratorium, które za odpowiednią cenę zgodziło się pracować w weekend, aby szybko dostała wynik. Coś takiego możliwe jest tylko w Vegas.

Nie był to jednak goniec, ale Paige Santangelo.

– Chciałam się upewnić, że bezpiecznie dotarłaś do swojego pokoju – powiedziała Paige namiętnym, nieco ochryplym głosem.

– Oczywiście – odparła Peggy. – Dziękuję za cudowną kolację.

– Cieszę się, że udało ci się do nas dołączyć – ciągnęła Paige. – Zawsze miło jest poznać kogoś nowego. Bycie z Ginem bywa... trudne.

– W jakim sensie?

– Gino jest stary, ma utarte zwyczaje. W młodszym wieku był jak dynamit.

O tak, wiem! – pomyślała Peggy.

– W każdym razie – z głębokim westchnięciem kontynuowała Paige – Gino nie jest już taki jak kiedyś, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

O co? – zastanawiała się Peggy.

– Mogę być szczerą? – po długiej przerwie zapytała Paige.

– Oczywiście – odpowiedziała Peggy, jednocześnie zastanawiając się, czy goniec jest już w drodze.

– Smutna prawda jest taka, że Gino już nie zaspokaja mnie seksualnie.

O to chodzi, pomyślała Peggy. Cały wieczór zmierzała w tym kierunku, a ja byłam zbyt zajęta, aby to wyłapać.

– Rozumiem – powiedziała Peggy spokojnie.

– Naprawdę? – spytała Paige. Sprawiała wrażenie podenerwowanej.

– Co naprawdę?

– Rozumiesz, że mam potrzeby, które nie są zaspokajane. Wydaje mi się, że być może jesteś w podobnej sytuacji.

Peggy zrozumiała, że Paige składa jej niedwuznaczną propozycję. Choć nie była mężczyzną, i tak łechtało to jej dumę. Jej życie seksualne od śmierci Sidneya całkiem zamarło, więc cóż może być złego, jeśli pofolguje sobie i zakosztuje safickiej miłości? Prawdę mówiąc, doświadczyła już dotyku innej kobiety, choć było to dawno temu podczas bajkowego życia w pałacu królewskim. Paige jest co prawda starszą panią, ale ona przecież też nie jest młoda. Obie są atrakcyjnymi, bardzo zadbanymi kobietami.

– Twoje milczenie bardzo mnie peszy – odezwała się Paige. – Więc może zapomnijmy, że cokolwiek mówiłam. Powinnam...

– Nie – przerwała jej Peggy, która nagle poczuła przypływ brawury. – Doskonale rozumiem, o co ci chodzi... – Zapadło dłuższe milczenie. – Będzie mi bardzo miło, jeśli zechcesz wypić ze mną drinka.



– Nie wiedziałam, że spodziewałeś się gości – powiedziała Annabelle i ostentacyjnie odpędziła od twarzy dym, który wypełniał pokój, ponieważ Seducta paliła i puszczała w powietrze zgrabne kółka.

– Te kobiety nie są gośćmi – odparł Armand, pijąc szampana. – To opłacone dziwki, które przyjechały nas zabawiać. Zrobią wszystko, co tylko zechcemy. – Chwila milczenia. – Podnieca cię to, Annabelle?

Chwilę się zastanawiała. Wiedziała, że zapuszcza się na niebezpieczny teren. Absolutnie nie tego się spodziewała. Ale jeśli planuje przyszpilić Armanda, to albo musi włączyć się do zabawy, albo szybko zmykać.

– Przepraszam – odezwała się Luscious i zeskoczyła z barowego stołka z oburzoną miną. – Jesteśmy opłacone, co nie znaczy, że macie nas ignorować. Też jesteśmy ludźmi...

– Ściągajcie ciuchy, a buzie zamknijcie na kłódki – rozkazał Armand. – I to już.

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Annabelle i znów brutalnie włożył jej dłoń pod spódnicę.

Odruchowo ją odepchnęła. To wszystko działo się za szybko.

– Poproszę jeszcze szampana – wydukała, mimo wstrząsających okoliczności usiłując pozorować spokój.

– Dam ci coś lepszego – stwierdził, pomaszerował do sypialni i wrócił z kilkoma torebkami kokainy. – Proszę – powiedział i podszedł do szklanego stolika kawowego.

Cholera! – pomyślała Annabelle. Całkiem jak Frankie Romano. Ale umiem sobie dobrać facetów.

Tymczasem dwie prostytutki bezładnie ściągały z siebie ubrania i rzucały je w róg pokoju, aż w końcu były całkiem nagie. Zostały tylko w butach. Kręciły się w tę i wó w tę w oczekiwaniu na instrukcje.

Armand na zmianę pił szampana i wciągał kolejne ścieżki koki. Nie czuł bólu. Wydawało mu się, że panuje nad całym światem. I tak właśnie będzie. Kiedy usunie z drogi Lucky Santangelo, nikt go nie powstrzyma.

Na alkoholowo-kokainowym haju Armand coraz bardziej utwierdzał się w postanowieniu, że Lucky musi być... Co to za słowo chodzi mu po głowie? Aha – zgłodzona.

Słowo to przyprawiało go o dreszcze, powracało jak mantra. Zdzira zasługuje na śmierć. I to on do niej doprowadzi.

Gdyby byli w Akramszarze, kazałby ją ukamienować. Zakopano by ją po szyję w ziemi, a potem rzucano w nią dużymi, ostrymi kamieniami, aby długo umierała w bólu. Niestety w Ameryce to niemożliwe. Szkoda, bo Lucky Santangelo jest dziwką nad dziwkami i zasługuje na rozliczne kary.

Lucky to jego matka, która przyciska go do piersi, kiedy jest dzieckiem, a potem bije pasem przy swoich znajomych.

Lucky to wszystkie dziwki, z którymi kiedykolwiek uprawiał seks. Brudne, obrzydliwe, pazerne na pieniądze zdziry.

Lucky to jego głupia żona, która urodziła mu dzieci, choć nigdy ich nie chciał.

O tak, Lucky Santangelo to kobieta, która zasługuje na karę za nie wszystkie.

Tak jest sprawiedliwie.

A kiedy jej nie będzie, całe The Keys zostanie tylko jego własnością i życie znów będzie idealne.

Rozdział czterdziesty ósmy

Kiedy Lucky zobaczyła, jak Alex wchodzi do klubu z atrakcyjną Azjatką u boku, natychmiast postanowiła, że czas, aby z Lennie wyszli. Wiedziała, że do tak późnej godziny Alex już na pewno sporo wypił, a po alkoholu jest zdolny do wszystkiego, zatem najlepiej się zmyć, póki wszystko dobrze.

Ale Lennie miał na to inny pogląd. Chciał zostać.

Lucky wiedziała, że nie ma sensu go przekonywać. Podobnie jak ona, Lennie robi, co chce, i nie ruszy się, dopóki sam tak nie postanowi.

Z Alexem łączyły go napięte stosunki, podszyte męską rywalizacją, gdyż nie dość, że obaj mieli bzika na punkcie Lucky, to co gorsza obaj zawodowo pracowali jako reżyserzy, scenarzyści i producenci. Co prawda nie konkurowali ze sobą. Lennie kręcił niezależne filmy niskobudżetowe, a Alex wybrał pracę w studiu filmowym i robił bardzo głośne filmy z dużym rozmachem. Przeważnie były kontrowersyjne i krytycy na ogół albo się nad nimi pastwili, albo bardzo je wychwalali, w zależności od tego, kto się wypowiadał. Fakt, że i Lennie, i Alex pracowali w tym samym zawodzie, zawsze sprawiał, że kontakty między nimi były ciekawe. Cały czas się spierali – o filmy innych reżyserów, politykę, książki, sport – wszystko, co im tylko przyszło do głowy.

Lennie świetnie wiedział, co Alex czuje do jego żony, ale nie

zdawał sobie sprawy, że jeden jedyny raz, dawno temu, kiedy go porwano, a jego żona myślała, że nie żyje, Lucky przespała się z Alexem. Jeden raz. To wszystko. Jednak Alex nigdy nie zapomniał ich wspólnej nocy. Lucky usiłowała wymazać ją z pamięci. Traktowała ją jako błąd, którego żałowała.

– O, jesteście – powiedział Alex, podszedł prosto do ich szałasów, a ładna Azjatka potruciała za nim. – Możemy się przyłączyć?

– Siadajcie – zaprosił ich Lennie i swoje słowa podkreślił wspaniałomyślnym gestem. – Znajdzie się miejsce dla wszystkich.



Bobby krążył wokół parkietu i doświadczał uczucia, które było dla niego całkowicie nowe. Zazdrości. Naprawdę był zazdrosny! Sam nie mógł w to uwierzyć. Oto Denver, kobieta, którą kochał i która twierdziła, że też go kocha, przytula się w tańcu do innego, przystojnego i muskularnego mężczyzny.

Didżej puszczał jakiegoś przytulańca, a ten facet w pełni z tego korzystał. Wyglądał na zadowolonego, że ma Denver tak blisko.

Cholera! Bobby był wściekły. Szybko podszedł do didżeja.

– Po co grasz takie wolne kawałki, do diabła? – zapytał. – Zmień to zaraz na coś szybkiego! Robisz z klubu kostnicę!

Didżej przestraszył się i puścił Pitbulla, na co Bobby z aprobatą skinął głową. Zerknął w stronę parkietu, żeby zobaczyć, jak się rozdzielają, ale nie zrobili tego.

Co, do cholery? Facet jest głuchy, czy jak? Nadal przytula do siebie Denver i nic nie robi, żeby się od niej odkleić.

Bobby poczuł, jak zazdrość wyżera mu trzewia. Nigdy przedtem czegoś takiego nie doświadczył i wcale mu się to nie podobało. Powoli narastała w nim złość, która kazała mu coś z tym zrobić. Ale co? Jeszcze nigdy nie był w takiej sytuacji. Od kiedy tylko pamiętał, dziewczyny zawsze się o niego biły. Dziewczeta w szkole, w Grecji, gdzie latem bywał u rodziny ojca, w college'u, w klubach. Wszędzie dziewczyny. Bobby Santangelo Stanisloupoulos. Zawsze był dla nich

najwspanialszą zdobyczą, facetem, którego chciały.

Nie miał więc takich doświadczeń i zaistniała sytuacja bardzo go zdenerwowała.

Oszedł parkiet dookoła, mając nadzieję, że Denver go zauważy. Tak się jednak nie stało, bo facet, z którym tańczyła, szeptał jej coś do ucha i przytulał się do niej. Tymczasem wszystkie inne pary się rozdzieliły.

– O co chodzi, Bobby? – zapytała Gia, która się przy nim pojawiła. Seksowna Gia, z którą kiedyś spędził kilka pamiętnych nocy.

– Nic ważnego – powiedział.

Gia natychmiast zrozumiała.

– Twoja dziewczyna świetnie się bawi – mruknęła ze złośliwym błyskiem w oku. – Co to za facet? Przystojny.

Bobby zmrużył oczy.

– Znasz go? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała Gia, śmiejąc się pod nosem. – Ale chciałabym go poznać.

W napadzie czystej frustracji Bobby wziął Gię za rękę i pociągnął na parkiet.

Zobaczymy, jak Denver zareaguje na taki rozwój wypadków.



Max zamówiła taksówkę do Cavendisha, gdzie Billy wynajmował, jak jej powiedział, jedną z ekskluzywnych willi. Pewnie, w końcu jest gwiazdorem filmowym, a tacy zawsze mieszkają w najlepszych kwaterach.

Była podekscytowana do granic wytrzymałości. Billy przyjechał do Vegas specjalnie po to, żeby z nią się spotkać. Po zwątpieniu i zniechęceniu, które przeżyła w związku z ich krótką znajomością, było to coś całkiem niespodziewanego, nadzwyczajnego. Lepszego prezentu nie mogłaby sobie wymarzyć.

Billy Melina jest moim prezentem urodzinowym, pomyślała. Przyleciał do Vegas tylko dla mnie.

O MÓJ BOŻE!

Potem przypomniała sobie, że Ace też odbył podróż do Vegas, żeby się z nią spotkać, i poczuła się winna, że tak źle go potraktowała.

Hmm... Ace to fajny chłopak. Ale Billy jest fajniejszy.

Drżała na myśl, że znowu zobaczy Billy'ego, i żałowała, że nie ubrała się lepiej. Miała na sobie legginsy, wysokie buty, bluzkę nad pępek i rozciągnięty sweter. Nic specjalnego, ale nie najgorzej.

Dzięki Bogu, że Billy nie zatrzymał się w The Keys. Ale byłby obciach. Wyobrażała sobie minę Lucky, gdyby zobaczyła swą ukochaną córkę z prawie byłym mężem najlepszej przyjaciółki. Co gorsza, w mieście jest Venus i na pewno będzie na jej przyjęciu.

Max znów poczuła wyrzuty sumienia, ale tylko lekkie. Przecież nie rozbiła małżeństwa Billy'ego i Venus. Kiedy spotkała Billy'ego, byli w trakcie sprawy rozwodowej.

Wysiadła z taksówki przed hotelem, przeszła przez kasyno, korzystając z tylnego wyjścia, znalazła się na zewnątrz i ruszyła jedną z tonących w zieleni ścieżek, która prowadziła do willi.

Billy sprawiał wrażenie totalnie na jej punkcie zakręconego. I jeśli mówi prawdę, przyleciał do Vegas tylko po to, żeby się z nią zobaczyć. Czy to nie wspaniałe?

Okay, Billy, już idę! – pomyślała i ponownie zadrżała z niecierpliwości i emocji.



W męskiej toalecie Frankie wciągnął z Geraldem M. jedną lub dwie ścieżki. Znakomicie się dogadywali. Nie miał pojęcia, gdzie podziała się Cookie, ale stwierdził, że pewnie bawi się gdzie indziej, co wcale go nie martwiło, bo osiągnął to, do czego była mu potrzebna – czyli zakumplował się z jej słynnym tatą. Gerald M. bardzo mu się podobał. Był gwiazdorem, a co więcej, zachowywał się jak na gwiazdora przystało.

Gdyby Frankie musiał między nimi wybierać, bez wahania wybrałby tatuśka – rzucały się na niego tłumy dziewczyn. Wszystkie

śliczne i seksowne, gotowe zrobić wszystko, by nawiązać z nim bliższe, osobiste relacje.

Cookie jest ładna, ale kiedy lepiej się nad tym zastanowić, to straszny z niej dzieciak i jest daleko poniżej jego klasy.

W końcu on nazywa się Frankie Romano. Musi sięgać wyżej.



Jorge prawie skończył swoje smutne opowieści – o dzieciństwie w biedzie, bez jakiegokolwiek opieki ze strony dorosłych, o tym, jak zebrał o jedzenie, obrabowywał turystów i z nimi spał – aż w końcu przyjechał do Ameryki i spotkał Venus.

– Ona mnie wykorzystywać – powiedział porywczo, a jego przystojna twarz się nachmurzyła. – Wiem o tym.

A może ty również ją wykorzystujesz, chciała powiedzieć Denver. Ale nie zrobiła tego, bo im więcej Jorge mówił, tym bardziej się denerwował.

– Wiesz – powiedział i gestem wskazał ich stół. – Ignoruje mnie. Traktuje mnie jak gówno.

– Gówno – poprawiła go Denver. Jednocześnie pomyślała, że najwyższy czas, by odnalazła Bobby'ego i wyszła. Obiecał, że gdzieś pójdą, kiedy tylko załatwi, co tam ma do zrobienia.

Nagle zobaczyła, że Bobby tańczy z Gią, i oniemiała.

Po pierwsze, naprawdę tańczył! Jak zwykle nie najlepiej. Po drugie, co robił na parkiecie z dziewczyną, z którą, jak przyznał, kiedyś chodził? To nie do przyjęcia.

– Przepraszam – powiedziała i szybko odeszła od Jorgego. – Mam ważną sprawę.

– Ja też iść? – spytał Jorge, a w jego oczach malowało się szczenięce zaufanie i nadzieja.

– Nie – powiedziała Denver. – Wracaj do Venus. Na pewno za tobą tęskni.

I ze zdecydowaną miną ruszyła tam, gdzie Bobby tańczył z Gią.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Kiedy Paige zapukała do drzwi jej apartamentu, Peggy nie była w stanie opanować lekkiego niepokoju. Czy Paige przyszła tylko porozmawiać? Czy też myśli o zaspokojeniu seksualnym?

Tak czy inaczej, Peggy postanowiła się w to zaangażować. Dlaczego by nie? Była samotna, nie uprawiała seksu od śmierci Sidneya i wcale nie młodniała. W dodatku miała syna, który najwyraźniej zadawał się z prostytutkami, nieciekawe życie towarzyskie i żadnych męskich partnerów. Ponadto nigdy nie zapomniała miękkości kobiecych ust, kiedy w azylu królewskiego haremu żony wymieniały między sobą pocałunki i nie tylko. To były miłe wspomnienia.

Chociaż zrobiło się późno, Paige zmieniła strój i zamiast bladoniebieskiej sukni koktajlowej, którą miała na sobie wcześniej, założyła skórzane spodnie, czarny golf i brązowy skórzany żakiet. Ze swym niskim wzrostem, drobnym ciałem i krótko obciętymi włosami koloru miedzi z daleka mogła uchodzić za chłopca. Od razu było oczywiste, że Paige wie, co robi. Peggy czuła się jak nowicjuszka, lecz jednocześnie niezwykle silnie odezwała się w niej kobiecość.

Zrobiła Paige drinka i usiadły na kanapie. Paige opowiedziała jej, jak Gino kiedyś ją zaskoczył, kiedy pieściła jego byłą żonę, Susan Martine A potem prawie codziennie uprawiali miłość we trójkę.

– Gino był kiedyś nadzwyczajnym kochankiem – wyznała Paige. Potem przenikliwie spojrzała na Peggy i dodała: – Ale ty to wiesz,

prawda?

Peggy poczuła, jak policzki oblewa jej rumieniec. A więc Gino jednak pamiętał.

– Ja... nie sądziłam, że zapamięta tę noc. To było tak dawno temu – powiedziała. – Byliśmy ze sobą tylko jeden raz, ale tak, muszę przyznać, był nadzwyczajnym kochankiem.

– Może Gino jest stary, ale pamięć ma jak ze stali – odparła Paige, bawiąc się złotą bransoletką. – Od razu cię poznał.

– Nie dlatego ci się przedstawiłam – szybko wyjaśniła Peggy. – To, że jesteś żoną Gina, jest czystym przypadkiem.

– Oczywiście – odpowiedziała Paige. – Jakie to ma znaczenie? Jesteśmy razem, same w przytulnym miejscu i nikt nam nie przeszkadza.

– Gino nic nie ma przeciwko temu?

– Gino nie wie. Zapakowałam go do łózka, dałam kilka tabletek na sen, więc nie obudzi się aż do rana.

– O – westchnęła Peggy, a Paige pochyliła się w jej stronę i leciutko dotknęła jej policzka. – No więc chyba...

– Masz rację – zamruczała Paige, a jej dłonie powędrowały w stronę nadal bardzo ładnych piersi Peggy.

Peggy zamknęła oczy i pomyślała, jak to miło znowu być obiektem czyjegoś pożądania.



Luscious zaczynała mieć tego dosyć. Ważniak o węzowych oczach może i płacić im górę forsy, ale niby dlaczego zostawił je nagie i drżące z zimna w kącie, a sam pije szampana i wciąga ścieżki z dziewczyną, którą kilka razy widziała w telewizji? O co chodzi?

Jedyna z tego korzyść jest taka, że ma okazję sprawdzić, jakim ciałem dysponuje Seducta, bo przecież wydawało jej się, że Randy właśnie tego ciała pożąda. No więc Seducta ma absurdalnie śmieszne cycki. Wygląda tak, jakby przyczepiła sobie do klatki piersiowej piłki do siatkówki. Wielkie, okrągłe piłki z wisienkami na końcach! A pod

tymi gigantami ma blizny, wstrętne, wielkie blizny, bo chciała zaoszczędzić na operacji.

Luscious nie mogła się powstrzymać od złośliwych uśmieszków. Po co Randy'emu coś takiego, kiedy w domu ma ją? Może nie z wielkimi cyckami, ale za to z prawdziwymi.

Chociaż Luscious nigdy by się do tego nie przyznała, była zła, że Seducta dopięła tego, żeby Mikey się z nią ożenił. Ona jest z Randym prawie od roku, a nigdy nawet nie pisała o ślubie. Z pewnością kiedyś, z czasem do tego dojdzie, bo ją kocha. O miłości też co prawda nigdy nie wspominał, ale przecież gdzie znajdzie dziewczynę, która tak jak ona będzie tolerować jego drągi i lenistwo? Zawsze mu dogadzała, nigdy nie gderала i kiedy tylko chciał, ssała mu fiuta. A niech to, Luscious uważała się za idealną dziewczynę.

Rzuciła okiem na Seductę, która wzięła sobie z za baru kilka miniaturowych buteleczek szkockiej i w zastraszającym tempie opróżniała jedną za drugą.

Pijana cipa. Luscious wołała być trzeźwa, ot tak, na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, kiedy facetowi odbije i spuści dziewczynie łomot. Raz jej się to przydarzyło, na dowód czego nadal ma blizny. Jakiś stary zbereźnik miał taki odchył, że kazał dziewczynom srać sobie na twarz, a kiedy odmówiła, strasznie ją pobił. Wylądowała na ostrym dyżurze, gdzie założono jej szesnaście szwów pod brodą i kilka na czole. Od tej pory nosi grzywkę i grubo nakłada makijaż, więc nikt tego nie widzi, ale blizny są, a to wystarczy, żeby miała się na baczości.

Jeszcze raz zerknęła na faceta, który nadal pochylał się nad stolikiem do kawy i wciągał kokę ze swoją dziewczyną – chociaż ona nie była na to taka napalona jak on. Zdecydowanie się migąła.

Luscious miała ochotę w głos się roześmiać. Te bogate dupki ze swoją delikatną koką nie znają się na rzeczy. Prawdziwego kopa i dużo szybszy haj daje palenie kraka. Tak. To jest towar, Luscious dobrze o tym wie, bo z przerwami robi to, od kiedy skończyła lat szesnaście.

Randy lubi co innego – speedball – przysięga, że po tym jest na

najlepszym haju. Ścieżka koki, a potem potężna dawka heroiny. Randy nazywa to mieszanką marzeń i faktycznie wpada po niej w euforię.

Luscious też kilka razy próbowała speedballu. Ale ją przerażał, więc jest na tyle rozważna, by trzymać się dragów, do których jest przyzwyczajona.

Speedball wyrzucał ją na inną planetę.

Taką, na której totalnie wariowała.



– Dla mnie nie. Dziękuję – uprzejmie powiedziała Annabelle do Armanda, który rozłożył jeszcze więcej ścieżek. Nie była narkomanką jak Frankie Romano, który tak totalnie uzależnił się od koki, że od niego odeszła. – Wolę następny kieliszek szampana.

– Aha, no tak – wybełkotał Armand.

– Jeśli to nie kłopot – dodała Annabelle, którą opanowywało coraz silniejsze przeczucie, że może jednak Armand nie jest mężczyzną jej marzeń. Cała ta sytuacja wydawała jej się nierzeczywista. W rogu nagie prostytutki. Na stole góry kokainy. Eddie Falcon może i ją zdradził, ale o ile zdążyła się zorientować, nie bawi się ani w dziwki, ani w dragi.

Zastanawiała się, gdzie Eddie jest teraz. Strasznie się pokłócili i wyszła z krzykiem, ale nic nie przeszkadza, żeby wróciła. Nie jest jeszcze za późno.

Armand wcale nie szykował się, żeby nalać jej następny kieliszek cristalu. Widziała, że dziwki zaczynają się wkurzać, zwłaszcza mała ze źle ufarbowanymi włosami i tatuażami na chudym ciele. Skąd, do diabła, Armand wziął te dwa dziwolągi? I jakie miał wobec nich plany?

Annabelle podjęła szybką decyzję. Nieważne, jakie Armand ma plany. Ona nie chce mieć z tym nic wspólnego. Jej przyszłość to szybko się stąd zmywać.

– Przepraszam – powiedziała, wstając. – Muszę skorzystać z

toalety.

Kiedy przechodziła koło dwóch dziwek, starała się odwrócić wzrok. Ale wiedziała, że się na nią gapią, świdrują ją oczami i zastanawiają się, o co tu biega.

Dostała gęziej skórki.

Udało jej się dotrzeć do toalety, zamknęła drzwi na klucz, wyjęła komórkę i zadzwoniła do Eddiego. Na szczęście odebrał, chociaż ledwo go słyszała, bo w tle był straszny hałas, istna kakofonia dźwięków.

– Gdzie jesteś? – chciała wiedzieć.

– Już się uspokoiliś? – zapytał.

– A ty? – odparowała.

– Jestem w Mood z ciekawą grupą ludzi – powiedział. – Chcesz się do nas przyłączyć?

– Wiesz co? Chyba tak. – Poczua ulgę, że się na nią nie gniewa. Wyzwała go od najgorszych, ale w sumie był fajnym facetem i ma przed sobą wielką przyszłość, a to jej się w nim podobało. Jeśli tylko uda jej się odzwyczaić go od skoków w bok, może będzie z nich para. – Zaraz tam będę.

Tymczasem w salonie Armand w końcu postanowił skorzystać z usług dwóch prostytutek. Nie do końca spełniały jego wymagania – przyzwyczajony był do dziwek z najwyższej półki – ale tak się upił i naćpał, że było mu wszystko jedno.

– Zdziry dla nas zatańczą – ogłosił Annabelle i poklepał miejsce obok siebie na kanapie. – A potem na śmierć je zajebię.

Cudownie, pomyślała Annabelle i przycupnęła na brzegu. W każdym razie ja na pewno nie chcę tu być.

Armand podniósł rękę i przytknął palcami na Luscious i Seductę.

– Chodźcie tutaj – rozkazał. – I to już!

Rozdział pięćdziesiąty

Denver odkrywała w sobie czasem odwagę, która zwykle ujawniała się na sali sądowej, czyli w miejscu, gdzie uwielbiała przebywać, kiedy miała pełną kontrolę nad sytuacją. Uważała się za dziewczynę spokojną, nieskorą do jakichkolwiek wybuchów.

Jednak widok Bobby'ego, który tańczył z lekko triumfującą Gią, wystarczył, by zmobilizować ją do działania. Zostawiła Jorgego, bo i tak zaczynał jej działać na nerwy, i podeszła do Bobby'ego, który udawał, że jej nie widzi.

– Hej – powiedziała i mocno klepnęła Bobby'ego po ramieniu. – Myślałam, że mamy wychodzić.

– Tak – odparł, prawie na nią nie patrząc. – Pójdziemy. Chcę tylko się dowiedzieć, co słyhać u Gii. Zobaczymy się przy stoliku.

– Naprawdę? – spokojnie zapytała Denver. – Chciałbyś, żebym wróciła do stolika?

– Jasne, kochana – powiedział, zdecydowany się nie ugiąć. – Może twój... hmmm... przyjaciel tam cię odprowadzi.

– Przyjaciel? – zapytała.

– Facet, do którego cały wieczór lepsz się w tańcu.

Więc o to chodzi. Co za głupota.

– Chodzi ci chyba o biednego, smutnego chłoptasia Venus – powiedziała ostro.

– Guzik mnie obchodzi, kto to jest – odparł Bobby, zupełnie nie

w swoim stylu. – Cały wieczór się z nim zadajesz.

Gia przywołała swój seksapil rodem z pisma „Victoria's Secret”, pociągnęła Bobby'ego za rękę i zapytała:

– To tańczymy czy nie?

Bobby poczuł się rozdarty. Czy powinien zostać na parkiecie z Gią, pokazać Denver, że nie ujdzie jej na sucho, kiedy go obraża?

Zanim zdążył się zdecydować, Denver odeszła.

Cholera! Żle to rozegrał. Denver nie da się wplątać w takie gierki. Powinien był to wiedzieć.



Ace nie był zadowolony, że Max go zostawiła, a Cookie, że właśnie ona musi mu o tym powiedzieć. Ponadto była wściekła, że Frankie nawet nie spróbował się z nią skontaktować. Pewnie tak bardzo włożył w tyłek tatuškowi, że nie mógł już o niczym innym myśleć. Co za kutas z niego. Powinna była słuchać Max.

Kiedy przekazała Ace'owi złą wiadomość, on natychmiast powiedział, że wychodzi.

– Dokąd? – zapytała, bo stwierdziła, że może warto się do niego przyczepić.

Ace wzruszył ramionami. Nie miał nastroju na niczyje towarzystwo, a już zwłaszcza Cookie.

– Idę na spacer – burknął krótko.

Cookie kiwnęła głową. Spacer nie był w jej stylu.

– To do zobaczenia w hotelu! – zawołała za nim, kiedy odchodził.

– Tak – powiedział Ace, odwracając się w jej stronę. – Spotkamy się później.

Cookie zastanawiała się, z kim Max się skumała. Musiał to być ktoś nadzwyczajny, skoro tak brutalnie rzuciła dla niego Ace'a. W końcu biedaczyna przyjechał tak daleko do Vegas, żeby z nią pobyc.

Cały czas nad tym rozmyślając, Cookie podeszła do budki didżeja, gdzie Harry swingował razem z Pakiem. Dokładnie go przepętała, ale

on też nic nie wiedział, więc jeszcze raz spojrzęła na telefon, żeby sprawdzić wiadomości. Nic. Ani dudu.

Pieprz się, Frankie Romano. Teraz jesteś na pierwszym miejscu mojej czarnej listy. A jeśli ci się zdaje, że będziesz dzisiaj dzielił ze mną łóżko, to grubo się mylisz.



Splawienie Keva okazało się niełatwe. Uparł się, żeby jeszcze pochodzić po klubach ze striptizem i w ogóle dobrze się zabawić, jednak problem w tym, że nie chciał tego robić bez gwiazdorskich forów Billy'ego. Więc kiedy Billy powiedział, że wraca do willi, Kev oznajmił mu, że on także.

- Nie – zaproponował Billy.
- Co za nie? – spytał Kev, raptownie unosząc brwi.
- Zmiana planów – powiedział Billy, podszedł do krawężnika i machnął na taksówkę. – Nie możesz wrócić ze mną do willi.
- Dlaczego? – zdziwił się Kev. Twarz miał pustą, pozbawioną wyrazu, bo starał się rozszyfrować, o co chodzi.
- Żeby nie było obciachu. Spodziewam się kogoś i nie chcę, żebyś mi przeszkadzał.
- Chyba mnie wkręcasz – powiedział oniemiały ze zdziwienia Kev.
- Nie.
- No wiesz, stary – prosił Kev. – Przecież są, do cholery, dwie sypialnie. Zamknę się w swojej i osoba, która przyjdzie, nawet się nie zorientuje, że jestem.
- Nie ma mowy. – Billy postanowił, że tym razem wszystko pójdzie gładko. Kev nie może się kręcić po okolicy, żeby znów wszystkiego nie zepsuć. – Idź zarezerwuj sobie pokój w hotelu. Powiedz, żeby mnie obciążyli.
- Serio? – Kev był w szoku, że Billy go splawia.
- Sorry, Kev – powiedział Billy i wsiadł do taksówki. – Inaczej się nie da.



– Podoba mi się twoja dziewczyna – stwierdził Lennie, kiedy Bobby w końcu wrócił do stolika. – Jest mądra, powinieneś jej się trzymać. A także piękna. Dlaczego do tej pory jej nie poznałem?

– Może dlatego, że ciągle jesteś w plenerze – odpowiedział Bobby. Rzucił okiem, kto siedzi przy stoliku, ale nie znalazł Denver. Gdzie się podziewa? Facet, z którym tańczyła, siedział przy Venus, a ta bardziej interesowała się rozmową z Eddiem Falconem. – A widziałeś ją przed chwilą? – spytał, cały czas się za nią rozglądając.

– Mnie pytasz? – zdziwił się Lennie i drwiąco uniósł brew. – To twoja dziewczyna. Ty musisz jej pilnować. Jest tego warta.

– No więc jaka jest ta jego dziewczyna? – zapytała Lucky, przechylając się do Lenniego nad Alexem, który postanowił przy niej usiąść.

– Jest mądra – odpowiedział Lennie. – Ma moją aprobatę. A twoją?

– Bobby dostaje wszystko, czego chce – powiedziała Lucky z ciepłym uśmiechem skierowanym do syna.

– Całkiem jak ty, Lucky – stwierdził Alex, pieczołowicie obejmując dużą szklankę szkockiej.

– Bo ty akurat tak się na tym znasz – odparował Lennie i gestem posiadacza objął Lucky.

– Wiem, bo jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. – Alex nie zamierzał się poddawać.

No i właśnie, pomyślała Lucky, oba byki zaraz zaczną walkę. Dlaczego nie wyszliśmy, kiedy o to prosiłam?

– Wiesz co, Alex, strasznie pieprzysz. Jakim prawem uważasz się za najlepszego przyjaciela Lucky?

– Martwisz się tym? – drażnił się z nim Alex. – Denerwujesz się, że kiedy jesteś w terenie...

Lucky wstała.

– Zamknijcie się obaj, do cholery – powiedziała tonem nieznośnym sprzeciwu. – Co z tobą, Alex? Już ci mówiłam, że nie masz

szans, więc po co te dziecinne gadki. Od siódmej klasy nie mam najlepszych przyjaciół.

Alex naburmuszył się i odwrócił w stronę azjatyckiej towarzyszki.

Lennie sprawiał wrażenie rozbawionego.

Bobby odszedł od stolika, ponieważ stwierdził, że Denver na pewno jest w toalecie.

– Możemy już iść? – spytała Lucky, zwracając się do Lenniego.

– Myślę, że ten wieczór przeszedł w stadium schyłkowe.

– Tak? – spokojnie wycedził Lennie. – Bo mnie się wydaje, że dopiero się zaczyna.

Cholerny Lennie. Czasem bywa najbardziej upartym człowiekiem na świecie. Może właśnie dlatego tak bardzo go kocha, że nigdy nie tańczy, jak mu zagra.

No cóż, jeśli koniecznie chce się spierać z Alexem, to jego problem.

Lennie potrafi ją zdenerwować, ale wie, że nie chciałaby, aby w jakikolwiek sposób się zmienił.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Tańczcie – rozkazał Armand, wlepiając wściekły, rozmazany wzrok w dwie nagie kreatury, które przed nim stały. Ich obraz rozmywał mu się nieco przed oczami.

Czy to właśnie te dwie zamówił? Niejasno pamiętał, że chciał dużych piersi, ale ta gruba locha nie bardzo dorównywała klasą dziewczynom, które mu zazwyczaj podsyłała Yvonne Le Crane, podobnie zresztą jak ta chuda.

To i tak nie ma znaczenia. Razem z Annabelle dostatecznie go rozerwą – w końcu wszystkie są tylko dziwkami. A kiedy sprawi, że będą robić dokładnie to, czego chce, może i on dołączy do Zabawy.

W tej chwili jego myśli poszybowały jednak w inną stronę. Wyobraził sobie, jak ma wytrysk, którym zalewa całą twarz Annabelle. Będzie udawał, że to Lucky Santangelo, i splugawi ją na każdy możliwy sposób. A potem zmusi dziwki, żeby też ją zbecześciły.

Tak, zrobi Annabelle wszystko to, co naprawdę chciałby zrobić Lucky Santangelo, czyli największej zdirze z nich wszystkich. Chciałby je wszystkie pieprzyć, aż będą błagać o litość.

To ich przeznaczenie.

A także jego prawo.

W końcu tak powinien zachować się książę Armand Mohamed Jordan, wkrótce król Akramszeru. Żadna kobieta nigdy nie może okazać mu braku szacunku. NIE MA PRAWA SIĘ NA TO OD-

WAŻYĆ!

Armand miał swoje plany i zamierzał je zrealizować.



Luscious nie podobało się, że klient wyszczekuje rozkazy, jakby były niewolnicami. Świadczą usługi za pieniądze, ale przecież powinien je lepiej traktować. On jest jednak mężczyzną, a już dawno temu zorientowała się, że wszyscy mężczyźni to świnie; różnią się tylko stopniem ześwinienia.

Sedukcie było wszystko jedno, jak ją traktował, bo do czasu, kiedy Armand je zawołał, zdążyła już się tak upić, że zależało jej tylko na tym, żeby dostać pieniądze, kiedy będzie po wszystkim. Brudny Den poinformował je, że na razie zatrzyma pieniądze i wypłaci im po robocie, co według niej było w porządku. Dzięki temu nie będą musiały szmalcu wyciągać od klienta, a może i kapnie im suty napiwek, kiedy z nimi skończy. Miała nadzieję, że nastąpi to wkrótce, bo były tam już ponad godzinę i zbliżała się północ.

Ciekawe, co robi Randy. Przynajmniej nie ma szans uganiać się za Seductą, bo siedzi tu pijana, tuż przy niej. Swoją drogą straszna z niej pijaczka. Luscious poczuła ukłucie satysfakcji, że ona jest trzeźwa i panuje nad sytuacją.

– Jeśli mamy tańczyć, potrzebna jest muzyka – powiedziała do Armanda, zdecydowana czym prędzej zrobić swoje.

Chrząknął.

Nie czekając na pozwolenie, podeszła do odtwarzacza i włączyła dźwięk. Głośno. Usłyszeli duet Eminema i Rihanny w *Love The Way You Lie*.

Tak, tak, to coś w jej stylu. Podziwiała seksowną piosenkarkę, która powaliła tym przebojem Chrisego Browna. Odłot, kurczę.

Seducta stała przed Armandem i Annabelle jak kupa gówna i tęsknie spoglądała na góry koki.

– Chcesz trochę? – zaproponował Armand, omiatając ją przekrwionym wzrokiem. – Jak chcesz, to sobie weź.

Nie trzeba jej było tego dwa razy powtarzać. Rzuciła się do sto-
lika, uklękła przy nim i nawet nie zdążyła się zorientować, a Armand
stał za nią i wpychał jej twarz w biały proszek.

Luscious instynktownie skoczyła do przodu i odepchnęła go od
koleżanki. Odkręcił się i z całej siły uderzył ją w policzek. Seducta
zaczęła gwałtownie łapać powietrze. Pluła i zachłystywała się koką.
Całą twarz miała w białym proszku.

– Ty draniu! – wrzasnęła Luscious. – Mogłeś ją udusić.

Armand wybuchnął złym śmiechem. Czuł się potężny i niezwy-
ciężony, czyli taki, jaki naprawdę jest.

– No to wszystko gotowe – powiedział i z powrotem usiadł. –
Tańcicie, moje damy, dla mnie, zanim będę zmuszony ukarać was
jeszcze bardziej.



Annabelle z przerażeniem patrzyła, co się dzieje, i milczała. Jego
zachowanie kompletnie ją zszokowało. Armand to wariat. Nie miała
wątpliwości, że musi uciekać. I to szybko. Nie ma na co czekać,
Armand Jordan to zbok i może być tylko jeszcze gorzej.

Już kiedy pierwszy raz wyszła do toalety, przyszło jej do głowy,
że powinna uciec, ale coś ją wtedy jeszcze powstrzymało. Myślała, że
skoro ma ją, odeśle te dwie kobiety. Ale tak się nie stało.

Teraz nimi poniewierał i zmuszał je do tańczenia.

To straszne, obrzydliwe. Chciała uciec. Chciała znowu być z Ed-
diem.



Uciec czy zostać? Oto dylemat, z jakim musiała zmierzyć się
Luscious. Policzek ją piekł od uderzenia, a Seducta całkiem się roz-
sypała. Forsa jednak była zbyt dobra, żeby ryzykować jej utratę.
Bрудny Den na pewno będzie musiał oddać kasę, jeśli zwieją od tego
zboka. No więc skoro znów spokojnie usiadł na kanapie, Luscious
niechętnie wykonała kilka striptizerskich ruchów i zachęciła Seductę,

żeby też tak zrobiła.

Nagle jego dziewczyna zerwała się na równe nogi, mruknęła coś na temat telefonu, który zostawiła w łazience, i minęła je w pośpiechu.

Luscious miała przeczucie, że tamta już do nich nie wróci, a przeczucia jeszcze nigdy jej nie zawiodły. Kiedy w wieku piętnastu lat robiła loda karnodziei, przerwał jej i powiedział, że ma zdolności parapsychiczne i to, co mu robi, dzieje się z woli Boga.

– Musisz odwiedzać mnie codziennie – nalegał. – Taka jest wola Boga.

Więc robiła to, aż w końcu się wyprowadził.

Nadal wierzyła w swoje niezwykle zdolności. W końcu kto inny, jak nie ona, powiedział Randy'emu, że w tym roku pójdzie mu lepiej? I faktycznie, Mikey dał mu pracę. Okay, rozwożenie narkotyków trudno, co prawda, uznać za najlepszą fuchę świata, ale jest o niebo lepsze niż wcześniejsza degrengolada.

Tak, zdecydowanie ma nadprzyrodzone moce, a jeśli w ogóle zna się na czymkolwiek, to ta zarozumiała suka na pewno nie wróci.



Annabelle ominęła tańczące dziwki i wpadła do łazienki. Szybko zamknęła drzwi na klucz i oparła się o nie, żeby złapać oddech. Co za koszmar. Musi natychmiast zwiewać.

Już przedtem zauważyła duże okno nad wanną z jacuzzi, więc zamiast szarpać się z Armandem – bo podejrzewała, że jeśli mu powie, że wychodzi, łatwo jej nie puści – uznała, że okno jest idealną drogą ucieczki.

Zdjęła buty, wpełchnęła je do torebki, a potem ostrożnie stanęła na brzegu wanny. Stamtąd wgramoliła się na marmurowy parapet i otworzyła okno. Było wyżej, niż się spodziewała, więc pokoziołkowała na wilgotną trawę, między skupisko małych palm.

Cicho zaklęła pod nosem, ale podniosła się i ruszyła ścieżką w stronę hotelu.

Myśl o odnowieniu związku z Eddiem Falconem z każdą minutą wydawała jej się coraz bardziej atrakcyjna.



Fouad usiłował zasnąć, ale mu to nie wychodziło. Kręcił się i wiercił i nie mógł mu się zrelaksować. Tak bardzo przyzwyczał się być gotowy na każde zawołanie Armanda, że teraz, kiedy ten nie odzywał się do niego od przynajmniej dwunastu godzin, zaczynał się niepokoić.

Po głowie chodziły mu wciąż jego słowa:

– Lucky Santangelo prędzej umrze, niż mnie przechytrzy.

Oczywiście były to czcze pogrożki, ale z powodu nadmiaru narkotyków Armand zdecydowanie przestawał nad sobą panować. Potrzebna była jakaś interwencja, i to szybko.

Nagle Fouad doznał olśnienia. Postanowił, że rano powie o wszystkim matce Armanda. O narkotykach, prostytutkach, może nawet o rodzinie Armanda w Akramszarze, chociaż dobrze wiedział, że jeśli to zrobi, Armand nigdy już się do niego nie odezwie.

Pewnie mądrzej powiedzieć jej tylko o narkotykach. Żeby nie było za dużo informacji naraz.

Armand Jordan rozpaczliwie potrzebuje pomocy, a zdaniem Fouada Peggy jest jedyną osobą, której będzie słuchał.

Teraz Fouad może spokojnie zasnąć, bo jutro wszystko się rozwiąże.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Annabelle Maestro była ostatnią osobą, którą Max spodziewałaby się spotkać na spowitej zielenią ścieżce prowadzącej do willi Billy'ego.

Annabelle wydawała się równie zaskoczona, kiedy ją zobaczyła.

Obie zatrzymały się i starały wymyślić krótkie wytłumaczenie, dlaczego tam się znalazły o północy.

– Cześć – powiedziała w końcu Annabelle.

– Mmm... cześć – odparła Max i pomyślała, że wygląd Annabelle trochę odbiega od jej zwykłej elegancji. Była nieco rozczochrana i z jakiegoś powodu buty niosła w rękach.

– Nie pomyliłaś hotelu? – spytała Annabelle. – Nie powinnaś być w The Keys?

– Hmm... Idę odwiedzić przyjaciół – wykręciła się Max.

– Ja też – powiedziała Annabelle.

– A dlaczego jesteś boso?

– Bo mam strasznie niewygodne buty.

– No tak, znam to uczucie.

Zapadła niezręczna cisza.

– Masz urodziny – zauważyła Annabelle. – Fantastycznie.

– Są jutro.

– Wszystkiego najlepszego.

– Dziękuję.

- Podobno Lucky urządza ci wielkie przyjęcie.
 - Tak – odparła Max i pomyślała, że jeżeli Annabelle przymawia się o zaproszenie, to nic z tego, bo Cookie jest z jej byłym.
 - Bardzo miło – powiedziała Annabelle.
 - Tak – zgodziła się Max.
 - No to dobrej zabawy.
 - Tobie też tego życzę.
- Po czym każda potruchtała w swoją stronę, zadowolona, że już może sobie iść.



Bobby z dziesięć minut czekał pod damską toaletą, a potem odnalazł M.J.-a i powiedział mu, że wychodzi.

- Co stało się Denver? – spytał M.J.
- Chyba jest na mnie wściekła. Wyszła.
- Nie mów mi, że wielki Bobby S, dostał kosza – roześmiał się M.J. – Nareszcie! Więc Bóg istnieje!
- Idź się pieprzyć – powiedział Bobby i pokręcił głową. – Pewnie czeka na mnie w pokoju.
- Masz nadzieję.
- Jestem pewny, chłopie. Przecież oprócz tego nie ma tu dokąd pójść.
- Może przecież wsiąść w samolot i wrócić do LA. Denver nie da sobie wciskać kitu.
- Jakiego kitu?
- Pół klubu widziało, jak tańczysz z Gią. Jest na okładce „Sports Illustrated”. Wszyscy ją znają.
- Przecież to nic nie było.
- Dobra, dobra, powiedz to swojej dziewczynie.

Bobby szybko wybiegł z klubu i wszedł do głównego budynku hotelu, gdzie prywatną windą pojechał na ich piętro.

Zmartwił się, bo Denver tam nie było. Zobaczył jednak jej ubrania, laptop i telefon i trochę się uspokoił. Nic dziwnego, że nie od-

powiadała, kiedy usiłował skontaktować się z nią przez komórkę.

Holender! Czy chce, żeby tu siedział i na nią czekał?

Na to wygląda.



Pod Cavendishem Annabelle złapała taksówkę i wyruszyła do The Keys. W głowie jej się nie mieściło, w co o mały włos się nie wpakowała. Tańczące zapite dziwki. Góry kokainy. Zboczeniec seksualny o zimnych, twardych oczach, z wyraźnymi skłonnościami do sadyzmu. Co strzeliło jej do głowy?

No tak, wydawało się jej, że Armand Jordan jest dobrym kandydatem na męża. Jak mogła się tak bardzo pomylić?

A potem na domiar wszystkiego wpadła na córkę Lucky. Gdzie też Max się szwenda o tak późnej porze?

Nie jej sprawa. Zapłaciła za taksówkę, weszła do The Keys i poszła prosto do toalety, gdzie usiłowała doprowadzić się do porządku. Na białej spódnicy od Chanel miała kilka plam z błota. Powinna się przebrać, ale teraz nie miała na to czasu. Nie chciała, żeby uciekł jej Eddie, więc poprawiła tylko makijaż, wyszczotkowała włosy i ruszyła do Mood.

Armand Jordan stał się już tylko niejasnym, koszmarnym wspomnieniem.



Lennie i Alex zapuścili się w dyskusję na jeden z ich ulubionych tematów – kary śmierci. Alex był za, a Lennie przeciw i żaden nie chciał ustąpić ani o centymetr. Lucky wszystko to słyszała już przedtem i nie miała zamiaru zajmować stanowiska, więc przesunęła się w stronę Venus, Eddiego, M.J.-a i Cassie. Jorge przycupnęła na samym końcu stołu.

– Więc to twój mały chłoptaş do zabawy? – zapytała Lucky, spoglądając na Jorgego.

– Nie taki znowu mały – sprostowała Venus z szelmowskim

uśmiechem.

– Wiesz, że go ignorujesz?
– Za to potem dobrze nim się zajmę – powiedziała Venus i napszyła sobie platynowe włosy. – Poza tym zabawiała go przecież dziewczyna Bobby'ego.

– Naprawdę? – zdziwiła się Lucky. – I co na to Bobby?
– Skąd mam wiedzieć? To ty jesteś jego matką. Gdyby nie to, natychmiast bym się nim zajęła.

– Uspokój się, jest dla ciebie o wiele za młody – stwierdziła Lucky z cichym chichotem.

– Przykro mi cię rozczarować, ale biorąc pod uwagę moje doświadczenie, Bobby jest wręcz w idealnym wieku.

– Tak, pamiętam, że zawsze miałaś do niego słabość.

– To prawda – powiedziała bez śladu zmieszania.

– Przynajmniej tego nie kryjesz.

– A ty musisz przyznać, że twój syn jest znakomitą partią.

Lucky przytaknęła.

– Tak. Dlatego powinien być ostrożny i unikać dziewcząt, które chcą zrobić karierę. Jest bogaty, przystojny i wolny. – Nastąpiła chwila ciszy. – Co sądzisz o Denver?

– Nie miałam okazji z nią porozmawiać.

– Wydaje mi się, że Bobby jest z nią szczęśliwy – zadumała się Lucky. – Chyba mi się podoba.

– Och, jak przyjemnie – przekomarzała się Venus. – Może się pobiorą i będziesz miała gromadkę uroczych wnucząt.

– Spadaj – dobrotliwie sarknęła Lucky. – Bobby musi jeszcze pożyć, zanim choćby pomyśli o stabilizacji.

– Oho, mama misia baaardzo chce go bronić – powiedziała Venus ze śmiechem, a potem dodała zwięźle. – Popatrz, idą kłopoty.

Lucky podniosła wzrok i zobaczyła, że do ich stolika zbliża się Annabelle Maestro. Wszyscy znali Annabelle z czasów, kiedy była z Frankiem. Wiedzieli wszystko o jej słynnych rodzicach i bardzo nagłośnionej, niezwykle osobistej książce.

– Przypomnij sobie, co wielki, zmarły już Andy Warhol po-

wiedział o piętnastu minutach sławy – zauważyła Venus, powoli sącząc koktajl. – Ta dziewczyna swoją chwilę rozgłosu wykorzystuje po mistrzowsku. Szkoda mi jej ojca.

– Rapha Maestro? – zapytała zszokowana Lucky. – Na miłość boską, ten człowiek zabił żonę. Powinien siedzieć w więzieniu.

– Zorganizował morderstwo – podkreśliła Venus. – To nie to samo.

– Cholera! – powiedziała Lucky, ze zdziwieniem kręcąc głową.
– Powinnaś przyłączyć się do Lenniego. Podyskutowalibyście na temat korzyści, jakie wynikają z tego, że mordercy chodzą po ulicach, a w dodatku jakie to zabawne.

– Przepraszam wszystkich – powiedział Eddie i na widok Annabelle wstał. – Chciałbym wam przedstawić moją dziewczynę, Annabelle Maestro.



– Cześć – powiedział Billy.

– Cześć – odparła Max w drzwiach jego willi. Czują się nieco onieśmielona.

Z willi po drugiej stronie ścieżki dochodził ryk muzyki, spod nóg uciekła jej jaszczurka, czuła lekki powiew nocnego wiatru. Zadrzała, a Billy się uśmiechnął. W świetle Max zapanowało szczęście.

– Przytulisz mnie? – zapytał, a intensywny błękit jego oczu wciągnął ją w otchłań.

Co tylko zechcesz, Billy Melino.

– Oczywiście – szepnęła i wpadła mu prosto w ramiona. Natychmiast zapomniała, jak go nienawdziła.

Uściskał ją, a potem zaprowadził do środka.

– Ktoś tam urządza sobie przyjęcie.

– Na to wygląda – odpowiedziała. Jego widok zapierał jej dech w piersiach.

Zamknął drzwi i popatrzyli na siebie.

– Przepraszam za LA – wykrztusił w końcu.

- O co chodzi? – zapytała, żeby nie zadrażniać sytuacji.
- No wiesz, pozwoliłem ci uciec.
- Od czego? – zdziwiła się, ponieważ postanowiła potraktować to żartobliwie.
- A potem wyjechałaś.
- Mówiłam ci, że jadę do Vegas.
- A po co twoim zdaniem tu przyjechałem?
- Naprawdę? Tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć?
- Tak, naprawdę. – I przysunął się, żeby dostać całusa, rozwiewając w ten sposób wszelkie wątpliwości Max, czy robi to, co właściwe.



– Idziemy – powiedziała Venus. Wstała i dała znak Jorgemu, że czas się zbierać. Na jego przystojnej, chłopięcej twarzy ukazał się grymas niezadowolenia. Cały wieczór go ignorowała, a teraz woła go jak pieska.

Ale wstał i sztywno stanął przy niej. Nie miał wyjścia.

– Będę w kontakcie – zapewniał Eddie Venus. Wstał pospiesznie, kłaniał się i lekko przebierał nogami, bo gdyby Venus została jego klientką, byłby to prawdziwy wyczyn. – Razem możemy wiele zdziałać.

– Na pewno – mruknęła Venus. – Musisz mi to tylko udowodnić.

– Na pewno mi się uda – stwierdził Eddie z zarozumiałym uśmiechem. – Nie będziesz zawiedziona.

– Jeszcze pogadamy.

– Oczywiście. – Usiadł z wyrazem zadowolenia na twarzy.

– Czy właśnie podkradłeś Venus jej agentowi? – Annabelle była pod sporym wrażeniem.

– Jeszcze nie, ale to zrobię – powiedział Eddie. Był pewny siebie i nie miał zielonego pojęcia, gdzie jego dziewczyna spędziła ostatnie parę godzin.

– Gratulacje – rzuciła Annabelle. – Jestem z ciebie dumna.

– To brzmi całkiem inaczej, niż kiedy wyzywałaś mnie od dupków.

– Przecież wiesz, że nie mówiłam serio.

– Możesz mi to dać na piśmie?

– Mówisz jak prawdziwy agent – zachichotała.

Mój Boże, pomyślała. Jak miło znów być wśród normalnych ludzi.

Odwróciła się w stronę Lucky.

– Tobie też powinnam chyba gratulować – powiedziała zachwycona, że przebywa w towarzystwie Lucky Santangelo.

– A dlaczego? – zapytała Lucky, jednocześnie rozglądając się za Bobbym.

Annabelle ściszyła głos.

– Wiem, że to wielka tajemnica, ale słyszałam, że sprzedajesz The Keys.

– Słucham? – zapytała Lucky zaskoczona.

– Nie martw się, nie pisnę nikomu ani słowa.

– Wcale się nie martwię, tylko nie wiem, o co chodzi. Kto ci to powiedział?

Annabelle szybko zerknęła w stronę Eddiego, który zajęty był rozmową z Lenniem i Alexem.

– Mmm... Armand Jordan. Wpadłam na niego w kasynie.

– W moim kasynie?

– Nie, w Cavendishu. Mieszka tam w willi. – Długa przerwa. – Przepraszam, nie powinnam była niczego mówić. Armand kazał mi przysiąc, że dochowam tajemnicy.

– W jakiej sprawie?

– Że kupuje The Keys, a kontrakt podpisuje jutro.

– Wkręcasz mnie, prawda?

– Ależ nie – zaprzeczyła Annabelle i poczuła lekki dreszcz przerażenia, bo trudno było nie odczytać w oczach Lucky gigantycznej złości. – Powtarzam tylko, co mi mówił Armand.

– Skąd go znasz?

– Z Nowego Jorku. Spotykaliśmy się parę razy.

– Na ile dobrze go znasz? – Z ciemnych oczu Lucky sypały się iskry.

– Nie... nie za dobrze. Jest raczej znajomym niż przyjacielem – jąkała się Annabelle. Zrozumiała, że powiedziała coś nie tak. Lucky wcale nie wyglądała na zadowoloną.

– Więc jeśli cokolwiek o nim wiesz, musisz zdawać sobie sprawę, że nienawidzi kobiet, jest kłamcą, maniakiem i draniem.

Alex pochylił się w ich stronę, wyłapując koniec wypowiedzi Lucky.

– Znowu o mnie mówisz – uśmiechnął się z przekąsem.

– Chciałbyś – warknęła Lucky i nagle wstała. Gestem przywołała M.J.-a – Muszę załatwić poufny telefon. Zaprowadź mnie do biura.

– Oczywiście. – M.J. skoczył na równe nogi. – Chodź.

– Wydaje mi się, że wkurzyłam Lucky – powiedziała Annabelle do Eddiego.

– No cóż, kochanie – odparł. – Chyba jesteś w tym mistrzynią. Chodź, zatańczmy. Mam ochotę świętować.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Armand niezbyt szybko zorientował się, że Annabelle nie wróci. Kiedy to zrozumiał, miał już na dobre zmętniały wzrok od nadmiaru kokainy, alkoholu i wszystkiego innego.

– Gdzie ona jest? – zapytał Luscious, która tańczyła przy wysokiej palmie w doniczce. Zrobiła sobie z niej prowizoryczną rurę.

Luscious przerwała i tonem damy powiedziała:

– To będziemy się pieprzyć, czy co?

Seducta była już prawie nieprzytomna. Bezwładnie osunęła się na podłogę i leżała tam z półprzymkniętymi oczami.

Przykro było na nią patrzeć, ale Armand był tak naćpany, że nawet tego nie zauważył.

– Gdzie ona jest? – powtórzył, chwiejnie wstał z kanapy i prawie stracił równowagę.

– Twoja dziewczyna zmyła się godzinę temu – wyjaśniła mu Luscious. Opuściła palmę i podeszła do niego. – Tak mi się przynajmniej wydaje. Albo to, albo leży nieżywa w łazience. – Luscious parsknęła śmiechem. To by dopiero było. Następne parapsychiczne przeczucie. Ale jeśli dziewczyna nie żyje, najlepiej się tu nie kręcić.

– W łazience? – spytał Armand.

W jego myśleniu było zero logiki. Serce waliło mu jak młotem i czuł mdłości.

– Tak – powiedziała Luscious. – Weszła tam. Chcesz, żebym

zajrzała?

- Po co? – spytał Armand i twardo wlepił w nią wzrok.
- Żeby zobaczyć, czy tam jest.
- Masz pistolet?
- Słucham?

Armand obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem.

- Pistolet?

Luscious zmarszczyła nos. Ten skurczybyk był bardziej chory, niż myślała. Chociaż wołała go w tym stanie, niż kiedy kilka razy uderzył ją i Seductę.

– Po co ci pistolet? – zapytała, bo przyszło jej do głowy, że może sprytnie będzie się z nim dogadać.

- Po to – tajemniczo odezwał się Armand.

– Po co?

– Bo mam do zabicia trochę czasu – stwierdził wielkopańskim tonem.

Cholera! Chyba mu odbiło, tak mówiła jej mama, kiedy stare krówsko było na tyle trzeźwe, żeby w ogóle coś mówić. Do diabła. Albo jest kompletnym wariatem, albo niebezpiecznym psycholem.

– Nie wyglądasz za dobrze – stwierdziła. – Lepiej posadź dupsko.

– Zdajesz sobie sprawę, że mam tyle pieniędzy, ile nie zobaczysz przez całe swoje życie? – chwalił się Armand. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął plik studolarówek. – Jesteś dziwką, powinnaś doceniać forszę – dodał i rzucił w jej stronę garść banknotów.

Pieniądze zatrzepotały wokół jej nagiego, chudego, wytatuowanego ciała i spadły na podłogę.

Świrus o węzowych oczach był zdecydowanie bardziej pokręcony, niż jej się wydawało.

Stłumiła pragnienie, by się schylić i pozbierać pieniądze. Seducta nie była tak cierpliwa. Kiedy tylko je zobaczyła, podczołgała się na czworakach.

Luscious nie mogła na to pozwolić. Zanim Seducta do nich dotarła, szybko się schyliła i zgarnęła, co tylko się dało. Ja piernicze!

Pomyślała, ściskając banknoty. Jest tu chyba kilka kawałków. Nie ma co, dupek na pewno ocipiał.

– Pistolet – mówił dalej Armand. – Chcę wynająć kogoś z pistoletem. Wiesz, gdzie można zamówić tego typu usługę?

– Po co? – odważnie zapytała Luscious. – Chcesz zabić swoją dziewczynę?

– Jakim prawem uważasz, że możesz tak się do mnie zwracać? – powiedział Armand, wlepiając w nią zły wzrok. Na jego twarzy malowała się pogarda. – Czy wiesz, do kogo mówisz?

– Nie podałeś swojego nazwiska – rzuciła Luscious, jednocześnie zauważając kilka studolarówek, których jeszcze nie podniosła.

– Nie chodzi o nazwisko – oznajmił z wyższością. – Chodzi o tytuł. Książę Armand Mohamed Jordan, wkrótce król Akramsza.

– Jasne, słonko – zaczęła Luscious, która postanowiła nadal we wszystkim mu pobyć, a jednocześnie chwyciła swoją torebkę i wcisnęła do niej forszę. – Mogę ci mówić Arnie?

– Wynajmij mi kogoś z pistoletem – ciągnął Armand i kiwnął do siebie głową. – Żeby zabić wroga ludu. Załatw to, a pieniądze nie będą żadnym problemem.

– Żadnym problemem, tak? – dopytywała się Luscious, a przez głowę przemknęło jej tysiąc poplątanych myśli. – Wiesz co, Arnie? Mam przecucie, że sprawa jest załatwiona.



Randy Sorrentino odpoczywał na leżaku (kanapę, która miała spaść z ciężarówki, powinien dostarczyć w następnym tygodniu) i z roztargnieniem głaskał się po jajach i kutasie. Przed nim stał telewizor, w którym leciał film *Prawdziwe panie domu* skądś tam. Fajnie było popatrzeć na bogate dupy o napiętych twarzach, z plastikowymi cyckami i durnymi mężami. Poza tym lubił przyglądać się ich wypasionym domom, żeby zobaczyć, czy łatwo byłoby się do nich włamać i odciążyć je trochę od nadmiaru rzeczy. Wszyscy mieli za dużo gratów – nie zaszkodziłoby, żeby z kimś się podzielili.

Randy skończył na dziś robotę. Załatwił interesy, a teraz mógł odpoczywać do powrotu Luscious.

Był z nią od prawie roku. Niezła z niej dziewczyna. Dbała o niego jak żadna przedtem, a był to nie lada wyczyn, bo kobiet miał mnóstwo. O tak, za dużo, by je spamiętać, zwłaszcza kiedy pracował w pornosach. Co tydzień była dostawa świeżych cipek – a każda dziewczyna rozpaczliwie chciała zostać nową Jenną Jameson.

Tak, Luscious była inna i gdyby nie była tak zazdrosna, może zastanowiłby się nad legalizacją ich związku. Ale zazdrość go odrzucała. Nic nie mógł na to poradzić, że natura tak sownie go obdarowała i wręcz roilo się od kobiet, które chciały sobie posać jego imponującego pana.

Na przykład ciągle przysuwała się do niego Seducta. Ocierała się o niego wielkimi cyckami, szeptała mu do ucha zberezeństwa, usiłowała szybcitko go pomacać i mówiła, że świetnie by im było razem.

Nie ma mowy. Była żoną jego starszego brata, a Mikey – tak jak Luscious – był cholernie zazdrosny. Więc Randy usiłował się do niej nie zbliżać, ale Seducta nie odpuszczała. Ostatnio Luscious zaczęło się chyba wydawać, że to on napalił się na Seductę.

Pieprzona sytuacja, a gdyby Mikey coś wywachał, zbilby go na kwaśne jabłko. Szkoda by było, bo od paru miesięcy odpuścili sobie nieporozumienia z przeszłości i świetnie się dogadywali, choć nie zawsze tak bywało. Teraz prowadzili dochodowy interes narkotykowy i obu świetnie to pasowało. Stała forsa, bardzo miła zmiana w życiu.

Randy właśnie zastanawiał się, czy wałnąć konia, kiedy zadzwoniła jego komórka. Luscious.

– Co? – spytał niecierpliwie.

– Ruszaj tyłek i przyjeżdżaj – powiedziała ochryłym szeptem. Głos dygotał jej z podniecenia. – Trafiliśmy na źródło żywego złota. Przywieź fikkę do kraku, spluwę i swoje stare, wielkie dupsko. Nareszcie zarobimy prawdziwe pieniądze.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Sukinsyn! – pomyślała Lucky. Pieprzony sukinsyn! Armand Jordan ma niesamowite jaja, że rozgaduje ludziom o zakupie The Keys. Nie ma dupek pieprzonej szansy, żeby mu to uszło na sucho. Zadarł z nieodpowiednią kobietą.

Widziała, że ten człowiek oznacza kłopoty, kiedy tylko przestąpił próg jej biura, zadufany w sobie, przeświadczony, że kobiety to niższa rasa. Co za dumny kutas! W świecie Lucky, jeśli jakiś kutas ma czelność rzucić jej wyzwanie, ona je podejmuje. O tak, tego typu gównu nikomu nie uchodzi płazem! Pomyśleć, że miał czelność opowiadać, że jutro The Keys będzie jego! Trzeba to natychmiast przerwać. Wszystko jedno, że jest grubo po północy. Za bardzo ją to wkurza, żeby czekać. Musi położyć temu kres i to zaraz.

Nie wspomniała Lenniemu, że wychodzi, ponieważ przez niego zawsze przemawiał głos rozsądku i starałby się ją powstrzymać. A w tej chwili była nie do powstrzymania.

Zamiast tego spróbowała dodzwonić się do Danny'ego, ale nie było go w domu. Szalał z Buffem na całonocnych tańcach w klubie dla gejów. Wysłała mu SMS-a na komórkę.

Następnie zadzwoniła do Jeffrey'a Lonsdale'a, który też nie odebrał telefonu, bo leżał w łóżku z atrakcyjną rozwódką, którą poznał przy stole do blackjacka, i wyciszył komórkę. Nie chciało jej się zostawiać mu wiadomości.

W końcu spróbowała dodzwonić się do Fouada Khana, który też chyba mieszkał w Cavendishu.

Telefon zadzwonił w jego pokoju, ale nikt go nie odebrał. Fouad stał na tarasie i palił papierosa. Nieczęsto ulegał temu nałogowi, ale teraz miał nadzieję, że pomoże mu to usnąć. Nie odebrał telefonu, bo zamknął szklane drzwi na taras, żeby nie zadymić sobie pokoju.

Sfrustrowana Lucky podjęła natychmiastową decyzję. Sama sobie z tym poradzi.

M.J. stał pod biurkiem i czekał, aż się pojawi.

– Powiedz Lenniemu, że musiałam załatwić pilną sprawę – powiedziała z ożywieniem. – Okay?

– Czy to coś, w czym mógłbym pomóc? – spytał M.J.

Pokręciła głową.

– Nie. Muszę to zrobić sama. Nie chcę, żeby Lennie szedł ze mną, więc mu powiedz, że zobaczymy się w mieszkaniu.

– Dobrze – przytaknęła M.J., zastanawiając się, o co chodzi.

– Czy Bobby jest gdzieś w okolicy?

– Chyba wyszedł, ale mogę jeszcze sprawdzić.

– Nie ma potrzeby – powiedziała, a pomyślała: Armandzie Jordan, właśnie czeka pana wizyta z najgorszego koszmaru. Kobieta skopie panu pożałowania godną dupę.



Denver wkrótce stwierdziła, że kobieta, która sama chodzi po kasynie, jest obiektem niewybrednych zaczepek. Każdy facet uważał, że ma prawo z nią zagadać.

– Skąd jesteś, kochana?

– Przyjechałaś na wakacje?

– Mogę postawić ci drinka?

Takie komentarze pochodziły od samotnych podróżników. Natomiast mężczyźni, którzy przyjechali w grupach, byli znacznie odważniej si.

– Masz czym oddychać. Ile za godzinę?

- Masz ochotę na party ze spaniem?
- Twój tyłek zatrzymałby ruch uliczny.

Po chwili miała tego dosyć – zapewne wyglądała, jakby wystawiała się na sprzedaż, kiedy tak w kółko chodziła po kasynie. Nie była jednak gotowa iść na górę. Jeśli Bobby tam jest, pewnie wdadzą się w jakąś głupią kłótnie, a jeśli go nie ma... Nawet nie miała siły o tym pomyśleć. Oczyma wyobraźni zobaczyła go w łóżku z Gią. Bobby całuje Gię, lizę ją...

O mój Boże! Staję się nadmiernie zakochaną, żalostną idiotką!

Postanowiła zrobić coś pozytywnego, więc kiedy zobaczyła puste miejsce przy stoliku z blackjackiem, usiadła.



Max nie miała takich intencji, ale zdarzyło się nieuniknione – wylądowała w łóżku z Billym. Był tak seksowny i silny, po prostu nadzwyczajny, tak pięknie pachniał, no i właśnie...

Pan Gwiazdor – mężczyzna, którego po południu w swoim mniemaniu nienawidziła, znów się z nią szaleńczo kochał i tym razem było jeszcze lepiej niż poprzednio.

Jeśli to możliwe.

Możliwe.

Jego dotyk przeszywał ją prądem. Nie miała pojęcia, że to takie cudowne. Wow! Gdyby tylko wiedziała, zaczęłaby o wiele wcześniej.

A może nie. Był powód, dla którego czekała, a tym powodem był Billy.

– Nie mogłem przestać o tobie myśleć – szepnął Billy lekko głaszcząc jej plecy palcami, kiedy leżał na niej w łóżku. – Przed oczami widziałem plażę i to, jak cię tam samą znalazłem. Byłaś sama jak wyrzutek społeczeństwa.

– Wyrzutek społeczeństwa! – obruszyła się i leniwie się przeciągnęła. – Przecież to było moje przyjęcie.

– Ale ani trochę ci się nie podobało. Aż do mojego przyjścia. Przyznaj się, Zielonooka, schowałeś się tam.

- To prawda.
- Ale gdybyś się nie schowała, nie wpadłbym na ciebie i nie byłibyśmy razem. Prawda?
- Tak – mruknęła i pomyślała, jaka jest szczęśliwa z Billym.
- Wiesz, że jest już po północy, więc to już twoje urodziny – stwierdził. – Szkoda, że nie mogę ich z tobą spędzić.
- Chciałabym – odpowiedziała. – Ale wyobrażasz sobie, jakie wszyscy mieliby miny, gdybym pojawiła się z tobą przy boku?
- Rozumiem – powiedział Billy. – Lucky i Lennie dostaliby apopleksji.
- Wcale się nie mylisz. I... – Chwilę się zawahała. – Przyjechała Venus. Widziałam ją w Mood. Pewnie będzie na moim przyjęciu.
- Też ją widziałem. Wpadłem na nią pod restauracją, gdzie jedliśmy z Kevem.
- Kev jest z tobą?
- Zabrał się dla rozrywki. Ale nie martw się, nie będzie nam przeszkadzał, dostał odpowiednie instrukcje.
- Nie chodzi o to, że go nie lubię – powiedziała ostrożnie.
- Słuchaj, czasem Kev potrafi się uprzykrzyć, ale ma ten plus, że chce jak najlepiej.
- Rozmawiałeś z Venus? – z ciekawością zapytała Max.
- Krótko. Teraz mnie nienawidzi.
- Naprawdę?
- Rozwód w każdej babce budzi jędzę.
- Wiem – rozmyślała na głos Max i przewróciła się na drugi bok.
- Venus jest przyjaciółką mamy, od kiedy byłam dzieckiem.
- Nadal jesteś dzieckiem – przekomarzał się i leniwie łaskotał ją w brzuch. Myślał o tym, jaka jest piękna i świetlista z oliwkową skórą i promiennymi, zielonymi oczami. Nie jest po prostu tak zwyczajnie ładna, jest piękna.
- Zapiszczała i poturlała się, żeby przed nim uciec.
- Roześmiał się i poczołgał się za nią. Wolno opuścił na nią szczupłą, opalone ciało i powoli wślizgnął się w nią, aż westchnęła z rozkoszy.

Zrozumiała, co miała na myśli Cookie, kiedy wciąż gadała o tym, jak wspaniale jest zrobić to do końca, zamiast ciągle się powstrzymywać.

Ale znowu poczuła zadowolenie, że poczekała. Billy Melina był idealnym prezentem urodzinowym z jej marzeń.



– Gdzie jest moja dziewczynka? – nagle spytał Gerald M., rozglądając się wokół zatłoczonego stołu w Mood. Pił jacka danielsa i nie czuł bólu.

Frankie, któremu dało się wślizgnąć między dwie blondynki, od niechcenia wzruszył ramionami.

– Szaleje w tańcu – odparł, chociaż nie miał pojęcia, gdzie zniknęła Cookie, i nie bardzo go to obchodziło. Blondynki już go zaprosiły do swojego apartamentu i zamierzał z tego skorzystać. Może nawet weźmie ze sobą Geralda M., jeśli tamten zechce.

– A nie miałaś być z moją dziewczynką? – spytał Gerald M. z wojowniczym błyskiem w oczach. – Powiedziała, że przyjechaliście razem.

Blondynki odpadają, pomyślał Frankie. Gość przypomniał sobie, że ma córkę.

– Tak – odparł Frankie, nadal wyluzowany. – Ale znasz Cookie. Lubi robić, co chce. Nie chciałbym jej przeszkadzać.

– Idź i znajdź ją – powiedział Gerald M. z gniewną miną. – Jest późno. Nie chcę, żeby sama chodziła po mieście.

– Na pewno nic jej nie jest – zaproponował Frankie, ale rozedrgało mu się lewe oko.

Gerald M. rzucił mu spojrzenie Wielkiej Gwiazdy, które mówiło: jeśli chcę, żebyś coś zrobił, rób to natychmiast.

– No dobrze – zgodził się Frankie i niechętnie wstał. – Chyba pójde jej poszukać.



Kiedy Lucky czegoś chciała, nie było siły ani człowieka, który by ją powstrzymał. Żyła według własnych zasad, a te były ściśle określone. Pokrótce streszczały się w powiedzeniu: „Nigdy nie zadzieraj z rodziną Santangelo”.

Armand Jordan z nią zadarł, a ona mu tego nie daruje. O nie. Dla niektórych czyjeś przechwałki, że kupuje The Keys, mogłoby być czymś mało ważnym, ale Lucky przyjęła to jak wypowiedzenie wojny. Nie pozwoli idiotcie wygadywać takich rzeczy. Natychmiast położy temu kres.

Zeszła do podziemia i na prywatny parking Santangelów, gdzie stwierdziła, że nocny stróż zasnął w pracy. Zamiast go budzić sięgnęła do jego budki i z wieszaka wzięła kluczyki do samochodu, którego używała w Vegas, srebrnobłękitnego astona martina. W pamięci zapisała sobie, żeby następnego dnia wyrzucić stróża, chyba że ma żonę i dzieci, to może da mu jeszcze szansę.

Poczuła, że decyzja o rozprawieniu się z Armandem Jordanem dodaje jej energii. Nie spodobał jej się już rano, kiedy pojawił się w jej biurze. Złe wibracje. Bardzo złe wibracje.

Do cholery z Jeffreyem, nie powinien był pozwolić, żeby znalazła się z tym typem w jednym pokoju. Ale Jeffrey się rozwodził i pewnie przez to przestał racjonalnie myśleć. Rozwody tak działają na ludzi, nawet na prawników.

Wyprowadziła samochód z podziemnego garażu i poczuła przyływ adrenaliny.

Nieważne, że jest prawie pierwsza po północy. De facto jest przez to bardziej dramatycznie. Armand Jordan zaraz się dowie, że nikt nie ma prawa zadzierać z Santangelami. Nikt.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Randy Sorrentino niezgrabnie podniósł swoje wielkie, umięśnione ciało z leżaka i spróbował się zastanowić, w co powinien się ubrać. W strój do dostarczania dragów, czyli lekki sportowy zakiet, brązową koszulę i spodnie? Czy coś bardziej na luzie – na przykład swoją cenną, starą bluzę Guns N'Roses i podarte jeansy?

Randy Sorrentino nie lubił się śpieszyć, uważał, że trzeba dać sobie czas. Jego umysł pracował wolno, więc pośpiech mu nie służył. Lubiał wszystko przemyśleć przed wyjściem z bezpiecznego schronienia swego mieszkania.

Wcześniej Luscious poinformowała go, że dziś wieczór nie będzie tańczyła u Brudnego Dena, bo ma jakąś dobrze płatną fuchę w hotelu Cavendish i bierze ze sobą Seductę. Randy nie był pewny, czy ta intratna fucha to striptiz czy prostytutka. Nie pytał, po co mu szczególnie. Jeśli jego dziewczyna chce rozłożyć nogi i za pieniądze zapraszać tam obcych, jemu to nie przeszkadza. Byle tylko nie przyciągnęła do domu smrodu innego faceta. W biznesie porno dużo się nauczył na temat ochrony i higieny osobistej i przemyślnie przekazał to Luscious, która przysięgała, że zawsze każe klientowi zakładać kondom.

Pieniądze, które przynosiła, przydawały się im. Kiedyś może zechcą kupić dom, a może też wziąć ślub i założyć rodzinę. Ale to odległa przyszłość. Na razie chodziło o to, żeby dobrze się bawić, a w tym Randy był ekspertem.

Zastanawiała go słowa, które Luscious pośpiesznie wyszeptwała przez telefon: „Ruszaj dupę i przyjeżdżaj. Trafiliśmy na źródło żywego złota”.

Może to znaczyć cokolwiek. Żywego – w przeciwieństwie do martwego ciała, które leżało w motelowym pokoju. Coś takiego przydarzyło się Luscious kilka miesięcy temu. Jakiś typek o słabym sercu wyzionął pod nią ducha. W panice zadzwoniła do Randy'ego, a on poradził jej wytrzeć wszystkie ślady w pokoju i czym prędzej zabierać tyłek. Tak zrobiła. Żadnych następstw nie było.

Przywieź fikę do kraku, spluwę i swoje stare, wielkie dupsko.

Szykuje się impreza? Czy ma coś sprzedać?

Randy nie lubił, kiedy mówiła do niego „stary”. Miał dopiero dwadzieścia osiem lat, no i tak, niektórzy mogli uważać, że jest duży – sto cztery kilo czystych mięśni – ale był duży w odpowiednich miejscach, co bardzo mu pomagało w podróży przez życie. I miał jedną przewagę nad Mikeyem – szybszy i gorętszy bolid, który wjeżdżał w damskie terytorium jak skurczybyk.

Skoro już pomyślał o Mikeyu – może powinien go w to wciągnąć? Musi przyznać, że Mikey to mózg rodziny, a on – mięśnie. Więc skoro Luscious powiedziała, że nareszcie zarobią prawdziwe pieniądze, powinien dać zarobić też i Mikeyowi?

Poza tym to Mikey ma porządną spluwę. Półautomatyczny pistolet Glocka. A co jeszcze ważniejsze, umie się nim posługiwać.

Tak, Mikey to ten człowiek.

Randy podciągnął spodnie i sięgnął po telefon, żeby zadzwonić po starszego brata.



Armand całkiem oklapł na sofie. Myśli wirowały mu w głowie. Nigdy przedtem nie łączył alkoholu i kokainy – zwłaszcza różnych rodzajów alkoholu. Kiedy jeszcze był w hotelu z Annabelle, wypił kilka kieliszków tequili, potem parę szklaneczek koktajlu limoncello, a następnie przynajmniej dwie butelki szampana. Był to cristal – dla

Armanda tylko to, co najlepsze. Teraz nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje.

Dziwki nie tańczyły, choć muzyka nadal głośno, hałaśliwie grała. Ostry rytm pulsował w mózgu Armanda. Jedna ze zdzir padła na kanapę w nagim, pijackim zamroczeniu. Chrapała z otwartą buzią, a jej ogromne cyce podskakiwały wte i wewte.

– Co jej? – burknął do chudej, która z niewiadomego powodu stała przy barze z telefonem w ręce. Kościste wytatuowane ciało miała prawie nagie.

– Już ktoś jedzie – poinformowała go. – Ktoś, kto zrobi, co chcesz. – Chwila przebiegłej ciszy. – Oczywiście za odpowiednią cenę.

Za odpowiednią cenę. Armand musiał przetrwać jej słowa. Za cenę.

A co właściwie ten człowiek miał zrobić za tę forszę?

Nagle przypomniało mu się. Roztrzaskać czaszkę Lucky Santangelo.

No więc tak.

Zapłaci, ile trzeba.



Randy podjechał po brata swoim superpodrasowanym złotym dodge'em.

Mikey stał już pod domem. Wyglądał groźnie: ubrany cały na czarno, w przeciwsłonecznych okularach z odblaskowymi szklami, które nosił dzień i noc. Nikt nie widział Mikeya bez okularów, nawet Seducta, która kiedyś poprosiła go, żeby je zdjął, ale dostała za to na odlew po gębie.

Mikey i Randy mieli wspólną matkę, ale różnych ojców. Ojciec Mikeya, zatwardziały kryminalista, odsiadywał w więzieniu dożywocie. Tata Randy'ego był zawodowym kulturystą, a teraz siedział w domu na rencie inwalidzkiej.

Mikey nie był potężny i wysoki jak młodszy brat, miał tylko metr

siedemdziesiąt i był drobnej budowy. Żeby wyglądać na większego, nosił kowbojskie buty z wężowej skóry na dwunastocentymetrowych, częściowo ukrytych obcasach, z tajemnym schowkiem, w którym trzymał piętnastocentymetrowy nóż myśliwski.

Kiedy bracia szli na miasto ze swoimi kobietami, ludzie zawsze myśleli, że Mikey jest z Luscious, a Seducta z Randym. Pasowali do siebie z wyglądu, ale oczywiście tak nie było. Mikey zawsze leciał na duże dziewczyny i miał obsesję na punkcie wielkich cyców. Najbardziej lubił w nich się tarzać, a potem na nie wytrysnąć. Na tym kończyły się seksualne upodobania Mikeya.

W przeciwieństwie do Randy'ego głównie kręciły go interesy.

– O co właściwie biega? – zapytał, plasując się na siedzeniu dla pasażera.

– Chyba coś dużego – powiedział Randy, zwiększając obroty silnika. – Luscious nie wyprowadzałyby nas w pole.

– Mam nadzieję – odparł Mikey. – Bo jeśli zmarnuje mi czas, dam jej w japę, aż przestanie widzieć na oczy.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Czy to miejsce jest wolne?

Denver nie zadała sobie trudu, żeby spojrzeć na mężczyznę, który usiadł koło niej przy stole do blackjaka.

Miała dosyć podrywów, co za dużo, to niezdrowo. Poza tym szło jej całkiem nieźle, uzbierała sporą kupkę żetonów. Hazard jest całkiem przyjemny, chociaż jeśli ma być wobec siebie szczerą, wolałaby być z Bobbym.

Postawiła następną zakład i cierpliwie czekała, aż krupier policzy karty.

Zrobiła to i... blackjack! Znów wygrała.

– Ładnie – powiedział mężczyzna, który siedział koło niej.

Szybko na niego spojrzała i zobaczyła, że to Bobby.

– Dziękuję – odpowiedziała uprzejmie, zachowując się, jakby w ogóle się nie znali.

– Proszę – dodał, dołączając do gry.

Brzuchaty mężczyzna w koszuli z hawajskim wzorem, który siedział o dwa krzesła dalej, triumfalnie podniósł do góry kciuk i mruknął coś o tym, że Denver dobije kasyno.

– Ta pani zgarnia wszystkie moje karty – skarżył się dobrodusznie. – Ale jest zbyt ładna, żeby się na nią gniewać. – Kiwnął głową w stronę Bobby'ego. – Może pan przywróci grze równowagę.

– Spróbuję – powiedział Bobby.

Grali jeszcze z piętnaście minut, aż wreszcie Denver przegrała zakład. Nie spoglądając na Bobby'ego, zebrała swoje zetony i wstała.

- Zgarniam kasę – stwierdziła i rzuciła krupierowi suty napiwek.
- Będziemy za panią tęsknić – powiedział Hawajska Koszula.

Bobby też wstał.

- Mogę pani postawić drinka? – spytał Denver.
- No cóż... – skrzywiła się.
- Całkiem przystojny facet. Niech się pani zgodzi – zachęcał ją Hawajska Koszula. – Chyba że ma żonę. Trzeba zerknąć na palec od obrączki i zobaczyć, czy nie ma znaku na opaleniznie. Ten sposób zawsze się sprawdza.

Denver poważnie spojrzała na Bobby'ego.

- Jest pan żonaty?
- Nie – równie poważnie odpowiedział Bobby. – A pani?
- Niedawno rozwiodłam się z trzecim mężem – rzuciła.
- Niebezpieczna kobieta! – wykrzyknął Hawajska Koszula.
- Dziękuję panu za zachętę – powiedziała Denver i uśmiechnęła się do niego. – Dam panu znać, jak się sprawa rozwinie.

Hawajska Koszula z entuzjazmem kiwnęła głową. Kochał Vegas. Zawsze coś się tutaj działo.

- A więc – zagaił Bobby, nadal odgrywając swoją rolę. – Co panią sprowadza do Vegas?

– Tak jak powiedziałam. Niedawno rozwiodłam się z trzecim mężem.

- Zrobił coś, co panią wyprowadziło z równowagi?
- Tańczył z byłą dziewczyną.
- Naprawdę?
- Mnie się to nie spodobało.
- Chyba ma pani rację. Chociaż był zapewne całkowicie niewinny.

– Może – powiedziała i wzruszyła ramionami. – A może i nie. – Doszli do baru i usiedli przy narożnym stoliku.

- Co dla pani zamówić? – spytał Bobby, kiedy podeszła do nich ładna kelnerka, żeby ich obsłużyć.

– Wódkę z martini – rzuciła Denver, która na dobre wciągnęła się do tej niespodziewanej gry. – Mocną jak siekiera, podwójną.

– Coś takiego, mmm – zdziwił się Bobby i uniósł brew. Denver, którą znał, zawsze piła białe wino. Ale teraz nie siedział koło Denver. Była to obca osoba i bardzo go to nakręcało. – No, dobrze. W takim razie: dla pani mocna, podwójna wódka z martini, a dla mnie piwo – powiedział do kelnerki.

– A dlaczego pan jest w Vegas? – zapytała Denver, kiedy kelnerka odeszła.

– Przyjechałem na romantyczny weekend z dziewczyną, ale jakoś nam się wszystko popsulo.

– Coś takiego!

– Samo życie!

– No właśnie.

Dostali napoje, a Denver wypila swoją wódkę, jakby była na rosyjskim weselu.

– Hej – zaproponował Bobby, usiłując się nie roześmiać. – Spokojnie.

– Niektórzy mężczyźni uważają, że jestem łatwa – mruknęła prowokacyjnie.

– Co to za mężczyźni?

Wzruszyła ramionami.

– No... nie wiem. Żądni przygód.

– Ja taki jestem.

– Tak?

– Oczywiście. – Chwila przerwy. – Może pójdzie pani ze mną na górę do pokoju i pani to udowodnię.

– Będzie tam pańska dziewczyna?

– Nie. Już dawno sobie poszła. Na całą noc.

– Jest pan pewien?

– Całkowicie.

Rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

– No to na co czekamy?

Rzucił pieniądze na stół, wstał i wziął ją za rękę.

– Nic takiego nie przyszło mi do głowy.



Lucky nie chciała ostrzegać Armanda Jordana, że wybiera się do niego z wizytą. Chodziło o zaskoczenie. Przyjdzie nagle, spadnie na niego znieca.

Tym razem nie będzie to konfrontacja fizyczna, jak wtedy, gdy jeden z inwestorów w hotele Santangelo odmówił wpłacenia umówionej sumy. Przyszła do niego w środku nocy, kiedy spał, i przyłożyła mu zimne ostrze noża do jaj. Następnego dnia zapłacił.

Lucky uśmiechnęła się na to wspomnienie. Mój Boże, ale była szalona! Lecz mimo tego, że teraz jest szczęśliwą mężatką i ma dorosłe dzieci, szalona jest nadal.

Armand Jordan wkrótce się o tym przekona. Dostanie ostrzeżenie, że ma przestać gadać o czymś, co się nigdy nie wydarzy, a jeśli nie posłucha i Lucky jeszcze kiedyś usłyszy, że on kupuje jej hotel, on również doświadczy, co znaczy zimna stal przy jego cennych jajach.



Zaczęło się w chwili, kiedy weszli do windy. Bobby przycisnął Denver do ściany i włożył kolano między jej nogi tak, że całkiem ją unieruchomił. Potem zaczął ją całować: dziko, pożądliwie, a ona natychmiast to odwzajemniła.

Przyspilił ją do windy i nie mogła mu uciec, a ponieważ nie miała na to najmniejszej ochoty, nie oponowała. Też go całowała. Rozkoszowała się smakiem jego ust, dotykiem ciała, które przyciskało ją do ściany. Boże. Uwielbiała w tym mężczyźnie wszystko.

Po kilku chwilach gwałtownie zdarł z niej górę sukni, odkrywając piersi. Schylił się, żeby ssać i gryźć jej mocno naprężone sutki.

Nieoczekiwane podniecenie sytuacją przepeliło ją ogniem. Jego usta na jej piersiach, twardy członek napierający na jej ciało. Całkiem zapomniiała, gdzie jest, a zapewniająca bezpieczeństwo kamera prawdopodobnie nagrywa każdy ich ruch. Szybko rozsunała suwak

jego spodni i zaczęła go pieścić. Było mu tak cholernie dobrze.

Winda cały czas jechała, ale żadne z nich nie zwracało na to uwagi.

Dłoń Bobby'ego przesunęła się po jej udzie, dotarła do stringów, rozerwała je i całkiem zdarła. Potem podniósł ją, tak że jej długie nogi zakleszczyły się wokół jego talii, i nie zatrzymując się, wtargnął do jej wnętrza.

Seks między nimi zawsze był gorący, ale teraz było inaczej. Doświadczali potu, szczytów namiętności, szaleństwa, czegoś wręcz pozacielesnego.

Winda stanęła na którymś piętrze i drzwi się otworzyły. Oboje usłyszeli zszokowane westchnienie jakiejś kobiety, po czym Bobby przechylił się, nacisnął guzik i zamknął drzwi.

– Może nie powinniśmy – wykrztusiła Denver, ale Bobby przycisnął jej dłoń do ust, by zamilkła. Potem znów pieścił jej piersi, przyciskał je do siebie, tarł sutki, a w środku cały czas pompował.

Jęczała z rozkoszy, a winda znów zaczęła szaleńczą podróż w górę. Nic się nie liczyło. Tylko to, że jest tu z Bobbym, jej pokrewną duszą. Jest wszystkim, czego kiedykolwiek pragnęła. Rozpaczliwie go kocha.

– O... mój... Boże! – krzyknęła, bo poczuła, że zbliża się do orgazmu. – To... jest...

– Szalone! – Bobby skończył za nią. W tej samej co ona chwili on również poczuł niesamowite szczytowanie.

Winda znów się zatrzymała, otworzyły się drzwi, a z zewnątrz w osłupiałej ciszy patrzyła na nich grupa starszawych turystów z Florydy.

Szybko jak błyskawica Bobby zapiął rozporek, ściągnął z siebie marynarkę i zarzucił ją na ramiona Denver. Chwycił ją za rękę i wyszli z windy.

– Miesiąc miodowy – wyjaśnił oniemiałym turystom. – Czasem trzeba zrobić to, co trzeba.



– Nie chcę iść, ale chyba muszę – odezwała się Max, leżąc z głową umoszczoną na opalonej piersi Billy'ego.

– Dlaczego? – spytał Billy i delikatnie odgarnął lok z jej twarzy.
– Przecież nikt na ciebie nie czeka, prawda?

NIEPRAWDA. Na pewno czeka na mnie Ace i co właściwie mam mu powiedzieć?

– Mmm... nie – skłamała. – Ale nie sądzę, żeby mama była zachwycona, kiedy się dowie, że całą noc mnie nie było.

– Teraz masz już osiemnaście lat – zauważył. – Nie ma nad tobą władzy. Możesz robić, co chcesz.

– Tak – niepewnie powiedziała Max. – Ale... bycie z tobą na pewno wywoła falę plotek...

– Raczej całe tsunami – ze śmiechem stwierdził Billy.

– To nie żarty – ostrzegła i usiadła na łóżku. – Przecież byłeś mężem najlepszej przyjaciółki mamy.

– O cholera – zażartował. – Jak do tego doszło?

– Nic w tym śmiesznego. Powiedziałabym raczej, że to jakiś koszmar.

– Mówisz, że jestem koszmarny? – spytał Billy, udając powagę.

– Nie ty – wyjaśniła szybko. – Sytuacja. To znaczy, nie mogę im powiedzieć, że się widujemy, jeszcze nawet nie masz rozwodu.

– Prawie mam.

– To nie to samo.

– Trudna jesteś.

– Ja? – spytała oburzona. – To ty jesteś gwiazdorem.

– A dlaczego mam z tego powodu być trudny?

– Bo wiesz, że tak już jest z gwiazdami. Wszyscy im dogadzają, co sprawia, że nie umieją zachowywać się jak normalni ludzie. Możesz mi wierzyć. Wszystko widziałam, kiedy mama miała Panther Studios.

– A więc teraz mi mówisz, że nie jestem normalny – powiedział rozbawiony.

- Jesteś Billym Meliną. Nie możesz być normalny.
Znowu się roześmiał, a potem chwycił ją za nogę.
- To ty nie jesteś normalna – wyszeptał. – Jesteś, kurczę, za ładna i za seksowna, żeby nawet móc pomyśleć o byciu normalną.
- Mówisz, że jestem seksowna? – zapytała, w duchu zachwycona.
- Tak, Zielonooka, właśnie to powiedziałem. Więc zapomnij o tym, żeby mi uciekać, i zastanówmy się, jakich jeszcze sztuczek mogę cię nauczyć.
- Nie musisz się trudzić. Sama znam takie sztuczki, że zaraz byś zwariował – stwierdziła z przeświadczeniem. – Zabrałeś mi dziewictwo, ale nie do końca byłam niewiniątkiem. Więc widzisz, panie gwiazdorze.
- Przebojowa dziewczyna. To mi się podoba.
- Naprawdę? – westchnęła i zaczęła się zastanawiać, czy właśnie tak czuje się osoba zakochana.
- Na sto procent, panno Zielonooka – z entuzjazmem odpowiedział Billy. – Bardzo mi się podobasz. Nie chcę z ciebie rezygnować, okay?
- Okay – odpowiedziała. Na chwilę przystanęło jej serce, bo może, tylko może, to prawdziwa miłość?

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Zwilli w Cavendishu dochodziła głośna muzyka. Zbyt głośna, by czuć się przy niej dobrze.

– Chyba jakaś impreza – stwierdził Randy i stanął pod drzwiami. Wcale go to nie zmartwiło. Jedno trzeba powiedzieć o Randym: zawsze był gotowy na imprezę.

– Żadnych imprez – warknął Mikey, a wąskie oczy za okularami rozglądały się dookoła. – Przyjechaliśmy w interesach. Jasne?

– Jasne. – Nigdy nie należało kłócić się z Mikeyem. Ostatnim razem, kiedy wdali się w bójkę, Randy stracił dwa zęby. Bolesne wspomnienie.

Chociaż Randy był młodszy, większy i silniejszy, Mikey znał ruchy, które brały się znikąd, a powalały człowieka w niecałe pięć sekund. Dlatego Randy nie miał zamiaru z nim zadzierać. To Mikey był Prawdziwym Mężczyzną.

Randy załomotał w drzwi, które natychmiast się otworzyły.

Mikey odruchowo sięgnął po spluwę. Był zawsze ostrożny, zawsze czujny.

Randy uważnie przekroczył próg pokoju, a Mikey wszedł tuż za nim.

Scena, która ich przywitała, była nie z tej ziemi. Naga Seducta leżała rozwalona na kanapie, tak nieprzytomna, że można by ją wyliczać jak boksera. Armand siedział przy niej w koszuli i krawacie, ale

bez spodni. Nogi miał szeroko rozłożone. Przed nim klęczała Luscious, której usta i lekko wystające zęby otaczały jego napęczniałą męskość. Głowa podskakiwała jej to w dół, to w górę.

Z głośników dochodził ryk rapu. Na stoliku do kawy leżały góry koki, a puste butelki po szampanie oraz miniaturowe buteleczki po szkockiej i po wódce wały się po podłodze.

– Co za speluna – ponuro odezwał się Mikey, który nadal miał pod palcami spluwę. – Niech ktoś wyłączy ten cholerny harmider.

Luscious przerwała robotę, wyłączyła muzykę i rozprostowała nogi. Nie spodziewała się, że Randy przywiezie Mikeya. Jeśli Mikey wejdzie w interes, dla nich będzie mniej szmalu. Była zła. Po co się dzielić, kiedy człowiek nie musi?

Armand mętym wzrokiem spojrzął na przybyszów. Zapraszał ich? Kim są?

Pokręcił głową, żeby logicznie pomyśleć, i wstał.

– Na miłość boską, schowaj te klejnoty.

Randy ucieszył się, że Mikey to powiedział. Zawstydział go widok sprzętu innego mężczyzny. Jejku! Niektórzy ludzie nie mają krzty skromności. Przecież nie kręcą pornosa. To prawdziwe życie.

Luscious otarła dłonią usta, podniosła spodnie Armanda i podała mu je.

Ubrał się i popatrzył na gości.

– Co to za ludzie? – spytał. – Po co przyszli?

– To tylko mój chłopak Randy i jego brat Mikey – powiedziała. Z kąta wyciągnęła swoją kusą bluzkę na ramiączkach oraz krótką spódnicę i ubrała się. – Załatwią sprawę, o którą ci chodziło. Pamiętasz?

– Jaką sprawę? – zdziwił się Armand. Stwierdził, że jeżeli pokój nie przestanie się kręcić, straci równowagę.

– No wiesz – powiedziała Luscious i szturchnęła go. – Tę, w której forsa nie jest żadnym problemem.

– Aaa... – przypomniał sobie Armand i lekko się potknął. Wtem przyszło mu do głowy, że naprawdę to zrobił. Wynajął zabójcę. Albo dwóch.

Kiedy rozmawiali, Randy przysunął się do Luscious.

– Nigdy mi nie mówiłaś, że ich ssiesz – wyszeptał i zrobił smutną minę. – A to po co?

– Żebyś miał więcej docłów do wydania – odpowiedziała cierpko. – Po co wzięłeś Mikeya?

– Bo on wie, co robi.

– A ty nie?

– Kogo pan musisz załatwić? – spytał Mikey i podszedł do Armanda. – W każdym razie wiedz pan, że to cię będzie kosztować, przyjacielu. Dużo. Dobrze się cenię.

Armand znów spróbował pozbierać myśli do kupy. Nie tak zwykle załatwia interesy. A były to interesy, pilne interesy.

Gdzie jest Fouad, kiedy go potrzebuje? Fouad zawsze zajmuje się szczegółami.

– Mam forse – powiedział. – Ile tylko sobie liczyicie za swoje usługi. Ale zanim ją dostaniecie, musimy podpisać klauzulę poufności.

– Wkręcasz mnie? – odparował Mikey i z obrzydzeniem pokręcił głową. – Posłuchajcie go tylko – dodał, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

– Jeśli nie podpiszesz, skąd mam wiedzieć, że ta sprawa zostanie między nami?

Mikey wybuchnął pustym śmiechem.

– Dwadzieścia pięć kawałków za robotę. Gotówką. Masz taki szmal pod ręką?

– Oczywiście – odparł Armand, wyniośle kiwając głową.

– Połowa z góry. Reszta po wszystkim – rzucił Mikey. – Kto jest celem? Masz zdjęcie? Muszę tylko wiedzieć, gdzie tego kogoś znaleźć.

Armand gapił się na niego pustym wzrokiem.

Mikey zaczynał się spinać, czekając na odpowiedź. Po jego postawie było widać, że jeśli nic z tego nie będzie, ktoś beknie za to, że wyciągnął go z domu, sprzed szerokoekranowego telewizora, kiedy oglądał film o orkach.

Zauważył Seductę, przysunął się do niej i czubkiem buta z wężowej skóry skopał ją z kanapy.

Spadła na podłogę i ocknęła się z pijackiego zamroczenia.

– Zakładaj ciuchy – rozkazał. – Wychodzimy.

– Co? – mruknęła.

Luscious stłumiła triumfalny uśmiezek. Randy mógł na własne oczy zobaczyć, z jakim śmieciem ożenił się jego brat.

– Idziemy – powtórzył Mikey.

– Nie możecie odejść – szybko wtrąciła Luscious. – Arnie przecież chce ubić interes, prawda, Arnie?

– Żadnej pieprzonej klauzuli poufności – zrzędził Mikey. – Do cholery. Takie gówno nie jest dla mnie. To sprawa na podanie ręki albo ja się w to nie bawię.

Luscious pociągnęła Armanda za ramię.

– Mówiłeś, że chcesz coś zrobić – jęknęła. – Specjalnie po to ściągnęłam tych facetów. Co oznacza, że musisz im powiedzieć, o co chodzi i jakoś się dogadać, bo inaczej się zmywamy. A tego przecież nie chcesz, prawda?

Nie, stwierdził Armand. Nie chce tego. Jest zadanie do wykonania, więc teraz musi wyłożyć jakąś kasę.

Przecież jest biznesmenem.

Księciem.

Załatwią sprawę ku obopólnej satysfakcji.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Denver wyszła spod prysznic z ręcznikiem, jak sarongiem, owiniętym wokół ciała. Z uśmiechem na twarzy wpadła prosto na Bobby'ego, który wchodził do apartamentu.

- Cześć – powiedział. – Miałem nadzieję, że cię tu zastanę.
- Świetnie – odpowiedziała bystrze. – Bo ja miałam nadzieję na

to samo.

- Naprawdę?
- Tak.

Wymienili wszystko rozumiejące uśmiechy.

- A więc – ciągnęła Denver. – Gdzie byłeś?
- Załatwiłem sprawy w klubie, a potem przyszedłem prosto tu-

taj.

- Prosto?
- Prawie. Po drodze trochę pobłądziłem.
- Pobłądziłeś?
- Przy stole do blackjacka spotkałem piękną kobietę.
- Naprawdę? Kto to mógł być?
- Nazywała się chyba... – Chwilę się zastanawiał. – Mmm...

Chicago.

- Chicago?
- Tak. Fantastyczna kobieta. Miała prawdziwe piersi, długie, jedwabiste włosy, fantastyczne nogi, a co najlepsze, ochotę na przy-

gody.

- Mam być zazdrosna?
- Nie wiem. To zależy. – Długa przerwa. – A ty, gdzie byłaś?
- Och – tajemniczo odpowiedziała Denver. – Spotkałam wysokiego, nieznajomego bruneta. Był mistrzem seksu i miał jędrne ciało.
- Podniecające.
- Tak. Kochaliśmy się w windzie.
- Mmm – lubieżnie mruknął Bobby. – Powiedz tylko, czy doprowadził cię do takiego orgazmu jak ja za chwilę? – Zgrabnym ruchem nadgarstka rozwiązał ręcznik.

Oboje wybuchli śmiechem, kiedy ręcznik opadł na podłogę.

– O, mój Boże! – krzyknęła Denver, wciąż się śmiejąc. – Nigdy nie masz dosyć.

– Jasne, a ty to uwielbiasz – powiedział Bobby. Poprowadził ją do sypialni i na łóżko.

Uśmiechnęła się, podnosząc na niego wzrok, a on mocno, zdecydowanie ją całował. Potem wolno zaczął językiem zjeżdżać w dół, a wreszcie delikatnie rozdzielił jej nogi i zaczął ją całować w środku.

Odrzuciła głowę do tyłu i rozkoszowała się jego dotykiem. Dłonie miał na jej udach i lekko je rozchyłał. Znowu poczuła, że jest w rozkosznej pułapce.

Po kilku minutach podniósł głowę, by zaczerpnąć powietrza.

– Sprawiasz, że zapominam o Chicago – szepnął. – Tamta kobieta jest już tylko odległym wspomnieniem.

– Właśnie tak powinno być – mruknęła Denver z rozmarzeniem i pomyślała, że ten weekend faktycznie będzie wart wspomnienia.



Z jednej strony Kev czuł się winny, ale z drugiej pomyślał sobie, a niech to, ma prawo zarobić jakieś ludzkie pieniądze. Billy tarza się w szmalu, wręcz opływa w kasę. Jest cholernym gwiazdorem, a on kim? Starym, biednym Kevem, który załapał się na wycieczkę, a potem Billy go wykopał jak wyleniałego psa i nawet dobrze mu nie wyjaśnił,

o co chodzi. No tak: „Cześć, Kev. Wynajmij sobie pokój, Kev. Na mój rachunek”.

Czy Billy już zapomniał, jak miesiącami koczował w mieszkaniu Keva, kiedy starał się dostać do Hollywood? Billy Melina nie miał nawet własnego nocnika, i to on, Kev, płacił wszystkie rachunki, kupował jedzenie i cały czas wspierał Billy'ego.

Więc teraz pieprzy to wszystko. Ma szansę zarobić prawdziwe pieniądze, więc kto go będzie winił, że z tego skorzysta?

Okazało się, że Ellie była więcej niż ładną, siedzącą w barze i robiącą w zeszycie notatki dziewczyną. Ellie była wolnym strzelcem, fotoreporterką i dziennikarką, która przyjechała do Vegas, aby wykopać jak najwięcej brudu o celebrytach odwiedzających Vegas z okazji wielkiego meczu boksinerskiego.

– Wiesz – poinformowała Keva po tym, jak wypili razem kilka piw. – Za dobre zdjęcie celebryty można zarobić nawet sto tysięcy dolarów. A twój szef właśnie z hukiem się rozwodzi – więc... gdybym miała jedyne na rynku jego zdjęcie z kimś nowym... to bingo. Mamy kasę. Ty to załatw i podzielimy się na pół.

Kim jest, aby odrzucić tak lukratywną ofertę?

Do diabła z lojalnością. Billy się nią nie przejmował.



Frankie nachmurzył się.

Gdzie właściwie ma szukać Cookie? Nie ma jej na parkingu ani w całym tym cholernym klubie, więc gdzie się właściwie, do diabła, podziała? Nie miał pojęcia, ale świetnie zdawał sobie sprawę, że jeśli chce zachować dobre relacje z Geraldem M., musi znaleźć jego małą flirciarę.

Rozpaczliwie zależało mu na towarzystwie gości w stylu Geralda M. Tak, może i posunął się już w latach, ale to prawdziwa gwiazda, jak Smokey Robinson albo Lionel Richie. Frankie byłby zachwycony, gdyby Gerald co noc wpadał do River i tchnął w klub trochę swojej gwiazdorskiej chwały. W zamian za tak miłe towarzystwo byłby

nawet gotów dostarczać mu za darmo dragi.

Ale jeśli nie znajdzie jego najdroższej córuchny, z takich marzeń na pewno będą nici.

Ciekawe, co tatuńcio by pomyślał, gdyby widział, jak najdroższa córuchna obciążała mu druta po drodze do Vegas. Już nie byłaby aż tak droga.

Frankie podszedł do M.J.-a i stanął jak wryty, gdy zobaczył, jak jego była laska, Annabelle Maestro, siedzi przy stoliku z Lenniem Goldenem i wziętym agentem, o którym ostatnio bardzo głośno – Eddiem Falconem. Od miesięcy nie odzywali się do siebie z Annabelle, a dokładnie od kiedy jej zagroził procesem za opublikowanie pełnej oszczerstw książki, w której przedstawiła go jako zdegenerowanego narkomana.

Znał Eddiego, bo agent kilka razy był w River, więc rzucił mu oschłe „Cześć” i spróbował zignorować Annabelle.

Eddie nie pozwolił mu na to.

– Znasz moją dziewczynę, Annabelle Maestro – powiedział.

Na chwilę zapadło milczenie. – Zaraz, zaraz, chyba ze sobą chodziliście?

– Krótko – powiedziała Annabelle, nawet nie spoglądając na Frankiego.

– Dawno temu – stwierdził Frankie i zwrócił się do M.J.-a. – Widziałeś Cookie? – zapytał.

– Teraz zadaje się z małolatami – burknęła Annabelle. – To do niego pasuje.

Frankie udał, że jej nie usłyszał.

– Razem z Max wybierały się do Wonderball – przysłała mu z pomocą Cassie.

– Wonder co? – spytał Frankie, który chętnie by się zmył z tego towarzystwa.

– To klub dla małolatów przy Las Vegas Strip.

Fantastycznie. Jego nastolatka poleciała się pobawić z innymi dziećmi. Ale teraz przynajmniej będzie mógł powiedzieć Geraldowi M., gdzie się podziała.

- Dzięki – powiedział do Cassie.
- Spoko – odparła.

Wrócił do stolika wyposażony w informację co do miejsca pobytu Cookie.

Stolik był pusty. Gerald M. wraz ze świtą – w tym z dwiema blondynkami, które Frankie zaplanował dla siebie na później – już się zmył. Zostawili tylko rachunek.

Jego zasrane szczęście. I co ma teraz w sumie robić?



Max bardzo się podobało, że Billy nie chce jej puścić. Znaczyło to, że bardzo ją lubi.

– Kiedy znów się zobaczymy? – zapytał i usiadł na brzegu łóżka.
– Bo jeśli się nie zobaczymy, wracam do LA.

– Cóż – powiedziała i zastanowiła się, jak wszystko poukładać. – Mam obiad z rodziną, ale potem chyba mogłabym wpaść. Może moglibyśmy gdzieś pójść, razem się zabawić.

– Dobrze ci marzyć, kochana. – Billy roześmiał się ze smutkiem.
– Jeśli wystawię stąd choćby jedną stopę, osaczą mnie paparazzi, a tobie przyklepią etykietkę mojej nowej, tajemniczej kobiety.

– Jest aż tak źle? – zdziwiła się i pomyślała, że to straszne stracić prywatność.

– Możesz mi wierzyć – zapewnił ją Billy. – Aż tak źle. Nawet bez rozwodu byłem pod ciągłym ostrzałem. A teraz jeszcze to pomnóż. Sytuacja niesamowicie się zaostrza. Nienawidzę tego.

– Ale chyba nie wiedzą, że jesteś w Vegas? – zapytała.

– Gdzie tam, wiedzą. Tylko jeszcze mnie nie znaleźli.

– Czy to znaczy, że nie możemy nigdzie razem iść? Nawet w LA?

– Chyba że ci nie przeszkadza, że wszyscy się o nas dowiedzą.

Max pomyślała, jak zareagowałoby Lucky i Lennie, i zdrzała. Chyba dostaliby szału.

– Okay – powiedziała z wahaniem. –Więc wrócę tu potem i

będziemy razem oglądać telewizję albo coś.

– Podoba mi się zwłaszcza to „coś” – rzucił z lubieżnym uśmiechem. – Twoja edukacja będzie się rozwijać.

– Ha! – fuknęła z lekceważeniem. – Tylko przestań sobie wyobrażać, że jestem jakimś biednym, niewinnym kwiatkiem, a ty mnie uczysz, jak rosnać. Mówię szczerze, nie jestem tego typu dziewczyną.

– Nie niszczyć moich złudzeń. – Uśmiechnął się. – Jestem szczęśliwy, że byłem twoim pierwszym facetem. Dzięki temu jest między nami coś szczególnego.

– Mmm... – zamruczała. Usiłowała ukryć, jak bardzo ucieszyła się z tego, co powiedział. Musiała udawać lekki luz, nie mogła mu pokazać, jak bardzo zdążyła się w nim zadurzyć. – Tak czy inaczej, muszę się stąd zmywać – powiedziała, wstając.

– Zadzwoń do mnie, kiedy już będziesz u siebie w pokoju – rzucił. – Chcę mieć pewność, że bezpiecznie dotarłaś na miejsce.

Odprowadziłbym cię, ale...

– Tak, wiem, wiem. Cholerni paparazzi.

– Tak – powiedział z uśmiechem. – Szybko załapujesz.

– Oczywiście, zadzwonię.

– Będę czekał, Zielonooka.

– Ja tak samo!



Lucky знаła hotel Cavendish równie dobrze jak swój własny. Podczas budowy The Keys wiele razy mieszkała w willach. Kiedy w recepcji podano jej numer willi Armanda, doskonale wiedziała, gdzie to jest.

Podjechała do hotelu i postanowiła, że zaparkuje w specjalnym miejscu blisko willi – nie ma sensu iść przez hol i kasyno. Potem, o przyzwoitej porze, zadzwoni do Renee, właścicielki Cavendisha, i poprosi ją, żeby kazała wyrzucić Armanda Jordana z hotelu.

A na razie cieszyła się, że da mu przedtem odpowiednią nauczkę. Potraktuje to jak grę, w której jest mistrzynią.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Gdyby Armand nie był tak bardzo naćpany, wiedziałby, że to, co robi, jest lekkomyślne i niewiarygodnie głupie. Wiedziałby, że powinien zawołać Fouada i upewnić się, czy dobrze zaplanował szczegóły. Jednak Fouad natychmiast położyłby kres jego planom.

No tak... Fouad ostrzegłby go, że jego zachowanie jest niebezpieczne i nie do przyjęcia. Ze wiele ryzykuje, zadając się z tak złymi ludźmi. Z dziwkami i zbirami, którzy wszystko zrobią dla pieniędzy.

Z DZIWKAMI I ZBIRAMI.

Armand roześmiał się. Było mu wszystko jedno. Już się zdecydował. Na chwiejnych nogach poszedł do sypialni, wyjął walizkę z pieniędzmi i przekręcił kulczyk. Dwadzieścia pięć tysięcy, żeby pozbyć się wroga, to taniocha. Dwadzieścia pięć tysięcy i do widzenia, Lucky Santangelo.

Wlepił oczy w schludne pliki banknotów, poukładane po dwadzieścia tysięcy. Gotówka. Nie ma nic lepszego. Żadnych śladów na papierze, żeby człowieka nakryć.

Nim się zorientował, stała przy nim Luscious. Szczęka jej opadła na widok otwartej walizki pełnej pieniędzy.

– Obrabowałeś bank, czy co? – zapytała, a oczy rozszerzyły jej się z chciwości.

– Mój bank. Moje pieniądze – odpowiedział lekko rozszłoszczony, że poszła za nim do sypialni.

– Bogaty z ciebie skurczybyk, co? – stwierdziła i uczepiła się jego ramienia. – Bogaty i seksowny.

– Twoim zdaniem jestem seksowny? – zapytał Armand. Było mu nawet miło, że tak powiedziała. Nigdy przedtem nie dał kobiecie okazji, by powiedziała mu, że jest seksowny. Zawsze je upokarzał i mówił, że nie zasługują na to, aby się odzywać.

– Jasne – wyszeptwała Luscious, nadal wisząc mu na ramieniu. – I mam dla ciebie coś ekstra. Wszystko przygotowałam w drugim pokoju. Coś nadzwyczajnego.

– Co to może być?

– Palileś kiedyś krak, Arnie? Bo jeśli nie, to zabiorę cię w miejsce, którego nigdy nie zapomnisz. – Chwyciła go mocniej za ramię i odciągnęła od wypchanej pieniędzmi walizki. Zostawił ją otwartą.

– Chodźmy, duży chłopczyku. Tę noc zapamiętasz na zawsze.



Przykucnięty w krzakach pod willą Billy'ego tuż przy Ellie i jej aparacie z teleobiektywem, Kev poczuł wyrzuty sumienia. Znali się z Billym od dawna, byli starymi kumplami, a teraz ma go zdradzić za pieniądze.

Ale przecież to wina Billy'ego. To on postanowił mu przestać ufać. Brak zaufania ze strony przyjaciela oznaczał, że wszystko mu już wolno.

– Możemy tu przesiedzieć całą noc – mruknął Kev, któremu ta myśl nie przypadła do gustu.

– Mnie to nie przeszkadza – odpowiedziała wesoło. – Ktokolwiek tam z nim jest, w końcu musi wyjść, a wtedy będziemy mieć zdjęcie.

– Już przedtem to robiłaś, prawda? – zapytał Kev, zastanawiając się, kiedy zacząć ją podrywać. W końcu jest w Vegas i ma wielką potrzebę z kimś się przespać.

– Kilka razy – powiedziała Ellie z lekkim sarkazmem. – Uczył

mnie tata. Był jednym z największych. Jak cień chodził za Jackie O. Elvise łąpał chudego i grubego. Michaela Jacksona w piżamie. O.J.-a w trakcie ucieczki. Dianę i Dodiego. O tak, tacie zawsze się udawało. Nauczył mnie, że cała sztuka to się cichutko przycisnąć, poczekać, aż nadejdzie idealna chwila, i wtedy działać. Trochę jak obserwowanie ptaków. Obiekt o niczym nie wie. Aparat z noktowizorem, dobry obiektyw. Odłot.

– Nie mam pojęcia, z kim tam jest – po raz trzeci stwierdził Kev.
– Z tego co wiem, może to być nawet Venus. Dzisiaj na nią wpadliśmy.

– To dopiero byłoby zdjęcie – powiedziała Ellie i poprawiła ustawienie aparatu. – Wszędzie na pierwszych stronach. Ojej!

– Widywał się też z Willow Price – zasugerował Kev.

– Stare ploty. Poza tym wszyscy wiedzą, że ona leci na cipki.

– Była jeszcze taka młoda dziewczyna w LA.

– Jak młoda, to dobrze – rzeczowo stwierdziła Ellie. – Albo czarna. Albo gwiazda pornosów. Najlepiej byłoby, gdyby się zszedł z Charliem Sheenem, takie coś zawsze jest na topie.

– Nie z Billym takie numery. To nie jego działka.

– Nie? Jednego nauczyłam się w tym biznesie. Wszystko jest możliwe.



– Naprawdę nie chcę, żebyś szła – powiedział Billy i odprowadził Max do drzwi, obejmując ją w talii.

– A ja naprawdę nie chcę iść. – Podniosła rękę i zartobliwie dotknęła dołeczka w jego policzku.

Otworzył drzwi i stali w blasku księżycy, nie mogąc się rozstać.

Billy pochylił się do przodu i pocałował ją w usta. Długi, seksowny pocałunek.

– Dobranoc, Zielonooka – wyszeptał. – Do jutra.

– Muszę chyba i dla ciebie wymyślić przezwisko – mruknęła, ociągając się przed odejściem. – Może Dołeczek?

– To brzmi jak imię dla małpki, którą ktoś trzyma w domu – stwierdził Billy i parsknął śmiechem. – Dołeczek! Coś takiego! Wymyśl coś macho.

Max z chichotem zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Na przykład?

– Coś wymyślisz – powiedział i uściskał ją czule.

– Na pewno.

– Jasne.

Żadne z nich nie słyszało miarowego klikania ukrytego w krzakach aparatu.



Euforia, która ogarnęła Armanda, nie przypominała żadnych jego wcześniejszych doświadczeń. Dzielił się fiklą do kraka z tymi ludźmi – jego nowymi, najlepszymi przyjaciółmi, i miało to moc magiczną. Naprawdę są jego przyjaciółmi.

Nie. Jest jeszcze lepiej. Są jego lojalnymi poddanymi. Czekają na rozkazy. Pomogą mu osiągnąć wielkość.

Tak, wielkość. **PONIEWAŻ ARMAND JORDAN TO CZŁOWIEK, KTÓRY ZOSTANIE KRÓLEM.**

A kiedy zostanie władcą, wszystkich zabierze do Akramszeru, gdzie będą mieszkać w spokoju i w harmonii.

Spojrzał na dwie kobiety – Luscious i Seductę. To nie są dziwki, tylko przepiękne istoty. Doskonałe, subtelne. Chciał je pieprzyć. Obie. Już zawsze.

Wszyscy będą się razem unosić na morzu szczęśliwości. Ich ciała przepełni zdumienie. Tak ma być.

Niezależnie od niego jego serce wyczyniało dzięki harce. Biło tak szybko, że nie mógł za nim nadążyć. Ale ten rytm koił mu nerwy, sprawiał, że było mu ciepło i czuł się bezpiecznie.

Wszystko potrafi zrobić.

Istnienie to przyjemność.

Niebiańska rozkosz.

A on jest niebiańską istotą.



- Rozpoznałeś ją? – zapytała Ellie szeptem.
- To chyba ta z LA – powiedział Kev, mrużąc oczy, żeby lepiej ją dojrzeć. – Jakaś Max.
- Wygląda na bardzo młodą – zauważyła Ellie.
- Jest młoda.
- Tym lepiej – stwierdziła Ellie i trzaskała zdjęciami, kiedy Billy i Max przytulali się i całowali.

Kev zastanawiał się, kiedy Ellie zrobi dosyć zdjęć, bo miał nadzieję się z nią przespać.

Zarobi i jeszcze będzie miał dziewczynę. Idealny układ.



- Wydaje mi się, że twoja żona gdzieś zniknęła – powiedział Alex, przez cały wieczór drażniąc się z Lennie.
 - Żona jest w domu i czeka na mnie w łóżku – odparł Lennie.
 - To znaczy, że zostawiła cię w klubie i nawet się nie pożegnała?
- droczył się z nim Alex, pochłaniając jeszcze więcej szkockiej.

Lennie roześmiał się oschle.

- Od razu widać, że słabo znasz Lucky. Ona robi swoje, a ja swoje. Nigdy nie musimy się ze sobą konsultować.
- Nowoczesne małżeństwo, co?
- Nowoczesne, ale nie otwarte dla innych.
- Tyko pytam.
- Pytaj sobie, Alex. – Długa, pełna znaczenia cisza. – Ale muszę ci to chyba powiedzieć, Lucky nigdy nie będzie twoja. Nigdy. Masz to jak w banku. – Następną, długą chwilą milczenia. – Dobrze się rozumiemy?



- Mówię ci – szepnęła Luscious Randy'emu do ucha. – Zapo-

mnijmy o rozwałce. W sypialni jest dzika masa forsy w walizce, pewnie ponad sto kawałków.

Randy właśnie mocno się zaciągnął z fiki do kraka i nie mógł się skupić, co wkurzyło Luscious. A w dodatku Seducta praktycznie na nim leżała, a on jej nie odganiał. Cycki trzymała mu na twarzy, a jemu jakby to wcale nie przeszkadzało.

Czasami Randy nie umiał myśleć perspektywicznie, ale Luscious była pewna, że Mikey na pewno to umie. Stwierdziła, że musi zadziałać inaczej.

Mikey stał przy oknie i palił długie cygaro. Już zgarnął dwanaście i pół kawałka zaliczki i właśnie czekał, aż klient powie mu, o kogo chodzi.

Mikeyowi przyszło do głowy, że może zwinąć kasę, którą dostał, włożyć ją do sejfu i nie wykonać roboty. Gość nawet się nie zorientuje. Palant i tak nic nie będzie mógł mu zrobić. Taki debil, że można go złapać na szosie bez gaci, wypieprzyć i zostawić.

Mikey uśmiechnął się ponuro. Nie bierze narkotyków. Tylko pali. Pije, ale nigdy za dużo. Mikey zawsze pilnuje, żeby mieć nad wszystkim kontrolę.

Patrzył, jak wszyscy pozostali się szmacą i poczuł dla nich litość. Żadnej siły woli. Żadnego kręgosłupa. Prawda jest taka, że to ofiary losu.

Przyglądał się, jak jego żona ssie fikę. Głupia jak but. Ciekawe tylko, po co się z nią żenił.

Może w chwili słabości uległ magii cipki i czarowi wielkich cyców? Nawet Luscious, którą trudno posądzać o mądrość, ma więcej rozumu niż Seducta.

Luscious jakby mu czytała w myślach.

- Musimy szybko działać – wyszeptała.
- Bo? – spytał Mikey, strząsając popiół na dywan.
- W sypialni jest walizka pełna szmalu. Widziałam ją. – Wskażała Armanda. – Taki jest naćpany, że nic nie będzie pamiętał. Musimy ja wziąć i spieprzać stąd.
- Ile szmalcu? – spytał bardzo zaciekawiony Mikey.

– Sam zobacz – nalegała Luscious. – Mówię ci, warto z nią uciekać.

Mikeyowi nie trzeba było tego powtarzać. Zdecydowanym krokiem ruszył ku sypialni.

Rozdział sześćdziesiąty

Już czas – powiedział Bobby. – Powinniśmy razem zamieszkać.

– Czy ty w ogóle nie sypiasz? – jęknęła Denver i przewróciła się na drugi bok. – Która godzina?

– Dom. Kupię dla nas dom – stwierdził stanowczo. – Połowa będzie twoja, a połowa moja. Ja urządzę swoją część, a ty swoją.

– Aha – westchnęła, ziewając. – Więc na dokładkę jesteś jeszcze dekoratorem wnętrz.

– Wiem, co mi się podoba. Pracowałem z zespołem dekoratorów przy Mood.

– Niezły z ciebie agregat, Bobby Santangelo Stanislopoulos – westchnęła. – Człowiek o wielu talentach.

– Który lubisz najbardziej?

– W tej chwili chcę się tylko porządnie wyspać.

– Więc postanowione? – zapytał i przytulił się do niej całym ciałem. – Mogę kupić dla nas dom?

– Nie powiedziałam...

Jego dłonie wślizgnęły się pod luźny T-shirt, w którym spała, i zaczął pieścić jej piersi.

– A co powiedziałaś?

– Mam dość seksu. Chcę spać – błagała. – Robi się z ciebie straszny napaleniec.

– Ale najpierw musisz się zgodzić.

- Okay, okay, zgadzam się.
- Obiecujesz?
- Tak.
- Dotrzymujesz słowa?
- Tak! Tak! Tak!
- No to dobrze – powiedział z uśmiechem. – Teraz możesz spać.
- Na pewno?
- No... – wyszeptał i już ją pieścił rękami. – Może tylko... jeszcze trzeci raz, na szczęście.
- O mój Boże! Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że stajesz się maniakiem seksualnym?
- Znowu się uśmiechnął.
- Tylko ty.



- No i co, miałam rację? – zapytała Luscious Mikeya z triumfalnym błyskiem w oczach.
- Mikey stanął przed wypełnioną pieniędzmi otwartą walizką Armanda i przeciągle gwizdnął.
- Tak – powiedział w końcu. – Miałś rację.
- Pochwała z ust tajemniczego Mikeya to dopiero coś. Luscious pękała z dumy.
- Mikey palcami prawej stopy zaczął miarowo stukać o pluszowy dywan, co stanowiło niezbity dowód, że myśli.
- Według jego szybkich obliczeń w walizce było na pewno przynajmniej trzysta-czterysta tysięcy. Może więcej. Nigdy nie widział aż tylu pieniędzy w jednym miejscu, a przecież całe życie obracał się wśród handlarzy narkotyków i przestępców. To dopiero numer.
- Co to za gość?
- Nie wiem – odpowiedziała Luscious, bezsilnie wzruszając ramionami. – Po prostu klient, który ma górę kasy.
- Mikey wiedział, że musi postępować ostrożnie i rozważyć wszystkie możliwości. Czy forsa pochodzi z narkotyków? Chyba nie,

bo znał większość dealerów w mieście.

Z hazardu? Pewnie tak. Klient jest pewnie zdegenerowanym graczem, który przyjeżdża do Vegas na hazard i prostytutki.

Luscious była cała w nerwach i paliła się do akcji.

- Weźmiemy to, czy co? – zapytała, niecierpliwie oblizując usta.
- Taaak – wolno wycedził Mikey. – Weźmiemy. Moja głowa, jak to zrobimy.



Lucky ani przez chwilę się nie zawahała. Minęło trochę czasu, od kiedy miała do czynienia z tego typu sytuacją, więc buzowała w niej adrenalina.

Pan Armand Jordan przechwalała się ludziom, że kupuje jej hotel. Niewiarygodna bezczelność! Za chwilę raz na zawsze mu to wyjaśni, żeby nie miał najmniejszych wątpliwości.

Miała nadzieję, że przyłapie go śpiącego w łóżku i na śmierć wystraszy. Tak. Ale będzie zabawa.

Wjechała samochodem na parking zarezerwowany dla gości z willi. Zrobiło się późno i nie było ochroniarza. Dla niej dobrze, ale nie dla Cavendisha. Lucky uznała to za słabość – w swoim hotelu nigdy nie pozwoliłaby na coś takiego. Bezpieczeństwo gości hotelowych zawsze uważała za priorytet.

Dlaczego to robisz? – zapytała siebie. Czy takie zachowanie czasem ci nie uwłacza? Chcesz wyciągać faceta z łóżka w środku nocy?

Tak. Robi to dla frajdy. Koleś jest debilem, który nienawidzi kobiet, więc ona mu pokaże, kto tu jest szefem.

Tak naprawdę uwielbia takie sytuacje. Skopać komuś tyłek to jej ulubione zajęcie.



– Okay – westchnęła Max i wyswobodziła się z objęć Billy'ego i oderwała od jego kuszących ust. – Starczy. Naprawdę muszę już iść.

– Naprawdę? – spytał. Przekomarzał się z nią, oblał ją i całował.

- Tak, naprawdę – zachichotała, delektując się każdą chwilą. Kocham cię, Billy Melino, pomyślała.
- Więc okay. Idź. Zostaw mnie z niedosytem.
- Zadzwoń, kiedy będę już w pokoju.
- Koniecznie.
- Oczywiście, zadzwonię – powiedziała, kiedy wreszcie się uwolniła.

Billy z uśmiechem przyglądał się, jak odchodzi. Dzięki niej czuł się, jakby znowu był w szkole średniej. Zmyła wspomnienie przypadkowych dziewcząt, które robiły mu loda przy basenie. Wymazała lata z Venus i całe gówno, które wiązało się z małżeństwem ze światowej sławy supergwiazdą. Przy Max nie był gwiazdorem Billym Meliną, ale zwykłym facetem, który cieszy się swoją dziewczyną.

Nagle Max cofnęła się, minęła go i biegiem wpadła z powrotem do środka. Na jej twarzy malowało się dzikie przerażenie.

- Chyba właśnie widziałam moją mamę!



– Zrobimy tak – postanowił Mikey. – Wy z Seductą zajmiecie się palantem, a my z Randym zabierzemy walizkę.

– Uważasz, że zostanę tu z twoją naćpaną żoną, a ty się zmyjesz? – pogardliwie sarknęła Luscious. – Nie ma mowy, cholera. Taki numer nie przejdzie, Mikey.

– Sama chcesz stąd wynieść tą pieprzoną walizkę? – spytał z kamienną twarzą. – Tak to widzisz?

– Nie – powiedziała Luscious zdecydowana załatwić sprawę według własnego planu. – Randy weźmie walizkę, a ty zostaniesz i będziesz pilnował drania. Zabierzemy ją z Randym w bezpieczne miejsce.

– Znaczą gdzie twoim zdaniem? – pogardliwie spytał Mikey. – Schowasz ją pod swoim pieprzonym łóżkiem? Bo jutro, kiedy ten kutas się ocknie z zamroczenia, będzie cię szaleńczo szukał.

- Dłaczego mnie?

– Bo byłaś zdziłą, która go obciągała.
– Nie jestem zdziłą, Mikey – zaprzeczyła Luscious, a oczy niespodziewanie wypełniły jej się łzami. – Nie powinieneś tak na mnie mówić. Twoja żona jest zdziłą.

Mikey nie odpowiedział. Myślał. Układał plan.

– Już wiem – powiedział w końcu. – Walizkę weźmiemy ty i ja. Zostawimy tu Seductę i Randy'ego. Będą tu, aż palant zemdleje, czy co tam zechce ze sobą zrobić.

– A jeśli zacznie szukać walizki?
– W takim razie zajmie się nim Randy.
– Jak?
– A jak myślisz?

Luscious wolała tego nie rozważać. Kradzież walizki to jedno, ale nie godziła się na przemoc.

– Powiem Randy'emu, jaki mamy plan – oznajmił Mikey. – Ty zamknij walizkę, bo lada chwila będziemy stąd spieprzali.

– A Seducta?
– O co chodzi?
– Tak ją tutaj zostawisz?
– Nie martw się o nią. Jest dużą dziewczynką. Umie o siebie zadbać.

– Ale to twoja żona. – Luscious czuła się w obowiązku, żeby mu o tym przypomnieć.

– Dla mnie to nic nie znaczy – zimno odparł Mikey.

Luscious kiwnęła głową. Jakie ma prawo się z nim kłócić?

Poza tym w tej chwili czuła lojalność głównie wobec pieniędzy.



– Co ty gadasz? – zdziwił się Billy, szybko zamknął drzwi i wszedł za Max do środka.

– Tam jest Lucky. Widziałam ją – bez tchu wykrztusiła Max. – Idzie ścieżką w naszą stronę. Wie o nas. I co teraz zrobimy?

– Po pierwsze, musimy się uspokoić – powiedział Billy. Udawał,

że nie panikuje, ale przecież nikt nie lubił zadzierać ze słynną Lucky Santangelo. – A potem zastanowisz się, kto wie, że tu jesteś.

– Nikt. Nikomu nie mówiłam.

– Czy ktoś o nas wie?

– Już ci powiedziałam – jęknęła Max. – Nikomu nie pisnęłam słowa.

– Widziała cię?

– Chyba nie.

– Miejmy taką nadzieję – powiedział Billy i szybko zastanawiał się, co robić.

– No więc tak. Schowaj się w łazience, a kiedy zapuka do drzwi, ja powiem, że nie wiem, o co jej chodzi.

– O mój Boże! Nic nie rozumiesz. Ona mnie zabije. Ciebie też.

– Jesteś pewna, że to ona?

– Na miłość boską, Billy. To moja mama. Oczywiście, że tak.

– Więc gdzie się podziała?

– Nie wiem – powiedziała bez wyrazu Max. – Gdzie?

Podbiegli do okna i wyrzeli.

Lucky rzeczywiście tam była. Właśnie szykowała się, by wejść do willi obok.



Wdrażali plan. Luscious zastaniała Armandowi widok, a Mikey taszczył walizkę do drzwi. Była cięższa, niż się spodziewał, zbyt ciężka, żeby dał radę donieść ją do samochodu. Potrzebował pomocy Randy'ego. Ale ten osilek bez mózgu akurat znajdował się w świecie własnych marzeń, podobnie jak Seducta i klient.

No i wiedział, że Luscious im na to nie pozwoli. Nie zgodzi się, żeby Mikey i Randy ulotnili się z forszą, bo ma dość oleju w głowie, żeby wiedzieć, czym to się skończy. W każdym razie wie, co robi Mikey. Randy mógłby pieprzyć się, jak chce. Gdyby zechciał zostać w Vegas z ćpunką uzależnioną od kraku, droga wolna. Ale Mikey nie miał zamiaru zostawać. Kiedy tylko walizka znajdzie się w samo-

chodzie, ruszy w drogę. A Seducta i Randy – będą sobie musieli radzić.

Luscious to co innego. Może się przydać. Ale czy zostawi Randy'ego?

Mikey tego nie wiedział. Nie był pewny.

Forsa w walizce była już przy drzwiach. Luscious pogłośniła muzykę, żeby klient nie usłyszał, kiedy Mikey otworzy drzwi. A gdy wydostanie się na zewnątrz, zataszczy razem walizkę do samochodu Randy'ego.

Pieniądze.

Wolność.

Pieprz się, Vegas.

Otworzył drzwi i twarzą w twarz stanął z kobietą. Piękną kobietą o głęboko oliwkowej cerze i chmurze czarnych włosów.

Przez sekundę lub dwie Mikey nie wiedział, co robić. Czy to prostytutka na telefon, którą klient wezwał późno w nocy?

Nie. Nie mogła być kimś takim. Nie wyglądała na to. Raczej na pieprzoną gwiazdę filmową.

Chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Lucky i Mikey.

W końcu Lucky przerwała milczenie. Była spokojna i opanowana. Nic nie wytrącało jej z równowagi. Zawsze spodziewała się niespodziewanego.

– Kim pan jest? – zapytała i przyszpiliła wzrokiem złowieszczo wyglądającego mężczyznę w ciemnych, zasłaniających oczy okularach, który patrzył na nią spode łba.

Mikey ani trochę nie dał się zastraszyć.

– A kim pani jest, do diabła? – odparował.

– Przyszłam zobaczyć się z Armandem Jordanem. Gdzie go znajdę?

Mikey wskazał pokój i ominął ją, taszcząc walizkę.

– Tam – powiedział. – Niech się pani dołączy do imprezy. Będzie pani pasowała.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

W Mood wszyscy powoli się zwijali. Było późno i muzyka zrobiła się łagodniejsza, a większość klientów postanowiła uznać, że to noc.

Lennie był na siebie zły. Powinien był wyjść, kiedy Lucky go do tego namawiała, ale nastawienie Alexa go denerwowało, więc został – jakby chciał pokazać Alexowi wała. Tak, Alex Woods był jednym z niewielu ludzi, którzy wyprowadzali go z równowagi, bo wynosił się nad innych i wciąż poządał Lucky.

Ach... Lucky. Jego piękna, nieprzewidywalna żona. Będzie się z niego śmiała, przekomarzała się z nim na temat jego nieustającej wojny z Alexem. I będą się kochali, jak zawsze przed snem. Lucky jest kobietą jego marzeń – uzupełniała go. Zawsze tak było.

Poszukał M.J.-a i powiedział mu, że wychodzi.

– Czy Lucky załatwiła tę sprawę? – spytał M.J.

– Jaką sprawę?

– Nie jestem pewien – powiedział M.J., który zrozumiał, że chyba lepiej było nic nie mówić.

– Zadzwoń gdzieś i powiedz mi, że musi załatwić coś pilnego, a potem wyszła. Prosiła, żeby ci powiedzieć, że zobaczycie się w domu.

– Dziękuję za wiadomość – skrzywił się Lennie. – Szkoda, że nie powiedziałeś mi o tym jutro!

– Przepraszam. Chyba... zapomniałem.

Lennie pokręcił głową. Jeśli Lucky miała jakieś kłopoty, dlaczego nie przyszła z nimi do niego?

Ale niby dlaczego miałyby to robić? Lucky zawsze wszystko robiła po swojemu. Miała to po Ginie.

Rodzina Santangelo. Ojciec i córka. Dwójka twardzieli.

Lennie właśnie za to ich cenił. Był dumny, że należy do rodziny Santangelo, podobnie jak Lucky była dumna, że jest panią Golden.

Zastanawiał się, czy chodziło o Max. Córka nie wyglądała na nadmiernie szczęśliwą. A powinna być w siódmym niebie, bo przecież zbliżają się jej osiemnaste urodziny. Teraz jest już dobrze po północy, więc ma nareszcie te swoje osiemnaście lat.

Ma dla niej prezent niespodziankę. Nawet Lucky o tym nie powiedział, bo uznałaby, że rozpieszcza córkę. Ale on chciał ją rozpieszczać. Ech, do diabła! Tylko raz w życiu kończy się osiemnaście lat, więc dlaczego nie uczcić tej okazji nowiutkim, srebrnym BMW?

Lucky go zabije, ale i tak warto zobaczyć minę Max.



– Nie wejdiesz tutaj! – wrzasnęła Cookie, kiedy Frankie na próżno usiłował otworzyć drzwi do ich pokoju.

– A dlaczego? – zapytał. – O ile pamiętam, to ty ode mnie uciekłaś. Ja jestem niewinny.

– Niewinny, do cholery! – krzyknęła Cookie przez zamknięte drzwi. – Tak głęboko wlałeś tacie w tyłek, że nawet nie zauważyłaś, że mnie nie ma.

– Jasne, że zauważyłem – łagodził Frankie. – Tęskniłem za tobą jak diabli.

– Nieprawda. Bo dzwoniłbyś do mnie albo pisał SMS-y.

– Może mnie wpuścisz, żebyśmy mogli porozmawiać jak dorośli ludzie.

– Nie.

– Zachowujesz się jak dziecko.

- Pieprz się.
- Tylko tyle masz mi do powiedzenia?
- Jeszcze jedno. Żegnaj!
- Na miłość boską, Cookie, pozwól mi chociaż zabrać rzeczy.
- Nie! – wrzasnęła. Nadal buzowała gniewem. – Przez ciebie zrujnowałam sobie włosy. Nienawidzę cię.

Frankie nie mógł uwierzyć, że nastolatka daje mu kosza.

I co właściwie zrobił?

Nic.

Z gniewną miną odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę windy.



Peggy nigdy nie uważała się za lesbijkę, podobnie jak Paige. Były po prostu dwiema heteroseksualnymi kobietami, które stwierdziły, że od czasu do czasu fajnie jest zaszaleć nieco inaczej. I faktycznie okazało się to szaleństwem.

Peggy nie przypominała sobie, żeby Sidney kiedykolwiek doprowadził ją do tak wspaniałego orgazmu jak Paige. Właściwie Paige przypominała jej dawne czasy w Vegas, kiedy seks był naprawdę ważny, a orgazmy na porządku dziennym.

Paige dobrze знаła kobiecą anatomię. Przyjęła rolę wiodącą, a Peggy rozkoszowała się każdą sekundą.

Kiedy skończyły, szepnęła, że musi wrócić do Gina, zanim się obudzi.

- Szkoda, że nie możesz zostać na całą noc – powiedziała ku własnemu zaskoczeniu Peggy.

- Też żałuję – westchnęła Paige. – Lecz nie lubię na długo zostawiać Gina. Jest stary, nigdy nic nie wiadomo... Ale jutro będziesz na przyjęciu jego wnuczki i może potem...

- Będę na to z utęsknieniem czekać – mruknęła Peggy.

Po chwili Paige już nie było i Peggy znów musiała w samotności zmierzyć się ze swoim myślami. Wkrótce ma stawić czoło Armandowi i porozmawiać z nim na temat tego, jak dobiera sobie damskie

towarzystwo.

Jest jego matką. To jej obowiązek.



Ellie trzaskała zdjęcia.

– Mnóstwo się tu dzieje – zauważyła, mówiąc prawie do siebie.
– Na razie robię zdjęcia, a potem się okaże, co tu mamy. Według mnie to prawdziwa żyła złota.

– Tak myślisz? – spytał Kev. Usiłował rozprostować bolące nogi. Kucanie w krzakach nie jest dla niego, choć Ellie wcale nie wydawała się zmęczona. Obserwowała wszystkich wchodzących i wychodzących, a było tego mnóstwo. W willi naprzeciwko Billy'ego odbywała się chyba jakaś impreza, więc Ellie narobiła mnóstwo zdjęć.

– Musimy się dowiedzieć, kim jest dziewczyna Billy'ego – powiedziała. – Dasz radę się dowiedzieć?

– Postaram się – odpowiedział Kev. – To nie powinno być trudne.



Po pewnym czasie Ace stwierdził, że jeszcze trochę potrwa, zanim Max wróci do hotelu. Cookie powiedziała mu, że musiała spotkać się z Lucky, ale chyba jej nie uwierzył. Teraz było już po pierwszej w nocy i miał tego dosyć. Nie po to przejechał taki kawał do Vegas, żeby w ten sposób go traktowała. Zresztą Max nie bardzo się ucieszyła na jego widok. Cały wieczór musiał spędzić z jej szalonymi przyjaciółmi, męczyć się na koncercie, a potem nie wiadomo dlaczego zniknęła.

Przestało mu zależeć, żeby się tego dowiedzieć. Potraktowała go, jakby był nieważny, więc postanowił wyjechać.

Wyjął prezent, który dla niej kupił, i położył pudełeczko na łóżku. Potem na papierze hotelowym napisał „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”, a kartkę zostawił na pudełku.

Następnie zabrał swoją torbę i już go nie było.

Max przestała być jego problemem.



Fouad nadal nie mógł zasnąć. Próbował już wszystkiego – oglądał film w telewizji, kazał sobie przynieść gorący napój, leżał nieruchomo i starał się o niczym nie myśleć.

Nic mu nie pomogło.

Nie mógł pozbyć się myśli, że coś złego dzieje się z Armandem.

Przez ostatnie parę tygodni narkomania Armanda doszła do poziomu, na którym szef przestał chyba nad sobą panować. Incydent z żoną Martina Constantine'a, kiedy najpierw ją zgwałcił, a potem wyrzucił za drzwi mieszkania, był świetnym przykładem, że zachowuje się jak szaleniec. A potem krępująca scena z Lucky Santangelo i rzucone w jej stronę puste pogróżki. Nie wspominając już o jego uzależnieniu od prostytutek.

Armand był w kiepskiej formie, a choć Fouad czuł urazę, bo szef źle go ostatnio traktował, nadal miał pewne poczucie obowiązku. Być może nie jest to najlepszy czas, żeby go opuszczać.

Pod wpływem impulsu Fouad postanowił się ubrać i pójść na spacer.

Co mu szkodzi przejść się koło willi Armanda i upewnić się, że wszystko jest w porządku?

Rozdział sześćdziesiąty drugi

Zawsze spodziewaj się niespodziewanego” było jednym z ulubionych powiedzeń Lucky. Podobnie jak „Nigdy nie zadzieraj z rodziną Santangelo”. Scena, którą zastała po wejściu do domu Armanda, wcale jej nie zdziwiła. Mężczyzna tarzający się w kokainie, fufka do kraka i szampan – czyli cały Armand. Inny mężczyzna – duży i umięśniony, być może ochroniarz, który też imprezuje. I naga kobieta.

Lucky pomyślała, że nie jest to najlepsza chwila, aby mu dokopać. Nie zrozumie, o co jej chodzi. Armand Jordan jest totalną szmatą. Gdyby go zapytać, pewnie nie pamiętałby, jak się nazywa.

Jaka szkoda, bo tak się cieszyła, że da mu nauczkę.

Stała jak wryta i wpatrywała się w scenę, którą zastała. Pierwsza zauważyła ją kobieta o mamucich piersiach.

– Chcesz się dołączyć? – wybełkotała i zapraszająco machnęła na nią ręką. – Starczy dla wszystkich.

Lucky pokręciła głową i pomyślała, że Armand jest żaloszny. Nie zasługuje na jej gniew. Kto uwierzy w jego słowa? Jest niczym, nikim, szkoda dla niego jej czasu.

Odwróciła się i skierowała do wyjścia, ale stwierdziła, że mężczyzna, którego zobaczyła pierwszego, zagradza jej drogę.

Nie był zmarnowany, jak reszta, ale trzeźwy jak świnia i chciał się dowiedzieć, kim ona jest i o co jej właściwie chodzi.

- Najpierw ty mów – powiedziała. Nie mogła usadzić go wzrokiem, ponieważ nosił ciemne okulary, i niezmiernie ją to irytowało.
 - Ja pytałem, czego tutaj szukasz. To teren prywatny.
 - Przed chwilą mówiłeś, że będę pasować do imprezy – stwierdziła Lucky. Przy jego talii zauważyła wypukłość broni.
 - Nie odgrywaj przede mną spryciary – warknął Mikey i gestem zawołał Luscious.
- Zaraz podeszła do niego, zmierzyła Lucky wulgarnym spojrzeniem i spytała:
- Kto to jest?
 - Właśnie usiłuję się dowiedzieć – wycedził Mikey, szybko tracąc cierpliwość. – Bo nie powinno jej tu być.
 - To prawda – ugodowo przytaknęła mu Lucky. – Tylko zaczyna mi się wydawać, że was też nie.



- Po co robisz tamtym ludziom zdjęcia? – Kev zapytał Ellie, która nadal pstrykała. – Mamy, po co przyszliśmy, czas się zwiijać.
- Podoba mi się to, co się tam dzieje – powiedziała skupiona na fotografowaniu Ellie. – Facet w okularach przeciwsłonecznych to klasyk. A do środka weszła jakaś odlotowa kobieta.
- Jezu – jęczał Kev. – Ale z ciebie podglądaczka.
- Właśnie tak zachowują się prawdziwi fotograficy. Robią zdjęcia ciekawych ludzi. Nie chodzi tylko o głupich celebrytów, i z kim śpią, to robię dla pieniędzy. Ale tak naprawdę kręcą mnie niespodziewane zdjęcia prawdziwych ludzi.
- Byłbym w stanie wymyślić jeszcze coś, co by cię kręciło – powiedział Kev, który uznał, że czas wyleźć z krzaków i przystąpić do dzieła. Położył jej dłoń na karku i leciutko ją pogłaskał.
- Nie będę z tobą spała – oznajmiła Ellie, która nadal trzaskała zdjęcia. – Więc nie rób sobie nadziei.
- Naprawdę? – spytał podłamany Kev. – A dlaczego?
- Bo – odpowiedziała Ellie – jak by ci to wytłumaczyć... nie

gram w twojej drużynie.

Przez chwilę Kev nie wiedział, o co jej chodzi, ale po chwili to pojął i nie mógł uwierzyć w swojego pecha. Tylko on potrafił wyczuć lesbę! Cholera, dlaczego dopiero teraz mu to mówi?

– Nie martw się – uspokoiła go Ellie. – Może na dziś nici z seksu, ale za to zarabiasz pieniądze.

– Dziękuję bardzo – powiedział Kev i zaczął się zastanawiać, czy już za późno, żeby znaleźć kogoś innego.



– Opiekujemy się Arniem – powiedziała Luscious, ocierając dłonią nos. – Świetnie się bawi. Ale nie przypominam sobie, żeby ktoś zapraszał ciebie.

– Mogę spytać, co jest w tej walizce? – rzuciła Lucky, wzrokiem wskazując bagaż, który Mikeyowi udało się wytaszczyć za próg domu.

– To nie twoja sprawa, prawda? – stanowczo odpowiedział jej Mikey.

– Może powinnam o to spytać... Arniego – rzuciła Lucky z twarzą, która nie zdradzała żadnej emocji. – Jak uważasz?

– Uważam, że powinnaś spieprzać, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre – wysyczał Mikey. – I zapomnieć, że nas tu widziałas.

– Tak uważasz? – spytała Lucky, zastanawiając się, co tu się właściwie dzieje. – Naprawdę?

Mikey strasznie się wściekał, że to, co mówi, wcale do tego babska nie dociera. Stała przed nim niewzruszona i chłodna, jak wysoka szklanka lemoniady. Powinna uciekać, gdzie pieprz rośnie, a nie pyskować mu i szpanować manierami bogatej sukki.

Przesunął się na bok, żeby ją przepuścić w drzwiach. Najlepiej jej się pozbyć, cuchnęła kłopotami.

– Już ci mówiłem: spieprzaj stąd – warknął swoim najgroźniejszym tonem.

– Jeszcze nie wiem, czy to zrobię – chłodnym jak lód głosem

odpowiedziała Lucky, nadal stojąc w drzwiach.

Mikey podszedł do niej blisko, tak blisko, że poczuła jego wstrętny oddech.

– Słuchaj, suko. Idź. – A potem jej pogroził. – Póki jeszcze możesz.

Lucky twardo na niego spojrzała i ani drgnęła.

To rozwścieczyło Mikeya, który był zszokowany, że miała chęć nie uciekać, choć powinna to zrobić. Przecież ludzie się go bali, tak na nich działał. Ale nie ona. Pieprzona gwiazda filmowa wcale się nie spietrała.

– Pójdę, ale najpierw porozmawiam z Arniem – stwierdziła.

– A kim dla niego jesteś? Jego pieprzoną żoną? – wybuchł Mikey.

– Masz problem, gdybym nią była?

Mikey nie wiedział, co powiedzieć. Gdyby była żoną klienta, wiedziałaby o forsie. Tak czy nie? Ale jeśli tak, to niedobrze, bo Mikey zdążył już uznać kasę za swoją i nikt inny nie ma prawa położyć na niej łapy.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy. Ale posłuchaj. Jeśli nie zabierzesz stąd tyłka, może będę zmuszony to zrobić, a szkoda byłoby uszkodzić taką ładną buzię – zagroził.

Lucky poczuła przypływ adrenaliny. Nic i nikt jej nie przerażał. Zbyt wiele w życiu przeszła. W wieku pięciu lat odkryła zmasakrowane ciało matki, które pływało w ich rodzinnym basenie. Widziała, jak martwe ciało brata wyrzucają z jadącego samochodu. Widziała, jak przy niej zastrzelili jej narzeczonego, Marca. Czy ten marny rzezimieszek ze swą chudą dziewczyną potrafią ją zastraszyć? Nie ma mowy.

Nie zamartwiała się tym, że Armand Jordan wpakował się w tarapaty. Ale sytuacja ją intrygowała. I trochę czasu minęło, od kiedy musiała zmierzyć się z niebezpieczeństwem. Czula przypływ energii i była gotowa na wszystko.

– Nie wiem, jakie tu robicie przekrety, i możecie mi wierzyć, że nie bardzo mnie to obchodzi – oświadczyła spokojnie. – Ale nie

wyjdę, zanim nie porozmawiam z Armandem, więc bardzo przepraszam, ale wchodzi do środka.

Mikey położył dłoń na jej ramieniu, żeby ją zatrzymać.

Strząsnęła ją i obrzuciła go wzrokiem, który wyraźnie mówił: „Nie dotykaj mnie. Bo pożałujesz”.

W jej czarnych oczach było coś, co kazało mu z nią nie zadzierać. Cholera. Jeśli chce tu zostać, niech zostanie. On ma forsę, więc na co jeszcze czeka? Ta suka przyniesie same kłopoty i najmądrzej się zmywać, póki jest stosunkowo spokojnie.

– Chodźmy – rzucił do Luscious, a Lucky ominęła ich i wróciła do salonu.

– Co? – Luscious zdziwiła się. – Pozwolisz jej...

– Już ci mówiłem – warknął Mikey. – Spadamy. Lepiej pomóż mi nieść tę pieprzoną walizkę.



Billy i Max stali przy oknie i obserwowali, co się dzieje w willi po drugiej stronie. Przyglądali się, jak Lucky podeszła do frontowych drzwi i natknęła się na mężczyznę ciągnącego walizkę. Oboje zakładali, że kiedy się zorientuje, iż trafiła do nieodpowiedniej willi i nie ma tam Billy'ego, zaraz wyjdzie. Ale tak się nie stało. Weszła do środka, a potem znowu zobaczyli ją przy drzwiach, jak z ożywieniem dyskutuje z facetem od walizki i kobietą. Niestety ani Billy, ani Max nie słyszeli nic oprócz ryku muzyki.

– Co ona tam robi? – zapytała Max, wytyżając wzrok.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Billy.

Potem zobaczyli, że Lucky znowu znika w willi.

– A gdzie twoim zdaniem jest Lennie? – spytała znowu Max. – Strasznie to dziwne.

– Wiesz – odparł Billy. – Raczej na pewno nie chodzi jej o nas. Wygląda na to, że ma tu jakieś własne sprawy.

– Znaczy co? – z rozszerzonymi oczyma zapytała Max.

– Chodzi mi o to, że przypadkiem znaleźliśmy się w willi obok.

Tam jest jakaś całonocna impreza, a Lucky najwyraźniej bierze w niej udział.

– Zwariowałeś?! – krzyknęła Max. – Dlaczego mama miałaby iść na imprezę bez Lenniego?

Billy wzruszył ramionami.

– Czasami małżonkowie chcą coś zrobić oddzielnie... Nie wiem, Zielonooka, ciesz się, że nas nie śledzi.

Ale Max się nie cieszyła, ani trochę. Coś się działo i musiała się dowiedzieć, o co chodzi.

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

Martin Constantine nie był człowiekiem porywczym. Może bezlitosnym, ale przy budowaniu imperium biznesowego trzeba być bezkompromisowym i twardym. A ponieważ wszystko zdobył własnymi rękami, w te dwie cechy wyposażony był sownie.

Biznes, robienie interesów i gromadzenie fortuny – takie było życie Martina. No i jego piękna małżonka, Nona.

Poznał ich ze sobą w Nowym Jorku wspólny znajomy i Martin natychmiast zakochał się w słowackiej królowej piękności o egzotycznej urodzie. Tak bardzo, że wkrótce rozwiódł się z pierwszą żoną, z którą przeżył trzydzieści lat, i ożenił się z rozkoszną Noną. Martin miał lat sześćdziesiąt pięć, a Nona dwadzieścia pięć. Różnica wieku nie miała dla niego znaczenia. Co znaczy czterdzieści lat dla ludzi pokrewnych duchem?

Osiem miesięcy po ślubie Nona urodziła Martinowi jego jedyne syna. Pierwsza żona dała mu tylko córki: trzy z rzędu, więc teraz Martin był w siódmym niebie. Uwielbiał swoją młodą żonę i syna.

Tak, jego życie było cudowne, do czasu jej wyznania.

Zrobiła to pewnego ranka przy śniadaniu. Nagle zaniósła się płaczem. Martin bardzo się zmartwił i zapytał, co jej jest. Pośród dzikich szlochów Nona opowiedziała mu wszystko.

Popełniła błąd. Straszny błąd.

Martin powiedział jej, że nie ma błędu, którego nie dałoby się

naprawić.

Wiedząc, że ją ubóstwia, Nona czuła się na tyle pewnie, że powiedziała mu, jak poszła do mieszkania Armanda Jordana, żeby obejrzeć rzadki obraz Picassa, a kiedy już tam była, Armandowi nagle odbiło i brutalnie ją zgwałcił na wszelkie możliwe sposoby. Teraz podejrzewa, że jest w ciąży.

Początkowo Martin nie mógł uwierzyć, że coś takiego mogło się zdarzyć, że Armand Jordan odważyłby się zrobić coś tak strasznego. Ale Nona nalegała, żeby mu opowiedzieć wszystko, z obrzydliwymi szczegółami, także to, że gdy z nią skończył, wyrzucił ją na schody jak worek śmieci.

Martin był coraz bardziej wściekły. Nie na żonę, bo ona była tylko ofiarą zbrodzonego potwora, który zemścił się na niej za to, że nie dostał budynku, o który obaj zabiegali. Był wściekły na Armanda.

Ale Martin Constantine zawsze umiał sobie poradzić ze wściekłością. Wkrótce znalazł sposób, aby ukoić swój gniew i ból żony.

Nikt bezkarnie nie zadzierał z Martinem Constantine'em i jego rodziną. Nikt.

Martin doskonale wiedział, co robić.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

Lucky nie czekała na niego w domu, więc Lennie zaczął się niepokoić. To pierwsza noc po jego powrocie, a zwykle po okresie rozłąki trzymali się razem. Obwiniął siebie. Lucky chciała wcześniej wyjść z Mood, ale on nalegał, żeby zostać z powodu Alexa Woodsa. I gdzie jest teraz jego piękna, uparta żona? Z czym się zмага o tak wczesnej porze?

O ile zna Lucky, pewnie robi to specjalnie, żeby zwrócić na nią uwagę. Niepotrzebnie. Zawsze był nią pochłonięty – od chwili, kiedy się poznali. Tak. Ich życie wypełnione było wspomnieniami... o tym, jak szaleńczo kochali się na tratwie na południu Francji, jak zakochali się w sobie do obłędu, kiedy byli w innych związkach małżeńskich. Łączyło ich mnóstwo wyzwań i przygód. Więc gdzie ona teraz jest?

Kilka minut niespokojnie chodził po pokoju, wreszcie podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do Danny'ego.

Danny był w klubie gejowskim z Buffem i zastanawiał się, czy zaprosić przystojnego, młodego barmana na noc do domu.

Buff był jak najbardziej za, ale Danny miał pewne wątpliwości. Nie bardzo chciał się z kimś dzielić Buffem. Dlaczego miałby to robić?

Z drugiej strony jeśli Buff tego chce, czy ma prawo mu zabronić?

Zadzwonił telefon. Danny wpadł w chwilową panikę. Telefon w środku nocy mógł oznaczać tylko coś złego. Mama czegoś potrze-

buje? A może dzwoni zawsze wobec niego krytyczny ojczym? Czy heteroseksualny brat, który nie potrafi nawet dwie minuty utrzymać się w pracy?

Wypił trzy koktajle Cosmos, więc raczej nie był w formie, by rozwiązywać czyjekolwiek kryzysy, ale skupił się i odebrał telefon.

Dzwonił Lennie, żeby dowiedzieć się, gdzie jest Lucky.

– Jestem po pracy – sarknął Danny.

– Czy to znaczy, że już nic cię nie obchodzi?! – krzyknął wkurzony Lennie.

Danny zebrał myśli. Rozmawia z mężem szefowej, więc może lepiej udawać, że się przejął. Oczywiście naprawdę się zaniepokoił, ale nie mógł nie zauważyć, że Buff szepcze coś barmanowi do ucha, a to nie jest w porządku. Trójka to trójka, a nie tylko ich dwóch.

– Przepraszam, panie Golden – powiedział Danny i zgromił Buffa spojrzeniem. – Myślałem, że pani Golden jest z panem.

– Była. Ale zdarzyło się coś niespodziewanego i poszła to załatwić. Masz pomysł, o co może chodzić?

– Nie.

– No to okay. – Długie milczenie. – Na pewno?

– Tak, panie Golden.

Lennie odłożył telefon.

Danny wyłączył komórkę. Nie zauważył, że dostał SMS-a.



Frankie nie mógł uwierzyć, że Cookie wyrzuciła go na zbity pysk. Okazała się prawdziwą jędrą. Nawet mu nie otworzyła drzwi, żeby mógł zabrać rzeczy. Młoda pinda. Miała jego ubranie, a co gorsza – zapas narkotyków.

No i co jej właściwie zrobił?

Nic strasznego. Był miły dla jej staruszka, co powinno ją cieszyć. Ale nie, nic nie potrafi zadowolić córeczki Geralda M. Rozpieszczony bachor! Chociaż trzeba przyznać, że umie robić loda.

A skoro o tym mowa, to co Annabelle robi z Eddiem Falconetti? A

raczej co Eddie Falcon robi z nią? Dziwna para. Eddie Falcon ma przed sobą przyszłość. Nie musi zgadzać się na przechodzony towar.

Frankie wrócił do kasyna z nadzieją, że przy jednym ze stolików nadal siedzi Gerald M. Warto byłoby odnowić przyjaźń, zwłaszcza gdyby mu powiedział, że jego córka bezpiecznie leży w łóżku.

Frankie miał ochotę na kilka ścieżek, niestety zabrakło mu koki, a Cookie szybko nie otworzy drzwi.

Miał nazwisko i numer. Randy – dostawca.

Postanowił do niego zadzwonić.



– Nie wiem, o co chodzi – powiedziała Max. – Ale dzieje się coś podejrzanego.

– Hej – stwierdził Billy. – Mama jest na imprezie. Nic wielkiego.

– Nie rozumiesz – zaprzeczyła Max i starała się nie stracić cierpliwości do Billy'ego, choć zaczynał ją denerwować. – Lennie dzisiaj wrócił do domu. Nie ma mowy, żeby poszła na imprezę bez niego.

– Już ci mówiłem, czasem różnie bywa w małżeństwie. Lucky robi coś dla siebie. Wiem, że jest twoją mamą, ale strasznie seksowna z niej laska i może Lennie jej nie wystarcza.

– Pieprzysz, Billy – wkurzyła się Max. – Nic nie wiesz o moich rodzicach, nic a nic. Więc bądź tak miły i się zamknij.

– Ale masz temperament – westchnął Billy.

– Tak – warknęła Max i prawie zabiła go wzrokiem. – Mam.

– Przepraszam cię, mała.

– Za co? – zapytała Max, nadal wkurzona. – Za grubiańskie odzywki o moich rodzicach?

– Nie chciałem być grubiański. Starałem się wyjaśnić ci tylko, jak czasami bywa w małżeństwie.

– Skąd jesteś takim ekspertem?

– Spokojnie, Zielonooka – jęknął. – Nie chcę się o to kłócić.

– Idę tam – stwierdziła, bo właśnie podjęła decyzję.

- Co takiego? – Billy się skrzywił.
- Sama zobaczę, co tam się dzieje.
- Wielki błąd.
- Dlaczego?
- Po pierwsze mama będzie się chciała dowiedzieć, co tu robisz
- tłumaczył Billy. – Po drugie, jeśli dobrze się bawi, tylko ją zawstydzisz.
- To impreza, Billy. Wślizgnę się, a ona nawet mnie nie zauważy.
- W takim razie idę z tobą.
- Kiepski plan.
- Dlaczego?
- Bo jeśli zobaczy mnie, a potem ciebie, to znasz Lucky, nie jest głupia.
- A jeśli zobaczy ciebie, to co powiesz?
- Nie wiem. Coś wymyślę.
- Kiepski pomysł – ostrzegł ją Billy.
- To mój pomysł i tak zrobię.

Rozdział sześćdziesiąty piąty

Ból przeszył Armanda w samym środku brzucha. Zdziwił się, prawie się zakrztusił. Nie do końca, bo nie miał czasu zajmować się bólem. Zbyt dobrze się bawił. Nigdy w życiu nie doświadczył tak wielkiej radości. Otulał go ciepły błogostan – mający chyba coś wspólnego ze speedballem, którym podzielił się z nim Randy, czyli śmiertelną mieszanką heroiny i koki.

Randy i Seducta są jego najlepszymi przyjaciółmi na świecie. Tak sympatycznie się o niego troszczą. Seducta znowu zdjęła bluzkę, a on przytulił twarz do jej ogromnych piersi. Przypomina mu mamę, kochaną, słodką Peggy.

Randy wciągał kokę z jej sutków.

Armand się uśmiechnął. Dzięką się. Tak właśnie powinno być.

A potem – nagle z góry patrzyła na niego Lucky Santangelo. Z jej ust wydobywały się słowa, ale ich nie słyszał.

Stwierdził, że Lucky też jest piękna. Jest jego przyjaciółką. Nie chce, by umierała, nie chce, by ktokolwiek umierał. Razem będą właścicielami The Keys, a ich życie wypełni harmonia. Ból znowu przeszył ciało Armanda. Krzyknął i zwinął się w sobie. Potem wszystko ogarnęła ciemność.



– Na miłość boską, niech ktoś zadzwoni na 911! – krzyknęła

Lucky. Zastanawiała się, jak zaplątała się w tę sytuację. Miała Armandowi dokopać, a nie ratować jego żalosne życie. Jak do tego doszło?

Randy chwiejnie stanął na nogach. Był prawie równie nieprzytomny jak Armand, ale odezwał się w nim instynkt samozachowawczy i zrozumiał, że lepiej dawać nogę. Rozejrzał się za Luscious.

– Jezu Chryste! – krzyknęła Lucky i sięgnęła po komórkę. – Człowiek może umiera, a wy nie możecie nawet zadzwonić. Co z was za ludzie?

Seducta zaniósła się histerycznym chichotem.

– Ludzie, którzy się bawią – wybełkotała sennie. Na nosie miała biały proszek. – Arnie nas kocha.

– Może i was kocha, ale być może umiera, głupia krowo – powiedziała Lucky i zadzwoniła po pogotowie.

– Gdzie jest Mikey? – zapytała Seducta, której rozmazał się makijaż, a pod oczami miała smugi tuszu.

Randy naprężył swe potężne mięśnie.

– A gdzie podziła się pieprzona forsa? – zapytał.

– Ale z was szumowiny – stwierdziła Lucky. Wzięła Armanda za rękę, żeby zobaczyć, czy ma wyczuwalny puls. Tak.

– Lepiej uciekać z tego łajna – powiedział Randy, który nagle zdał sobie sprawę, że znaleźli się w tarapatach.

– No dobra, uciekajcie – fuknęła Lucky. – Godne politowania dupki.

– Gdzie jest Mikey? – drugi raz jęknęła Seducta. – Chcę do mojego Mikeya.



Dziesięć minut po rozmowie z Lenniem Danny sprawdził swoje SMS-y. I faktycznie, jeden z nich był od Lucky.

Był na siebie wściekły, bo chlubił się tym, że zawsze jest do dyspozycji szefowej. Szybko przeczytał wiadomość i z wrażenia aż go zemdlilo.

„Armand Jordan chwali się na prawo i lewo, że The Keys należy do niego. Wybieram się do Cavendisha, żeby mu dołożyć. Pójdiesz ze mną?”

Oczywiście, z chęcią, gdyby tylko o tym wiedział. Wszystko przez to, że Buff flirtował z barmanem, a on przez chwilę zapomniał o pracy. Trójkąty! Po co one komu?

Zadzzwonił do Lenniego i opowiedział mu o porannym zebraniu i o tym, jaka to z Armanda szowinistyczna świnia.

– I pozwoliłeś, żeby Lucky sama do niego poszła? – zdenerwował się Lennie.

– Nie wiedziałem, że chce tam iść! – przyznał ze skrucą Danny.
– A tak w ogóle, czy Lucky jest osobą, którą da się przed czymkolwiek powstrzymać? Wiesz, że to niemożliwe.

– Jadę do Cavendisha – stwierdził Lennie.

– Więc się tam spotkamy – postanowił Danny.

Do cholery z Buffem i barmanem. Najważniejsza jest dla niego Lucky.



– Super! – krzyknęła Ellie. – W domu z imprezą dzieje się co niemiara.

– A nie powinnaś się skupić na Billym i dziewczynie?

– Zrobiłam im razem wystarczająco dużo zdjęć i jeszcze trochę. Zresztą weszli do środka, więc co mam robić? Wleźć przez dziurkę od klucza?

– Nie czas na żarty.

– Wielkie słowa małego człowieka.

– Może nie jestem wysoki, ale nie słyszałaś o dużych niespodziankach w małych opakowaniach?

– Mnie to nie kręci – powiedziała Ellie i pokręciła głową. – Już ci mówiłam. Jestem lesbijką.

– Mógłbym cię odmienić.

– Co za pewność siebie.

- Chcesz spróbować?
- Nie, dziękuję.
- Nie gniewaj, się. Robię, co mogę.
- Chyba żebyś nagle zmienił się w Billy'ego Melinę...
- Cholera! – zdenerwował się Kev. – Dlaczego wszystko zawsze kręci się wokół Billy'ego?
- Nie masz szans – powiedziała Ellie ze śmiechem. – Chyba żebyś obciął sobie kutasa i nazywał się Daisy.



Danny spotkał się z Lennie na początku ścieżki prowadzącej do willi.

- Willa numer cztery – stwierdził rzeczowo. – Podobno zgłaszano skargi na hałas, który stamtąd dochodzi.
- Hałas?
- Muzyka. Kumpel z recepcji mówi, że musi tam być jakaś impreza. Jeszcze jedna skarga i wysyłają ochroniarzy.
- Dlaczego jeszcze tego nie zrobili?
- Nie lubią zadzierać z cholernymi bogaczami – wyjaśnił mu Danny. – To szkodzi interesom.
- Więc twoim zdaniem Lucky trafiła na imprezę? – spytał Lennie.

Danny wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Armand Jordan nie zrobił na mnie wrażenia imprezowicza. Chyba że chodzi o prostytutki.
- Po co Lucky to robi? – zastanawiał się Lennie.
- Co?
- Pakuje się w sytuacje, nad którymi nie jest w stanie zapanować.
- To twoja żona.
- Dzięki, Danny – oschle odparł Lennie. – Wiem.
- Na pewno wszystko z nią dobrze – powiedział Danny.



Fouad pośpiesznie szedł ścieżką w stronę willi. Miał złe przeczucie – wiedział, że coś jest nie tak. Niemądrze było zostawić Armanda samego i pozwolić, żeby robił, co chce. Armand jest niezrównoważony, trzeba mu narzucić jakieś granice. Przez Fouada zawsze przemawiał głos rozsądku. Uspokajał go. Prawda jest taka, że Armand go potrzebuje. Na dworze było zimno, ale Fouad słyszał głośną muzykę i był pewien, że dochodzi od strony willi Armanda.

Nagle natknął się na dwoje ludzi. Mężczyznę w okularach słonecznych i chudą, wyniszczoną kobietę. Fouad przeszedłby koło nich z uprzejmym kiwnięciem głowy, ale było coś jeszcze. Taszczyli jedną z charakterystycznych walizek Armanda od Louisa Vuittona – z jego inicjałami na rączce.

Fouad natychmiast zrozumiał. To na pewno walizka wypakowana pieniędzmi, którą Armand koniecznie chciał zabrać do Vegas. Ponad siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów gotówką.

– Przepraszam – powiedział Fouad.

Mikey zatrzymał się na chwilę.

– Co? – warknął.

– Macie chyba coś, co do was nie należy.

Rozdział sześćdziesiąty szósty

Równy o północy pan O. przybył prywatnym samolotem do Vegas. Wynajęty samochód czekał na niego w umówionym miejscu. Kluczyki leżały pod wycieraczką, tak jak prosił.

Pan O. mógłby być modelem „GQ” albo słynnym aktorem. Był czarny i przystojny – skrzyżowanie Denzela Washingtona i Blaira Underwooda. Pan O. wybrał jednak inny zawód, taki, który mógł uprawiać tak długo, jak zechce. Zawód niesłychanie intratny, ponieważ pan O. był w nim najlepszy.

Pan O, był specjalistą. Rewolwerowcem. Potrafił rozwiązać każdy ludzki problem za odpowiednią cenę.

Był najlepszy w tym, co robił. I tylko najlepsi go wynajmowali.

Po raz pierwszy pracował dla Martina Constantine'a, ale nie po raz ostatni.

Pan O. umiał dbać o interesy.

Rozdział sześćdziesiąty siódmy

Mikey nie miał zamiaru nikomu dać sobą pomiatać. Miał za sobą męczący wieczór, a teraz szykował się do odjazdu z nagrodą – walizką wypchaną stówkami. Ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę, to rozmowa z dupkiem, który mu mówi, że walizka nie jest jego.

Wokół niego kręciła się Luscious. W krótkiej spódniczce i lekkiej bluzce trzęsła się z zimna. W razie sporu w niczym mu nie pomoże. Już teraz mu przeszkadza.

Mikey postanowił, że kiedy dotrą do samochodu Randy'ego, odeśle ją niby po tamtych, a potem odjedzie w noc i wszystkich zostawi. Kiepska z nich drużyna, nawet jego wielgaśny brat. Tak naprawdę nie są mu już potrzebni.

Mikey dokładnie przyjrzał się człowiekowi, który ich zatrzymał. Nie wyglądał groźnie. Denerwował się. To dobrze, bo Mikey lubił ludzi denerwować.

– Zejdź mi z drogi, człowieku – powiedział, nieruchomiejąc. – Tę walizkę legalnie wygrałem, więc się odpieprz.

– Tak – zawtórowała mu Luscious. Jej cienki, metaliczny głos działał Mikeyowi na nerwy. – Odpieprz się.

Mikey zgromił ją spojrzeniem. Przecież nie są duetem komików, do cholery.

– Obawiam się, że muszę mieć na to potwierdzenie księcia – powiedział Fouad. Zachowywał się asertywnie, ale trzęsły mu się ręce

i nie był pewien, czy sobie poradzi.

– Księcia? – pisnęła Luscious.

– W tym mieście uprawia się hazard – stanowczo stwierdził Mikey. – Wygrałem tę walizkę w uczciwym zakładzie, więc nie musisz pan niczego sprawdzać.

– Chyba jednak muszę – Fouad nie ustępował.

Nastała długa chwila ciszy, a potem w nagłym napadzie wściekłości Mikey sięgnął do buta i wyjął piętnastocentymetrowy nóż myśliwski. Miał dosyć tej przepychanki. Czas ruszać w drogę.

– Tego szukasz?! – wrzasnął do Fouada. – Chcesz, żebym cię pociął? Tak?

– To nie wasza walizka – powiedział Fouad. Gardło miał tak suche, że z trudem mówił. – Proszę ją zostawić i sobie iść.

– Głupi dupku – warknął Mikey i wbił nóż w pierś Fouada. – Głupi skurczybyku. Dupku!

Fouad lekko się zachwiał. Przez sekundę pomyślał o zonie i dzieciach, a potem upadł na ziemię.



Max i Billy stali w oknie i z przerażeniem patrzyli, jak człowiek z walizką wyjął nóż i dźgnął nim mężczyznę, z którym rozmawiał.

– O mój Boże! – krzyknęła Max, panikując. – Musimy coś zrobić.

– Zadzwoń po ochronę – szybko powiedział Billy.

– O nie, nie. Będzie za późno – ponagliła go Max. – Musimy mu pomóc teraz.



Lucky stwierdziła, że już nic więcej nie jest w stanie zrobić dla Armanda. Może tylko czekać na ratowników medycznych. Potem usłyszała krzyk, więc wybiegła i zobaczyła, jak Mikey w szale dźga nożem Fouada, który leży już na ziemi.

Nie wahała się. Chwyliła Mikeya za prawą rękę i tak mocno wykręciła ją do tyłu, że zmusiła go, by upuścił nóż.

Mikey rzucił się na nią w śmiertelnej furii.

– Cholerna dziwko! – wrzasnął. Kopał ją i walił pięściami. – Zabiję cię.

– O mój Boże! – krzyknęła Max, która nadal stała przy oknie. – To moja mama. Musimy jej pomóc! – Wybiegła na dwór i niewiele myśląc, skoczyła Mikeyowi na plecy, zacisnęła mu ręce na szyi, drapała go w twarz, a Lucky próbowała się podnieść i dosięgnąć do noża.

Z rykiem wściekłości Mikey zrzucił z siebie Max, aż wyleciała w powietrze, schylił się i złapał nóż, zanim Lucky go chwyciła. W tym momencie do bójki włączył się Billy. Wkroczył do akcji w bohater-skim stylu, tak jak często to robił w filmach. W swoim czasie stoczył kilka bójek i wiedział, że najlepszą obroną jest atak, więc mocno kopnął Mikeya w jądra.

Mikey na kilka sekund zwinął się z bólu, a potem znowu przeraźliwie wrzasnął i zamachnął się nożem. Trafił Billy'ego w policzek.

Popłynęła krew.

Tymczasem Lucky zdążyła wstać. Myślała tylko o tym, żeby chronić córkę. Nie miała pojęcia, skąd Max się wzięła ani co tam robi – ale to bez znaczenia. Chciała tylko, żeby Max znalazła się w bezpiecznym miejscu, z dala od przemocy.

– Uciekaj stąd! – wrzasnęła do Max. – Biegnij! Sprowadź pomoc!

– Nie mogę zostawić Billy'ego! – krzyknęła Max. Osunęła się na ziemię, położyła sobie na kolanach głowę Billy'ego i próbowała zatamować krew.

– Jest ranny. O mój Boże! Krwawi.

Fouad również leżał na ziemi i jęczał. Luscious stanęła z boku oniemiała. Coś takiego! Czy to możliwe? Widzi Billy'ego Meline, słynnego gwiazdora?

Mikey był silny jak byk. Buzowała w nim adrenalina. Troje leży na ziemi. Została tylko kobieta. Nie ustępowała. O nie! Patrzyła na niego jak samica czarnej wdowy, która tylko czeka, by go capnąć.

Bardzo pragnął ją dźgnąć, porządnie pociąć. Ale ważniejsze było

uciekać z walizką.

Gdzie, do diabła, jest Randy?

– Randy! – wrzasnął na brata i zwalisty dureń wytoczył się z willi, po drodze zapinając spodnie.

– Co tu kurde...

– Zwiewamy – rozkazał Mikey. – Bierz pieprzoną walizkę i wiejemy.

Lucky stanęła z boku i przyglądała się im. Wiedziała, że nie może nic zrobić, chociaż gdyby miała broń, nie zawahałaby się jej użyć. To szumowiny. Kryminaliści. W dodatku głupi. Nie miała wątpliwości, że najdalej za dwadzieścia cztery godziny zostaną złapani.

– Żegnaj, zdziro – powiedział Mikey i obrzucił ją triumfalnym spojrzeniem. – Kimkolwiek, do diabła, jesteś.

Bójka się skończyła. Bracia Sorrentino ruszyli przed siebie, a za nimi potruchała Luscious. Chrapiącą Seductę zostawili na kanapie w pokoju.

Kiedy zniknęli, Lucky rozejrzała się wokół siebie. Nagła bójka się skończyła. Mimo wszystko Max nic się nie stało, za to Fouad mocno ucierpiał, a Billy nadal krwawił.

– Ratownicy medyczni za chwilę tu będą – powiedziała i uważnie przyjrzała się córce. – Nic ci nie jest?

Max pokręciła głową. Po policzku spłynęła jej samotna łza.

– Tak się o ciebie bałam, mamo. Chciałam pomóc. Oboje chcieliśmy.

– Tak – poważnie stwierdziła Lucky. – Wiem. – Potem dodała z cieniem uśmiechu: – Niezła z nas drużyna. – Gdzie się tak nauczyłaś kopać ludziom tyłek?

Max blade się uśmiechnęła.

– Oczywiście od mojej niezwykłej mamy. Jakżeby inaczej?

Wymieniły ciepłe spojrzenia.

Kilka minut później dotarli do nich Lennie i Danny, a za nimi ratownicy medyczni.

Lucky wiedziała, że nie czas, aby wypytywać Max, co tam robiła. Zawsze jest przecież następny dzień. W końcu wszystkiego się dowie.

Rozdział sześćdziesiąty ósmy

Czasem zdarzają się tajemnice, których nigdy nie udaje się rozwiązać. Na przykład sprawa Armanda Jordana. Stracił przytomność z powodu nadmiaru alkoholu, heroiny i kokainy.

Ratownicy medyczni przyjechali na czas, by go uratować. Ale nie byli w stanie mu pomóc, gdyż nikt nie potrafiłby go uratować po precyzyjnym strzale w głowę, dokładnie między oczy.

Książę Armand Mohamed Jordan został zastrzelony. Wszystko wskazywało na egzekucję i tylko dwaj mężczyźni znali jej powody.

Dla wszystkich innych ludzi jego śmierć na zawsze pozostała tajemnicą.

Epilog

Trzy miesiące później

W sprawie morderstwa Armanda Jordana przesłuchano wszystkich, nawet Lucky. Detektywi śledczy jasno orzekli, że podczas utarczki przed willą samotny zamachowiec wślizgnął się do środka i zabił Armanda.

Profesjonalna robota – co do tego nie mieli wątpliwości. Jedynym świadkiem była tancerka egzotyczna, ogólnie znana jako Seducta Sinn. Ale Seducta twierdziła, że w tym czasie spała (była nieprzytomna) i nic nie widziała ani nie słyszała.



W ciągu kilku dni w okolicach Nashville aresztowano Mikeya i Randy'ego Sorrentino. Postawiono im zarzuty kradzieży rozbójniczej i ciężkiego uszkodzenia ciała.

Obaj poprosili o pomoc prawników i natychmiast zwrócili się przeciwko sobie.

Mikey dostał kolejną odsiadkę, a Randy karę ograniczenia wolności na dziesięć miesięcy z zawieszeniem.

Walizkę z pieniędzmi w końcu zwrócono Fouadowi, z potrąceniem piętnastu tysięcy dolarów.



Seducta na kilka tygodni została drobną celebrytką i pławiła się w blasku sławy. Była kobietą, która znalazła się w tym samym pokoju, co ofiara morderstwa – znany nowojorski biznesmen. Poza tym była tancerką egzotyczną – więc wszystkie stacje telewizyjne błagały ją o wywiad.

Nagła sława nie trwała długo i w końcu Seducta wróciła do pracy u Brudnego Dena. Kilka tygodni później złożyła pozew o rozwód z Mikeyem, a wkrótce potem wprowadziła się do Randy'ego.

Stwierdzili, że we dwójkę nareszcie znaleźli prawdziwe szczęście, chociaż Randy nie miał pracy, a bywały noce, kiedy Seducta była zbyt pijana, żeby dojść do Brudnego Dena.

Ale prawdziwe szczęście przybiera rozmaite postacie, więc byli zadowoleni.



Luscious zniknęła z dziesięcioma tysiącami dolarów, które wyłudziła od Mikeya z niesławnej walizki. Kiedy tylko wyjechali z Vegas, postanowiła skończyć z dotychczasowym życiem. Mikey ją przerażał, a nareszcie rozumiała, że Randy jest idiotą.

Pracowała nad Mikeyem, aż się zgodził dać jej trochę forsy, a kiedy ją wzięła, dała nogę. Nie chciała w żaden sposób być zamieszana w incydent w hotelu Cavendish, jak nazwała tamtejsze przeżycia. Zmieniła imię, wsiadła do autobusu i pojechała do Chicago, gdzie znalazła sobie pracę jako kelnerka i zatopiła się w bezbarwne tło zwykłego życia. Na razie jak najbardziej jej to odpowiadało.



Po jednej krótkiej konfrontacji w męskiej toalecie klubu Wonderball Paco poinformował Harry'ego, że nie jest gejem (co Max cały czas podejrzewała).

Harry był niezmiernie rozczarowany, ale nadal szukał swego jedynego.



Annabelle i Eddie pobrali się w hotelu Beverly Hills. Oboje robili to po raz pierwszy i każde z konkretnego powodu.

Eddie uważał, że poślubiając Annabelle, w pewien sposób łączy się z arystokracją Hollywoodu. Nie szkodzi, że jej tata, supersłynny Ralph Maestro, prawdopodobnie zlecił morderstwo jej niesłychanie sławnej matki, Gemmy Summer Maestro.

Kogo to obchodzi? W końcu było to morderstwo hollywoodzkie, a Ralph Maestro cieszył się wolnością.

Annabelle stwierdziła, że skorzysta na ślubie z Eddiem, ponieważ ma on przed sobą świetną przyszłość, a wśród stałych klientów wiele najbardziej liczących się gwiazd.

Pewnego dnia Eddie będzie szefem studia. Annabelle miała co do tego pewność. A ona będzie panią Falcon i będzie nim rządziła.

Nigdy nie wspominała wieczoru z Armandem Jordanem. Najlepiej o tym zapomnieć.



Alex Woods w głębi serca pożądał niedostępnej Lucky Santangelo. Sprowadził sobie do domu następną piękność z Azji i czekał.

Nie należał do ludzi, którzy łatwo się poddają.



Jorge prawie przez trzy miesiące był kochankiem Venus i z nią mieszkał. Dzięki temu zyskał ogromny rozgłos. Razem wszędzie pojawiali się w internecie, stanowili stały element plotkarskich artykułów o gwiazdach, a pisma uznały, że ich zdjęcia to najlepszy materiał na okładki.

Oboje na tym zyskali. Kobiety zazdrościły Venus, ale też podziwiały, że po czterdziestce potrafi przyciągnąć i utrzymać zainteresowanie tak młodego, bardzo męskiego kochanka.

Jorge zyskał sławę także na własne konto. Na tyle, że Calvin Klein wynajął go jako twarz i ciało następnej kampanii reklamowej swojej

bielizny.

Jorge był na dobrej drodze, by osiągnąć wszystko, o czym marzył.

Sławę.

Pieniądze.

Szacunek.

Na miłość czas przyjdzie potem.



Tymczasem Venus poznała awangardowego reżysera filmowego z Wenezueli, który widział w niej więcej niż symbol seksu, piękną supergwiazdę o blond włosach, która w dodatku umie śpiewać, tańczyć i grać w filmach. Zobaczył w niej symbol kobiecości, istotę związaną z ziemią, w której drzemie niezwykły, nadal przez świat nieodkryty potencjał.

Ona widziała w nim zbawiciela – intelektualistę, którego zawsze poszukiwała.

Mieli więc wspólne wielkie plany na przyszłość.



Danny i Buff pobrali się w Oregonie. Podróż była prezentem urodzinowym od Lucky, która uznała, że Danny zasłużył na urlop. Danny cały czas powtarzał, że to śmieszne, aby geje nie mogli się pobrać w Kalifornii, która jest najbardziej wyluzowanym stanem w kraju.

Buff całkowicie się z nim zgadzał.

Po pięciu pięknych, wspaniałych dniach jako szczęśliwi małżonkowie wrócili do Vegas.



M.J. niestety nie zabrał Cassie w podróż, którą zaplanował, ponieważ tej nocy, kiedy zamordowano Armanda Jordana, Cassie poroniła. Rozwiązało to wszystkie ich problemy. Gdzieś głęboko M.J. nie był jednak pewny, czy Cassie nie zrobiła czegoś, żeby temu

pomóc.

Rozpaczliwie starał się odpędzić od siebie te myśli, ale tkwiły w nim jak zadra.



Fouad szybko dochodził do zdrowia. Jego żona i dzieci przyleciały do Las Vegas, żeby przy nim być, a potem, w Nowym Jorku, wspólnie świętowali niespodziewaną wiadomość, że Armand Jordan podzielił swój majątek na połowę. Jedną część zostawił matce, a drugą Fouadowi.

Fouadowi było smutno, że Armand tak niefortunnie skończył, bo choć był człowiekiem niezwykle trudnym i niełatwo z nim było wytrzymać, zanim uległ narkomanii, przeżyli wiele ciekawych chwil.

Co dziwne, Fouad za nim tęsknił.

Aby uczcić swą nową funkcję szefa Jordan Developments, Fouad pozbiierał wszystkie DVD Armanda z seksem i czym prędzej je zniszczył.

Niezlomnie postanowił, że nie wolno szargać pamięci Armanda i po śmierci musi się on cieszyć nieskazitelną opinią.



Peggy Dunn szykowała się do urządzenia synowi spektakularnego pogrzebu. Razem z Fouadem skontaktowali się z królem i przekazali mu smutną wiadomość o śmierci Armanda, na wypadek gdyby chciał uczestniczyć w ceremonii. Król odpowiedział, że życzy sobie, aby pogrzeb odbył się w Akramszarze. Będzie to pogrzeb państwowy, a jego ludzie dokonają wszelkich przygotowań.

Kiedy Peggy się zgodziła, Fouad powiedział jej, że w Akramszarze Armand miał żonę i czworo dzieci.

Początkowo była przerażona i zszokowana. Jak to możliwe, że Armand miał rodzinę, o której nic nie wiedziała? Dlaczego jej nic nie powiedział? To niewiarygodne.

Ale w miarę jak oswajała się z tą wiadomością, doświadczała

coraz większego podniecenia i radości.

Ma wnuki. Czwórkę. Nie jest sama, ma rodzinę.

Nie mogła się doczekać, kiedy ich pozna.

W samolocie do Akramszaru, kiedy siedziała koło Fouada i jego pięknej żony, Alison, sięgnęła do torebki i wyjęła kopertę z laboratorium, do którego wysłała próbkę DNA. Nie otworzyła jej, a teraz postanowiła, że nigdy tego nie zrobi.

W jej pamięci Armand pozostanie księciem. Niech spoczywa w pokoju.



Ace wrócił do Big Bear, gdzie zaprzyjaźnił się z młodą, ładną kelnerką pochodzącą z podobnego co on środowiska. Starał się zapomnieć o Max Santangelo. Nie była dziewczyną dla niego – po co się oszukiwał? Żyją w dwóch odrębnych światach i choć starał się do Max dopasować, wie, że to niemożliwe.



Kev się wzbogacił, przynajmniej stosunkowo, ponieważ zdjęcia Ellie wywołały wojnę ofert wśród tabloidów, a Ellie, trzeba jej to przyznać, dotrzymała słowa i odstąpiła mu połowę zysków.

Ale Kev nie był szczęśliwy. Po pierwsze, zdradził przyjaciela, ale było coś jeszcze. Siedział w krzakach, jak ostatni tchórz, kiedy facet z nożem wszystkich atakował. Nie ruszył Billy'emu na pomoc i dręczyły go straszne wyrzuty sumienia.

Wziął pieniądze i jak niepyszny uciekł do Nowego Jorku.



Ellie sprzedała zdjęcia tabloidom jeszcze przed rozmową z policją.

Potencjalnie była głównym świadkiem w dochodzeniu, więc dostała wyraźne ostrzeżenie, że nie powinna ukrywać dowodów. Nie wspomniała jednak, że jeszcze ktoś z nią był. Kev błagał ją, żeby to

ukryła, więc się zgodziła.

W końcu wynajęła prawnika, udowodniła swoją niewinność i wszystkie zdjęcia przekazała policji. Wszystkie oprócz jednego.

Udało jej się sfotografować wysokiego Murzyna w czarnym garniturze, który cicho wślizgnął się do willi, kiedy wyszedł z niej Randy.

Czy tylko ona go widziała?

Przypuszczalnie tak.

Fotografię umieściła w bezpiecznym sejfie, a swojej partnerce życiowej wręczyła notatkę, że gdyby coś jej się kiedyś stało, ma ją przekazać policji.

Ellie była niezwykle sprytna.



Ukazał się film Sama i stał się wielkim hitem. Hollywood go chciało i było gotowe płacić.

Od czasu do czasu nadal wysyłał Denver SMS-a, ale jeszcze nigdy nie odwiedziła go w studiu.

Sam uważał jednak, że zawsze jest jeszcze jutro.



Gerald M. wyjechał na tournée po Europie z blondyną ze Szwecji, którą poznał w Vegas. Był dumny, że może ją zabrać do Londynu, Paryża i Berlina, gdzie nadal miał niekwestionowany status supergwiazdora. Fani kochali łagodny soul, który śpiewał. Cztili go i uwielbiali.

Zapytał Cookie, czy chciałaby z nimi jechać. Odmówiła. Znacznie ciekawsza była dla niej perspektywa pustego domu w Bel Air.

Odeszła od Frankiego i szpanowała nowym, seksownym uczesaniem. Odkryła, że ma znacznie ciekawsze możliwości niż te, które oferował jej stary ćpun Frankie.

Postanowiła zostać aktorką, i zapisała się w tym celu na kurs.

Wszędzie było pełno młodych, gorących ludzi, którzy chcieli zo-

stać aktorami.

Wkrótce Cookie znakomicie się bawiła.



Kiedy rzuciła go zaczepna, rozpieszczona nastolatka, Frankie Romano wrócił do Los Angeles z silnym postanowieniem, że nie będzie spał z nikim, kto nie skończył dwudziestu jeden lat. Jest przecież częścią klubowego środowiska Hollywood. Cipek wokół jest w bród. A on jest w swoim świecie gwiazdorem.

Zaczął mu się sypać interes z narkotykami. Podaż nie nadążała za popytem. Wszedł więc w układy z młodym Kolumbijczykiem, który nazywał się Alejandro Diego i miał liczne powiązania rodzinne w ojczyźnie. Twierdził, że jest w stanie zapewnić stałe dostawy. Dopiero teraz naprawdę zaczęły płynąć pieniądze.

Frankie kochał swoje życie. Za nic by go nie zmienił.



Max i Billy. Przyłapani i sfotografowani tak, że każdy mógł ich oglądać. Na okładkach tabloidów widnieli obok nagłówków MOR-DERSTWO W HOTELU W VEGAS – bo tak brzmiała większość z nich. Billy wyszedł na bohatera ze świata marzeń. Gorący supergwiazdor daje sobie pociąg przystojną twarz, by ratować dziewczynę. Chociaż jego specjaliści od PR-u natychmiast zaprzeczyli, aby Max była jego dziewczyną – mimo intymnych zdjęć, które wszędzie widniały. Według przedstawicieli Billy'ego stanął on w obronie przyjaciółki rodziny.

Billy natychmiast trafił na ostry dyżur, gdzie przylecieli najlepsi chirurdzy plastyczni z Beverly Hills, aby udzielić konsultacji w sprawie jego uszkodzonej twarzy. Rana policzka okazała się powierzchowna i już po kilku tygodniach Billy był takim samym przystojniakiem jak zawsze. Doradcy kazali mu zachować ostrożność i nie pokazywać się z Max, aż skończy się sprawa rozwodowa z Venus.

Choć niechętnie, zgodził się, że tak będzie najlepiej. W końcu

rozwiódł się z ikoną, więc tak szybki romans z nastolatką nie budował wizerunku, na którym mu zależało.

„Publiczność jest jak szczęście – w każdej chwili może się od człowieka odwrócić”, ostrzegano go. „Nie ryzykuj genialnej kariery. To nie jest odpowiedni moment”.

Porozmawiał z Max przez telefon i powiedział jej, że na kilka tygodni muszą wyluzować. Nie złamało jej to serca. Zbyt wiele wokół się działo i musiała złapać równowagę. Była dorosła. Miała osiemnaście lat. I choć Lucky uznała, że należy odwołać przyjęcie w Vegas, Max nie miała nic przeciwko temu. Zwłaszcza że w zamian za to Lucky zaprosiła całą rodzinę na wycieczkę do południowej Francji.

Mama okazała się znacznie fajniejsza, niż jej się wydawało. Nie skrzyczała jej za Billy'ego. Wzruszyła tylko ramionami i powiedziała:

– Nie mamy wpływu na to, dla kogo upadniemy. Ale może z Billym nie wybrałaś najlepiej.

Max nadal myślała o Billym.

I jeszcze o kimś...

Ace zostawił jej piękny prezent i smutną karteczkę. Wiedziała, że na pewno widział jej zdjęcia z Billym, i serce jej pękało na myśl o jego reakcji.

Zawsze był jej ostoją, a ona go zawiodła. Ale, jak powiedziała Lucky, nie mamy wpływu na to, dla kogo upadniemy.



Denver i Bobby wrócili do LA, a po wyznaniu sobie słowa na M zamieszkali w nowym domu, który kupił Bobby.

– Żadnych wielkich rezydencji – ostrzegła go Denver. – Proszę o coś łatwego do ogarnięcia. I nie w drogiej dzielnicy. Lubię żyć zwyczajnie.

Zwyczajność okazała się piętrowym domem na hollywoodzkich wzgórzach, z trzema sypialniami i panoramicznym widokiem na miasto. Ze średniej wielkości ogrodem i zwykłym basenem. Amy Winehouse czuła się jak w psim niebie!

Denver w końcu przedstawiła Bobby'ego rodzinie, choć nie bez obaw. I niespodzianka! Wszyscy go pokochali! A jak stwierdziła jej mama:

– Nie ma się do czego przyczepić. Świetny z niego facet.

Tak. Bobby to świetny facet. Denver była szczęśliwa, że razem zamieszkali. Dużo radości miała też z nowej pracy w Dziale Narkotyków. Świetnie jej się pracowało z Leonem i mnóstwo się tam działo. Leon od miesięcy śledził barona narkotkowego z Kolumbii, Pabla Diego, i byli o krok od aresztowania jego kontaktów w Stanach. Jednym z głównych podejrzanych był syn Pabla, Alejandro, a także dealerzy, którym dostarczał towar.

Nieuchronnie czekała ich cała seria aresztowań.

Denver znakomicie wiedziała, że jednym z zatrzymanych będzie Frankie Romano. Ze względów etycznych nie wspomniała o tym Bobby'emu. Frankie wprawdzie nie był już jego bliskim przyjacielem, ale Bobby miał wrodzone poczucie lojalności i gdyby coś wiedział, mógłby zechcieć ostrzec Frankiego, co umożliwiłoby mu ucieczkę.

Byłoby to niedopuszczalne, więc milczała.

Denver ogromnie kochała Bobby'ego. Wzięła nawet udział w kilku jego uroczystościach rodzinnych i udało jej się nawiązać ciepłe relacje z Lucky, która okazała się wcale nie tak straszna, jak Denver wcześniej sądziła. Uwielbiała też Lenniego, który był mądry i w nieco zgryźliwy sposób inteligentny. Powoli, lecz zdecydowanie ocieplały się jej stosunki z Max.

Ogólnie Denver myślała o swojej przyszłości z Bobbym w samych pozytywach.



Wszystko szło tak dobrze, że Bobby zaczął planować ich wspólną przyszłość. Udało mu się kupić dom i wprowadzić się tam z Denver, a teraz chciał czegoś więcej. Denver okazała się wyjątkowa. Piękna, mądra, seksowna – była jego najlepszą przyjaciółką. Czegóż więcej mógłby chcieć od kobiety?

Postanowił poprosić ją o rękę, ale instynktownie czuł, że mogłaby się nie zgodzić. Strasznie dużo czasu zajęło mu przekonanie jej, żeby z nim zamieszkała. Perspektywa małżeństwa może ją odstraszyć.

Albo i nie.

Nie wiedział.

Potrzebował pomocy, więc w tajemnicy spotkał się z jej najlepszą przyjaciółką Carolyn, która żyła w niezmiernie szczęśliwym związku lesbijskim, i poprosił ją o radę. Carolyn myślała rozsądnie.

– Nie poganiaj jej – powiedziała. – Będiesz wiedział, kiedy przyjdzie odpowiedni czas dla was obojga.

Na razie więc Bobby poszedł do Tiffany'ego i kupił siedmiokaratowy pierścionek zaręczynowy. Denver przypuszczalnie uzna, że jest zbyt okazały. Ale co tam, on przecież ma prawo ją rozpieszczać.

Pierścionek na razie schował i cierpliwie czekał na odpowiedni moment.



Lucky Santagelo Golden i Lennie Golden. Prawdziwie pokrewne dusze. Kto powiedział, że hollywoodzkie małżeństwa są nietrwałe?

Sprawę Max i Billy'ego załatwili w jedyny według nich możliwy sposób, to znaczy ze zrozumieniem, miłością i bez osądzania.

Podróż do południowej Francji okazała się dla wszystkich udana. Mieszkali u przyjaciół, Francuzów, we wspaniałej willi na wzgórzach Cannes. Max zaprzyjaźniła się z ich synem, dwudziestodwuletnim młodzieńcem o aspiracjach scenarzysty. Nic poważnego, czysta przyjemność. Lucky stwierdziła, że Max właśnie tego potrzebuje – zwykłej, bezrefleksyjnej zabawy.

Tymczasem Lennie miał swoje własne plany.

– Jedziemy na cały dzień do Saint-Tropez – poinformował żonę.
– Tylko ty i ja.

Dzięki temu powtórzyli przeżycia pierwszego razu, kiedy uprawiali miłość. Pojechali na tę samą plażę i popłynęli taką samą tratwą. Seks na niej był równie cudowny, a może nawet lepszy niż za

pierwszym razem.

Lucky nadal rozkoszowała się dotykiem Lenniego. Wciąż jeszcze iskrzyło między nimi głęboką namiętnością. Ale wszystko nagle się skończyło, kiedy do tratwy podpłynęło kilkoro dzieciaków.

Kiedy się na nią wdrapali, Lucky i Lennie rozchichotali się, jakby sami byli nastolatkami, wskoczyli do morza i popłynęli na brzeg, gdzie padli na ziemię, nadal histerycznie zanosząc się od śmiechu.

- Kocham cię – wymamrotał Lennie, kiedy się uspokoili.
- Wiem – powiedziała Lucky i głęboko spojrzała mu w oczy.

Byli dwojgiem ludzi, którzy nawzajem się odnaleźli. Nic i nikt nie potrafi ich rozdzielić.

Dwojgiem beztroskich, namiętnych ludzi, wypełnionych zmysłową radością i serdecznym apetytem na życie, który prowadził ich tam, dokąd chcieli.

Lucky i Lennie. Jedyni w swoim rodzaju.